CZARNA SERIA
Mistrzowsko opowiedziane!
Håkan Nesser wywołuje dreszcze.
Upsala Nya Tidning
Nesser zręcznie podsuwa wskazówki
i fałszywe tropy, prowadzi
i zwodzi czytelnika.
Svenska Dagbladet
Håkan
NESSER
SAMOTNI

Ali-Baba

HAKAN NESSER

SAMOTNI

DE ENSAMMA

PRZEŁOŻYŁ MACIEJ MUSZALSKI

Wydawnictwo
CZARNA OWCA

Miejscowości Kymlinge i jej okolic nie ma na mapie, niektóre zaś realia akademickie i wojskowe zostały zmienione zgodnie z wymogami sytuacji. Poza tym niniejsza książka to pod wieloma względami prawdziwa historia.

Czy można mówić o tym, co najgłębsze w człowieku?
zapytał Regener. Czy to ma sens?
Nie wiem - odparł Marr. - Możliwe.

Erik Steinbeck,
Z perspektywy ogrodnika

Prolog, wrzesień 1958

Obudziły go głosy kłócących się ludzi.

Nie byli to ojciec i matka. Oni nigdy się nie kłócili. Nie można się kłócić w świętej rodzinie, powtarzał ojciec, śmiejąc się przy tym w ten poważny sposób, który sprawiał, że nigdy nie było wiadomo, czy żartuje, czy mówi serio.

Nie była to również Vivianne ani żadna inna żyjąca istota. Głosy rozbrzmiewały w nim samym.

Zrób to, mówił jeden. Należy im się. Są niesprawiedliwi.

Nie rób tego, odpowiadał drugi. Dostaniesz lanie. On zauważy.

Dziwne, że można się obudzić przez głosy, których tak naprawdę nie ma, pomyślał. Spojrzał na zegarek. Było dopiero wpół do siódmej. Dwadzieścia minut wcześniej, niż zazwyczaj wstawał. To też było dziwne. Właściwie nigdy nie budził się sam. Najczęściej musiała budzić go matka, w dodatku kilka razy.

To dlatego, że dziś był wyjątkowy dzień.
Oczywiście. I z powodu tego, o czym myślał wczoraj wieczorem. Przed zaśnięciem myślał o tym, o co kłóciły się głosy. Na pewno też mu się to śniło, musiało tak być, chociaż nie pamiętał. Leżał jeszcze chwilę, próbując zapaść z powrotem w sen, ale się nie udało.
Usiadł na łóżku. Zrobię to, pomyślał.
Może nic się nie stanie, ale jestem taki zły. To niesprawiedliwe, a kiedy coś jest niesprawiedliwe, nie można tego tak zostawić, jak mawia ojciec.
Daj spokój, przekonywał drugi głos. On zauważy, a wtedy jak to niby wytłumaczysz?
Nie zauważy, zapewniał pierwszy. Nie bądź takim cholernym tchórzem. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz żałował i wstydził się swojego tchórzostwa. A przecież to taka pierdółka.
Wręcz przeciwnie, odpowiadał drugi. Będziesz żałował, jeśli to zrobisz. A to nie jest żadna pierdółka.
Ale ten głos, który chciał go powstrzymać, nie był już taki silny. Był właściwie ledwo szeptem. Wstał i podszedł do krzesła, na którym wisiało jego ubranie. Pogrzebał w kieszeni błękitnego kardigana.
Tak, pudełko tabletek tam było. Proste jak drut, pomyślał. To będzie proste jak drut, a prawdopodobieństwo, że go złapią, jest mniejsze niż pierdnięcie komara. Tak też mawiał ojciec. Inni mówili: „ruch skrzydeł motyla", ale ojciec zawsze mówił „pierdnięcie komara".
Drugi głos próbował coś wypiszczeć, ale był tak cichy, że już go nie słyszał. Cichszy niż... właśnie tak, nie mógł powstrzymać chichotu... pierdnięcie komara.
Wszedł do łazienki i poczuł, że coś go drażni w środku. Decyzja była jak rozgrzana kula w jego głowie.

CZĘŚĆ I

1

Rickard Berglund był pod wieloma względami racjonalnym młodym człowiekiem, ale wyjątkowo nie znosił wtorków.
Nie zawsze tak było. Racjonalność pewnie zawsze była jego cechą, ale pod koniec lat pięćdziesiątych - zanim jeszcze wszedł o szczebel wyżej, kończąc podstawówkę Stava i zaczynając szkołę realną* w Töreboda - z wtorkami było zgoła inaczej. Opromieniał je swoisty blask. Przynajmniej późną zimą i wiosną. Powód, a raczej powody były proste: wtorek był dniem, kiedy w skrzynce lądował komiks ***Donald i spółka,*** i był też dniem, kiedy mama częstowała go semlą z gorącym mlekiem, gdy przychodził do domu w czasie przerwy śniadaniowej.
To połączenie - duża, świeżo posypana cukrem pudrem semla, pływająca w mleku z cynamonem i cukrem oraz jeszcze nieprzeczytany, wyglądający wręcz na niet knięty ludzką ręką komiks, leżący na lewo od talerza, na ceracie w biało-czerwoną kratę - i sama świadomość zbliżającej się frajdy sprawiały, że najczęściej biegiem pokonywał czterysta metrów dzielące szkołę od białej willi przy Fimbulgatan.
Dopiero później wtorki nabrały innego znaczenia. Szczególnie w latach 1963-1964, kiedy zmienił szkołę i wyrósł z Kaczora Donalda, a jego tata Josef leżał w sanatorium w Adolfshyttan i umierał.
Tego właśnie dnia wsiadał ze swoją mamą Ethel do autobusu i jechał w odwiedziny. Autobus był niebieski, miał wytarte siedzenia i w dziewięciu przypadkach na dziesięć prowadził go spasiony stary Benny'ego Perssona - jego prześladowcy ze szkoły Stava. Kiedy wracali na Fimbulgatan,

**W latach 1905-1972 nieobowiązkowy etap pomiędzy szkołą podstawową a średnią. Nauka w szkole realnej mogła trwać trzy, cztery lub pięć lat*

było już ciemno, lekcje miał nieodrobione, a oczy mamy były czerwone od płaczu, któremu się ukradkiem oddawała, gdy jechali do domu.
Tata jednak nie umarł we wtorek, tylko w nocy z piątku na sobotę. Cichy pogrzeb odbył się mniej więcej tydzień później. Był październik 1964 roku, padało od rana do wieczora.
Może to wcale nie wyjazdy do sanatorium były źródłem jego niechęci do wtorków, trudno powiedzieć. Już w bardzo wczesnym dzieciństwie Rickard Berglund miał zdecydowany pogląd na to, jak wyglądają poszczególne dni. Jaki mają kolor i jaki temperament - choć musiało minąć dobrych parę lat, zanim poznał znaczenie słowa „temperament". Tak więc soboty były czarne, ale ciepłe, niedziele oczywiście czerwone, tak samo jak w kalendarzu, poniedziałki granatowe i bezpieczne... wtorki za to zawsze miały twardą powierzchnię, szarą, zimną i odpychającą, obcowanie z nimi przypominało czasem wgryzanie się w porcelanowy spodek.
Później była ciemnoniebieska środa, która miała w sobie obietnicę harmonii i ciepła, zwłaszcza pod wieczór, czwartek ze swoim błękitnym uczuciem wolności oraz biały piątek - biel piątku była jednak zupełnie innej natury niż wtorkowa lodowatość.
Nie wiedział, skąd mu się wziął ten wyraźny obraz tygodniowego koła - albo skąd w ogóle wiedział, że chodzi o koło - i czasem się zastanawiał, czy inni odbierają to w taki sam sposób. Nigdy jednak, przynajmniej do dwudziestego roku życia, z nikim o tym nie rozmawiał. Być może ze strachu, że zostanie uznany za człowieka, który ma coś nie tak z głową.
W każdym razie wtorkowa fobia go nie opuszczała. Kiedy, już w liceum, budził się tego dnia w wynajmowanym pokoju przy Ostra Järnvägsgatan, towarzyszyło mu przygnębienie, świadomość, że niczego dobrego po najbliższych piętnastuszesnastu godzinach spodziewać się nie można.

Ani w szkole, ani w znikomych relacjach z kolegami. Wtorki były z natury twarde jak kamień i wrogie, jedyne, co można było zrobić, to jakoś przetrwać. Zahartować się i przeżyć. Może na dłuższą metę mogło to przynieść jakąś korzyść.

Dziś jednak nie był wtorek. Był poniedziałek. Dokładnie 9 czerwca 1969 roku, a szynowy autobus z Enköping z przeciągłym piskiem i szarpnięciem zatrzymał się na torze czwartym stacji Uppsala Central. Było dwadzieścia po jedenastej, Rickard Berglund chwycił zieloną płócienną torbę i wyszedł na skąpany w słońcu peron.

Kilka sekund stał w całkowitym bezruchu, chcąc zachować, wryć sobie w pamięć tę chwilę, tak długo oczekiwaną, kiedy to po raz pierwszy postawił stopę na opiewanej w tylu pieśniach ziemi miasta nauki. Ulf Peder Olrog. Pieśni Gluntarne. Chór Orphei Drängar. Wielka chwila.

Kiedy jednak przyjrzał się tej stopie i jej najbliższemu otoczeniu, z przykrością stwierdził, że nie wygląda to zbyt okazale. Równie dobrze mogła to być czyjakolwiek stopa, postawiona na peronie w Herrljunga, Eslöv czy innej zapadłej wsi w królestwie Szwecji. Mimo woli westchnął. Wzruszył ramionami, poszedł za tłumem wzdłuż peronu i wziął miasto we władanie.

Przynajmniej tak to sobie powiedział. Teraz biorę miasto we władanie. Był to sposób, by trzymać lęk w szachu; myślenie kursywą oznaczało przejęcie władzy nad rzeczywistością. Wiedział, że zna go z jakiejś książki, którą czytał w pierwszej albo drugiej klasie szkoły średniej, ale nie pamiętał ani tytułu, ani autora. Tak czy inaczej, ta prosta metoda działała: kursywowane myśli zwalczają wrogość otoczenia.

Po wyjściu z peronu zatrzymał się raz jeszcze. Spojrzał na pompatyczną, pstrokatą rzeźbę w kamiennym okręgu i pomyślał, że na pewno jest znana. W mieście takim jak Uppsala jest mnóstwo znanych obiektów. Budowli, zabytków, historycznych miejsc, a już niedługo on to wszystko pozna,

spokojnie i metodycznie, tutaj nie ma się co spieszyć.
Szedł dalej prosto, przeszedł przez jedną dużą i mocno zatłoczoną ulicę oraz kilka mniejszych i po kilku minutach był nad rzeką. Fyris. Przekroczył drewniany most, zobaczył katedrę i piętrzące się po prawej stare miasto, kiwnął głową z zadowoleniem i skierował się w tamtą stronę.
Każdy człowiek powinien mieć dwa plany: wielki i mały. Wielki ma dotyczyć tego, jak zamierza się przeżyć życie, mały - jak przeżywa się dzień.
To nie było jego własne kursywowane stwierdzenie, niestety nie, autorem był pan Grundenius. Spośród wszystkich mniej lub bardziej specyficznych nauczycieli, jakich spotkał w ciągu trzech łat w liceum Vadsbo, to właśnie Grundenius zrobił na Rickardzie Berglundzie największe wrażenie. Władczy i nieobliczalny, czasem nawet humorzasty, ale zawsze ciekawy jako mówca. Najczęściej zarówno zaskakujący, jak i bystry w swoich spostrzeżeniach i pytaniach. Religia i filozofia. Mówiło się o nim, że skąpi dobrych ocen, ale Rickard z obu przedmiotów miał piątkę z minusem; trudno stwierdzić, czy rzeczywiście na nie zasługiwał. Trudno ocenić własną wartość.
Tak czy inaczej, miał wielki i mały plan. I kiedy tak szedł wzdłuż rzeki w stronę katedry, której ostre iglice zdawały się falować na tle chmur, wielki plan stanął mu przed oczami. ***Zycie.*** Rickarda Emmanuela Berglunda chwila na ziemi, tak jak to zostało obmyślone i zaplanowane.
Teologia.
To był kamień węgielny. Ziemia, którą dane mu było uprawiać, czy jak to tam nazwać. Nie podjął tej decyzji w jakimś szczególnym momencie, a przynajmniej takiego momentu sobie nie przypominał, była to raczej decyzja, która się w nim krystalizowała, nieubłaganie i nieodwracalnie, przez wiele lat. Może wyssał to już z mlekiem matki, bowiem o tym, że istnieje jakiś bóg, był przekonany przez

cate swoje świadome życie, jednak po śmierci ojca zrozumiał również, że nie chodzi o bezpiecznego i przyjaznego Boga z odmawianych w dzieciństwie wieczornych modlitw, lecz kwestia jest bardziej skomplikowana. Dużo bardziej skomplikowana.
Warta zbadania.
Josef Berglund był pastorem w parafii wolnego kościoła Aronsbróderna, wczesnego odłamu Szwedzkiego Związku Misyjnego, ale wspólne modlitwy parafian za swojego pasterza w trudnym dla niego czasie ani trochę nie złagodziły jego cierpień. Modlitwy żony i syna też nie pomogły i głównie ten fakt ukształtował złożony obraz Boga w oczach Rickarda Berglunda.
Dlaczego nie słyszy naszych modlitw?
A jeśli słyszy, dlaczego nie spełnia naszych skromnych próśb? Dlaczego pozwala, by jego wyznawcy cierpieli?
Kiedy przy jakiejś okazji poruszył ten temat w rozmowie z mamą, ona z pełnym przekonaniem stwierdziła, że nie do człowieka należy wyobrażanie sobie głębszego celu i pobudek ***Jego*** działań. W żadnym wypadku. Albowiem ludzkie uproszczone rozumienie dobra i zła jest zawsze w szerszej perspektywie skazane na niepowodzenie. Nawet takiego faktu jak cierpienie prostego, bogobojnego pastora nie jesteśmy w stanie należycie rozpatrzyć i ocenić.
Mniej więcej w tym stylu. Ale Rickard Berglund chciał sobie wyobrazić. Pragnął zrozumieć, nawet jeśli matka utrzymywała, że takie ambicje przypominają duchową pychę, i tym stwierdzeniem najczęściej kończyła ich rozmowę. Nie mógł w tej sprawie stanąć przeciwko niej, jeśli potrzeba było walki, buntu przeciwko Bogu, było to przedsięwzięcie, którym musiał się zająć na własną rękę. Rickard i Pan Bóg? Cel jego życia?
Doszedł do ciemnych drzwi. Plac przed katedrą skąpany był w słońcu, ale ciężkie wrota do świątyni były zamknięte na

cztery spusty i pogrążone w cieniu. Zdecydował, że nie będzie wchodził - a ściślej mówiąc, podjął tę decyzję jeszcze w pociągu, kiedy układał plan dnia. Było za wcześnie, najpierw chciał popatrzeć z zewnątrz, obejrzeć potężną, trochę niepokojącą architekturę, zlokalizować Dekanhuset, bo w tym budynku mieściła się teologia, to pewnie ten duży gmach na południe od kościoła... a może na zachód? Już myliły mu się kierunki. Ten znacznie mniej groźnie wyglądający kościół po drugiej stronie to bez wątpienia Święta Trójca, potocznie zwana „wiejskim kościołem". Rickard Berglund widział najważniejsze zabytki Uppsali w albumie ***Uppsala dawniej i dziś,*** który dostał w kwietniu od mamy na dwudzieste urodziny. Była taką samą zwolenniczką jego planu jak on i czasami zadziwiała go oczywistość tych widoków na przyszłość. Czy to naprawdę było takie proste? Czy nie powinna istnieć jakaś inna opcja, chociażby po to, by ją odrzucić?

Minął Dekanhuset, okrążył wiejski kościół i zszedł po schodach z małego wzgórza na Drottninggatan. Po prawej stronie górowała okazała biblioteka, a wyżej na wzniesieniu między drzewami dostrzec można było zamek. Na zamkowym wzgórzu Slottsbacken kwitły jeszcze czeremcha i bez, panowała późna, przeciągająca się wiosna. Jak pięknie, pomyślał. Przeciął Drottninggatan, wszedł w Nedre Slottsgatan i w końcu dotarł do cukierni naprzeciwko podłużnego sztucznego stawu. Dzikie kaczki, kilka łabędzi i inne nieznane mu wodne ptaki pływały sobie w błogim wczesnoletnim lenistwie, a przynajmniej tak to wyglądało. Nigdy do końca nie wiadomo. Zamówił kawę w dzbanuszku, kanapkę z serem i gotowaną metkę. Przypomniał sobie, że to także było częścią planu i poczuł zadowolenie, że wszystkie wstępne kroki wykonał z taką łatwością i elegancją. Ani razu nie musiał pytać o drogę i już zaliczył prawie wszystko, co sobie zaplanował: Rzekę Fyris. Katedrę i Teologikum.

Muzeum Gustavianum i budynek uniwersytetu. Bibliotekę Carolina Rediviva, widziany z oddali zamek oraz cukiernię z ogródkiem. ***Zaliczone.***

A była dopiero dwunasta piętnaście. Ugryzł kanapkę, wypił łyk kawy i z zewnętrznej kieszeni torby wyciągnął kartę powołania. Zawahał się chwilę, po czym wyjął grubą książkę i położył ją ostrożnie na stole, sprawdziwszy uprzednio, czy nie ma na nim plam. ***Pisma wybrane.*** Soren Kierkegaard. W pociągu przeczytał ponad czterdzieści stron, a teraz znów pojawiła się myśl, która przyszła mu do głowy na przystanku autobusowym w Hova. W Hova prawdopodobnie nie było nikogo, kto czytałby Kierkegaarda, a ile takich osób mogło być w Uppsali? Sto? Tysiąc?

A inni? Schopenhauer. Nietzsche. Kant. Nie zapominając o współczesnych filozofach, jak Althusser, Marcuse i cała reszta. Ekscytująca była myśl, że w tym mieście ktoś przy sąsiednim stoliku w cukierni takiej jak ta albo w kolejce do mięsnego mógł być równie dobrze obeznany z Heglem i Sartre'em.

Rickard Berglund miał kanon, listę lektur, obejmującą dzieła pisarzy, z którymi zamierzał zawrzeć znajomość w nadchodzącym roku. Zanim na poważnie zajmie się teologią. Może powinien nawet liznąć Marksa i Lenina, żeby mieć o nich pojęcie. Nic, co ludzkie, nie powinno ci być obce, próbował zaszczepić mu Grundenius... i prawie nic, co nieludzkie. Jeżeli nie poznasz swojego rywala, nigdy go nie pokonasz.

Rickard nie wierzył w komunizm. Wojna prowadzona przez Stany Zjednoczone w Wietnamie była oczywiście pod wieloma względami niesłuszna, ale to tylko część prawdy. Stalin miał na sumieniu więcej istnień niż Hitler, wystarczyło spojrzeć do podręczników historii. Rickard poza tym żywił wręcz fizyczną niechęć do wszelkich demonstracji. Ożywiony tłum, slogany i uproszczona

demagogia przerażały go. Z ruchem hippisowskim, muzyką pop i wszystkimi długowłosymi bojownikami o wolność było tak samo. Nie obchodzili go po prostu. Rickard Berglund miał nadzieję - czy też raczej zakładał - że odtrutkę na wszystkie plagi obecnych czasów znajdzie w miejscu przepojonym klasyczną kulturą i tradycją. Alma Mater, ***gaudeamus igitur...*** przyjdzie czas, myślał, przyjdzie czas, że zapuści w tym mieście korzenie.

Po raz setny przeczytał lakoniczny tekst na karcie.

Miejsce: AUS. Arméns underofficersskola - wojskowa szkoła podoficerska, Dag Hammarskjölds väg 36, stawić się w wartowni.

Czas: poniedziałek, 9 czerwca, w godzinach 13-21.

Długość kursu: 15 miesięcy. Data zwolnienia: 28 sierpnia 1970.

Kiedy Rickard Berglund próbował wyobrazić sobie ten czas, te wszystkie dni niewiadomej treści i niewiadomego charakteru, czuł, jak coś sznuruje mu gardło. Wydawało się, że jeśli tego nie zwalczy, może się rozsypać.

Może tam nie wytrzyma?

Może po paru tygodniach zwolnią go ze służby i odeślą do domu? Skąd człowiek ma wiedzieć, czy się nadaje? No właśnie.

Albo skierują go do zupełnie innych zadań w zupełnie innej jednostce gdzieś w kraju? To byłby jeszcze większy wstyd. W materiałach informacyjnych napisano, że może się tak zdarzyć. Taki los spotykał od dziesięciu do piętnastu procent przyjętych na kurs sztabowy. A jeśli wyląduje w Boden? Albo w Karlsborgu? Uppsala była jak wygrany los na loterii, grunt, by go nie zmarnować... Westchnął, zdając sobie sprawę, że właśnie w takie ponure tony obiecał sobie nie uderzać.

Plan był bowiem ustalony. Piętnaście miesięcy służby wojskowej w Stabs och sambandsskolan - wojskowej szkole

sztabu i łączności, później jakiś czas na teologii, cztery albo pięć lat, to się okaże. Potem święcenia kapłańskie i w drogę, głosić Słowo Boże.
Ni mniej, ni więcej.
A jeśli się wytrzymało jedenaście miesięcy w firmie betoniarskiej Lapidus Betong AB, można chyba znieść wszystko. To wuj Torsten pomógł mu zaczepić się tam trzy dni po maturze i jakkolwiek przedstawiałaby się sprawa oświaty na terenach od Hova do Gullspång, Rickard był jedynym pracownikiem firmy Lapidus, który podczas przerwy na kawę czytał Bunyana i Hjalmara Bergmana.
Prowokowało to czasem takie czy inne docinki, ale to już przeszłość. Zarówno przemysł betoniarski, jak i dom przy Fimbulgatan Rickard zostawił za sobą. A także dziecięcy pokoik, w którym mieszkał, odkąd pamięta. Mama próbowała dziś rano w kuchni zwalczyć płacz, jednak bez powodzenia.
- Zostawiasz mnie samą, Rickard - chlipała Ethel. - Tak być musi, ale pamiętaj, że tu zawsze są dla ciebie otwarte drzwi.
Bez wątpienia przygotowała to sobie wcześniej, a zabrzmiało jak stara maksyma wyhaftowana na makatce nad ławą w kuchni. Odkąd zmarł pastor, odzywała się w tym stylu coraz częściej. Rickard w głębi duszy wstydził się uczucia wolności, jakiego doznał, kiedy tylko wyszedł z domu.
Uczucie wolności, kiedy trzeba iść w kamasze? Nie należało chyba się do tego przyznawać, ale w takim właśnie był nastroju. Dzisiaj życie zaczynało się na poważnie, ot co. Całą wiosnę czekał na ten dzień, a kiedy teraz obserwował te wszystkie nieznane kaczki, nieznane łabędzie i przechadzających się chodnikiem nieznanych ludzi, pomyślał, że nigdy - jakkolwiek ułoży się jego życie, cokolwiek stanie się z wielki planem - nie zapomni tej chwili. Cukierni Fågelsången w Uppsali w samo południe 9 czerwca 1969. Pomyślał sobie, że będzie mógł przychodzić tutaj co roku tego samego dnia, siadywać, filozofować trochę, sięgać myś-

lami wstecz i wybiegać w przyszłość, i...
Strumień jego świadomości został przerwany przez cień, który nagle padł na stół, i przez fakt, że właściciel cienia zasygnalizował swoją obecność dyskretnym chrząknięciem.
- Proszę, proszę. Kierkegaard. Nieźle.
Rickard Berglund podniósł wzrok. Przyglądał się mu wysoki, młody mężczyzna w dżinsach, T-shircie i rozpiętej flanelowej koszuli. Miał ukośną, ciemną grzywkę, która zasłaniała mu połowę twarzy, i uśmiechał się szeroko. Wskazał wolne krzesło przy ścianie.
- Przepraszam. Ale niektórych rzeczy nie mogę nie skomentować. Można usiąść?
Rickard skinął głową i schował kartę.
- To też widziałem.
- Co takiego? Kartę powołania...?
- Tak jest. I domyślam się, że nie do S1 ?
Przystawił krzesło i usiadł. Założył nogę na nogę i wyjął paczkę papierosów z kieszeni na piersi.
- Chcesz jednego?
- Nie, dzięki. Nie palę.
- Rozsądnie.
Rickard spróbował się uśmiechnąć.
- Jak odgadłeś, że nie mam być w SI?
Jego nowy towarzysz przy stole zapalił papierosa zapalniczką Zippo i wydmuchał chmurę dymu.
- Bo nie wyglądasz na kablociąga.
- Kablociąga?
- Tak na nich mówią. Siódma kompania w SI. Zbyt wielu noblistów to tam nie ma. Zakładam, że masz się zgłosić do AUS. Jesteś tłumaczem czy podoficerem sztabowym?
- Podoficerem - odparł Rickard, przełykając ślinę.
- Jateż. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Tomas Winckler.
- Rickard Berglund.

- Byczo. Mam nadzieję, że dadzą nas razem. W towarzystwie ludzi wykształconych czuję się najlepiej.
Wskazał książkę. Rickard poczuł, że się czerwieni.
- Słuchaj... to znaczy, ty też się masz dzisiaj stawić?
Tomas Winkcler skinął głową.
- Jasna sprawa. Jak chcesz, możemy tam pójść razem. Chyba że masz inne plany.
Rickard pokiwał i pokręcił głową jednym niezdecydowanym ruchem. Przyszła kelnerka i postawiła przed Tomasem Wincklerem cynamonowe ciasteczko i filiżankę kawy. Ten zdusił papierosa i roześmiał się.
- Zobaczyłem cię przez okno, kiedy składałem zamówienie - wyjaśnił. - Książkę i papier też. A ponieważ w wojsku ni cholery nie czytają duńskich filozofów, pomyślałem, że może zostaniemy kumplami z woja. Skąd jesteś? W każdym razie nie z Uppsali, prawda?
- Nie.
Jak zwykle trudno było się przyznać do spędzenia całego życia w Hova, jednak pomyślał, że to nie jest moment na mówienie łatwych do zweryfikowania kłamstw.
- Z Hova. Jeśli wiesz, gdzie to jest. I z Mariestad. W Mariestad chodziłem do ogólniaka.
Tomas Winckler kiwnął głową.
- Powinienem był zgadnąć coś koło tego, biorąc pod uwagę dialekt. A w którym zakątku naszego pięknego kraju umieściłbyś mnie?
Rickard zastanowił się.
- Gdzieś na północy?
- Zgadza się.
- Ale nie przesadnie wysoko?
- Zależy, jak spojrzeć.
- Sundsvall?
Tomas Winckler huknął filiżanką.
- Jasna cholera. Teraz to jestem pod wrażeniem. Człowiek

tutaj próbuje mówić wykwintną szwedczyzną, a ty go przybijasz gwoździem w idealnym miejscu. Jasna cholera.
- Zwykły fart - zapewnił. - Byłeś już kiedyś w Uppsali?
- Kilka razy. Mam tu rodzinę. A ty?
- Nie - przyznał Rickard. - Właściwie to dzisiaj moja noga postała tu po raz pierwszy. Ale pewnie zostanę i będę się uczył... potem. To dobre miasto, prawda?
- Cudowne - potwierdził Tomas Winckler, odgarniając grzywkę z twarzy - Przynajmniej dopóki ma się poniżej trzydziestki. A ma się. Czego zamierzasz się uczyć?
- Jeszcze się nie zdecydowałem.
- Serio? Ja też nie. Ale oczywiście zostanę tu kilka lat. Mój Boże, pomyślał nagle Rickard. Rozmawiam teraz
z kimś, kogo będę znał przez resztę swojego życia. Ja, który rok po maturze właściwie nie mówię kolegom ze szkoły cześć.
Tomas Winckier chwycił książkę i zaczął studiować tekst z tyłu okładki.
- Czytałem tylko we fragmentach - oznajmił. - Ale bystry jest ten Duńczyk. Cholernie bystry.
- Dopiero zacząłem - przyznał się Rickard. - A ty co teraz czytasz?
Tomas Winckier zignorował pytanie. Odchylił się na krześle i zapalił zgniecionego papierosa.
- Gdybyś miał opisać się jednym zdaniem - powiedział
- jakie by ono było?
- Jedno zdanie?
-Tak.
Rickard Berglund zastanowił się chwilę. W końcu odpowiedział:
- Jestem młodym człowiekiem, który nie znosi wtorków.
Tomas Winckier przyglądał mu się zdumiony. Po czym
obaj wybuchnęli śmiechem.

2

Sukinsyn, pomyślał Elis Bengtsson.

Złożył dłonie w lejek, przytknął do ust i krzyknął z całych sil.

- Luter!

Powtórzył czynność. Po razie na każdą stronę świata. Następnie usiadł na pieńku i czekał. Nie ma sensu się błąkać i szukać bydlęcia. Niech bydlę samo poszuka.

Nauczył się tego z czasem. Kundle mają lepszy węch niż ludzie i jeśli tylko chcą, zawsze znajdą drogę do domu.

Luter był jego dziewiątym psem, ni mniej, ni więcej, a wszystkim nadawał imiona po słynnych osobach: Galileusz, Napoleon, Madame Curie, Stalin, Wolter, Doktor Crippen, Nabuchodonozor i Putte Kock.

No i Luter. Czterolatek, pół wyżeł, pół ogar i zazwyczaj bardzo inteligentne zwierzę. Teraz jednak najwyraźniej złapał trop, mimo że Elis Bengtson nigdy nie wykorzystywał go do polowań. Czasem nawet najlepszy trening i wychowanie nie pomogą, tak już jest.

Zniknął na mokradłach Alkärret, a teraz, pół godziny później, na wzgórzu Gåsa, gdzie zwykle robili sobie przerwę na jakiś smakołyk, nadal go nie było.

Elis Bengtsson spojrzał na zegarek. Za pięć druga. Obiecał Marcie, że będzie w domu przed wpół do trzeciej, by ją zawieźć do przychodni.

Co za okropna baba, pomyślał. Dlaczego sama nie weźmie auta?

Choć po namyśle doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie, jeśli nie siądzie za kółkiem. Prawo jazdy miała od 1955 roku, ale żadnego pojazdu mechanicznego nie prowadziła od 1969, kiedy to, cofając, wjechała w kosz na śmieci na Norra Torg w Kymlinge. Elis do ostatniej sekundy znajdował się między koszem a tylnym zderzakiem, paskudna historia.

Sam miał za sobą pięćdziesiąt siedem lat bez jednej stłuczki

i, jeśli tylko zdrowie pozwoli, zamierzał prowadzić samochód do swoich ostatnich dni.
Nie było zresztą powodu, by obawiać się o zdrowie, to Märta była chorowita, nie on. Osteoporoza, dusznica bolesna, nagle zawroty głowy i Bóg wie co jeszcze. Zdążył zapomnieć, jaki jest powód dzisiejszej wizyty. Jeżeli w ogóle to wiedział.
Westchnął, z wysiłkiem wstał z pieńka i zadumał się. Podszedł jeszcze kawałek w górę zbocza i krzyknął znowu.
- Luter!
Znów na wszystkie strony świata, taki był plan, zdążył jednak krzyknąć tylko dwa razy, kiedy nagle od strony wąwozu Gåsa dobiegło go szczekanie.
Krzyknął jeszcze raz w tę samą stronę i znowu usłyszał odpowiedź.
Wąwóz, pomyślał. Co, u diabła?
Kiedy później o tym rozmawiał - z Martą, z jednonogim, zaciekawionym sąsiadem Ollem Mårdbäckiem oraz z policją - podkreślał, że miał przeczucie.
Ze już wówczas, kiedy po raz pierwszy usłyszał szczekanie Lutra, zrozumiał, co czeka w wąwozie.
Wąwóz Gåsa. Nie był pewien, czy się tak rzeczywiście nazywa, ale usłyszał tę nazwę zeszłym razem. Wzgórze Gåsa i urwisko Gåsa to były przyjęte nazwy. Ale wąwóz Gåsa? Nie wiedział.
Zeszłym razem. Ile lat temu to było? W 1975.
Czyli trzydzieści pięć lat. Wiek męski, jak to się mówi.
Najprawdopodobniej jednak nie miał żadnego przeczucia. Szczerze mówiąc. Dopiero kiedy stał tam, na skraju zbocza, i patrzył w dół na Lutra i leżące obok ciało - oboje znajdowali się dobrych dwadzieścia pięć metrów pod nim - wróciło wspomnienie z przeszłości.
A kiedy to się stało, pociemniało mu w oczach. Chyba śnię, pomyślał Elis Bengtsson. To niemożliwe, żeby to samo wydarzyło się dwa razy.

Chwilowy zawrót głowy minął i akurat dobrze się składało, że na samym skraju zbocza rosła brzoza, gdyby bowiem Elis Bengtsson się jej nie złapał, mógłby zakończyć swój żywot w wąwozie Gåsa. On również.
- Co mówisz?
-Mówię, że powinnaś zadzwonić na policję. W wąwozie Gåsa leży trup.
- Jeszcze jeden? - powiedziała Märta.
- Jeszcze jeden - odparł Elis. - Choć od ostatniego razu minęło trzydzieści pięć lat.
- Boże kochany.
- Zadzwoń na policję i powiedz, żeby tu przyjechali. I niech się pośpieszą. Ja tu zostanę z Lutrem i popilnuję. A przychodnię dzisiaj chromol.
- Ale Elis, przychodnia jest jutro. Dzisiaj niedziela.
- Niedziela, naprawdę?
-Tak.
- W dupie mam, jaki to dzień. Choć raz zrób teraz to, o co proszę, i zadzwoń na policję!
- Dobrze, dobrze - powiedziała Märta. - Ale powiedz mi jedno, skoro tak ci się spieszy, dlaczego nie zadzwoniłeś od razu na policję?
- Bo mam tylko komórkę - odwarknął wściekle Elis. - Nie rozmawia się z policją przez komórkę.
- Rozumiem - powiedziała Märta, a on się rozłączył.
Baby, pomyślał.
- Zamknij mordę, Luter! - krzyknął. - Już schodzę.
I z jakiegoś powodu pies zamilkł.

3

Kiedy Gunilla Rysth pokonała pierwszych dwadzieścia kilometrów na trasie E18 między Karlstad a Örebro, zjechała na parking i przez długą chwilę siedziała w bezruchu za kierownicą. To było konieczne.

Gdyby jechała dalej, mogłoby się to źle skończyć. Nie da się jednocześnie prowadzić i szlochać.
O ile się nie chce zginąć w wypadku. Ona nie chciała. Mimo wszystko.
Nie sposób jednak zaprzeczyć, że zanim znalazła to miejsce parkingowe - mały kawałek przed Kristinehamn - bawiła się tą myślą.
Tylko bawiła, w ramach swego rodzaju ucieczki przed wyrzutami sumienia i potwornym poczuciem winy po zmiażdżeniu drugiego człowieka.
Lennart został bowiem zmiażdżony, nie dało się tego inaczej określić. Przez ostatnie pięć minut ich rozmowy nie odezwał się ani słowem, patrzył tylko na nią wzrokiem konającego zwierzęcia. Zwierzęcia, które właśnie postrzeliła i które teraz, wykrwawiając się, patrzy na swojego oprawcę z niemym pytaniem: ***Dlaczego?***
Czy nie tak wyglądał? - myślała. Tak, właśnie tak.
Dlaczego? Co ja ci złego zrobiłem?
Przecież cię kocham. Przecież się nawzajem kochamy. To przecież my mieliśmy żyć razem.
Cztery lata z hakiem. Byli ze sobą niemal równe pięćdziesiąt miesięcy; przez pierwszych dwadzieścia, a może trzydzieści, za każdym razem dawał jej na pamiątkę różę. Zaczęło się w drugiej klasie szkoły średniej, wspólnie spędzili jedną piątą życia.
Był pierwszym, którego pocałowała, i pierwszym, z którym poszła do łóżka.
Co nie znaczy, że jedynym. Ona zaś była pierwszą i jedyną, którą całował i kochał. Co do tego nie ma wątpliwości. Najmniejszych.
On się zabije.
Ta jedna myśl tętniła jej w głowie, kiedy płakała. On sobie nie poradzi.
Wybierze śmierć.

Stała na parkingu niedaleko Kristinehamn i płakała, płakała.
Trzy miesiące odkładała tę decyzję.
Aż od Wielkanocy. To wtedy poznała Tomasa na tym nieszczęsnym obozie dla chórzystów w Östersund. Niczego nie przeczuwając, pojechała tam z Kristiną, przyjaciółką z dzieciństwa. Już drugiego dnia wieczorem Tomas ją pocałował i powiedział, że nie mają wyboru. Są dla siebie stworzeni, to nie podlega dyskusji, nigdy w życiu nie był niczego tak pewny
To było jak z kiepskiego opowiadania. Gdyby zamiast w życiu trafiła na taką historię w „Hennes" albo „Bildjournalen", zaśmiałaby się pod nosem i przeglądała pismo dalej, nie przeczytawszy ani linijki więcej.
Kolejnej nocy włamali się do domku letniskowego i kochali się cztery godziny.
Co się ze mną dzieje, myślała wtedy.
Co się dzieje, do ciężkiej cholery.
To też jak z pisma dla kobiet. Myślę jak głupia gęś, stwierdziła. Zakochana kretynka. Przez pierwsze dni po powrocie do domu miała nadzieję, że po prostu trafił jej się czarujący drań. Że nie zadzwoni i że będzie mogła pogrzebać to, co się stało, głęboko w sercu i wrócić do Lennarta. Do Lennar- ta i do bezpieczeństwa. Pizzy i piwa w piątkowe wieczory u Bociana z całą ekipą. Za trzy lata własny szeregowiec przy Sommarvägen i dzieciaki.
Minęło jednak tylko kilka dni. Wieczorem trzeciego dnia zadzwonił, tak jak zapowiedział. Leżała w łóżku w swoim obskurnym wynajmowanym pokoju i rozmawiała z nim pół nocy, a akompaniował jej romantyczny, szepczący deszcz, który przez cały ten czas uderzał o szyby i parapet; kiedy zaś o brzasku odłożyła słuchawkę, już wiedziała. Zegnaj, Lennarcie Martinssonie, pomyślała. Dzięki za cztery lata.
Przeciągała to aż do dzisiaj. Jak tchórzliwym można być?

Jak okrutnym? Jak bardzo można skrzywdzić innego człowieka?
Zjechała z parkingu po dwudziestu minutach. Mimo wszystko łzy się kiedyś wyczerpują, ale po płaczu nie poczuła się ani odrobinę lepiej.
Gdyż nie chodziło tylko o Lennarta. Chodziło o życie i dotyczyło w zasadzie każdego. Jej rodziców: taty zbrojmistrza i mamy urzędniczki. Jej siostry. Rodziny Lennarta: teścia majora i teściowej nauczycielki prac ręcznych. Z Lennartem byli w końcu zaręczeni i wszyscy spodziewali się, że niedługo wezmą ślub. Będą mieli ten wspomniany dom i dzieci, i Bóg wie, co jeszcze; naprawdę dorosną. Martin, Kristina, Sigge i Naomi, każdy, kogo znali, nastawiał się na taki rozwój wypadków. Lennart Martinsson i Gunilla Rysth to był... jak to się mówi? Fundament?
Co oni powiedzą? Dlaczego wcześniej nic z siebie nie wydusiła? Po co było czekać do ostatniej chwili, tuż przed wyjazdem do Uppsali, gdzie miała odwiedzić Birgittę? Wyjeżdżać tak po prostu, nie próbując nawet niczego wyjaśnić.
Czy jest ktoś inny?
Nie, zaprzeczyła. Jasne, że nie ma nikogo. Co on sobie myśli? Po prostu już się wypaliło, nikt inny nie jest w to zamieszany. Gunilla musi pójść za głosem serca.
Tylko Biigitta wiedziała. Słyszała o obozie i znała Tomasa. Stwierdziła, że gówno z pewnością obryzga i ją, skoro wpadło w wentylator, ale się tym nie przejmuje. Studiowała już rok w Uppsali i miała szersze horyzonty. I kiedy dzwonili do niej ludzie z rodzinnych stron, mówiła, że owszem, Gunilla mieszka u niej w pokoju, w akademiku na Rackarberget, śpi na materacu. Tak, właśnie się dowiedziała, że z Lennartem to koniec. Im obu jest przykro z tego powodu. Ale takie jest życie, nad uczuciami nie da się zapanować, czas leczy rany... bla, bla, bla.
Zauważyła, że myśląc o Birgitcie, czuje się trochę lepiej; z

pewnym zdziwieniem odnotowała również, że im dalej jest od Karlstad, im mniejsza odległość dzieli ją od Uppsali, tym życie jest prostsze. Między Örebro a Arboga włączyła nawet radio, ale po pewnym czasie zawstydziła ją nagle własna beztroska i znów zaczęła płakać.

Swimming, perhaps drowning, in a sea of emotions, te słowa, na które gdzieś się natknęła, stanowiły całkiem niezły opis jej samopoczucia. Nie zamierzała jednak utonąć. Za nic w tym kurewskim świecie, stwierdziła, ze złością wydmuchując nos w jedną z ostatnich chusteczek w paczce. Przecież miała zacząć żyć, a nie przestać.

Jedno było pewne jak amen w pacierzu. Minie trochę czasu, zanim zdecyduje się na podróż w przeciwną stronę. Miesiące, pewnie lata. Zbrojmistrz, urzędniczka i siostra mogą sobie mówić, co chcą.

Przynajmniej mam swojego Sigurda, pomyślała, kiedy zatrzymała się w Hummelsta, żeby zebrać myśli. Bo tak się nazywał samochód, który ubiegłego lata kupiła od kuzyna Lennarta. Czerwony, trochę obity i z ponad stoma tysiącami na liczniku. Ale za to niezawodny jak szwajcarski zegarek, odpukać.

W pokoju Birgitty Enander czekał na nią co prawda materac, ale tylko przez kilka dni. Od wtorku 1 lipca czekało coś zupełnie innego. Próbowała o tym nie myśleć, ale nie było łatwo: dwupokojowe mieszkanie przy Sibyllegatan w Luthagen. Dzielnicę i ulicę znalazła na mapie w swojej bibliotece w Karlstad, ale nie dało jej to zbyt dobrego wyobrażenia o okolicy. Ma się rozumieć, że nie.

Mieszkanie należało do ciotki Tomasa, ale było swego rodzaju dobrem rodzinnym. Gdy tylko się okazało, że Tomas będzie odbywał służbę wojskową w Uppsali, było oczywiste, że będzie mógł je wynajmować. Bo przecież później zostanie w mieście na studia. Jeżeli chodzi o ciotkę, mieszkała przez cały rok w Hiszpanii, mieszkanie przy Sibylle-

gatan było tylko na wypadek, gdyby jej trzecie małżeństwo też się rozpadło.
Przynajmniej Tomas tak uważał. Gunilla widziała mieszkanie na zdjęciach, przysłał ich jej pół tuzina i za każdym razem, kiedy na nie patrzyła albo tylko o nich myślała, czuła przyjemne mrowienie. Raz tak się podnieciła, że musiała pójść pod prysznic i się zaspokoić. Będzie tam mieszkała z Tomasem! Mieli w sumie trzy spotkania (po Östersund spotkali się jeszcze w wynajętym pokoju w Sundsvall i w motelu pod Västerås, w połowie drogi), a teraz ze sobą zamieszkają. Z Lennartem w ciągu tych czterech lat nie mieszkali razem.
Gdybym powiedziała o tym mamie, zemdlałaby, pomyślała Gunilla. Co by powiedział i zrobił tata zbrojmistrz, nie chciała sobie nawet wyobrażać i wiedziała, że właśnie to jest jej najlepszym usprawiedliwieniem. Komukolwiek wyznałaby prawdę czy poprosiła o radę, każdy powie jej, że zwariowała. Jej siostra. Koleżanki. Wszyscy.
A więc nie do pomyślenia. Milczenie jest złotem. Zerwać to jedno. Zerwać i zamieszkać z innym - to rzecz nie do pomyślenia. Potępiliby ją.
Potępią ją.
Wszyscy oprócz Birgitty. Nie twierdzę, że robisz dobrze, powiedziała. Ale jestem pewna, że sama zrobiłabym tak samo. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie.
Po czym ryknęła śmiechem w swój charakterystyczny sposób.
Świetnie, pomyślała Gunilla Rysth. To naprawdę świetnie, że Birgitta też mieszka w Uppsali.
Klucz byl w foliowej torbie pod siodełkiem roweru, tak jak uzgodniły. Birgitta całe lato pracowała w restauracji za miastem i wróci dopiero po dziewiątej.
Teraz było wpół do trzeciej. Gunilla wniosła swoje ciężkie torby po schodach i otworzyła drzwi. Pięć pokoi i wspólna

kuchnia, mówiła Birgitta, ale latem mieszkam tu tylko ja i Jukka.
Być może Jukka też chodził do pracy. W każdym razie nie było go w domu i Gunilla mogła się spokojnie rozejrzeć. Zarówno po pokoju Birgitty, jak i po wspólnych pomieszczeniach. Kuchnia, ubikacja, łazienka. Wszędzie panował bałagan, choć trójki z pięciu lokatorów nie było, ona zaś pomyślała, że Birgitta ma naprawdę dobrze jako studentka, skoro udało jej się wprowadzić do własnego mieszkania ze swoim księciem z bajki, jeszcze zanim rozpoczął się pierwszy semestr. Pamiętała, że przyjaciółka przez pierwsze miesiące mieszkała w wynajmowanym pokoju i kiedy dostała własny na Rackarberget, skakała ze szczęścia.
Książę z bajki? Skąd się wzięło to określenie? Miało ironiczny podtekst, który jej się nie podobał. Książę z bajki jest w głębi duszy bezwarunkowo fałszywy, a Tomas Winckler taki nie jest.
Trudno byłoby jej wytłumaczyć drugiej osobie, dlaczego jest tego tak absolutnie pewna, ale też nie zamierzała tego robić. W końcu milczenie jest złotem.
Mogłabym za niego wyjść, pomyślała. Z miejsca, gdyby tylko poprosił.
Rany boskie, pomyślała po chwili. Uspokój się, idiotko, i nie zapomnij o pigułkach. Masz dwadzieścia lat, nie powinnaś przypadkiem najpierw zatroszczyć się o wykształcenie?
Otworzyła lodówkę i doszła do wniosku, że przydałoby się zrobić zakupy. Jedna półka i jedna kieszeń w drzwiach oznaczone były karteczką „Gitta", ale całą zawartość lodówki stanowił litr mleka, tubka pasty kawiorowej i trzy cebule. Birgitta mówiła, że śniadanie, obiad i kolację jada w restauracji, gdyby jednak Gunilla miała ochotę na żarcie, może iść po zakupy i napełnić lodówkę. O to, co będzie jadł Jukka, żadna z nich nie musi się martwić.
W spiżarce na półce z napisem „Gitta" stało pudełko płat-

ków kukurydzianych, torba sucharków i butelka keczupu. No dobra, pomyślała Gunilla, zostaję tu tylko trzy dni. W sobotę będę miała swoją kuchnię, nie będzie tak wyglądała.
Spojrzała na zegarek. Do spotkania z Tomasem na moście Nybron zostały jeszcze trzy godziny. W środku wszystko jej ćwierkało, ale wytrwała w postanowieniu, by pójść po zakupy, zamiast wchodzić pod prysznic.
Było dziesięć minut przed czasem. Martwiła się, że nie znajdzie tego miejsca, ale było tak, jak mówił. Nybron rzeczywiście znajdował się w samym środku miasta.
Wieczór był ciepły, ale mimo to ulice pozostały puste. Opowiadał, że tu tak jest. Przed końcem sierpnia, kiedy to wracali studenci, Uppsala była po prostu małym szwedzkim miasteczkiem, pogrążonym w letnim półśnie. Niewątpliwie pięknym i pełnym zieleni, przynajmniej po zachodniej stronie rzeki, ale większość mieszkańców znajdowała się gdzie indziej.
Nie miała nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, móc powoli wrastać w miasto, przez dwa miesiące poznawać wszystko, co nowe, zanim zacznie studia w instytucie anglistyki, gdziekolwiek on się mieści - czego mogła chcieć więcej?
No, może tego, żeby Tomas też miał tyle wolnego czasu co ona, ale nie można mieć wszystkiego. Pełnił służbę w jakimś Polacksbacken i potrwa ona aż do przyszłej jesieni, ale większość wieczorów miał wolnych. Soboty i niedziele też, a w połowie lipca - już za czternaście dni - dostanie tygodniową przepustkę.
Oparła się łokciami o kamienną poręcz mostu, wychyliła i patrzyła na płynącą wartkim strumieniem mętną wodę. Moje życie, pomyślała, nie może być lepsze, niż jest w tej chwili.
Jak to możliwe, że taka myśl pojawiła się w jej głowie zaledwie pół dnia po tym, jak na värmlandzkim parkingu

wylewała morze łez nad swoją nikczemnością, wolała się bliżej nie zastanawiać.
W każdym razie nie teraz, ponieważ nagle dostrzegła, jak raźnym krokiem zmierza w jej stronę pod wielkimi drzewami po zachodniej stronie rzeki.
W jednej ręce trzymał bukiet kwiatów, w drugiej butelkę wina, a pół godziny później leżeli osłonięci krzakami na kocu, który rozłożyli na zboczu poniżej zamku. Śmiała się głośno, kiedy opowiadał, jak zwędził go z wojskowego magazynu i rozłożył po drodze. Miał nadzieję, że nie będzie dla niej zbyt szorstki.

4

Odległość między willą a mieszkaniem wynosiła równe tysiąc sto metrów, ale tylko w linii prostej.
Eva Backman tak nie szła. Wybrała okrężną drogę wiodącą na dobrą sprawę przez całe miasto: Oktoberparken, później przez Rocksta i park Stadsskogen, wzdłuż budynku straży pożarnej, naokoło cmentarza, stadionu i szkoły Hessle, i kiedy weszła do środka, stwierdziła, że zajęło jej to półtorej godziny.
Już wcześniej doszła do wniosku, że tego jej trzeba. Willa w Haga, w której czternaście lat mieszkała z Villem i ich trzema chłopakami, a mieszkanie na najwyższym piętrze nowo wybudowanego domu w Pampas to dwa różne światy. Tysiąc sto metrów, piętnaście minut spacerem, to zdecydowanie za krótko. Potrzebowała swoistego przedsionka i dlatego w niedziele chodziła dłuższą drogą naokoło.
Choć tylko co drugi tydzień. I tylko w tę stronę. W te niedziele, kiedy pokonywała przeciwną drogę - od życia singielki do życia matki trójki dzieci - żaden przedsionek nie był potrzebny. Można się zastanawiać dlaczego.
Zastanawiała się też, czy wszystko jest zorganizowane tak świetnie, jak jej się z początku wydawało. Od rozwodu minęły dwa lata, a półtora roku odkąd wprowadziła się na

Grimsgatan. Cała piątka zainteresowanych uważała, że rozwiązanie jest świetne, zwłaszcza chłopcy, którzy nie musieli się przenosić ani doświadczać żadnych większych zmian. Co drugi tydzień byli z tatą, co drugi - z mamą. W niedzielę zmiana; nie ma to jak urozmaicenie.
Wszystko jednak do czasu. Eva Backman tak się zwykle pocieszała. Jörgen w styczniu skończy dwadzieścia lat, za dwa-trzy lata on i Kalle się wyprowadzą, będzie można sprzedać willę i dojść trochę do ładu z finansami.
Pięć lat oczekiwania, pomyślała i stwierdziła, że lodówka jest tak samo pusta jak tydzień temu, gdy stąd odjeżdżała. Czy tak ma wyglądać życie tuż przed klimakterium?
Miała czterdzieści sześć lat. Jaka mogła być alternatywa? Znaleźć sobie nowego faceta? No dobrze, ale jak? Jak, do jasnej cholery, się to robi?
Wrócić do Villego?
Nigdy w życiu, pomyślała. Wzięła filiżankę kawy, wyszła i siadła na balkonie. Wiedziała, że zgodziłby się, gdyby choć nadmieniła, że jest taka możliwość. To było najgorsze. Chciał znów z nią być, nie mówił już tego wprost przy każdym spotkaniu, ale było to po nim widać. Tę niemą prośbę wyczuwała nawet wtedy, kiedy rozmawiali przez telefon; coraz trudniej jej było to wytrzymać. Weź się w garść, chciało jej się powiedzieć. Zrób coś - poznaj jakąś kobietę, chociażby w klubie sportowym z pewnością wzdychają za tobą całe tabuny. Ale między nami ***koniec,finitol***
Co jak co, ale nie wpadnie drugi raz w te same koleiny. Dlaczego jednak siedziała w popołudniowym słońcu na własnym balkonie i myślała o byłym mężu, pozostawało osobną kwestią. Czy dziewięćdziesięciominutowy przedsionek już nie wystarczał?
Niech to szlag, pomyślała Eva Backman. Życie jest do dupy.
Płacąc rachunki przez internet, wróciła myślami do wczorajszego wieczoru. Był weselszy, o wiele weselszy. Zjadła

kolację u Barbarottiego i Marianne w Villa Pickford. Nie po raz pierwszy bynajmniej, ale pierwszy raz było ich przy stole dziesięcioro.
Troje dorosłych i siedmioro nastolatków. Marianne powiedziała, że to musi być ewenement na skalę światową, i pewnie miała rację. Troje typowych ludzi z pokolenia lat sześćdziesiątych, którzy mają siódemkę dzieci z trójką innych tu nieobecnych, zauważyła, a Barbarotti wzniósł toast.
Za młodzież tego kraju, jego przyszłość!
Utrzymywał, że taki tekst umieszczano za jego czasów na medalach zdobywanych w szkolnych zawodach sportowych. Nikt mu nie uwierzył. Wstał od stołu i zaczął przeszukiwać masę szuflad i kartonów po butach, żeby to udowodnić, ale wrócił z pustymi rękoma. Twierdził, że jego zbiór medali przywłaszczyła sobie pierwsza żona i przetopiła z niskiej chęci zysku. Gwoli szczerości należy dodać, że zarobiła na tym niezły pieniądz. Proste głosowanie przy stole wykazało, że przegrał test na wiarygodność 9:1.
Po raz pierwszy wiozła Jörgena, Kallego i Viktora na spotkanie z dziećmi Gunnara i dziećmi Marianne, kiedy więc wsiadali do samochodu, by pojechać na przylądek Kymlinge, miała tremę.
- Denerwujesz się, mamusiu - powiedział Kalle. - Nie musisz, potrafimy się pilnować, jeśli sytuacja tego wymaga.
Miał rację. Nie dlatego, że trzeba się było mocno pilnować. Przy wielkim stole były chwile, że płakała ze śmiechu. Dlaczego życie tak rzadko wygląda w ten sposób? Grupa ludzi przy stole. Dzieci i rodzice. Rozmowy i śmiech. Dlaczego to tak cholernie trudne? Dlaczego w tym kraju zapomnieliśmy o pradawnej społecznej roli posiłków?
A może właśnie ta sporadyczność - fakt, że takie okazje nie zdarzały się zbyt często - była warunkiem? Czy gdyby tak było codziennie, nie stałoby się to nudne?
Przerwała te myśli. Kliknęła polecenie zapłaty i spojrzała na

zegarek.
Wpół do szóstej. Czas wyjść i kupić coś na śniadanie. Jutro poniedziałek.
Stała przy ladzie z serami, kiedy zadzwonił Barbarotti.
- Dzięki za wczoraj - powiedziała. - Wszyscy w naszej ekipie uznaliśmy, że było super.
- My też - odparł Gunnar Barbarotti. - Moglibyśmy to powtórzyć.
- I dlatego dzwonisz? - spytała Backman. - Żeby zaprosić na jutrzejsze śniadanie? Skoro tak, to nie kupuję nic więcej. Jestem w ICA Stubinen i robię zaopatrzenie.
- Nie, nie chodzi o zaproszenie na śniadanie. Choć jeśli bardzo chcesz, to jesteś oczywiście mile widziana. Jestem w Rönninge. To znaczy w lesie.
- W lesie?
- Tak. Coś się stało. Dzwonił do mnie Asunander. Chce, żebyśmy się temu razem przyjrzeli. To znaczy ty i ja.
- A co się stało? - spytała Backman.
- Mamy przypadek.
- Przypadek?
- Tak. Śmierci przez upadek.
- Co ty bredzisz?
- Znaleziono zwłoki na dnie urwiska - wyjaśnił Barbarotti. - Upadek z jakichś dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów. Wiele wskazuje oczywiście na to, że to był wypadek, ale są okoliczności.
- Jakie okoliczności? - spytała Backman.
- Właściwie jedna. Chwileczkę.
Odszedł na kilka sekund. Słyszała, jak z kimś rozmawia. Wrócił do telefonu.
- Przepraszam. Tak, tylko jedna dziwna okoliczność, jeśli mamy być dokładni. Trzydzieści pięć lat temu w tym samym miejscu też znaleziono ciało.
- Trzydzieści pięć lat?

- Tak. 28 września 1975.
Eva Backman wzięła od sprzedawczyni pół kilo gruyé- re'a i zamyśliła się.
- Wypadek? - zapytała. - Teraz, mam na myśli.- Tak to w końcu zakwalifikowaliśmy. Ale chwilę to zajęło.
- Jesteś dobrze zorientowany.
- Miałem na to trzy godziny - przyznał Barbarotti. - **I** według mnie coś tu śmierdzi.
- Śmierdzi?
-Tak.
- Zwłoki mają jakieś nazwisko? Chodzi mi o te dzisiejsze.
- Jeszcze nie - powiedział Barbarotti. - Nie miał żadnych dokumentów.
-On?
- Mężczyzna koło sześćdziesiątki.
Eva Backman ruszyła w stronę działu z nabiałem, pogrążona w myślach.
- Coś jeszcze tu śmierdzi? - zapytała. - Poza tym, że on leży w tym samym miejscu?
- Mam to uczucie - powiedział Barbarotti.
- Aaa, no jasne.
- Wiem, że nie masz mojego znakomitego węchu. Nie można tego wymagać.
- Nie pierdziel - powiedziała Eva Backman.
- Okej - odparł Barbarotti. - Tak zadzwoniłem, żeby pogadać. Jestem tu z Wennergrenem-Olofssonem.
- Aha. Rozumiem. Czyli to tym mamy się zająć jutro rano?
- Zgadza się.
- Przypadkiem upadku?
- Załapałaś. Dobra, już nie przeszkadzam. Ale polubiliśmy twoje dzieciaki. Do jutra.
- A my twoje - odparła Backman. - Młodzież tego kraju, jego przyszłość, dzięki za briefing.
- Nie ma za co - powiedział Barbarotti i odłożył słuchawkę.

5

Jestem Maria, wróbel.
Jestem młodszą siostrą Super-Tomasa i ludzie myślą, że jestem szalona.
Nie przeszkadza mi, że tak myślą. Przeciwnie. Według mnie to wspaniale, że żywią takie przekonanie. Wiem, że to nie o szaleństwo tutaj chodzi. Chodzi o zło.
A jeśli nie o zło, to przynajmniej o egoizm. Ja myślę o sobie. Inni niech też myślą o sobie.
Nie jestem też żadnym Hamletem, co to, to nie. Ludzie nie rozumieją, że w dzisiejszych czasach można być złym. Szczególnie jeśli jest się kobietą, dziewiętnastoletnią i uroczą. Żeby nie powiedzieć piękną.
I mądrą. Dziwi ich, że jestem taka mądra, oceny na maturze mam tak samo dobre jak te, z którymi Super-Tomas kończył szkołę dwa lata przede mną. Jeśli można porównywać, bo on miał litery, a ja mam cyfry. Tak czy inaczej, nauczyciele byli zdziwieni, i moi rodzice też. Ja nie byłam zdziwiona, znam swoją wartość.
Kiedy miałam osiem lat, też byłam urocza. To wtedy spadłam z huśtawki na głowę i nastąpiła u mnie zmiana osobowości. Nie potrafię nawiązywać relacji jak inni ludzie. Tak przynajmniej uważa mój psychiatra. Nazywa się Douglas Dienesen, cały czas chodzę do tego samego. Tata i mama mu ufają, ufają mu wszyscy poza mną. Ja wiem, że zaczyna na mnie lecieć i więcej się z nim nie spotkam.
Bo teraz jadę do Uppsali. Jestem mądra, ale mam zmienioną osobowość. Będę się uczyć francuskiego, oni myśleli, że będę chciała mieszkać z Tomasem u ciotki Becki, już wiosną zeszłego roku zaczęli o tym gadać, ale odmówiłam. Gdy się dorastało w cieniu tego cudownego dziecka, najwyższy czas wyjść na słońce.
Może w końcu stanie na prawie, ale zacznę od francuskiego.

To się wydaje niezbyt obciążające, a ja nie mam sprecyzowanych planów na życie. Będę zajmowała jeden pokój w domu przy Norrtäjegatan. Postawiłam krzyżyk na mapie, to nie więcej niż dziesięć minut od dworca. Jadę jutro, dziś jest mój ostatni wieczór tutaj. Torby mam spakowane, tata chciał mnie zawieźć, ale powiedziałam, że nigdy w życiu. Opuszczam gniazdo i zamierzam to zrobić o własnych skrzydłach. Co oni sobie, kurwa, myślą?

Mama płakała cały wieczór. No, może z przerwami. Mówi, że nie wiedzą, co zrobić z willą. Skoro i mnie, i Tomasa nie będzie. A co, myśleliście, że nigdy nie dorośniemy, czy o co chodzi? Sprzedajcie to gówno, myślę w duchu, a jak nie przestanie ryczeć, to jej to powiem.

Sprzedajcie to gówno i przeprowadźcie się do Hiszpanii jak ciotka Becka. I jak ci cholerni von Friesmanowie, o których cały czas mówicie. Z waszymi pieniędzmi nie ma przecież żadnego powodu, by siedzieć w Sundsvall. W Hiszpanii możecie grać w golfa, leżeć przy basenie i od rana do wieczora popijać słodkie wino.

Mam ich w dupie. To jest właśnie mój problem. Mam w dupie innych ludzi. A zwłaszcza młodych chłopaków. Jeśli kiedykolwiek z jakimś będę, bzykania nie liczę, to tylko z kimś równie pokręconym jak ja. Równie pokręconym i równie mądrym, a wtedy może coś z tego wyjdzie.

Nienawidzę tego frajerskiego optymizmu. Pełne nadziei, optymistyczne pierdolenie. Zycie jest ciemną dupą. Jestem zła.

Mam dziewiętnaście lat, jestem piękna i myślę o sobie, wbijcie to sobie do głów, ludzie. Jutro wieczorem napiszę kilka słów o moim nowym życiu przy Norrtäljegatan w Uppsali. Może.

Jestem Maria, wróbel.

- Kto skojarzył, że coś się wydarzyło w tym samym miejscu trzydzieści pięć lat temu?
- Elis Bengtsson.
- Elis Bengtsson?
- Człowiek, który go znalazł. Zeszłym razem też tam był.
- Co ty mówisz? To ten sam, który...
Zadzwonił telefon Barbarottiego i Eva Backman urwała. Barbarotti odrzucił połączenie.
- Przepraszam. Tak, zeszłym razem był w okolicy. Teraz znalazł ciało. Mieszka niedaleko, był na spacerze z psem... wtedy i teraz.
Backman spojrzała na niego nieufnie.
- Jak prawdopodobnie to brzmi według ciebie? Ze ta sama osoba akurat jest... jak to powiedziałeś?... w okolicy? Dwukrotnie.
- Niezbyt prawdopodobnie - powiedział Barbarotti, spoglądając na zegarek. - Ale zobaczymy się z nim za dziesięć minut, więc może do tego czasu wstrzymajmy się z ocenami.
- I nadal nie znamy tożsamości tego nowego trupa?
Barbarotti potrząsnął głową.
- Niestety nie.
- A ten z 1975 jak się nazywał?
Barbarotti zerknął w papiery.
- Maria Winckier - powiedział. - Dwadzieścia pięć lat. Zatrudniona na zastępstwo w szkole Kymlingevik. Uczyła angielskiego i francuskiego, pracowała tam dopiero miesiąc z hakiem, kiedy to się stało.
- Była stąd?
- Przyjezdna - odparł Barbarotti. - Też stosunkowo od niedawna.- Rozumiem - powiedziała Eva Backman i zaczęła się zastanawiać, co takiego zrozumiała.
- Była z grupą w lesie, najprawdopodobniej zbierali grzyby.

Albo czerwone borówki. Spadła do wąwozu, tam była krawędź uskoku. Upadek co najmniej z dwudziestu metrów. Ludzie nazywają to miejsce wąwozem Gåsa.
- Wąwóz Gåsa?
- Tak. To ponoć dawne miejsce odejścia przodków, no wiesz, takie, z którego starsi ludzie mogą się rzucić, zamiast być ciężarem dla innych...
- To tylko mit - powiedziała Eva Backman. - Nigdy tak nie było.
- Mówisz? No, w każdym razie zdarzyło się dwa razy w ciągu trzydziestu pięciu lat.
- Ale w końcu uznano to za wypadek?
- Tak.
- Mogła skoczyć?
- Tak myślę.
- Mógł ją ktoś zepchnąć?
- Tak myślę.
Eva Backman zastanowiła się.
- Pamiętasz to? Czy wtedy tu nie mieszkałeś?
- Przyjechałem rok później - odparł Barbarotti. - I<Jedy zacząłem liceum. Nigdy o tej sprawie nie słyszałem. Aż do teraz. To co, idziemy porozmawiać z panem Bengtssonem?
- Zdecydowanie - powiedziała Eva Backman.
Pan Bengtsson miał białą koszulę i krawat. Mieli napisane, że skończył siedemdziesiąt siedem lat, ale Eva Backman powiedziałaby, że raczej sześćdziesiąt siedem. Robił wrażenie sprawnego i żywotnego, przypuszczała, że to dzięki spacerom z psem jest w takiej formie. Dobór stroju wynikał pewnie stąd, że wizytę na policji traktował jako delikatne przedsięwzięcie.
Barbarotti włączył magnetofon i załatwił formalności.
- Może podejdźmy do tego chronologicznie - powiedział następnie. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Czy mógłby pan opowiedzieć, co stało się w 1975 roku, na tyle,

na ile pan pamięta?
- Macie to w dokumentach - powiedział Elis Bengtsson.
- Wiem - odparł Gunnar Barbarotti. - Zapoznajemy się z nimi. Ale może nam pan o tym pokrótce opowiedzieć. Ani mnie, ani inspektor Backman tu wtedy nie było.
- To było trzydzieści pięć lat temu.
- Prawie co do dnia - rzekł Barbarotti. - Zginęła młoda kobieta. Jak to się stało, że był pan zamieszany w tę sprawę?
Elis Bengtsson wzruszył ramionami.
- Byłem z psem. Tak wtedy, jak i teraz.
- Proszę mówić dalej.
- Choć wtedy to był inny pies.
- Tak się domyślałem.
- Madame Curie. Ogar.
Ciało młodsze niż głowa, pomyślała Eva Backman.
- Proszę mówić dalej - powiedział Barbarotti.
- Wtedy byłem wcześniej.
Włożył dwa palce pod kołnierzyk, próbując go rozluźnić, być może koszula była nowa i go obcierała. Może do mózgu dopływało zbyt mało tlenu.
- Dokładnie w chwili kiedy to się stało. Tym razem ciało leżało chyba trochę dłużej.
- Skąd pan wie?
- Było widać... że tak powiem. Lekarz chyba też to powiedział. Ten, który tam przyjechał.
- Czy w 1975 to również pan znalazł ciało?
- Nie - odparł Elis Bengtsson. - Kiedy się zjawiłem, stała tam już grupa osób, wszyscy patrzyli na ciało. Ja przyszedłem ostatni. Ale to było tuż po zdarzeniu.
- Ilu ich było?
- Łącznie ze zmarłą siedmioro.
- Siedmioro?
- Tak. Szukali grzybów. I widziałem, że ni cholery nie znaleźli. Nie dziwota, bo w tych okolicach nic nie ma. Trze-

ba iść bardziej w stronę Rödmyren.
- Co się wydarzyło?
- No, zleciała. Dwadzieścia pięć metrów w dół, prosto w czeluść Gåsa. Mała zginęła na miejscu.
Eva Backman odchrząknęła.
- Czy wie pan, dlaczego było prowadzone śledztwo?
Ellis Bengtsson wyciągnął szyję.
- Ponieważ podejrzewano, że ktoś ją zepchnął.
- Dlaczego? - zapytał Barbarotti. - Jakie były powody takich podejrzeń?
Elis Bengtsson zacisnął usta i przez kilka sekund wstrzymywał się z odpowiedzią.
- Pewnie chodziło o to, że krzyczała.
- Krzyczała? - odezwała się Backman.
- Tak jest - powiedział Elis Bengtsson. - Krzyknęła coś, zanim uderzyła o ziemię i umarła. Część tych ludzi to słyszała, ja także. Byłem cholernie daleko, ale wtedy miałem dobre uszy.
- Co krzyknęła? - zapytał Barbarotti. - Czy to nie naturalne, że się krzyczy, spadając z urwiska?
- No i właśnie w tym sęk.
- W czym? - spytała Backman.
- W tym, co krzyknęła - powiedział Elis Bengtsson. - Część ludzi twierdziła, że to była jakaś wiadomość.
- Wiadomość? - powiedział Barbarotti, marszcząc czoło. - Co więc takiego krzyknęła?
- Coś z długim eee. Tyle usłyszałem, byłem sto metrów dalej. Albo i więcej. Ci stojący bliżej słyszeli różne rzeczy.
- Na przykład co? - zapytała Backman.
Elis Bengtsson znów pozwolił sobie na teatralną pauzę.
- Parę osób twierdziło, że krzyknęła: „Smieeerć!". Albo: „Umieeeram!".
- Tak?
- Choć kilkorgu się wydawało, że krzyknęła: „Mordeeer- "

ca! .
- Morderca? - odezwał się Barbarotti.
- Tak, morderca - powiedział Barbarotti i przejechał językiem po wargach. - Ze niby krzyknęła to, by dać do zrozumienia, że została zamordowana. Ostatnia rzecz przed śmiercią.
Barbarotti i Backman wymienili spojrzenia i siedzieli przez chwilę w milczeniu. Elisowi Bengtssonowi udało się rozpiąć górny guzik koszuli.
- Ale nie wykrzyczała nazwiska mordercy? - zapytała Backman.
Elis Bengtsson pokręcił głową.
- Nie, nie wykrzyczała. Byłoby to rozsądniejsze, ale w takiej sytuacji człowiek pewnie nie zachowuje się zbyt rozsądnie.
- Pewnie nie - zgodził się Barbarotti. - Z tego co panu wiadomo, czy było coś jeszcze, co wskazywałoby na to, że ktoś ją zepchnął?
- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Elis Bengtsson. - Możecie poszukać w papierach. Komisarz nazywał się Sandlin, rozmawiałem z nim kilka razy... mieliśmy zresztą psa tej samej rasy. Ogara.
- Przeczytamy każde słowo - zapewnił Barbarotti. - Sandlina niestety nie ma już wśród nas.
- Wiem o tym. Pamiętam, że jego kundel wabił się Birger. Popieprzone imię dla psa. Mój się wabił Madame Curie. Zawsze je nazywam na cześć sławnych osób.
- Ciekawy pomysł - powiedziała Eva Backman. - Przejdźmy zatem do rozmowy o tym, co się stało wczoraj, dobrze?
Opowiedzenie o niedzielnym makabrycznym odkryciu w wąwozie Gåsa zajęło Elisowi Bengtssonowi dziesięć minut.
Jak co dzień był na spacerze z Lutrem. Wyszli z domu
- z Källviks gård w Rönninge - po lunchu i wiadomościach w radiu, mniej więcej pięć po pierwszej. Po dwudziestu minutach Luter zniknął mu z oczu niedaleko linii wysokiego

napięcia, a jakieś pół godziny później, kiedy na kilka minut usiadł na zboczu wzgórza Gåsa, żeby odpocząć, usłyszał jego szczekanie. Pies stał na dnie urwiska i pilnował ciała, ale go nie ruszył. Elis Bengtsson od razu zadzwonił do żony, która skontaktowała się z policją. Zszedł w dół i został na miejscu, dopóki nie zjawiła się policja, w postaci radiowozu z Olsenem i Widerbergiem, a także lekarz i personel medyczny. Znalezienie miejsca zajęło im trochę czasu, ale bez telefonu komórkowego trwałoby to jeszcze dłużej. Po rozmowie z policją i lekarzem, niejakim doktorem Rislundem, Elis Bengtsson opuścił tamto miejsce. Mniej więcej piętnaście po czwartej.

- Czy chciałby pan coś jeszcze teraz dodać? - zapytał Barbarotti po skończeniu przesłuchania. - Na pewno jeszcze do tego wrócimy.

- Tak, jedną rzecz - odparł Elis Bengtsson. - Bo w zasadzie w tym miejscu różne rzeczy działy się więcej niż dwa razy Sto pięćdziesiąt lat temu straciła tu życie matka z dzieckiem. A jeszcze wcześniej było to miejsce odejścia przodków. Czeluść Gåsa jest przeklęta, musicie o tym pamiętać.

- Dziękujemy również i za tę informację - powiedział Barbarotti i wyłączył magnetofon.

- Proszę, inspektor Backman pokaże panu wyjście.

- Nie trzeba - odparł Elis Bengtsson. - Sam znajdę.

7

Rickard Berglund zatrzymał się przy kwiaciarni na Kyrkogårdsgatan i kupił trzy żółte róże.

- Zdenerwowany? - zapytał sprzedawca, kiedy Rickard wziął resztę i dwie jednokoronówki upadły mu na podłogę.

Chłopak podniósł monety i poczerwieniał. Aluzja była oczywista. Sprzedawca założył, że róże są dla dziewczyny. Dlaczego miałby pomyśleć inaczej? Było sobotnie popołudnie, a Rickard był elegancko ubrany, przynajmniej o tyle o

ile; spryskał nawet policzki wodą po goleniu, czego nie robił codziennie.
- Troszeczkę. - Rickard się zaśmiał. Po co wyprowadzać sprzedawcę z błędu. - Nigdy nie wiadomo.
- Pierwsze spotkanie?
- W pewnym sensie.
Skinął głową na pożegnanie i szybkim krokiem wyszedł ze sklepu. „W pewnym sensie?", pomyślał. Co by to niby miało znaczyć?
Spojrzał na zegarek i doszedł do wniosku, że jest przed czasem. Zdecydował, że pochodzi trochę po Engelska parken i po cmentarzu. Umówił się na piątą. Przyjdź koło piątej, powiedział Tomas, chcieliśmy najpierw posiedzieć parę godzin przed domem.
Było dopiero wpół do piątej. Rickard był już z krótszą wizytą na Sibyllegatan i znał drogę, dojście tam nie powinno zająć dłużej niż piętnaście, dwadzieścia minut. Przyjście przed czasem to pierdołowate posunięcie, a nadrzędnym priorytetem Rickarda Berglunda było nie wyjść na pierdołę. Ani dzisiaj, ani żadnego innego dnia.
Ruszył ukosem przez park w stronę gmachu filologii. Pod starymi wiązami i modrzewiami rosła trawa wysoka na pół metra, najwyraźniej w lecie nikt nie zatroszczył się o to, by ją skosić. Zdążył się zorientować, że w Uppsali podczas letnich miesięcy wiele rzeczy stoi w miejscu. Zostały jeszcze dwa tygodnie do czasu, kiedy przyjadą studenci i wezmą miasto we władanie, był 16 sierpnia, ciepła i piękna sobota późnego lata. Otwierając starą, żelazną furtkę na cmentarz, pomyślał, że życie nie może być lepsze, niż jest teraz. Przynajmniej jeśli człowiek zadowoli się tym, co widać.
Ma dwadzieścia lat i jest w drodze na rakową ucztę w gronie dobrych przyjaciół. Trzy róże w dłoni. Czego chcieć więcej?
Nie były jednak czerwone, sprzedawca z pewnością to zauważył. Gdyby chodziło o spotkanie z dziewczyną, nie

wybrałbym chyba żółtych? - myślał Rickard Berglund. Żółte róże nie mają w sobie nic z romantyzmu.
Westchnął. Sprawa dziewczyny powracała co jakiś czas. Bywały dni, że się tym nie przejmował, w inne zaś czuł przygniatający ciężar. Być prawiczkiem w wieku dwudziestu lat to nie jest normalne. Dwa miesiące w szkole podoficerów nauczyły go mnóstwa przeróżnych rzeczy, między innymi tego. Co prawda, zdawał sobie sprawę, że znalazłoby się paru rekrutów w takiej jak on sytuacji, byli jednak w mniejszości, rozpaczliwej, potajemnej i żenującej mniejszości. Na większość kolegów dziewczyny czekały w domu, część poznała nowe w Uppsali - na przykład w domu pielęgniarek po drugiej stronie ulicy Daga Hammarskjólda, było to zmyślne rozwiązanie, wygodne dla każdej ze stron. Jeszcze inni korzystali z jednego i z drugiego. 1 wszyscy nie mogli doczekać się chwili, kiedy do miasta zjedzie dziesięć tysięcy studentek.
Dziewczyny? Kobiety? Dziesięć tysięcy!
Pokusy?
Sweden, the country of free love. Staffan, jeden z kolegów z sali, miesiąc przed wstąpieniem do wojska był w Londynie i twierdził, że stara poczciwa Szwecja tak właśnie jest widziana w Europie. Kraj wolnej miłości? Mój ty Boże, pomyślał Rickard Berglund, który akurat nie oglądał filmów ***Jestem ciekawa w kolorze...*** i ***491.*** Czy ja na pewno żyję w tym samym kraju?
Odpędził od siebie te męczące myśli, przystanął przed małym, prostym grobem i przeczytał wyryty w kamieniu napis.
Henrik Aurelius
Ur. 1851
Zm. 1874
To bylo wszystko.
Dwadzieścia trzy lata, pomyślał Rickard. Młody człowiek,

który zmarł prawie sto lat temu. Był tylko trzy lata starszy ode mnie.
Stał tam, próbując rozszyfrować te szczątkowe informacje. Nazwisko i dwie daty, nic więcej. Kim byłeś, Henriku Aureliusie? Dlaczego się nie zestarzałeś?
I dalej: Jak umarłeś? Zdążyłeś pójść do łóżka z kobietą, zanim twój czas dobiegł końca? Czy miałeś jakiegoś boga?
Czy miałeś jakiegoś boga?
Gdybym wiedział, że za trzy lata umrę, pomyślał Rickard Berglund, czy miałbym odwagę zbliżyć się do jakiejś dziewczyny? Kiedy to i tak nie miałoby większego znaczenia, bo całą odpowiedzialność skosi żniwiarz?
Być może, ale nic w tym pewnego.
A może powinien tę swoją niepewność przekuć w cnotę? Postąpić tak, jak robiono przed laty: najpierw, jak niegdysiejsi duchowni, zdać egzamin na pastora, następnie ożenić się i dopiero przystąpić do rzeczy? Czy nie tego w gruncie rzeczy chciał? Żeby jego przyszła żona była dziewicą, skoro i on jest prawiczkiem? Czy w głębi duszy był tak staroświecki? Czy nie jest to głównie tchórzostwo, cnota z konieczności, haniebny sposób na pozbycie się problemu?
Co, jako chrześcijanin, powinienem zrobić?
Może to, mimo wszystko, zasadne pytanie. Czy w tych wywrotowych, pełnych chaosu i rozedrganych czasach pod koniec lat sześćdziesiątych jest jakaś moralna opcja dla wierzących młodych ludzi? Z ręką na sercu.
Rickard Berglund nie był o tym przekonany. Czytał Camusa i Sartre'a, a to prawdopodobnie nie jest najlepsza literatura, po jaką może sięgnąć przyszły pastor. Choć
Dostojewski też był zaliczany do egzystencjalistów. Egzystencjalista i chrześcijanin.
W głębi duszy zdawał sobie również sprawę, że droga do kobiety nie wiedzie przez książki i myślicieli. Dostojewskiego, Kierkegaarda czy jakiegokolwiek innego. W literaturze

nie znajdzie się pomocy w tych sprawach, ta może zapewnić jedynie odwrócenie uwagi i ucieczkę. ***Słodkie mrowienie,*** jak ktoś gdzieś to sformułował; było to określenie, którego mimo usilnych starań nie mógł od siebie odepchnąć, a kiedy poprosił o radę Boga, również nie otrzymał żadnej wyraźnej wskazówki. Tak jakby to nie była Jego działka. Bo nie jest, pomyślał Rickard Berglund z goryczą, przecież jedyne, czym chrześcijaństwo zajmowało się przez ostatnie dwieście lat, to piętnowanie tego mrowienia.

Co robić? Zalać się w trupa i niech się dzieje, co chce? Kiedy wstyd i nieśmiałość nie będą miały prawa wstępu? Czy nie byłoby to radykalne podejście do problemu?

A jak ty postąpiłeś, Henriku Aureliusie?

Chropowaty, lekko omszały kamień również nie udzielił żadnej odpowiedzi. Jałowe pytania, pomyślał Rickard Berglund. Bezpłodne refleksje. Jestem moralnym tchórzem. Wyszedł z cmentarza i poszedł dalej w stronę Luthagen.

Ostatnia myśl nie opuszczała go jednak. Zalać się w trupa i niech się dzieje co chce. Taka metoda też, rzecz jasna, nie daje żadnej gwarancji. Zalać się i mieć nadzieję, że coś się będzie działo, to pewnie bliższe rzeczywistości. Rickard był jak dotąd pijany dwa razy. Pierwszy raz ponad rok temu, kilka tygodni przed maturą w Mariestad, właśnie tego wieczoru zrozumiał, że w tym osławionym stanie świat jawi się w zupełnie innej postaci. Uwodzicielski i beztroski. Kuszący?

Henrietta, dziewczyna z równoległej klasy w liceum, pocałowała go, a jemu w jakiś sposób udało się ten pocałunek odwzajemnić. Trzymał ją także w ramionach, przycisnął do siebie, nie trwało to dłużej niż minutę, ale pamięć tego zdarzenia, tego, jak bawiły się ich języki, jej ciało przy jego ciele, tak, to przecież właśnie o to chodzi. O ekstazę. Szybsze krążenie krwi.

Drugi raz, kiedy był lekko nietrzeźwy, miał miejsce latem tego roku podczas tygodniowych manewrów w okolicach Marmy. Leżeli w namiocie w lesie, wypił z kolegami pięć albo sześć piw, a w promieniu setek kilometrów nie było żadnej dziewczyny. Żadnej ekstazy ani przyspieszonego krążenia, tylko beztroska i mnóstwo płynu w pęcherzu.
Minął Katedralskolan i zaczął liczyć. Dziesięć tygodni, mieli już za sobą dziesięć tygodni. Trzy na przepustce. Pomyślał, że jeśli o niego chodzi, mógłby zrezygnować z tych wolnych dni. Spędzał je z matką w Hova, leżąc w swoim dawnym pokoju i czytając Freuda i Junga, podczas gdy matka w kuchni na dole robiła mu jedzenie. W jakiś paradoksalny sposób dystans między nimi wydawał się dwa razy większy, gdy przebywali pod jednym dachem. To był obowiązek, nic więcej. W głębi duszy obawiał się, że ona myśli tak samo.
Unikał więc weekendowych wizyt w domu. Nie licząc tygodnia przepustki, był w Hova tylko raz, odkąd rozpoczął służbę. Zwykle kilku wolało zostawać w koszarach, zamiast jechać do narzeczonych, kolegów, czy kogo tam jeszcze. Rickard lubił te wolne soboty i niedziele. Trzy posiłki, żadnych godzin, których trzeba przestrzegać, cywilne ciuchy; idealny czas na poznawanie miasta. Z Helgem, nieśmiałym, zamkniętym w sobie chłopakiem z Gäddede - miejscowości położonej w Norrlandii na tak dalekiej północy, że chłopak po prostu nie zdążyłby pojechać na weekend do domu i wrócić - Rickard włóczył się zwykle po Uppsali i spokojnie, z mapą w ręku, poznawał zabytki. Rynek główny. Księgarnię Lundequistska. Próg wodny Islandsfallet i park miejski. Oczywiście dawne centrum z katedrą. Plac św. Eryka, halę targową i restaurację Domtrappkällaren. Skytteanum, Gustavianum i wszystkie pogrążone w wakacyjnym letargu korporacje studenckie: Norrlands, Södermanland-Nerikes, V-dala, Göteborgs, Smålands i małą Västgöta, wszystkie mosty na rzece Fyris oraz Ofvandahls albo Giintherska,

gdzie chodzili na filiżankę kawy i kawałek ciasta.
Czasem chodził też do kościoła, ale nigdy z Helgem. Zawsze sam; do różnych kościołów, rzecz jasna do katedry i do Świętej Trójcy, ale też do mniejszych; św. Jana, do Kościoła Misyjnego, Kościoła Baptystów, a nawet do poczciwców z Armii Zbawienia przy S:t Persgatan, koło torów. Dokądkolwiek by jednak poszedł, którą parafię by wybrał, zawsze wracał rozczarowany. Z poczuciem, że coś się nie udało. Myślał w tych chwilach o matce, o tym, jak jej się tak naprawdę żyje i czy rzeczywiście czeka już tylko na dołączenie do swojego pastora w niebie. Miała dopiero pięćdziesiąt dwa lata, ostatnich dwanaście przepracowała na poczcie w Mariestad i czasami, kiedy myślał, że równie dobrze mogłaby mieć siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt, ogarniało go przygnębienie.
Jaki jest sens jej życia? Być wdową po pastorze z Hova?
A mojego? - zadawał sobie później pytanie. To było nieuniknione. Co w moim własnym życiu ma niby być donioślejsze?
Były to gorzkie i trudne pytania, które w czasie modlitwy zaczął przekazywać Bogu. Czasem wydawało mu się, że słyszy jakąś mglistą, pocieszającą odpowiedź, ale najczęściej nie. Najczęściej słyszał tylko ciszę. Było coś głęboko niepokojącego w tym, że z tamtej strony prawie zawsze dobiegała tylko cisza. Jakkolwiek mocno by się wsłuchiwał.
Bowiem to właśnie tym - takimi oto ważkimi, zasadniczymi pytaniami - powinien się zająć po zakończeniu służby. Za jakiś rok.
Kiedy zacznie się na poważnie. Wielki plan. Na razie nie było pośpiechu.
Żadnego pośpiechu. Skręcił w lewo, w ulicę Geijersgatan, i zobaczył, że jest już kilka minut po piątej. Czas porzucić te mroczne rozważania. Czas pochwycić dzień.
Raki u Tomasa i Gunilli. Smutkom precz!

- A oto i Rickard, najtęższy mózg w całych koszarach!
- Bzdury.
Nie było pewne, czy ktokolwiek usłyszał protest Rickar- da, bowiem mówiąc to, znalazł się w niedźwiedzim uścisku Tomasa.
Nakryta ława stała na trawniku między czynszówkami, otynkowanymi na brązowo dwupiętrowymi budynkami z lat trzydziestych albo czterdziestych. Identyczne były w Mariestad i Tóreboda; Rickard pomyślał, że tego typu małe domy mają w sobie coś rdzennie szwedzkiego. Jakąś prawość, ale też odrobinę melancholii. Coś jak sklep spożywczy Konsum w padającym deszczu.
Teraz jednak nie padało, a stół wyglądał okazale: były oczywiście papierowe ręczniki i talerzyki oraz dwie kopiaste michy czerwonych raków. Puszki piwa i butelki wina w pokaźnych ilościach. Kolorowe serwetki, sery, bagietki
I duża miska z sałatką. Sześć osób siedziało już przy stole, a nakryć wystarczyłoby dla co najmniej kolejnych sześciu. Wyłożyliśmy za wszystkich, oddacie później, oznajmił Tomas. Rickard nie miał pojęcia, ile ta impreza będzie kosztować, ale nie miało to znaczenia. Wciąż miał dość pieniędzy po roku pracy w Lapidusie. Być może akurat w tej chwili w portfelu brakowało gotówki, jeśli tak, to trudno, ale, jako się rzekło, to nie problem. Jeżeli i tak mamy się dzielić, równie dobrze mogę trochę wypić, pomyślał, a w tej samej chwili Gunilla wręczyła mu plastikowy kubek z jakimś musującym płynem.
- Cześć, Rickard. Witaj i na zdrowie!
- Na zdrowie - powiedział Rickard. - Fajnie cię znowu widzieć. Jesteś ładniejsza niż kiedykolwiek.
To było odważne i wiedział, że sobie na to pozwolił, ponieważ należała do Tomasa. W perspektywie nie było dalszego ciągu. Wcześniej widzieli się dwa razy, a Rickard myślał czasem, że jeśli kiedyś znajdzie dziewczynę mogącą

się równać z Gunillą, niczego więcej od życia nie będzie wymagał.
Zresztą nie chodziło tylko o nią. Tomas Winckier był młodym mężczyzną, któremu niejednego można by zazdrościć, na pewno nie tylko Rickard tak uważał. A jednak nie budził nigdy cienia zazdrości, to właśnie było wyjątkowe i dobre. Odkąd spotkali się po raz pierwszy w ogródku cukierni Fågelsången, łączyła ich swego rodzaju więź; więź pomiędzy Berglundem a Wincklerem - trudno było odejść od wojskowego zwyczaju posługiwania się samym nazwiskiem - ale Tomas równie swobodnie i bezproblemowo radził sobie w kontaktach z innymi. Również z przełożonymi. Rickard niejeden raz dziękował swojej szczęśliwej gwieździe za to, że się spotkali; jeśli się było dobrym przyjacielem Wincklera, nikt nie kwestionował twojej wartości czy prawa do życia.
Z czego to wynikało? Rickard czasem się nad tym zastanawiał i dochodził przeważnie do wniosku, że ogólny optymizm i przyjazne nastawienie są użytecznymi narzędziami, jeśli chcemy odnaleźć się w sytuacjach towarzyskich.
Talent i poczucie humoru także nie mogły zaszkodzić, a Tomas miał i jedno, i drugie. Czytał trochę Kierkegaarda, także i to opanował. Nawet to. Może istniała więc płaszczyzna, na której tylko oni, Berglund i Winckier, mogli się porozumieć. Rickard w każdym razie lubił tak myśleć. Jakiś odrobinę wyższy poziom, czy coś takiego.
- Mógłbyś nauczyć Tomasa paru komplementów - stwierdziła Gunilla. - Te kwiaty nie są przypadkiem dla mnie?
Wręczając bukiet, zaśmiał się zawstydzony:
- Oczywiście. Ale ze mnie gapa.
- To jest Maria - powiedziała Gunilla i przedstawiła go szczupłej dziewczynie o ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach. - Siostra Tomasa.

Podali sobie ręce i przywitali się. Tomas uprzedzał, że przyjdzie jego siostra, ale nie mówił wiele więcej. Bystra, choć skomplikowana - tylko tak ją scharakteryzował.
- Dlaczego on mówi, że masz najtęższy mózg? - zapytała, uśmiechając się w trudny do zinterpretowania sposób.
- Zawsze twierdził, że to on taki ma.
- Nie mam pojęcia - bronił się Rickard. - To musi być jakieś nieporozumienie. Superdraka.
- Te dwa słowa nigdy nie chcą mi przejść przez gardło
- odezwał się smålandzkim dialektem długowłosy młodzieniec w lenonkach. - Zawsze je przekręcam.
- Jak? - zainteresowała się dziewczyna w słomkowym kapeluszu, brzdąkając cicho na gitarze. - Bo znowu nie wiem, o co chodzi.
- Dupersraka - odparł lenonowiec. - Przykre, prawda?
Zaśmiał się i pociągnął lyk piwa. Wszyscy inni też się śmiali, oprócz Marii, która zdobyła się tylko na pusty grymas. Ona też już to wcześniej słyszała, pomyślał Rickard. Jest bystra.
Tomas przedstawił pozostałych. Lennon miał na imię Bertil, gitarzystka w kapeluszu nazywała się Susanna, a jej chłopak, dwumetrowa tyczka z brodą, był znany jako Boffe.
- No? - nie dawała za wygraną Maria, kiedy Rickard usiadł koło niej na składanym krześle. - To dlaczego jesteś taki mądry?
Zanim zdążył odpowiedzieć, z odsieczą przyszedł Tomas.
- Możliwe, że się mylę - powiedział - ale on jest niekwestionowanym liderem naszego kółka szachowego. A tam tępaków nie przyjmujemy, zapewniam cię, siostrzyczko.
Tak rzeczywiście było. Rickard zaśmiał się i upił łyk szampana.
- To minie - powiedział. - Twój brat się na mnie boczy, bo parę dni temu dałem mu mata, tylko o to chodzi.
- Każdy, kto mu utrze nosa, zasługuje na medal - odparła

Maria. - Tylko tego mu trzeba.
Zapaliła papierosa i uśmiechnęła się do nich obu, a Rickard w tym uśmiechu rozpoznał nagle Tomasa.
Pomysł założenia kółka szachowego pojawił się w poniedziałek po przepustce. Szybko zebrali szesnastu uczestników
I ustalili zasady. Każdy ma zagrać z każdym i trzeba z tym zdążyć do świąt. Wkład wynosi pięć koron, a pierwszą nagrodą jest duża butelka whisky. Przez dotychczasowe dwa tygodnie uzbierał, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, trzy zwycięstwa i remis - trzy i pół punktu - i rzeczywiście, na razie był na czołowej pozycji. Nigdy nie myślał o sobie jako o jakimś szachowym mistrzu. Tak naprawdę miał tylko jedną taktykę, nauczył się jej od ojca, który to wprowadził go w ar- kana tej szlachetnej gry. Bądź ostrożny, mawiał ojciec, czekaj na błędy rywala, zamiast robić własne! Był jednak przekonany, że nie uda mu się utrzymać prowadzenia przez cały turniej, ale nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.
Dołączyło się jeszcze kilka osób, porozmawiał chwilę z Marią, która niedawno przyjechała do miasta, żeby studiować francuski, i z Boffem, dawnym znajomym Tomasa, który wpadł w odwiedziny. Tuż po wpół do szóstej wszystkie miejsca przy stole były zajęte i gospodarze rozdali odbite na powielaczu kartki z tekstem ***Här är gudagott att vara,*** po odśpiewaniu którego nadszedł wreszcie czas, by zabrać się do czerwonych pyszności.
Jest nieźle, pomyślał Rickard Berglund.
Sześć godzin później byli już w domu. Dochodziła północ, ale zapasy piwa i wina zdawały się niewyczerpane. Rickard nie wiedział, ile wypił, ale czuł, że z pewnością pobił rekord życiowy. Jego percepcja nie działała tak jak zwykle i wcale nie było łatwo zrozumieć, co kto mówi, choć w gruncie rzeczy mogła to powodować głośna muzyka. Rozpoznawał

Doorsów, Rolling Stonesów i Creedence Clearwater Revival. Reszta była mu mniej lub bardziej obca. Muzyka pop jakoś nigdy go nie ruszała, zupełnie tak, jakby cała epoka nie była tą, do której Rickard Berglund pasuje. Już wcześniej doszedł do wniosku, że powinien był przyjść na świat sto lat wcześniej. Albo i później, nigdy nie wiadomo. Choć akurat teraz nie miał wielu powodów do narzekań. Siedział na kanapie obok Susanny oraz chłopaka imieniem Germund. Susanna była przypuszczalnie bardziej pijana niż on, na zmianę zanosiła się niekontrolowanym chichotem i przysypiała. Germund i Rickard nie zostali sobie przedstawieni, ale jeśli Rickard dobrze zrozumiał, mieszkał on kilka lat w Uppsali, studiował fizykę teoretyczną czy coś podobnego - a może miał zacząć studia? - i sprawiał wrażenie trochę smutnego. Ubrany był w czarny garnitur, włosy miał krótko obcięte

I także nie sprawiał wrażenia, jakby pasował do lat sześćdziesiątych. Przez ostatnie pół godziny, albo może godzinę, był pochłonięty rozmową z Marią, młodszą siostrą Tomasa. Głowy mieli pochylone ku sobie, dzieliło ich tylko jakieś dziesięć centymetrów i przez cały czas wyglądali na bardzo poważnych.

Ludzie dookoła siedzieli, pili, palili i toczyli dyskusje.

O Wietnamie, apartheidzie, Martinie Lutherze Kingu i pałacu królewskim. Parę osób poszło już do domu, ale większość została; Gunilla i Tomas tańczyli, a w każdym razie stali i bujali się razem. Mała grupka stała na balkonie, słyszał ich śmiechy i odgłosy rozmów, drzwi zostały otwarte, żeby papierosowy dym miał gdzie ulecieć. Wszyscy palili, z mniejszymi lub większymi przerwami. Siedząc z papierosem między palcami, Rickard sam zaczął się zastanawiać, ile właściwie dziś wypalił. Prawdopodobnie więcej niż w ciągu całego swojego dotychczasowego życia, choć się nie zaciągał, a zresztą, jakie to miało znaczenie. Co jakiś czas w pokoju

czuć było inny, jakby słodkawy, zapach dymu; Rickard zastanawiał się, czy to nie haszysz albo marihuana.
Wypił łyk wina i poczuł, że kręci mu się w głowie. Boże kochany, pomyślał, nie powinienem... powinienem naprawdę... matka by umarła, gdyby mnie teraz zobaczyła.
Świadomość, że zaraz zwymiotuje, przyszła błyskawicznie i tylko szczęśliwym przypadkiem udało mu się uniknąć blamażu. Zerwał się, wbiegł do przedpokoju i dopadł, wolnej na szczęście, toalety. Wtoczył się do środka, zdążył zamknąć za sobą drzwi i w ostatniej sekundzie podniósł klapę.
Spędził tam dobrą chwilę. Wymiotował raz za razem, pod koniec tylko żółcią. Napił się zimnej wody, umył twarz
I ręce, zamknął klapę i wziął się w garść, a kiedy znalazł się z powrotem w całym tym zgiełku, podjął męską decyzję, żeby iść do domu.
Czy raczej do jednostki, to był jedyny dom, który miał teraz do dyspozycji. Ale to nie szkodzi. W kuchni spotkał Gunillę, szybko ją uścisnął, oznajmił, że jest najedzony, zadowolony i szczęśliwy i że już się będzie zmywać.
- Rickard, jak się czujesz? - zapytała, a on pomyślał, że w jej głosie zabrzmiała nuta matczynej troski. - Całą drogę chcesz iść na piechotę?
- Nikt jeszcze nie umarł od świeszszego powietsza - odparł Rickard Berglund i z przerażeniem zorientował się, że bełkocze. - Ścięki i poszdrów Tomasza!
Po czym czmychnął na zewnątrz. Zbiegł po schodach
I wyszedł w ciepłą sierpniową noc. Dobry Boże, spraw, żebym chociaż szedł na dwóch nogach, modlił się, kiedy zauważył, że mózg i ciało najwyraźniej mówią różnymi językami. Jestem pijany, a nie tak miało być.
Zaczął iść w kierunku, który wydawał się tym właściwym. Bez pośpiechu, pomyślał. Mam przed sobą całą noc. Całą tę długą, ciepłą noc. Może po drodze spotkam gołą kobietę.

Jakiś czas później, godzinę albo może tylko pół, znalazł się znowu w Engelska parken, a ponieważ trawa w dalszym ciągu była wysoka i nęcąca, zdecydował, że utnie sobie w niej drzemkę. Nad dachem budynku filologii widniał duży księżyc w pełni, on zaś pomyślał, że życie kryje w sobie zadziwiająco wiele płaszczyzn.
Pięć minut później już spał, a obudził się dopiero po dziesięciu godzinach, ponieważ słońce świeciło mu w oczy, a mózg najwyraźniej próbował wydostać się z czaszki.

8

- Aha. No i co mamy o tym myśleć?
- Nie wiem. A ty co myślisz?

Wracali do miasta. Barbarotti prowadził, Backman siedziała obok. Godzinna inspekcja wąwozu Gåsa była wystarczająca, oboje tak uważali. Barbarotti spędził tam przecież niedzielę, a dwaj młodsi koledzy, Torstensson i Svendén, nadal przeszukiwali teren. Zgodnie z poleceniem mieli to robić aż do nastania zmroku, ale oczywiście niewiele wskazywało na to, że cokolwiek znajdą.
Albo że jutro ktokolwiek zechce szukać dalej.
- Zbieg okoliczności - powiedziała Backman.
- Rozwiń - odparł Barbarotti.

Backman wzruszyła ramionami.
- Nic nie wskazuje na to, że było inaczej. Dwa nieszczęśliwe wypadki w tym samym miejscu w odstępie trzydziestu pięciu lat... nie jest to raczej zbyt częste, ale takie rzeczy się zdarzają. Jesteś innego zdania? Zazwyczaj się buntujesz.
- Bzdura - rzeki Barbarotti. - Nigdy się nie buntuję. Ale uważam, że masz rację.

Eva Backman przyjrzała się trzymanej w ręku kartce.
- Siedmioro - powiedziała. - Wtedy było ich siedmioro. Trzech mężczyzn, cztery kobiety. Ciekawe, dlaczego w ogóle wszczęto śledztwo. Musiało chodzić o coś więcej poza tym,

że krzyknęła.
- Są dwa segregatory - powiedział Barbarotti. - Z tego całego Sandlina był najwyraźniej kawał upartego skurczybyka. Już wcześniej słyszałem o jego metodach. Zawsze starał się prześwietlić każdy szczegół, nawet jeśli chodziło tylko o rower, który ktoś wrzucił do rzeki.
- Tak, ja też o nim słyszałam - odparła Eva Backman. - Po zakończeniu służby pracował jako prywatny detektyw, prawda?
- Tak jest. Wziął się nawet do sprawy morderstwa Olofa Palmego, ale skończyło się to fiaskiem. Czekaj, czekaj, jest jedna dziwna rzecz, jeśli chodzi o tę nową ofiarę.
- Jaka?
- Portfel.
- Portfel?
- Tak. Zegarek na rękę, pęk lduczy, grzebień, stukorono- wy banknot luzem w tylnej kieszeni... dlaczego on nie miał portfela?
- Może Elis Bengtsson mu go ukradł.
- Tak myślisz?
- Nie - przyznała Backman. - Nie brzmi to zbyt wiarygodnie. Choć komórki też nie miał.
- Nie ma nakazu posiadania komórki - powiedział Barbarotti.
- Poważnie? - odparła Backman. - No to z czasem pewnie wprowadzą. Ale właściwie jest tu jeszcze jedna ciekawa rzecz.
-No?
- Jest pęk kluczy. Ale brak klucza do samochodu. Samochodu też nie ma. Jak on się tam dostał?
Gunnar Barbarotti podrapał się ostentacyjnie po głowie.
- Długi spacer? - podrzucił. - A może mieszkał gdzieś w pobliżu?
- Elis Bengtsson go nie kojarzył.

- Racja - zgodził się Barbarotti. - On chyba zna okolicznych mieszkańców. A co powiesz na autobus? Może gdzieś blisko jest przystanek?
- Nie wiem - powiedziała Backman. - Ale do szosy jest tylko jakieś trzysta, czterysta metrów, więc to niewykluczone.
- Może ktoś go podwiózł.
- Chodzi ci o to, że go wysadził i pojechał dalej?
- Nie wiem, o co mi chodzi. Ale zgadzam się, to trochę dziwne, że w pobliżu najwyraźniej nie ma żadnego samochodu. Choć przecież gdzieś niedaleko może leżeć rower czy motorower... w jakimś rowie na przykład.
- Niezapięty? W pęku nie było lducza od roweru.
- Zamek szyfrowy - powiedział Gunnar Barbarotti. - Nie pytaj tyle. Wszystko i tak się wyjaśni w ciągu kilku dni.
- To znaczy?
- Zidentyfikują go. To przecież tylko kwestia czasu, prawda?
- Tak - odparła Eva Backman, znowu wpatrując się w kartkę. - Pewnie tak. Oni byli z grubsza w tym samym wieku... mówię o tych sprzed trzydziestu pięciu lat. Między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia.
Barbarotti siedział przez chwilę w milczeniu.
- Byli w końcu paczką - powiedział. - To musiała być dla nich trauma, nie sądzisz? Śledztwo i to wszystko. Może podejrzewali siebie nawzajem... ciekawe, czy nadal utrzymują kontakt.
- Przeczytasz wszystko z segregatorów Sandlina, prawda?
Barbarotti skrzywił się: - Możliwe. Jeżeli Asunander się zgodzi. Bo może być i tak, że uzna to za stratę czasu.
- I tak to zrobisz - powiedziała Eva Backman. - Znam cię. Jeszcze dziś zabierzesz te segregatory do domu, bez względu na to, co powie Asunander.
- Nie muszę - odparł Barbarotti i wyszczerzył zęby.
- Jak to nie musisz?

- Zabrałem je już wczoraj.
- I dobrze - powiedziała Eva Backman, ziewając. - Tak też myślałam.
- Tak, bo gdybym ja tego nie zrobił, ty byś je wzięła.
- To stare dochodzenie gówno mnie obchodzi.
- Kłamiesz tak kiepsko, że to aż przykre.
- Nie mamy innych tematów? - spytała Eva Backman z irytacją.
- To może porozmawiajmy o naszych dzieciach? - zaproponował Barbarotti. - Fajnie je było widzieć razem w sobotę.
- Tak - zgodziła się Eva Backman. - Młodzież tego kraju, jego przyszłość, to napawa odrobiną nadziei. Nieprawdaż?
- Jasne. Jest tylko jedna naprawdę dobra miara jakości społeczeństwa. To, jak zajmujemy się dziećmi.
- Mądre. Sam to wymyśliłeś?
- Cytuję - powiedział Gunnar Barbarotti. - Nie pamiętam kogo.
Przejechali właśnie przez rondo Rocksta, kiedy zadzwoniła komórka Evy Backman.
Odebrała. Przez dwie minuty nie mówiła nic oprócz „tak", „nie" i „rozumiem". Na koniec podziękowała, stwierdziła, że to było „niezwykle interesujące", i zakończyła rozmowę.
- Kto to był? - zapytał Barbarotti.
Eva Backman wyjęła swój spis siedmiu nazwisk z 1975 roku.
- Nie sądzę, żeby Asunander nie zgodził się, byś przestudiował te papiery - powiedziała.
- Naprawdę?
- Dzwonił Torstensson, właśnie znaleźli portfel.
- Co ty powiesz? - odparł Barbarotti. - No i?
- Najwyraźniej spadł między kamienie. Tam przecież było kamienisko... całe szczęście, równie dobrze mógł tam leżeć całe wieki.
- No właśnie - powiedział Barbarotti. - No to teraz wiemy,

jak on się nazywa. Co miałaś na myśli, mówiąc, że Asunander nie powinien...
- To jeden z tych siedmiu - powiedziała Backman.
-Co?
- Nasza nowa ofiara była tam już trzydzieści pięć lat temu.
-A niech to jasna...! - wykrzyknął Gunnar Barbarotti
I przejechał na czerwonym świetle przez skrzyżowanie Fabriksgatan i Ringvägen.

9

Wieść o tym, że Lennart Martinsson zginął w wypadku samochodowym, nadeszła we wtorkowy wieczór pod koniec października.
Tata zbrojmistrz zadzwonił ze zwięzłym komunikatem
I przekazał go tak, jakby chodziło o skrót wiadomości w radiu. Lennart zjechał z drogi między Kil a Arvika. Prosto w betonowy słup, nie było śladów hamowania, prawdopodobnie zginął na miejscu. Nikt nie miał pojęcia, co robił w tamtej okolicy, ale wszyscy wiedzieli, że ostatnimi czasy był pogrążony w depresji. Wypadek wydarzył się o szesnastej piętnaście. Widoczność była dobra, a Lennart wziął tego dnia wolne w pracy.
Rozmowa nie trwała dłużej niż dwie minuty, Gunilla słyszała, że mama urzędniczka stoi obok. Stała tam za plecami męża, żeby nie zaczął oskarżać córki. Nie do końca się to powiodło, bowiem słowa nie były potrzebne, wystarczyło milczenie i suchy, sprawozdawczy ton. Kiedy Gunilla odłożyła słuchawkę, stała jeszcze chwilę przy oknie, wpatrując się w ciemność, i myślała, że równie dobrze może postąpić tak samo.
Zrobił to specjalnie.
Oczywiście, że tak. Lennart zabił się z premedytacją, ponieważ nie potrafił już bez niej żyć. Próbował, zrobił, co w jego mocy, i nawet wytrzyma! kilka miesięcy, ale dłużej już

się nie dało.
Odebrał sobie życie, zostawiając ją z poczuciem winy, z którym nigdy się nie upora. Taka właśnie była prawda
I nie chciała być inna.
Od przeprowadzki do Uppsali była w domu w Karlstad tylko jeden jedyny raz, na pięćdziesiąte piąte urodziny mamy na początku września. Została tylko na jedną noc, wykręcając się tym, że musi wracać do nauki, a jednocześnie pilnowała, żeby z żadnym z nich nie zostać sam na sam. Ani z matką, ani z ojcem, ani z Barbro. Z jakiegoś powodu towarzystwo co najmniej dwóch osób dawało swego rodzaju ochronę przed atakiem.
Z Lennartem nie widziała się od czerwca, kiedy to z nim zerwała. W lecie zadzwonił dwa razy - nietrudno było się domyślić, że to jej matka dała mu numer. Kiedy dzwonił po raz pierwszy, niemal od razu stracił panowanie nad sobą i wybuchnął płaczem, dobrą chwilę próbowała go uspokoić, po czym odłożyła słuchawkę. Za drugim razem, jakiś tydzień później, przepraszał i zapewniał, że czuje się dobrze i że już sobie z tym poradził. Zaproponował, żeby spotykali się jako dobrzy przyjaciele. Brzmiało to równie nieszczerze, co żałośnie i zakończyła rozmowę tak szybko jak mogła. Przyjaźnie, ale zdecydowanie oznajmiła, że musi lecieć na wykład.
A teraz nie żył.
Wbijając wzrok w gęste, jesienne ciemności, czuła zarazem smutek, złość i bezsilność.
Smutek, ponieważ spowodowała śmierć drugiego człowieka, a nie sposób zaprzeczyć, że tak właśnie było.
Złość, ponieważ zachował się jak egoista bez skrupułów; odebranie sobie życia zawsze równa się oskarżeniu tych, którzy zostali. Obarczeniu ich winą, której nigdy nie będą mogli odkupić.
Bezsilność, ponieważ nic nie mogła zrobić. Nic, co by pomyślała, powiedziała lub zrobiła, w najmniejszym stopniu

nie zmieni tego, co już się stało, tego nieodwołalnego, przerażającego faktu. Ani teraz, ani nigdy.
Tomasa nie było w domu. We wtorki jak zwykle miał służbę wieczorem i najprawdopodobniej będzie chciał nocować w jednostce. Nie było sensu wracać do domu za piętnaście jedenasta, jeśli przed szóstą trzeba będzie wstać. Przynajmniej biorąc pod uwagę, że wszystkie pozostałe noce w tygodniu mogą spędzać razem. Tomasowi udało się wyrobić stałą przepustkę nocną już w lipcu; jakiś psychiatra z Ulleråker wypisał zaświadczenie, które najwyraźniej załatwiło sprawę. Gunilla nie wiedziała, co tam było napisane, ale nie miało to znaczenia; w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone, jak podkreślił Tomas.
Akurat tej nocy byłby jej potrzebny; typowe, że musiało się to stać akurat we wtorek wieczorem. Przypomniał jej się Rickard Berglund i jego wtorkowa fobia, o której mówił. Może gdy przychodzi co do czego, to wcale nie takie bzdury. Może ten dzień ma w sobie coś takiego, na co należy uważać?
Głupoty, pomyślała i odeszła od ciemnego okna. Lennart był martwy. Równie martwy byłby również jutro... w czwartek, w piątek i we wszystkie inne dni do końca świata. Dożył tylko dwudziestu dwóch lat; to ja odebrałam mu życie.
Była za piętnaście dziesiąta. Dobry Boże, spraw, żeby Tomas zadzwonił, pomyślała. Nie chcę dziś w nocy być sama. Nie obiecywał, że zadzwoni, ale szansa istniała. Jeśli to zrobi, zrozumie, że ona właśnie teraz potrzebuje go bardziej niż kiedykolwiek, przyjedzie do domu, położy się za jej plecami i będzie ją trzymał, mocno, mocno, może będą się kochać, to uleczyłoby wszystko, przynajmniej na chwilę, a właśnie skończył jej się okres. Tak, chcę się z nim teraz kochać, pomyślała. Chcę mieć z nim dziecko.
Ta ostatnia myśl nigdy wcześniej nie pojawiła się w jej głowie, dlaczego więc teraz, w takiej sytuacji? Może dla

równowagi? Jedna śmierć, jedno nowe życie?
Absurd, pomyślała, potrząsając głową. Nawet bogom nie wolno myśleć w ten sposób. Zaczynam tracić panowanie nad sobą.
A jeśli Tomas nie zadzwoni, co wtedy zrobi? Do kogo się zwróci?
Do przyjaciół? Chodząc nerwowo tam i z powrotem po mieszkaniu, zaczęła przerzucać w głowie listę znajomych. Stwierdziła, że nikt się nie nadaje. Birgitta oczywiście, ona mogłaby być, ale chyba trochę się od siebie oddaliły, odkąd zamieszkała z Tomasem. Poza tym Birgitta znała Lennarta, a to stanowi pewną przeszkodę.
Zastanawiała się nad koleżankami z roku, ale żadnej nie znała wystarczająco dobrze - a Maria, młodsza siostra Tomasa, była zdecydowanie wykluczona. Tomas twierdził, że to wariatka, oczywiście żartem, ale Gunilla myślała czasem, że może się w tym kryć ziarno prawdy. W Marii było coś dziwnego, jakaś nieprzyjemna nuta, z którą nie wiedziała, co zrobić. Nie było jej widać przez cały czas, ale czasem dawała o sobie znać... swoista sztywność czy też surowość, przez którą nigdy nie dało się do niej naprawdę zbliżyć. Może nawet było to coś upiornego. Kilka razy o tym myślała, były to przelotne refleksje, które znikały równie szybko, jak się pojawiały, wracając na zakazane tereny, gdzie było ich miejsce. Jak to coś upiornego?
Zatrzymała się i usiadła przy stole w kuchni, uderzona nową myślą. Co by powiedziała, gdyby miała teraz kogoś do rozmowy? Dobre pytanie.
Cześć, mój były chłopak właśnie zginął w wypadku samochodowym. Chcesz wpaść na herbatę?
Tak, to by może zadziałało. W takiej sytuacji każdy by chyba przyszedł, ale nie o to chodziło. Ona nie potrzebowała kogokolwiek. No i po co... po co zagadywać śmierć? Po co wmawiać sobie, że rozpacz da się zalepić rozmową jak ma-

łym, żałosnym plastrem? Wyleczyć herbatą? Po co w ogóle próbować? Poprawiać sobie nastrój rozmowami o innych rzeczach... po co, do cholery, w ogóle ***myśleć o innych rzeczach?***

Może zwyczajnie spojrzeć temu prosto w oczy? Przyjąć ból bez znieczulenia. Jedyne, co w życiu pewne, to śmierć, a teraz ta śmierć przyszła z wizytą. To z nią Gunilla powinna porozmawiać, na tym to polega.

Zdecydowała, że nie będzie do nikogo dzwonić. A nuż Lennart obserwuje ją ze swojego nieba dla samobójców, może więc powinna okazać mu tyle szacunku, by do tej żałoby nie mieszać nikogo innego. Przynajmniej przez pierwsze godziny, przez tę pierwszą noc. Może by tak w samotności wypić kieliszek wina - ale tylko jeden - zostać tu w kuchni przy jednej świecy i po prostu go powspominać? Dlaczego nie?

Gdy tylko wzięła pierwszy, ostrożny łyk, zdała sobie sprawę, że będzie musiała pojechać na pogrzeb.

Nie było tak źle, jak się spodziewała. Było gorzej.

Nabożeństwo żałobne w intencji Lennarta Leopolda Martinssona odbyło się w sobotę, jedenaście dni po tym, jak jego życie zakończyło się na betonowym słupie przy drodze 61, osiem kilometrów na zachód od Kil. Kościół Hammaró był wypełniony do ostatniego miejsca. Gunilli towarzyszyła Barbro, matka i ojciec woleli zostać w domu. Barbro też by została, gdyby Gunilla nie błagała jej na kolanach, by z nią poszła.

Ktoś musi ze mną być, tłumaczyła. Jeśli mi teraz nie pomożesz, nigdy cię już o nic nie poproszę. Nie mogę iść do kościoła sama. Oni mnie zabiją wzrokiem, jesteś moją siostrą czy nie?

Nie pierdziel, odpowiedziała Barbro, sama jesteś sobie winna. Ale dobrze, pójdę.

Tomas był rzecz jasna wykluczony. Przyjechali razem

samochodem z Uppsali, ale wzięcie go do kościoła byłoby przekroczeniem wszelkich granic. Lennart leży w grobie, a ona już znalazła sobie nowego.
Tomas nie bardzo mógł się z tym pogodzić, ale go przekonała. Przez dwie i pół godziny trwania pogrzebu siedział w kawiarni Wermelins i czytał Hessego. Chciał też wybrać się na spacer, zobaczyć miasto i Klaraälven, ale cały czas padało. Ona siedziała w kościelnej ławce jak przybita. Spojrzeniami i myślami, tak to odczuwała. Wprawdzie Lennart Martinsson był odtwórcą głównej roli na własnym pogrzebie, ale partnerowała mu Gunilla Rysth, co do tego nie było wątpliwości. Odczuła to z wszechogarniającą pewnością i pierwszy raz w życiu zrozumiała, jak musiały się czuć kobiety palone w XVII wieku na stosach jako czarownice.
Pod koniec aktu dawni koledzy Lennarta - i Gunilli - przedefilowali przed umieszczoną w prezbiterium trumną. Parami albo małymi grupkami, a kiedy nadeszła jej kolej, nagle nie mogła się ruszyć. Siedziała sparaliżowana, przykuta do twardej ławki, wiedząc, że choćby żyła sto lat, nigdy nie przeżyje gorszej chwili niż ta.
Zakała.
Pariaska.
Czarownica.
Właśnie porównania do czarownicy użyła godzinę później, siedząc z Tomasem w samochodzie w drodze powrotnej do Uppsali. Najpierw się zaśmiał, ale zaraz spoważniał.
- Co, do cholery?
- Dokładnie tak było - potwierdziła.
- Przepraszam - powiedział. - Nigdy więcej nie będziesz musiała przez coś podobnego przechodzić. Masz moje słowo.
- Dziękuję - odparła Gunilla. - Wiesz, co jedna z jego sióstr powiedziała mi przed kościołem, kiedy było po wszystkim? „Dziękuję, że zabiłaś mojego brata, pierdolona kurwo", li)

było jedyne, co ktokolwiek miał mi do powiedzenia. Tam było trzysta osób, prawie wszystkie z nich znałam.
Tomas zacisnął zęby, aż zatrzeszczało, i zobaczył, jak ii/ymające kierownicę dłonie bieleją.
- Nigdy więcej, Gunilla, obiecuję ci to. Co za zasrane chamy!
- Zwykli ludzie, Tomas - powiedziała. - To tylko zwykli ludzie.
Kiedy kilka tygodni później zadzwoniła jej matka z pytaniem, czy chce przyjechać na święta do domu, odpowiedziała, że nie.
Nie chciała, a matka nie oczekiwała od niej żadnego uzasadnienia. Zdawała się przekonana o słuszności decyzji, pęknięcie w ich stosunkach, jakie powstało wraz ze śmiercią Lennarta, było zbyt duże, by dało się je wypełnić. Przynajmniej na razie. Próbowała doszukać się jakiejś zdrowej emocjonalnej logiki w tych potrzaskanych relacjach rodzinnych, ale im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej rozpaczliwie i beznadziejne wyglądały sprawy.
Tak musiało być zawsze, pomyślała. Po prostu dopiero teraz widać to wyraźnie. Wiedziałam o tym, ale wolałam przymknąć oczy.
Nie była pewna, czy to prawda, i nie chciała zaprzątać tym sobie dłużej głowy.
- To jest średniowiecze - mówił Tomas. - Taki sposób myślenia nie przystaje do dwudziestego wieku. To barbarzyńskie.
Podczas rozmowy o jej rodzinie wpadł w furię; w głębi duszy cieszyła się, że zareagował tak ostro.
- Zerwałaś zaręczyny, ot i cały twój grzech - ciągnął. - Czyżby w Värmlandii był zwyczaj zawierania małżeństw z przymusu czy o co, kurwa, chodzi?
- Jedziemy na święta do Sundsvall? - zapytała.
- Mowy nie ma - odparł Tomas. - Święta spędzimy na

Sibyllegatan w Uppsali. A rankiem pierwszego dnia świąt zrobię ci dziecko.
Tak też się stało.
Spełniło się jedno i drugie. Święta spędzili skromnie we dwójkę w swoim dwupokojowym mieszkaniu. Tomas miał cały tydzień wolnego i były to najlepiej spędzone dni, jakie mogła sobie wymarzyć. Dwoje kochających się ludzi zamkniętych w skorupie chroniącej ich przed światem; czuli, że chroni ich przed wszystkim, co stare, zatęchłe i niesprawiedliwe, a także przed błotem i deszczem, który utrzymywał się przez całe święta.
Zamiast tego wszystkiego mieli świece, czerwone wino i Leonarda Cohena. ***Songs from a Room.***
I miłość. Mnóstwo miłości.
Kiedy z początkiem lutego otrzymała wiadomość, była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Ponieważ dziecko miało się urodzić pod koniec września, najlepszym rozwiązaniem było wziąć w semestrze zimowym urlop dziekański. Zrobienie dyplomu zajmie jej pół roku dłużej, niż planowała, i tyle, więcej jej to kosztować nie musi.
- Jak myślisz, zdążymy z jeszcze jednym do tego czasu?
- pytał Tomas, a ona pomyślała, że owszem, dlaczego by nie.
Później przyszło jej do głowy, że planowanie drugiego dziecka, zanim pierwsze w ogóle się pojawiło, było może trochę zuchwałe. To jednak, że cokolwiek naprawdę może pójść źle, trudno jej było sobie wyobrazić.

10

- Germund Grooth - powiedziała Eva Backman, wręczając Barbarottiemu kubek kawy. - Ciekawe nazwisko.
Gunnar Barbarotti, którego pytano o nazwisko jakieś sto tysięcy razy w życiu, nie skomentował tego. Wziął jedynie kawę i zaczął studiować listę zamieszanych w sprawę z 1975

roku.
Dokładnie ze środy 28 września 1975 roku, kiedy to siedmioro przyjaciół wybrało się na grzyby i ich liczba zmalała do sześciu.

Rickard Berglund

ur. 1949. Pastor w parafii Rödåkra-Hemleby.

Anna Berglund

ur. 1951. Zona R.B. Z domu Jönsson. Dziennikarka „Svenska Kyrkans Tidning".

Tomas Winckler

ur. 1948. Analityk rynku w Handelsbanken w Göteborgu.

Gunilla Winckler-Rysth

ur. 1949. Zona T.W. Magister. Tłumaczka.

Maria Winckler

ur. 1950, zm. 1975. Siostra T.W. Zamieszkała z G.G. Nauczycielka francuskiego i angielskiego w szkole Kymlingevik. ***Germund Grooth***

ur. 1948. Zamieszkały z M.W Nauczyciel fizyki i matematyki w szkole Kymlingevik.

Elisabeth Martinsson

ur. 1947. Nauczycielka plastyki w szkole Kymlingevik. Niezamężna.

- Prawie w tym samym wieku - stwierdził, przejrzawszy nazwiska. - Masz rację. Tylko cztery lata różnicy między najstarszą a najmłodszą.
- Tak - odparła Backman. - Wtedy mieli jakieś dwadzieścia pięć lat. Teraz mają koło sześćdziesiątki. Kto sporządzał tę listę? Sandlin?

Barbarotti skinął głową.

- Tak przypuszczam. W jednym z segregatorów jest w każdym razie podobna.

Przy nazwisku Germunda Grootha dopisał krzyżyk i rok 2010.

- Dwoje z siedmiu. I co ty na to?

Eva Backman nie odpowiedziała.
- Jeżeli ktoś ma zamiar pozabijać ich wszystkich - ciągnął Barbarotti - to najwyraźniej mu się nie spieszy. Jeżeli dalej będzie się trzymał systemu jednej ofiary na trzydzieści pięć lat, to skończy za... bo ja wiem... co najmniej sto pięćdziesiąt lat?
- Oni byli parą - powiedziała Eva Backman.
- Kto taki?
- Germund Grooth i Maria Winckier. W 1975 mieszkali ze sobą. Nie byli małżeństwem, ale w latach siedemdziesiątych pobieranie się było niemodne.
- Tak powiadasz? - zapytał Barbarotti. - Tak czy owak, chodzi o trzy pary i jedną nieparzystą. 1 dwie z tych par stanęły przed ołtarzem.
- Albo przed urzędnikiem - odparła Eva Backman. - C 'hoć jeden z małżonków jest pastorem, może w takiej sytuacji nie bierze się ślubu cywilnego.
- Co za różnica, jaki mają ślub - powiedział Barbarotti, stukając z irytacją o listę długopisem. - Trzy pary i jedna nieparzysta, to jest ważne. Jedna z par zostaje rozbita, druga osoba ginie trzydzieści pięć lat później dokładnie w tym samym miejscu. I wciąż nie wiem, co ty na to.
- Gdybym miała zgadywać? O to ci chodzi?
- Właśnie o to - odparł Barbarotti. - Na podstawie... twoich doświadczeń jako funkcjonariuszki z dwudziestoletnim stażem, która może się pochwalić odsetkiem rozwiązanych spraw o niebo przewyższającym średnią krajową.
Dziewiętnaście. Lat, nie procent. Zapominasz, że urodziłam też kupę dzieci. Ale skoro już tak marudzisz, mogę ci coś podsunąć. No więc ona spadła, a on skoczył.
Co? Daj mi pomyśleć.
I yknął kawy. Skrzywił się i zmienił temat.
- Ta lura naprawdę jest z tego nowego automatu? Smakuje jeszcze gorzej niż zwykle.

- Jeszcze się nie dotarł - oznajmiła Eva Backman. - Za jakieś pięć, sześć miesięcy będzie smakowała jak marzenie.
- Super - odparł Barbarotti. - Nie mogę się doczekać tej chwili. W każdym razie, o co ci chodziło z tym, że jedno spadło, a drugie skoczyło?
Eva Backman wzruszyła ramionami.
- To tylko jedna z możliwości - powiedziała. - Ale jak widzę, całkiem prawdopodobna. Jeżeli, dajmy na to, Marii Winckler przydarzył się w 1975 roku śmiertelny wypadek, mogło być tak, że ten Germund chciał się z nią w jakiś sposób zjednoczyć. Jeśli zdecydował się odebrać sobie życie... z jakiegoś powodu.
- Zjednoczyć z kobietą, która zmarła trzydzieści pięć lat wcześniej?
- Niezgłębiona jest natura ludzka - powiedziała Eva Backman.
- Hm - mruknął Barbarotti, wpatrując się w kubek. - Może też być prostsza, niż się nam wydaje, nie zapominaj o tym. A dokładnie rzecz biorąc, musimy się liczyć z trzema możliwościami... razy dwa.
- Tak, wiem - westchnęła Backman. - Tymi, co zwykle. Nieszczęśliwy wypadek, samobójstwo, zabójstwo... W tym ostatnim mieści się też morderstwo. Razy dwa, jak już mówiliśmy. A inspektor jaki ma pogląd na sprawę?
- Żadnego. Ale wiem, na jaką dwójkę bym nie stawiał.
- Na jaką?
- Wypadek razy dwa. To, że miałby fajtnąć do tego samego wąwozu, do którego tak dawno temu wpadła jego dziewczyna, i to zupełnie niechcący, nie, takie rzeczy się nie zdarzają.
- Pewnie nie - powiedziała Eva Backman, biorąc do ręki listę. - Wiemy, kto z pozostałych nadal żyje? Cała piątka czy...?
- W ogóle guzik wiemy - odparł inspektor Barbarotti.

- Ale teraz nadszedł czas, by tę lukę wypełnić. Asunander chce mieć szczegółowy raport za... - Spojrzał na zegarek. - Mniej więcej dwadzieścia cztery godziny.
- No dobra. Gdzie zaczynamy?
- W różnych punktach. Ja bym się zajął przeszłością. Mimo wszystko mam trochę większe doświadczenie i już przywłaszczyłem sobie segregatory Sandlina. Ty może poszperaj w teraźniejszości. Dowiedz się, gdzie...
- ...gdzie dzisiaj można znaleźć pozostałą piątkę - przerwała Backman. - Mimo młodego wieku zgadzam się. Dobrze będzie też poumawiać się z nimi na przesłuchanie. A tak w ogóle, jak długo leżał tam pan Grooth, zanim znalazł go Elis Bengtsson? Może chociaż to wiemy?
- Nie do końca - odparł Barbarotti. - Ale wieczorem będziemy wiedzieli. Mówili coś o dwóch dobach. Czy przynajmniej jednej z kawałkiem.
- Czy w takim razie Bengtsson nie powinien był go znaleźć w sobotę? - zastanawiała się Backman. - A nie w niedzielę? Myślałam, że spacerował tamtędy codziennie.
- Może obiera różne trasy - powiedział Barbarotti. - Sprawdzimy to.
- Ty sprawdź. Ja idę do siebie rozpocząć poszukiwania. To co, widzimy się jutro?
- Tak jest - rzekł Barbarotti. - Ja jadę do domu.
Eva Backman spojrzała na zegarek.
- Jest wpół do czwartej.
- Wiem, która jest godzina. Ale zostawiłem segregatory na nocnym stoliku.
- Zapominalstwo i podeszły wiek idą w parze - powiedziała Eva Backman. - Pozdrów Marianne.
Godzinę później miała gotową drugą listę. Dopadło ją przy tym swoiste przygnębienie. To ów skok w czasie tak na nią podziałał; grupa dwudziestopięciolatków, z których ni stąd, ni zowąd zrobili się sześćdziesięciolatkowie - oczywiście w

międzyczasie niejedno przeżyli, wydali na świat dzieci, być może pobudowali domy, weszli w nowe związki, zobaczyli dalekie kontynenty, porobili kariery, a jednak te dwa osobne zdarzenia koło wzgórza Gåsa sprawiły, że dystans między nimi w jakiś niepokojący sposób się zmniejszył.
Tak jakby trzydzieści pięć lat było tak naprawdę zaledwie godziną. Tą, którą spędziła na ustalaniu, co się z nimi dzieje tego dnia. 27 września 2010 roku.
Oczywiście to uczucie odnosiło się też do niej samej. Dzisiaj dwadzieścia pięć, jutro sześćdziesiąt. Albo jeszcze gorzej: dziś się żyje, jutro gnije.
Do pięćdziesiątych urodzin zostały jej cztery lata. Barbarottiemu tylko kilka miesięcy i nie wydawał się tym szczególnie zmartwiony. To, rzecz jasna, nie miało większego związku z obecnym śledztwem, ale nie zawsze jest łatwo oddzielić sobie w głowie pracę od życia prywatnego. Myśli lubiły wędrować, zwłaszcza popołudniami, kiedy to poziom cukru we krwi był tylko odrobinę wyższy niż zero.
Westchnęła. Z pomieszczenia kuchennego wzięła kubek kawy siedmiu złodziei. Wróciła do pokoju, by wziąć się do poważnej analizy sytuacji.
A dokładnie rzecz biorąc, sytuacji tych, którzy jeszcze nie spadli do wąwozu Gåsa. Jeśli możemy pozwolić sobie na odrobinę dystopii.
Tak więc było pięć osób. Żadna z nich, jak się okazało, w okresie od września 1975 do września 2010 nie rozstała się z życiem i wszyscy nadal mieszkali w Szwecji.
To był dobry początek. Znaczyło to, że można się z nimi skontaktować. Przesłuchać każde z nich, jeśli okaże się to konieczne. Eva Backman była pewna, że tak będzie, i nie sądziła, że powinno być inaczej.
Obie pary były nadal małżeństwami. To raczej nietypowe, pomyślała; jeśli wzięło się ślub w młodym wieku na początku lat siedemdziesiątych, prawdopodobieństwo świę-

towania, powiedzmy, srebrnych godów jest raczej niewielkie. Nie tak dawno temu czytała o tym artykuł. Dziesięć lat później szanse były nieco większe, ale i tak mocno poniżej 50 procent. Ona i Barbarotti należeli zresztą do tej drugiej grupy i żadnemu z nich nie udało się (a może nie chcieli?) utrzymać związku przynajmniej do momentu, aż dzieci dorosną. Było, jak było i wypieranie tego przygnębiającego uczucia nic tu nie da. Zycie to kwaśny cukierek.
Rickard i Anna Berglundowie byli jednak ciągle małżeństwem. Tak samo jak Tomas Winckler i Gunilla Winckler-Rysth. Pastorostwo (choć Rickard Berglund nie pełnił już posługi) mieszkało w Kymlinge, przeprowadzili się z plebanii w Rödåkra i od 2005 roku mieszkali przy Rosengatan. On pracował w zakładzie pogrzebowym Linderholms, żona była od dłuższego czasu na zwolnieniu lekarskim. Wcześniej pracowała jako niezależna dziennikarka. Przede wszystkim dla kościelnej „Svenska Kyrkans Tidning".
Państwo Winckler i Rysth mieszkali w Lindås koło Göteborga. Oboje byli zarejestrowani jako prywatni przedsiębiorcy; on w branży turystycznej, ona w konsultingowej.
Elisabeth Martinsson - owa tak zwana nieparzysta, według terminologii Barbarottiego, mieszkała obecnie w Strömstad i była z zawodu ilustratorką. Wciąż nie miała pary, ale w latach osiemdziesiątych przez pewien czas (siedem lat) była mężatką i w 1983 urodziła córkę.
Berglundowie nie mieli dzieci. Wincklerowie mieli trójkę.
Co dzieci mogłyby mieć z tym wspólnego, pomyślała Hackman i odłożyła notatki. Takie informacje dostaje się jednak w pakiecie przy tego rodzaju poszukiwaniach.
Tak czy inaczej, nikt z tej piątki nie był karany. Wszyscy najwyraźniej byli stabilni finansowo, para Winckler-Rysth nawet bardzo, o tym jednak, czy nadal się spotykają albo mają lub mieli ze sobą jakiegoś rodzaju porachunki, rejestr milczał.

Pak już jest, pomyślała Eva Backman. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach - albo znaleźć u nich trupa w szafie - należy spotkać się z nimi oko w oko.
Jeśli nie po to, by ich przesłuchać, to chociaż dla chwilowej pogawędki.
O wąwozie Gåsa na przykład. Wtedy i teraz.
Na tym właśnie polegała praca detektywa, a przynajmniej jej część. Zadawać ludziom pytania i oceniać ich odpowiedzi. Tylko tyle i aż tyle.
Jeżeli chodzi o Germunda Grootha, który kilka dni temu zakończył swój żywot w wąwozie Gåsa, inspektor Smutas już ustalił najważniejsze fakty.
Odszukała dokument i studiowała go przez kilka minut.
Był zameldowany w Lund i tam pracował. Miał habilitację z fizyki, pracę doktorską obronił w 1983. ***Gradient Fragmentation Processes within Density Functional Theory.*** Obliczyła, że miał wtedy trzydzieści pięć lat. Chyba nic w tym niezwykłego. Żony nie miał, był kawalerem i przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkał pod tym samym adresem na Pren- negatan. Do tego miał na koncie jeszcze inne publikacje ze swojej dziedziny i w środowisku akademickim był najwyraźniej znany.
Ale profesorem nie został, zwróciła uwagę. No tak, w końcu nie wszyscy mogą być profesorami, w kręgach uniwersyteckich panuje z pewnością wyścig szczurów, sporo się o tym słyszy
Rozmyślania o tym, co samotny fizyk z Lund mógł robić we wrześniowy weekend w lesie w okolicach Kymlinge, zdecydowała się odłożyć na jutro.
O ile rzecz jest bardziej skomplikowana niż to, co już zdążyła zasugerować Barbarottiemu. Że Germund Grooth chciał rozstać się z życiem w miejscu, w którym trzydzieści pięć lat wcześniej zrobiła to jego dziewczyna.
Cholera go wie, mruknęła inspektor kryminalna Backman.

Ziewnęła i zorientowała się, że jest już piąta.
Dosyć ma dzień swojej biedy, pomyślała. Zgasiła lampkę nad biurkiem, wyszła z gabinetu i zaczęła myśleć o tym, co zrobi na kolację.
Kolacja dla jednego. W jakiś sposób zabrzmiało to jak coś wewnętrznie sprzecznego.

11

Tu Maria, wróbel.
Tydzień temu obchodziłam dwudzieste urodziny. Upłynęły w ciszy.
Mama i tata chcieli przyjść, ale ja udaremniłam ich wizytę. Powiedziałam, że jadę z przyjaciółmi na Archipelag Sztokholmski.
W marcu? - zdziwiła się Mama, a ja powiedziałam, że szkiery są kamieniste, a dom izolowany. Dali się na to nabrać, zwłaszcza mama.
Tomas i Gunilla usiłowali zorganizować u siebie urodzinową kolację, ale posłużyłam się tym samym kłamstwem.
Przyjaciele? - pomyślał zapewne. Ty masz przyjaciół, ptasia siostrzyczko?
Nie powiedział tego jednak. I nie pytał, jak się ci przyjaciele nazywają ani o którą wysepkę chodzi.
Kiedy mówię, że moje dwudzieste urodziny upłynęły w ciszy, jest to prawda z modyfikacją. Wieczór i noc spędziłam z Germundem w jego mieszkaniu na Tunabackar. Piliśmy wódkę i kochaliśmy się. On jest najlepszym kochankiem, jakiego miałam, i zanim zasnęliśmy, powiedziałam mu, że właśnie świętowaliśmy moje dwudzieste urodziny. Zareagował tak, jak ja bym to zrobiła. Powiedział, że dobrze, że nie mówiłam tego wcześniej, bo do prezentów nigdy nie miał głowy.
Pieprzyliśmy się cztery godziny jak nic, nigdy nie mam go dość, mimo że orgazmy przeżywam jeden za drugim. Może

dlatego, że nigdy nie wpada w taką pierdoloną ekstazę jak inni.
Ekstatyczni i miękcy Nie lubię tego. Germund jest zawsze ***cool.*** Mówi, że jedyne, co go tak naprawdę interesuje, to czysta matematyka i fizyczna miłość.
Doskonale rozumiem, co ma na myśli. ***Czysta matematyka i fizyczna miłość.*** Całe to uczuciowe skamlenie chlupo- czące pomiędzy tymi biegunami naprawdę mnie brzydzi. Ma w sobie to lepkie rozmemłanie, od którego robi mi się niedobrze. Ja w życiu wymagam precyzji.
Germund i ja spotykamy się tylko w ten sposób. On dzwoni albo ja. Pyta, czy się na chwilę spotkamy.
On przychodzi do mnie albo ja do niego. Najczęściej to drugie; pokój mam mały i przez ściany wszystko słychać, nawet jeśli udaje mi się nie jęczeć podczas orgazmów, moje życie płciowe nie jest tym, czym chciałabym się dzielić z rodziną Holmbergów, zajmującą pozostałą część domu. Choć pan Holmberg, który na imię ma Arne, na pewno uznałby to za podniecające. Nieraz rzucał mi spojrzenia, a pani Holmberg, której imienia nawet nie znam, wydaje się bardziej zainteresowana krosnem w garażu niż własnym mężem. Kiedy Germund i ja pieprzyliśmy się w moim wąskim łóżku po raz pierwszy, w końcu osiągnęliśmy ten sam rytm co jej stukanie. Albo może ona dostosowała się do nas, nie wiem. Oboje z Germundem uznaliśmy, że dodało to nieco pikanterii.
Choć, jak mówię, najczęściej przebywamy w dwóch pokojach Germunda przy Skóldungagatan. Pijemy trochę wódki, czasem czymś zagryzamy, ciastem, ogórkiem albo chrupkami serowymi, ale nigdy dużo, bo z pełnym żołądkiem źle się kocha. Potem się kochamy. Palimy i pijemy jeszcze trochę wódki. Znowu się kochamy. Kiedy mówię wódka, mam na myśli albo czystą, albo wódkę z odrobiną limonki. Germund ma czasami ochotę na sok

pomarańczowy, ale ja nigdy.
Rano nie jemy razem śniadania. Bierzemy tylko prysznic i mówimy pa, pa. Odkąd się poznaliśmy, spędziliśmy razem dziesięć czy jedenaście wieczorów i nocy, ale ani razu nie poszliśmy do kina ani nie wypiliśmy na mieście kawy. Po co mielibyśmy siedzieć przy kawie? - mówi Germund. Jeżeli zależy ci na takich słodkich chwilach, na pewno znajdziesz innych chętnych.
Przecież, kurwa, nigdy nie prosiłam, żebyśmy szli na kawę, odpowiadam.
Okej, mówi Germund. ***Sorty.***
Choć jednej nocy krzyczał.
Obudziłam się, ale on spał. Było wpół do piątej, śnił mu się koszmar i był zlany potem. Kiedy zapytałam go o to rano, powiedział, że pewnie tak było, bo czasem śnią mu się rodzice i młodsza siostra.
Cała trójka zginęła w wypadku samochodowym. Germund miał dziesięć lat, kiedy w ciągu jednej sekundy stracił całą swoją rodzinę. Nie, poprawka, musiało to trwać nieco dłużej, ponieważ wjechali do rzeki i się potopili. Nie rozmawialiśmy o tym, tak jak nie rozmawiamy o naszym dorastaniu i naszym życiu. Opowiedzieliśmy tylko pokrótce o sobie, i tyle.
Nie wiem, jak Germund zareagował, kiedy nagle został sam na świecie, ale myślałam o tym, jak ja bym to przyjęła.
Ciężko oczywiście powiedzieć, ale nie sądzę, żeby głęboko mną to wstrząsnęło.
Bardzo niewiele jest rzeczy, które są w stanie głęboko mną wstrząsnąć. Nie wiem, czy to dlatego, że jestem zła, ale lubię trzymać się prawdy.
Germund spotyka się z innymi młodymi kobietami, pewnie, że tak.
Jest niesłychanie przystojnym facetem. Poza tym najczęściej wygląda na smutnego, a one na to lecą. Mimowol-

nie budzi ich instynkt macierzyński. Czasami opowiadamy sobie o naszych podbojach, potrafimy się przy tym nieźle bawić. Kiedy opisałam mu, jak mi było z Berntem-Åkem, kolegą z roku, z którym przespałam się w grudniu po imprezie z okazji święta Łucji, dostał ataku śmiechu, który nie chciał ustąpić.
Wiem, że ja też jestem piękna, i poruszyłam ten temat z Germundem. Że poza czystą matematyką i miłością fizyczną istnieje może jeszcze trzecia stała - piękno.
Zgodził się z tym po chwili namysłu.
Nie chciałbym nie widzieć, jak mnie ujeżdżasz, powiedział. Chyba masz rację.
Wiem, że mam. Zawsze robimy to przy zapalonym świetle.
Ostatni raz w domu w Sundsvall byłam na Boże Narodzenie i nie sądzę, żebym pojechała tam wcześniej niż w sierpniu. Cały czerwiec i lipiec chciałabym popracować jako kelnerka w Profeten. Nie jestem pewna, czy dostanę tę pracę, ale mężczyzna, który ze mną rozmawiał, wydawał się przychylnie nastawiony. Większość innych dziewczyn, a romanistykę studiują prawie same dziewczyny, chce oczywiście pojechać na lato do Francji. Spędzenie jakiegoś czasu wśród samych Francuzów jest podobno ważne, ale mam to gdzieś. Nie wiem, czy jesienią będę robić kurs C, może zajmę się czymś innym.
Nie mam żadnych planów na życie, zawsze czułam, że umrę młodo, więc to nie ma większego sensu. Ale zostanę tu w Uppsali jeszcze kilka lat, to jedno jest jasne. Lubię to miasto.
Podoba mi się jego atmosfera. I anonimowość; mogę tu być, kim jestem, i nikt nie miesza się w moje sprawy. Jest tylu studentów, nie sposób znać każdego. Można wpaść do V-dala, Östgöta albo Värmlands i przedstawić się jako Clarissa von Platen z Dingle, studentka historii sztuki. Pies z kulawą nogą nie zaprotestuje. To mnie bawi.

Germund też tu zostanie, co mi oczywiście nie przeszkadza. Studiuje fizykę teoretyczną równolegle z matematyką, więc ma dwa razy większe tempo studiowania niż wszyscy inni. Może kiedyś też się na to zdecyduję. Wezmę się za dwa kierunki zamiast tylko jednego. Francuski naprawdę nie wymaga wiele wysiłku, a jedynie czasu, jaki poświęcam na przeczytanie tych wszystkich książek. Balzaka, Stendha- la, Zolę, mimo że tak naprawdę lubię tylko Maupassanta. Maupassantowi chyba by się spodobało to o czystej matematyce i fizycznej miłości.
Może też o pięknie.
Tomas i Gunilla spodziewają się dziecka. Zdradzili to w zeszłym tygodniu; byłam u nich zjeść domową pizzę i spróbować wina własnej roboty. Próbowałam udawać podekscytowaną, ale przynajmniej Tomas mnie przejrzał. Kiedy na chwilę zostaliśmy sami, zapytałam go, czy mają po kolei w głowie i czy nigdy nie słyszeli o środkach antykoncepcyjnych. On tylko pokręcił głową i obrzucił mnie tym swoim spojrzeniem starszego brata. Pełnym wyższości i oskarżycielskim. I to nie dziecko oskarżał, tylko mnie. Swoją pomyloną młodszą siostrę, która nie ma żadnych ludzkich uczuć.
- Róbcie sobie, jak chcecie - powiedziałam. - Tylko nie myślcie, że będę niańką.
- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - odparł Tomas.
- Okej - oznajmiłam. - No to gratulacje, w końcu każdy ma prawo żyć, jak mu się podoba.
- Nawet ty, wróbelku mój? - zapytał, próbując naśladować Astrid Lindgren.
Zwłaszcza ja, powiedziałam i zauważyłam, że jest niezadowolony z tego komentarza. Zawadzam mu i wcale mi to nie przeszkadza. Przeciwnie. Myślę też, że Gunilla trochę się mnie boi. Co również mnie nie martwi.
Tak czy siak, dziecko ma z niej wylecieć jesienią. Do tego czasu niejedno zdąży pójść źle.

12

Kiedy Barbarottiemu udało się w końcu usiąść z segregatorami Sandłina, było już wpół do dziesiątej wieczorem.

Kiedy jechał do domu, w samochodzie zadzwonił telefon; dzwoniła Marianne, by oznajmić, że musi zostać w szpitalu na nocną zmianę. Jedna z jej koleżanek się rozchorowała, a w kolejce do porodu czekało co najmniej sześć kobiet.

Pozostawało tylko przyjąć to do wiadomości; kim był, żeby stawać na drodze rodzącym kobietom? Młodzież tego kraju, jego przyszłość, jak zostało powiedziane. Z Jenny i Martinem ugotował kolację, z Johanem udało mu się naprawić szwankującą pralkę, przynajmniej tymczasowo, a później poświęci! jeszcze godzinę na przepytywanie Larsa z rewolucji francuskiej. Wydało mu się krzepiące, że w szkole nadal zajmują się rewolucją francuską, która, jeśli się nie mylił, nie zmieniła się od czasów, kiedy sam wkuwał to jako nastolatek.

Po tych wszystkich zajęciach powiedział dzieciom dobranoc. Wyjaśnił, że ma do wykonania delikatną policyjną robotę i potrzebuje chwili spokoju, zamknął drzwi do gabinetu, jaki dzielił z Marianne na piętrze, i wyciągnął materiały z 1975 roku.

W niedzielę wieczorem tylko rzucił okiem na te segregatory - nie wczytywał się w nie, jak pewnie sądziła Backman. Przerzucił je tylko, oglądając jednocześnie z rodziną stary angielski film szpiegowski z Michaelem Caine'em, który akurat leciał w telewizji. Biorąc pod uwagę fakty, które dzisiaj wypłynęły, chyba czas najwyższy zabrać się do dzieła nieco poważniej.

Naprawdę najwyższy czas. Minęły co najmniej dwie doby, a przypuszczalnie więcej, odkąd Germund Grooth zginął w wąwozie Gåsa, a Barbarotti, tak jak to powiedziała inspektor Backman, nie mógł uwierzyć, że chodzi o

wypadek. Prawdę mówiąc, nie przychylał się także do tezy o samobójstwie, nawet jeśli nie potrafi! podać przyczyn tego intuicyjnego osądu.
Ale może w tym, co wydarzyło się trzydzieści pięć lat temu, czyli w nagłej śmierci młodej i ponoć pięknej Marii Winckler w dawnym miejscu odejścia przodków, można znaleźć jakieś wskazówki. O ile w ogóle kiedykolwiek istniało coś takiego jak miejsca odejścia przodków, a to najwyraźniej dyskusyjna sprawa.
W tamtym czasie mieszkała z Germundem, to przynajmniej wiadomo na pewno. Niezaprzeczalne wydawało się również to, że jedna sprawa - ta z przeszłości - łączy się z drugą - obecną. Pytanie tylko brzmi, w jaki sposób.
Tylko? **-** pomyślał Barbarotti. Jakie ***tylko,*** do cholery.
Tak czy owak, Asunander spodziewał się jutro raportu, więc będzie go miał.
Sandlin był skrupulatnym skurczybykiem, delikatnie mówiąc, i Barbarotti wiedział o tym już wcześniej. Zielone segregatory miały spisy treści i zawierały aż szesnaście tekstów przesłuchań (sześcioro ocalałych uczestników nieszczęsnej wyprawy na grzyby plus dziesięć innych, na razie nieznanych Barbarottiemu osób), wyniki obdukcji, raport z przeszukania miejsca zdarzenia i parę innych rzeczy. Na przykład osobiste bieżące komentarze Sandlina do spraw)'.
Było ich łącznie osiem, pierwszy datowany na 29 września 1975 (dzień po zdarzeniu), ostatni na 22 grudnia tego samego roku.
Dwa dni przed Wigilią, pomyślał Barbarotti. Zajmował się tym przez trzy miesiące.
Do momentu, aż dał za wygraną i stwierdził, że najbardziej prawdopodobny jest jednak wypadek. Albo przynajmniej, że nie udało mu się udowodnić czegoś innego.
Barbarotti wiedział jednak, że Sandlin musiał coś podejrzewać. Nawet będąc skrupulatnym skurczybykiem, nie

poświęca się trzech miesięcy komuś, kto spadł do wąwozu. To nie miało sensu. Poza tym część przesłuchań przeprowadzono dopiero w listopadzie i grudniu, a więc sprawa nie rozeszła się po kościach, jak to czasem bywa. Sandlin aktywnie nad nią pracował przez cały czas, aż do Bożego Narodzenia. Decyzja o zakończeniu śledztwa, ostatni dokument w segregatorze, była opatrzona datą 9 stycznia 1976.
Do tego wszystkiego, zauważył Barbarotti, Sandlin sam przeprowadził wszystkie przesłuchania; oczywiście w obecności kolegi, jak wymagają przepisy, jednak najwidoczniej lubił mieć całkowitą kontrolę. Wszystko wskazywało na to, że niewiele oddawał w ręce przypadku, a zgoła nic w ręce innych ludzi. Z pewnością niezbyt miły we współpracy, pomyślał Barbarotti. Taki staroświecki, uparty mękoła, który polega tylko na sobie, a i to nie bardzo.
Odchylił się do tyłu na krześle i zaczął zastanawiać, jak to jest z nim samym. Ile lat pozostało mu jeszcze do stadium mękoły? I którym kolegom ufał, kiedy kończyły się żarty?
Pierwsze pytanie odłożył na później. Godnych zaufania ludzi mógł wskazać dwoje: Backman i Asunandera. Asunander był, rzecz jasna, zarówno mękołą, jak i uparciuchem - przeważnie złą karykaturą tego, jak powinien zachowywać się szef - ale miał swego rodzaju intuicję, która rzadko zawodziła. Trzeba mu to przyznać, pomyślał Barbarotti. I że trzy lata temu znalazł człowieka z Mousterlin. Tylko to.
A Backman? Wiadomo. Komentarz zbyteczny.
Inspektor Borgsen. Powszechnie znany jako Smutas z uwagi na ponure usposobienie, był zawsze sumienny i obowiązkowy, a ponadto potrafił pracować całą dobę - przynajmniej do chwili, kiedy został ojcem - brakowało mu jednak tego, co miał Asunander. Intuicji. Nosa.
Potrafił jednak wytropić zbiegłego złodzieja na pustyni, jeśli była taka potrzeba.
Po co ktoś miałby tropić złodzieja na pustyni?

Gunnar Barbarotti westchnął, pochylił się nad biurkiem i wrócił do segregatorów Sandlina. Można równie dobrze zacząć od przesłuchań, pomyślał, przewrócił kartkę i zabrał się do lektury.

Przesłuchanie Germunda Grootha. Komisariat policji w Kymlin- ge. 29.09.1975. Godzina 13.30. Obecni: inspektor kryminalny Evert Sandlin, asystent kryminalny Sigvard Malmberg.

ES: Czy mogę prosić o podanie nazwiska i adresu?
GG: Germund Grooth. Söderbyvägen 32C.
ES: Dziękuję. Czyli tutaj w Kymlinge?
GG: Tak.
ES: Przykro mi z powodu pańskiej straty. Ale, jak pan zapewne wie, musimy zbadać okoliczności tej tragicznej śmierci. Chyba pan to rozumie?
GG: Tak, rozumiem.
ES: Dobrze więc. Ze zmarłą Marią Winckler pozostawał pan w tak zwanym konkubinacie. Zgadza się?
GG: Tak jest.
ES: Jak długo byliście razem?
GG: Cztery, pięć lat. Zależy, jak liczyć.
ES: Doprawdy? Jak długo mieszkaliście pod jednym dachem?
GG: Jakieś trzy lata.
ES: Gdzie pan pracuje?
GG: W szkole Kymlingevik.
ES: A pani Maria gdzie pracowała?
GG: W tej samej szkole.
ES: Czyli dwoje nauczycieli?
GG: Tymczasowo tak.
ES: Co to znaczy tymczasowo?
GG: Że nie miało tak być zawsze.
ES: Tyle i ja zrozumiałem. Proszę rozwinąć.
GG: Zatrudniliśmy się w tej samej szkole. Ona uczyła

angielskiego i francuskiego. Ja matematyki i fizyki. Ale żadne z nas nie jest… nie było… z wykształcenia nauczycielem.
ES: Mieszkacie w Kymlinge bardzo krótko, prawda?
GG: Wprowadziliśmy się na Söderbyvägen 1 sierpnia.
ES: Rozumiem. Jeszcze raz wyrażam współczucie z powodu tego tragicznego zdarzenia, lecz chciałbym teraz porozmawiać o tym, co tak naprawdę wydarzyło się w niedzielę.
GG: Rozumiem. Jak już powiedziałem.
ES: Dobrze. A więc wybraliście się na wycieczkę z grupką przyjaciół. Mógłby mi pan może coś o tym powiedzieć?
GG: Co pana interesuje?
ES: Kto był na wycieczce. Skąd się znaliście. Kto wpadł na ten pomysł.
GG: Było nas siedmioro. Trzy pary, które się czasem spotykają. Plus kobieta, z którą także pracuję w szkole.
ES: Rozumiem. A więc kto był na wycieczce?
GG: Maria i ja. Brat Marii Tomas i jego żona Gunilla, mieszkają w Göteborgu. Oraz Rickard i Anna Berglundowie. On jest pastorem w Rödåkra, w sobotę wieczorem byliśmy u nich na plebanii.
ES: To razem sześć osób. Kto był siódmy?
GG: Elisabeth Martinsson. To ta ze szkoły.
ES: Czy ona też była tam w sobotni wieczór?
GG: Nie. I nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Moja dziewczyna spadła do wąwozu i nie żyje. Dokąd pan zmierza?
EE: Chcę wykluczyć pewne możliwości.
GG: Jakie?
EE: Inne niż wypadek. Wie pan, że kilka osób słyszało, jak, spadając, coś krzyknęła.
GG: Tak, wiem. Też słyszałem, jak krzyczy. Nie usłyszałem jednak co.
ES: Czy mógłby pan opisać ten jej krzyk?

GG: To było coś nieartykułowanego.
ES: Żadnych słów?
GG: Ja nie wyłapałem. Znajdowałem się w dość dużej odległości.
ES: Jak dużej?
GG: Nie wiem.
ES: Mógłby pan oszacować?
GG: Powiedziałbym, że jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście metrów. Spory kawałek od krawędzi.
ES: Nie widział jej pan?
GG: Nie.
ES: A kogokolwiek innego w chwili, kiedy to się stało?
GG: Nie.
ES: Dlaczego?
GG: Ponieważ byłem w dosyć gęstym lesie. Głównie młode świerki, właściwie na żadną stronę nie miałem dobrego widoku. Szukałem grzybów... jak pozostali. Wydaje mi się, że byliśmy dość rozproszeni.
ES: Dość rozproszeni?
GG: Tak. Byłoby bez sensu, gdyby wszyscy szukali w tym samym miejscu.
ES: Ile czasu już zbieraliście, kiedy to się wydarzyło?
GG: Trochę ponad godzinę. Umawialiśmy się, że o pierwszej wypijemy kawę. To się stało kilka minut po dwunastej.
ES: Czy znalazł pan jakieś grzyby?
GG: Nie. Ale szukałem właściwie tylko kurek.
ES: Nie wie pan, czy pozostali coś znaleźli?
GG: Chyba Annie udało się znaleźć trochę. Może też Elisabeth, nie wiem.
ES: Czy często miał pan kontakt z dziewczyną w ciągu tej godziny w lesie?
GG: Nie. Na początku szliśmy w tę samą stronę, ale później się rozdzieliliśmy.
ES: Dużo pan z nią rozmawiał?

GG: Prawie wcale, tylko w samochodzie.
ES: Czyli jechaliście razem?
GG: Tak, z pozostałymi spotkaliśmy się przy skałkach Rute stenar. Jest tam parking, więc ustaliliśmy, że stamtąd zaczniemy.
ES: Czy ustalaliście jakiś plan przed wyjściem do lasu?
GG: Nie. Tylko to, że o pierwszej zjemy prowiant. Zostawiliśmy go w jednym miejscu i mieliśmy tam zamiar wrócić.
ES: I tylko tyle?
GG: Tak.
ES: Jak daleko, mniej więcej, odeszliście od parkingu?
GG: Niedaleko. Może kilometr.
ES: A i tak nie widział pan nikogo, kiedy to się stało?
GG: Nie. Już mówiłem.
ES: O czym rozmawialiście w samochodzie?
GG: O niczym szczególnym.
ES: Mógłby pan sprecyzować?
GG: Nie.
ES: Zapamiętam to. Z kim jeszcze rozmawiał pan podczas zbierania grzybów?
GG: Z nikim.
ES: Z nikim?
GG: Może zamieniliśmy kilka słów na początku.
ES: I?
GG: I potem się rozdzieliliśmy. To chyba zrozumiałe, prawda?
ES: Pewnie tak. Kiedy to się stało, ile czasu upłynęło od momentu, kiedy ostatni raz widział pan któregoś z towarzyszy?
GG: Nie pamiętam.
ES: Proszę się chwilkę zastanowić.
GG: Wydaje mi się, że pięć, dziesięć minut wcześniej widziałem Marię i Elisabeth.
ES: Razem?

GG: Nie, oddzielnie.
ES: Ale z żadną z nich pan nie rozmawiał?
GG: Nie.
ES: I kiedy usłyszał pan krzyk pani Marii, była godzina dwunasta?
GG: Tak, z minutami.
ES: Co pan wtedy zrobił?
GG: Poszedłem tam, rzecz jasna.
ES: I?
GG: Wszyscy tam oczywiście poszliśmy.
ES: Czy pamięta pan, kto już był na miejscu?
GG: Tylko Elisabeth. Ja i Rickard nadeszliśmy mniej więcej w tym samym czasie, choć z różnych stron. Elisabeth była wstrząśnięta, zrozumiałem, że coś musiało się stać.
ES: Co pan zrobił?
GG: Pobiegłem. Elisabeth wskazywała dół wąwozu.
ES: Proszę mówić dalej.
GG: Spojrzałem i zobaczyłem, jak tam leży. Czy naprawdę musimy przez to przechodzić, rozmawialiśmy przecież o tym już wczoraj.
ES: Rozumiem, że to może być dla pana trudne. Proszę dać znać, jeśli potrzebuje pan przerwy.
GG: Nie chcę żadnej przerwy. Chcę mieć to za sobą tak szybko, jak to możliwe.
ES: W porządku. Cofnijmy się trochę, mówił pan, że spotkaliście się w sobotę wieczorem u państwa Berglundów. Czy to wtedy pojawił się pomysł wycieczki?
GG: Nie, chyba już wcześniej.
ES: Proszę rozwinąć.
GG: Nie rozumiem, jak miałbym to rozwinąć.
ES: Rozumie pan.
GG: Bzdury. Zdecydowaliśmy, że ten weekend spędzimy razem. Rickard i Anna przeprowadzili się tu, do Kymlinge, i my też. Jesteśmy dawnymi znajomymi z Uppsali, wszyscy

tam razem studiowaliśmy. A Wincklerowie, Tomas i Gunilla, przyjechali z Góteborga. Jak już mówiłem.
ES: A plan był taki, że spotkacie się w sobotę wieczorem, a w niedzielę pojedziecie na wycieczkę?
GG: Zgadza się. Widzi pan w tym coś dziwnego?
ES: Zupełnie nic. Chcę tylko znać każdy szczegół.
GG: Żeby móc wykluczyć pewne możliwości?
ES: Otóż to. A ta siódma uczestniczka, Elisabeth Martinsson, jak się tam znalazła?
GG: To tylko koleżanka ze szkoły. Maria mówiła jej o naszej wycieczce do lasu i Elisabeth prosiła, zdaje się, żeby ją zabrać. Pracuje tu od niedawna i nie ma samochodu.
ES: Jak się dostała do lasu?
GG: Razem z innymi. Mieszka chyba po drodze, więc pewnie ją zabrali.
ES: Rozumiem. Wróćmy zatem do sobotniego wieczoru. Jak on upłynął?
GG: Upłynął spokojnie.
ES: Mógłby pan sprecyzować?
GG: Nie ma tu co precyzować. Zjedliśmy kolację, rozmawialiśmy, Tomas i Gunilla nocowali na plebanii. Maria i ja jakoś koło dwunastej pojechaliśmy do domu.
ES: Kto prowadził?
GG: Dlaczego pan o to pyta?
ES: Bardzo bym prosił, żeby pan nie odpowiadał pytaniem na pytanie. Dzięki temu szybciej skończymy.
GG: Wzięliśmy taksówkę. Oboje piliśmy wino.
ES: Rozumiem. A jaka była atmosfera tego wieczoru?
GG: Dobra.
ES: Żadnych zgrzytów?
GG: Żadnych zgrzytów.
ES: A pan jak myśli, co stało się w wąwozie Gåsa?
GG: Jak ja myślę? Myślę oczywiście, że musiała źle stanąć i dlatego spadla. Pańskie próby wmówienia mi czegoś innego

są pozbawione sensu.
ES: Rozumiem. Kiedy zdał pan sobie sprawę, że ona nie żyje?
GG: Jak tylko ją zobaczyłem.
ES: Skąd miał pan pewność?
GG: Spadla dwadzieścia pięć metrów w dół prosto na stertę kamieni. Jasne, że nie żyła.
ES: Ale nie widział pan, jak spada?
GG: Nie.
ES: A ktoś inny?
GG: Czy widział, jak spada?
ES: Tak.
GG: Nie, nikt tego nie widział.
ES: Skąd pan wie?
GG: Rozmawialiśmy o tym, ma się rozumieć. Mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy, zanim przyjechała policja.
ES: Mniej więcej ile czasu?
GG: Chyba godzinę. Tomas poszedł do pobliskiego domu. I stamtąd zadzwonił. My zostaliśmy na miejscu i czekaliśmy.
ES: I rozmawialiście o tym, co się stało?
GG: A co innego mieliśmy robić? Rozmawiać o polityce? ES: I do czego doszliście?
GG: Do tego oczywiście, że spadła.
ES: Nikt nie był innego zdania?
GG: Nie.
ES: Gdzie się znajdowaliście podczas waszej rozmowy? GG: Na dole. Koło ciała.
ES: Nie było trudno tam się dostać?
GG: Ani trochę. W pół minuty dało się tam zejść ścieżką. ES: Rozumiem. Kilka osób słyszało jednak jej krzyk? GG: Tak.
ES: Czy ktoś usłyszał, co krzyknęła?
GG: Raczej nie. Wszyscy to słyszeli, Annie i Elisabeth wydawało się, że było to długie e.

ES: Długie e?
GG: Tak.
ES: Jak w słowie „śmieeerć”?
GG: Na przykład. Czy nie możemy tego przerwać? To nie wydaje się zbyt sensowne. Właśnie zginęła moja dziewczyna. Nie podoba mi się, że muszę przez coś takiego przechodzić.
ES: Doskonale rozumiem, że to dla pana przykre. Niestety, nie mam wyboru. Jak wam się układało w związku?
GG: Co pan przez to rozumie?
ES: Czy był to dobry związek, czy często się kłóciliście?
GG: Odkąd się poznaliśmy, Maria i ja nie pokłóciliśmy się ani razu.
ES: Mam to potraktować poważnie?
GG: Może pan to traktować, jak chce.
ES: Relacje w całej grupie też były tak nienaganne?
GG: Proszę zapytać innych. W każdym razie Maria i ja nic do żadnego z nich nie mieliśmy.
ES: I żadne z nich nie miało nic do was?
GG: Mnie proszę o to nie pytać.
ES: Elisabeth Martinsson, jak dobrze pan ją zna?
GG: W ogóle jej nie znam. To Maria prosiła ją, by pojechała.
ES: Miała lęk wysokości?
GG: Hę?
ES: Maria. Chciałbym wiedzieć, czy miała lęk wysokości.
GG: Nie, niespecjalnie.
ES: Nie miewała zawrotów w głowy?
GG: Nie.
ES: Czy potrafi pan wytłumaczyć, dlaczego spadła do wąwozu Gåsa?
GG: Nie. Już pan o to pytał.
ES: Miała depresję?
GG: Nie, nie miała depresji. Przepraszam, ale chyba mam tego dosyć. Jeśli chce pan dalej zadawać tego typu pytania,

życzę sobie adwokata.
ES: Adwokata? A to niby dlaczego?
GG: ***(Brak odpowiedzi)***
ES: No dobrze, panie Grooth. Z pewnością będę jeszcze chciał z panem porozmawiać. Przykro mi, jeśli było to dla pana bolesne, ale na pewno pan rozumie, że musimy być dokładni. Chodzi, bądź co bądź, o przypadek niewyjaśnionej śmierci.
GG: Nie trzeba nic więcej tłumaczyć, jeśli o mnie chodzi. Czy mogę już iść?
ES: Jeszcze tylko jedno. Czy mógłby pan zaznaczyć na tej mapie, gdzie pan był w chwili wypadku.
(GG zaznacza. Czas: mniej niż dziesięć sekund)
ES: Dziękuję, może pan iść. Przesłuchanie się kończy, jest 13.48.
Osiemnaście minut, stwierdził Barbarotti, zerkając na początek. Tylko tyle trwało przesłuchanie.
Lektura jego zapisu potrwała jeszcze krócej. Dziesięć do jedenastu minut. Być może Sandlin pominął w nim niektóre pytania i odpowiedzi. Sam przepisał tekst na czysto i wszyscy trzej obecni go podpisali.
Czy jednak Germundowi Groothowi chciało się go przeczytać? Pewnie nie. A ten cały asystent... Malmberg... nie, najprawdopodobniej także tego nie zrobił. Pokazałby w ten sposób brak zaufania do przełożonego, a Sandlin raczej nie był człowiekiem, z którym chciałoby się mieć na pieńku.
Dlaczego to roztrząsam? - pomyślał Barbarotti. Dlaczego staram się postawić dawno nieżyjącego kolegę w złym świetle?
Może dlatego, że przesłuchanie było takie zimne. Krył się w nim ton, którego nie mógł do końca zrozumieć. Grooth właśnie stracił dziewczynę, nie było chyba powodu, żeby przeprowadzać je tak ostro. Tak jakby Sandlin go podejrzewał. Reakcja Grootha była raczej uzasadniona; Barbarotti

próbował sobie wyobrazić, jak sam przeprowadziłby takie przesłuchanie, i choć nie był jeszcze zbytnio obeznany ze sprawą, miał pewność, że zrobiłby to inaczej. Z nieco mniejszą agresją, to przecież byłoby bardziej naturalne? Odrobinę delikatniej.
Chyba że Sandlin przyjmował za pewnik, że to tu jest pies pogrzebany. Ze w śmierci Marii Winckier coś się nie zgadza. I że podejrzewał to od samego początku. Sandlin nie żył od dwunastu lat. Szkoda, pomyślał Barbarotti. Nie miałbym nic przeciwko małej pogawędce z nim. A może ten Malmberg jeszcze żyje? Warto to przynajmniej sprawdzić.
Zobaczył, że właśnie minęło wpół do jedenastej. No dobra, pomyślał, filiżanka czarnej kawy i kolejne dwa przesłuchania.

13

Gdyby Anna Jonsson wybrała buty na niższym obcasie, wszystko byłoby inaczej.
Jakkolwiek by na to patrzeć, jakie defetystyczne czy polityczne punkty widzenia przyjmować, tak to właśnie wyglądało. Na początku ich związku, latem 1970 roku, oboje lubili mówić o tym osobliwym fakcie; była to w pewien sposób ich prywatna historia, której trudno było nie pielęgnować i nie przywoływać wciąż od nowa. Zwłaszcza w pewne wieczory, pewne blade godziny, kiedy nie ma zbyt wielu innych tematów do rozmowy. Kiedy wszystko to, co powinno i zwykle było proste i naturalne, nagle zdawało się skomplikowane i trudne. Bywały takie chwile, Rickard odkrył to już na bardzo wczesnym etapie ich związku, wiedział jednak, że musi tak być.
Albowiem Rickard Berglund i Anna Jonsson różnili się od siebie, nikt nie mógłby twierdzić inaczej, i po raz pierwszy w życiu Rickard zrozumiał, co to znaczy, że przeciwieństwa się przyciągają. Ona może też to zrozumiała, zwykle zakładał,

że tak jest, oboje jednak w sprawach miłosnych byli amatorami i trudno im było cokolwiek wiedzieć na pewno.
Ich drogi skrzyżowały się we wtorkowy wieczór pod koniec kwietnia. Tego dnia, w drodze wyjątku, Rickard nie miał wieczornej służby i poszedł z Helgem na miasto. Nie pamiętał, czy mieli jakąś konkretną sprawę, czy tylko zamierzali napić się kawy w Guntherska, czy zjeść kiełbasę z purée ziemniaczanym w Nybrogrillen. Może przespacerować się i zobaczyć, czy w Lundequistiska albo którymś z antykwariatów nie ma ciekawych przecenionych książek, to był ich stały zwyczaj.
Wpadli w każdym razie na chwilę do Bok-Viktora na Drottninggatan. W zasadzie było już po godzinach otwarcia, ale legendarny Viktor Persson nie należał do tych, którzy z zegarkiem w ręku wyganialiby klientów. Dopiero kiedy wyszli z zabałaganionego antykwariatu, zauważyli demonstrantów idących od strony Slottsbacken. Pewnie w kierunku Vaksala torg, to była zwyczajowa trasa. Transparenty i okrzyki też były takie jak zwykle. Przynajmniej o ile Rickard się orientował. Dotyczyły Wietnamu, dotyczyły Afryki Południowej i czegoś, co nazywało się PRO-K - ani Helge, ani Rickard nie wiedzieli, co to jest.
Stali na chodniku, obserwując mijających ich lewicowców. Owych młodych ludzi silnej wiary. Rickard czytał o podjętej przez profesora Hedeniusa próbie zestawienia marksizmu z chrześcijaństwem - odrzucał jedno i drugie, i to z tych samych powodów, o ile Rickard dobrze zrozumiał. Zaczął się zastanawiać, czy nie zaopatrzyć się w tę książkę. Czy wśród tych wszystkich rytmicznie maszerujących i skandujących hasło za hasłem mogli być wierzący? Oto jest pytanie. I tu, i tu wiara? A jeśli tak, w jaki sposób oni myślą? O duchownych marksistach w Ameryce Łacińskiej też czytał. Jak to się łączy? Opium dla mas i takie tam.
Stał tak, pogrążony w myślach, kiedy nagle jedna z masze-

rujących dziewcząt zachwiała się, krzyknęła z bólu i upadła. Czy raczej upadłaby, gdyby Rickard przytomnie jej nie złapał.
Albo może wpadła mu prosto w ramiona? Tego pierwszego lata będą często powracali do tego momentu, zastanawiając się, czy w ogóle zareagował, czy też ona, by tak rzec, po prostu mu się przytrafiła. Oczywiście stanowiło to pewną różnicę, przynajmniej w ich wewnętrznym symbolicznym świecie. Tak czy inaczej, pomógł jej usiąść na krawężniku i sam usiadł obok.
- Co się stało?
Jęcząc, pocierała lewą kostkę.
-Aj, aj, aj, aj, aj!
- Boli?
- Jak jasna cholera! Pewnie ją skręciłam! Aj, aj, aj!
Demonstranci posuwali się naprzód. Spróbowała stanąć na nogi, ale klapnęła z powrotem.
- Noż, cholera. Nie mogę iść dalej.
Spojrzał na nią ukradkiem. Miała krótko obcięte, ciemnobrązowe włosy. Pociągłą twarz i duże, teraz trochę załzawione oczy. Zrozumiał, że stopa musi ją mocno boleć.
Była drobna i delikatna. Miała na sobie luźną bawełnianą kurtkę i arafatkę, typowe atrybuty demonstrantów. Do tego czerwone sztruksowe spodnie. Była nieumalowana.
Buty miały niewielki obcas. Może chciała wydawać się odrobinę wyższa, pomyślał Rickard. Od razu pojął, że to przez ten obcas krzywo stanęła. Siedziała, nie odzywając się, patrzyła tylko na stopę. Delikatnie pocierała ją dłońmi, pojękując z cicha. Rickard zauważył, że Helge nadal stoi z tyłu za nimi, jest jednak zbyt nieśmiały, by zareagować.
Nikt inny też nie zareagował. Tylko Rickard Berglund siedział na krawężniku z ową nieznaną ofiarą obuwia i myślał, co by tu powiedzieć.
- Chcesz spróbować się podnieść? Mogę cię podtrzymać.

- Dzięki. Chyba najpierw muszę trochę odpocząć.
- A demonstracja? Czy chcesz...?
- Mam ich gdzieś. Ty też szedłeś czy...?
- Nie, tylko patrzyłem.
- Rozumiem. Nie, z taką stopą nie mogę chyba iść na Vaksala torg.

Zdjęła but. Rickard zobaczył, że kostka zdążyła już porządnie spuchnąć. Minęli ich ostatni demonstranci, dziewczyna wytarła oczy arafatką i nachyliła się do niego.

- Wybacz, ale chyba będę musiała prosić, byś pomógł mi wstać.

Pomógł. Próbowała stanąć na nodze, ale nie udało się. Ból wykrzywił jej twarz i zaczęła jęczeć.

- Pojadę z tobą do szpitala. Weźmiemy taksówkę.

Zaczął prosić Helgego, żeby spróbował jakąś złapać, ale natychmiast zaprotestowała. - Nie, nie, nie ma potrzeby. To przecież tylko zwichnięcie, do jasnej ciasnej. Ale ja... dobrze by było, gdyby...

- Tak?
- Gdybyś mógł mi trochę pomóc.
- Jasne - odparł Rickard. - Gdzie mieszkasz?
- Przy Glimmervägen.
- Glimmervägen? Nie bardzo wiem...?
- Na Eriksbergu. No przecież jesteś studentem, musisz wiedzieć, gdzie leży Eriksberg.
- Nie jestem studentem - powiedział Rickard. - Jestem w wojsku.
- Naprawdę? Przepraszam. W każdym razie, gdybyś mógł mi pomóc wejść na wzgórze, pod Caroliną wsiadłabym w autobus.

Spróbował ją podtrzymać, biorąc pod łokieć, ale nie wyszło to najlepiej.

- Chyba...
-Tak?

- Chyba będzie najlepiej, jeśli złapiesz mnie za szyję.
Zdjęła także drugi but, włożyła je do obu kieszeni
I oparła się na jego ramieniu. Zaczęli ostrożnie kuśtykać chodnikiem w stronę wzgórza. Ona boso, on w czarnych chodakach. Po chwili sam objął ją w talii. Kiedy to zrobił, poczuł, jak coś w nim wibruje. Nie wiedział, co to, ale wibrowało jak trzeba.
- Jak masz na imię? - zapytał.
- Anna. A ty?
- Rickard.
- Rickard. Gdzie poszedł twój kolega?
Rickard obejrzał się za Helgem, ale jego nie było.
- Nie wiem. Pewnie wrócił do jednostki. A ty nie szłaś w marszu z jakimiś kolegami?
Skrzywiła się.
- Jasne. Było nas kilkoro.
Poczekał, aż rozwinie temat, ale tego nie zrobiła. Wydało mu się trochę dziwne, że nikt z pozostałych demonstrantów nie zatrzymał się i jej nie pomógł. Nie podtrzymał, kiedy się przewracała. Choć na jednym z wielkich transparentów było napisane „Solidarność", białe litery na czarnym tle. Zastanawiał się, czy jej o to nie zapytać, ale pomyślał, że mogłaby to odebrać jako prowokację. A on nie chciał jej prowokować. Przeciwnie, chciał zatrzymać to wibrujące, ciepłe uczucie i myślał, co zrobić, by na przystanku nie nastąpił przykry koniec.
Nie mówiła wiele. Tylko trzymała go i kuśtykała, było widoczne, że już tak bardzo nie boli, tylko nie chce przeciążać stopy. Po kilku minutach dotarli na przystanek, zaczęła studiować rozkład i stwierdziła, że do następnego autobusu jest jeszcze kwadrans.
Usiedli na ławce.
- Już sobie poradzę. Nie musisz się dłużej mną zajmować.
- Pojadę jeszcze z tobą autobusem.

- Nie trzeba.
- I tak nie mam nic do roboty.
- Na pewno masz.
- Tak, ale nic lepszego.
Roześmiała się.
- Prawdziwy z ciebie dżentelmen.
On też się roześmiał.
- To coś złego?
- Nie. Ale ja... jestem przyzwyczajona do samodzielności.
- Nie mogłabyś teraz zrobić wyjątku?
Zawahała się na moment. Potem skinęła głową.
- Jeżeli na pewno nie odrywam cię od czegoś ważnego.
- Na pewno.
- Jezu, popatrz! - Pokazała stopę. - Jest teraz wielkości głowy.
- Obłożymy lodem, jak już będziemy u ciebie. A przynajmniej pomoczymy w zimnej wodzie.
Skinęła głową:
- Znasz się na rzeczy.
- W wojsku mamy zajęcia pierwszej pomocy.
- Uczycie się nie tylko zabijania?
- Nigdy nie będę nosił broni.
- Ach tak? To dlaczego jesteś w wojsku. Jeżeli nie zamierzasz walczyć na poważnie.
- Sam nie wiem. To jakieś doświadczenie. Ale nie wyobrażam sobie, żebym mógł zabijać. - Wzruszył ramionami.
- Okej. No to mam nadzieję, że nie będziesz musiał.
- Mhm.
Siedzieli przez chwilę w milczeniu, przyglądając się jej opuchniętej stopie.
- Rickard, dziękuję, że mi tak pomagasz. Na Eriksbergu też będziesz musiał mnie przez chwilę poholować. Mówię, żebyś wiedział. Od przystanku do domu jest co najmniej dwieście metrów.

- Nie ma problemu. W wojsku mamy też ćwiczenia fizyczne. Mogę cię tam zanieść, jeśli chcesz.
Zaśmiała się znowu.
Lubię ją, pomyślał Rickard Berglund. 1 czuję, że ona też mnie nie uważa za jełopa. Pomyśleć, że wszystko idzie tak szybko.
Byle się równie szybko nie skończyło.
Przy Glimmervägen na Eriksbergu spędził cały wieczór. Anna Jonsson mieszkała w jednopokojowym mieszkaniu z balkonem wychodzącym na miejski las. Rickard pomógł jej schłodzić stopę i założyć opatrunek. Siadła na kanapie ze stopą na podwyższeniu i instruowała go, kiedy parzył herbatę i przygotowywał kanapki na gorąco. Szynka, ser
I pomidor, nic wymyślnego. Wieczór był niebywale ciepły jak na tak wczesną porę roku, siedzieli więc na balkoniku. Wyszedł od niej po jedenastej.
Podziękowała za pomoc i przytuliła go. Kiedy to zrobiła, stał w ciasnym przedpokoju na jednej nodze, pomyślał, że trzymała go w objęciach odrobinę dłużej, niż należało. Kilka takich sekund, które mogą znaczyć wszystko, choć równie dobrze nic.
Dostał jednak jej numer telefonu i obiecał, że wieczorem następnego dnia zadzwoni zapytać, co u niej.
Na przykład czy pojechała do pracy. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Akademiska, choć prawdopodobnie przez noc nie wydobrzeje na tyle, by móc się jutro zajmować pacjentami. Lepiej, żeby sama pobyła trochę pacjentką; obiecała mu, że jeśli zajdzie potrzeba, pójdzie do przychodni na Västertorg. W końcu może to być coś gorszego niż zwichnięcie.
Do jednostki wracał przez miejski las i zauważył, że idzie mu się lekko. Był wypełniony tym, co się stało, a jednocześnie wiedział, że nie stało się zbyt wiele. Nie w takim sensie, ale gdyby ktoś z kolegów z sali zapytał, jak spędził wieczór,

będzie mógł odpowiedzieć, że był na Eriksbergu u takiej jednej dziewczyny. I nie będzie musiał kłamać.
Miał nadzieję, że ktoś zapyta. Ktoś oprócz Helgego, który oczywiście musi się zastanawiać, jak poszło.
Właściwie trochę o sobie powiedziała. W przeciwieństwie do wielu młodych ludzi, których poznał w Uppsali, urodziła się w mieście. Jej rodzice mieszkali w Salabackar, po drugiej stronie autostrady Tycho Hedéna. Miała dziewiętnaście lat, z domu wyprowadziła się po pierwszym roku liceum (dwuletniego, o profilu nauk społecznych). Niecały rok pracowała w Akademiska, ale doszła do wniosku, że chce być dziennikarką, obecnie pisała artykuły dla kilku lewicowych pism, .yietnambulletinen", „Clarte" i kilku innych; aktywny politycznie był przede wszystkim jej chłopak, ona mu w zasadzie pomagała... albo ***były*** chłopak, nie powiedziała tego wprost, ale Rickard zrozumiał to tak, że ich związek się rozpadł. Tak czy inaczej, ostro się pokłócili.
- Brał dziś wieczorem udział w marszu? - zapytał, a ona skinęła głową, nic nie dodając.
Nie powiedziała, jak on ma na imię, i nawet to Rickard odebrał jako dobry znak. Gdyby naprawdę miała chłopaka, wspomniałaby przecież przynajmniej, jak ma na imię? o wszystkim innym opowiadała: o rodzicach, o dwóch braciach, o nudnej i ciężkiej pracy w wielkim szpitalu. Zostało jej jednak już tylko kilka miesięcy. Jesienią zacznie studiować dziennikarstwo w Sztokholmie. Co prawda nie była jeszcze pewna, czy się dostała, ale najwyraźniej miała duże szanse.
Rickard wahał się przez chwilę, nim powiedział, że będzie studiował teologię, pomyślał, że ten kierunek nie jest zbyt popularny w kręgach lewicowych - opium dla ludu i tak dalej - ale ona go nie wyśmiała. Powiedziała, że rodzice są ateistami, przynajmniej tak jej się wydawało, o tych sprawach nigdy się u nich nie rozmawiało. Typowi starzy

socjaldemokraci, stwierdziła, ojciec był aktywny w związkach, ale z czasem mu się znudziło. Rodzice byli poza tym starzy, tata na emeryturze; miała dwóch braci, jeden był dziesięć lat starszy, drugi dwanaście.
- Późne dziecko - powiedziała. - Chyba mnie nie chcieli, w każdym razie nie byłam planowana.
- I nigdy nie wierzyłaś?
- Może kiedy byłam mała - odparła. - Chodziłam do szkółki niedzielnej, choć tata uważał to za drobnomiesz- czańskie i śmieszne. Zaczęłam nawet nauki do konfirmacji, ale przerwałam.
- Dlaczego?
- Właściwie to nie wiem. Coś tam nie grało. Może pastor, który nas przygotowywał, nigdy nie potrafiłam go zrozumieć i... no właśnie, jeśli kiedykolwiek miałam jakąś wiarę, to ją straciłam.
- Większość bierzmowanych nigdy jej chyba nie miało - powiedział Rickard.
To wtedy na chwilę położyła mu dłoń na ramieniu.
- Masz absolutną rację - powiedziała. - Większość w nic nie wierzy.
- A ty w co wierzysz? - zapytał. Ociągała się z odpowiedzią.
- Teraz akurat w niewiele - powiedziała w końcu ze smutkiem w głosie. Teraz sama jestem taka jak oni, ale czasami ważniejsze jest samo stawianie pytań niż poszukiwanie odpowiedzi. Wiem, brzmi to może trochę dziwnie, nic na to nie poradzę.
- Wcale nie uważam, żeby to brzmiało dziwnie - zapewnił ją, a potem rozmawiali chwilę o wojnie w Wietnamie
I ogólnej sytuacji na świecie.
O niesprawiedliwościach, o biedzie, o socjalizmie. Zauważył, że jest oczytana, zna mnóstwo skrótów nazw ruchów wolnościowych i partii, o których nigdy nie słyszał, ale jednocześnie nie wydaje się zapaloną orędowniczką swoich

politycznych przekonań. Nie próbowała, by tak rzec, przeciągnąć go na swoją stronę. Pewnie jest tak, jak mówiła, pomyślał, to ten bezimienny były chłopak jest motorem napędowym.
A jeśli zrywa się z chłopakiem, może poglądy polityczne czeka ten sam los? Nie wiedział, ale uznał, że to pewnie uproszczony sposób widzenia. Na ścianie miała Mao i Che Guevarę.
Do jednostki wrócił tuż przed północą. I on, i koledzy awansowali na tyle, że mogli wychodzić na całą noc, jeżeli tak sobie życzyli. Ważne, żeby byli rano o siódmej, wtedy nikt się nie czepiał. W sali natknął się na Helgego, który właśnie wyszedł z umywalni i szedł się położyć.
- Jak było? - zapytał.
- Było wspaniale - odpowiedział Rickard. - A ty gdzie poszedłeś?
- Ty filucie - rzekł Helge.
Rickard nie mógł się nie uśmiechnąć. Ze też są młodzi ludzie, którzy w roku pańskim 1970 używają słowa „filut".
No, przynajmniej jeden. Helge z Gäddede.

14

Przesłuchanie Tomasa Wincklera. Komisariat policji w Kymlin- ge. 29.09.1975. Godzina 15.35. Obecni: inspektor kryminalny Evert Sandlin, asystent kryminalny Sigvard Malmberg.

ES: Czy mógłbym prosić, by podał pan nazwisko i adres?
TW: Tomas Winckler. Annebergsgatan 17, Göteborg. TW: Niezmiernie mi przykro z powodu tego, co się stało. Mam nadzieję, że rozumie pan, iż musimy zadać parę pytań.
TW: Rozumiem.
ES: We wczorajszym wypadku w okolicach wzgórza Gåsa zginęła pańska siostra. Czy mógłby pan opowiedzieć własnymi słowami, co się stało?

TW: Nie jestem pewien, co się stało. Nie mogę tego pojąć.
ES: Rozumiem, że jest pan trochę zszokowany. Chcę tylko, żeby opisał pan to, co się tam wydarzyło, tak jak pan to odebrał.
TW: Dobrze, mogę spróbować. Ale nie ma wiele do opisy--wania. Straciła równowagę i spadła, tak to musiało być.
ES: Musiało?
TW: Może podeszła zbyt blisko krawędzi i stanęła na obluzowanym kamieniu, nie wiem. Nie widziałem, jak to się stało, i inni też nie.
ES: Dlaczego byliście w lesie?
TW: Zwykła wycieczka. Wzięliśmy prowiant i mieliśmy nadzieję zebrać trochę grzybów. Poprzedniego dnia wieczo-rem spotkaliśmy się u Rickarda i Anny. Zarówno oni, jak
I moja siostra i jej facet właśnie sprowadzili się do Kymlinge.
ES: Tak, wiemy. Kto wpadł na pomysł tej wycieczki?
TW: Nie wiem. Umówiliśmy się na ten weekend chyba jakiś miesiąc wcześniej. Sobotni wieczór na plebanii i tak dalej. Oczywiście Rickard i Anna zapraszali.
ES: A wyjazd na grzyby? Kto to wymyślił?
TW: Nie rozumiem, jakie znaczenie ma fakt, kto wymyślił wyjazd na grzyby.
ES: Ale rozumie pan, dlaczego zadaję panu teraz pytania?
TW: Tak. A właściwie nie, nie do końca.
ES: Ponieważ badam okoliczności śmierci pańskiej siostry. Taką mam pracę.
TW: Rozumiem, że taką ma pan pracę. Zastanawiam się tylko, o jaldch okolicznościach pan mówi. Albo jakich oko-liczności szuka.
ES: Wyjaśnianie zagadkowych przypadków śmierci należy do obowiązków policji.
TW: To też wiem. Ale co w takim razie jest niejasnego w śmierci Marii?

ES: Młoda, zdrowa kobieta wpada do wąwozu. Za dnia. Oczywiście może to być wypadek, ale można sobie wyobrazić też inne możliwości.
TW: ***(Brak odpowiedzi)***
ES: Wie pan, o jakich możliwościach mówię?
TW: Oczywiście, że tak. Nie jestem idiotą.
ES: Doskonale. I jak by się pan do nich ustosunkował?
TW: ***(Brak odpowiedzi)***
ES: Rozumiem, że to może być dla pana trudne. Może stanie się trochę łatwiejsze, jeśli będziemy rozpatrywać je po kolei. A więc czy wydaje się panu możliwe, że pańska siostra odebrała sobie życie?
TW: ***(Kręci głową, ale nic nie mówi)***
ES: Byłoby dobrze, gdyby zechciał pan odpowiadać na moje pytania ustnie. Jak pan wie, nagrywamy tę rozmowę.
TW: Nie wydaje mi się, żeby odebrała sobie życie.
ES: Czy mógłby pan podać mi jakieś powody, dla których w to nie wierzy?
TW: Jak to? Po co by miała się zabijać?
ES: Wiele osób to robi. Jak się czuła pańska siostra? Czy miała depresję?
TW: Maria nie miała depresji.
ES: Czy byliście sobie bliscy?
TW: Była moją siostrą.
ES: Co to znaczy?
TW: To znaczy, że znałem ją dość dobrze.
ES: Spotkaliście się więc u państwa Berglundów w sobotę wieczorem. Ile czasu upłynęło wtedy od chwili, kiedy ostatnio widział się pan z siostrą?
TW: Nie wiem.
ES: Proszę pomyśleć.
TW: Chyba w czerwcu. Ona i Germund byli wtedy w Góteborgu.
ES: A dokładniej?

TW: Na początku. Chyba koło dziesiątego.
ES: Czyli trzy i pół miesiąca?
TW: Tak, to możliwe.
ES: A wcześniej?
TW: Słucham?
ES: Kiedy widział się pan z siostrą przed tym spotkaniem w czerwcu?
TW: Nie pamiętam. I nie rozumiem, jakie to ma znaczenie. Może pół roku. Ale nie sądzę, żeby moja siostra miała skłonności samobójcze. Byłoby...
ES: Tak?
TW: Byłoby coś po niej widać w sobotę.
ES: A nie było niczego widać?
TW: Nie.
ES: Jaka była atmosfera tego wieczoru?
TW: Atmosfera? Dobra.
ES: Pod każdym względem?
TW: Tak. Dobra pod każdym względem atmosfera. Przepraszam, ale nie wiem, o co panu chodzi. Wydaje mi się, że coś pan próbuje insynuować. Do czego pan zmierza?
ES: Staram się wykluczyć obie ewentualności, o których mówiliśmy.
TW: Samobójstwo i...?
ES: Tak jest, morderstwo. Czy w waszej grupie był ktoś, kto mógł mieć powód, by zabić Marię?
TW: Boże święty. Co pan niby chce powiedzieć?
ES: Nic nie chcę powiedzieć. Naprawdę pan nie rozumie, że muszę pracować w ten sposób? Nie uważa pan, że to ważne, żebyśmy zbadali okoliczności śmierci pańskiej siostry?
TW: Tak, oczywiście. Ale żeby ktoś... ktoś z nas... miałby... nie, to wykluczone. Całkowicie wykluczone.
ES: Gdzie pan był, kiedy to się stało?
TW: Słucham?
ES: Gdzie pan był, kiedy Maria spadła do wąwozu?

TW: Kawałek dalej. Może kilkaset metrów. Nie wiem.
ES: Był pan sam?
TW: Tak. Zbierałem grzyby.
ES: Czy miał pan kogoś w zasięgu wzroku?
TW: Nie. Właściwie to nie.
ES: Proszę opowiedzieć, co się stało.
TW: Słyszałem, że ktoś krzyknął. Nie poznałem, że to ona.
ES: Jak brzmiał ten krzyk?
TW: Jak brzmiał? No, jak krzyk.
ES: I co takiego krzyknęła?
TW: Nie zrozumiałem, co to było.
ES: Czy wie pan, że niektórzy z was twierdzą, że to mogła być jakaś wiadomość?
TW: To znaczy?
ES: Ze przed śmiercią próbowała coś powiedzieć.
TW: Nie. Co miałaby próbować powiedzieć?
ES: Naprawdę nie rozmawiał pan o tym z innymi?
TW: Nie.
ES: Co pan zrobił, kiedy znaleźliście Marię?
TW: Inni zostali na miejscu. Ja poszedłem kawałek z powrotem do jakiegoś domu i zadzwoniłem po pomoc.
ES: Kto podjął decyzję?
TW: Jaką decyzję?
ES: Ze to pan ma iść po pomoc.
TW: Nie pamiętam. Może ja. Jakie to ma znaczenie?
ES: Zginęła pańska siostra. A pan zdecydował się ją zostawić.
TW: Boże święty. Ktoś przecież musiał pójść zadzwonić, prawda?
ES: Tak sądzę. Nikt inny nie zaproponował, że to zrobi?
TW: Nie pamiętam. Nie, chyba nie.
ES: I pan zdecydował, że pójdzie sam.
TW: Tak, ale nie było to coś, o czym byśmy dyskutowali. Do licha, przecież się zabiła. Jasne, że wszyscy byliśmy

wstrząśnięci i zszokowani.
ES: Jasne. Cofnijmy się do sobotniego wieczoru. Jaka wtedy była Maria? Zauważył pan coś szczególnego?
TW: Nie.
ES: Nie zrobiła ani nie powiedziała nic takiego, nad czym zastanawiałby się pan teraz, po czasie?
TW: Nie.
ES: Nie wybuchła żadna kłótnia ani nic takiego?
TW: Nie.
ES: Jak dobrze zna pan pozostałe osoby w grupie?
TW: Znam ich bardzo dobrze. Berglundowie, Maria
I Germund są naszymi bliskimi przyjaciółmi.
ES: Jak się poznaliście?
TW: W czasie studiów w Uppsali. Rickard Berglund i ja jesteśmy ponadto kolegami z wojska.
ES: Czyli stara paczka przyjaciół?
TW: Tak.
ES: Mniej więcej jak długo się znacie?
TW: Jakieś pięć lat. Czy raczej sześć.
ES: A Elisabeth Martinsson?
TW: Jej nie znam w ogóle. Pracuje w tej samej szkole co Germund i Maria.
ES: Nie było jej z wami wieczorem?
TW: Nie.
ES: Jaki był stosunek Marii do reszty grupy?
TW: Co pan ma na myśli?
ES: Musiały chyba być jakieś zadrażnienia? Coś się musiało stać. Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.
TW: Nie wiem, o co panu chodzi.
ES: Jeżeli spotykaliście się od sześciu lat, musiały się chyba zdarzać konflikty?
TW: Pewnie, że konflikty się zdarzały. Jednak nic, co ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią mojej siostry.
ES: Dlaczego jest pan taki pewien?

TW: Ponieważ znam tych ludzi.
ES: Doprawdy? A kiedy myśli pan o tym, jakie wrażenie sprawiała pańska siostra w sobotę wieczorem, nie przychodzi panu do głowy, że zachowywała się w jakiś sposób dziwnie?
TW: Nie, nie zachowywała się dziwnie. Nikt się dziwnie nie zachowywał. Mieliśmy miły wieczór, stawianie dalszych tego typu pytań naprawdę nie ma sensu.
ES: Naprawdę nie było nikogo, kto zachowywałby się dziwnie w taki czy inny sposób?
TW: Nie.
ES: Co robiliście?
TW: Co robiliśmy? Jedliśmy kolację i spędzaliśmy wspólnie czas, rzecz jasna.
ES: Dużo piliście?
TW: Niedużo, naprawdę. Tylko wino do posiłku.
ES: O czym rozmawialiście?
TW: O wszystkim. Jakiś czas się nie widzieliśmy.
ES: Mógłby pan podać przykład?
TW: Mówiliśmy na przykład o tym, jak się mieszka w Kymlinge. To normalne, skoro wszyscy czworo się tu przeprowadzili, prawda?
ES: Pan i pańska żona zostaliście na noc?
TW: Tak, mieszkamy przecież w Göteborgu.
ES: A pańska siostra z mężem?
TW: Co z nimi?
ES: Jak długo zostali?
TW: Mniej więcej do północy.
ES: Jak wrócili do domu?
TW: Chyba zamówili taksówkę.
ES: Chyba?
TW: Zamówili taksówkę.
ES: O której pan i żona położyliście się spać?
TW: Tuż po tym, jak Maria i Germund pojechali. Moja żona

jest w ciąży, łatwo się męczy.
ES: Rozumiem. Macie już dzieci?
TW: Nie.
ES: I nikt z pozostałych nie ma?
TW: Nie.
ES: A czy ktoś jest w ciąży?
TW: Z tego co wiem, to nie. Muszę przyznać, że wydaje mi się to bezsensowne. Czy pan sam wie, po co zadaje te pytania?
ES: O to nie musi się pan martwić.
TW: Wydaje mi się w każdym razie, że marnujemy czas.
ES: Wie pan, czy Maria miała jakichś wrogów?
TW: Wrogów? Nie, nie miała żadnych.
ES: Czy widział pan w lesie jakieś inne osoby, poza członkami waszej grupy?
TW: Nie. A w zasadzie tak, chwilę po zdarzeniu przyszedł jakiś mężczyzna z psem.
ES: Rozmawiał pan z nim?
TW: Nie, byłem już w drodze po pomoc. Chyba inni z nim rozmawiali. Był tam, kiedy wróciłem.
ES: Z jakimi osobami z grupy rozmawiał pan, chodząc po lesie?
TW: W sumie z nikim. Chodziłem sam, inni zresztą też.
ES: Kogo miał pan najbliżej, kiedy to się stało?
TW: Chyba Gunilla była niedaleko. Anna chyba też, nie pamiętam.
ES: Mam tutaj mapę tego obszaru. Czy mógłby pan zaznaczyć krzyżykiem, gdzie pan był, kiedy usłyszał krzyk siostry?
(TW zaznacza. Czas: piętnaście sekund)
ES: Dziękuję. Jak dobrze zna pan Germunda Grootha, chłopaka Marii?
TW: Dobrze go znam.
ES: Trochę się pan waha.

TW: Nie, nie waham się. Znam go dobrze.
ES: Co pan o nim myśli?
TW: W porządku.
ES: A ich związek? Co by pan o nim powiedział?
TW: Nie chce mi się wypowiadać o ich związku. Ani o żadnych innych związkach. To naprawdę wydaje się już w tej chwili bezsensowne.
ES: To pan tak uważa. Ja nie.
TW: Oczywiście. W każdym razie nie mam już nic więcej do dodania.
ES: Dobrze. W takim razie kończymy. Ale w późniejszym czasie być może znów będę musiał z panem porozmawiać. Jest godzina 15.50, przesłuchanie się kończy.

15

Serce dziecka przestało bić ostatniego dnia kwietnia, usunięcie płodu przeprowadzono w dwóch etapach w szpitalu Akademiska 1 i 2 maja.
Kiedy przyjechali do domu przy Sibyllegatan, spostrzegła, że brzozy zakwitły już na dobre. Wysiedli z taksówki, a ona zdała sobie sprawę, że przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. Właściwie to milczała przez cały dzień, podczas zabiegu i po nim. Tak samo zresztą wczoraj. Tomas próbował z nią rozmawiać, właściwie cały czas, ale nie pamiętała nic z tego, co mówił.
Co się ze mną dzieje? - myślała. Czyżby czekało mnie załamanie nerwowe? A może już je mam? Czuję się, jakbym była kimś innym.
- Brzozy rozkwitły - powiedziała, żeby mimo wszystko pokazać mu, że nie ucichła na wieki.
- Tak - odparł Tomas. - To piękne. Zycie trwa dalej.
Naprawdę? - pomyślała. No i skąd to, do cholery, możesz wiedzieć?
Nie miał oczywiście na myśli nic złego, ale doszła do

wniosku, że brzmi to jak kpina. Twierdzenie, że cokolwiek trwa dalej. Było dokładnie odwrotnie, wszystko właśnie się skończyło. Moment też został starannie wybrany; przełom kwietnia i maja był bez wątpienia osią, wokół której kręcił się cały rok w Uppsali. Dziecko zmarło w Noc Walpurgii, w dniu, kiedy żegna się zimę i wita wiosnę, a wraz z nią życie. W dniu, w którym ludzie bawią się od rana do wieczora: śniadanie na trawie, śledziowy lunch, tradycyjne zakładanie czapek studenckich i bieg szampański w dół Slottsbacken, cały ten kram... całe szczęście, pomyślała, że nie pokusili się o jakieś większe świętowanie. Tomas miał do dwunastej służbę, później zjedli prosty śledziowy lunch przy Sibyllegatan razem z Rickardem, Marią i Germundem. Koło trzeciej wszyscy poszli na wzgórze, ona nie najlepiej się czuła i została w domu. Tomasa nie było zaledwie dwie godziny, ale kiedy wrócił, zalatywało od niego papierosami.

Pod wieczór czuła się jeszcze gorzej, o dziesiątej pojechali do szpitala, a wtedy było już za późno.

Nic by to jednak nie zmieniło, gdyby przyjechali wcześniej, lekarz oznajmił to już na wstępie. To, co się stało, stałoby się i tak.

To nie ich wina. Nie powiedział tego, ale widziała, że to chce przekazać.

Wina? - pomyślała. Nie, to nie o to chodzi. Nie wiadomo do końca o co, ale na pewno nie o winę. Czy lekarz myślał, że do śniadania piła piwo i wino i teraz potrzebuje pocieszenia, żeby sama siebie nie oskarżała? Nie wypiła ani kropli.

Tomas pomógł jej wejść po schodach. Na ldamce wisiał bukiet kwiatów. Pomyślała, że to może od Marii i Germunda, ale nie. Oczywiście, że nie, to Tomas zatroszczył się również o ten szczegół.

- Jesteś zmęczona?

Skinęła głową. Równie dobrze może udać, że chce jej się spać. I tak dzisiaj by się nie porozumieli. Tylko by go

zasmucała. Wciągała we własną rozpacz. Lepiej położyć się do łóżka i spuścić na to wszystko zasłonę.
Życie jest tak strasznie kruche, pomyślała. Nie chodzi tylko o Lussan, tu chodzi o wszystko i wszystkich.
Nazwali ją Lussan, tak jakby od początku wiedzieli, że to będzie dziewczynka. Nie bardzo wiedziała, skąd im to imię się wzięło, ale teraz Lussan nie żyła i nie było się nad czym zastanawiać. Nigdy jej nie było, a zatem nie musiała się nijak nazywać.
Kara? - przyszło jej do głowy, kiedy Tomas położył ją do łóżka i wyszedł kupić sok, owoce i co tam jeszcze będzie potrzebne. A może wyszedł tylko dlatego, że potrzebował przez chwilę pobyć sam. Czy to o karę chodziło?
Dlaczego nie. Nie minął jeszcze rok, odkąd zerwała z Lennartem Martinssonem, a teraz ma na sumieniu dwa istnienia. Jego i Lussan.
Nie była to myśl, którą mogłaby się z kimś podzielić. Zwłaszcza z Tomasem, był na to zbyt racjonalny i rozsądny. W głębi duszy wiedziała jednak, że taki mroczny związek istnieje.
Między tym, co się robi, i tym, co człowieka spotyka.
Nie było do kogo się zwrócić, nikogo, z kim można by porozmawiać, żadnej litości.
To było jak tonięcie w bagnie.
Pójdę na dno, pomyślała. Nie dam sobie z tym rady.
Tydzień później poszła do psychiatry. Nazywał się Werngren, miał koło sześćdziesiątki i nosił żółtą koszulkę polo. Wychodził z założenia, że ten kolor będzie podnosił na duchu.
- Takie przypadki zdarzają się częściej, niż się pani wydaje - objaśnił. - Zarówno poronienia, jak i tego typu reakcje.
Co ty o tym wiesz, pomyślała. Co z tego, że to się zdarza często. A ty ile razy byłeś w ciąży?
Mimo to właśnie on naprowadził jej myślenie na właściwe

tory. Stopniowo. Spotykała się z nim raz w tygodniu aż do połowy lipca i kiedy Tomas pojechał z nią na wakacje na Ibizę po przejściu w sierpniu do cywila - akurat tuż przed rozpoczęciem roku akademickiego - wydawało się, że zaczęli coś nowego.
Tak jakby myśli o karze, bagnie i nieszczęściu zdecydowały się zostawić ją w spokoju.
- Przepraszam - powiedziała, kiedy pierwszego wieczoru siedzieli na balkonie z karafką sangrii. - I dziękuję, że ze mną wytrzymałeś.
- Powiedz, kiedy będziesz gotowa na kolejną próbę - powiedział.
Z początku nie zrozumiała, co ma na myśli, a kiedy pojęła, że mówi o nowym dziecku, poprosiła go grzecznie, lecz stanowczo, by się zamknął.
Na początku września czekały ją dwie poprawki na uczelni, miała więc inne rzeczy na głowie niż prokreacja. Nie powiedziała, że znowu zaczęła brać pigułki, a on nie pytał.
Coś się jednak z nią stało. Nawet jeśli doktor Werngren z grubsza postawił ją na nogi i potrafiła myśleć o Lussan, którą osiemnaście tygodni nosiła pod sercem, bez lęku czy płaczu, była już kimś innym niż rok temu.
Wiedziała o tym i Tomas o tym wiedział. To było jak ciężar, myślała o tym co rano. Kiedyś zawsze budziła się wcześnie, wstawała, jeśli nie z werwą, to przynajmniej bez trudu
I z radością, że za progiem czeka nowy dzień. Z jakimś oczekiwaniem. Co czekało ją za progiem obecnie, nie była pewna, lecz było to coś innego. Trzeba być stale czujnym, rozluźnienie, wmawianie sobie, że życie to nakryty stół, z którego można do woli brać, byłoby błędem. Naiwną głupotą.
Ostrożność jest cnotą, czy to tego się nauczyłam? - myślała. Czy nie lepiej być lekkim pesymistą i uniknąć rozczarowań?
We wrześniu Tomas zaczął studiować ekonomię polityczną,

ona zaś zdała obie poprawki i dalej studiowała niemiecki. W połowie miesiąca tata rusznikarz dostał w domu zawału, choć miał dopiero pięćdziesiąt siedem lat i nigdy nie palił - była to jednak łagodniejsza postać i zarówno matka, jak I siostra mówiły jej, że nie musi przyjeżdżać do domu. Nie widziała się z nimi pół roku i zastanawiała się w duchu, czy trzeba pogrzebu, żeby wsiadła w samochód i przejechała te dwieście osiemdziesiąt kilometrów

Z rodzicami Tomasa jednak się spotykali. Nie raz i nie dwa, w Sundsvall i w Uppsali. Kiedy spotkali się w Uppsali na początku czerwca, rodzice byli akurat w drodze do Fuengiroli w Hiszpanii, gdzie właśnie kupili dom. Może będą chcieli sprzedać willę w Sundsvall i przeprowadzić się tam na dobre, jeszcze nie ustalili. Chcieli najpierw oswoić się z tą myślą.

I kiedy to robili, kiedy oswajali się z myślą, dom na słonecznym wybrzeżu stał przez długie okresy pusty. Tylko skorzystać. Tomas i Gunilla zapowiedzieli się na tydzień w styczniu, między semestrem zimowym a letnim. Wprawdzie nie była to najlepsza pora roku w południowej Hiszpanii, ale można przecież robić coś innego, niż kąpać się w morzu.

Na razie była jednak dopiero jesień. Zycie studenckie, śpiew w chórze, egzaminy i zabawy; Tomas i Gunilla byli zapisani do korporacji Norrlands, na dłuższą metę nie sposób było zaprzeczyć, że miasto wiecznej młodości miało to i owo do zaoferowania nawet kobiecie, która straciła dziecko. W listopadzie zdecydowali się wyprawić jesienną kolację w domu przy Sibyllegatan: duszone mięso łosia z pieprznikiem trąb- kowym i marynowaną cebulką. Rickard Berglund poznał dziewczynę, Germund i Maria z powodów rodzinnych zawsze byli zapraszani, a Tomas miał dwóch kolegów z osobami towarzyszącymi, których, jak twierdził, warto poznać trochę lepiej. Dziesięć osób, niewątpliwie będzie ciasno i przytulnie, mięsa z lasów nad Indalsälven

wystarczyłoby i dla dwudziestu, a każdy miał przynieść własne napoje.
Gunilla nie miała nic przeciwko temu, a Tomas wydawał się mieć wręcz fizyczną potrzebę urządzenia przyjęcia i było oczywiście tak, jak mówił: życie trwało dalej.

16

Eva Backman miała zamiar zacząć od państwa Berglundów, ponieważ mieszkali w Kymlinge, ale okazało się, że był to zły moment.
Delikatnie rzecz ujmując. Wiedziała już, że Anna Berglund jest na zwolnieniu lekarskim, nie wiedziała jedynie, że umiera na raka.
Wiedziano o tym w zakładzie pogrzebowym Linderholms, gdzie Rickard Berglund pracował, odkąd przestał być pastorem w 2005 roku. Zastanawiała się już nad tą dziwną zmianą zajęcia. A może wcale nie była taka dziwna? Czym się mają zajmować duchowni, jeśli z tego czy innego powodu nie chcą już głosić kazań w kościele? Co by było najlepsze? Obrót nieruchomościami? Uzdrowicielstwo? Może przerzucenie się na pogrzeby było całkiem naturalne, ponieważ miało się przynajmniej jakiś kontakt z dawną pracą. I tu, i tu pogrzeb, pomyślała Eva Backman. Dlaczego nie?
Holger Linderholm, właściciel, który kierował biurem od jesieni 1978 roku, kiedy to zmarł jego ojciec, powiedział w każdym razie, że pani Berglund zachorowała na raka kilka lat temu i że nie zostało jej już wiele czasu. Mówiąc wprost, leżała w szpitalu i czekała na śmierć. Mąż starał się spędzać z nią każdą chwilę, w zeszłym tygodniu wziął wolne. Na tak długo, jak będzie trzeba.
To kwestia tygodni, jak poinformował Linderholm. Może dni; niepotrzebnie trzymano ją przy życiu. Dostawała morfinę na ból, okropna śmierć, ale u niektórych tak to

wygląda. Nic nie można poradzić i nie jest to sprawiedliwe.
Eva Backman zapytała, czy ma kontakt z Rickardem Berglundem, a Linderholm powiedział, że tak. Oprócz tego, że znali się z pracy, byli także dobrymi przyjaciółmi, z biegiem lat tak się złożyło. Choć Linderholm był ponad dziesięć lat starszy. Poznali się, kiedy Berglund był jeszcze pastorem, już wtedy mieli wiele wspólnego.Anna Berglund i jego żona także byty przyjaciółkami. Ellen Linderholm zmarła przed trzema laty, ale kiedyś często zapraszali się nawzajem na kolację. Przy okazji, nie ma co ukrywać, grywali w wista i Trivial Pursuit.
Eva Backman wytłumaczyła zwięźle, co się stało i dlaczego chciała skontaktować się z Rickardem Berglundem
- dodając, że w tej sytuacji oczywiście jej się nie spieszy - a Linderholm obiecał to przekazać przy pierwszej sposobności.
Eva Backman podziękowała, wyszła i wsiadła do samochodu. Przyjrzała się liście i wybrała numer do rodziny Winckler-Rysth z Lindås. Zona odebrała od razu; powiedziała, że mąż przebywa w Londynie w interesach, ale może porozmawiać. Czego dotyczy sprawa?
Inspektor Backman wyjaśniła, czego dotyczy, a w słuchawce na kilka sekund zapadła cisza.
- Halo - powiedziała Backman. - Jest tam pani?
- Jestem - odparła Gunilla Winckler-Rysth. - Po prostu tak mnie to zaskoczyło. On też? Co... co to wszystko znaczy?
- Właśnie o tym chciałabym z panią porozmawiać - powiedziała Eva Backman. - Ma pani czas po południu?
- Tak... chyba tak - odpowiedziała Gunilla Winckler- -Rysth niepewnie. - Ale mieszkamy w Lindås, a pani chyba dzwoni z...?
- Z Kymlinge, tak. Ale mogę przyjechać za kilka godzin. To żaden problem. Możemy się umówić na trzynastą?
Gunilla Winckler-Rysth powiedziała, że trzynasta jej od-

powiada, i przystąpiła do szczegółowego opisywania drogi. Co zupełnie nie było potrzebne, gdyż Backman już wpisała ten adres w GPS.
Pozwoliła jej jednak mówić do końca, bo sprawiała wrażenie, jakby z jakiegoś powodu tego potrzebowała.
Według listy Backman Gunilla Winckler-Rysth skończyła sześćdziesiątkę, wyglądała jednak młodziej. Ta kobieta z pewnością chodzi trzy-cztery razy w tygodniu na siłownię
- pomyślała Eva Backman. Szczupła, sprawna i bez zmarszczek. Włosy platynowy blond, w tym odcieniu, jaki powinno się mieć, kiedy nie jest się już blondynką, a nie chce się mieć siwych włosów.
Może, żeby być w formie, nie musiała wcale wychodzić z domu; jednopiętrowa willa ze szkła, bielonego drewna i betonu była wystarczająco duża, żeby pomieścić zarówno basen, jak i salę treningową. Jeśli miało się takie usposobienie.
Nie było jednak żadnych oględzin domu. Gunilla Winckler-Rysth wyszła jej naprzeciw, gdy tylko Eva wysiadła z samochodu; było jasne, że zależy jej na rozmowie. Otaczała ją aura nieokreślonego niepokoju. Backman nie potrafiła ocenić, czy jest tak tylko teraz, czy zawsze. Siadły przy kamiennym stole w kuchni, która wyglądała, jakby wykończono ją w zeszłym tygodniu. Na stole było już ciemne pieczywo, ser i trochę warzyw. Karafka z wodą i plasterkami cytryny. Gunilla Winckler-Rysth zapytała, czy chce kawę, czy herbatę; Backman wybrała kawę, więc gospodyni zaczęła majstrować przy wielkiej maszynie do espresso z nierdzewnej stali, która także wyglądała jak kupiona wczoraj.
- Piękny mają państwo dom - powiedziała Backman. - Ile czasu już tu państwo mieszkają?
- Wkrótce będzie rok - odparła Gunilla Winckler-Rysth.
- Przeprowadziliśmy się tu z Långedrag. Podoba nam się tutejsza przyroda.

W jej głosie także pobrzmiewał ów mglisty niepokój. Jakieś poczucie winy, czy co też to mogło być. Backman wyjrzała przez okno i przyszło jej do głowy, że w okolicy musi być niejedna ścieżka do joggingu. Też chciałabym mieć taką figurę za piętnaście lat, pomyślała, kiedy pani Winckler-Rysth spieniała mleko. Gdy jednak ekspres ucichł, zdecydowała się porzucić myśli o gimnastyce i zamiast tego skoncentrować się na tym, po co tu przyszła. Włączyła swój nowy dyktafon PGP i położyła go na środku stołu koło granitowego świecznika.

- Tak więc nie wiedziała pani, że Germund Grooth został w niedzielę znaleziony martwy?
- Nie, nie miałam pojęcia. Kiedy pani o tym powiedziała, aż mnie zatkało. W tym samym miejscu co Maria... tak?
- Tak.
- Boże kochany. Ale dlaczego. Jaki sens ma...?
- Co takiego?
- Nie wiem... umieranie w tym samym miejscu co ona. To przecież już tak dawno. Trzydzieści pięć lat.
- Czy pani i pani mąż utrzymywali kontakt z Germun- dem Groothem?

Gunilla Winckler-Rysth postawiła na stole dwie filiżanki cappuccino, a Backman zauważyła, że trochę trzęsą jej się ręce. Niezbyt mocno, nerwowe drgnięcie ptasich skrzydeł. Usiadła naprzeciwko Backman i strzepnęła urojony włos z czarnych spodni.

- Nie - odparła. - Tak bym tego nie ujęła.
- Nie? - spytała Backman.

Gospodyni zastanowiła się chwilę. - No, jak by to powiedzieć? W pewnym sensie usunął się w cień po śmierci Marii, ale nie do końca. Spotkaliśmy się potem ze trzy czy cztery razy... Nie więcej, w każdym razie. On mieszka... mieszkał... w Lund.

- Wiem - odparła Backman. - Kiedy widziała się pani / nim

po raz ostatni?
- Kilka miesięcy temu.
- W jakich okolicznościach?
- Był tutaj. Mąż go spotkał w Göteborgu, z tego co wiem, jedli lunch w tej samej restauracji. Jakoś wiosną... no
I Tomas zaprosił go do nas.
- **I** kiedy tu był? - zapytała Backman.
- W czerwcu. Zaraz na początku, był na jakiejś konfe- rencji w Göteborgu i była z nim kobieta.
- Kobieta? Wszedł w nowy związek?
- Zależy, co pani rozumie przez związek. Germund miał... w życiu wiele kobiet.
- Ale nigdy się nie ożenił?
- Nie. Chyba nawet z nikim nie mieszkał... poza Marią. Ale może w to nie wnikajmy. Tak, ta kobieta była pewnie jedną z wielu przelotnych znajomości... przepraszam, brzmi trochę, jakbym oskarżała, ale tak było. Nie chcę przez to powiedzieć, że poderwał ją w Göteborgu, wiedzieliśmy, że przyjadą we dwójkę. Zapowiedział to.
Eva Backman skinęła głową.
- Rozumiem. Jak się nazywała? Może będziemy musieli z nią porozmawiać.
- Kristin jakaś tam - odparła Gunilla Winckler-Rysth. - Była w każdym razie Dunką.
Nagle zmieniła się na twarzy, jakby coś jej przyszło do głowy.
- Dlaczego... to znaczy, dlaczego mielibyście...? Dlaczego w ogóle chce pani ze mną rozmawiać?
Inspektor Backman poczekała z odpowiedzią. Zwróciła uwagę, jak gospodyni z wysiłkiem przełknęła ślinę, zanim zadała kolejne pytanie.
- Jak właściwie umarł Germund? Pani... pani jest z policji kryminalnej, prawda?
Inspektor Backman skinęła głową.

- Zgadza się. Badamy przypadek śmierci.
- Dlaczego? Dlaczego trzeba go zbadać?
- Nie uważa pani, że to dość oczywiste?
- Czyli., ze względu na sprawę Marii?
- Tak.

Gunilla Winckler-Rysth pokręciła głową i splotła ręce. Może żeby przestały drżeć, pomyślała Backman. Czy w grę wchodził ukrywany alkoholizm? Syndrom pani domu z wyższych sfer, popijającej białe wino? W wyćwiczonych zachowaniach zaczęły się pokazywać lekkie pęknięcia, a bycie prywatnym przedsiębiorcą w branży konsultingowej mogło tak naprawdę oznaczać cokolwiek, myślała inspektor Backman, idąc za stereotypem.

- Kiedy to było tak dawno - powiedziała pani Winckler--Rysth po kilkusekundowym wahaniu. - Boże, minęło już trzydzieści pięć lat. Czy chce pani powiedzieć, że... że Germund został znaleziony w tym samym miejscu?
- Tak jest - potwierdziła Eva Backman. - Wzgórze Gåsa w Rönninge koło Kymlinge.
- Wzgórze Gåsa... - Rozplotła ręce i zwilżyła wargi -

I przełęcz Gåsa, tak, tak to się nazywało. Pamiętam, jak mówili, że dawno temu było to miejsce odejścia przodków. Ale co się stało. Czy Germund się zabił?

- Nie wiemy - odparła Eva Backman.
- On przecież nie mógł...

-Tak?

- On przecież nie mógł tak po prostu spaść w tym samym miejscu. Wydaje się to... zupełnie niedorzeczne.
- My też tak uważamy - powiedziała Eva Backman. - A co pani myśli?
- Ja? - zapytała Gunilla Winckler-Rysth, unosząc brwi ze zdziwienia. - Dlaczego miałabym coś myśleć? Nic z tego nie rozumiem.

Eva Backman próbowała rozstrzygnąć, czy zdziwienie jest

autentyczne, ale bez rezultatu, zdecydowała się zatem przyjąć nieco bardziej ofensywną postawę.
- Na temat śmierci Marii Winckler w 1975 roku pojawiło się przecież sporo spekulacji. Czyż nie?
- Spekulacji? - odparła Gunilla Winckler-Rysth.
- Tak. Spekulacji.
Gunilla Winckler-Rysth siedziała przez chwilę w milczeniu. Jakby próbowała wybrać drogę. Backman oceniła, że konieczność cofnięcia się w czasie o trzydzieści pięć lat wcale jej się nie podoba.
- Zgadza się, że były różne spekulacje - odezwała się w końcu. - I chyba nigdy naprawdę nie przestaliśmy o tym myśleć, ani Tomas, ani ja.
- Dlaczego? - spytała Backman.
- Słucham?
- Dlaczego nigdy nie przestaliście o tym myśleć?
- To chyba nie jest takie dziwne. Maria była jego siostrą, a sposób, w jaki umarła, był taki... no nie wiem.
Backman znów poczekała. Gunilla Winckler-Rysth potrząsnęła głową, nie wiadomo z jakiego powodu.
- Maria była naprawdę niezwykłą kobietą. Nigdy, że tak powiem, nie było wiadomo, co z niej będzie... niesamowicie zdolna, czuło się, że zawsze czymś zaskoczy, ale żeby miała umrzeć w ten sposób. Nie, to było nie do pojęcia.
- Co się pani zdaniem wydarzyło? - zapytała Backman.
- Myślę, że się zabiła - odparła Gunilla Winckler-Rysth po kolejnej pauzie. - Tak, tak właśnie myślę, jeśli pyta mnie pani o zdanie.
Backman domyśliła się, że w rodzinie panuje różnica opinii, ale uznała, że nie będzie teraz tego drążyć.
- Czy może pani powiedzieć coś więcej? - zapytała. - Dlaczego myśli pani, że Maria popełniła samobójstwo?
- Bo jak to możliwe, żeby po prostu spadła z urwiska? To się wydaje takie... niezdarne. Ona nie była niezdarą.

- Dobrze pamięta pani ten dzień?
- Dość dobrze. Niektóre rzeczy ciężko zapomnieć.
- A późniejsze dochodzenie?
- Częściowo. Komisarz nazywał się Sandin, o ile mnie pamięć nie myli. Nieprzyjemny człowiek.
- Sandlin - poprawiła Backman. - Tak, z pewnością chciał dogłębnie zbadać całą sprawę, co oczywiście mogło oznaczać pewne nieprzyjemności. Pamięta pani, że twierdzono, jakoby Maria miała coś krzyknąć, spadając?
- Tak - odparła Gunilla Winckler-Rysth. - Pamiętam.
- I?
- I wciąż jestem pewna, że tak było.
- Nikt tego, o ile mi wiadomo, nie kwestionuje - powiedziała Backman. - Ale zdaje się, że panowały rozmaite opinie co do tego, co krzyknęła.
- To prawda.
- A jakie było pani zdanie?
- Nie czytała pani dokumentów? Tam na pewno jest to zapisane.
- Nie miałam do nich jeszcze dostępu - wyjaśniła Backman. - Kolega się tym zajmuje.

Gunilla Winckler-Rysth upiła łyk cappuccino i wytarła piankę z kącików ust, po czym odpowiedziała.

- Usłyszałam to samo, co Anna Berglund i Elisabeth. Uznałyśmy, że krzyknęła „Morderca!".
- „Morderca"?
- Tak. Z pewnością pani o tym wie, nawet jeśli nie czytała raportów.
- Oczywiście. Wiem, że kilka osób uznało, że tak krzyknęła. Ale nie wiedziałam, że wszystkie kobiety. Tak jak mówię, w tej chwili mój kolega zapoznaje się z protokołami przesłuchań.
- Rozumiem - odparła Gunilla Winckler-Rysth. - Kilkoro innych uważało, że krzyknęła „Śmierć", ale Anna i Elisabeth

twierdziły, że to było dłuższe słowo... może właśnie „Morderca!”. Ja byłam tego samego zdania.
- Mówi pani „byłam”...
- Nie można... nie można być pewnym czegoś, co słyszało się trzydzieści pięć lat wcześniej.
- Czy zmieniła pani zdanie?
Gunilla Winckler-Rysth westchnęła.
- Właściwie to nie.
Eva Backman zastanawiała się przez chwilę.
- Nie bardzo rozumiem - powiedziała. - Z jednej strony mówi pani, że pani zdaniem Maria Winckler odebrała sobie życie, a z drugiej słyszała pani, że krzyknęła „Morderca!”, fak to się łączy?
- Wiem, że się nie łączy - odparła Gunilla Winckler- -Rysth z nagłym grymasem. - Ale Maria była pokręcona, trzeba o tym pamiętać.
- Jak to pokręcona? - spytała Backman.
- Nieobliczalna - powiedziała Gunilla Winckler-Rysth po kilkusekundowym namyśle. - Czasami trudna. Ale niezwykle zdolna.
- Trudna?
-Tak.
- Proszę kontynuować.
Gunilla Winckler-Rysth słabym gestem uniosła ręce.
- Myślałam o tym przez trzydzieści pięć lat - powiedziała i zaczęła zmiatać ze stołu okruszyny chleba. - Oczywiście nie ciągle, ale co jakiś czas. Nie mogę... nie mogę sobie wyobrazić, by ktoś z naszej grupy rzeczywiście zepchnął ją z tego urwiska. Z kolei potrafię sobie wyobrazić, że ona... to może nie zabrzmi rozsądnie, ale człowiek chciałby sobie wszystko logicznie poukładać... jeśli wie pani, co mam na myśli.
- Co potrafi pani sobie wyobrazić? - zapytała Backman.
Gunilla Winckler-Rysth wzięła głęboki oddech.
- Byłabym wdzięczna, gdyby nie wspominała pani o tym w

rozmowie z moim mężem. Nie ma między nami zgody co do tych kwestii. Jestem sobie jednak w stanie wyobrazić, że Maria sama skoczyła i krzyknęła „Morderca!" po to, żeby... obarczyć winą kogoś z nas.
Eva Backman siedziała przez chwilę w milczeniu.
- Rozumiem, co pani ma na myśli - odezwała się w końcu. - Czy wspominała pani o takiej ewentualności inspektorowi Sandlinowi podczas przesłuchania?
- Mogłam to zasugerować - powiedziała Gunilla Win- ckler-Rysth. - Delikatnie. Nie pamiętam już.
- Sprawdzę w dokumentach - odparła Backman. - Tak czy inaczej, brzmi to dość dziwnie. Mam na myśli pani teorię.
- Wiem. Ale ona była dziwną kobietą.
- W jakim sensie dziwną?
- Nie... nie umiem powiedzieć.
- Przyjaźniłyście się?
- Była siostrą Tomasa. Spotykałyśmy się dość często przez parę lat.
- Czy mogłaby pani opisać ją trochę bardziej szczegółowo?
Gunilla Winckler-Rysth spojrzała na dyktafon.
- Nagrywa to pani, prawda?
- Mam to wyłączyć?
- Prosiłabym.
Eva Backman nacisnęła wyłącznik i schowała dyktafon.
- Ona była przecież taka młoda - powiedziała Gunilla Winckler-Rysth. - Wszyscy byliśmy tacy młodzi.
Eva Backman kiwnęła głową.
- Czasami trudno sobie wyobrazić, że to się naprawdę wydarzyło. Minęło w końcu tyle lat. Nasze dzieci, cała trójka, są teraz starsze, niż my byliśmy wtedy i... nie wiem.
- Była pani szwagierką - przypomniała Backman. - Jak się tak naprawdę między wami układało?
Gunilla Winckler-Rysth wyglądała na zakłopotaną. - Nigdy nie byłam w stanie jej zrozumieć. - Backman wydało się, że

powiedziała to takim tonem, jakby nie bardzo chciała obstawać przy tym, co mówi. - Zawsze była zajęta sobą i swoimi sprawami. Nie to, żeby była niemiła, ale myślę, że po prostu nie interesowali jej inni ludzie. Może z wyjątkiem Germunda. Myślę, że w jakiś sposób się uzupełniali... jak to się mówi.
- Ale spędzaliście wspólnie dużo czasu?
- O tak, oni zawsze gdzieś tam byli. W czasie studiów, ma się rozumieć.
- Proszę kontynuować.
- Co mam mówić? - Odchrząknęła nerwowo. - Tomas uwielbiał urządzać przyjęcia i takie tam. Wycieczki, wspólne przedsięwzięcia; nadal to robi. Już wtedy udzielał się w branży turystycznej... Maria i Germund zawsze byli na liście zaproszonych i prawie nigdy nie odmawiali, co jest trochę dziwne. Tomas chyba czuł się za siostrę odpowiedzialny, wiedział, jaki z niej samotny wilk i że... jego obowiązkiem jest wyciąganie jej z nory, w której się zaszyła... tak, coś w tym rodzaju. Bardzo przeżył jej śmierć.
- A druga para? Rickard i Anna Berglundowie, z nimi też się często spotykaliście?
- O, tak. - Gunilla Winckler-Rysth pokiwała głową. - Zawsze była nasza szóstka. Czasem też parę innych osób, ale zawsze nasza szóstka. Mówię o Uppsali. Potem... historia z Marią miała miejsce, kiedy już mieliśmy naukę za sobą, no i później wszystko potoczyło się, jak się potoczyło.
- Nie spotykaliście się już z Rickardem i Anną Berglundami?
- Nie, już w zasadzie nie. Jakoś się nie złożyło. My mieszkaliśmy w Göteborgu i mieliśmy co robić, dzieci, praca, oni mieszkali w Kymlinge... nie, od tego czasu nie widywaliśmy się zbyt często. Czasami tylko dzwonili pogadać, przynajmniej Tomas i Rickard. Wąwóz Gåsa, śmierć Marii, to wszystko przerwało, nie da się ukryć.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni? - zapytała Backman.
- Musiało to być jakieś dziesięć, dwanaście lat temu
- odparła Gunilla Winckler-Rysth. - Po tym, jak Anna zachorowała, w ogóle się z nimi nie widywaliśmy. Tomas rozmawiał parę razy z Rickardem, ale nie spotkaliśmy się.
- Kiedy zachorowała?
- O ile pamiętam, raka wykryto u niej trzy czy cztery lata temu. A może więcej? Miała chemię i wszystko co się da, ale zdaje się, że nie pomogło. Nie wiem, jak się teraz czuje.

Eva Backman zdecydowała się nie informować jej o stanie zdrowia Anny Berglund.

- Porozmawiajmy zatem trochę o tym, co stało się z Germundem Groothem - zaproponowała. - Jak pani myśli, jaka może być przyczyna jego śmierci?

Gunilla Winckler-Rysth milczała parę sekund, a Backman jej nie ponaglała.

- Nie mam pojęcia - powiedziała w końcu. - Nie mam bladego pojęcia. Mówiłam, że nigdy nie potrafiłam zrozumieć Marii, ale tyczy się to również Germunda. Oboje byli równie pokręceni. Może to brzmi dziwnie, biorąc pod uwagę, jak dużo ze sobą przebywaliśmy, ale tak już jest.
- Nie inaczej - dodała po chwili i kiwnęła kilka razy głową, jakby w ten sposób chciała podkreślić to udane przedstawienie sprawy.

Kiedy Eva Backman pół godziny później wracała samochodem do Kymlinge, myślała o dwóch sformułowaniach, których na koniec użyła pani Winckler-Rysth.

Nie mam bladego pojęcia. Oboje byli równie pokręceni.

Może były to stwierdzenia jak każde inne. Pytanie brzmi tylko, co tu właściwie należy badać. Dwa samobójstwa czy wypadek i samobójstwo - co przemawia za tym, że nie było to ani jedno, ani drugie? Tak czy owak, nie powinna się tym zajmować policja kryminalna.

A nawet jeśli Maria rzeczywiście krzyknęła „morderca", spadając trzydzieści pięć lat temu do wąwozu Gåsa, niczego to, rzecz jasna, nie dowodziło. Czy o tym myślał Sandlin? - zastanawiała się Backman. Czy kupił dziwną koncepcję Gunilli Winckler-Rysth, jakoby Maria chciała obarczyć winą kogoś z grupy? O ile oczywiście mu o tym wspomniała, tak jak wspomniała dzisiaj w obecności Backman.
Evie Backman trudno było uwierzyć w taką możliwość. Czy chcąc wrobić kogoś z pozostałych, nie powinna raczej wykrzyczeć imienia?
A może chciała wrobić wszystkich? By tak rzec. Nie brzmiało to rozsądnie i pani Winckler-Rysth również zwróciła na to uwagę.
No i czy właśnie słowo „morderca" spowodowało, że Sandlin włożył w śledztwo tyle pracy? Czy też coś innego?
Może po prostu był takim terierem, który nie spocznie, dopóki nie zajrzy pod każdy kamyk? Czyż nie było tak, że całkiem sporo na to wskazywało?
Eva Backman zauważyła, że znaków zapytania jest coraz więcej i coraz trudniej je pogodzić. Dość, powiedziała sobie. Poczekaj, aż usiądziesz z filiżanką czarnej kawy i Barbarottim.
Włączyła płytę Bryana Ferry'ego i dodała gazu.

17

Tu wróbel. Niedzielne popołudnie.
Wszyscy narzekają na listopad. Ja kocham listopad. Deszcz. Drzewa, które zdejmują ubrania i stoją nagie na wietrze. Ciemność trwającą z każdym dniem dłużej i uczucie spadania. To ma swoją cenę, nie każdy potrafi żyć w takich warunkach, ale ja tak.
Ja i Germund. Zamieszkamy razem, to on zaproponował, nie ja. Drobnomieszczanie z Norrtäljegatan nie chcą już wynajmować tego dodatkowego pokoju, nie wiem, czy po pro-

stu chcą się mnie pozbyć, czy mają zamiar przenieść krosno z garażu, czy o co chodzi. Tak czy siak, muszę się stąd wynieść 1 grudnia i kiedy powiedziałam o tym Germundowi, odparł, że póki co mogę mieszkać u niego.
Póki co? - powiedziałam. Co, do cholery, masz na myśli z tym „póki co", Germund?
Dopóki jedno z nas nie umrze, odparł Germund. A co myślałaś, wróbelku?
Albo oboje? - podsunęłam. Może pewnego pięknego dnia powinniśmy skoczyć razem z mostu albo spaść do wąwozu? Czy to nie byłoby wspaniałe? Pełne godności i elegancji, wylądować z połamanymi kręgosłupami pomiędzy czystą matematyką a fizyczną miłością.
Przeczytałam właśnie ***Szczęśliwą śmierć*** Całdery, znalazłam to kilka dni temu u Bok-Viktora i wydawało mi się, że wiem, o czym mówię.
Dlaczego nie? - odpowiedział Germund. - Kiedy przyjdzie czas. Ale może najpierw napijmy się wódki, co?
Najpierw napiliśmy się wódki.
To było przedwczoraj. Wczoraj byliśmy na Sibyllegatan na jesiennym przyjęciu. Łosina z dodatkiem wszystkiego, co mamy z lasu, jak to mówi tata. No i oczywiście wino domowej roboty. Jak zwykle miało smak drożdży, ale po dwóch kieliszkach można się było przyzwyczaić. Coś zaszło między Tomasem a Germundem, do teraz nie wiem, co to było, choć próbowałam trochę powęszyć.
Trochę, nie za bardzo, może później się dowiem.
Było nas dziesięcioro. Nasza czwórka i Rickard ze swoją nową, nieumalowaną lewicującą dziewczyną o imieniu Anna. Kiedy zresztą o tym myślę, wydaje mi się, że to nie była jego nowa, tylko pierwsza. Chociaż to tylko domysł, nie znam Rickarda. W ogóle nie znam ludzi, nawet nie bardzo wiem, co to znaczy.
W każdym razie się nie zgrywa ta Anna pierwsza, myślę, że

jest silna. Spokojna i silna. Może mogłabym ją polubić, ale nie rozmawiałam z nią za dużo. Były tam jeszcze dwie inne pary, a mianowicie Tomasa koledzy z roku z osobami towarzyszącymi. Jedną z tych osób była Francuzka, mieszkająca w Szwecji dopiero rok z kawałkiem, naturalne więc, że się koło niej zakręciłam. Wypaliłyśmy razem na balkonie skręta, musiałyśmy się z tym kryć, Tomas i Gunilla są w tych sprawach konserwatywni. Cholernie mieszczańskie, tak jakby alkohol był o wiele lepszy niż trawa. Ona w każdym razie ma na imię Nadal, jest z Nantes i w Uppsali studiuje jakąś specjalistyczną gałąź historii sztuki, choć nie wydaje mi się, żeby szczególnie dużo się uczyła. Jej rodzice mają zamek z winnicą w dolinie Loary. Zapraszała mnie na przyszłą jesień na ugniatanie winogron, nie wiem właściwie, czy ją lubię, ale fajnie było przegadać cały wieczór po francusku.

Germund tak dobrze się nie bawił. Wypił za dużo i wcześnie zaczął się wkurzać na jednego z ekonomistów, nie na chłopaka Nadal, na tego drugiego. Nazywał się Lars- -Inge i naprawdę był nieznośną łajzą, więc w pewien sposób go rozumiem. Choć takie sytuacje powinno się załatwiać w lepszy sposób. Nie ma co tracić energii na gnojenie ludzi pokroju Larsa-Ingego.

Widzę, że nie znam Germunda w stu procentach. Nawet jego. Kiedy jesteśmy sam na sam, zawsze wiemy, czego się po sobie spodziewać, dopiero w towarzystwie innych czuję czasem, że jest mi obcy. Tak się dzieje w zasadzie tylko wtedy, kiedy Tomas i Gunilla zapraszają nas do siebie. Germund i ja w zasadzie nigdy nie przebywamy między ludźmi w innych sytuacjach. Może będzie inaczej, kiedy razem zamieszkamy, nie wiem. Może trudno jest balansować na naprężonej linie pomiędzy czystą matematyką a pieprzeniem. Nie wiem, czy to się uda.

Lars-Inge przemawiał głośno, bankowo wywodzi się w

prostej linii od polityków i proboszczów sprzed piętnastu pokoleń. Nie lubił prawie nikogo: czarnych, komunistów, hippisów, muzyki pop, Duńczyków, Finów, wierzących, humanistów i takich, co nic nie łapią. Przynajmniej po czwartym kieliszku wina, bo wcześniej gębę miał nieśmiało zamkniętą na kłódkę. Sądzę, że Tomas aż do tego wieczoru nie widział go pijanego, bo inaczej po jaką cholerę miałby go zapraszać.
Po półgodzinie za stołem Germund zapytał jego dziewczynę, cycatą lalę o imieniu Berit z masą karmazynowej szminki na ustach, skąd, do cholery, wytrzasnęła takiego nędznego padalca jak Lars-lnge. Ponieważ myślała, że żartuje, bo co niby miała myśleć, powiedziała, że to nieślubne dziecko Hitlera i szympansicy i że szkoda chłopaka, bo takie miał parszywe dzieciństwo.
A może wcale nie myślała, że Germund żartuje, przecież nie trzeba od razu być głupią, jeśli ma się duże cycki i nadmiar szminki. Lars-Inge nie wyglądał, jakby miał ochotę się z nią pokłócić, może poderwał ją na wieczór i chciał później wydupczyć, więc zamiast tego zaatakował Germunda.
Chcesz dostać w skórę, czy mam cię zaargumentować na śmierć, ty mendo? - po czym dobrą chwilę pierdzielili głupoty, jak to młodzi pijani samcy mają w zwyczaju. To właśnie wtedy, może po piętnastu minutach, ja i Nadal wyszłyśmy na balkon zajarać. To była jej propozycja, ja nigdy sama z siebie nie palę trawy. Kiedy wróciłyśmy, Germunda i Tomasa nie było, a atmosfera była niezdrowa. Lars-Inge siedział odchylony do tyłu i kopcił cygaro. Anna i Rickard wyglądali, jakby zastanawiali się, czy nie pójść do domu, choć była dopiero jedenasta, w każdym razie szeptali do siebie. Gunilla i Cyc- -Berit robiły w kuchni kawę, zaś chłopak Nadal, Bengan, chodził wzdłuż regału z książkami, z przekrzywioną głową czytał tytuły i wyglądał jak przygnębiony znak zapytania. Led Zeppelin skończyli grać,

ale nikomu nie chciało się nastawić nowej płyty. Ja i Nadal czułyśmy się jednak pierwsza klasa, przycupnęłyśmy na kanapie i przez chwilę chichrały- śmy się głośno, potem trochę nas puściło. Wypiłyśmy jeszcze wina, kawy i jakiejś pieprzówki z Ukrainy, którą Bengan miał ze sobą, ponieważ latem był na wycieczce w Związku Radzieckim, cokolwiek ekonomista polityczny mógł mieć w tym kraju do roboty, i kiedy w końcu spytałam, gdzie poszli Germund i Tomas, Rickard powiedział, że wyszli porozmawiać. Rickard wydawał się zawsze trzeźwy, spoważniał, odkąd wziął się za te kościelne sprawy, a jego Anna także nie garnęła się do stymulantów. Chyba uczy się na dziennikarkę, ale nie jestem pewna. Wydaje się lewicowa, ale w porządku.
Panowie wrócili dopiero o północy i wyglądali, jakby spędzili ten czas w przydrożnym rowie. Choć może to przez deszcz. Może po prostu poszli do pubu Rackis na kilka piw.
Żaden z nich nie chciał wyjaśnić, co się stało albo co robili, wypili tylko po kieliszku pieprzówki i chwilę później wszyscy się rozeszli. Możliwe, że część wieczoru przegapiłam, może zdrzemnęłam się chwilkę w swoim rogu kanapy, kiedy jednak przyszliśmy do Germunda, było wpół do drugiej, a mnie myślało się zupełnie jasno.
Zachowywał się inaczej niż zwykle. Wziął prysznic i poszliśmy się położyć. Zapytałam, co on i mój brat robili na deszczu, ale nie odpowiedział. Leżał, patrząc tępo w sufit, a ja pomyślałam, że jeśli będzie się tak zachowywał, nie ma sensu się do niego wprowadzać. W końcu jednak zasnęliśmy, do żadnego pieprzenia nawet się nie zbliżywszy, a rano, czyli dzisiaj, było jak zwykle. Mniej więcej.
Oprócz tego, że zjedliśmy razem śniadanie. Prosił mnie też o wybaczenie. Jasna cholera, chyba wpadłem wczoraj w czarną dziurę, powiedział.
- Czy miało to coś wspólnego z Tomasem? - zapytałam. Albo z tym Larsem-Ingem?

Germund powiedział, że większość miała związek z nim samym. Przykra czkawka z dzieciństwa, to mu się czasem zdarza.
- Ten wypadek? - zapytałam.
- Także parę innych rzeczy - odpowiedział. - Parę innych.
- Opowiesz mi kiedyś? - spytałam.
- Raczej nie - odparł Germund. - Nie masz ochoty na trochę wódki i trochę ciała?
- Nie - powiedziałam. - Nie dzisiaj.
Muszę powiedzieć, że cię rozumiem, odpowiedział.
Po tym wszystkim ubrałam się i poszłam do siebie na Norrtäljegatan. Listopad, myślę. Nagie drzewa, ciemność, spadanie. Bóg odwraca się do nas plecami.
Nie tylko do mnie, do wszystkich. Dobrze mi z tym. Jest w tym jakaś zimna sprawiedliwość. W przyszłym życiu będę bezlistnym drzewem na wietrze.

18

Przesłuchanie Anny Berglund. Komisariat policji w Kymlinge. 29.09.1975. Godzina 17.00. Obecni: inspektor kryminalny Evert Sandlin, asystent kryminalny Sigvard Malmberg.

ES: Poproszę nazwisko i adres.
AB: Anna Berglund. Mąż i ja mieszkamy na plebanii w Rödåkra. On jest pastorem. W parafii Rödåkra-Hemleby.
ES: Dziękuję. Proszę nam opowiedzieć o spotkaniu w sobotę wieczorem.
AB: Co chce pan wiedzieć?
ES: Chcę po prostu usłyszeć ogólny opis. Kto tam był. Dlaczego się spotkaliście. Jaka panowała atmosfera.
AB: Byłam ja i mój mąż. Tomas i Gunilla Wincklerowie. Oraz Germund i Maria.
ES: Germund Grooth i Maria Winckler?
AB: Tak.

ES: Znacie się już długi czas?
AB: Tak.
ES: Od jak dawna?
AB: Od jakichś pięciu lat. Spotykaliśmy się w czasie studiów w Uppsali.
ES: Ale teraz wszyscy jesteście już po studiach?
AB: Tak. Choć ja nigdy nie studiowałam w Uppsali. Byłam na dziennikarstwie w Sztokholmie i dojeżdżałam kolejką. Wychowałam się w Uppsali.
ES: Rozumiem. A więc dlaczego spotkaliście się w sobotę?
AB: Nie widzieliśmy się już jakiś czas. A ponieważ Germund i Maria też przenieśli się do Kymlinge, było to naturalne. Tomas i Gunilla przyjechali z Góteborga.
ES: I spotkaliście się na plebanii w Rödåkra?
AB: Tak. Mieszkamy tam, jak powiedziałam.
ES: Jak przebiegł wieczór?AB: Przebiegł? Hm, dobrze. Jedliśmy kolację i rozmawialiśmy. Nic szczególnego. Bawiliśmy się dobrze.
ES: Żadnych incydentów?
AB: Nie.
ES: Jak długo to trwało?
AB: Mniej więcej do północy. Gunilla jest w ciąży i była trochę zmęczona. Nocowali u nas.
ES: I wtedy wymyśliliście wyjazd na grzyby?
AB: Nie, to było ustalone już wcześniej.
ES: Kto wpadł na ten pomysł?
AB: Nie wiem. Niedzielna wycieczka to chyba całkiem naturalna rzecz. Wydaje mi się, że zaproponowaliśmy to wspólnie z mężem. A pozostali się zgodzili.
ES: Czy mogłaby pani opowiedzieć, co wydarzyło się koło wzgórza Gåsa?
AB: Nie wiem, co mam powiedzieć. To się wydaje nie do pojęcia.
ES: Rozumiem, że to trudne. Ale mimo to musimy spró-

bować ustalić, co się stało, na pewno pani to rozumie.
AB: Tak, oczywiście. Z pewnością spadła, nie rozumiem tylko, jak do tego doszło.
ES: Mniej więcej jak daleko od miejsca wypadku była pani w chwili zdarzenia?
AB: Nie wiem, kilkaset metrów. Może trochę mniej.
ES: Proszę o tym opowiedzieć.
AB: Usłyszałam krzyk i zrozumiałam, że coś musiało się stać. Pobiegłam i już na miejscu zobaczyłam, że ona tam leży.
ES: Widziała pani kogoś z pozostałych?
AB: Tak, już tam byli.
ES: Wszyscy?
AB: Nie, nie wszyscy. Tomas chyba przyszedł zaraz po mnie, ale pozostała czwórka chyba już była. Tak, tak było. Germund i Elisabeth już do niej schodzili.
ES: Czy może pani zaznaczyć na tej oto mapie, gdzie pani była, kiedy usłyszała krzyk?
AB: Nie znam się na mapach.
ES: Mimo to proszę spróbować.
(AB zaznacza. Czas: 25 sekund)
ES: Dziękuję. Kiedy już się pani znalazła przy wzgórzu, w jaki sposób dowiedziała się pani, co się stało?
AB: Sama się domyśliłam, że coś nie gra. Choć wiedziałam to już, kiedy usłyszałam krzyk. Gunilla głośno płakała i wszyscy byli wzburzeni. Ale nie zrozumiałam, o co chodzi, dopóki nie podeszłam do krawędzi i nie zobaczyłam jej tam w dole. To było nie do pojęcia.
ES: Kiedy zdała sobie pani sprawę, że ona nie żyje?
AB: Chyba natychmiast. Tak, wyglądała na nieżywą.
ES: Czy widywała pani wcześniej zwłoki?
AB: Tak. Pracowałam w szpitalu.
ES: Proszę opowiedzieć o tym krzyku.
AB: To był zwykły krzyk. Głośny i przeciągły.

ES: Co krzyknęła?
AB: ***(Po długim wahaniu)*** Myślę, że krzyknęła „Morderca!”.
ES: „Morderca”?
AB: Tak.
ES: Jest pani tego pewna?
AB: Nie.
ES: Ale jest pani pewna, że było to jedno albo kilka słów? Nie jakiś nieartykułowany okrzyk?
AB: Tak. Coś jakby trzy sylaby. Mogło to być też „Zabij mnie!”.
ES: Czyli rozumiem, że było to albo jedno, albo drugie?
AB: Tak mi się wydaje. Ale mogło to być coś innego.
ES: W którym momencie zdała sobie pani sprawę, że krzyknęła „Morderca!” albo „Zabij mnie!”?
AB: Przepraszam, nie bardzo rozumiem.
ES: Czy to było wtedy, kiedy usłyszała pani krzyk, czy kiedy zobaczyła ciało?
AB: ***(Po chwili wahania)*** Kiedy usłyszałam krzyk, ale zinterpretowałam to dopiero, kiedy zobaczyłam ciało. To było takie nierealne.
ES: Co było nierealne?
AB: Że ktoś miałby krzyczeć „Morderca!” w środku lasu.
ES: Czy słyszała pani, kto krzyczał?
AB: Nie, chyba nie. A może?
ES: Czyli w zasadzie mógł to krzyknąć ktoś inny.
AB: Nie rozumiem.
ES: Czy jest pani pewna, że to Maria krzyczała?
AB: A kto inny mógłby to być?
ES: No dobrze, przejdźmy dalej. Co pani myślała, podchodząc do krawędzi?
AB: Że coś musiało się stać.
ES: Pomyślała pani, że ktoś został zamordowany?
AB: Nie, tak oczywiście nie pomyślałam.

ES: A co pani myśli teraz?
AB: To znaczy?
ES: Co pani myśli, wiedząc, że Maria nie żyje i że przed śmiercią krzyknęła „Morderca" albo „Zabij mnie"?
(AB potrząsa głową, ale nie odpowiada. Wyjmuje chusteczkę i wydmuchuje nos)
ES: Czy mógłbym prosić o odpowiedź na moje pytanie?
AB: Nic nie chcę myśleć.
ES: Czy sądzi pani, że Maria spadła, czy też ktoś ją zepchnął?
AB: Sądzę, że nikt jej nie zepchnął.
ES: Czyli według pani mogła skoczyć z własnej woli?
AB: Nie potrafię tego ocenić.
ES: Czy może pani wyjaśnić, dlaczego miałaby krzyczeć „Morderca!", skoro nikt jej nie zepchnął?
AB: Nie.
ES: Czy widziała pani w lesie kogoś poza osobami z waszej grupy?
AB: Zjawił się człowiek z psem, ale dopiero po tym, jak ją znaleźliśmy
ES: I nie widziała go pani wcześniej?
AB: Nie.
ES: Rozmawiała pani z nim?
AB: Nie.
ES: Czy ktoś z pozostałych z nim rozmawiał?
AB: Być może. Tak, rozmawiali chyba trochę o tym, co się stało.
ES: Rozumiem. A o czym rozmawialiście w grupie, kiedy już ją znaleźliście?
AB: Nie wiem. Wszyscy byli w szoku.
ES: Kto poszedł po pomoc?
AB: Tomas.
ES: Dlaczego akurat on?
AB: Nie wiem. Tak się złożyło.

ES: Próbowali państwo reanimować Marię?
AB: Nie. Było oczywiste, że nie żyje.
ES: Podeszła pani do niej i to stwierdziła?
AB: Nie, inni zdążyli to zrobić, zanim zeszłam.
ES: Kto?
AB: Chyba Germund i Elisabeth. W każdym razie to oni byli przy niej pierwsi.
ES: Ale musieliście rozmawiać przynajmniej o tym krzyku?
AB: Tak, wszyscy go słyszeli.
ES: Proszę mówić dalej.
AB: Nie wiem, co mam mówić. Upłynęło trochę czasu, odkąd...
ES: Tak?
AB: Odkąd rozmawialiśmy o tym, co takiego krzyknęła. Wszyscy to słyszeli, ale Elisabeth i ja wyraźniej. Może Gunilla też, już nie pamiętam. Elisabeth uważała, że zabrzmiało to jak „Morderca!", „Zabij mnie!" czy coś takiego.
ES: Co myśleli inni?
AB: Że krzyknęła coś, w czym było e.
ES: Rozważaliście możliwość, że ktoś ją zepchnął?
AB: Nie.
ES: Dlaczego?
AB: Nie wiem.
ES: Nie bardzo rozumiem. Przecież w lesie mógł być ktoś jeszcze. Na przykład ten człowiek z psem.
AB: ***(Brak odpowiedzi)***
ES: Prawda?
AB: Mówię, że nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym po prostu. Wszyscy byliśmy w szoku.
ES: Co pani sądziła o Marii Winckler?
AB: Lubiłam ją.
ES: Jak by ją pani opisała?
AB: ***(Po zastanowieniu)*** Była nietypowa. Niezależna. Cenię to u ludzi.

ES: Czy pozostali są tego samego zdania?
AB: Oczywiście. Jesteśmy starymi dobrymi przyjaciółmi, cała szóstka. Choć oczywiście proszę ich spytać o zdanie, nie mnie.
ES: A jeżeli chodzi o siódmą uczestniczkę wycieczki, Elisabeth Martinsson, co może pani o niej powiedzieć?
AB: Nigdy jej wcześniej nie spotkałam. Pracuje w tej samej szkole co Germund i Maria. Wydawała się miła, ale prawie w ogóle z nią nie rozmawiałam.
ES: Kiedy usłyszała pani krzyk, czy w tym momencie widziała pani kogoś z grupy?
AB: Nie, chodziłam sama.
ES: I<ledy mniej więcej kogoś pani zobaczyła?
AB: Kiedy podeszłam do krawędzi.
ES: Wcześniej nie widziała pani nikogo?
AB: Nie.
ES: Jest pani tego pewna?
AB: Tak, jestem pewna.
ES: Czy według pani wiedzy Maria miała jakichś wrogów?
AB: Nie.
ES: Nie licząc dnia wycieczki, kiedy widziała się pani z nią po raz ostatni?
AB: W grudniu ubiegłego roku. Zanim się tu wprowadziliśmy.
ES: Kiedy się państwo wprowadzili?
AB: W styczniu. Mąż objął wtedy stanowisko.
ES: A pani pracuje w gazecie „Kyrkans Tidning”?
AB: Tak.
ES: Co sądzi pani o związku Marii i Germunda?
AB: Nie mogę się na ten temat wypowiadać. Myślę, że jest… że było… im dobrze ze sobą. Oboje byli trochę dziwni.
ES: W jakim sensie dziwni?
AB: Można powiedzieć, że byli odludkami. Dwoje indywidualistów. Ale zawsze byli bezproblemowi. To nasi przy-

jaciele.
ES: Czy mogłaby pani powiedzieć, że dobrze znała Marię?
AB: Nie. Nigdy nie byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, jeśli o to panu chodzi. Nigdy nie spotykałyśmy się sam na sam. Zawsze była nasza szóstka. Ona poza tym była przecież siostrą Tomasa. Tomas i mój mąż byli w Uppsali razem w wojsku, tak się poznali.
ES: Czy Maria miewała stany depresyjne?
AB: Nic mi o tym nie wiadomo.
ES: Nigdy nie mówiła, że chciałaby się zabić?
AB: Ja nie słyszałam.
ES: I nikt z grupy nie miał z nią żadnych zatargów?
AB: Nie.
ES: Proszę pomyśleć, czy w sobotni wieczór nie zdarzyło się nic, co mogłaby pani powiązać z tą śmiercią?
AB: Nie, nic takiego nie było.
ES: Czy chciałaby pani coś jeszcze dodać?
AB: Nie, nie mam nic do dodania. Dla mnie to wszystko jest naprawdę straszne.
ES: Bardzo współczuję. Jestem jednak pewien, że da pani sobie radę.
AB: Czy to wszystko?
ES: Na razie tak. Ale z pewnością jeszcze porozmawiamy. Przesłuchanie się kończy. Jest 17.22.

19

Pierwszym mieszkaniem Rickarda Berglunda w Uppsali po skończeniu szkoły podoficerów był pokój na stancji przy Torsgatan w dzielnicy Luthagen. Spacer na wydział teologiczny zajmował nie dłużej niż dziesięć minut, co dla niego było idealne. Gospodyni nazywała się Angelica Lifferman i miała osiemdziesiąt lat, a studenci mieszkali u niej od ćwierć wieku, odkąd straciła męża. Preferowała studentów teologii, próbowała z humanistami i studentami medycyny,

ale w pokoju zdarzały się balangi. Preferowała również mężczyzn, ponieważ zdarzało się, że potrzebowała pomocy w takiej czy innej praktycznej sprawie, a wtedy więcej pożytku z chłopa niż z baby.
Całymi dniami czytała, szydełkowała i rozwiązywała krzyżówki, co wieczór, oglądając wiadomości, wypijała dwie szklaneczki porto i miała kota o imieniu Miller. Miał siedemnaście lat i pokonywał maksymalnie dziesięć metrów dziennie. Czasem udawało mu się dojść do kuwety, a czasem nie. Miała też córkę w Kristianstad, o imieniu Gunvor, na którą co drugi dzień krzyczała przez telefon, zwłaszcza po winie. Rickard słyszał te tyrady przez cienką ściankę działową i myślał, że musi to być niespotykanie cierpliwa kobieta, skoro znosi tak olbrzymie ilości regularnych obelg.
Pod jego adresem gospodyni nigdy ich nie kierowała. Nie przyjmował w pokoju pań i nie balował. W każdym razie nie przy Torsgatan. Z Anną spotykał się zawsze na Eriksbergu albo w knajpie.
Pierwszy raz poszli do łóżka w pierwszym tygodniu sierpnia. Nie był to szczególnie udany akt miłosny, ponieważ okazało się, że oboje robili to pierwszy raz. Zażenowanie jednak minęło, miesiąc później spróbowali znowu z nieco lepszym skutkiem.
Rickarda cieszyło, że Anna nikogo przed nim nie miała i że on nie miał nikogo przed nią. Dzielone zażenowanie to połowa zażenowania. Całe szczęście, że nie robiła tego z tym Goranem z Front National de Liberation, pomyślał. Dzięki temu mogli czuć, że łączy ich coś naprawdę poważnego. Rickard i Anna; trochę dziwne, że wiedział to z taką pewnością już po kilku miesiącach, ale serce ma swoje racje. Wiemy coś, choć nie rozumiemy skąd. Swój pierwszy prawdziwy orgazm Anna przeżyła w drugi piątek listopada, przynajmniej tak twierdziła. Trening czyni mistrza, jak informowano w uświadamiających seksualnie pisemkach, z

którymi od czasu do czasu konsultował się w największej skrytości.
Właśnie po tym przeżyciu, listopadowym orgazmie, po raz pierwszy powiedziała, że chyba go kocha. Niezwłocznie odparł, że on ją też. Tej nocy nie zmrużył oka i kiedy następnego wieczoru byli na Sibyllegatan i jedli łosinę, czuł, że naprawdę są parą. Nie mniej niż pozostali: Tomas i Gunilla oraz Germund i Maria, tak, czuł to całym sobą.
Pewnego dnia się pobierzemy, myślał.
Będziemy mieli dzieci.
Anna i ja.
Rickard i Anna. Pięknie to brzmi.
Postanowili, że będą spieszyć się powoli. Nie wprowadzać się do siebie na hura. Poczekać trochę z zaręczynami i tak dalej. Z przedstawianiem rodzicom także nie ma co się spieszyć, kiedy jednak Rickard byt w Hova podczas trzech świątecznych dni, powiedział mamie, że poznał dziewczynę.
Widział, że ją to ucieszyło, ale ciężko jej było ubrać tę radość w stówa.
Ojej, powiedziała tylko. Uważaj na siebie.
Obiecał, że będzie uważał. Kiedy drugiego dnia świąt wyjeżdżał, przytulił ją na pożegnanie, co pewnie zdziwiło ją równie mocno, jak jego samego. Żadne z nich nigdy nie przepadało za kontaktem cielesnym. Jego nieżyjący ojciec również, między ciałem a duchem istniała granica, której się bezkarnie nie przekraczało.
Nie wiedział, czy Anna opowiadała o nim swojej rodzinie w Salabackar, i nie chciał jej o to pytać. Było jasne, że stosunki między nimi nie są dobre. Wyprowadziła się z domu już kiedy była w liceum i nigdy o nich nie rozmawiała. Ani o rodzicach, ani o braciach. Z ***nimi*** zresztą też nie, o ile Rickard potrafił ocenić. Oczywiście przyjdzie dzień, kiedy będzie mógł ich poznać - tak samo jak Anna zostanie przedstawiona jego samotnej matce w Hova - ale, jako się

rzekło, nie ma powodu do pośpiechu.
Dopiero w styczniu po raz drugi zadeklarowali, że się kochają. Również i tym razem miało to miejsce po udanym stosunku w mieszkaniu przy Glimmervägen na Eriksbergu i Rickard zaczął rozumieć, że miłość fizyczna jest rzeczywiście tak ważną i delikatną sprawą, jak to opisują w tych gazetach. Wiara mogła tu być przeszkodą. Krył się w tym konflikt, z którym nie umiał sobie poradzić, i na początku wybrał najprostsze wyjście: w ogóle nie próbować. Nie mógł rozmawiać z Anną o Bogu i nie mógł rozmawiać z Bogiem o Annie. W jednym i drugim przypadku nie znajdował sensownych słów, więc także tę kwestię odłożył na później. Dla młodego studenta z Uppsali na początku lat siedemdziesiątych przyszłość jest długa, nie ma się czym martwić.
W ciągu pierwszych semestrów nie widywał się z Anną zbyt często. Każdego dnia dojeżdżała pociągiem do szkoły dziennikarskiej w Sztokholmie, najczęściej mieli dla siebie jeden wieczór w środku tygodnia oraz weekendy, które zwykle spędzał na Glimmervägen. Czasem szli do łóżka, a czasem nie. Najczęściej wypijali razem butelkę wina. Czerwonego, Vino Tinto lub Parador, żadne z nich nie przepadało za białym. Ani za różowym, które nagle stało się takie popularne.
Nic więcej się nie działo. Niczego więcej nie było im trzeba.
Z Bogiem spotykał się w pozostałe dni na teologii. Wyczuć jego obecność nie zawsze było łatwo, ale w zasadzie była ona oczywista. Rickard Berglund nosił to w sobie jak aksjomat, a aksjomatów nie można kwestionować. Aksjomaty nigdy nie muszą się wysilać, powiedział kiedyś Tomas podczas ćwiczeń strzeleckich w Hågadalen. Dlatego zdarza im się zadzierać nosa, takie już są. Rickard pamiętał, że próbowali wyjaśnić, z czego się śmieją, wyjątkowo zarozumiałemu chorążemu Norénowi. Nie udało im się to i dostali reprymendę.

Gdzie jednak - w dzisiejszym świecie, na przykład w połowie stycznia 1971 roku - żywy Bóg w tym zsekulary- zowanym, wywróconym na lewo kraju mógłby mieć swój przybytek, jeśli nie na wydziale teologicznym uniwersytetu w Uppsali? Zaledwie pół rzutu kamieniem od rezydencji arcybiskupa, a ćwierć od katedry.

Dobre pytanie, myślał czasem. Eleganckie retorycznie. Czy można je jednak zadać, nie czując w nozdrzach zdradzieckiego zapaszku ironii?

Kurs podstawowy z religioznawstwa, który według nowego schematu przewidziany był na początek studiów teologicznych, rozciągał się na dwa pierwsze semestry. Był to po prostu przegląd siedmiu tematów egzaminacyjnych: historia religii, egzegeza Starego Testamentu, egzegeza Nowego Ićstamentu, historia Kościoła z historią misji, dogmatyka / symboliką, etyka z filozofią religii i teologia praktyczna.

Rickard był pilny z natury. Czytał całą obowiązkową literaturę, próbował zapoznać się z uzupełniającą, polecaną przez wykładowców na seminariach, a równolegle czytał Kierkegaarda. ***Albo-albo, Stadia na drodze życia, Pojęcie lęku.*** Problem stanowił fakt, że nie można było dostać całego Kierkegaar- da po szwedzku: Rickard miał do dyspozycji jedynie swój sfatygowany egzemplarz ***Wyboru pism*** oraz ***Nienaukowe zamykające post scriptum*** tom II po duńsku (znaleziony przypadkiem w jednym z antykwariatów na Övre Slottsgatan). Jednak mimo tych luk, za każdym razem gdy zagłębiał się w fundamentalnych tekstach egzystencjalizmu (za takie bowiem je uważał), towarzyszyło mu uczucie obcowania z czymś świeżym, prawdziwym i ludzkim. W każdym razie prawdziwszym i bardziej ludzkim niż ***Historia misji chrześcijańskich*** Ambretsena i Fincka. Choć pewnie dawało się to powiedzieć o większości.

Tak czy inaczej, Rickard wkuwał wszystko, co musiał

wkuwać, i większość jego kolegów robiła to samo. Wśród nieodłącznych skarg, stękań i egzaminacyjnej męki. Kierkegaard musiał niestety poczekać, na wszystko przyjdzie czas. Nawet na ponowne przyjście na ziemię Pana Naszego Jezusa Chrystusa, jak można było przypuszczać. W ogóle wiele rzeczy wydawało się należeć do odległej przyszłości i może dlatego z tą Jego obecnością było czasem różnie.
Jednak któregoś dnia - tak, przez wiele kolejnych dni
- porozmawia o tym wszystkim z Anną. Na pewno, bo również i to jest tylko i wyłącznie kwestią czasu.

20

Barbarotti skończył lekturę zielonych segregatorów Sandlina dopiero we wtorek o szesnastej, ale ponieważ Asunander przełożył ich omawianie na środę, nie miało to większego znaczenia.
Włożył ostatnie papiery na miejsce i schował segregatory. Odchylił się na krześle, położył nogi na biurku, splótł dłonie na karku.
Pomyślał, że to cholernie dziwna historia.
A może nie dziwna, to było złe słowo. Bo też nie była to historia. Po przeczytaniu trzech ostatnich przesłuchań - wszystkie przeprowadzone były jednego popołudnia i wieczoru 29 września 1975, dzień po wypadku w wąwozie Gâsa, przez inspektora kryminalnego Everta Sandlina na komisariacie w Kymlinge - Gunnar Barbarotti pomyślał, że nigdy nie czytał czegoś tak wyjałowionego z treści. Rickard Berglund, Elisabeth Martinsson i Gunilla Winckler-Rysth nie powiedzieli niczego, co w najmniejszy nawet sposób zmieniłoby obraz, jaki wytworzył sobie ubiegłego wieczoru po przeczytaniu zeznań Germunda Grootha, Tomasa Wincklera i Anny Berglund.
Po prostu wszyscy mówili to samo. Cała szóstka chodziła po

lesie, każdy osobno, i nikt, kiedy usłyszał krzyk, nie widział żadnego z pozostałych. Wszyscy pobiegli najszybciej jak się dało na skraj wzgórza i w ciągu kilku minut byli przy zwłokach Marii Winckler. Tomas Winckler pobiegł po pomoc.
Nikt nie potrafił niczego wyjaśnić i gdyby nie to, że dwie kobiety twierdziły, iż zmarła krzyknęła „Morderca!" albo „Zabij mnie", nie byłoby najmniejszego powodu, aby podejrzewać jakiekolwiek przestępstwo.
Przynajmniej do dnia dzisiejszego, trzydzieści pięć lat później, gdy w tym samym miejscu leżała kolejna ofiara wycieczki.
Miejsce odejścia przodków, pomyślał Gunnar Barbarotti. Jeżeli nic takiego nigdy nie istniało, dlaczego wymyślono to pojęcie?
Sama zgodność była jednak zastanawiająca. Podobieństwo w zeznaniach. A może to Sandlin był kiepskim przesłuchującym? Upartym, ale kiepskim? Czy zadawał niewłaściwe pytania?
Trudno to było ocenić po tak długim czasie. Choć Barbarotti musiał przyznać, że zaznaczanie na mapie było sprytnym posunięciem. Każdy uczestnik wycieczki postawił krzyżyk na pustej mapie, nie wiedząc, jak zaznaczali inni, ale nawet z tego nie wynikły żadne rozbieżności. Kiedy Sandlin zestawił rezultaty na swojej mapie, punkty znalazły się na powierzchni liczącej jakieś trzysta na czterysta metrów, co zdawało się potwierdzać, że żaden z uczestników wyprawy nie widział nikogo, kiedy rozległ się krzyk.
Posunięcie sprytne, ale bezowocne.
Czy jednak właśnie to nie jest cholernie dziwne? - myślał Barbarotti. Czy gdy szóstka dobrych przyjaciół - plus jedna nieparzysta - spotyka się po długim czasie, nie byłoby bardziej naturalne, gdyby idąc, ze sobą rozmawiali? Jeśli nie całą grupą, to dwójkami? Chociaż niektórzy z nich? Czy

w sobotni wieczór zdążyli się sobą znudzić? Czy w czasie tego spotkania coś się wydarzyło? Coś, co z jakichś powodów chcieli zatrzymać dla siebie?
Równie dobrze mógł to być czysty przypadek. Elisabeth Martinsson i Gunilla Winckler-Rysth twierdziły, że były blisko siebie jakieś dwie-trzy minuty przed tym, jak rozległ się krzyk. Annie Berglund mniej więcej w tym samym czasie wydawało się, że dostrzegła męża. Teren był pagórkowaty i zalesiony, nie mogły to być wielkie odległości.
Nikt jednak nie miał alibi. Sandlin stwierdził to w swoim komentarzu do sprawy, a Barbarotti mógł tylko powiedzieć to samo dzisiaj, trzydzieści pięć lat później. Każdy z tej szóstki mógł zepchnąć Marię Winckier do wąwozu.
W zasadzie. Pytanie oczywiście, po co. Po co ktokolwiek z nich miałby to robić? Czy któreś miało jakiś powód?
Czy właśnie to mobilizowało Sandlina do kontynuowania śledztwa przez trzy miesiące? Czyżby zwietrzył motyw?
I czy to właśnie to przeczucie skłoniło go do trzykrotnego przeszukania tego miejsca, przy czym ostatni raz w grudniu? Zainspirowało do zrobienia rekonstrukcji z udziałem sześciu funkcjonariuszy i asystentów? Czy dlatego przesłuchał jeszcze dziesięć innych osób, aż ówczesny komendant, niejaki komisarz Valfridsson, poprosił go o dodatkową notatkę służbową na temat stanu śledztwa, z uzasadnieniem, dlaczego nie zostało umorzone.
Owa notatka znajdowała się w drugim segregatorze. Była opatrzona datą 19 listopada 1975 i wynikało z niej, że pozostało jeszcze do wykonania kilka badań i przesłuchań. Poza tym niewiele; Barbarotti mógł przypuszczać, że Sandlin nie przepadał za swoim szefem, pamiętał, że Valfridsson miał opinię nader niesympatycznego. Nawet jak na komendanta. Przeszedł na emeryturę pięć lat przed tym, jak Barbarotti rozpoczął pracę w Kymlinge, a z życiem rozstał się niedługo potem, kiedy to rozedma płuc nałogowego pa-

lacza odniosła zwycięstwo.
Sandlin oczywiście jesienią 1975 roku nie pracował nad tą sprawą non stop i codziennie. Każdy dokument był opatrzony datą i zdarzały się kilkudniowe lub kilkutygodniowe luki.
No, to by było tyle, podsumował Barbarotti sam dla siebie i westchnął. Postanowił, że wszystko przekaże Backman, żeby mogła to sobie w spokoju przejrzeć. Wprawdzie ustalili, że on będzie grzebał w przeszłości, ona w teraźniejszości, ale zawsze przecież można zrobić małą zamianę ról.
Splótł dłonie na karku, zdjął nogi z biurka i miał właśnie wstać, kiedy zapukała i wsunęła głowę do środka.
- Przeszkadzam w pracy umysłowej?
- Dobry ***timing*** - odparł Barbarotti. - Nie, mój umysł miał niestety awarię. Właśnie chciałem iść do ciebie i zapytać, czy rozwiązałaś sprawę.
- Nie do końca - przyznała Backman, siadając. - Ale jestem na dobrej drodze.
- Poważnie? - zapytał Barbarotti.
- Tak, bo nie wydaje mi się, żeby w ogóle była jakaś sprawa. Tak jak mówiłam na początku. Ona spadła, a on skoczył.
- Z jakiego powodu?
- Co masz na myśli?
- Skok - powiedział Barbarotti. - Spadek chyba nie wymaga uzasadnienia.
- Spadek? - zapytała Backman. - Dobre słowo.
- Wiem. No i?
- Mam ci powiedzieć, dlaczego Germund Grooth skoczył do wąwozu Gåsa?
- Otóż to - powiedział Barbarotti. - Oświeć z łaski swojej nieczynny gliniarski mózg. Dlaczego zabił się w miejscu, w którym trzydzieści pięć lat temu zginęła jego narzeczona?
- Sądzę, że odpowiedź jest zawarta w pytaniu - odparła Backman.

-Co?
- No, tak to jest.
- Czyli dla ciebie to zupełnie normalne?
- W każdym razie nie takie dziwne. Jeżeli ktoś decyduje się na śmierć, może chcieć starannie wybrać miejsce.
Barbarotti patrzył na nią nachmurzony i zastanawiał się.
- A cholera wie - powiedział. - Nigdy nie byłem na tyle bliski tej decyzji, żebym wybierał metodę. Albo miejsce. A ty?
- Może w wieku nastu lat - przyznała Eva Backman. - Ale wtedy nie byłam zbyt rozsądna. Zresztą, mogli skoczyć oboje. Ona i on. On zaś mógł wiedzieć, że to zrobiła.
- Przez te wszystkie lata?
- Przez te wszystkie lata. Może była jego wielką i jedyną miłością i po trzydziestu pięciu latach się poddał. Chciał się z nią w jakiś sposób połączyć, nie uważam, żeby to było takie dziwne.
- Z iloma osobami rozmawiałaś? - zapytał Barbarotti.
- Z dwiema - odparła Eva Backman. - Z Gunillą Win- ckler-Rysth i z Elisabeth Martinsson. - Z tą drugą tylko przez telefon. Nie przycisnęłam ich zresztą jeszcze.
- Co masz na myśli?
- Nie zapytałam na przykład o alibi. Z jak dużym przedziałem czasowym mamy do czynienia? Cztery godziny, dobrze zrozumiałam?
Barbarotti skinął głową.
- Z grubsza. Sobota między dwunastą a szesnastą, mniej więcej. Ritzén mówi, że raczej wcześniej niż później, ale chyba bardziej nie da się tego zawęzić.
- Szkoda, że ten facet z psem nie wychodził częściej. Mogłoby to pomóc.
- Wiem - odparł Barbarotti. - Ale jest, jak jest. I szkoda, że chcesz to uprościć. Ja przeczuwam w głębi duszy coś innego.

- Nie wiedziałam, że zacząłeś aromaterapię - powiedziała Backman. - A może to harmonizowanie zmysłów?
- Jedno i drugie. Trzeba czerpać z nauki. Czyli nie rozmawiałaś z pastorem?
- On już nie jest pastorem.
- Rozmawiałaś z eks-pastorem?
- Nie. Jego żona umiera w szpitalu na raka.
- A, wspominałaś - odparł Barbarotti z westchnieniem.
- Niezbyt wesoła sytuacja, ale chyba i tak musimy z nim porozmawiać? Chcesz, żebym ja się tym zajął?
- Bardzo bym prosiła. Co mam przewidziane w zamian?
- O, to - powiedział Barbarotti, wręczając jej segregatory. - Tylko proszę, żebyś czytając, porzuciła swoje z góry powzięte założenia.
- Nie piernicz. Ja nawet nie wiem, co to znaczy. Kiedy mamy to omawiać z Asunanderem?
- Jutro po południu. Masz przed sobą cały wieczór i poranek.
- Okej - odparła Backman i wręczyła Barbarottiemu cienką teczkę.
- Co to jest?
- Wydrukowane przesłuchania Winckler-Rysth i Martinsson. Nie chcę, żebyś siedział bezczynnie, jeśli nie złapiesz eks-pastora.
- Dzięki - powiedział Gunnar Barbarotti. - Zawsze można na ciebie liczyć.
- Spisałam je białym wierszem. Mam nadzieję, że to docenisz.
- Napiszę do nich muzykę - odparł Barbarotti - i jutro odśpiewamy Asunanderowi w duecie.
- ***Mon Dieu*** - powiedziała Backman.
Po cholerę gadamy w ten sposób? - pomyślał, kiedy zamknęła za sobą drzwi.
Żeby umilać sobie dni? Czyżbyśmy byli tak zmęczeni pracą,

że nie potrafimy inaczej?
I co to za swędzenie rozchodzi mi się po duszy?
Właśnie to pytanie zadał kilka godzin później Marianne.
- Jakieś swędzenie rozchodzi mi się po duszy. Jak myślisz, co to może być?
Było wpół do dziesiątej wieczorem. Wrócili do swojej wspólnej pracowni. Właściwie już wcześniej myślał sobie, że spełnia ona bardziej rolę pokoju wypoczynkowego. Tak to jest, jak się ma w domu czterech nastolatków. Nawet jeśli są przyszłością tego kraju.
- Chodzi o pracę czy o nas?
- Nie może chodzić o nas, a więc chodzi o pracę - rzekł Barbarotti.
- Jesteś tego pewny? - spytała Mariannę. - Wzięliśmy na siebie odpowiedzialność za czwórkę dzieci, byłoby trochę głupio teraz to przerwać.
- Zwariowałaś? Kto mówi o przerywaniu? Mówiłem tylko, że czuję w duszy lekki świąd i że najprawdopodobniej ma to związek z pracą. Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek.
- Dobrze - odparła Marianne. — Ja ciebie też kocham. A o duszę trzeba dbać, chyba powinniśmy sobie nawzajem o tym przypominać, gdy wkrada się zmęczenie. Jaka służbowa sprawa tak cię gryzie, co?
- Tak właściwie to nie wiem. Pewnie ten facet, który zginął w wąwozie Gåsa. Tym się w każdym razie teraz zajmuję.
- Chodzi o to, co zdarzyło się w niedzielę?
- Raczej w sobotę. W niedzielę go znaleziono.
- Aha. I dlaczego cię z tego powodu swędzi?
- Ciężko powiedzieć - rzekł Barbarotti. - Eva Backman twierdzi, że w grę nie wchodzi żadne przestępstwo, a ona zwykle ma rację. Ja mam jednak zupełnie inne przeczucie.
- Coś się stało dawno temu w tym samym miejscu, prawda?
- No tak - westchnął Barbarotti. - W 1975 zginęła tam kobieta. A ten, którego znaleźliśmy teraz, był jej partnerem.

- Co ty powiesz? - odparła Marianne, a on zdziwił się, że wcześniej z nią o tym nie rozmawiał. Ale ostatni raz widzieli się w niedzielę, w nocy z poniedziałku na wtorek miała dodatkowy dyżur.
- No właśnie. Wpadła tam młoda, dwudziestopięcioletnia kobieta... to zresztą jest dawne miejsce odejścia przodków, choć Backman twierdzi, że nigdy nic takiego nie istniało. Ta kobieta w każdym razie nazywała się Maria Winckler. A trzydzieści pięć lat później jej chłopak, obecnie koło sześćdziesiątki, spada w tym samym miejscu. Germund Grooth.

Minęło kilka sekund, zanim pojął, że dzieje się coś dziwnego. Marianne siedziała na brzegu jego biurka, teraz wstała i trwała w zupełnym bezruchu z jedną ręką uniesioną w osobliwym geście, którego nie umiał zinterpretować. Wpatrywała się w niego, nie, nie w niego, w ścianę za jego plecami, plakat Piranesiego, który kupili w Pradze, a może w tapetę koło plakatu, a jej spojrzenie przez kilka sekund wyrażało kompletną pustkę. Albo może wielkie osłupienie.

Potem wzięła się w garść. Przeczesała dłońmi włosy i wyprostowała się.
- Zejdź po butelkę wina - powiedziała. - Chyba musimy o tym porozmawiać.
- O czym... o czym ty, do diabła, mówisz? - zapytał Gunnar Barbarotti.

Odchrząknęła.
- O tym, że doskonale wiem, kim jest Germund Grooth... czy raczej powinnam powiedzieć: kim był.
- Skąd ty...?
- Jedno z tych włoskich. No pospiesz się, na litość boską.

Gunnar Barbarotti zerwał się i pomyślał, że swędzenie najwidoczniej przeszło w coś innego. Trudno powiedzieć w co.

Następnego ranka przyparła go do muru. A przynajmniej próbowała.
Zostawiać ją samą ze wszystkimi? Wyjść sobie z Germundem i mieć gdzieś całą odpowiedzialność? Co to za nielojalne zachowanie? O co tutaj chodzi?
- Potrzebował tego - odparł Tomas.
- Potrzebował?
- Tak. Przykro mi, ale jest tak, jak mówię.
- Czyli potrzeby Germunda są najważniejsze?
- Wczoraj były. Nie miałem wyboru.
- Jak to? Jak to nie miałeś wyboru?
Tomas oparł głowę na dłoniach i przyglądał się jej. Siedzieli przy stole w kuchni. Była za piętnaście dziesiąta, pomyślała, że wygląda na zmęczonego, ale nie brzmiał jak skacowany. Nie brzmiał też jak skruszony, co na początku zakładała. Usiłował być lojalny, było to widoczne.
Bił się z myślami, czy jej powiedzieć, czy nie. Dolała kawy z termosu i czekała. Posmarowała marmoladą sucharek i próbowała zdusić irytację.
- Chciał się zabić.
-Co?
- Germund chciał wyjść i się zabić. Dlatego z nim poszedłem.
Zaczęła żałować, że nie zapytała go już wczoraj wieczorem. Wolała się nie odzywać. Położyli się koło drugiej, kiedy wszyscy już poszli, i nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Odwrócili się tylko plecami do siebie i zasnęli.
A teraz on twierdzi, że uratował Germundowi życie. Cholera wie, pomyślała Gunilla Rysth. Jeśli kłamie, to sprawa jest poważna. Naprawdę poważna.
W sumie dlaczego miałby kłamać? Miał całą noc na wymyślenie czegoś lepszego.
- Opowiedz - powiedziała, zapalając papierosa.

- No dobrze - odparł. - Choć obiecałem mu, że nie będę o tym mówił.
Zaciągnęła się i znowu czekała. On westchnął i zaczął huśtać się na krześle. Przyglądał się stertom niepozmywa- nych naczyń.
- Nie powtarzaj tego Marii.
- Nie zamierzam nikomu powtarzać. On miał chyba nieźle w czubie, co?
- Wiem. Ale to nie była pijacka gadka. Przynajmniej tak mi się wydaje. Szkoda, że trafił na tego pieprzonego Larsa--Ingego.
- Po co go w ogóle przyprowadzałeś? Nie masz lepszych kolegów?
- ***Sony*** - powiedział Tomas. - Spotykałem się z nim tylko, jak był trzeźwy. Tak, był naprawdę nie do wytrzymania. Zastanawiam się, jak będzie wyglądał ten kraj, jeśli tacy jak on wezmą się za finanse.
- Ty to zrównoważysz. O tym Benganie też zresztą nie można powiedzieć złego słowa.
Tomas wzruszył ramionami. Gunilla westchnęła.
- Chyba nie trzeba popełniać samobójstwa tylko dlatego, że spotkało się niesympatycznego ekonomistę. Prawda?
Potrząsnął głową.
- Miejmy nadzieję, że nie. Nie rozumiem go. Ale czasem potrzeba tylko iskry zapalnej, prawda? A wczoraj stało się tak z Germundem. Trudno było wydusić z niego sensowny powód, zdawało się tylko, że to nie jest nic nagłego.
- Jak to nic nagłego?
- No, żadne konkretne wydarzenie. Tylko coś, co w sobie nosi i co czasami daje o sobie znać. Może chodzi o śmierć rodziców i siostry. Tak jakby to cały czas było gdzieś tam przyczajone, ale nie wiem. Nie chciałem pytać.
- A co on właściwie mówił?
Tomas znowu pokręcił głową.

- Wyszedł z kibla i powiedział do mnie: „Tomas, mam już dosyć. Idę się zabić. Powiedz Marii, że bardzo mi przykro”.
- Co? Tak powiedział?
- Zgadza się. Dokładnie tak. Co do słowa. I brzmiał zupełnie trzeźwo, nawet jeśli nie był. Wziął kurtkę i szalik
I wyszedł. To co miałem zrobić, do cholery?
Gunilla zdusiła papierosa i próbowała jakoś spontanicznie zareagować, ale to wszystko było takie skomplikowane.
I w pewien sposób niejasne. Tak niepojęte, że nie wiadomo było, co z tym zrobić. Pomyślała, że tak naprawdę zupełnie nie zna Germunda Grootha. Nigdy nie rozmawiała z nim w cztery oczy, tak jak z Rickardem i Marią. Nie żeby doskonale rozumiała Marię, co to, to nie, ale z Germundem nic jej nie łączyło. Jeśli akurat zostawali sam na sam - nie zdarzało się to zbyt często, ale kilka razy owszem - nie wiedziała, co powiedzieć. Nie można było nawet gadać z nim o bzdurach, tak jak dało się to robić z Marią. Na przykład różne pierdoły o Tomasie, pół żartem, pół serio.
Germund Grooth był jednak trudny. Mimo woli odnosił się do innych z wyższością. Nie myślała o nim źle, nic z tych rzeczy, ale był i pozostał dla niej obcym człowiekiem. Jesteśmy dwoma gatunkami, które się nie porozumieją, pomyślała. Po prostu. Ryba i krowa.
Zaśmiała się. Tomas zmarszczył czoło ze zdziwienia.
- Z czego się śmiejesz?
- ***Sorry.*** Nic takiego. No to co robiliście?
Tomas rozłożył ręce.
- Szliśmy. Do Stabby, parę kółek po lesie i z powrotem. Skręciliśmy do Rackis, napiliśmy się po piwie, przygrywał zespół bluesowy, ale akurat mieli przerwę. Na początku mówił, żebym zostawił go w spokoju, że chce spokojnie zrobić to, co ma do zrobienia. Powiedziałem, że go nie zostawię, że oczywiście nie pozwolę mu się zabić... uznałem, że lepiej potraktować go poważnie. Trzeba okazać respekt, ja bym się

nieźle wkurzył, gdybym chciał popełnić samobójstwo, a inni by mi nie wierzyli. Co ty o tym myślisz?
Gunilla pokiwała głową.
- Jasne. Przecież był pijany, a kiedy człowiek jest pijany i rozżalony, chce, żeby poważnie traktować to, co mówi, nawet jeśli gada bzdury. Chyba nie chcesz powiedzieć, że rzeczywiście by to zrobił, gdybyś z nim nie poszedł?
Tomas zapalił papierosa.
- Skąd można wiedzieć?
- Pytasz mnie?
- Tak. Tak już przecież jest; kiedy sięgamy pamięcią wstecz, widzimy tylko to, co się rzeczywiście zdarzyło. Nie to, co się nie zdarzyło. Możliwe, że uratowałem Germundowi życie, ale nigdy się tego nie dowiemy na pewno. Ważne jest to, że podjąłem decyzję. Uznałem, że nie wolno mi go puścić samego, nie oczekuję za to żadnego medalu.
Pół minuty patrzyła na niego bez słowa. Rzeczywiście wyglądał trochę na urażonego i być może miał do tego prawo.
- Przepraszam - powiedziała. - Pewnie zrobiłeś to, co musiałeś. Byłam trochę nabzdyczona, ale świat się od tego nie zawalił. Tak mnie zostawiłeś samą ze wszystkimi. Ale o czym to mówiliśmy? Musiał przecież wyjaśnić, dlaczego chce to wszystko skończyć?
- Niezbyt jasno. Powiedział tylko, że dźwiga piekielny ciężar.
- Piekielny ciężar?
- Tak się wyraził. Mówił jeszcze, że życie jest dla niego pieprzonym żartem, teatrem, że już nie ma ochoty dłużej stać na scenie... no, gadał w ten sposób. Ze wszystko jest fałszywe, zakłamane i gdy się temu przyjrzeć z bliska, pozostaje zrobić tylko jedno.
- Zabić się?
- Tak. Powiedziałem mu oczywiście, że to bzdury, i zapytałem, jaki jest sens popełniać samobójstwo. On się za-

śmiał i odparł, że oczywiście nie ma żadnego sensu i właśnie o to chodzi. W każdym razie dość szybko skończył na ten temat mówić i po prostu chodziliśmy w deszczu, rozmawiając... a potem poszliśmy do Rackis... obawiam się, że było to wszystko nieźle napuszone. Wiesz?
- Młodzi intelektualiści rozwiązują tajemnice życia?
- Coś w tym stylu. Choć z Germundem nie jest łatwo. Nie wiem, co to za piekielny ciężar. To jednak pewne jak amen w pacierzu, że mamy tu traumę. Stracić w wieku dziesięciu lat całą rodzinę. Nic dziwnego, że człowiek jest dziwny.
- Wiesz może, jaką otrzymał pomoc, kiedy to się stało?
- Nie mam pojęcia. Pewnie nie rozmawia o tym nawet z Marią, ale możesz ją zapytać. Nie ma sensu, żebym ja to robił. Dziesięć lat temu też chyba byli psychologowie dziecięcy.
- Kto się nim zajął?
- Nie wiem. Ale przyjechał do Uppsali w wieku szesnastu lat. Rozpoczął naukę w szkole Fjellstedtska i dostał zakwaterowanie.
- Dziwne to określenie. Piekielny ciężar?
- Tak. Powiedział jeszcze coś dziwnego. Współżył z dwudziestoma dwoma kobietami. I co ty na to powiesz?
- Co powiem? Powiem, że to obrzydliwe. Maria o tym wie? Myślałam, że mieli razem zamieszkać.
- Bo mają. Ona chyba wie, nie prosił mnie w każdym razie, bym to akurat zachował dla siebie. Tylko to, co mówił o samobójstwie.
- Ona też chyba niejedno przeszła?
- Jakie to ma znaczenie?
- Nie mam pojęcia. To twoja siostra, a nie moja.
- I co to ma znaczyć?
-Co?
- Ze to moja siostra, a nie twoja?
Gunilla westchnęła.

- Przepraszam. Możemy to przerwać? Tylko się denerwujemy. Wczoraj był gówniany wieczór, tak się czasem zdarza.
Wstał.
- Okej. To może pozmywamy? W tym domu nie ma chyba ani jednej czystej łyżeczki.
Zastanawiała się nad tym później. Przez całą zimę pojawiało się to w jej myślach, nie za często, ale od czasu do czasu. Zarówno to, co Tomas mówił o Germundzie - jego samobójczym wieczorze i liczbie dziewczyn, jakie miał - jak i nieprzyjemna rozmowa w kuchni. Była zła, kiedy zaczęli rozmawiać, ale mimo to kilka razy wydawało się, że dojdą do porozumienia. Tak się jednak nie stało. Nie pogodzili się. Zmywali i sprzątali przez dwie godziny i przez cały ten czas nie zamienili ani jednego słowa. Uznała, że to przez jej wypowiedź na temat Marii. Ze to on ma za nią odpowiadać, a nie ona. Odebrał to jako oskarżenie, tak jakby w jakiś sposób Gunilla obarczała go odpowiedzialnością za to, co Germund i Maria wymyślili. Nie powiedział tego, ale ta cisza, jakby uznał, że nie warto nawet z nią rozmawiać i czegokolwiek jej tłumaczyć, tak, właśnie ta cisza była najtrudniejsza do przyjęcia.
Ze trzymał ją na zewnątrz. Nie wiedziała, co jest w środku, jak on tak naprawdę to wszystko sobie tłumaczy, ale to dlatego, że nigdy nie otwierał drzwi czy okna, przez które mogłaby zajrzeć do środka. Do jego prywatnego pokoju.
Mężczyźni, pomyślała. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Gówno prawda.
Oskarżała go jednak, tu miał absolutną rację. Nie mogła temu zaprzeczyć.
W środku stycznia zgodnie z planem pojechali do domu rodziców w Hiszpanii. Dzień przed wyjazdem rozmawiali przez telefon z Rickardem Berglundem, bardzo krótko, ale zdążył powiedzieć, że Hiszpania tak naprawdę jest faszystowską dyktaturą, ale jasne, pewnie, że można pomieszkać

za darmo w słońcu, jeśli ma się okazję. Ibiza w sierpniu na pewno zaostrzyła apetyt?
Niełatwo było zapomnieć tego rodzaju komentarz - nawet jeśli Rickard powiedział to trochę żartem - a słońce, jak się miało okazać, nie bardzo dopisało. Pogoda przez cały tydzień była nieciekawa, deszczowa i zimna; dwa razy wybrali się pociągiem do Malagi, tylko to dawało się jakoś wytrzymać. Któregoś dnia wypożyczyli samochód, żeby zobaczyć jaskinię w Nerji, ale Gunilla się bała. Tomasowi się podobało, ale ona myślała, że wygląda to jak jakiś olbrzymi grobowiec, jak katedra pod ziemią. Podziemna katedra mogła zaś zostać wzniesiona tylko dla jakiegoś władcy. Pewnie dla księcia ciemności, powiedziała, kiedy już wsiedli do samochodu, ale Tomas tylko prychnął.
Książę ciemności? Co ty bredzisz?
Dzień przed wyjazdem przeleżała całe popołudnie w łóżku, płacząc przy wtórze deszczu. Jemu powiedziała, że boli ją głowa i musi odpocząć, chyba jej nie uwierzył, ale uznał to za wygodne rozwiązanie. Prawda to kompromis między dwojgiem ludzi, którzy nie chcą się kłócić. Zostawił ją leżącą tam samotnie i płaczącą i wyszedł na miasto, a kiedy koło dziewiątej wieczorem wrócił, był z pewnością po siedmiu kieliszkach wina.
Oczywiście chciał się kochać, ona mu się oddała. Kiedy było po wszystkim, zasnął, a ona pomyślała, że ich związek jest na rozdrożu. Tak dalej być nie może. Tak się nie da żyć.
Kiedy jednak od powrotu do Uppsali minęły trzy tygodnie i zaczął się semestr letni, okazało się, że znowu jest w ciąży. Stało się to tego ostatniego wieczoru w Fuengiroli. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy z premedytacją zostawiła pigułki w szafce, czy też po prostu ich zapomniała.
Biorąc pod uwagę wynik testu, nie robiło to różnicy. Spodziewała się dziecka. Od czasu kiedy straciła Lussan, nie minął jeszcze rok.

CZĘŚĆ II

22

Mieszkanie inspektor Backman było na najwyższym piętrze, ale na drzwi windy nie rzuciła nawet okiem. Jak zwykle poszła schodami, a gdyby tego nie zrobiła, na czwartym piętrze nie wpadłby jej do głowy pomysł.

Alfa Ringgrena spotykała już wcześniej kilka razy, wprowadzili się niemal w tym samym czasie i bywało, że zamieniali ze sobą kilka słów, kiedy ich drogi się przecinały.

O pogodzie czy ogólnie o życiu. Czy o właścicielu, firmie Cudowny Dom Kymlinge. Alf Ringgren był mężczyzną koło sześćdziesiątki, spokojnym i trochę zmęczonym życiem. Sprowadził się tutaj z tego samego powodu co ona: rozwodu, poprzedzonego długotrwałym rozkładem pożycia małżeńskiego. Tak to sformułował, ale nigdy nie wchodził w szczegóły. Nie było powodu.

Powód, dla którego teraz stała przed jego drzwiami, również nie miał nic wspólnego z rozwodami, zadecydowało o tym jego miejsce pracy.

Pracował przecież w szkole Kymlingevik?

Zastanowiła się. I mówił też, że był tam od wczesnej epoki kamiennej?

Jeśli teraz miał koło sześćdziesiątki, jak się domyślała, mogło to oznaczać, że pracę w szkole zaczął w połowie lat siedemdziesiątych. Przy odrobinie szczęścia mógł już tam uczyć tej jesieni, kiedy Maria Winckier zginęła w wąwozie Gåsa. W roku 1975.

Tego właśnie dotyczył jej pomysł. Zanim zdążyły ogarnąć ją wątpliwości, nacisnęła dzwonek.

- Zgadza się - powiedział i uśmiechnął się przepraszająco. - Zacząłem w semestrze zimowym 1973. Trzydzieści siedem lat w jednej szkole, co ty na to? Chętnie odbiorę medal, ale takim jak my powinni dawać premie. Tak czy inaczej, za rok

kończę.
- Wśród znajomych mam tylko dwie nauczycielki - powiedziała Eva Backman. - A właściwie miałam, bo obie przestały pracować w zawodzie przed czterdziestym piątym rokiem życia.
- Wielu tak robi - potwierdził Alf Ringgren. - Miej jednak na uwadze, że rzadko zależy to od uczniów. To inne rzeczy bywają nie do zniesienia.
Odszedł od matowo połyskującej maszyny do espresso
- innej marki niż ta u Winckler-Rysthów, Backman była jednak pewna, że kosztowała ponad dwa tysiące koron -
I postawił na stole dwie filiżanki. Pudełko czekoladek After Eight. Gdybym przyszła godzinę później, z pewnością wyjąłby też dwa kieliszki, pomyślała. Ma w sobie sfatygowaną nutę wyrafinowania.
- Mężczyznom jest niestety łatwiej - stwierdził. - Przynajmniej gdy mają odwagę to wykorzystać.
- Moje koleżanki z pracy też tak mówią - odparła Eva Backman. - Ale może porozmawiamy o tym przy innej okazji?
- Kiedy będziesz chciała - powiedział Alf Ringgren
I uśmiechnął się. - Teraz mamy na tapecie semestr zimowy w roku 1975?
- Właśnie. Kojarzysz tych dwoje kolegów? Marię Winckler i Germunda Grootha?
Pokiwał głową.
- Przez mgłę. Ona zginęła w wypadku koło Rónninge, czy gdzie to tam było. Spadła z urwiska i skręciła kark. Zgadza się?
- Poniekąd - powiedziała Backman. - Jakich przedmiotów uczysz?
- Szwedzkiego i historii - odparł Alf Ringgren. - Głównie szwedzkiego. Męczyłem też wiedzę o społeczeństwie
I geografię. Ta Maria miała chyba języld... a Grooth, tak, biologię, fizykę i chemię, w każdym razie nie mieliśmy ze

sobą nic wspólnego, jeśli chodzi o nauczanie.
- Pamiętasz, jakie zrobili na tobie wrażenie? - zapytała Backman.
- Dlaczego pytasz?
- Może najpierw ja zadam swoje pytania. A później może cię wtajemniczę.
- Może?
- Otóż to - odparła Backman z uśmiechem. - Bycie kobietą też ma swoje zalety. Podobnie jak to, że ludzie ten jeden raz nie dowiedzieli się wszystkiego z telewizji i gazet.
- No dobrze - powiedział Alf Ringgren. - Nie bardzo wiem, co mam powiedzieć. Ona zmarła, a on został w szkole do końca roku... o ile dobrze pamiętam. Tak, pracował aż do zakończenia roku szkolnego w 1976, zdaje mi się, że brał udział w występie nauczycieli, jaki przygotowaliśmy na koniec. Taka tam głupotka, odśpiewaliśmy coś chórem, ale dzięki temu pamiętam. Był też na kilku nauczycielskich imprezach. Po jej śmierci, ma się rozumieć.
Eva Backman upiła łyk kawy. Pomyślała, że coś ukrywa, było to po nim widać. Miał wspomnienie związane z Germundem Groothem, którym z jakichś powodów trudno mu było się podzielić. A może tylko to sobie wmawiała. Skrzywienie zawodowe.
- Mógłbyś ich opisać?
Poprawił okulary i zamyślił się.
- Jego może i tak, ale ją raczej nie. Pracowaliśmy razem tylko miesiąc, potem zginęła, chyba ani razu z nią nie rozmawiałem. Ale pamiętam, że była ładna.
- Też tak słyszałam - powiedziała Backman.
- Niedawno się sprowadzili. Grono pedagogiczne było wtedy młode... powiedziałbym, że średnia wieku wynosiła trzydzieści lat. Dziś jest inaczej, co najmniej sześcioro z nas idzie latem na emeryturę. Tak czy owak, w tamtych czasach było nieco więcej energii... choć obawiam się, że również

dużo gadania trzy po trzy Szwedzka szkoła podstawowa nie wyprodukowała w latach siedemdziesiątych zbyt wielu noblistów
- Wiem o tym - odparła Eva Backman. - Ja skończyłam podstawówkę w 1980 roku i nigdy żadnej nagrody na oczy nie widziałam. Ale jak byś go opisał? Mam na myśli Germunda Grootha.
Alf Ringgren wahał się dobrą chwilę, zanim odpowiedział.
- Chyba nie potrafię go opisać. Pamiętam tylko jeden incydent.
- Incydent? Tak myślałam - powiedziała Eva Backman.
- Czy jak to tam nazwać. Ściął się z jednym kolegą, chyba jakoś wiosną.
- W jakim sensie ściął?
- Pokłócili się. Ten drugi kolega nazywał się Svantesson, znałem go dobrze, teraz niestety już nie żyje. Rak żołądka, miał tylko pięćdziesiąt pięć lat. Zmarł jakieś siedem-osiem lat temu. W każdym razie przyłożył Germundowi Groothowi. To był wieczór po jednej z tych długich i nużących wywiadówek, kilku z nas przed pójściem do domu wypiło sobie w pokoju nauczycielskim po piwku. Tak, to było chyba jakoś w marcu albo w kwietniu.
- I ten cały Svantesson przyłożył Germundowi Groo- thowi.
-Tak.
- Dlaczego?
- Nie widziałem tego i nie jestem pewien. To chyba stało się w szatni, Svantesson nie chciał o tym później rozmawiać. Słyszałem jednak od innego kolegi, że kręcił z jego żoną.
- Grooth kręcił z...?
- Zoną Svantessona, tak. Nie wiem, ile w tym prawdy, nie mieszam się w takie sprawy, a po tym incydencie był spokój. Nigdy o tym ze Svantessonem nie rozmawiałem, choć czasem się spotykaliśmy. To krępująca sprawa.
- Wraz z przeprowadzką Grootha rozeszła się po kościach?

- Można tak powiedzieć.
- Nie wiesz, czy pani Svantesson jeszcze żyje?
- Zmarła w zeszłym roku. A może dwa lata temu?

Eva Backman westchnęła.

- Myślisz, że jacyś inni nauczyciele z tamtego okresu mogliby znać Grootha trochę lepiej?

Alf Ringgren odchylił się na krześle i znów się zamyślił. Pocierał brodę i policzki, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze się ogolił.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy - powiedział w końcu. -Ale można to oczywiście ustalić, zerkając do szkolnego archiwum. Dwóch nauczycieli, którzy poszli razem ze mną na emeryturę, pracowało w 1975, o ile się nie mylę. Na przykład nauczyciel chemii, fizyki i biologii. Wątpię jednak, żeby któryś z nich był zaprzyjaźniony z Germundem Groothem. Albo ktokolwiek inny.
- Dlaczego?
- Ponieważ... ponieważ nie zachęcał do przyjaźni.
- Ostro powiedziane - stwierdziła Eva Backman.
- Wiem - odparł Alf Ringgren. - Ale tak chyba właśnie było, o ile oczywiście mogę w pełni polegać na swojej pamięci po tak długim czasie. Czego właściwie szukasz? Czy coś mu się stało?
- Tak - odparła Eva Backman. - Można tak powiedzieć. Coś mu się stało.

Zachęcanie do przyjaźni? - pomyślała, kiedy już wyszła od Alfa Ringgrena i znalazła się w swoim mieszkaniu. Tak, z pewnością można tak to ująć.

Jeśli nie zachęca się do przyjaźni, nie ma się przyjaciół.

Tak samo chyba, kiedy sypia się z żonami kolegów. Oczywiście poza samymi żonami.

Co takiego mówił Ringgren? Wiosną? Czyli pół roku po śmierci narzeczonej Grooth znalazł sobie inne towarzystwo. Nawet jeśli było chwilowe. W zestawie dostał fangę w nos.

Co w tym niby dziwnego?
Zupełnie nic, pomyślała Eva Backman. Ringgren dobrze określił tę sytuację. Incydent.
Z lodówki wyjęła wczorajszy makaron i wstawiła go do mikrofali. Stwierdziła, że warzyw nie wystarczy na sałatkę. Stwierdziła również, że w butelce z wczoraj została jeszcze odrobina wina, i pomyślała, że głupio byłoby, gdyby się zmarnowała.
Usiadła przy pustym stole w kuchni i zabrała się do spożywania swojego ohydnego posiłku.
Germundzie Grooth, pomyślała. ***Goodbye.*** Nie mam ochoty zastanawiać się nad twoim rzekomym charakterem. Skoczyłeś z urwiska, bo nie chciałeś dłużej żyć. Bardzo mi oczywiście z tego powodu przykro, ale bądź tak miły i wyskocz też z mojej głowy.
Pluła sobie w brodę, że zrealizowała swój pomysł.
- No i? - powiedział Gunnar Barbarotti. - Co chcesz powiedzieć?
Marianne zawahała się.
- Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał - powiedziała.
- Co to ma znaczyć?
- To, że znałam go... bardzo dobrze.
- Bardzo dobrze?
Marianne westchnęła i wypiła łyk wina.
- Zgadza się. Pamiętasz tego nauczyciela fizyki, o którym ci opowiadałam?
- Tego, z którym kręciłaś, kiedy się zaczęliśmy spotykać?
- Zanim zaczęliśmy - poprawiła Marianne. - Zerwaliśmy ze sobą pól roku przed tym, jak cię poznałam. Ponad pół roku.
- Ach tak?
- To on - powiedziała Marianne.
-Co?
- Germund Grooth. Byłam z nim w związku.
Gunnarowi Barbarottiemu udało się przełknąć wino i się

nie zakrztusić.
- Co ty opowiadasz, do cholery? - powiedział.
- Nie musisz zwracać się do mnie w taki wulgarny sposób.
- Nie zwracam się do ciebie - odparł Gunnar Barbarotti.
- Zakląłem ogólnie.
Marianne przyglądała mu się lekko przymrużonymi oczyma.
- No i tak to wygląda. Jest mi bardzo przykro.
Gunnar Barbarotti wstał i cztery razy okrążył pokój.
- Dlaczego jest ci bardzo przykro?
- Siadaj - powiedziała Marianne. - Przykro mi, że znów musimy o nim rozmawiać. Widzę przecież, że to ci zepsuło humor.
Zepsuło humor? - pomyślał Barbarotti i usiadł. O czym ona mówi? Mam w dupie, czy była kiedyś z jakimś kretynem, który spada sobie z urwiska.
- Pamiętam tylko, jak mówiłaś, że jest zdołowany - powiedział.
- Zgadza się - odparła Marianne. - To była jego najbardziej wyrazista cecha. Był ponury jak nieszczęście. Depresyjny, to chyba lepsze określenie niż zdołowany.
- No dobra - powiedział Gunnar Barbarotti. Odchrząknął i wypił duży łyk wina.
- A więc spałaś z innym. To było, zanim pojawiłem się w twoim życiu, jednak muszę przyznać, że jest mi trochę dziwnie. Teraz on nie żyje, a ja badam okoliczności jego śmierci.
Pojawił mu się w głowie obraz i nie było łatwo go odpędzić. Obraz tego, jak z pewnością czekała na niego naga, jak rozkładała nogi i z rozkoszą go przyjmowała, tak jak teraz przyjmuje jego.
Wiele razy. Ile? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Niech to szlag, pomyślał. Idiota ze mnie. Dlaczego takie rzeczy przychodzą mi do głowy?
- Jak długo byliście razem? - zapytał, a ona zauważyła, że

jego głos brzmi inaczej niż zwykle.
- Naprawdę chcesz o tym rozmawiać?
- Oczywiście - powiedział Barbarotti. - Dlaczego nie mielibyśmy tego robić?
- Ponieważ sprawia ci to przykrość.
Opróżnił kieliszek.
- Tu może chodzić o morderstwo - wyjaśnił. - A jeżeli tak jest, mogę trochę pocierpieć.
Marianne przypatrywała mu się pół minuty bez słowa. Poczuł, że trudno jest mu znieść jej spojrzenie. Idiota ze mnie, pomyślał znowu. Prymitywny samiec orangutana.
- Byliśmy razem rok - powiedziała w końcu. - Czy raczej tyle czasu upłynęło między pierwszym a ostatnim razem. On mieszkał w Lund, a ja w Helsingborgu. Spotykaliśmy się w Grandzie w Lund, kiedy podróżowałam z przyjaciółką. Łącznie chyba... nie więcej niż dziesięć razy.
- Spałaś z nim dziesięć razy?
- Tak - przyznała Marianne. - Był dobrym kochankiem. Poza tym nic specjalnego. Nie był zbyt fajny. Tak jak powiedziałam, depresyjny. Choć na swój sposób przystojny. Jeżeli szukało się tylko seksu, był całkiem do zniesienia, ale życie jest trochę bardziej skomplikowane. Prawda, mój książę?
Pochyliła się nad stołem i przykryła jego dłoń swoją. Barbarotti zamknął oczy.
- Przepraszam - powiedziała. - Choć właściwie nie wiem za co.
- Ja też nie wiem - odparł Barbarotti i dolał sobie wina.
- Chcesz też?
Pokręciła głową.
- Nie, dziękuję. Myślę zresztą...
- Tak?
- Nie wiem, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby spotykał się z innymi kobietami, kiedy byliśmy razem. Nigdy jednak nie pytałam.

- Spotykaliście się tylko na bzykanie?
- W zasadzie tak. Ale jeśli dalej będziesz tak się zachowywał, pójdę się położyć. Kiedy się poznaliśmy, ty i ja, oboje byliśmy po czterdziestce i żadne z nas nie było zupełnie niewinne. Mamy piątkę dzieci z innymi ludźmi.
Barbarotti nie odpowiedział. Wypił łyk i próbował zebrać myśli.
- Dlaczego uważasz, że został zamordowany? - spytała Mariannę.
- Ponieważ... - zaczął Barbarotti, ale nie potrafił znaleźć dobrego dalszego ciągu. - Nie wiem - dokończył i westchnął ciężko. - Tak naprawdę nic nie wskazuje na to, że ktoś go zamordował. Poza oczywiście tą drugą sprawą. Faktem jest, że jego dziewczyna trzydzieści pięć lat temu zginęła w tym samym miejscu. Chociaż Backman...
-Tak?
- Backman uważa, że to się psychologicznie łączy. Ze jego dziewczyna, Maria Winckler, mogła wtedy popełnić samobójstwo... albo spaść, to w sumie nie ma znaczenia...
I że twój depresyjny fizyk chciał się z nią w jakiś sposób połączyć. W innym świecie, w niebie, cholera wie gdzie... a więc samobójstwo.
- To się zupełnie nie zgadza - powiedziała Marianne.
- Co? - odparł Barbarotti. - Co się nie zgadza?
Jej spojrzenie na sekundę zmieniło ostrość. Wyglądało to tak, jakby z obecnego stało się nieobecne. Przeskoczyło z ***teraz*** do ***wtedy.***
- On taki nie był - powiedziała. - Myśląc, że można się z kimś połączyć po śmierci, trzeba mieć jakąś wiarę. Germund żadnej wiary nie miał. Był kompletnie pozbawiony tego wymiaru.
- Skąd możesz wiedzieć? Czyli jednak poznałaś go dobrze?
Chciała się uśmiechnąć, ale zmieniła zamiar.
- Szybko da się zauważyć, czy ktoś ma wymiar duchowy, czy

nie. Ja w każdym razie to potrafię.
- Zabrzmiało dość nieskromnie - powiedział Barbarotti.
- Z całym szacunkiem. Taki duchowy elitaryzm.
- Nic nie poradzę na to, że to dostrzegam - odpowiedziała Marianne. - Ale było w nim coś innego, wydaje mi się, że sam to przyznał. Jakieś poczucie winy, choć wiele osób je ma. Na pewno nie był zarozumiały, przeciwnie, smutny i wycofany... na swój sposób szarmancki, ale w końcu zrobiło się to zbyt przykre. Sam się z tym zgodził. Wiedział, że ponura z niego postać, i nie rozumiał, jak mogę chcieć z nim być.
- Ja również nie rozumiem - odparł Barbarotti. - Przecież musiał być od ciebie sporo starszy?
- Chyba piętnaście lat. Ale to nie wiek był problemem. Tylko ten jego smutek. Nigdy nie spotykałam się z nim na dłużej, a i tak było to wyraźnie widać.
- Zawsze tylko na jedną noc? - zapytał Barbarotti.
Marianne opróżniła kieliszek i odstawiła go na stół.
- Wiesz co, Gunnar? Mam propozycję. Skoro chcecie coś wiedzieć o Germundzie Groocie, najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z Evą Backman.
- Z Evą? - odparł Barbarotti. - Nigdy w życiu. To... zostanie między nami.
- Czasami - powiedziała Eva Backman. - Czasami jesteś strasznie prymitywny, wiesz o tym?
Gunnar Barbarotti nie odpowiedział. Ty też, pomyślał. Strasznie, a przynajmniej byłaś, zanim poznałaś mnie. Daj mi już spokój. Muszę porozmawiać w spokoju z Panem Bogiem.
A ponieważ prawdopodobnie potrafiła czytać w jego myślach, wstał i poszedł do sypialni.

23

Tu wróbel.

Kwiecień 1971. Skończyłam 21 lat. Jestem pełnoletnia, nie czuję żadnej różnicy.

Tym razem rodzice wprosili się tutaj. Tomas zarezerwował stolik w Taddis, jedliśmy coś, co nazywało się „Indonezyjska uczta", była nasza szóstka plus mama i tata. Osiem osób przy stole z co najmniej dwudziestoma potrawami, po raz pierwszy widzieli Germunda, ale Gunillę poznali już wcześniej. Chyba zaczynają odpuszczać, jeśli chodzi o mnie, przynajmniej tata; cieszy się, że już nie musi mieszkać ze mną pod jednym dachem, ale i tak piłował, że musimy przyjechać do nich do Hiszpanii. Tomas i Gunilla byli tam w styczniu, Tomas mówił, że prawie cały czas padało.

Mieszkam u Germunda, minęło już prawie pięć miesięcy, odkąd się do niego wprowadziłam. Uważam, że trzyma fason, nie jest w każdym razie tak cholernie szczęśliwy, jak wszyscy inni starają się być. Ani tak cholernie rozpolitykowany. On po prostu jest. No i jest kurewsko zdolny, nie rozmawiamy wiele, ale i tak się rozumiemy. O ile w ogóle jest coś do rozumienia, seks zaś nadal mamy udany.

Naprawdę udany, przyzwyczajenie się do siebie nie jest takie złe; jeśli chcę, potrafię go podniecić zwykłym zdejmowaniem pończochy. Myślę, że chciałby kiedyś zrobić to z inną dziewczyną, tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest. Jeszcze się nie zdecydowałam, czy poruszać ten temat, może to tu przebiega granica. W chłopakach jest coś nieskomplikowanego. Co łatwo przewidzieć i kontrolować, u Germunda jednak mi się to podoba. Lubię mieć kontrolę; ciesz się tym, co masz, bo zawsze może być gorzej - kolejny banał od taty.

Tak czy inaczej, to chyba krok w dobrym kierunku. Zwłaszcza dla takiej młodej, złej kobiety jak ja, którą szybko nudzi to, co zwyczajne. Nie wiem, co mam zrobić ze swoim

życiem, naprawdę nie wiem.
Nie martwię się tym, ale wydaje mi się, że któregoś dnia zacznę. Ze stanę się taka jak inni.
Myślę, że Gunilla znowu jest w ciąży, choć nic nie mówili. Może się boją, że będzie tak jak ostatnio, nie rozumiem, co oni wyprawiają. Rickard i Anna z kolei na pewno nie spodziewają się dziecka, są zdecydowanie zbyt ostrożni na taką lekkomyślność. Rickard i tata oddali się głębokiej rozmowie, gdy my tymczasem wcinaliśmy ten indonezyjski urodzinowy posiłek, przynajmniej tak to wyglądało. Nie wiem, o co mogło chodzić, było to oczywiście trochę dziwne. Zamiast zająć się dziećmi i ich partnerami, upodobał sobie młodego teologa. Może to właśnie o religii i wierze rozmawiali, taty nigdy nie ciągnęło w tę stronę, choć całkowicie się od tego nie odcinał. Przeciwnie, wszystko w życiu robił na pół gwizdka, żeby niezależnie od sytuacji zawsze została mu druga połowa. Naprawdę myślę, że tak rozumuje. Jest to równie ohydne, co nie do przyjęcia, on naprawdę nie zrozumiał, o czym jest ***Brand*** Ibsena.
Niczego zresztą nie rozumie. Mama również.
Skończyłam z francuskim. Trzy oceny za trzy semestry muszą wystarczyć. Za dwa pierwsze najwyższa, za trzeci już nie, ale to tylko moja wina. Nie chciało mi się zbytnio, ściągałam na podstawach geografii i historii, a referat o Prouście skleciłam w trzy noce. W tym semestrze równolegle studiuję anglistykę i literaturoznawstwo. W katedrze anglistyki wykłada młody Amerykanin - myślę, że to dezerter z Wietnamu - który trochę na mnie leci. Postanowiłam go ignorować, choć nawet go lubię. Czuję jednocześnie, że to znak, że zaczynam się stawać jak inne, bardzo mi się to nie podoba, ale nie mogę poruszyć tego tematu z Germundem.
Raz na jakiś czas dorabiam sobie w Profeten. To tam rok temu szaleniec strzelał z automatu, ale przecież nie powinno

się to zdarzyć po raz drugi. Muszę pracować; Germund
I ja mamy trochę za drogie nawyki, żeby studenckiej pożyczki wystarczyło na wszystko, a nie chcę prosić rodziców o pieniądze. W życiu. Mamie nic nie podobałoby się bardziej, niż gdybym wróciła z podkulonym ogonem.
Germund zarobił jednak trochę pieniędzy w inny sposób. Kupił w Lund książkę o stypendiach i znalazł takie w sam raz dla niego, osieroconego studenta nauk przyrodniczych z Gästriklandu, ustanowione ponad sto lat temu przez pewnego starego proboszcza. Wystarczyło zgarnąć 10 000, a najlepsze jest to, że może się o nie ubiegać co roku, o ile jest zapisany do korporacji GH. Latem planujemy wybrać się w podróż, zwiedzić Normandię i Bretanię, obiecał, że część za mnie zapłaci, więc dlaczego miałabym nie skorzystać? No i oczywiście Paryż. Mam za sobą trzy semestry francuskiego, a nigdy nie byłam w Paryżu, to chyba rzadkość. Germund chce kupić na lato samochód za dwa- trzy tysiące i sprzedać go jesienią. Jeżeli wyjedziemy po weekendzie świętojańskim, będziemy mieli dwa miesiące, Hiszpania może poczekać.
Kilka dni po spotkaniu w Taddis widziałam się z Anną w cztery oczy, wtedy po raz pierwszy porządnie się z nią rozmówiłam. Wpadłyśmy na siebie na Kungsgatan i poszłyśmy na kawę, ponieważ ona właśnie przegapiła pociąg do Sztokholmu i musiała czekać godzinę na następny. Szybko zdałam sobie sprawę, że jest mi jej żal. Nie wiem dlaczego, zazwyczaj nie jest mi żal innych. No, może całej ludzkości, ale nie pojedynczych osób. Było chyba coś takiego w jej ostrożnym zachowaniu. Sprawiała wrażenie, jakby coś ją blokowało, podejrzewam, że to jeszcze z dzieciństwa. Stara śpiewka. Niektórym po prostu trudno wyjść z butów, kiedy są już za małe. Kiedy Anna wchodzi do pokoju, przeprasza za to. Nawet jeśli to tylko spotkanie w kawiarni, gdzie jest gotowa przepłacić za beznadziejną kawę i równie bez-

nadziejne ciastko. Tak jakby uważała, że nie ma prawa tam przebywać. Jakby zajęła czyjeś miejsce.
Jednocześnie wydaje się silna, to paradoks, pamiętam, że pomyślałam tak już wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Gdyby ktoś naprawdę przyszedł i poprosił, żeby się przesiadła, równie dobrze mogłaby według mnie poprosić go, żeby spieprzał. Obronić się z podniesioną głową.
Oczywiście nie rozmawiałyśmy o tych sprawach. Głównie o studentach. Ona studiuje dziennikarstwo w Sztokholmie, a tam komunizm mocno się trzyma. Sama jest lewicowa, ale nie z udkiem kurczaka i kieliszkiem wina w dłoni jak inni, u niej jest to mocniej ugruntowane. Chodzi bardziej o sprawiedliwość niż o politykę. Głód na świecie, ucisk i takie tam. Szanuję to, ale wynika to z pewnością z faktu, że sama ma robotnicze pochodzenie. Jej stary, zanim zaczął przesadzać z piciem, był chyba związkowym twardzielem.
Anna i Rickard przymierzają się do zamieszkania ze sobą, nie powiedziała tego wprost, ale ja i tak zrozumiałam. Pasują do siebie. A może po prostu jest tak, że ludzie upodabniają się do siebie, kiedy za dużo ze sobą przebywają. Zlewają się ze sobą jak smutne meduzy, czy tego chcą, czy nie. Odkąd zamieszkałam z Germundem, nie byłam z żadnym innym chłopakiem i on też chyba nie miał innej dziewczyny. Ale nie jestem pewna, nie zmartwiłoby mnie, gdyby zaliczył coś na boku. Nie jesteśmy w ten sposób od siebie uzależnieni.
W żaden inny zresztą też nie. Choć zastanawiam się, dlaczego muszę tak to podkreślać. I dlaczego nie wypróbuję wspomnianego Amerykanina. Albo jakiejś dziewczyny. Może zmieniam się w kogoś innego, sama nie wiem.
Czasami czuję się stara. Zwłaszcza kiedy się rozglądam wokoło i widzę, jak moi rówieśnicy myślą i jak się zachowują. Sporo w tym wszystkim patosu, choć może jest po prostu tak, jak mówi Germund: mieć bystrą mózgownicę to

żadna frajda. Kiedy przyglądasz się innym ludziom i odkrywasz, jacy są beznadziejni, gówno zawsze ochlapie i ciebie. W końcu lądujesz przed lustrem wpatrzona we własne odbicie, a tego nienawidzę. Nie chcę, żeby moje życie wyglądało tak, jak życie innych.
Nie, to nadal jest jak najbardziej aktualne. Matematyka
I miłość fizyczna.
No i piękno. Oraz czysta wódka.
Póki co dobrze się czuję w tym mieście, ale zaczynam rozumieć, że to nie będzie trwało wiecznie. Dlaczego by miało? Nic nie trwa wiecznie, a zwłaszcza życie. W kawiarni Anna powiedziała, że istnieje coś takiego jak uppsalski snobizm, akademickie zadęcie, którego nie spotkała w Sztokholmie. Może ma rację, chyba powinnam wziąć Germunda
I pojeździć do teatru, do opery, czy cholera wie gdzie, jakoś tak regularnie, to tylko godzina jazdy pociągiem.
Dlaczego nie na przykład teraz, w ostatni dzień kwietnia? Tą całą walpurgową histerią nie warto zawracać sobie głowy.
Jeszcze jedna oznaka tego, że jestem starsza niż moje ciężko zapracowane dwadzieścia jeden lat?
Over and out. Wróbel jest zmęczony.

24

- No to słucham - powiedział Asunander i odchylił się do tyłu, aż krzesło zatrzeszczało. - Na czym stoimy?
- Stoimy i nie wiemy - powiedział Barbarotti.
- Doprawdy? A czego nie wiecie?
- Z czym mamy do czynienia - powiedziała Eva Backman. - Czy mamy tutaj sprawę, czy nie.
- Sprawę mamy bez wątpienia - odparł Asunander. - Albo nawet dwie. A do tego w tym samym wąwozie, czyżbyście uważali, że w grę mogą wchodzić dwa wypadki?
- Inspektor Barbarotti i ja nie możemy się zgodzić - powiedziała Backman. - Sama skłaniam się ku wersji z

wypadkami.
Możliwe też jest samobójstwo, jedno lub dwa. Sandlin nie dopatrzył się niczego innego trzydzieści pięć lat temu, a fakt, że teraz w tym samym miejscu znaleźliśmy zwłoki jej partnera, nie zmienia raczej jego oceny.
- Oceny? - rzekł Asunander, pochylając się nad biurkiem. - To wy się zajmujecie ocenami? Bo ja sądziłem, że mamy się zajmować faktami. Suchymi, wymagającymi cierpliwości, lecz niepodważalnymi faktami. Ale jeżeli się mylę, możecie mnie poprawić.
Sprawia mu to przyjemność, pomyślał Barbarotti. Bardziej nadawałby się na dyrektora liceum dla dziewcząt w XIX wieku. Kiedy zęby nie trzymały mu się japy, było lepiej.
- Ocen dokonujemy, opierając się na faktach - powiedział. - Oczywiście.
- Oczywiście - odparł Asunander. - No więc jakie mamy fakty?
Eva Backman odchrząknęła.
- Mamy dwoje ludzi, którzy spadają z tego samego urwiska w odstępie trzydziestu pięciu lat. W 1975 roku, kiedy to się stało, byli parą, od tego czasu mężczyzna żył samotnie. Doktor habilitowany fizyki z Lund, nie wiemy, co miał do załatwienia w Kymlinge. Poza prawdopodobnym samobójstwem w miejscu, w którym odebrała sobie życie jego dziewczyna.
- Bardziej niż prawdopodobnie tak - mruknął Asunander. - Co o nim wiemy?
- Nie zdążyliśmy mu się jeszcze bliżej przyjrzeć - powiedział Barbarotti. - Zajęliśmy się uczestnikami pierwszego zdarzenia oraz miejscem zbrodni.
- Miejscem zbrodni? - rzekł Asunander, unosząc brew.
- Chciałem powiedzieć miejscem zdarzenia, wąwozem Gåsa.
- Słyszałem, że to dawne miejsce odejścia przodków -

odparł Asunander.
- W legendach - dodała Backman. - W rzeczywistości raczej nie.
- Ach tak? No to co takiego znaleźliście w tym wąwozie?
- Niewiele - rzekł Barbarotti. - Tą pracą kierował inspektor Borgsen. Nie ma tam żadnych śladów. Poza śladami tego, że spadł. Żadnych odcisków butów, śladów walki, miejsce jest kamieniste.
- Hrrm - odparł Asunander. - Ale jeśli dobrze zrozumiałem, mimo to istnieją powody, by podejrzewać przestępstwo? Skoro wśród załogi panuje różnica zdań.
Gunnar Barbarotti zaczął się wiercić.
- Nie wiem - powiedział. - Może Backman ma rację. Może po prostu chciał odebrać sobie życie w tym samym miejscu. Czy zna pan komisarz dochodzenie Sandlina?
- Tylko w ogólnym zarysie - przyznał Asunander. - Ponoć przed uderzeniem o ziemię krzyknęła, że ktoś ją zabił,
I na tym oparł on swoje podejrzenia?
- Zgadza się - odparł Barbarotti. - Może jeszcze na czymś, z materiałów to nie wynika.
- Nie wynika?
- Tak jest.
Asunander znowu się odchylił. Skrzyżował ręce na piersi
I wyglądał groźnie.
- Sam wybrałbym tę metodę.
- Proszę? - odparła Eva Backman. - Jaką metodę?
- Gdybym chciał kogoś zabić - wyjaśnił komisarz. - Zepchnął delikwenta z urwiska. Albo z wysokiego balkonu. Proste i skuteczne.
- Żadnych śladów - powiedział Barbarotti.
- Ani piroliny - dodał Asunander. - Dłoń plus plecy, nic więcej. Byłoby kurewsko nieciekawie, gdybyśmy mieli do czynienia z dwoma morderstwami. Nawet jeśli to pierwsze się przedawniło. Nie uważacie?

- Bardzo nieciekawie - zgodziła się Eva Backman.
- Też tak sądzę - powiedział Barbarotti. - No to co mamy robić? Popracować jeszcze parę dni i zobaczyć, czego się dowiemy?
- A co innego? - odparł Asunander. - Sprawdźcie przynajmniej porządnie naszą nową ofiarę. Doktor habilitowany fizyki z Lund? Samo to brzmi podejrzanie.
Barbarotti pokiwał głową. Backman pokiwała głową.
- Co z niego za jeden i czym się zajmował w ostatnim czasie? Przyjaciele i znajomi, nie zapomnijcie o telefonie komórkowym. Ale o tym chyba nie powinienem mówić takim dwóm rutynowanym śledczym.
- Oczywiście, że nie - powiedziała Eva Backman.
- Zajmiemy się tym - powiedział Barbarotti.
- A więc zmieniłeś zdanie? - zapytała Eva Backman półtorej minuty później.
- Jak to? - odparł Barbarotti.
- Wydawało mi się, że miałeś dziwne przeczucie. Mówiące o tym, że Germund Grooth został zamordowany.
- Oj tam. Nie chciałem tylko wykluczać tej możliwości.
- Ale teraz chcesz ją wykluczyć? Dwanaście godzin później.
- Nie wykluczyć - powiedział Barbarotti. - Po prostu przyszło mi na myśl, że możesz mieć rację. Jedno spadło, a drugie skoczyło, nie tak mówiłaś?
Eva Backman wypiła łyk kawy i przyjrzała mu się uważnie. Niech mnie diabli, pomyślał, nie tylko Marianne potrafi mnie przejrzeć na wylot, ona również.
- A co skłoniło cię do zmiany zdania?
- Nic - odparł Barbarotti. - Nie zmieniłem zdania. To otwarta kwestia, nie wydaje ci się? Dziwna, ale otwarta.
Inspektor Backman zastanawiała się dobrą chwilę.
- Okej - powiedziała w końcu. - Tak czy inaczej, będziemy się tym zajmować jeszcze przez kilka dni. Skoro Asunander uważa, że powinniśmy. Ostatnie chwile doktora

habilitowanego fizyki, co ty na to?
- Brzmi ciekawie. Które z nas się tym zajmie?
- Ja - powiedziała Backman. - Ty się najlepiej nadajesz do przeszłości, nie tak mówiliśmy?
Barbarotti skinął głową.
- W rzeczy samej. Choć chętnie porozmawiałbym z tym ekspastorem. Nie wiem, w jakim stanie jest jego żona, ale godzinę może będzie mógł poświęcić.
- Z Elisabeth Martinsson i Tomasem Wincklerem również - dodała Backman. - I tak musimy spotkać się oko w oko z każdym z uczestników zdarzenia. Na razie zdążyłam porozmawiać tylko z panią Winckler. W końcu jedno z nich może być mordercą.
- A więc zmieniłaś zdanie? - spytał Barbarotti.
- Nie miałam żadnego zdania - odpowiedziała Eva Backman. - Nie w tym przypadku, tylko sobie to ubzdurałeś. Ale skoro ja zajmę się fizykiem, ty możesz przesłuchać ich jedno po drugim. Z Martinsson już rozmawiałam, ale, jak już mówiłam, tylko przez telefon. Powinniśmy...
- Tak?
- Powinniśmy się przynajmniej dowiedzieć, co każde z nich robiło w sobotnie popołudnie. Prawda? Może cała piątka ma alibi i wtedy nie będzie problemu.
- Czwórka - powiedział Barbarotti. - Anny Berglund chyba nie musimy przesłuchiwać. Skoro leży w szpitalu
I umiera na raka.
- Dobra, czwórka - odparła Backman. - Ty przesłuchaj Wincklera i Berglunda, a ja się zajmę zmarłym fizykiem. Zgoda?
- Jasne. Czyli planujesz małą wycieczkę na południe?
- Ty przecież studiowałeś w Lund - przypomniała sobie Backman. - Może ty się tym zajmij?
- Lepiej nie. Mam pewne uprzedzenia dotyczące tej naukowej metropolii. A ta nieparzysta Martinsson, jak się z nią

umówiłaś?
- Nijak. Powiedziałam tylko, że może wrócimy do rozmowy.
- Zobaczę, czy i ją zdążę obskoczyć - powiedział Barbarotti.
- IGedy ty będziesz się zabawiała w Skanii.
- Czyli tak się umawiamy - odparła Backman. Obrzuciła go ostatnim taksującym spojrzeniem i wyszła z pokoju.
Siedział za biurkiem jeszcze dwadzieścia minut, nim zabrał się do pracy.
Jestem idiotą, pomyślał. Tylko idiota może być zazdrosny o faceta, z którym była jego żona, kiedy jeszcze się nie znali.
Choć z drugiej strony, pomyślał po chwili, nie tylko miłość jest ślepa. Zazdrość również. To okoliczność łagodząca, jestem tylko półidiotą.
Zresztą to uczucie zaczęło mijać, ustępować miejsca czemuś innemu. Nie wiedział dokładnie czemu i najbardziej ze wszystkiego chciało mu się spać. W nocy spał tylko jakieś dwie, trzy godziny, a z Marianne nie rozmawiał dłużej o sprawie. Ani wczoraj wieczorem, ani dziś rano. Paskudnie się z tym czuł, ale trudno.
W rozmowie z Bogiem także nie poruszał tego tematu, mimo że mial taki zamiar. Coś się jednak w ich relacji zmieniło. Trudno powiedzieć co, ale kiedy się nad tym zastanowił, zorientował się, że już od kilku miesięcy nie odmówił modlitwy „punktującej". Ostatnim razem zrobił to zeszłego lata, nie pamiętał, o co dokładnie chodziło, ale wiedział, że dotyczyła Sary i Jorgego i została wysłuchana. Bóg otrzymał punkt dodatni i podskoczył do równych dwudziestu. Barbarotti zapisał to w zeszycie.
Był to całkiem przekonujący znak, że On istnieje, choć kilka lat maratonu jeszcze zostało - ale jednak fakt, że Gunnar Barbarotti przestał z Nim rozmawiać, musiał chyba oznaczać, że coś było nie w porządku. Prawda? Marianne od czasu do czasu czytała Biblię, bywało, że rozmawiali o tym czy innym fragmencie, o wierze, opatrzności i w ogóle, jeżeli

jednak chodziło o ów osobisty kontakt, który kiedyś miał z Bogiem, nie ulegało wątpliwości, że jest taki sobie.
Może była to tylko kwestia wygodnictwa, o tym także rozmawiali. Kiedy wszystko było dobrze, gdy potrzeba w taki czy inny sposób nie pukała do drzwi, można było trzymać Boga w szafie. I wyjmować tylko wtedy, kiedy był potrzebny. Zachowanie tej relacji, codziennego z Nim kontaktu, wymagało wysiłku, a człowiek jest z natury leniwy. To w tej szczelinie zagnieździł się diabeł, pomyślał Barbarotti. W pretekstach do duchowego lenistwa.
Westchnął i postanowił, że doprowadzi się do porządku. Zarówno jeśli chodzi o relację z Bogiem, jak i z żoną.
Zdecydował również, że wyrzuci z pamięci to, co opowiadała mu o Germundzie Groocie - a przynajmniej postara się o tym nie myśleć - wyjawienie Evie Backman, dlaczego tak ni stąd, ni zowąd zmienił zdanie, byłoby strzałem w stopę. Im mniej osób wiedziało, że jest półidio- tą, tym lepiej.
Tym bardziej że tak naprawdę nie było wiadomo, czy rzeczywiście je zmienił. Po prostu kiedy myślał o wypadku, uaktywniło się w jego wnętrzu owo drobne olśnienie. Teraz tego trudnego do zdefiniowania swędzenia, które zazwyczaj znaczyło, że coś się nie zgadza, już nie czuł. W dupie mam tego fizyka, pomyślał. Oczywiście, że popełnił samobójstwo, tak jak twierdzi Backman. Odłożenie tej sprawy do szuflady jest tylko kwestią czasu, choć zamierzam być w mojej pracy obiektywny.
Obiektywny i bezstronny jak zawsze.
Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Marianne i nie poprzeszkadzać jej w pracy, ale zrezygnował. Nie było sensu przerywać komuś porodu tylko po to, by usłyszeć jej głos. O ile wciąż leżały w kolejce do porodu, tak jak twierdziła. Zamiast tego kupię dziś wieczorem bukiet róż. Kiedy ostatni raz dawaliście żonie kwiaty?
Zadowolony z tych wszystkich subtelnych rozważań

I decyzji, wlaf w siebie pól kubka kawy i wyjął dane kontaktowe do Rickarda Berglunda, byłego pastora, obecnie przedsiębiorcy pogrzebowego.

25

Rickard Berglund przybył na umówione miejsce koło stacji benzynowej OK przy Svartbäcksgatan pół godziny przed czasem. Umówili się na wpół do siódmej, jednak na tablicy z godzinami otwarcia widniało „7.00-21.00", więc uznał, że się pomylił.

Ranek był zimny, z pewnością kilka stopni poniżej zera, choć był dopiero 1 października. Przenikliwy i uparty północny wiatr dotrzymywał Rickardowi towarzystwa; już kiedyś przyszło mu do głowy, że w Uppsali zawsze wieje z północy. Tak jakby wiatr startował gdzieś w Norrlandii i podczas podróży na południe zbierał w sobie całą siłę, moc i wściekłość, natrafiając na opór dopiero w mieście nauki, kiedy docierał do katedry. Żałował, że nie założył dodatkowego swetra, rękawiczki także by nie zaszkodziły. Zdecydował się pospacerować trochę w oczekiwaniu na otwarcie stacji, lepsze to, niż trząść się z zimna między pompami.

Pierwszy października 1971, pomyślał, wsunął dłonie do kieszeni i zaczął iść ulicą Stiernhielma. Dzień, w którym po raz pierwszy w życiu zamieszkałem z dziewczyną. Nie, źle. ***Dzień, w którym moja przyszła żona i ja zamieszkaliśmy ze sobą,*** o tak. Ja i Anna. Rickard i Anna Berglund, z domu Jonsson.

Nigdy nie rozmawiali o małżeństwie, oczywiście, że nie, ale Rickard wiedział, że i tak do tego dojdzie. W swoim prywatnym, sekretnym kalendarzu określił, że to zdarzenie będzie pewnie miało miejsce za rok albo dwa. W 1972 albo w 1973, nie było powodu, by dłużej zwlekać. Jeśli tak się stanie, wyrobią się ze srebrnymi godami przed rokiem

2000. Wielki plan, jak chciał Grundenius.
Ciekawe, co będę wtedy robił, pomyślał znienacka. W roku 2000, będę miał wtedy pięćdziesiąt jeden lat! Trudno sobie wyobrazić taki przeskok w czasie. Czy Anna i ja będziemy mieszkać na plebanii z czwórką dzieci? Może nawet kilkoro z nich zdąży wyfrunąć z gniazda? Wnuki? Niewyobrażalne.
A jak będzie wyglądał świat?
Uzasadnione pytanie, bez dwóch zdań, stwierdził, zapalając papierosa. Czy komunizm zwycięży? Czy trzecia wojna światowa wszystko zniszczy? Czy ktoś w ogóle będzie się przejmował czymś tak błahym i drobnomieszczańskim jak daty ślubów?
Czy nadal będą istniały kościoły? I duchowni? Czy ktokolwiek będzie jeszcze wierzył w Boga? Czy może powstanie inny rodzaj opium dla ludu?
Takie właśnie kwestie dyskutowali jego koledzy ze studiów, Rickarda jednak nigdy to specjalnie nie pociągało. Bardzo łatwo wmawiać sobie, że żyje się w najlepszych możliwych czasach, równie łatwo je demonizować. Jeśli Bóg, świat i wszystkie możliwe społeczności istniały wiele tysięcy lat, nie było powodu się obawiać, że akurat teraz wszystko się zawali. Albo w ciągu najbliższych dziesięcioleci. Dystopie, tak to się nazywało, a ponieważ grasujący lewicowi prorocy najbardziej ze wszystkiego lubowali się w komponowaniu takich mrocznych analiz obecnej rzeczywistości - „późnokapitalistycznej gehenny", jak to kilka lat temu nazwano na pierwszej stronie dziennika „Dagens Nyheter" - nie było specjalnie dziwne, jeśli człowiekowi wydawało się, że wszystko szlag trafi. Koniec jest bliski, rewolucja albo wojna - żeby jednak wierzyć w powolny, pozytywny i pokojowy rozwój, nie, w dzisiejszych czasach było to po prostu niepraktyczne.
Prawie tak samo jak bycie chrześcijaninem. Wystarczy pomyśleć, jak w pewnych miarodajnych kołach zostały

odebrane ***Drogowskazy*** Daga Hammarskjolda. Najbardziej znaczący Szwed na świecie wyrzucony na śmietnik tylko dlatego, że wierzył. Ma się rozumieć, że to zdumiewające.
Tak myśląc, Rickard Berglund zdusił niedopałek i skręcił w lewo w Idunagatan. Tak czy inaczej, istniały powody, żeby wielki plan oznaczyć jako ściśle tajny. Dobre powody, pomyślał i spojrzał na zegarek. Za piętnaście siódma, czas skierować się z powrotem na stację. Wyjechać tą ciężarówką i wreszcie zacząć przeprowadzkę. Planowali i pakowali się cały tydzień, pewnie wystarczyłyby dwa dni, ale niełatwo poskromić niecierpliwość.
Naprawdę niełatwo. Rickard i Anna. Anna i Rickard. Pod jednym dachem, na samą myśl o tym wszystko w nim drżało z radości.
Pewien niepokój także gdzieś tam był, ale przede wszystkim radość.
Mieszkanie mieściło się na Kvarngärdet. Ulica Väktargatan 40, parter, trzy pokoje z kuchnią i tarasem. Siedemdziesiąt dwa metry kwadratowe, oboje uznali, że to nieprawdopodobnie dużo. Jak dla rodziny z dzieckiem, a nie dla dwojga studentów, a na Kvarngärdet aż roiło się od piaskownic i wózków. Od psów, kotów i wszystkiego innego również, a wszyscy ludzie zdawali się mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Szczególnie, rzecz jasna, dzieci; on i Anna kilka razy oglądali potajemnie okolicę i powiedzieli sobie, że im się to podoba. Tu będą się dobrze czuli i będą mogli zbudować swoje życie.
Najpierw podjechał jednak ciężarówką na Torsgatan, gdzie razem z Anną w mniej niż pół godziny wynieśli jego skromny dobytek - w zasadzie tylko książki i ubrania. Pożegnał się z panią Lifferman, która uznała, że to dobrze, że się wyprowadza, skoro znalazł dziewczynę, i zdążył jeszcze przywitać się z jej nowym lokatorem. Wpadli na niego na

klatce, był to pulchniutki student pierwszego roku teologii z Yittangi. Miał na imię Josef i na ile Rickard potrafił ocenić, był wyznawcą laestadianizmu, trudno było uniknąć tej refleksji, na teologii było ich sporo.
Na Glimmervägen do wyniesienia i zapakowania pod biało-niebieską plandekę ciężarówki było dużo więcej, wtedy pojawili się też Tomas i Germund. Tak było umówione; wspólnie wytaszczyli skrzynie ze szkłem, porcelaną i sprzętem domowym. Krzesła i stół kuchenny. Wytartą sztruksową kanapę i dwa plastikowe używane fotele z Myrorna. Torby książek i płyt; ubrania, lampy, wieszaki, odkurzacz, plakaty (choć brakowało Mao i Che, zaginęli Bóg wie gdzie w ciągu tego roku, kiedy byli razem; Anna i Rickard, Mao i Che nigdy ze sobą w ten sposób nie byli). Bez wątpienia to Anna wnosiła więcej do wspólnego gospodarstwa, niesamowite, co zdążyła uzbierać przez cztery lata na Eriksbergu. Była to swego rodzaju dysproporcja, ale nie szkodzi. Ani trochę. Jeżeli ma się dzielić życie, trzeba też oczywiście dzielić wszystko inne.
Jedyną nową rzeczą, jaką sobie sprawili, było łóżko, wielkie jak morze, nazywało się Adam i zamówili je w Sencello przy deptaku. Żadnych płyt wiórowych, tylko prawdziwe łóżko z drewnianą ramą, szczeblami i dwuwarstwowym materacem. Kiedy na Glimmervägen wszystko było załatwione, wynieśli je w trzech ciężkich, podłużnych paczkach przez garaż przy św. Olofa i wreszcie nadszedł czas, by pojechać na Kvarngärdet i założyć dom.
W czasie jazdy Tomas pozwolił sobie odśpiewać: „Nasz mały kącik urządzić chcę, domek z ogródkiem, huśtawki dwie", a Germund, który także śpiewał w chórze, przyłączył się z donośnym: „Małe poletko uprawne też chcę do kompletu gdzieś na wsi mieć!".
Później cała trójka śmiała się na cały głos, gnieżdżąc się na przednim siedzeniu, każdy ze swoją puszką piwa (Anna

pojechała już na Väktargatan na rowerze), a Rickard pomyślał, że jest szczęśliwy. Właśnie tak, w ciągłym ruchu, powinno się przeżywać życie, zamiast spędzać je na siedząco z głową pełną posępnych rozważań.
Tomas opuścił ich po godzinie wypakowywania i dźwigania ciężarów na Väktargatan. Po drodze do domu odstawił ciężarówkę na stację. Guniłła była w tak zaawansowanej ciąży że mogła urodzić lada dzień, i nie powinno się jej zostawiać na tak długi czas.
Germund jednak został. Rickard pomyślał, że dziwnie tak być w towarzystwie Germunda, kiedy nie ma z nimi Tomasa. Właściwie nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, choć znali się dwa lata i często spędzali ze sobą czas. Było trochę tak, jakby... jakby Tomas był swego rodzaju membraną; nieodzownym buforem albo też tłumaczem, za pośrednictwem którego nawiązywało się kontakt z Germundem. Wcześniej nigdy o tym w ten sposób nie myślał, ale przyszło mu to do głowy teraz - kiedy przenosili kartony, wypakowywali szkło i talerze oraz próbowali zmontować prawdziwe łóżko: rozmawiać z Germundem wcale nie było łatwo. Zastanawiał się, czy przeszkadza to również Annie, ale nie wyglądało na to.
Z drugiej strony nie trzeba było rozmawiać, kiedy mieli przed sobą tyle roboty. Ale i tak Maria obiecała, że koło czwartej, kiedy skończy się jej wykład, przyniesie parę pizz z Lucullusa przy Silviatorg, a już koło wpół do trzeciej Rickard pomyślał, że mogłaby przyjść trochę wcześniej.
Zaledwie kilka minut po tej myśli zadzwonił telefon. Zaskakujące, że już był podłączony i gotowy do użytku. Aparat należał do Rickarda, który zabrał go z mieszkania przy Torsgatan, od razu prosząc Televerket, by pozwolili mu zachować stary numer.
Nie mniej zaskakujące było to, że dzwonili ze szpitala Akademiska w sprawie Helgego.

Helgego z Gäddede. Nie odezwał się do Rickarda ani razu, odkąd przed ponad rokiem skończyli szkołę sztabu i łączności.
Teraz też się nie odezwał, ponieważ telefonowała pielęgniarka. Rickard mimo woli pomyślał, że jest trochę szorstka, jak pielęgniarki w filmach z lat czterdziestych.
- Czy rozmawiam z Rickardem Berglundem?
- Tak. Przy telefonie.
- Chodzi o niejakiego Helgego Markströma. Czy pan go zna?
- Helge Mark... tak, oczywiście.
- Zdarzył mu się wypadek... ma trochę złamań. Podał pana jako osobę do kontaktu. Najwyraźniej nie mieszka tu na stałe.
- Nie, mieszka w Gäddede. Co... co się stało?
- Wpadł pod autobus. To się stało wczesnym rankiem. Miał operację i teraz jest już przytomny. Wszystko się udało, więc jeśli chce go pan odwiedzić, nie ma przeszkód.
- Autobus?
- Tak jak mówiłam. Miał operację i wszystko poszło dobrze.
Pielęgniarka podała numer oddziału i wytłumaczyła, jak trafić. Zapewniła, że biorąc pod uwagę sytuację, Helge czuje się dobrze, ale jest w szoku i w gipsie. Wypadek zdarzył się na przejściu dla pieszych na Kungsgatan i z tego co wie, kierowca przejechał na czerwonym świetle.
Rickard podziękował i powiedział, że zaraz przyjedzie do szpitala. Naprędce wyjaśnił Annie, co się stało, i wyszedł.
Helge, pomyślał. Nie miałem pojęcia, że jesteś w mieście. Dlaczego się nie odezwałeś?
Okazało się, że przyjechał tego samego dnia. Wcześnie rano, jechał nocnym pociągiem z Kiruny. Właściwie jechał do Sztokholmu, gdzie miał zamiar zacząć się kształcić na stolarza meblowego, ale pomyślał, że najpierw spędzi pół dnia w Uppsali. Pochodzi trochę i się rozejrzy. Może koło popo-

łudnia przekręci do Rickarda. Znalazł jego numer w książce telefonicznej przed wyjazdem z Gäddede.
- Dobrze, że chociaż miałem numer - powiedział i uśmiechnął się słabo. - Choć myślałem, że napijemy się kawy w Fågelsången. A nie w ten sposób.
- Ciesz się, że żyjesz - odparł Rickard. - Ludzie nie powinni rzucać się na autobusy.
- Jasna sprawa. Zrozumiałem to. Byłem trochę zmęczony, w pociągu nie najlepiej się śpi.
- Która była godzina?
- Coś koło szóstej. Zbytnio nie pooglądałem miasta. Nawet nie przeszedłem przez Kungsgatan.
Rickard przyjrzał się mu uważniej. Leżał w łóżku. Jedną rękę i jedną nogę miał w gipsie, a na twarzy był siny. Miał mały wąsik, który wyglądał na świeżo zapuszczony.
- Ta twoja nauka ma się zacząć w...?
- Chyba będę musiał to przełożyć - powiedział Helge. - Szkoda. Ta piekielna Lapplandia zaczęła mnie nużyć.
Spróbował się uśmiechnąć. Wyszedł z tego grymas.
- A ty jak się masz?
Rickard przysunął krzesło trochę bliżej łóżka.
- Anna i ja od dzisiaj razem mieszkamy.
- Co? - odpowiedział Helge. - Od dzisiaj?
Rickard pokiwał głową.
- Väktargatan na Kvarngärdet. Wiesz, za Migo. Przepraszam, że nie napisałem.
Helge spróbował wzruszyć ramionami.
- Obaj nie przesadzamy z pisaniem. Choć w moim przypadku wynika to z tego, że nic się nie wydarzyło. Tak to już jest w mojej okolicy.
- Chyba nie powinieneś skarżyć się na brak przygód
- powiedział Rickard, wskazując znacząco gips. - Mój ty Boże, Helge.
Helge znowu uśmiechnął się słabo.

- Tak, ale to minie. Dzięki w każdym razie, że przyszedłeś. Pamiętasz, że byłem przy tym, jak się poznaliście? Ty i Anna. Na tej demonstracji.
- Jasne, że pamiętam - odparł Rickard.
- Skręciła nogę, a teraz jesteście parą - rzekł Helge. - Młoda komunistka doznaje urazu i wpada w ramiona przyszłego pastora. Dobre, kurwa.
- A jak u ciebie na tym polu? - zapytał Rickard. - Chodzi mi o dziewczyny.
- W Gäddede nie ma dziewczyn - odparł Helge i ciężko westchnął. - Pomyślałem, że w Sztokholmie będzie lepiej. Choć teraz chyba trzeba pojechać do domu i czekać.
- Ten, kto czeka na coś dobrego, nigdy nie czeka za długo.
- Tak mówisz? - odparł Rickard. - Ty filucie.
Był w szpitalu ponad dwie godziny. Kiedy wrócił na Väktargatan, była siódma, a Anna siedziała sama. Wyglądała na zmęczoną. Powiedziała, że Maria i Germund wyszli piętnaście minut temu. Do rozpakowania zostały jeszcze trzy kartony i Rickard pomyślał, że teraz powinni przerwać i wypić razem butelkę wina.
Łóżko było w każdym razie rozścielone i gotowe, to było najważniejsze. Zaproponował, by to, co zostało do zrobienia, przełożyć na następny dzień, a Anna polowała głową. Na wino jednak nie miała ochoty.
- Chyba przydałby mi się spacer - powiedziała. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko spacerowi? - zapytał. - Gdzie moglibyśmy pójść?
- Wolałabym chyba pochodzić trochę sama - odparła Anna, patrząc w podłogę.
Rickardowi udało się przełknąć rozczarowanie. Ona taka już jest, powiedział sobie. Muszę to zaakceptować. Każdy jest inny, wmawianie sobie, że jest inaczej, jest dziecinne.
Kiedy dwie godziny później wróciła, wypili po kieliszku. Na

brązowej sztruksowej kanapie obok dwóch jeszcze nierozpakowanych kartonów. Pomyślał, że nie jest tak źle, jeśli wziąć pod uwagę, że od samego rana był wtorek.

26

Kiedy Gunnar Barbarotti podał rękę Rickardowi Berglundowi, pomyślał, że rak najwyraźniej jest zaraźliwy. Ze jakimiś niewiadomymi drogami przeszedł z żony na męża i że ten szczupły, poszarzały mężczyzna, który właśnie zaprosił go do mieszkania, nie ma z pewnością przed sobą długiej ziemskiej wędrówki.

Barbarotti wiedział, że Berglund ma sześćdziesiąt jeden lat, ale wyglądał na starszego o co najmniej dziesięć. Ruszał się jak lunatyk, jakby na przekór własnej woli i bez przekonania, po czym opadł na jeden z dwóch czarnych skórzanych foteli, ustawionych po obu stronach niskiej sosnowej ławy, na której stała szachownica z figurami.

- Przepraszam - powiedział. - Od kilku tygodni nie spałem.

Gunnar Barbarotti usiadł w drugim fotelu.

- Przykro mi, że muszę się panu naprzykrzać w takiej sytuacji. Rozumiem, że jest panu ciężko.

Rickard Berglund skinął głową i wypił łyk wody ze szklanki stojącej przy szachownicy.

- To jest prawie nie do zniesienia - powiedział. - Widzieć, jak towarzyszka życia w taki sposób mierzy się ze śmiercią.

Barbarotti zastanawiał się przez chwilę, dlaczego nazwał ją towarzyszką życia. Czy to oznacza coś silniejszego, czy słabszego niż „żona", co byłoby chyba naturalnym określeniem. Być może Berglund mimo zmęczenia odczytał jego zdziwienie, ponieważ dodał:

- Przeżyliśmy ze sobą czterdzieści lat. Dwie trzecie życia, nie mogę pogodzić się z jej cierpieniem.

- Nie będę twierdził, że rozumiem - powiedział Barbarotti. - Są rzeczy, których człowiek nie jest w stanie zrozumieć,

dopóki go nie dotkną.Rickard Berglund spojrzał na niego z błyskiem czegoś, co można by uznać za zaciekawienie, i potwierdził skinieniem głowy.
- Otóż to. Nie ma nawet sensu próbować. Pewnych rzeczy nie mamy rozumieć, nie taki jest ich sens. Ale dlaczego nie można umrzeć, jeśli życie jest tylko męczarnią... co ją jeszcze tu trzyma... tak, tu jest nad czym się zastanawiać.
Stracił wątek i mrugnął kilka razy pod wpływem słońca, którego promień nagle wpadł przez okno balkonowe. Wyprostował się na krześle i najwyraźniej przypomniał sobie, że Barbarotti nie przyszedł tu jako duszpasterz.
- Przepraszam pana, nie jestem sobą. Nie przyszedł pan tutaj rozmawiać o mojej żonie.
- Nie - odparł Barbarotti. - Zajmujemy się dziwnym przypadkiem śmierci. Germund Grooth. W niedzielę znaleziono go martwego koło wzgórza Gåsa.
- Wiem o tym - powiedział Rickard Berglund. - Linderholm mi wspominał. Pańska koleżanka z nim rozmawiała.
- Co pan o tym sądzi? - zapytał Barbarotti.
- Słucham?
- Co sądzi pan o śmierci Grootha. Znaleziono go dokładnie w tym samym miejscu, gdzie jego partnerka, Maria Winckler, zginęła trzydzieści pięć lat temu.
- To jest niepojęte - powiedział Rickard Berglund, potrząsając wolno głową. - Całkowicie niepojęte.
Podniósł z szachownicy czarny pionek i zmarszczył czoło. Barbarotti czekał, aż powie coś jeszcze, jednak to nie nastąpiło. Zważył pionek w dłoni i odstawił go na szachownicę.
- W tym poprzednim przypadku również jest wiele niejasności.
- Niejasności?-odparł Rickard Berglund. - Tak... tak, to było straszne. Straszne dla wszystkich... najbardziej oczywiście dla Marii, bo umarła... ale także pozostałych... i dla Germunda...

Mówił tak cicho, że Barbarotti ledwo mógł cokolwiek usłyszeć. Jakby rzeczywiście zapadał w sen.
- Pojawiły się wtedy przypuszczenia. Pamięta pan o tym?
- Oczywiście - odpowiedział Rickard Berglund. - Nie mam demencji, jestem tylko zmęczony.
- Przepraszam - rzekł Barbarotti.
- Podejrzenia zasadzały się na tym, że Maria, spadając, coś krzyknęła - ciągnął Berglund nieco bardziej energicznym tonem. - Niektórzy tłumaczyli to tak, że ktoś ją zepchnął... albo raczej wy tak to sobie tłumaczyliście. Policja, jeden pański kolega, chyba nazywał się Sandlin... odrobinę ostro sobie poczynał.
- Czytałem jego przesłuchania - przyznał Barbarotti. - Możliwe, że ma pan rację, ale tak czy inaczej, nic nie zostało udowodnione. Jakie zatem było pańskie zdanie na temat śmierci Marii?
- Spadła - odpowiedział Rickard Berglund, znów kiwając się nad szachownicą. - Możliwe, że skoczyła z własnej woli, ale uważam to za wysoce nieprawdopodobne. Z pewnością nie została zamordowana.
- Wieczorem poprzedniego dnia mieliście na plebanii przyjęcie?
- Myślałem, że przyszedł pan z powodu Germunda - odparł Rickard Berglund. - Nie tej starej sprawy.
- Przyszedłem, ponieważ chciałbym się dowiedzieć, czy jedno ma związek z drugim.
- Minęło trzydzieści pięć lat - powiedział Berglund z westchnieniem. - Dlaczego miałoby mieć jakiś związek?
- Nie wiem - przyznał Barbarotti. - Ale sam fakt, że zginął w tym samym miejscu, już wskazuje na swego rodzaju zbieżność.
Rickard Berglund kiwnął głową.
- Być może. Pewnie tego chciał.
- Czego?

- Skończyć w tym samym miejscu.
- Chodzi panu o to, że Germund Grooth odebrał sobie życie, ponieważ w jakiś sposób chciał się zjednoczyć z Marią.
Rickard Berglund zmęczonym gestem wzruszył ramionami.
- Tak, coś w tym rodzaju.
- Czy Germund był wierzący?
Berglund znów spojrzał na niego z błyskiem zaciekawienia.
- Wierzący?
- Tak.
- Nie wiem, jak rozumie pan to pojęcie, ale kiedy ja znałem Germunda, nie miał żadnego boga.
- Ostatnimi laty nie spotykaliście się z Germundem Groothem? Pan i pańska żona.
- Nie. Nie mieliśmy żadnego kontaktu.
- Kiedy widział się pan z nim po raz ostatni?
Kolejne wzruszenie ramion.
- Nie mam pojęcia.
Barbarotti westchnął i zastanawiał się nad dalszym ciągiem. Pomyślał, że ta rozmowa nie wydaje się szczególnie sensowna.
- Chociaż chwileczkę - odezwał się Berglund. - Powiedziałbym, że jakieś pięć lat temu. Albo może trochę więcej, w każdym razie już w nowym tysiącleciu, Anna i ja spotkaliśmy go przypadkiem w Kopenhadze. Pojechaliśmy tam na weekend i wpadliśmy na niego na placu Ratuszowym... rozmawialiśmy dwie minuty, nie miał nawet czasu na lunch.
Oczyma wyobraźni Barbarotti zobaczył scenę: biegnący placem Ratuszowym Germund Grooth wpada na dawnych przyjaciół z uppsalskich dni, ale nie ma czasu z nimi porozmawiać, ponieważ śpieszy się na spotkanie z... Marianne!
Wyłącz się! - pomyślał. Dobry Boże, pomóż mi sobie z tym poradzić. Dwa punkty, okej?
- Dlaczego przestał pan być pastorem? - zapytał.
Sam nie wiedział, dlaczego zadał takie pytanie. Chyba po

prostu przyszło mu do głowy razem z wymyślonym spotkaniem Marianne i Germunda w Kopenhadze i nie zdążył go zatrzymać.
- Słucham? - odparł Rickard Berglund. - Dlaczego pan o to pyta?
- Ponieważ mnie to interesuje - powiedział Barbarotti.
- Oczywiście nie ma to nic wspólnego ze śmiercią Grootha, jestem po prostu ciekaw.
Rickard patrzył na niego w milczeniu. Jakby rozważał, czy jest w stanie odpowiedzieć. I czy w ogóle warto.
- Przepraszam - rzekł Barbarotti. - Zapominamy o tym.
Rickard Berglund odchrząknął i znów wyprostował się na krześle.
- Jak to jest? - zapytał. - A pan jest wierzący?
- W pewnym sensie.
- Nie będę pytał, co to znaczy - powiedział Berglund. Zaśmiał się, krótko i bez radości w głosie. - Tak, niektórzy o to pytają - ciągnął. - Dlaczego ktoś, kto głosił Słowo Boże, nagle przestaje to robić. Nieczęsto się to zdarza.
- Wydaje mi się, że można stracić wiarę - rzekł Barbarotti.
- Oczywiście, że można - odparł Rickard Berglund. - W moim przypadku jednak tak się nie stało.
- Aha? - powiedział Barbarotti i poczuł nagły przypływ radości, że nie nagrywa tej rozmowy.
- Raczej odwrotnie.
- Odwrotnie?
Rickard Berglund pokiwał głową i siedział przez chwilę w milczeniu.
- Człowiek dochodzi do takiego punktu - powiedział w końcu - kiedy dłużej po prostu już się nie da.
Barbarotti postanowił nie mówić, że rozumie. Także i tym razem. Podniósł z szachownicy białą wieżę i przez chwilę obracał ją w palcach. Czekał.
Pół minuty później Berglund odezwał się znowu.

- Bóg istnieje. Ale nie mieszka w Kościele Szwedzkim. I o ile mi wiadomo, w żadnym innym zgromadzeniu. Zrozumienie tego zajęło mi ponad trzydzieści lat, kiedy jednak to nastąpiło, nie mogłem nadal stawać na ambonie. Przynajmniej nie w naszych zwykłych kościołach. Boga tam nie ma i myślę, że... tak, że wstydzi się, że tak jest.
- Wstydzi się? - zapytał Barbarotti.
- W każdym razie jest głęboko zmartwiony. Nie rozumiem jednak, dlaczego nie bierze Anny do siebie.
Barbarotti skinął głową, próbując przełknąć zdziwienie.
- Sam nie chodzę do kościoła - powiedział. - Ale czasami z Nim rozmawiam. Moja żona także... jest wierząca, ale też nigdy nie chodzi na mszę.
- Religia - powiedział Rickard Berglund głosem, który nagle zaczął balansować na krawędzi pomiędzy rezygnacją a gniewem. - Ona nie ma nic wspólnego z prawdziwą wiarą, nic wspólnego z Bogiem, który nas kocha i którego łaska jest wielka. Ludzkość poszła złą drogą, zbłądziła niemiłosiernie... pytanie brzmi, czy jest jeszcze jakaś nadzieja.
Splótł dłonie i przyglądał się partii szachów.
- Gram sam ze sobą - wyjaśnił, tak jakby w jakiś sposób łączyło się to z jego stosunkiem do Boga.
Barbarotti nie bardzo rozumiał związek i zdecydował się nie poruszać tematu swoich z Nim debat. Niełatwo było to wytłumaczyć innym, zwłaszcza jeśli akurat byli eks-pastorami, nie było też takiej potrzeby. Było jednak coś w tym, co powiedział Rickard Berglund, i w sposobie, w jaki to uczynił, co do niego trafiło. Tak jakby... naprawdę wiedział, o czym mówi. Jakby te słowa wynikały z głębokiego i prawdziwego doświadczenia. Jakby zaszedł tym ciernistym szlakiem o wiele dalej od niego.
Opuścić kościół nie dlatego, że straciło się wiarę, ale dlatego, że się ją znalazło... to brzmiało szczególnie i, jakkolwiek to tłumaczyć, musiało oznaczać bardzo bolesny

proces, to było jasne nawet dla prostego inspektora policji.
Gdy tymczasem żonę - towarzyszkę życia - tego byłego pastora toczył rak, który bez wątpienia zakończy jej życie, lecz najwyraźniej zdecydował najpierw wymęczyć ją do granic wytrzymałości.
Tak to mniej więcej wygląda, podsumował Gunnar Barbarotti w duchu. Położenie Rickarda Berglunda. Nic dziwnego, że wyglądał na starego i zmęczonego. Nic dziwnego, że niezbyt interesował go Germund Grooth.
Zdecydował się nie przeszkadzać dłużej, nie było sensu. Berglund obiecał mu godzinę, po tym czasie pójdzie z powrotem do szpitala.
Kim jestem, żeby odciągać go od poczekalni Śmierci? - zapytał sam siebie Barbarotti i podniósł się. Od rakowej sali tortur?
Czuł jednak wyraźnie, że w innych okolicznościach porozmawiałby z nim jeszcze godzinę. W Rickardzie Berglundzie było coś... imponującego?
- Dziękuję za ciekawą rozmowę - powiedział. - Mimo wszystko mam nadzieję, że pańska żona będzie mogła rozstać się ze światem w sposób, który przyniesie jakiś sens.
- Ja również - odparł Rickard Berglund, nie wstając z fotela. - Wystarczy mały promyk światła, nie możemy żądać zbyt wiele.
Kiedy Barbarotti wyszedł na ulicę, padało. Rzęsisty, nieustępliwy jesienny deszcz. Pomyślał, że wcale nieźle współgra to z rozmową, którą właśnie odbył. Nie osłaniając się w żaden sposób, wrócił pieszo na komisariat. Mieszkanie Berglunda mieściło się na końcu ulicy Rosengatan w Rocksta, szedł dwadzieścia pięć minut - tyle samo, ile z komisariatu, nie powinno się przepuszczać żadnej okazji do ruchu - i zdążył porządnie zmoknąć.
Nie obeszło go to. W porównaniu z Rickardem Berglundem nie miał na co się skarżyć, choć myśl, że sam pewnego

dnia będzie siedział przy łożu śmierci Marianne, nie dawała mu spokoju. Albo ona przy jego.
Kiedy? - pomyślał. Ile jeszcze wspólnych lat nam zostało? Trzydzieści? Dziesięć? Trzy? Dlaczego pozwalamy dniom tak po prostu uciekać?
Dlaczego jestem zazdrosny o jednego z jej byłych, który w dodatku nie żyje, i czy któregoś dnia nie będę przeklinał sam siebie, że nie przeżywałem życia, kiedy ono trwało?
Cóż, stwierdził, kiedy ociekając wodą, wszedł na policyjny korytarz, przynajmniej zadaję pytania. To też jest ważne.
Poza tym mamy piątkę dzieci, to najważniejsze.

27

Ranek 11 października. Obudziła się i przez kilka sekund nie wiedziała, co się stało.
Nosiła w sobie śmierć. Nie życie. Delikatnie przejechała palcami po napiętym brzuchu. Poczuła płynące stamtąd zimno. Zimno i głuchą ciszę.
I śmierć. Splotła ręce na brzuchu i spojrzała w ciemność. Świtu ani śladu. Ani śladu nadziei.
Spojrzała na świecący cyferblat budzika. Piętnaście po piątej.
Spojrzała na Tomasa, śpiącego mocno u jej boku. Kontur w ciemności, nic więcej.
Poruszyła językiem, który przykleił się do podniebienia. Najwyraźniej długo oddychała przez usta.
Krzyknęła.
Urodziła martwe dziecko. Dziewczynkę, której tym razem nie nadali imienia. Ważyła 2960 gramów, lekarze nie potrafili wyjaśnić, dlaczego przestała żyć zaledwie tydzień przed przyjściem na świat. Musiało w jakiś sposób zabraknąć tlenu. Po prostu nieszczęśliwy wypadek, poza tym, że nie żyła, wszystko było w porządku.
Pochowano ją 13 października. Na cmentarzu Berthåga

dostała mały krzyż z metalową tabliczką i imię na koniec. Aurora. Co znaczy jutrzenka.
Urodziła się 11 października 1971. Zmarła 11 października 1971. Pastor, który przeprowadził ceremonię, nazywał się Holger Eriksson. Obecni byli tylko Tomas i Gunilla.
I Aurora.
Potem pojechali od razu do Ulleråker.
Tak było ustalone.
Padał deszcz.
Z łóżka na najwyższym piętrze wysokiego, wąskiego budynku widziała czubki drzew. Wysokie, proste sosny z dostojnymi zielonymi koronami. W tle niebo, najczęściej niespokojne, była jesień.
Godzinami leżała wpatrzona w te korony i to niebo. Całe dni i tygodnie. Żałowała, że nie umarła razem ze swoją córką. Prosiła o to, ale jej nie pozwolili.
Ani Tomas, ani lekarze.
Mam dwadzieścia dwa lata, pomyślała. Już straciłam dwoje dzieci, czy oni nie rozumieją, że śmierć jest moim powołaniem? Dlaczego w tak bezsensowny sposób trzymają mnie przy życiu?
Tomas odwiedzał ją każdego dnia. Często spędzał przy niej długie godziny, choć mówiła, że chce być sama.
Sama z lekami nasennymi i koronami drzew. Ze swoim niespokojnym niebem.
On nalegał.
Nastał listopad. W odwiedziny przychodzili także inni. Anna i Rickard. Germund, choć Maria nie. Nie wiedzieli, co jej powiedzieć, byli zakłopotani i nie zostawali długo.
Odwiedziły ją nawet matka i siostra. Przychodziły na trzy godziny i cały ten czas płakały. Obie; mówiły, że już żyją w zgodzie i że ją kochają.
Wreszcie przychodził doktor Werngren. Nadal miał koszulkę polo, za każdym razem, kiedy się spotykali, ale

nigdy więcej żółtą. Najczęściej czarną albo ciemnogranatową. Przychodził raz w tygodniu, później dwa. Spacerowali wzdłuż grzbietu góry, coraz to dłuższe wędrówki w gęstniejącej jesiennej ciemności. Lubiła ciemność. W grudniu Tomas zaczął im towarzyszyć.
Na święta pojechali do domu na Sibyllegatan i przespali tam dwie noce.
Pod koniec stycznia ją wypisali i pojechała do domu na dobre.
Przez trzy miesiące zapisywała własne myśli w grubym, czarnym zeszycie. Spalili go razem na balkonie w misce z benzyną.
Brała dwa różne leki. Dwie białe tabletki rano i wieczorem, jedną czerwoną wieczorem.
Tomas powiedział, że ją kocha.
Odparła, że odczuwa wielką potrzebę samotności. Był rok 1972.

28

Eva Backman zdecydowała, że do Lund pojedzie autem.
Wprawdzie zajmowało to dwa razy tyle czasu co samolot, ale nie lubiła latać. Trzysta pięćdziesiąt kilometrów za kółkiem w samotności też nie wydawało się zbytnio poprawne politycznie, ale tym razem miała to w nosie. Musiała przemyśleć parę spraw, a gdzie można zrobić to lepiej niż w samochodzie przy odpowiedniej muzyce płynącej z głośników Ruch i rytmy. Wybierając między Billie Holiday a Edith Piaf, postawiła na tę drugą; przynajmniej na początek, na pierwszych sto kilometrów.
Piaf, pomyślała. Wróbel. Który w jakiś szczególny sposób pokazuje, jak to jest być kobietą na tym świecie - cierpiącą, ale żywą kobietą - nie przez swoje słowa czy swoje życie, ale przez swój głos. Zmysłowy, francuski, tak piękny, że przyprawiał o gęsią skórkę. Gdybym urodziła się we Francji,

pomyślała Backman, nie zostałabym policjantką. Wtedy byłabym piosenkarką. Bez wątpienia. Tylko trzeba nauczyć się tego r, inaczej nie ma sensu.
Choć to nie nad Piafowym r miała się zastanawiać, to inna rzecz wymagała namysłu i analizy. Mianowicie tak zwana sprawa, dwoje ludzi, którzy zakończyli żywot w wąwozie Gåsa w Rönninge, dziesięć kilometrów na południe od Kymlinge. Maria Winckler i Germund Grooth, jedno trzy i pół dekady później niż drugie. Z własnej woli czy nie? Wypadki, czy też nie? W obu przypadkach nie było żadnych oznak przestępstwa, mówiła o tym Barbarottiemu już trzy dni temu. Praktycznie rzecz biorąc, nie było nic.
Pozostali byli innego zdania. Sandlin trzydzieści pięć lat temu coś zwietrzył, ale nie udało mu się znaleźć żadnego dowodu. Barbarotti twierdził, że jego trop jest świeższy, ale najwyraźniej zmienił zdanie. Dlaczego? Nie przedyskutowali tego jak należy, a sama zaczęła się skłaniać w drugą stronę.
Ale czy na pewno? Nie było zbyt wielu konkretów, na których można by się oprzeć. Jak wiadomo. Ani śladu fizycznych dowodów, nikt nie powiedział ani nie zrobił niczego, co mogłoby wskazywać, że ktoś mógłby zepchnąć Germunda Grootha z urwiska. Albo jego narzeczoną w 1975 roku. Żadnego łańcucha poszlak, żadnych poszlak w ogóle.
Tylko to jedno uczucie i trochę dziwnych okoliczności. Prawda? - pomyślała Eva Backman retorycznie. ***Prawda?***
Na przykład brak pojazdu. To była okoliczność. Jak Germund Grooth się tam dostał? Sprawdzili linie autobusowe, najbliższy przystanek był oddalony od wąwozu o ponad dwa kilometry. Smutas rozmawiał z kilkoma kierowcami, ale żaden nie potrafił sobie przypomnieć pasażera, który w ubiegłą sobotę wysiadałby na skrzyżowaniu Alhamra, co byłoby najrozsądniejszym wyjściem. Spacer z Kymlinge zająłby mu ponad dwie godziny. Dwie i pół.

Oczywiście nie było to niemożliwe. Jeżeli ktoś zamierza odebrać sobie życie, dziesięciokilometrowy spacer nie robi chyba tak wielkiej różnicy.
Może się z kimś zabrał? Ale w takim razie - z kim?
Pojechał autostopem? Sześćdziesięciojednoletni doktor habilitowany?
Potrząsnęła głową i przez chwilę słuchała Piaf. ***Je ne regrette rien.*** Fantastyczne r.
Dlaczego Barbarotti zmienił zdanie? W tym się kryło coś podejrzanego, nie wiedziała jednak co. Zwykle nie szukał najprostszego rozwiązania; z tego znani byli inni koledzy, z zamykania śledztwa, kiedy tylko nadarzy się okazja
- ale nie Barbarotti.
Ona też nie. Pasja w dążeniu do prawdy brzmi wprawdzie pretensjonalnie, ale jeśli było coś, co ich oboje napędzało, Backman i Barbarottiego, to właśnie to. Przemożna jak diabli chęć ustalenia, co się tak naprawdę stało. To był fundament i gdyby nie owa ciekawość, nie można by było pracować w policji kryminalnej. Prawda?
Wkurzające, pomyślała. Jeżeli to nie jest nic innego, to w każdym razie wkurza jak cholera.
Próbowała przypomnieć sobie dwie rozmowy, jakie odbyła z uczestniczkami wydarzeń sprzed trzydziestu pięciu lat. Gunillą Winckler-Rysth i Elisabeth Martinsson. Czy któraś z nich powiedziała albo chociaż dała do zrozumienia cokolwiek, co mogłoby wskazywać na popełnienie przestępstwa? Albo dwóch? Czyżby coś przeoczyła?
Nie wydawało jej się, a w każdym razie nic takiego nie dostrzegała. Z Martinsson rozmawiała tylko przez telefon, liczyła na to, że Barbarottiemu uda się porozmawiać z nią w cztery oczy, kiedy ona będzie w Lund. Z tym byłym pastorem oczywiście też, a także z mężem Gunilli Winckler-Rysth, Tomasem Wincklerem. Choć część zadań trzeba pewnie będzie zlecić innym; najprawdopodobniej asysten-

tom Tillgrenowi i Wennergrenowi-Olofsonnowi. Oczywiście wcale nie było powiedziane, że tylko z tego powodu coś pójdzie nie tak.
Co sama chciała osiągnąć wyjazdem do Skanii, tego nie wiedział nikt, Germund Grooth był jednak do tej pory niemalże czystą kartką, więc może to i owo wyjdzie na jaw. Mnóstwo nieistotnych faktów, a może coś innego. Życie.
Które z jakiegoś wciąż niejasnego powodu zakończyło się w lesie pod Kymlinge, trzysta pięćdziesiąt kilometrów od jego miejsca zamieszkania.
Choć jeśli po prostu się zabił, co w tym niejasnego?
Zarezerwowała pokój na dwie noce w hotelu Concordia przy Stålbrogatan w centrum miasta, już kiedyś tam mieszkała i była zadowolona. W budynku obok sto dwadzieścia lat temu Strindberg pisał swoje ***Infemo*.** Taki szczegół. O szesnastej miał się z nią spotkać inspektor Ribbing i o wszystkim jej opowiedzieć. Przedstawić fakty dotyczące Grootha, które udało mu się w ciągu dnia ustalić. Rozmawiali poprzedniego wieczora i uznała, że wzbudza zaufanie.
Swojski południowoszwedzki dialekt, może to on wywołał to uczucie.
Gardłowe r, jak u Piaf, ale innego rodzaju. Zupełnie innego rodzaju.
Wybrała drogę Nissastigen i wyjechała na E6 na wysokości Halmstad. Przełączyła na Billie Holiday i zdecydowała, że zrezygnuje z lunchu. Woda mineralna, banan i wafelek czekoladowy w samochodzie muszą wystarczyć. I kawa na Statoil, w końcu jest singielką. Ma prawo mieć swoje kaprysy, a poza tym była trochę spóźniona.
Siedział w holu koło fortepianu i czekał. Miał dwa metry wzrostu i ważył chyba więcej niż Piaf i Holiday razem wzięte, przez telefon nie było tego słychać.
Mimo to był energiczny i wysportowany. Policjanci, którzy tak wyglądają, nie muszą chyba nosić broni, pomyślała Eva

Backman i poprosiła, by dał jej pięć minut, skoczy tylko do pokoju.
- Dopilnowałem, żeby nikt nam tu w hotelu nie przeszkadzał - powiedział. - Ma pani ochotę na kawę i kanapkę?
Potwierdziła, że wielką, i o szesnastej piętnaście usiedli po obu stronach błyszczącego dębowego stołu w małej salce konferencyjnej. Kanapki były duże jak buty Ribbin- ga, dziewczyna o pszenicznych włosach spiętych w koński ogon podała kawę w porcelanowym dzbanku i poinformowała, że to zoega.
Kiedy zostawiła ich samych i zamknęła drzwi, Ribbing wyjął z teczki plik papierów i odchrząknął.
- Ten Grooth - zaczął - to kawał cholernego odludka.
Backman skinęła głową.
- Zdaje się, że w ogóle nie prowadził życia towarzyskiego. Nie miał żadnej rodziny, żadnych przyjaciół. Wszystkiego dowiedziałem się od sąsiadki i kolegów z pracy. Jego profesora na fizyce i dwóch innych. Sąsiadka nazywa się Zetterlund, mieszkali z Groothem w tej samej klatce osiemnaście lat.
- Ale nie był pan u niego w mieszkaniu?
- Nie. Pomyślałem, że zajmiemy się tym jutro. Pani pewnie chciałaby wybrać się z nami?
- Oczywiście - odparła Eva Backman. - Co więc mówili ci koledzy?
Ribbing zerknął do dokumentów.
- Niewiele. Grooth od 1978 roku byl doktorantem w instytucie. Wcześniej studiował w Uppsali, ale jakoś w tym wypadku to nie przeszkadzało.
Mrugnął prawym okiem. Backman pojęła, że to żart, i uśmiechnęła się szybko. Uppsala - Lund. Stare jak świat.
- Rozumiem - powiedziała. - Proszę mówić dalej.
- Doktoryzował się w 1983 i w tym samym roku rozpoczął pracę na uczelni. Najpierw jako młodszy pracownik

naukowy, od 1985 jako wykładowca, a w 1991 zrobił habilitację. Dziewiętnaście lat temu. Zdolny współpracownik, zdaniem profesora Södermana. Lubiany przez studentów, żadnych skarg. Zaszedłby dalej, ale brakowało mu prawdziwej ambicji, akademickiego zacięcia... Söderman tak to ujął. Po obronie pracy doktorskiej opublikował dwie książki i około dwudziestu artykułów naukowych. Jak się dowiedziałem, nie jest to szczególnie imponujący dorobek...
Urwał i przewrócił kartkę.
- Z nikim z instytutu nie spotykał się nigdy prywatnie, ci, z którymi o nim rozmawiałem, opisują go jako typowego samotnika. Mam tu informację, że w połowie lat osiemdziesiątych przez kilka lat grywał w klubie brydżowym w Lund, ale jeszcze z nikim stamtąd się nie skontaktowałem... dzisiaj zadzwonię do kilku osób. Choć był to okres nie dłuższy niż dwa lata, możliwe, że krótszy.
- A życie akademickie? - zapytała Backman. - Imprezy, spotkania, promocje doktorskie... myślałam, że w takim mieście jest tego zatrzęsienie?
Ribbing uśmiechnął się pod nosem.
- Jest wiele możliwości dla tych, których to interesuje. Ale Grooth właściwie nigdy nie brał w tym udziału. Co najwyżej chodził na obrony prac doktorskich, jeśli szło o jakiegoś kolegę. Ale żadnych akademickich kontaktów, nic z tych rzeczy. O ile oczywiście koledzy z pracy mówią prawdę, ale dlaczego miałoby być inaczej?
Eva Backman wzięła kanapkę z rakami i wypiła łyk wody.
- A ta sąsiadka? - zapytała. - Pani Zetterlund, tak pan mówił?
- Tak, Zetterlund - odparł Ribbing, drapiąc się po karku.
- Ma ponad osiemdziesiąt lat, ale jest dziarska i ma oczy w głowie. Mówiła, że zamieniała czasem parę słów z Groothem. Był solidny i sympatyczny.
- Solidny i sympatyczny?

- Tak. To może oczywiście znaczyć cokolwiek... czy raczej zupełnie nic. W każdym razie uchodzi za ogólnie schludnego. Pani Zetterlund mówiła, że w pralni zawsze zostawia po sobie porządek.
- Hm - odezwała się Backman. - A komputer i telefon?
- Sprawdziliśmy jego komputer służbowy; ten, z którego korzystał na uczelni. Praktycznie wszystkie maile dotyczą spraw służbowych, a komórka... o ile wiemy, nie miał telefonu na abonament. Raczej rzadko się to dziś zdarza, prawda?
- Tak - odparła Backman. - Rzeczywiście. Wiemy jednak jeszcze o tej kobiecie z Kopenhagi. Czy udało się panu ją znaleźć?
- Jest w komputerze. Dwie odebrane wiadomości, jedna wysłana. Nazywa się Kristin Pedersen, próbowaliśmy się do niej dodzwonić, ale bezskutecznie. Napisaliśmy też maila... jak na razie nie ma odpowiedzi.
- To ważne, żebyśmy się z nią skontaktowali - powiedziała Backman. - Im szybciej, tym lepiej.
Dobrała jeszcze kanapkę, tym razem z pasztetem, i zamyśliła się. Kristin Pedersen to kobieta, która towarzyszyła Groothowi podczas wizyty w Lindås... Gunilla Winckler-Rysth mówiła, że kiedy to było? W maju, czerwcu? Jeżeli z kimś można porozmawiać o zmarłym fizyku, pomyślała Backman, to zapewne z nią. Może powinnam skoczyć też do Danii? - pomyślała. Skoro już zajechałam tak daleko.
No cóż, jutro się okaże.
- Czyli jutro idziemy obejrzeć jego mieszkanie - stwierdziła, a Ribbing pokiwał głową. - Coś się pewnie zawsze znajdzie.
Strzepnął kilka okruchów kanapki ze swych szerokich ud i spojrzał niepewnie.
- Dlaczego w ogóle badamy jego śmierć? - zapytał. - Bo nie do końca załapałem. Co właściwie przemawia za... no wiesz.
Eva Backman wzruszyła ramionami.
- Niewiele - przyznała. - Kilka drobnych szczegółów. Na

przykład fakt, że jego narzeczona trzydzieści pięć lat wcześniej zginęła dokładnie w tym samym miejscu.
- Jak to? - odparł Ribbing. - A niech mnie.
- No właśnie - powiedziała Backman. - Ale chyba tylko to. Dziwne jak cholera, ale najwyraźniej nie ma w tym nic więcej. Żadnej ukrytej zbrodni.
Ribbing siedział przez chwilę bez słowa.
- On był chyba trochę dziwny - odezwał się w końcu.
- Cudaków w tym mieście nie brakuje. Niektórzy uważają, że uniwersytet funkcjonuje jak swego rodzaju zakład pracy chronionej.
- Naprawdę? - odparła Backman i pomyślała, że owa słynna granica często jest aż nadto widoczna. Granica pomiędzy eleganckim światem akademickim a tym, w którym żyją zwykli ludzie. Tacy jak inspektor Ribbing. Nawet jeśli jego nazwisko sugerowało, że jest potomkiem jakiegoś dawnego szlacheckiego rodu, było oczywiste, do którego obozu należy.A przynajmniej, z którym sympatyzuje. Może jest czarną owcą, pomyślała Eva Backman. Ogromnym czarnym ba- ranem. Łyknęła kawy, żeby ukryć uśmiech.
- No więc tak - podsumował i schował papiery z powrotem do teczki. - Niewiele miałem do powiedzenia, ale zobaczymy, co się nam uda jutro znaleźć. Jak zamierza pani spędzić wieczór?
Oj, pomyślała Backman. Chyba nie chce zaprosić mnie na kolację?
- Nie mam pojęcia - przyznała. - Pewnie spacer i dobra książka w pokoju.
- Mogę zaproponować Martinusa? To restauracja w Grandzie, jedzenie jest całkiem, całkiem. Może mała koleżeńska kolacja?
Eva Backman zastanawiała się dwie sekundy. Dlaczego nie? - pomyślała.
A niech tam. Dlaczego nie?

- O czym ty mówisz? - zapytał Rickard. - Mógłbyś powtórzyć?
- Proszę bardzo - odparł Tomas. - Nic w tym dziwnego. Zwykły sposób na zarobienie paru groszy. Branie co semestr pożyczki studenckiej nie jest raczej świetną taktyką z ekonomicznego punktu widzenia. Chyba się ze mną zgodzisz?
- Może i tak - rzekł Rickard. - Autobusem?
- Tak jest. Autobusem.
Siedzieli w Ubbo na Övre Slottsgatan. Było przedpołudnie na początku kwietnia. Za oknem deszcz ze śniegiem, na stole kawa i migdałowa babeczka z lukrem. Rickard miał pół godziny do seminarium z egzegezy, jak wyglądała sprawa Tomasa wykładów z ekonomii przedsiębiorstwa, nie wiedział. Nie był nawet pewien, czy Tomas studiuje ekonomię przedsiębiorstwa. Może nadal była to ekonomia polityczna. Albo historia ekonomii, albo cokolwiek, mniejsza z tym.
- Zaczniemy więc od skombinowania autobusu - ciągnął Tomas z kontrolowanym entuzjazmem. Rickard pomyślał, że poznaje ten ton, że w grę musi wchodzić chęć przekonania go. Oparta na rozsądnych argumentach, co prawda, ale widoczna jak cholera.
- Zobaczymy, jak to się rozwinie - mówił dalej Tomas. - W lecie zrobimy wycieczkę rozpoznawczą. Sześcioosobową. Żeby ustalić trasę... znaleźć kempingi, tanie hotele, zorientować się, co warto zobaczyć, no wiesz.
- Rozmawiałeś z kimś jeszcze?
- Nie. Zaczynam od ciebie.
- Jak się czuje Gunilla?
- Lepiej. I naprawdę przydałoby jej się oderwać od tego wszystkiego. Wyjazd na jakiś czas dobrze by jej zrobił.
Rickard skinął głową. Tomas zrobił krótką pauzę i przez chwilę wyglądał na zamyślonego.

- Tak sobie myślę, że potrzeba miesiąca. No, może półtora, jeśli mamy zaliczyć cały blok wschodni... no, może darujemy sobie Związek, ale z pozostałymi krajami zdążymy bez problemu. Najpierw oczywiście Polska, promem z Ystad, później Czechosłowacja, Węgry, Jugosławia, Rumunia...
- Autobus? - przerwał Rickard. - Jak zdobędziemy autobus?
- Już mam jeden na oku - odparł Tomas z przepraszającym uśmiechem.
- Naprawdę?
- Pewnie. Ojciec mojego kumpla z roku ma małą firmę autobusową w Bergsbrunnie. Teraz jednak ma jakieś problemy z sercem i pójdzie na rentę... zamierza sprzedać oba swoje autobusy. Jeden jest już zaklepany, ale drugi możemy dostać za czterdzieści tysięcy.
- Czterdzieści tysięcy koron! - wykrzyknął Rickard. - Czyś ty zwariował? Jak...?
- Może opuści do trzydziestu sześciu czy trzydziestu siedmiu. Jeśli zapłacimy gotówką. W zaokrągleniu dwanaście tysięcy na parę. Chociaż myślałem sobie, że moglibyśmy zacząć od piętnastu tysięcy na parę jako kapitał startowy, może dwudziestu, dobrze zostawić sobie mały margines... założymy firmę, a letnią podróż odliczymy sobie oczywiście od podatku. Co ty na to?
- Co ja na to? - odpowiedział Tomas, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu. - Ja na to, że Anna i ja możemy chyba uciułać tysiąc pięćset, jeśli się trochę wytężymy. Boże kochany, piętnaście tysięcy.
Tomas oparł się na łokciach i nachylił nad stołem. Wlepił spojrzenie w Rickarda i wyglądał jak kot, któremu udało się zapędzić ofiarę w kąt.
- Pożyczka - powiedział. - Słyszałeś o czymś takim?
Rickard pokręcił głową.
- Pożyczka? Który bank da nam pożyczkę, jak ci się wydaje?

Biednym studentom, żyjącym na makaronie i blodpuddingu.
- Nie ma problemu. Nasi rodzice mogą podżyrować.
- Co?
- To zwykła formalność. Skoro żadne z nas nie ma co zastawić... tak mi się przynajmniej wydaje... potrzebne jest poręczenie. To tylko podpis na papierze, nic więcej. Nie muszą, rzecz jasna, płacić ani grosza.
- Zdaje się, że nie pomyślałeś, że kiedy się pożycza, trzeba oddać.
- Ha, ha. No tak. Ale zaczyna się dopiero po dwunastu albo osiemnastu miesiącach. Możemy wziąć pożyczkę na dziesięć lat, wtedy spłaty nie są szczególnie wysokie. A pieniądze zarobimy, uwierz mi, bracie.
Rickard siedział przez chwilę zamyślony. Tomas odchylił się do tyłu, wypił łyk kawy i czekał.
- Nie wiem - powiedział w końcu Rickard. - Nie spodziewałem się tego. Pewnie, że podróż po wschodniej Europie to fajny pomysł, ale...
- Ja zajmę się stroną praktyczną - zapewnił Tomas. - Nie musisz się martwić tym, że będzie mnóstwo roboty. Później, jesienią, chciałem pojechać do Norrlandii... albo do Góteborga.
- Pojechać do...?
- Wyjazdy pod koniec tygodnia. Studenci, którzy chcą pojechać na weekend do domu. Trasą E4 do Luleâ, czy coś takiego. Mogą wysiadać po drodze w miejscowościach,
w których mieszkają. Może zresztą zdążymy zrobić kilka rundek jeszcze przed latem. W piątek po południu z Uppsali, w niedzielę wieczorem z powrotem z Norrlandii. Niskie ceny. Albo, tak jak mówię, do i z Góteborga, choć bardziej obstawiam Norrlandię... połowa ceny biletu kolejowego, jasne jak cholera, że będziemy mieli chętnych. Trzeba się tylko zareklamować... w „Ergo” i w tych innych piśmidłach.

No i oczywiście w korporacjach.
- A wtedy następnego lata Europa?
- Tak, jedno albo dwa kółka. Niskobudżetowo... dla takich jak my. Studentów i innych biedaków, którzy chcą zobaczyć kawałek świata. Innymi słowy, dla całej tej pieprzonej lewicy, oni tylko czekają, by zobaczyć, jak wygląda prawdziwy socjalizm. Praga pięć lat po wejściu wojsk radzieckich, kto by nie chciał tego zobaczyć? Bułgarskie eldorado! Choć najpierw oczywiście lato w autobusie, całą paczką, nie mogę się doczekać. Moglibyśmy pojechać pod koniec lipca, wypić zimne piwko w Budapeszcie, to chyba niezły pomysł? I kolejne w Sofii.
Roześmiał się. Rickard też. Branża turystyczna? - pomyślał. Autobusem po Europie? No, dlaczego by nie? Jeżeli rzeczywiście nie trzeba zbytnio się wysilać, a przy tym można zarobić parę groszy. Zobaczyć kawałek świata.
- Ja mam prawo jazdy na autobus - powiedział Tomas.
- Jeżeli ktoś z was też sobie wyrobi, nie będziemy musieli nawet zatrudniać kierowcy. Na długich trasach musi być dwóch... jeśli się wiezie pasażerów. O zbliżającym się lecie nie mówię. Jestem gotów prowadzić całą drogę.
- Muszę o tym porozmawiać z Anną - powiedział Rickard. - Co na to Gunilla?
- Chyba się zgodzi. Choć jeszcze z nią o tym na poważnie nie rozmawiałem.
- Rozumiem - odparł Rickard.
- Okej - rzekł Tomas.
Przez dziesięć sekund w milczeniu zajadali babeczki.
- Muszę, zdaje się, dać znać w sprawie autobusu do soboty - odezwał się Tomas.
- Do soboty? Czyli na zastanowienie mamy trzy dni? Tomas wzruszył ramionami.
- Boję się, że dziadzio ma innego chętnego - powiedział.
- Więc byłoby dobrze.

Rickard spojrzał na zegarek.
- No dobra. Dziś wieczorem pogadam z Anną. Muszę lecieć na seminarium.
- Do usłyszenia - powiedział Tomas. - Nie musisz się o nic martwić. To po prostu dobra okazja.
- Nie martwię się - odparł Rickard.
Postawił kaptur i wyszedł.
Przyjęła to z większym entuzjazmem, niż się spodziewał.
O ile „entuzjazm" był w ogóle dobrym słowem w odniesieniu do Anny. Nie spodobała mu się ta myśl, ale przyszła mu do głowy mimo woli i bez wysiłku odpędził ją od siebie. Była to kwestia osobowości, nic, co można by krytykować albo próbować poprawiać. Poza tym sam też taki był, czyż nie? Rzadko lub wręcz nigdy nie pragnął tej intensywności i silnych doznań - odurzenia - za którym najwyraźniej uganiało się tylu ludzi, zwłaszcza młodych. Polowanie na ekstazę. To pewnie dlatego się narkotyzują, pomyślał Rickard. Sam nigdy nie czuł w tę stronę najmniejszych ciągot, alkohol i tytoń, co prawda, owszem, ale tu przebiegała granica.
Nawet kiedy się kochali, Anna nie robiła zbyt wiele hałasu i później musiał najczęściej pytać, czy było jej dobrze, czy nie. Dwa razy na trzy było, ale nigdy nie wiedział, kiedy to następuje.
Kiedy więc teraz - prawie bez zastanowienia - pozytywnie odebrała autobusowy pomysł Tomasa, był, delikatnie mówiąc, zaskoczony. Nie zaczęli nawet jeszcze układać planów na lato, żadnych ponad to, że oboje - z konieczności
- chcieli trochę popracować. Rickard zdał sobie sprawę, że jego własne wahanie w dużej mierze wynikało z obawy, że Anna się nie zgodzi. Z obawy, że będzie to dla niej zbyt ryzykowne, zbyt drogie czy zwyczajnie nieciekawe, żeby tak po prostu przez pół lata jeździć w tę i we w tę autobusem, a później jeszcze być związanym pożyczką i firmą - czy to nie właśnie ta oczekiwana odmowna reakcja tłumiła jego

entuzjazm?
Tak to jednak musi być w związku, pomyślał. Nie rozważa się wszystkiego tylko z własnego punktu widzenia, zawsze bierze się pod uwagę również ten drugiej osoby.
Kiedy zaś od razu się zgodziła, zrobiło mu się trochę wstyd za siebie.
- Też myślę, że to ciekawy pomysł - powiedział. - Pierwszą połowę lata oboje możemy przepracować, drugą spędzimy w Europie Wschodniej.
- Choć jeśli chodzi o tę pożyczkę... - odparła, przygryzając wargę. - Nigdy nie przekonam moich rodziców, żeby podpisali ten papier. Kto innym jest dłużny, nie jest wolnym człowiekiem, tata wyryje to sobie na nagrobku. Już i tak się złości, że wzięłam pożyczkę studencką.
- Nie ma problemu - zapewnił Rickard. - Porozmawiam z mamą, wszystko się ułoży.
Z mamą porozmawiał jeszcze tego samego wieczoru i rzeczywiście wszystko się ułożyło.
Jedynym problemem było to, że trochę ją okłamał, wiedział jednak, że było to konieczne. Podżyrowanie pożyczki synowi nie stanowiło dla niej żadnego problemu, wręcz przeciwnie, jednak pożyczka na autobus to już inna sprawa.
Wyjaśnił więc, że chodzi o mieszkanie. W jakiś niejasny sposób udało mu się chyba skłonić ją, by uwierzyła, że spodziewają się powiększenia rodziny i dlatego potrzebują większego mieszkania. Mama nigdy ich nie odwiedzała; ani na Väktargatan, ani w ogóle w Uppsali, nie poznała Anny, było jednak dla niej oczywiste, że trzeba pomóc im na starcie, skoro teraz potrzebują domu z prawdziwego zdarzenia.
Nie finansowo, ponieważ pieniędzy nie miała, ale podpis na papierze nic nie kosztuje.
Tak matka, jak i syn, bez jakichś konkretnych ustaleń, nadmienili jeszcze, że niedługo można by się spotkać we

trójkę. Naprawdę, tylko tego brakowało.
Rozmowa nie trwała dłużej niż pięć minut. Jak zwykle po odłożeniu słuchawki miał wyrzuty sumienia, tym razem dodatkowe, ponieważ powiedział nieprawdę. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że i jej zależy na utrzymaniu dystansu, i wydawało mu się, że też ma z tego powodu wyrzuty sumienia.
Ja i moja matka, pomyślał. Dwoje obcych ludzi tej samej krwi.
Anna wyczarowała jednak do sosu bolońskiego butelkę wina Parador i w obojgu zrodziło się oczekiwanie innego rodzaju. Kiedy nieco później tego samego wieczoru się kochali, nie miał wątpliwości, że miała orgazm, nie musiał pytać.

30

Gunnar Barbarotti spotkał się z Tomasem Wincklerem w hotelu Gothia w Göteborgu zaledwie trzy godziny po rozmowie z Rickardem Berglundem w Kymlinge. Winckler był w mieście w interesach i zatrzymał się w Gothii, siedzieli w restauracji na dwudziestym trzecim piętrze, każdy nad swoim kwadratowym talerzem skorupiaków, i oglądali zmierzch, który Barbarottiemu przypominał skrzydła muchy plujki. Nie tyle zmierzch, co jego barwa, połyskująca w dziwny, przydymiony sposób, Barbarotti uznał, że powodem są zanieczyszczenia oraz brudne latarnie.
Tomas Winckier nie wyglądał ani na zanieczyszczonego, ani na brudnego. Przeciwnie, lśnił, jakby dopiero wyszedł spod prysznica. Mógł mu poświęcić godzinę, później miał służbową kolację.
Chętnie jednak porozmawia z inspektorem Barbarottim dłużej w przyszłym tygodniu, jeśli będzie taka potrzeba. Oczywiście. Historia Germunda Grootha jest, delikatnie mówiąc, bardzo dziwna. Rozmawiali o tym z żoną wiele godzin.

- I do czego doszliście? - zapytał Barbarotti, nabijając na widelec krewetkę.
- Co można o tym myśleć? - powiedział Winckier. Wzruszył ramionami i zaczął udawać namysł. - Germund zawsze był oryginałem, ale że skończy w ten sposób, tego mimo wszystko nikt nie mógł przypuszczać.
- Naprawdę? - odparł Barbarotti. - To wszystko, do czego państwo doszli? Pan i pańska żona?
Barbarotti poczuł nagły przypływ antypatii. W dobrze skrojonym garniturze Wincklera i tej jego utrzymującej się opaleniźnie było coś, co go drażniło. Denerwowała go jego delikatna pewność siebie i zawodowa uprzejmość. Dlaczego na przykład mieszka w hotelu Gothia, skoro piętnaście-dwadzieścia kilometrów stąd jest jego dom? Pokój w takim miejscu jak to kosztuje na pewno drożej niż taksówka, myślał Barbarotti, czekając, aż jego towarzysz przy stole pochłonie kawałek homara i sformułuje odpowiedź. O wiele drożej.
- Właściwie tak - odparł Winckier. - Nie kontaktowaliśmy się z nim za często przez te lata. Jak pan wie, odwiedził nas kilka miesięcy temu w towarzystwie pewnej kobiety, Dunki, zapomniałem, jak się nazywała... ale to naprawdę był jednorazowy przypadek. Spotykaliśmy się z nim w czasie studiów, ponieważ był z moją siostrą. Kiedy umarła, kontakt nam się urwał. Tak czy owak, nie mamy oczywiście pojęcia, dlaczego zdecydował się zakończyć życie w wąwozie Gåsa.
- Sugeruje pan, że sam to wybrał?
- Czy jest jakieś inne możliwe wytłumaczenie?
Barbarotti nie był w stanie stwierdzić, czy w głosie Wincldera jest choć odrobina szczerego zdziwienia. Może i tak, ale irytacja zmąciła mu osąd.
- Nie brakowało dziwnych okoliczności.
- Okoliczności? - zapytał Winckler. - Jakich okoliczności?
- Nie mogę się wdawać w szczegóły. Ale trzydzieści pięć lat

temu było przecież tak samo. Kiedy zginęła pańska siostra... nie było zupełnie jasne, jak to się stało, prawda?
Iwarz Tomasa Wincklera zyskała nowy, ostrzejszy wyraz.
- Czego pan właściwie szuka?
Barbarotti nabił na widelec kolejną krewetkę.
- Prawdy - powiedział, usiłując nadać głosowi swobodny ton. - Niczego innego. Uważam, że oba przypadki śmierci są osobliwe. Czytałem choćby zapis rozmowy, jaką odbył z panem Sandlin w 1975 roku. Mówi pan, że jest przekonany, iż Maria nie odebrała sobie życia... równie pewien był pan tego, że nikt jej nie zepchnął. Skąd taka pewność w obu tych kwestiach?
Przez kilka długich chwil Winclder przypatrywał mu się w milczeniu. Okręcił parę razy swój wielki zegarek wokół nadgarstka. Rolex, ocenił Barbarotti. Z pół kilo.
- Ponieważ wszystko inne jest nie do pomyślenia - odezwał się w końcu. - Zupełnie nie do pomyślenia.
- Także to, że mogła odebrać sobie życie?
- Dlaczego miałaby to zrobić?
Barbarotti spojrzał przez okno na miasto.
- Ludzie to robią. Każdego dnia. I najczęściej jest to zaskoczeniem dla najbliższych.
Tomas Winclder nie skomentował tych słów.
- Ale pan nie wierzy również w to, że ktoś ją mógł zepchnąć?
- Oczywiście, że nie. To absurdalny pomysł.
- I fakt, że w tym samym miejscu trzydzieści pięć lat później znaleziono ciało jej narzeczonego, nie skłania pana do zmiany opinii?
Tomas Winckier wypił łyk białego wina.
- Nie. On chciał umrzeć tam, gdzie umarł. Proszę mnie nie pytać dlaczego.
- Kiedy odwiedził państwa razem z tą Dunką, czy było coś, co wskazywałoby na to, że ma depresję?

- Nie. Jak mówiłem, rozmawialiśmy o tym z żoną. Był trochę dziwny, ale zawsze taki był. Posępny i dziwny.
- Posępny i dziwny?
- Tak, coś w tym stylu.
Barbarotti westchnął w duchu i zmienił temat.
- Zastanawiałem się co nieco nad waszą grupą. Wasza szóstka często spędzała razem czas... znaliście się na wylot... a po tym, co stało się z Marią, przestaliście się spotykać. Czy tak było?
- Mniej więcej. Nie powiedziałbym jednak, że znaliśmy się na wylot. Kilkoro z nas może i tak. Ja i Rickard... na początku.
- Na początku?
-Tak.
- Ale byliście stałą ekipą w Uppsali?
- Przez kilka lat tak.
- Wszyscy wyjechali z Uppsali mniej więcej w tym samym czasie, prawda?
Winckier odchylił się do tyłu i zamyślił się.
- Tak jak mówię, mniej więcej. Ale to przecież normalne. Studiuje się kilka lat i idzie dalej. Przeprowadziliśmy się z żoną do Góteborga w sierpniu 1974, Rickard zaczął chyba pracować jako pastor wiosną 1975... a Maria z Germundem przeprowadzili się do Kymlinge jesienią tego samego roku. Oboje dostali pracę jako nauczyciele, jakiś miesiąc przed tym wydarzeniem.
- Pan pracuje w branży turystycznej, prawda?
Winckler skinął głową.
- Mam tu informację, że już w 1972 roku założył pan biuro podróży. A w 1974 zbankrutował. Zgadza się?
Winckler się roześmiał.
- Owszem. To było tylko takie studenckie przedsięwzięcie. Chcieliśmy pojeździć trochę po Europie Wschodniej, to było wówczas popularne. Również tanie przejazdy w Szwecji...

ale zgadza się, po dwóch latach splajtowaliśmy.
- Straciliście dużo pieniędzy?
- Trochę. Niezbyt dużo.
- Ale pracował pan dalej w tej samej branży?
- Kilka lat pracowałem w banku. Później założyliśmy Biuro Podróży TW Rozrosło się przez lata.
Uśmiechnął się jak człowiek zasłużonego sukcesu. Skromnie, choć nie bez dumy. Gunnar Barbarotti wypił łyk wody i spojrzał w stronę baru, gdzie dwie długonogie kobiety właśnie dostały po czerwonym drinku ze słomką. Nie lubię ludzi, którym się powiodło, pomyślał. Taka jest smutna prawda.
- Powiedział pan, że Germund Grooth był oryginałem. Czy może pan to rozwinąć?
Winckler spojrzał na roleksa, jakby decydował, czy poświęcić jeszcze trochę czasu na mały wywód.
- Zawsze był inny - powiedział. - Gunilla i ja już wtedy tak uważaliśmy. Bez trudu mogę sobie wyobrazić, że z biegiem lat zdziwaczał, przebywanie wśród ludzi było dla niego trudne. Nie miał zresztą, moim zdaniem, takiej potrzeby. Rzecz jasna piekielnie zdolny, mógł pewnie daleko zajść w świecie nauki, ale tu może też czegoś mu brakowało... nie wiem. Choć był interesujący, nie da się zaprzeczyć. **I** w pewien sposób pasowali z Marią do siebie... ona też była niezwykłą osobą.
- Niezwykłą? - zapytał Barbarotti.
- Trudno ją opisać. W końcu była moją siostrą, byliśmy sobie bardzo bliscy... tak, była szczególna, bez wątpienia.
Szczególna? - pomyślał Barbarotti z irytacją. Czy nie potrafisz znaleźć lepszych słów na opisanie swojej zmarłej siostry?
- Kiedy spotkaliście się tego wieczoru na plebanii. Dzień przed wypadkiem... to nie było zwykłe spotkanie, prawda? To było też coś innego?

Barbarotti strzelił na oślep, Winckier jednak nie ustąpił pola.
- Coś innego? - powiedział, niewinnie unosząc brwi. - Nie rozumiem, co pan ma na myśli.
- Czytałem wszystkie przesłuchania inspektora Sandli- na - odparł Barbarotti. - Jest w nich trochę niejasności.
Co ja chrzanię, do cholery? - pomyślał. Na pewno wie, że blefuję.
Tomas Winckier zastanawiał się kilka chwil.
- Nie wiem, o jakich niejasnościach pan mówi. To była zwykła kolacja. Może nieszczególnie udana, ale przynajmniej próbowaliśmy znów się spotkać całą paczką. Nie widzieliśmy się przez rok, czy ile to tam było.
- Czy po wszystkim spotykaliście się jeszcze? Chodzi mi o tę piątkę, która została.
- Nie, całą piątką nie. Pamiętam, że któregoś razu spotkaliśmy tu w mieście Berglundów, było to chyba z pół roku później. I jeszcze raz czy dwa razy jedliśmy wspólnie kolację... ale to było dawno temu. Tak się złożyło, że nie utrzymywaliśmy kontaktu.
- Ale pan i Rickard byliście w Uppsali dobrymi przyjaciółmi?
Winclder kiwnął głową z poważnym wyrazem twarzy.
- Bardzo dobrymi. Byliśmy razem w wojsku, tak jest, Rickard i ja byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi.
Barbarottiemu wydało się, że słyszy w jego głosie tęsknotę. Coś zostało utracone i Tomas Winckier żałował, że tak się potoczyło.
- Dlaczego przestaliście się spotykać? Musiał chyba być jakiś powód?
Tomas Winckler potrząsnął głową.
- Właściwie to nie wiem. Moja żona Gunilla i Anna Berglund chyba nigdy nie miały wiele wspólnego. To raczej Rickard i ja trzymaliśmy to wszystko razem. Germund w jakiś

sposób stał zawsze trochę z boku, ale Maria była moją siostrą, a przez te wszystkie lata... no, po prostu to, że się ze sobą trzymaliśmy, było naturalne. Czy nie tak właśnie wygląda życie? Niektórych przyjaciół zachowujemy, innych tracimy po drodze.
Gunnar Barbarotti przyglądał się chwilę muchoskrzydłemu niebu.
- Jak dawno temu kontaktował się pan z Rickardem Beiglundem?
- Wysyłamy do siebie czasem maile - odparł Tomas Winckler. - Kilka razy w roku. Wiem, że Anna ma raka, zostało jej już chyba niewiele czasu... Maila od Tomasa dostałem na początku sierpnia, odpisałem właściwie od razu.
- A czy ma pan jakiś kontakt z Elisabeth Martinsson?
- Kto to taki?
Kolejny raz nie potrafił rozstrzygnąć, czy zdziwienie jest szczere, czy udawane.
- Elisabeth Martinsson trzydzieści pięć lat temu pojechała z wami na grzyby, chyba pan to pamięta?
- Aha, więc tak się nazywała. Nigdy się z nią nie widziałem, ani przedtem, ani potem.
- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Co robił pan w ubiegłą sobotę między godziną dwunastą a szesnastą?
- Słucham?
- Pytam, co pan robił w sobotę po południu.
Tomas Winckler wypił łyk wody i jeszcze raz zakręcił roleksem.
- Po jakie licho chce pan to wiedzieć?
- Rutyna - wyjaśnił Barbarotti. - Nie chciałbym czegoś zaniedbać.
- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedział Tomas Winckier.
- Ale może mimo to mógłby pan odpowiedzieć na moje pytanie. A więc w zeszłą sobotę?

Winckier zastanawiał się pięć sekund.
- Rano grałem w golfa. Po południu byłem chyba w domu.
- Czy ktoś może to potwierdzić?
- A gówno - odwarknął Tomas. - Za daleko się pan teraz posunął.
Zaczął wstawać od stołu, ale Barbarotti dał mu znak ręką, by usiadł.
- Nie ma powodu się denerwować - powiedział, zmuszając się do przyjaznego uśmiechu. - Sam pan chyba rozumie, że jeśli Germund Grooth rzeczywiście został zamordowany, w naszym interesie leży ustalenie, co robili inni, kiedy się to stało.
- Zamordowany?! - wykrzyknął Tomas, opadając z powrotem na krzesło. - O czym pan, kurwa, mówi?
- To jedna z możliwości - powiedział Barbarotti. - Chyba nie sądzi pan, że badam teraz okoliczności samobójstwa?
Tomas Winckier nie odpowiadał.
- Mam więc rozumieć, że całe sobotnie popołudnie spędził pan sam?
Winckier ruszał przez chwilę ustami, ale nic nie odpowiedział. Barbarotti cierpliwie czekał, ale po trzydziestu sekundach jego towarzysz wstał, zapiął marynarkę i pewnym krokiem wyszedł z restauracji.
Ciekawe, pomyślał Gunnar Barbarotti. Choć z drugiej strony cholernie wkurzające, bo zostawił mnie samego z rachunkiem.
Ponieważ i tak musiał zapłacić sześćset sześćdziesiąt koron, został na miejscu i spałaszował sałatkę ze skorupiaków aż do ostatniego kęsa. Tymczasem zadzwonił do Marianne i powiedział, że ją kocha, że jest półidiotą, ale kocha ją tą zdrową połową, oraz że będzie w domu o wpół do ósmej i chętnie ugotowałby całej ekipie fantastyczną kolację, ponieważ wreszcie nastał piątkowy wieczór. Gdyby tylko kupiła składniki, a cała ekipa mogła na niego poczekać.

Marianne odpowiedziała, że ona też go kocha, jakimiś sześćdziesięcioma procentami swoich zdrowych stu, i że przekaże pytanie o kolację młodzieży tego kraju, jego przyszłości.
Kiedy chwilę później przecinał hotelowy hol, trafił akurat na moment, kiedy Tomas Winckler wyprowadzał frontowymi drzwiami jakąś otuloną futrem kobietę, zrozumiał wtedy, że odpowiedź na pytanie, dlaczego nie pojechał taksówką do domu po służbowej kolacji w Göteborgu, najprawdopodobniej była prostsza, niż sądził.
Proszę, proszę, pomyślał inspektor Barbarotti. Nie sądziłem, że ten Armani skrywa takiego skurczybyka.
Choć może akurat Armani jest wyróżnikiem wszystkich skurczybyków na świecie? Ich wizytówką? Chyba już pora zrobić duży krok w tył i opuścić nęcącą krainę uprzedzeń.
Wracając samochodem do Kymlinge, zdał sobie sprawę, że nie zapytał Rickarda Berglunda o alibi na rzeczoną porę dnia. Tomas Winckler rano najwyraźniej grał w golfa, co robił później, nie było jasne. Dokładnego czasu zgonu Germunda Grootha nie można było określić, na pewno była to sobota 25 września, między dwunastą a szesnastą; obducent Ritzén twierdził, że bardziej się tego interwału zawęzić nie da. Dziś był piątek 1 października. Barbarotti zdał sobie sprawę, że minął prawie tydzień, pracowali nad tym pięć dni i, mówiąc szczerze, nie poczynili zbyt wielu spostrzeżeń mogących wskazywać na to, że fizykowi z Lund ktoś pomógł spaść w dół urwiska.
Być może pojawiły się kolejne znaki zapytania i wątpliwości, ale tak jest zawsze, kiedy zaczyna się zadawać ludziom pytania. To, że napotyka się wtedy taką czy inną niejasność, taką czy inną przesadzoną reakcję albo też kogoś, kto wyprowadza z hotelu nieznaną kobietę, nie znaczyło, że jest się na tropie sprawcy. Co to, to nie.
Określenie „sprawca” zakłada zresztą, że zostało popełnione

przestępstwo, gdy tymczasem po usunięciu wszystkich nieistotnych dla sprawy sprzeczności nie pozostawało nic, co mogłoby na to wskazywać.
Jeśli, jako się rzekło, mamy być zupełnie szczerzy.
Tak czy inaczej, był piątkowy wieczór. Zdecydował, że od tej chwili zaczyna się weekendowe odprężenie i aż do poniedziałkowego ranka nie poświęci ani jednej myśli Germundowi Groothowi, wąwozowi Gåsa czy dawnym losom i przygodom swojej żony.
Z tą przeklętą grupą coś jednak było nie tak, musiał to przyznać. Jak tylko znów siądzie za biurkiem na komisariacie w Kymlinge, zajmie się tą kwestią.
I oczywiście kwestią alibi pozostałych. Miał nadzieję, że Eva Backman z asystentami dowiedziała się już co nieco na ten temat. Chyba jest szansa, że jej podróż do Skanii cokolwiek przyniesie?
Najpierw jednak weekendowe odprężenie. Na początek Lucilio de Carmo i pięćdziesiąt minut fado. Potoczysty smutek po portugalsku.

31

Maria. Wróbel.
Lipiec 1972 roku. Sześć tygodni przepracowałam w Profeten, dzisiaj był ostatni wieczór i naprawdę czas najwyższy. Nie wytrzymam już dłużej z tymi jurnymi samcami, którzy z jakiegoś powodu potrafią siedzieć tam każdego wieczoru, żłopać piwsko, podnosić głos i patrzeć mętnym wzrokiem. Większość z nich to nie studenci, studenci wrócili do domów w Bollnäs, Piteå czy Katrineholm. Miasto jest puste jak po wojnie nuklearnej i ci nieszczęśnicy, którym nie udało się uciec przed radioaktywnymi opadami, gromadzą się w Profeten. Tam za barem stoi Wróbel i nalewa im pienistego piwa, żeby powoli i metodycznie mogli zatroszczyć się o to, by nieliczne szare komórki, jakie im pozostały, zapadły w

śpiączkę w oczekiwaniu na ostateczną zagładę. Kurwa mać, jak ja ich nienawidzę. Wiem, że powinno mi raczej być ich żal, ale tak nie jest.
Germund zajmuje się naprawą i przemalowywaniem rowerów w sklepie przy Övre Slottsgatan; rowery są najprawdopodobniej kradzione albo przynajmniej wyłowione z Fyrisån, ale gówno nas to obchodzi. Trzeba brać, co dają, on ma poza tym jeszcze stypendium i pieniądze po rodzicach, więc nie możemy narzekać. Dajemy sobie radę. Ja się nie skarżę, czuję się tylko zmęczona w głębi tego, co kiedyś było moją duszą.
A jutro wyruszamy. Będzie cholernie klawo, na początku, kiedy mój cudowny braciszek wyskoczył z pomysłem na firmę autobusową, pomyślałam sobie, że to najbardziej durnowaty pomysł, jaki kiedykolwiek słyszałam, nawet od niego, ale teraz muszę powiedzieć, że zmieniłam zdanie. W spółce jest trójka udziałowców; Tomas i Gunilla mają pięćdziesiąt jeden procent, a Germund i ja oraz Rickard i Anna po dwadzieścia cztery i pół. Tomas, rzecz jasna, chce mieć nad wszystkim kontrolę, ale nie obchodzi mnie to. Oni weszli z dwudziestoma sześcioma tysiącami, zaś my i Berglundowie (dwa tygodnie temu wzięli ślub i teraz mają to samo nazwisko) wnieśliśmy po dwanaście i pół.
Można zatem powiedzieć, że Germund i ja posiadamy wspólnie ćwierć autobusu. Kosztował trzydzieści osiem tysięcy, Tomas wyłożył dwa na naprawy i mamy jedenaście tysięcy kapitału. Te wszystkie liczby znam tak dobrze, ponieważ wczoraj przy Sibyllegatan mieliśmy firmowe spotkanie i Tomas omówił wszystkie warunki w najdrobniejszych szczegółach. Nasz firmowy autobus jest żółto-zielony, Tomas wykręcił mnóstwo siedzeń i założył oddzielające firanki i inne rzeczy żeby każdy miał swój przedział, kiedy będziemy się wozić po Europie. Choć kiedy zaczniemy na poważnie przewozić ludzi, będzie musiał oczywiście wkręcić

siedzenia z powrotem. Na razie leżą w jakiejś skrzyni w Lurbo, mój brat wszędzie ma kontakty.
Założenie jest takie, że nie będzie nas pięć tygodni. Wrócimy w weekend tuż przed rozpoczęciem zimowego semestru; dawno już się na nic nie cieszyłam tak, jak na tę podróż. Mimo iż wiem, że ma to głównie związek z Profeten
I piwnymi bęcwałami. Z tym, że w końcu się stąd wyrwę.
Ze w końcu na trochę wyrwę się z Uppsali. Germund cieszy się równie mocno, jak ja, choć nie potrafi ubrać tego w słowa. Widzę to jednak po nim. Nauczył się całej fizyki, jakiej tylko mógł; jego profesor chce, żeby zaczął studia doktoranckie, ale Germund mówi, że najpierw musi przyswoić sobie trochę więcej matmy. Matmy i filozofii teoretycznej, będzie się tym zajmował jesienią. Ja będę kontynuowała literaturoznawstwo, połowa semestru jest przeznaczona na pisanie pracy, chciałabym pisać z Celine'a, ale woleliby, żeby wybrać coś szwedzkiego. No to w takim razie Dagerman, choć decyzję muszę podjąć dopiero jesienią.
Nadal dobrze mi się mieszka z Germundem, zaczynam wierzyć, że ma to coś wspólnego z tym, że na każdym z nas ciąży jakieś piętno. Oboje jesteśmy uszkodzeni, on oczywiście bardziej niż ja, on stracił rodzinę, mnie tylko od uderzenia w głowę zmieniła się osobowość. To jest pewna różnica, ale też zasadnicze podobieństwo, na którym bazujemy. Czasem przyglądając się sobie przy śniadaniu, czujemy, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy.
- Cześć, mała - mówi wtedy na przykład. - Jak się nazywasz i jak się tu, kurwa, dostałaś?
Odpowiadam po francusku. Mówię, że nie zdradzam swojego imienia i nazwiska obcym i jeżeli w tej chwili nie opuści mego domu, zadzwonię po gliny.
Les flics.
Tak, z Germundem naprawdę łatwo zacząć znów od początku, nie wiem, czy inni to rozumieją, ale to naprawdę

zaleta, jakich mało. Poza tym szybko się podnieca, kiedy mówię po francusku, to kolejny plus. Seks mamy tak udany, że moglibyśmy napisać podręcznik.
Rickard i Anna wzięli ślub kościelny, ale tylko w bocznej kaplicy katedry. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobili to akurat teraz; może ona jest w ciąży, w podróży pewnie się okaże. Potem była kolacja w Skaris: ci, co zawsze, plus najbliższa rodzina. Mama Rickarda, rodzice i bracia Anny. Ciekawa z nich gromada, jeśli mam być szczera, ale po dwóch godzinach było po wszystkim i nie doszło do rozlewu krwi, jak to podsumował Germund w swojej dziękczynnej przemowie. Nikt go nie prosił, by zabierał głos, ale był trochę wstawiony i uznał, że będzie dobrze, jeśli doda coś od siebie. Szczególnie ojciec Anny wyglądał na niezbyt zadowolonego.
Gunilli jest ciężko od czasu tego poronienia jesienią zeszłego roku. Kilka miesięcy leżała w Ulleråker, ale od stycznia jest w domu. Ni cholery się nie uczyła, snuła się tylko po mieszkaniu jak jakieś smutne zombie; próbowałam z nią porozmawiać, choć nie lubię pomagać ludziom w ten sposób. Nie ulega jednak wątpliwości, że stała jej się krzywda, zobaczymy, jak będzie się zachowywała podczas podróży. Jeżeli o kogokolwiek się obawiam, to właśnie o Gunillę, dziewczyna jest w rozsypce, a trzeba mieć nieco grubszą skórę, żeby wytrzymać pięć tygodni spędzonych z pięcioma innymi osobami w autobusie. I w kilku socjalistycznych arkadiach.
Kilka dni temu Germundowi znów przyśnił się dziwny koszmar. Nie wiem, o co dokładnie chodzi, bo nie lubi otym mówić. Obudziłam się i zobaczyłam, że siedzi na łóżku i coś tam mamrocze, na początku myślałam, że to jakiś wzór fizyczny, nie dało się tego zrozumieć, i dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że mówi przez sen. Naraz wstał, przeszedł przez pokój i huknął głową o futrynę. Kilka razy, cały czas odklepując tę dziwaczną formułę. Następnie stanął

na środku pokoju z rękoma głupio zwisającymi wzdłuż tułowia i nadal międlił, ale mimo że powtarzał z grubsza te same słowa, nie potrafiłam zrozumieć żadnego z nich, nic a nic. Nie jestem nawet pewna, czy mówił po szwedzku. Stał tak może z pół minuty, potem zwinął się na podłodze i zaczął kwilić. Nie znajduję na to lepszego określenia niż właśnie kwilenie, i kiedy również i to potrwało jakąś chwilę, zdecydowałam, że chyba czas go obudzić. Najpierw powiedziałam jego imię i trochę nim potrząsnęłam, ale to nic nie dało, więc poszłam do kuchni, wzięłam szklankę wody i wylałam mu ją na głowę.

Obudził się natychmiast, przyjrzał mi się i zapytał, który mamy rok.

Właśnie tak, zapytał, który mamy rok. Dwukrotnie, za drugim razem głośno i jakby z irytacją. Przez chwilę myślałam, że oszalał, że coś mu się zepsuło w głowie, może przez tę wodę, bo ja wiem, tak się rozsadza skały, ogrzewając je, a potem nagle schładzając, ale po chwili zamrugał kilka razy, odchrząknął i poszedł do łazienki.

Siedział tam dziesięć minut, po czym wrócił, przeprosił i powiedział, że miał zły sen. Zapytałam, czy pamięta, że siedział na łóżku i mamrotał, a potem uderzał głową o futrynę, ale powiedział, że niczego takiego sobie nie przypomina. Powiedział, że znalazł się na sali przesłuchań w czasie wojny i jedyne, co zdradził, to nazwisko i stopień, tak jak trzeba. Poddawano go okrutnym torturom, ale on powtarzał tylko to jedno, w kółko i w kółko.

Nie jestem pewna, czy mówił prawdę. Potrafię sobie wyobrazić, że wymyślił ten sen, siedząc w toalecie. Było coś takiego w sposobie, w jaki o tym mówił. Jeśli kiedyś jeszcze zdarzy mu się coś podobnego, przycisnę go trochę mocniej, teraz nie byłam w stanie. Pracę za barem skończyłam dopiero po północy i nie spałam dłużej niż godzinę.

Zasnęliśmy ponownie i więcej o tym nie rozmawialiśmy.

32

Do mieszkania przy Prennegatan weszli dziesięć po dziewiątej rano. Był piątek 1 października, a pogoda zmieniła się w coś, co według Backman przypominało babie lato. Myśl, żeby pojechać do Kopenhagi i odszukać Kristin Pedersen, powróciła, kiedy jeszcze jadła śniadanie w hotelu, ale Backman wiedziała, że więcej ma to wspólnego z ciepłym wiatrem i niebieskim niebem niż z samym śledztwem. Porcja mięsa i kieliszek czerwonego wina w którejś z knajp w okolicach Gråbröd fre torv wieczorem po dobrze wykonanej pracy - oto co najwyraźniej jej się marzyło.

I powrót do domu w sobotę, synami miała się zająć dopiero w niedzielę, był więc czas.

Wczorajsza kolacja z inspektorem Ribbingiem (na imię miał Gustaf) była przyjemna, może to ona zaostrzyła apetyt. Możliwe, że trochę do niej uderzał, ale był od niej co najmniej dziesięć lat młodszy i nie zachęcała go. Była po prostu ogólnie życzliwa i pozytywnie nastawiona. Wypiła dwa kieliszki Sancerre do soli i trochę Muscatu do crerne brulé, kapkę się wstawiła, ale tylko kapkę. Próbowała zapłacić za siebie, ale się nie zgodził. Rozstali się na Grönegatan koło Concordii tuż przed jedenastą.

Szybki uścisk, to wszystko. Ani odrobiny owego przedłużonego kontaktu wzrokowego z wiszącym w powietrzu pytaniem.

Tak to teraz jest z moim życiem miłosnym, pomyślała przed zaśnięciem. Nie istnieje.

Na Prennegatan towarzyszył im z kolei niejaki inspektor Larsson.

Dwa pokoje z kuchnią. Sypialnia z pracownią. Duży pokój z Bang-Olufsenem i piętnastoma tysiącami książek. Oprócz regałów mebli niewiele; szklany stół i dwa rurkowe fotele, trochę fikuśne. Mały balkonik. Inspektor Larsson poinformował, że dom wybudowano w 1936 roku i należy

do spółdzielni. Mieszkań jest w sumie szesnaście, mieszkanie Grootha na drugim piętrze jest jednym z najmniejszych. Wykupił je w 1995 roku, tym samym, w którym powstała spółdzielnia. Wcześniej wynajmował.
Mieszkanie było wysprzątane i czyste. Łóżko starannie pościelone, nic się nie walało, ani ubrania, ani gazety. Nie było nawet naczyń w zmywarce. Tylko mały stosik poczty na dywaniku w przedpokoju. Eva Backman pomyślała, że mieszkanie jest w takim stanie, w jakim chciałoby się mieć własne, ldedy wracamy z podróży.
Lub kiedy do środka ma wejść policja. Bo na przykład odebraliśmy sobie życie.
Była ciekawa, czy Ribbing pomyślał o tym samym, ale nie pytała. Tak czy inaczej, nie znaleźli żadnego listu pożegnalnego. Przy komputerze w sypialni leżał terminarz. Backman otworzyła go na właściwym tygodniu. Był tam tylko jeden zapisek, ale przez to bardziej wyrazisty.
Przynajmniej Backman tak się wydawało.

Piątek 1 października

Paryż. Kastmp 10.30

Spojrzała na zegarek i skinęła głową w stronę Ribbinga, który właśnie wszedł do pokoju.
- Spójrz na to. Za godzinę miał jechać do Paryża?
- Co? - odparł Ribbing. - Co to, kurwa, znaczy?
O tym, co to znaczy, rozmawiali przez dziesięć minut. Choć wystarczyłoby pól minuty. Przynajmniej zdaniem Backman. Po jaką cholerę rezerwować bilet do Paryża na tydzień po samobójstwie?
Ribbing i Larsson usilnie próbowali znaleźć na to pytanie sensowną odpowiedź, ale w końcu się poddali.
- Nie zabił się - podsumował Ribbing. - Musiało być inaczej.
- Tak - powiedział Larsson na wdechu, ponieważ urodził się w Skellefteå i przez trzydzieści lat nie opanował skańskiego dialektu. - Na to wygląda. O ile nie wpadł w cholernie

naglą depresję.
- Nie wpada się w depresję, kiedy za pasem ma się wyjazd do Paryża - zawyrokował Ribbing. - Czy coś jeszcze przemawia za tym, że odebrał sobie życie?
- Nic tu za niczym nie przemawia - powiedziała Eva Backman. - I to właśnie jest problem.
- Wypadek? - podrzucił Larsson.
- Jego narzeczona zginęła w tym samym miejscu trzydzieści pięć lat wcześniej - poinformowała Backman.
- O kurwa - powiedział Larsson i włożył prymkę tytoniu pod górną wargę.
Byli tam jakąś godzinę. Na chybił trafił przetrząsali szuflady i szafki w poszukiwaniu czegoś - trudno powiedzieć czego - co w jakiś sposób pomogłoby wyjaśnić, dlaczego właściciel mieszkania, sześćdziesięciojednoletni doktor habilitowany fizyki Germund Augustin Grooth, dokonał żywota w wąwozie Gåsa w Rónninge, gmina Kymlinge. Niecały tydzień temu i ponad trzysta kilometrów od domu.
Nie znaleźli zupełnie nic, skonfiskowali jednak komputer - nowy laptop, którego zabezpieczeń niestety nie udało się sforsować mimo rzekomych zdolności hakerskich inspektora Larssona - oraz terminarz. Backman przeczytała go od deski do deski, notatek w ogóle było niewiele. Kilka razy pojawiły się tam dwa kobiece imiona, Kristin i Birgitta, obok zawsze była zapisana godzina, oprócz nich w terminarzu widniało także H-G i Rex, można się było domyślać, że to koledzy Grootha z pracy A przynajmniej Backman wyciągnęła taki ostrożny wniosek.
Może w komputerze znajdzie się więcej przydatnych informacji. Cała trójka wyraziła tę optymistyczną prognozę, Backman zaś obiecała, że po lunchu zajrzy na komisariat w Lund dowiedzieć się, co i jak, i ewentualnie zabierze komputer do Kymlinge.
Następnie się rozdzielili. Ribbing i Larsson poszli na

wspomniany komisariat, Backman zaś weszła piętro wyżej I zadzwoniła do drzwi wcześniej już uprzedzonej osiemdziesięciodwuletniej pani Zetterlund.
- Nie słyszę za dobrze - oświadczyła pani Zetterlund na wstępie. - Ale widzę jak sokół i pachnę jak fiołek. Kawy?
- Poproszę - odparła Backman.
- Zoega, lubi?
- Bardzo.
-Co?
- Bardzo lubię kawę zoega - powiedziała Backman trochę głośniej.
- Miło to słyszeć - rzekła pani Zetterlund. - Lepszej kawy nie ma na północ od Brazylii, mój mąż zawsze to powtarzał. Niech siądzie w dużym pokoju, ja za momencik przyjdę.
Zanim to nastąpiło, minęło trochę czasu, jednak po pewnych wstępach, połowie filiżanki wypitej kawy i jakichś czterech lub pięciu ciasteczkach gospodyni sama przejęła inicjatywę.
- Takie nieszczęście. Pan Grooth był najlepszym sąsiadem, jakiego można sobie wyobrazić.
- Naprawdę? - odparła Eva Backman. - Chciałabym zatem zadać parę pytań dotyczących jego śmierci.
- Czy on został zamordowany?
- Zamordowany? Dlaczego pani o to pyta?
- Tyle się teraz tego widzi - powiedziała pani Zetterlund. - Co chwilę kogoś mordują. Strzelają, i w ogóle.
- Nie wiemy dokładnie, jak zginął Germund Grooth - przyznała Backman. - Dlatego też badamy tę sprawę.
- Rozumiem - odparła pani Zetterlund. - Tak czy inaczej, szkoda, że umarł. Dobry był chłop. No i doktor habilitowany.
- Hrrm - mruknęła Backman. - A czy pamięta pani, kiedy widziała go po raz ostatni?
- A kiedy umarł?

- Najprawdopodobniej w sobotę. W zeszłą sobotę.
- No tak, nie widziałam go cały tydzień - stwierdziła pani Zetterlund. - Więc to się pewnie zgadza. Ale on chyba nie...?
-Tak?
- Chyba nie leżał aż od soboty martwy w swoim mieszkaniu?
- Nie - odpowiedziała Eva Backman. - Znaleziono go gdzie indziej.
- Gdzie indziej?
- Zgadza się. Czy pamięta pani, kiedy widziała go po raz ostatni?
Pani Zetterlund odchyliła się na krześle i zamknęła oczy.
- Skupiam się - wyjaśniła.
- Rozumiem - odparła Backman i czekała.
- W ubiegły piątek wieczorem - powiedziała pani Zetterlund, otwierając oczy. - Tak, tak, właśnie, w piątek wieczorem widziałam, jak idzie do domu. Tydzień temu, tak, pamiętam.
- W piątek wieczorem - powtórzyła Backman. - I jest pani tego pewna? Przepraszam, że pytam, ale musimy...
- Jak amen w pacierzu - przerwała pani Zetterlund. - Była tu moja siostra. Zawsze spotykamy się w piątki i gramy w karcięta. Raz u mnie, raz u niej. Dziś wieczorem zagramy u niej. Jest schorowana, choć ma dopiero siedemdziesiąt siedem lat. Osteoporoza, przez cale życie miała niedobór wapnia.
- I wtedy zobaczyła pani Germunda Grootha? Grając w piątek wieczorem z siostrą w karty?
- Tak jest. Siedziałyśmy tu przed telewizorem, grałyśmy w japońskiego wista na dwóch, tak zwykle gramy, przeważnie ja wygrywam, Sylwia chyba ma za mało wapnia również w głowie... albo za dużo... tak, chyba tak. Tam jej się skumulował. No i ten Grooth przechodził tam w dole przez ulicę i wchodził przez furtkę. Powiedziałam chyba wtedy do

Sylwii, że naukowiec wraca do domu... tak, chyba tak.
- Kolo której to mogło być?
- O dwudziestej pierwszej piętnaście.
- Skąd pani to wie?
- Ponieważ oglądałyśmy ***Na tropie.*** Kończy się o dwudziestej pierwszej. Potem zrobiłam herbatę i kanapki, to zajmuje dziesięć minut... i karty były rozdane... tak, nawet nie zdążyłyśmy zacząć. Gramy do jedenastej w nocy, później dzwonię po taksówkę. Tak, przyszedł do domu o dwudziestej pierwszej piętnaście. Może kilka minut w tę czy w tamtą, to ważne?
- Niech będzie, że około dwudziestej pierwszej piętnaście - odparła Backman. - Był sam czy z kimś?
- Sam - powiedziała pani Zetterlund. - Miał tylko teczkę, o ile się nie mylę. Zawsze ją ze sobą nosi.
- Ma pani dobrą pamięć - stwierdziła Eva Backman, pijąc łyk zoegi.
- Mój jedyny feler to słuch. Ale pani mówi głośno i wyraźnie, najgorzej, jak przyjdzie taki, co mamrocze. Jakby nie chciał, żeby ludzie rozumieli, co mówi.
Eva Backman zamyśliła się.
- W sobotę nie widziała pani Grootha ani razu?
-Nie.
- Z tego co wiemy, mieszkał sam. Wie może pani, czy często miewał gości?
- W sensie baby?
- Na przykład.
Pani Zetterlund znowu zamknęła oczy Minęło pięć sekund.
- Widziałam go z kilkoma. Przez te wszystkie lata.
- Z kilkoma kobietami?
- Tak. A nie o tym mówimy?
Backman pokiwała głową.
- Jedną widziałam kilka razy. Chyba Dunka. Raz się nawet przywitała. Drugą... chyba tylko raz, wychodziła od niego z

mieszkania, kiedy przechodziłam obok. Ciemna. Na pewno nie Dunka, mała chudzinka.
- Kiedy to było?
- Z tą chudzinką?
- Tak.
Pani Zetterlund wzruszyła ramionami.
- Kilka lat temu... może trzy. Dunka była dłużej. I w ogóle jest ładniejsza. Choć na pewno dziesięć lat młodsza, choć on dobrze się trzyma. Naprawdę dobrze.
- Dziękuję - powiedziała Eva Backman. - A męskie towarzystwo? Coś pani wie?
- Chyba nie widziałam u Grootha ani jednego obcego faceta - odparła pani Zetterlund, znów po kilku sekundach z zamkniętymi oczami. - Nie, nie przypominam sobie. On był chyba raczej typem samotnika. Ale dżentelmena, to bym chciała podkreślić. Przystojny i na miejscu. Szkoda, że umarł.
Ciekawe podsumowanie Germunda Grootha, pomyślała Eva Backman, wychodząc z mieszkania przy Prennegatan. Dżentelmen, przystojny i na miejscu, tylko niestety martwy.
Jeżeli jednak było tak, jak mówiła pani Zetterlund, 24 września przyszedł do domu o dwudziestej pierwszej piętnaście. Następnego dnia, w sobotę 25 września, mniej niż dwadzieścia cztery godziny później, leżał martwy w wąwozie Gåsa koło Kymlinge trzysta kilometrów stamtąd.
Co się z nim działo w międzyczasie?
Kiedy i dlaczego pojechał do Kymlinge?
Jak?
Ale przede wszystkim - dlaczego. Jaki miał powód?
Usiadła na ławce przy deptaku. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do Smutasa.
- Masz już wykaz połączeń Grootha?
Inspektor Borgsen odparł, że tak. Listy ma zresztą w tej chwili przed sobą.

- Jest coś niezwykłego? - zapytała Backman.
- Nie wiem, co przez to rozumiesz - odparł Smutas. - Jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko ostatni tydzień jego życia, będzie w sumie jedenaście połączeń. Czyli niewiele. Nie mówię teraz o jego telefonie służbowym, tylko o domowym, stacjonarnym. Komórki nie miał. Zidentyfikowaliśmy wszystkie numery, poza jednym.
- Poza jednym? - zapytała Backman.
- Poza jednym. Ktoś dzwonił z komórki na jego numer domowy. Telefon na kartę, nie możemy namierzyć.
- Kiedy to było?
- W sobotę, o 7.22 rano - powiedział Smutas. - Rozmowa trwała około czterdziestu sekund. Dokładnie rzecz biorąc, czterdzieści trzy. Nie zachowała się, minęło zbyt dużo czasu.
- Ciekawe - odparła Backman.
- Może i tak - zgodził się Smutas. - Ale niezwykłym bym tego raczej nie nazwał.
- A pozostałe dziesięć połączeń?
- Ani jednego do osoby prywatnej. Albo od.
- Rozumiem - powiedziała Backman. - Ale i tak spojrzę, jak przyjadę. Dziękuję ci bardzo.
- Nie ma za co - odparł Smutas i odłożył słuchawkę.

Wymeldowała się z hotelu, zjadła lunch w kiosku z kiełbaskami niedaleko dworca Centralstationen i piętnaście po pierwszej spotkała się z Larssonem i Ribbingiem w gabinecie tego drugiego na komisariacie w Lund.

- Mamy dobrą i złą wiadomość - zaczął Ribbing.
- Poproszę najpierw złą - odparła Backman.
- Jeszcze nie dostaliśmy się do komputera - powiedział Larsson. - Ale to oczywiście kwestia czasu. Człowiek, który najlepiej się na tym zna, ma teraz inne zlecenie.
- Okej - powiedziała Backman. - A ta dobra?

Inspektor Ribbing odchrząknął.

- Dobra wiadomość jest taka, że znaleźliśmy Kristin Pe-

dersen. Jest teraz na Seszelach, ale w poniedziałek wraca do Kopenhagi. Możemy wtedy z nią porozmawiać, jeśli uważa pani, że to ważne.
- To niezmiernie ważne - powiedziała Eva Backman, czując nagły przypływ żalu, że podróż do Danii zniknęła z programu. - Chciałabym, żebyście to nagrali, i dobrze byłoby, gdybym najpierw mogła przesłać wam pytania.
- W porządku - odparł Ribbing. - Ma pani cały weekend na ich ułożenie. Będzie pani zabierała komputer czy my mamy się tym zająć?
Backman zastanowiła się.
- Nie da się tego wszystkiego skopiować i wysłać do nas?
Larsson wzruszył ramionami.
- Da się, oczywiście. Mamy tak zrobić?
- Tak, zróbmy tak - odparła Backman. - Pewnie tylko maile nas zainteresują, ale wyślijcie wszystko, jak już się do tego dostaniecie.
- Kotkas załatwi to w godzinę - obiecał Ribbing. - Facet jest fenomenalny, kiedy dojedzie pani do Kymlinge, będzie miała tajemnice Grootha podane na tacy. Czy jeszcze z czymś możemy pomóc? Tak czy inaczej, będziemy w kontakcie.
- Tak jest - zgodził się Larsson.
Eva Backman zamyśliła się, ale nie przychodziło jej do głowy nic więcej, co mogłaby mieć na liście życzeń.
Podziękowała więc swoim skańskim kolegom i obiecała, że wróci po weekendzie.
Wyszła z komisariatu. Na parkingu wsiadła do samochodu i dziesięć minut później była już na trasie E6, prowadzącej na północ. Zdecydowała, że da odpocząć Piaf i Holiday,
I pomyślała, że przynajmniej ze swojej wycieczki do południowych prowincji nie wróci z pustymi rękami. Wręcz przeciwnie.
Sytuacja nabrała jasności.

Germund Grooth zarezerwował bilety do Paryża na tydzień po swojej śmierci.
Dzień przed śmiercią jeszcze o dwudziestej pierwszej był u siebie w domu. O dwudziestej trzeciej pewnie też, o ile rzeczywiście siostry Zetterlund grały w karty w wykuszu na górze, a co najmniej jedna para sokolich oczu patrzyła na ulicę.
Następnego ranka, ostatniego w jego życiu, ktoś zadzwonił do niego z numeru, którego właściciela nie można ustalić. O siódmej dwadzieścia.
Samobójstwo? - zadała sobie pytanie inspektor Backman. A skąd.
Wypadek? Tak samo.
Czyli dwa znaki zapytania zniknęły, stwierdziła.
Te jednak, które pojawiły się na ich miejscu, były jeszcze bardziej zakręcone. Łamała sobie nad nimi głowę całą drogę do Kymlinge.

33

Wczesnym rankiem 24 lipca zjechali z promu w Świnoujściu. Żadne z nich nie przespało zbyt wielu godzin podczas przeprawy, jednak Rickard Berglund czuł się wyjątkowo rześki, kiedy przez szybę autobusu oglądał nieznajome, brudnoszare budynki w okolicach portu. Nie licząc kilku krótkich wizyt w Danii i Norwegii, pierwszy raz byl poza granicami Szwecji i czuł, jak w piersi wzbiera mu coś, co można by określić mianem spokojnej radości.
Pomyślał, że tak samo czuł się już kiedyś, dawno, dawno temu. A dokładniej w lecie po ukończeniu szkoły podstawowej i przed rozpoczęciem realnej. Miał wtedy dwanaście lat, jechał z kolegą z klasy, Sunem, do domku jego rodziców w okolicach Malung, wspomnienie tej wycieczki było wyjątkowo żywe. Wciąż miał ją przed oczami. Razem z Sunem siedzieli wśród sterty komiksów z tyłu czarnego volvo

państwa Stridsbergów i podążali ku nieznanym lasom z buziami pełnymi trixi i tuttifrutti. Poczuł wtedy, że właśnie rozpoczyna się przygoda. To samo czuł teraz.
Choć teraz był dorosłym mężczyzną. Prawie dwukrotnie starszym, świeżo po ślubie i w połowie drogi do egzaminu na pastora. A więc, mówiąc Kierkegaardem, w o wiele późniejszym stadium na drodze życia. A jednak było równie nieprzeparte to uwodzicielskie uczucie, czy jak by to nazwać: przygoda, nieznane, wolność i wszystkie niespodziewane atrakcje, czekające tuż za rogiem.
Dziecinne czy nie, nie zrobił nic, żeby stłumić to łagodne podniecenie. ***Carpe diem,*** pomyślał i kiedy ukradkiem spojrzał na towarzyszy podróży, zrozumiał, że odbierają to podobnie.
Tomas za kółkiem. Gunilla na siedzeniu obok, z dużą mapą rozpostartą na kolanach i do połowy zjedzonym bananem w dłoni. Anna siedziała oparta o niego plecami na ich ***autobus-pied-a-terre.*** To Maria wymyśliła to określenie, twierdząc, że po francusku wszystko lepiej brzmi, może i rzeczywiście tak jest. Była to tak naprawdę po prostu drewniana skrzynia, na której leżał materac i poduszki, a poniżej znajdował się schowek. Maria i Germund mieli podobną z tyłu autobusu. Tomas i Gunilla urządzili się na trzeciej z przodu; było to surowe, ale praktyczne. Zamontowali też w poprzek zasłony, żeby stworzyć prywatne terytoria na noc, teraz jednak wszystkie były podwiązane pod dachem, ponieważ był dzień.
Pierwszy dzień w obcym kraju, w podróży, która miała potrwać co najmniej trzydzieści pięć dni i trzydzieści pięć nocy i zaprowadzić ich w miejsca, które aż do teraz - aż do tego oto lipcowego poranka roku pańskiego 1972 - były zaledwie abstrakcją, pustymi nazwami. Jak powiedział Germund, nie można wiedzieć, że Rzym naprawdę istnieje, jeśli się tam nie pojedzie i samemu nie sprawdzi. Zawsze to jakaś

prawda.
Ale najpierw Świnoujście i Szczecin. Nocną porą siedzieli w kawiarni na promie, jedli kiszoną kapustę i coś o nazwie bigos, pili piwo i próbowali nauczyć się tych zbitek spółgłoskowych. Podpity kierowca ciężarówki imieniem Marek instruował ich nieprzyzwyczajone języki i łamaną angielszczyzną opowiedział też co nieco o Polsce, pierwszym kraju, jaki czekał na nich po drugiej stronie Bałtyku.
A później: Praga, Balaton, Budapeszt, Wiedeń, Zagrzeb, etc., etc. Już po wyjeździe z Uppsali Rickard zaczął pisać dziennik podróży. Anna również, nieco bardziej poważnie niż on, z myślą, że będzie z tego większy reportaż. Zarówno gazeta ‚Vi", jak i „Dagens Nyheter" coś tam wstępnie obiecały, żadnych poważniejszych ustaleń w kwestii honorarium, chcieli oczywiście najpierw zobaczyć rezultat. Anna była dopiero studentką drugiego roku, nie miała jeszcze wyrobionego nazwiska wśród reportażystów. W każdym razie kupiła nowy aparat, nikona, opis podróży bez zdjęć był naturalnie nie do pomyślenia. A jeśli zapiski i przemyślenia Rickarda mogły się na coś przydać, to świetnie.
Było ich dwoje, byli tuż po ślubie. Świat stał przed nimi otworem, możliwości nie miały granic.
Pierwszego dnia dotarli do Jeleniej Góry. Zapadał zmierzch, jechali właściwie cały dzień, Tomas i Germund zmieniali się za kierownicą. Germundowi udało się w kilka tygodni zrobić prawo jazdy na autobus, oczywiście po to, żeby mogli prowadzić na zmianę. W zasadzie mogli być w ruchu dzień
I noc, gdyby tylko chcieli.
Ale oczywiście nie chcieli. Chodziło im o to, by się zatrzymać, dać sobie czas na to, by oglądać i chłonąć. Czas na zrozumienie, jak to jest żyć w socjalistycznej rzeczywistości. Rejestrowanie i przeżywanie. Wcześniej zatrzymali się na kilka godzin w Poznaniu, żeby zjeść prowiant, mieli głównie owoce, napoje i przekąski, w autobusie nie było lodówki.

Blok wschodni to przecież jednak wspólnota, która dostarcza swoim obywatelom wszystkich towarów, jakich potrzebują, nie zgadzać się z tym to hołdować imperialistycznym przesądom. Mleko, masło i podobne rzeczy mogli kupować co rano, było ich sześcioro i bez problemu mogli zjeść wszystko do wieczora, zanim się zepsuje. Albo inaczej, robić zaopatrzenie wieczorem jednocześnie na kolację i na śniadanie i cieszyć się nocnym chłodem.
W Poznaniu kupili również za śmieszne pieniądze piwo
I wódkę i kiedy teraz, ciepłą nocą, siedzieli na kempingu przy ognisku, zaopatrzeni w jedzenie i picie, i słuchali sączącego się z tranzystorowego radia delikatnego głosu nieznanej polskiej piosenkarki, naprawdę niewiele brakowało, by mogli powiedzieć, że jest „magicznie".
- Dziękuję, Tomas - powiedziała Anna. - Dziękuję, że wpadłeś na pomysł tej podróży. Poszerzymy sobie horyzonty. Fantastycznie jest brać w tym udział, nie uważacie?
Roześmiała się, bo była trochę pijana. Rickard przyłapał się na myśli, że mogłaby upijać się trochę częściej, jest wtedy o wiele bardziej swobodna. Wypił łyk piwa, ugryzł kiełbasę i chleb i pomyślał, że chciałby zatrzymać czas. Tutaj i teraz.
- Jedzcie i pijcie, drodzy przyjaciele - powiedział Tomas, zapalając papierosa. - Zwłaszcza jedzcie, jutro rano ta kiełbasa będzie śmiercionośna.
- Jesteś pewien, że już nie jest? - zapytał Rickard.
- Piwo jest tańsze od wody - stwierdził Germund. - Jego też nie trzeba oszczędzać.
- Może niech chórzyści zaśpiewają jakąś nastrojową pieśń - zaproponowała Maria. - Wyłączę tego polskiego słowika.
- Letni psalm - poprosiła Gunilla. - Będziemy mogli się dołączyć.
Tak też się stało. Śpiewana na cztery głosy pieśń rozległa się w ciemności, Rickard czuł, jak dłoń Anny wędruje po wnętrzu jego uda, i pomyślał, że tej chwili, tego wieczoru na obcym kempingu na przedmieściach polskiego miasta Jele-

nia Góra, nigdy nie zapomni.
Kochali się ciszej niż kiedykolwiek, a kiedy Anna zasnęła, włożył dres i tenisówki i wymknął się z autobusu.
Wysikał się za krzakami, po czym stał jeszcze chwilę w zupełnym bezruchu, wsłuchany w ciemność. Kumkanie żab, plusk wody, to wszystko, co dobiegało jego uszu. Na wpół opuszczony kemping leżał na podłużnym zboczu, które opadało do szumiącego strumyka; wahał się kilka sekund, po czym zszedł i usiadł na przybrzeżnym kamieniu.
Splótł dłonie i pomyślał, że Bóg go teraz widzi. Ze widzi ich wszystkich - jego, Annę, Tomasa, Gunillę, Marię
I Germunda - i że nad nimi czuwa. Nieczęsto przychodziły mu do głowy takie myśli; studiować teologię i czuć bożą obecność to stosunkowo różne rzeczy, nie po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę. To jakby piec chleb, nie jedząc go, albo pływać na sucho. Teraz jednak przepełniło go nagle silne i naiwne doświadczenie Boga, w którym, podobnie jak w porannej radości oczekiwania na przygodę, wyraźnie pobrzmiewało dzieciństwo. Proste i czyste.
Zaczął się modlić. Modlił się za nich wszystkich i za dalszą owocną podróż po Europie i czuł, że to pluskanie wody, może nawet kumkanie żab, ma w sobie coś szczególnego;
uderzyła go myśl, że w ten oto niezwykły sposób dociera do niego głos Boga. I że Bóg słucha.
Co więcej, to przeżycie było od początku do końca jego własne. W przyszłości, jako pastor, nie będzie mógł go przekuć na metaforę ani na porównanie. Zastanawiał się, dlaczego to rozgraniczenie wydawało się takie oczywiste, a jednocześnie konieczne. Jednak, jako się rzekło, pewne rzeczy rozumie się, nie wiedząc, jakim sposobem.
Myślał też oczywiście o Annie. O tym, jak ni stąd, ni zowąd zostali małżeństwem. Nadal się zastanawiał, co go skłoniło, by oświadczyć się jej tego wieczoru na początku maja; wyszło to zupełnie spontanicznie, a później, tuż przed

ślubem, zdradziła mu, jak to było u niej. Powiedziała, że jego pytanie zdziwiło ją równie mocno, co jej własne tak. Śmiali się z tego oboje i ustalili, że tak właśnie w ich życiu będzie, decyzje podejmowane spontanicznie i bez namysłu na dłuższą metę okazywały się najlepsze.
Anna czuła się dobrze przez całą wiosnę i początek lata. Nie tylko małżeństwo pogłębiło ich związek, może to również czas pracował na ich korzyść. Rickard myślał czasem, że w związku ludzie łączą się w jedno. Poznają nawzajem swoje dziwactwa i zwyczaje, tak buduje się wieczna miłość. Anna poza tym opublikowała też kilka artykułów, w „Naszym Mieszkaniu" i „Metalurgu", bez wątpienia potwierdzenie na polu zawodowym również było dla niej ważne. Zaproponowano jej nawet letnie zastępstwo w redakcji „Ostersundsposten", ale ze względu na miejsce zamieszkania i wymóg bycia tam aż do końca sierpnia zrezygnowała. Zamiast tego na sześć tygodni ponownie zatrudniła się jako pielęgniarka w szpitalu Akademiska. Tyle samo Rickard przepracował na poczcie w Svartbäcken - jeżeli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, mieli przynajmniej środki na podróż, które powinny im wystarczyć. Być może dadzą też radę dołożyć parę tysięcy do studenckiej pożyczki we wrześniu.
Pierwszą ratę za autobus mieli zapłacić dopiero w styczniu, termin wydawał się przyjemnie odległy Jeżeli wszystko pójdzie tak, jak zaplanował Tomas, zdążą jesienią zarobić trochę na tanich przejazdach do Norrlandii. Tomas i Germund mogli prowadzić co drugi weekend, może Rickard z czasem też mógłby zrobić prawo jazdy na autobus.
Siedząc nad wartkim polskim strumykiem, myślał też o innych i zastanawiał się, w jaki sposób taka podróż mogłaby zmienić relacje między nimi. Trudno powiedzieć. Między Tomasem i Gunillą było tak samo dobrze jak między nim a Anną, ale Gunilla miała trudny rok. Po urodzeniu w

październiku martwego dziecka spędziła kilka miesięcy w Ulleråker, w styczniu wróciła na Sibyllegatan, ale z tego co wiedział, wzięła urlop na cały letni semestr. Niczego się w każdym razie nie uczyła i chociaż Tomas raczej nie rozmawiał o jej stanie ani się nie skarżył, Rickard rozumiał, że jest im ciężko. Wokół Gunilli unosiły się lęk i wrażenie kruchości. Ani jedno, ani drugie nie towarzyszyło tej niezależnej, pięknej dziewczynie, którą poznał trzy lata temu. Pamiętał, jak zazdrościł Tomasowi i myślał, że sam nigdy nie spotka takiej kobiety jak Gunilla, teraz jednak to uczucie się zmieniło. Trudno im było nie współczuć - w ciągu dwóch lat stracili dwójkę dzieci, z których żadnemu nie udało się nawet przekroczyć progu życia, było jasne, że coś takiego musi boleć. I to bardzo. Rickard i Anna nie rozmawiali jeszcze o spłodzeniu potomka, ale czuł, że obie tragiczne ciąże Gunilli sprawiły, że Anna wahała się jeszcze bardziej niż dotychczas.

Ale nawet jeśli przytrafiało im się to czy tamto, a w ich życiu następowały zmiany, wiedział, że Tomas i Gunilla zawsze gdzieś tam są. Inaczej było z Marią i Germundem. Zupełnie inaczej; Tomas mówił o nich „wyjątkowi ludzie" i cokolwiek to znaczyło, dość dobrze ich określało. Rickard znał ich trzy lata czy raczej tyle minęło, odkąd spotkał ich po raz pierwszy, o ludziach takich jak Maria i Germund po prostu nie dało się powiedzieć, że się ich zna. Byli nieobliczalni i może nawet stawiali to sobie za punkt honoru; nigdy nie można było przewidzieć, co powiedzą czy jak zareagują w danej sytuacji. Rickard wiedział, że właściwie nie mają żadnych znajomych poza tą czwórką, z którą teraz właśnie byli na wycieczce. Inni ludzie i relacje z nimi nie zaprzątały im jednak najwyraźniej głów ani nie spędzały snu z powiek. W najmniejszym stopniu. Mogło oczywiście chodzić o pewną manierę, dążenie do oryginalności; pozostawianie na uboczu to nic nowego wśród młodych ludzi. Rickard

spotykał wielu takich na teologii, mogłoby się czasem wydawać, że im dziwniej, tym lepiej, jednak w przypadku Marii i Germunda nic nie wskazywało na takie trywialne dążenie. Zupełnie nic.
Wyjątkowi ludzie, ot co.
Pozostawi! wodę, żaby i boży głos i przeszedł po pokrytej rosą trawie z powrotem do autobusu. Otworzy! tylne drzwi i dostrzegł, jak za znajdującą się po lewej stronie zasłonką Maria i Germund uprawiają seks. Anna i on robili to najciszej jak się dało, bez wątpienia dodawało to nieco pikanterii, jednak wyjątkowi ludzie nie mieli takich myśli. Rickard słyszał, jak Maria jęczy, przypominało to jednocześnie głośne kwilenie i odgłosy rozkoszy, poczuł, że znowu ma wzwód, i nagle przyszło mu do głowy, że chętnie by ich poobserwował.
O tak, chętnie uchyliłby tę firankę, zobaczył, jak Germund wchodzi w Marię, jak się głośno i bezwstydnie pieprzą. Zawstydził się tą myślą tak, że aż poczerwieniał, ale erekcja nie ustawała. Położył się koło Anny i długo próbował nie słuchać tej niepohamowanej erotycznej muzyki. Oczywiście na darmo. Kiedy w końcu rozległ się odgłos, jakby Maria przeżywała orgazm, także Anna się obudziła. Odwróciła się do niego, a po tonie jej głosu poznał, że uśmiecha się w ciemności.
- Jeszcze raz? - wyszeptała. - Trochę mnie to podnieciło.
Kochali się więc drugi raz podczas tej pierwszej nocy w obcym kraju. Nie tak cicho jak za pierwszym razem i Rickard pomyślał, że to najpiękniejszy stosunek, jaki kiedykolwiek odbyli.
Pomyślał także, że jego żona jest wspaniałym misterium. Z przedniej części autobusu przez całą noc nie dobiegł ani jeden dźwięk.

34

Asystent kryminalny Claes-Henrik Wennergren-Olofsson miał najdłuższe nazwisko na komisariacie w Kymlinge, a ponieważ lubił dodawać swój tytuł służbowy - przed nazwiskiem lub po nim - potrzebował najczęściej trzydziestu sekund i dwóch linijek, żeby je zapisać.

Alexander Tillgren, również asystent kryminalny, choć ze stażem mniejszym o pół roku, miał dobre powody, by uważać, że Wennergren-Olofsson jest idiotą. Przynajmniej sam uważał te powody za dobre, kolega jednak był większy, silniejszy, a poza tym obdarzony wielką a nieuzasadnioną pewnością siebie, Tillgren wolał więc nie zwierzać się ze swoich przemyśleń.

Co nie zawsze było łatwe. Wennergren-Oloffson lubił uczyć go tego czy tamtego, kiedy tylko nadarzała się okazja, a dwugodzinna jazda samochodem z Kymlinge do Strömstad była bez wątpienia okazją wręcz wymarzoną.

Zaraz się zrzygam, pomyślał Tillgren na długo, zanim przejechali pół drogi. Jeśli się zaraz nie zamknie, przyłożę mu.

- No to ja do niego, żeby lepiej, kurde, uważał - ciągnął Wennergren-Olofsson. - I wiesz, co ten szmaciarz zrobił?
- Nie - powiedział Tillgren. - Co zrobił ten szmaciarz?
- Chciał mnie zdzielić - odparł Wennergren-Olofsson.

I dobrze, pomyślał Tillgren.

- No, co ty? - powiedział.
- Mówię ci. Ale wtedy wychodzi na jaw, z kim zadarł.
- Wyszło na jaw - poprawił Tillgren. - A nie wychodzi.
- Co? - powiedział Wennergren-Olofsson.
- Zły czas - odparł Tillgren. - Ale mniejsza z tym. Co sądzisz o tej sprawie?

Dlaczego w ogóle o to pytam? - pomyślał. Wygląda na to, że sam też jestem idiotą.

Wennergren-Olofsson wyglądał przez chwilę, jakby roztrząsał kwestię gramatyczną, ale po chwili dał spokój.

- Skomplikowana - powiedział. - Ale nie niemożliwa do rozwikłania. Mam swoje przemyślenia.
- Brzmi interesująco - powiedział Tillgren, na co kolega zmierzył go ostrym spojrzeniem. Czasami nie wiadomo, jaką dawką ironii można zaprawić wypowiedź, żeby nie zostać rozszyfrowanym, on zaś chciał trzymać się tak blisko tej granicy, jak to tylko możliwe.
- Tak też mówię - podsumował Wennergren-Olofsson. - A co ty o tym myślisz? W ogóle zapoznałeś się ze sprawą?
- Nie w pełni - przyznał Tillgren. - Ale to dość dziwne, kiedy dwoje ludzi ginie w tym samym miejscu w tak długim odstępie czasu.
- Dość dziwne? - obruszył się Wennergren-Olofsson.
- Powiem ci, że gdybym ja prowadził te przesłuchania, wszystko bym załatwił jak trzeba. Gdybym siedział w tym od początku, ważne, by być obecnym, że tak powiem, od pierwszego wbicia łopaty. To przecież jasne, że to któryś z nich.
- Ze któryś z nich co?
- Zabił tych dwoje, rzecz jasna - powiedział Wennergren-Olofsson. - Ten cały Sandlin, który w 1975 prowadził śledztwo, wiedział, że coś tu śmierdzi, że tę cizię ktoś zamordował. Nie umiał tylko tego udowodnić.
- Tak mówisz?
- Tak - odparł Wennergren-Olofsson. - Tak mówię.
- Czytałeś raport Sandlina?
- Przejrzałem.
- I myślisz, że ktoś z tej grupy zamordował zarówno Marię Winckler, jak i Germunda Grootha?
- ***Yes.*** Zapisz, że tak powiedziałem.
- Zapisane - odparł Tillgren. - No ale kto? I po co? Wennergren-Olofsson wziął porcję tabaki i myślał przez chwilę.
- Cholera wie - powiedział. - Mówiłem przecież, że się z

nimi nie widziałem. Trzeba mieć ludzi przed oczami, otym przecież rozmawialiśmy. Zawsze da się stwierdzić, kiedy ktoś kłamie, kiedy coś w nim pęka. Śledczy z łbem na karku, który liznął trochę psychologii, widzi taicie rzeczy.

Mein Gott, pomyślał Tillgren, który kiedyś miał dziewczynę z Wuppertalu. Co za cholerny pajac. Jeśli kiedyś popełnię przestępstwo, będę żądał, żeby przesłuchiwał mnie WO.

- Otóż to - rzekł. - Ale przynajmniej możemy porozmawiać z Elisabeth Martinsson. Była tam w 1975.

Wennergren-Olofsson pokiwał z entuzjazmem głową i obrócił prymkę na drugą stronę.

- Zrobimy to w ten sposób - powiedział. - Ty zajmiesz się zadawaniem pytań, a ja ją będę obserwował. Szukał tej drobnej niepewności, rozumiesz. Malutkiego pęknięcia.

- Sprytnie - powiedział Tillgren. - Mamy listę pytań od Barbarottiego i Backman, więc nie powinno być problemu. No i dyktafon.

- Dyktafon jest cholernie przydatny - oznajmił Wennergren-Olofsson. - Można potem odsłuchiwać i analizować. Dla pewności zrobimy to na dwa.

- Na dwa? - zapytał Tillgren.

- Weźmiemy twój i mój. Backman i Barbarotti chcą mieć nagranie i wydruk, ale ja będę mógł zachować swoje nagranie i wyciągnąć własne wnioski. Tak będzie najbezpieczniej.

- Rewelacja - odparł Tillgren. - Miałbyś coś przeciwko, gdybym się zdrzemnął pół godzinki? Trochę się wczoraj zasiedziałem.

- Pieprzony truteń - odparł Wennergren-Olofsson. - Ale dobra, to ważne, żebyśmy byli czujni jak ważki, kiedy ją zaatakujemy

I dwie godziny w drodze powrotnej - pomyślał Tillgren i zamknął oczy.

Elisabeth Martinsson mieszkała w ciasnym dwupokojo-

wym mieszkaniu w pobliżu portu w Strömstad. Ciasnota wynikała nie tylko z małego metrażu, ale przede wszystkim z nadmiaru mebli. Tak jakby przeprowadziła się z sześciopokojowej willi, ale zapomniała pozbyć się rzeczy, pomyślał Tillgren, witając się z jednym z dwóch jamników, który wabił się Maltę. Mama Maltego, Brynhilde, nic sobie nie robiła z obecności policyjnych intruzów. Jej pani oznajmiła, że siedemnastego skończy szesnaście lat i leży tylko na jedwabnej poduszce z pomponami na żółtym pianinie, zażywając spokoju.

Jak jamnik może wejść na pianino? Chyba że co rano jest tam sadzany. Tillgren postanowił, że nie będzie pytać. Pomyślał, że chyba po raz pierwszy w życiu widzi żółte pianino. Przynajmniej takie z jamnikiem.

- Usiądźcie, panowie - powiedziała Elisabeth Martinsson. - Przepraszam za bałagan. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie, tutaj zawsze tak wygląda.

Tillgren rozejrzał się. Pośrodku pokoju stały sztalugi z wielkim obrazem olejnym, gotowym w trzech czwartych. Patrzył na niego przez chwilę i doszedł do wniosku, że przedstawia zniszczony wiatrak i stado kóz, ale zdecydował, że o to również nie będzie pytał.

Ściany ozdobione były mnóstwem obrazów wiszących rama w ramę, od krawędzi do krawędzi i od podłogi do sufitu. Sporo nagich mężczyzn w powykręcanych pozach, a gdzieniegdzie nawet bardziej klasyczny w formie pejzaż. Ostre kolory; Tillgren mógłby spokojnie powiesić niektóre z tych dzieł w swoim dwupokojowym mieszkaniu w Kymlinge, ale trudno było odnieść dobre wrażenie, kiedy wisiały tak gęsto.

- Kiedyś miałam atelier - wyjaśniła Elisabeth Martinsson, jakby czytała w jego myślach. - Ale na dłuższą metę było to za drogie. Ta parszywa gmina nie daje nawet korony swoim cierpiącym artystom, możecie to sobie zapamiętać.

- Tak zrobimy - powiedział Wennergren-Olofsson. - Zapamiętamy to sobie.
- To dobrze - odparła Elisabeth Martinsson.
Usiedli w dwóch małych metalowo-plastikowych fotelach przy stole zagraconym tubkami farb, pędzlami, gazetami, książkami w kieszonkowym formacie i słoikami. Elisabeth Martinsson wzięła taboret do pianina i usiadła między nimi. Oby niczym nie częstowała, pomyślał Tillgren. Oby to szybko poszło.
- Powinnam chyba panów czymś poczęstować - powiedziała Elisabeth Martinsson. - Ale nic nie mam.
- Po drodze wypiliśmy kawę - skłamał Wennergren-Olofsson. - Zresztą nie na kawę tutaj przyjechaliśmy.
- Niech pan sobie wyobrazi, że się domyśliłam - powiedziała Elisabeth Martinsson i założyła okulary o grubych, czarnych oprawkach. Tillgren uznał, że trzyma się dobrze jak na cierpiącą artystkę po sześćdziesiątce. Wyglądała nieco z francuska, miała krótko obcięte, czarne włosy i dobrą kondycję, choć fanatyczką ćwiczeń z pewnością nie była. Wśród bambetli na stole leżała zresztą niebieska paczka gauloise'ow blandów, choć w mieszkaniu nie czuć było tytoniu, więc może był to jakiś artystyczny rekwizyt.
- A więc badamy dwa osobliwe przypadki śmierci - wyjaśnił Wennergren-Olofsson urzędowym głosem. - Ja i kolega Tillgren zadamy kilka pytań i chcielibyśmy, by odpowiadała pani zgodnie z prawdą i tak precyzyjnie, jak to tylko możliwe.
- Rozmawiałam kilka dni temu z kimś z policji - powiedziała Elisabeth Martinsson. - Z kobietą... Backlund czy jakoś tak.
- Z koleżanką Backman - poprawił Wennergren-Olofsson. - Zgadza się, ale teraz musimy co nieco uzupełnić i przeprowadzić to nieco bardziej oficjalnie.
Myślałem, że będzie siedział cicho i obserwował, pomyślał

Tillgren. Ale może przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło?
- Mamy listę pytań, które chcielibyśmy po kolei zadać - kontynuował Wennergren-Olofsson i dał Tillgrenowi znak głową. - Najprościej będzie, jeśli będzie pani po prostu odpowiadać i nie zastanawiać się, dlaczego zadajemy akurat takie czy inne pytanie. Jest pani malarką?
- Czy to pytanie jest częścią przesłuchania? - zapytała, patrząc na niego sceptycznie znad okularów.
- Właściwie to nie.
- Aha - odparła Elisabeth Martinsson. - To powiem w ten sposób. Proszę się rozejrzeć po tej lisiej norze. I jak pan myśli, kurdebalans?
- Ee... no tak.
- Można tak powiedzieć. Pracuję jako ilustratorka, żeby żyć. Żyję, żeby malować. Nadąża pan?
- Aha? - odparł Wennergren-Olofsson i zmarszczył czoło. Tillgren wyjął listę pytań, którą dostali od Backman. Najlepiej zacząć, zanim to się wymknie spod kontroli, pomyślał. Położył swój mały dyktafon obok paczki gauloise'ow i wcisnął przycisk nagrywania. Wennergren-Olofsson zrobił to samo ze swoim nieco mniejszym i nieco bardziej błyszczącym urządzeniem.
- Dwa dyktafony? - zapytała Elisabeth Martinsson.
- Tak na wszelki wypadek - odparł Wennergren-Olofsson przyjaźnie.
- Ten pański burczy.
- Tak ma być - wyjaśnił Wennergren-Olofsson. - To znaczy, że jest włączony.
Tillgren odchrząknął.
- No dobrze. Przesłuchanie Elisabeth Martinsson w jej mieszkaniu w Strömstad. Piątek, 1 października 2010, godzina 13.22. Obecni: asystent kryminalny Tillgren, asystent kryminalny Wennergren-Olofsson.
- Zaczynajcie - powiedziała Elisabeth Martinsson, biorąc

Maltego na kolana. - Nie mam całego dnia.
Jakąś godzinę później znów byli w samochodzie i wracali do domu.
- Dobrze sobie poradziliśmy - stwierdził Wennergren-Olofsson. - Zrozumiałeś, o co chodziło z tymi moimi uszczypliwymi pytaniami?
- Nie - przyznał Tillgren. - Nie bardzo.
- Czasem trzeba ich skołować - wyjaśnił Wennergren-Olofsson. - Sprawić, żeby opuścili gardę. Zdekoncentrować i wydobyć z nich to małe przejęzyczenie.
- No dobrze, ale pijawki? Nie wiedziałem, że w tej sprawie były jakieś pijawki.
- I właśnie o to chodzi. To ich zbija z tropu.
- Wiem, mówiłeś. I co ci z tego przyszło?
- Za wcześnie na analizę - odparł Wennergren-Olofsson. Chcę najpierw w spokoju przesłuchać taśmę. Chociaż możemy równie dobrze teraz sprawdzić, jak to brzmi.
Wyjął swój dyktafon. Włączył i polecił Tillgrenowi, żeby był cicho.
Przez pierwsze dziesięć sekund nie było nic słychać. Wennergren-Olofsson wyłączył, po czym spróbował ponownie. Podkręcił głośność, jeszcze raz polecił Tillgrenowi, by ten trzymał a) gębę na kłódkę, b) ręce na kierownicy. Zmienili się, kiedy wyjechali ze Strömstad: Tillgren prowadził, Wennergren-Olofsson siedział obok.
Po trzydziestu sekundach dyktafon nadal nie wydal z siebie żadnego dźwięku.
- Kurwa mać - powiedział Wennergren-Olofsson. - Coś się zesrało.
- No, chyba nie działa - odparł Tillgren.
Wennergren-Olofsson przewinął trochę do przodu i sprawdził po raz trzeci. Nic. Wyłączył.
- No i właśnie dlatego powinno się mieć dwa dyktafony
- oznajmił. — Posłuchajmy twojego nagrania.

Tillgren wyciągnął swój dyktafon z kieszeni na piersi i nacisnął play. Rozległo się wyraźne burczenie. Po chwili Tillgren usłyszał bardzo cichy głos, który, jak mu się wydawało, był jego własnym. Potem jeszcze jeden głos, chyba Elisabeth Martinsson.
Nie dało się zrozumieć ani słowa. Może by się i dało, gdyby nie to irytujące burczenie na pierwszym planie, które zagłuszało wszystko.
- Myślę - odezwał się Tillgren i trochę przyspieszył - myślę, że mój dyktafon nagrał to twoje burczenie.
- Nie bądź śmieszny - odparł Wennergren-Olofsson. - Co za gównianego sprzętu używasz?
- Chciałem powiedzieć - rzekł Tillgren, podnosząc nieco głos - że gdyby twój pieprzony dyktafon nie leżał tam i nie hurkotał, nagrałoby się idealnie.
- O czym ty, do jasnej Smålandii, mówisz? - odparł Wennergren-Olofsson. - Cholera, przecież...
Tillgren poczuł nagle, jak coś się w nim dzieje. Nie wiedział do końca co, ale było to jak pęknięcie tamy, która poddała się jakiejś nieokiełznanej sile, czemuś, czego nie dało się powstrzymać przed wezbraniem, prawdziwy strumień lawy, i w jednej chwili, w jednej sekundzie, jego stosunek do kolegi Wennergrena-Olofssona zmienił się radykalnie. Bardzo, ale to bardzo radykalnie. Było to cholernie dziwne i cholernie piękne.
- Czy możesz na chwilę zamknąć gębę, pieprzony idioto? - powiedział.
- Co? - odparł Wennergren-Olofsson.
Tillgren odchrząknął.
- Po prostu nie sprawdziłeś baterii w swoim dyktafonie. Pożytek mamy z tego tylko taki, że przesłuchanie mi się nie nagrało. Byłoby lepiej, gdybym sam się tym zajął. Bądź tak dobry i się nie usprawiedliwiaj, mam już serdecznie dosyć twojego przemądrzałego sposobu bycia.

- Nie, cho... - zaczął Wennergren-Olofsson, ale Tillgren uderzył otwartą dłonią w deskę rozdzielczą i w ten sposób go uciszył.
- Dość już tego - powiedział. - Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Od razu możesz zacząć pisać przesłuchanie z pamięci. Cały ten czas tylko siedziałeś i słuchałeś, więc powinieneś coś zapamiętać. Ale chcę je przeczytać, zanim oddamy, tak będzie, kurwa, najbezpieczniej. Cholerny jełopie!
Grdyka asystenta kryminalnego Wennergrena-Olofssona ruszała się w górę i w dół jak przegrzany tachograf starego typu, a twarz nabrała karmazynowego koloru, ale nie powiedział ani słowa. Nawet nie pisnął.
No i już, pomyślał Tillgren i włączył radio. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.
- Zaczynaj - powiedział. - Masz na to godzinę i czterdzieści pięć minut. Pożyczyć ci kartkę i długopis?

35

To było jak odwilż.
Powolna i krnąbrna, podobna do tych, jakie dawały o sobie znać na bocznych drogach jej rodzinnej Värmlandii. Tam i z powrotem, czasem w nocy mróz chwytał ponownie i po przebudzeniu było zimniej, niż kiedy szło się spać. Jednak powoli posuwało się do przodu, proces był równie nieuchronny jak zmiana pór roku, po zimie przychodzi wiosna.
Opisała to w ten sposób Tomasowi i dodała, że mu współczuje. Prosiła o wybaczenie. On też przecież stracił dwoje dzieci, a to ona zawłaszczyła cały ból. Prawo do opłakiwania, tęsknoty i pogrążania się w swoim nieszczęściu. Odparł, że tym się nie musi martwić, grunt, żeby ta odwilż poszła w dobrym kierunku, choć na dłuższą metę nie ma też powodu, by ją przyspieszać. Ona była kobietą, on mężczyzną, głupotą było sądzić, że wszystko można ważyć na szalach wagi nie- biorącej pod uwagę płci.

W związku tak się nie da.
Miała swoje poglądy na temat różnic płciowych, ale nie podjęła tematu. Wystarczyło, że lód w jej wnętrzu się topił, że na jego miejsce wsączało się życie, że nagle potrafi się śmiać i interesować nowymi rzeczami. Odkrywać ten obcy, ruchliwy świat, który na takiej wycieczce jak ta otaczał ich przez cały czas. Ludzi, którzy wiedli swój żywot w miejscach, o których nigdy wcześniej nie słyszała, i jakoś posuwali się do przodu, chociaż codzienność nie wydawała się niczym ponad codzienną harówkę od rana do wieczora. Tak to przynajmniej tu i ówdzie wyglądało. Nigdy nie wierzyła w socjalizm czy tam komunizm, jeden pies, a kiedy teraz zobaczyła go na własne oczy z bliska, nie widziała powodu, żeby rewidować swoje przekonania. We wschodnich krajach, przez które przejeżdżali, królowała szarość i beznadzieja, zwłaszcza na przedmieściach, na ponurych osiedlach, których nigdy nie odwiedzali, tylko szybko mijali; pomyślała, że te planowane podróże pewnie skłonią niejednego radykalnego lewicowca do przemyślenia paru spraw. Może taki był również zamiar Tomasa, o ile miał inne motywy poza chęcią zarobienia paru groszy. Trudno było stwierdzić, może on sam tego nie wiedział. Nie pytała, byli zajęci sobą i naprawianiem tego, co popsuło się w październiku. Jednej nocy w Pradze kochali się pierwszy raz od pół roku, okazuje się, że minęło tyle czasu. Te nieporadne próby w styczniu i w lutym raczej nie zasługiwały na miano stosunku.
Zrobili to na dworze, w parku; nieco zuchwała i impulsywna przygoda pod osłoną zarośli. Resztę towarzystwa zostawili w autobusie na kempingu, a po wszystkim poszli na długi spacer po mieście. Przeszli przez most Karola, okrążyli zamek i katedrę. Powietrze było ciepłe; kupili kiełbasę i czeskie piwo w barze, który wciąż był otwarty, mimo że była pierwsza w nocy, Gunilla zaś pomyślała, że są takie rzeczy,

którym nie oprą się nawet największe värmlandzkie mrozy. Wystarczy zdecydować, że będzie się żyć dalej, a wtedy życie samo do nas wraca.
Z powrotem na kemping pojechali taksówką, trochę potrwało, zanim jakąś znaleźli, ale prawie nic nie kosztowała, a kiedy cicho umościli się już na posłaniu z przodu autobusu, Tomas jeszcze raz do niej przyszedł.
Spędzili trzy dni w Pradze, później tyle samo na Węgrzech, w różnych miejscowościach nad Balatonem. Potem pojechali z powrotem przez Czechosłowację do Austrii. Autobus sprawował się bez zarzutu. W Wiener Neustadt Germund dokonali odkrycia; kupili w sklepie spożywczym trzy litrowe butelki rumu Stroh, 80% - wszyscy byli zgodni, że to niesamowite* i tego wieczoru zapoczątkowali zwyczaj picia przy ognisku herbaty myśliwego. Była mocna, słodka i dobra, wystarczył jeden kubek, żeby się trochę wstawić. Przynajmniej jeśli chodziło o Gunillę i Annę i bez wątpienia miało to swój wpływ na odwilż.
Przed południem 4 sierpnia w okolicach Grazu przekroczyli granicę z Jugosławią, koło siódmej wieczorem dotarli do miasta o nazwie Osijek i zdecydowali, że przez dwie noce nie będą się stąd ruszać. Następnego dnia Tomas miał urodziny; z tej okazji życzył sobie jedynie czegoś smacznego, najlepiej jakiegoś zwierzęcia grillowanego w całości na otwartym ogniu i do tego dużo piwa. Nikt nie miał nic przeciwko takiemu planowi.
Sałatka owocowa ze śmietaną i rum Stroh na deser. Żadnego tortu, to drobnomieszczańskie.
Rano pojechali razem do Osijeka po zaopatrzenie. Udało im się zaparkować samochód na ulicy niedaleko starówki w centrum miasta i na zakupy poszli w dwóch grupach. Kiedy

**W Szwecji napoje alkoholowe powyżej 3,5% można kupić tylko w sklepach państwowej sieci Systembolaget*

grupa Gunilli skończyła, pozostali jeszcze nie wrócili do autobusu, Gunilla pomyślała więc, że pójdzie na mały spacer. Zostawiła Rickarda i Annę przy stoliku w kawiarni i ruszyła zaniedbanymi uliczkami w centrum miasta. Już po kilku minutach dotarła do małego placyku z otwartym kościołem.
Wahała się przez chwilę, po czym postanowiła, że wejdzie. Zwykle nie odwiedzała kościołów, ale spodobał jej się sposób, w jaki słońce kładło się na starym ceglanym dachu i wpadało do ciemnego wnętrza. Jakby wskazywało drogę. Pomyślała, że to wyjątkowo dziwne wchodzić do kościoła w kraju, w którym oficjalna doktryna głosi, że każda religia jest zła i na dłuższą metę powinno się je zlikwidować.
A jednak nie zostały zlikwidowane - ani budynki, ani najprawdopodobniej sama wiara. Może była to kwestia czasu, ale nie mogła sobie tego wyobrazić. Świat bez wiary, bez kościołów? Albo przynajmniej połowa świata, jeśli rozłam między Wschodem a Zachodem utrzyma się na zawsze.
W ławkach siedziało jakieś dziesięć osób, z chóru słychać było prostą muzykę organową, a z przodu, przy ołtarzu, ubrany na czarno ksiądz wykonywał jakieś czynności. Wnętrze kościoła było niewielkie, ascetyczne w wystroju. Gunilla pomyślała, że może to socjalistyczny kompromis. Można funkcjonować, byle nie wystawać przed szereg. Precz z ozdóbkami.
Stała z tyłu i nie wiedziała, co zrobić. Patrzyła na plamy światła i cienia tworzone przez promienie słońca wpadające ukośnie przez okna, na kurz wirujący w osłonecznionych nawach. Coś w tym prostym obrazku sprawiało, że chciała tu zostać. Co robią ci ludzie? - myślała. Dlaczego tu dziś rano przyszli? Mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn, większość wyglądała na starszych. Siedzieli w rozproszeniu i przynajmniej kilkoro sprawiało wrażenie pogrążonych w modlitwie. Zdała sobie nagle sprawę, że im zazdrości, była

to jednak osobliwa zazdrość, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Tak jakby oni, choć byli o wiele gorzej sytuowani niż ona, wiedzieli o życiu coś, czego ona nie odkryła. Przynajmniej założyła, że są gorzej sytuowani; dwie kobiety, które siedziały jedną ławkę przed nią, wyglądały na biedne i zniszczone życiem, pomyślała nagle, że chciałaby z nimi porozmawiać. Usiąść między nimi w ławce i zadawać im pytania. Gdyby tylko mówiły w tym samym języku. Jak im się żyje? Czy mają dzieci? Jak potoczyło się ich życie, jakie są ich smutki i dlaczego teraz się tu modlą? Co przeszły w czasie drugiej wojny światowej? Czy straciły rodziców i rodzeństwo? Do kogo się modlą i czy naprawdę wierzą, że ktoś słucha?

Zrozumiała, że to naiwne myśli. I natarczywe pytania. Naraz poczuła się jak intruz. Kim była, żeby przychodzić tu, pytać i mieszać się w czyjeś życie? Ciekawska kobieta z zagranicy, bez Boga i wiary; z dwójką nienarodzonych dzieci, ale mimo to bez boga, czy to nie dziwne? A może jest odwrotnie? Jeśli traci się dwójkę dzieci, traci się również swojego boga?

O ile kiedykolwiek w jakiegoś wierzyła. Postanowiła, że wyjdzie na słońce, gdyż zaczynała obezwładniać ją chandra, kiedy jednak już miała odwrócić się i wyjść, spojrzenie jej padło na plecy kogoś siedzącego spory kawałek dalej, z przodu, po prawej stronie. Był to wysoki mężczyzna. Siedział z pochyloną głową, a coś w jego postawie podpowiedziało jej, że jest znacznie młodszy od reszty zebranych w kościele. Kiedy na krótką chwilę odwrócił głowę, żeby spojrzeć na krzątającego się przy ołtarzu księdza, zobaczyła, że to Germund.

Nie poruszyła tego tematu. Ani z Germundem, ani z nilom innym. Może i przyszło jej do głowy, żeby wspomnieć o tym Tomasowi, ale w całej tej sytuacji w małym kościele było coś, co ją powstrzymywało. W atmosferze, w spokoju, świetle, ciemności i przygarbionych plecach. W jej własnych

myślach tam w środku.
Poza tym nie było w tym przecież nic nadzwyczajnego. Germund wszedł do kościoła i usiadł na moment w ławce
- może po prostu dla chwili spokoju albo dla ochłody Było naprawdę gorąco, choć wybiła dopiero jedenasta, nie, miałaby trudności z wyjaśnieniem, dlaczego to dla niej takie dziwne. Dlaczego ta krótka chwila wywarła na niej takie wrażenie. Rozmowa o tym - może przede wszystkim rozmowa o tym z Germundem - wszystko by zniszczyła. Może tak właśnie jest z przeżyciami, z każdym z nich, że kiedy próbujemy ubrać je w słowa, giną. A w każdym razie ulegają zmianie i zbrukaniu.
Stają się czymś innym.
Kiedy chce się coś ochronić, należy zachować to dla siebie.
Czy innym też zdarzają się takie myśli? - zastanawiała się tego wieczoru, kiedy siedzieli wokół obowiązkowego ogniska i czekali, aż mały prosiak, którego udało im się dostać, się upiecze. Czy tylko ja jestem taka krucha, wrażliwa i ostrożna z życiem? ***Przerażona*** życiem? Nawet jeśli odwilż była w toku i z czasem jej zamiar się powiedzie, różnice pozostawały. Między nią a pozostałymi. Między nią a Tomasem. Takie, których nie dało się przezwyciężyć i których nawet nie powinno się przezwyciężać, bo nie taki był sens.
Człowiek jest samotny, pomyślała. Nawet na urodzinowym przyjęciu, przy ognisku z pieczonym prosiakiem, z kubkiem herbaty myśliwego w dłoni i w gronie najlepszych przyjaciół, człowiek jest samotny.

36

- Spróbujmy się pokusić o małe podsumowanie - powiedziała Eva Backman. - I skoncentrujmy się. Muszę powiedzieć, że ja z tej historii nic nie rozumiem.
Był poniedziałkowy poranek. Siedzieli w gabinecie Bar-

barottiego z kubkami paskudnej kawy Deszcz bębnił o parapet, ów flirt z babim latem zakończył się w weekend i został zastąpiony układami niskiego ciśnienia, które najwyraźniej czekały w kolejce na Morzu Północnym, żeby przedostać się nad zachodnią Szwecję.
Barbarotti wydmuchał nos i pokiwał głową.
- Koncentracja to dobry pomysł. Ale ja muszę niestety przyznać, że sam rozumiem niewiele więcej. Tak czy inaczej, w przypadku Germunda Grootha coś jest nie tak. To znaczy jeśli miałby umrzeć naturalną śmiercią.
W niedzielę po południu rozmawiali pół godziny przez telefon. Barbarotti opowiedział o swoich spotkaniach z Rickardem Berglundem i Tomasem Wincklerem, Backman zdała relację ze swych poczynań w Lund.
- Chodzi ci o tę podróż do Paryża? - zapytał Barbarotti.
- W ogóle o wszystko - odparła Backman. - O to, że w piątek późnym wieczorem był w domu. Ze tego samego dnia, kiedy umarł, ktoś zadzwonił do niego z numeru, którego właściciela nie można ustalić. Ze nie mamy pojęcia, w jaki sposób dostał się do Kymlinge. A jeszcze mniejsze, jak dotarł do wąwozu Gåsa... no i tak, o podróż do Paryża również. Gdybym chciała się zabić, najpierw bym pojechała sobie do Paryża. Albo zrobiła to tam.
- Skoczyła z wieży Eiffla? Zamiast do wąwozu Gåsa?
- Możliwe - powiedziała Backman. - Wiem, że nie mamy nawet cienia konkretnego dowodu, ale jeżeli ty, ja czy ktokolwiek inny zepchnąłby drugą osobę z urwiska... albo z wieży Eiffla... a następnie sobie poszedł, żaden fizyczny dowód by nie powstał, że się tak wyrażę.
- Prokuraturze się to nie spodoba - powiedział Barbarotti.
- Co z tobą? - odparła Eva Backman. - W dupie mam prokuraturę. Chcę wiedzieć, co się stało. Dlaczego zmieniłeś zdanie?
- Nie zmieniłem - powiedział Barbarotti, z ponurą miną

przyglądając się kawie. - To ty zmieniłaś zdanie. Ty mówiłaś, że Maria Winckler spadła, a Germund Grooth skoczył, nie pamiętasz już?
- Pomyliłam się - rzekła Eva Backman. - Nie co dzień się to zdarza, ale kiedy się dzieje, ja pierwsza o tym mówię.
- No dobra. Powiedzmy, że jest tak, jak twierdzisz. W obu przypadkach jest coś nie tak. Co robimy dalej?
- Spekulujemy trochę - odparła Eva Backman. - Jesteśmy w tym dobrzy. Jeżeli na przykład założymy, że było odwrotnie, niż do tej pory sądziliśmy, to znaczy, że Maria Winckler i Germund Grooth zostali zabici, co nam to da?
- Zależy, czy przyjmiemy jeszcze jakieś założenie - powiedział Barbarotti.
- Co masz na myśli?
- Czy na przykład przyjmiemy, że sprawcą jest ktoś z grupy. Bo przecież mógł to być ktoś z zewnątrz.
- Kto akurat był tam w lesie trzydzieści pięć lat temu? - zapytała Backman. - I w zeszły weekend?
- Kto mógł zaplanować, że tam będzie - odparł Barbarotti.
- Na przykład nasz przyjaciel Elis Bengtsson?
Barbarotti potrząsnął głową.
- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby on miał coś z tym wspólnego. Choć był tam za jednym i za drugim razem, jest to, rzecz jasna, jakaś okoliczność.
- Zapominamy o nim - powiedziała Eva Backman po łyku kawy, grymasie i krótkiej przerwie na zastanowienie.
- Przynajmniej jako o mordercy. Może będziemy mieli powód, żeby porozmawiać z nim raz jeszcze. Jeżeli na przykład widział w lesie kogoś innego.
- Nie widział - odparł Barbarotti. - Przynajmniej za pierwszym razem. Sandlin mocno go przycisnął w tej sprawie. Czyli w takim razie, na potrzeby dyskusji, przyjmujemy, że morderca to ktoś z grupy?
- Tylko spekulujemy - powiedziała Backman.

- Mam tego świadomość - odparł Barbarotti. - Może moglibyśmy spróbować metody eliminacji?
- Niegłupia metoda. Kogo chcesz wykluczyć najpierw?
- Poczekaj chwilę - powiedział Barbarotti. - Zakładamy więc, że za jednym i za drugim razem był to ten sam morderca?
Eva Backman westchnęła i odchyliła się na krześle.
- Cholera, nie mam zielonego pojęcia. Może będzie nam się lepiej spekulowało, jeśli rozpatrzymy te morderstwa osobno. Czuję, że...
-Tak?
- ...że wobec tego powinniśmy najpierw zająć się późniejszym przypadkiem. Jeżeli Maria Winclder została zamordowana, tak czy inaczej, sprawa jest przedawniona.
- Morderstw nie powinno się uznawać za przedawnione
- powiedział Barbarotti.
- Zgadzam się - odparła Eva Backman. - Już o tym rozmawialiśmy. Gdybyśmy jednak skoncentrowali się na Germundzie Groocie i założyli, że zabił go ktoś z pozostałych, kogo byś najpierw wykluczył?
- Czy Elisabeth Martinsson liczy się jako osoba z grupy?
- Sam zdecyduj.
- No dobra. Powiedzmy, że tak. Pierwszą osobą, jaką chciałbym wykluczyć, jest Maria Winckier. Uzasadnienie mam takie, że od trzydziestu pięciu lat nie żyje.
- Sprytnie - odparła Eva Backman. - Kupuję uzasadnienie bez żadnych obiekcji.
- Twoja kolej - rzeki Barbarotti.
- No to wykluczam Annę Berglund. Wprawdzie się z nią nie spotkałam i żadne z nas z nią nie rozmawiało, ale umierając w szpitalu na raka, nie jest się w stanie spychać ludzi ze wzgórz, na które chodzili najstarsi członkowie rodu.
- Myślałem, że twierdziłaś, że nigdy czegoś takiego nie było - powiedział Barbarotti.

- Nie jestem tego pewna - odparła Eva Backman. - I otwarcie to przyznaję, jak zwykle. Tak czy inaczej, możemy wykreślić Annę Berglund. Zgadzasz się z tym?
- Bez cienia wahania - odparł Gunnar Barbarotti. - Czyli została nam trójka. Czwórka, jeżeli liczyć Elisabeth Martinsson... a właśnie, jak tam jej przesłuchanie?
- Olofsson i Tillgren chyba właśnie je spisują.
- Mam nadzieję, że dostaniemy taśmę.
- Coś tam nawaliło w dyktafonie.
Barbarotti ziewnął.
- Czemu mnie to nie dziwi?
- Tillgren jest w porządku - powiedziała Backman.
- Zgoda - odparł Barbarotti. - Jeżeli zaś miałbym wykluczyć jedną osobę z tej czwórki, byłaby to pani Martinsson. Po prostu była z nimi na tej wyprawie na grzyby, z pozostałymi z grupy nie miała nic wspólnego. O ile założymy również, że to morderstwo... czy morderstwa miały jakiś motyw.
- Dopóki nie przeczytamy przesłuchania, zgadzam się
- powiedziała Backman. - Wykreślamy ją z listy. Została trójka. Na potrzeby dyskusji.
- Została trójka - powtórzył Barbarotti. - Wspaniale nam idzie. Jeśli utrzymamy takie tempo, powinniśmy namierzyć mordercę za mniej więcej dwie minuty.
- Choć teraz właśnie zaczynają się problemy - odparła Backman. - Mamy do wyboru trzy osoby: Tomasa Wincklera, jego żonę i Rickarda Berglunda, i jeśli nie jestem w całkowitym błędzie, każde z nich mogło to zrobić.
- W zasadzie tak - rzekł Barbarotti. - Jak idzie sprawdzanie alibi?
- Niestety nie najlepiej. Zaniedbaliśmy to. Zapomniałam zapytać Gunillę Winckler-Rysth, kiedy z nią rozmawiałam... czy raczej uznałam, że nie ma powodu, by o to pytać. Ale zadzwoniłam do niej wczoraj, twierdzi, że w tamtą sobotę była w Göteborgu i przez większą część dnia robiła zakupy. Nie

potrafiła podać godzin ani przedziałów czasowych, nie spotykała się z żadnymi koleżankami, nic takiego... z nikim nie jadła obiadu i była, delikatnie mówiąc, zdziwiona, że pytam.
- Czyli właściwie nie ma specjalnego alibi?
- Na to wygląda. A jak tam twoi panowie?
Gunnar Barbarotti podrapał się w głowę.
- Też trochę to zaniedbałem - przyznał. - Nie pytałem o to Rickarda Berglunda, żona mu umiera i to wszystko razem... Kiedy nie śpi, większość czasu spędza u niej w szpitalu. Choć mieliśmy bardzo interesującą rozmowę... to ciekawy człowiek. Przestał być pastorem, żeby móc zachować wiarę, coś w tym stylu. Może jeszcze zamienię z nim słówko.
- Zamień - odparła Backman. - A Tomas Winckier?
- Mówi, że rano grał w golfa, a po południu był sam w domu.
- Kiedy żona robiła zakupy w mieście?
- Tak przypuszczam. Ale nie sprawdziłem tego. Jest przecież jeszcze jeden aspekt. Jak długi czas wchodzi w grę?
- Wytłumacz - odparła Backman.
- No więc tak. Jeżeli policzymy czas, jaki sprawcy zajęłoby przewiezienie Grootha stąd do Rónninge, dajmy na to samochodem, później do wzgórza Gåsa, zepchnięcie go i powrót... to wyjdzie nam pewnie jakaś godzina. Zależy to oczywiście od sporej liczby niewiadomych czynników. Ale jeśli poza tym trzeba go było przewieźć z Lund... no to sytuacja jest zupełnie inna.
- Zgadza się - odpowiedziała Backman. - Najmniej czasu upłynęłoby, gdyby po prostu mieli randkę w lesie. Jeżeli Grooth, powiedzmy, dotarł tam własnym pojazdem, a morderca później... jakoś zabrał ten pojazd. Już po wszystkim.
- Albo morderczyni - rzekł Barbarotti.
- Albo morderczyni.
- Nie brzmi zbyt wiarygodnie - stwierdził Barbarotti.
- No właśnie. Wiesz, co sobie nagle pomyślałam?

- Nie - odparł Barbarotti. - Co pani inspektor nagle sobie pomyślała?
Eva Backman odchrząknęła.
- Pani inspektor pomyślała sobie nagle, że zaraz się okaże, iż cała trójka., czy czwórka... przedstawi wyśmienite alibi na tę sobotę lub na jej większą część, a my tracimy młodość na takie spekulacje.
- Mielibyśmy się z pyszna - powiedział Barbarotti. - To nie ja zacząłem.
Eva Backman wybuchnęła śmiechem.
- Jeden pies. Ale gdybyśmy mieli dociągnąć zabawę do końca, kogo z tej trójki byś wykluczył?
Barbarotti zastanawiał się dziesięć sekund.
- Nie wydaje mi się, żeby to mógł być Rickard Berglund
- powiedział w końcu.
- A mnie się nie wydaje, żeby to mogła być Gunilla Winckler-Rysth - odparła Eva Backman.
- No to został nam tylko Tomas Winckler - stwierdził Barbarotti. - Myślisz, że powinniśmy do niego pojechać i go zaaresztować?
- Jakie zrobił na tobie wrażenie?
- Dość niesympatyczne - przyznał Barbarotti. - Ale ja nie znoszę ludzi, którym się powiodło, więc nie jestem obiektywny. Myślę, że zdradza żonę na prawo i lewo.
- Skąd to wiesz?
- Poczyniłem pewną obserwację.
- Zobaczyłeś go z inną kobietą?
- Skąd to wiesz, że tak zacytuję superglinę?
- Intuicja - powiedziała Backman i znów się uśmiechnęła. - Tak czy siak, zdrada małżeńska to nie przestępstwo. Z jakiegoś powodu. Ale czy potrafisz sobie wyobrazić Tomasa Wincldera w roli mordercy?
Gunnar Barbarotti zastanowił się.
- Tak właściwie to nie - powiedział z westchnieniem.

Eva Backman wstała i patrzyła kilka sekund na padający za oknem deszcz. Zaczął trochę słabnąć, może przed świętami przestanie padać. Odwróciła się i podsumowała.

- No, to na razie tyle. Z powrotem na start, można by powiedzieć. Nie mamy żadnego prawdopodobnego mordercy, do niczego nie doszliśmy, wszystko wykluczyliśmy. Czyli w takim razie ustalamy, że Germund Grooth zmarł... stosunkowo naturalną śmiercią?

- Dobre sformułowanie - odparł Barbarotti. - Stosunkowo naturalna śmierć. Ale w to również nie wierzę. Jak się nazywa ktoś, kto w nic nie wierzy?

- Nihilista - powiedziała Eva Backman. - Jesteś przeklętym nihilistą, powinieneś spróbować wziąć się w garść. Musimy to uporządkować.

- Od czego zaczniemy? - zapytał Barbarotti.

- Zaczniemy od tego, że skończymy spekulacje - zdecydowała Backman.

37

Wróbel w podróży. Sierpień 1972.

Dziś dzień czternasty, o ile dobrze liczę. Wczoraj przekroczyliśmy granicę z Rumunią. Zajęło to godzinę, ale zaczynamy się uczyć. Celnicy bardzo chcą nas zatrzymać, sprawdzają nasze wizy przez szkło powiększające, szukają wszystkiego co się da, ale tak naprawdę chcą tylko papierosów i trochę zachodniej waluty Przy każdej granicy jest tak samo. Tym razem skonfiskowali numer „Expressen", który leżał w autobusie, odkąd wyjechaliśmy ze Szwecji. Powiedzieli, że to literatura pornograficzna, nie pomogły wyjaśnienia Tomasa, że to największa gazeta codzienna w naszym kraju. Szmatławca jednak ochoczo oddaliśmy; jeżeli taka czy inna goła pierś jest w stanie dać im trochę radości, to niech mają.

Jeżdżenie w takiej ciasnocie z innymi ludźmi jest trochę

męczące, chyba nie tylko Germund i ja tak uważamy. Trzeba tworzyć własne rewiry na ile się da. Ja najbardziej lubię po prostu siedzieć przy oknie i patrzeć na przesuwający się krajobraz. Albo czytać; nasza wspólna biblioteka ma w sumie trzydzieści pozycji, już przeczytałam połowę. W następnym dużym mieście spróbujemy znaleźć porządną księgarnię i odświeżyć nieco asortyment. Powinny przynajmniej być książki po angielsku i po francusku, nawet w Rumunii, pytanie brzmi raczej, czy tu są jakieś większe miasta. Odkąd przejechaliśmy granicę, mijaliśmy tylko wsie, czasem taką czy inną mniejszą miejscowość. Jedziemy prosto do Transylwanii. Tomas czyta właśnie o Draculi, czy też hospodarze Vladzie Tepesu, jak się naprawdę nazywał. Mówi, że był ludowym bohaterem i że cały zachodni świat go nie rozumie. Ja tam nie wiem, mój cudowny braciszek lubi opowiadać takie rzeczy.

Picie zaczyna mnie męczyć. Każdego dnia wlewamy w siebie piwo, wino i rum. Germund kupił w Austrii rum Stroh, jest tak cholernie mocny, że można się upić już kilkoma łykami. Nie da się pić czystego, mieszamy go z herbatą, ale to nic nie pomaga. Zwłaszcza pozostałe damy są praktycznie co wieczór wstawione, nie potrafią dużo wypić, ale myślę, że lubią być trochę ululane. Rickard i Tomas też lubią, kiedy one są w takim stanie, rozluźniają się wtedy, nie ma co do tego wątpliwości.

Rozmawialiśmy o tym, żeby niedługo zafundować sobie kilka nocy w hotelu. Niewątpliwie przydałby się dobry prysznic, porządne łóżko i trochę odosobnienia. Inna rzecz, czy ten kraj ma w ogóle coś takiego do zaoferowania. Zgodnie z wyliczeniami kapitana Tomasa zbliżamy się do miasta o nazwie Timisoara; powinniśmy tam dotrzeć przed wieczorem, ale drogi są wąskie i kiepskie. Ciągle jadą przed nami traktory i wszystkie możliwe maszyny rolnicze, ciężko się je wyprzedza i nie wydaje mi się, żeby nasza średnia

prędkość była większa niż trzydzieści-czterdzieści kilometrów na godzinę.
Jeżeli naprawdę znajdziemy tu gdzieś jakiś hotel, nie miałabym nic przeciwko pojedynczemu pokojowi. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym to wytłumaczyć Germundowi, ale możliwe, że on myśli podobnie. Przez ostatnie dni właściwie tylko czyta grubą książkę zatytułowaną ***Husserl, Lobatjevskij and the Hundred-and-one Rabbits,*** twierdzi, że to jakieś matematyczno-filozoficzne arcydzieło, cokolwiek to znaczy. W każdym razie jest jeszcze bardziej niedostępny niż zwykle, ale jak już mówiłam, nie cierpię z tego powodu. Wręcz przeciwnie.
Jeżeli chodzi o pozostałych towarzyszy podróży, wydaje się, że Gunilla trochę odżyła. W każdym razie zauważyłam, że w nocy pieprzą się tam, na przodzie autobusu, to bez wątpienia dobry znak. O ile kogoś w ogóle obchodzi to, by jego bliźni czuli się dobrze, bo mnie nie bardzo. Ale łatwiej podróżować z ludźmi, którzy nie są przygnębieni, to wszystko.
Anna i Rickard nie są przygnębieni ani trochę, oboje piszą pamiętnik i do wszystkiego zdają się podchodzić ze swego rodzaju głęboką, optymistyczną powagą. Wszystko jest ciekawe, wszystko warte zanotowania, nawet jeśli jest to tylko stojący przy drodze ufajdany dziad, okładający swoją jeszcze bardziej ufajdaną maciorę kijem od szczotki.
Tomas jest, jaki jest, nie chce mi się o nim gadać.
Tęsknię za morzem, które teraz jest tak kurewsko daleko. Tomas mówi, że potrzebujemy trzech albo czterech dni, żeby przez Rumunię dojechać do Morza Czarnego. Myślę jednak, że z taką prędkością, jaką obecnie rozwijamy, zajmie to tydzień. Choć może zdecydujemy się jechać kiedyś w nocy, proponowałam to, ale na razie nie zyskałam posłuchu. Germund i Tomas mogą się przecież zmieniać za kierownicą, jednak z jakiegoś powodu Tomas twierdzi, że nie

mamy po co się śpieszyć. Planuje na przyszły rok wycieczki z prawdziwymi pasażerami, ale za cholerę nie może kazać ludziom płacić za to, że będą się wlec za zdezelowanymi maszynami rolniczymi w socjalistycznej arkadii - Rumunii. Chyba będzie się musiał zadowolić arkadiami, które już zaliczyliśmy: Polską, Czechosłowacją, Węgrami i Jugosławią. Jeżeli chce się poznać blok wschodni, wystarczy aż nadto.
Jutro będę miała okres, dlatego chcę poprosić całą ludzkość, żeby spierdalała.
Zanim skończę, tylko jeden epizod z Germundem.
Zdarzyło się to wczoraj w nocy. Położyliśmy się za swoją zasłonką, a on zapytał, czy mam ochotę się pieprzyć. Powiedziałam, że niedługo będę miała okres, i zaproponowałam, żebyśmy dali sobie spokój.
- Okej - odpowiedział. - To w takim razie poczytam.
- Poczytaj - odparłam. - Ja chyba pójdę spać.
Jednak zanim zdążyłam zasnąć, przyszło mi coś do głowy.
- A jeżeli chodzi o śmierć twoich rodziców - odezwałam się - jest w tym coś, co trzymasz w tajemnicy, prawda?
Nie wiem, skąd mi się to wzięło, po prostu przyszło.
- Co chcesz przez to powiedzieć, do cholery? - zapytał Germund.
- To, co mówię - odparłam. - Czuję, że czegoś mi nie opowiedziałeś.
Zamknął książkę, którą dopiero co otworzył. Przewrócił się na plecy, splótł dłonie na karku i dobrą minutę wpatrywał się w dach autobusu. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, było jednak słychać po jego oddechu, że myśli, aż furczy
Sama również leżałam bez słowa i myślałam, że albo to z siebie wydusi, albo nie. W końcu westchnął ciężko i odezwał się:
- To prawda. Ale nie mogę ci powiedzieć, co to jest.
- Nawet mnie nie możesz powiedzieć? - zapytałam.
- Nawet tobie - odparł Germund. - W każdym razie jeszcze

nie.
- Uznam to za obietnicę na przyszłość.
- Uznaj to sobie, za co chcesz. Jest coś jeszcze, co chciałabyś wiedzieć?
- Nie - odparłam. - Już nic.
- To dobrze - powiedział Germund i na powrót otworzył książkę.

38

Przesłuchanie 471111-4666 Elisabeth Katariny Martinsson (EM) w jej mieszkaniu w Strömstad. Data: piątek, 1 października. Obecni: asystent kryminalny Alexander Tillgren (AT), asystent kryminalny Claes-Henrik Wennergren-Olofsson (WO). Przesłuchanie zaczyna się o godzinie 13.22.

AT: Proszę podać nazwisko i adres.
EM: Elisabeth Martinsson. Badhusgatan 14, Strömstad.
AT: Dziękuję. Ja się nazywam Alexander Tillgren. Jestem asystentem kryminalnym policji w Kymlinge. Razem z obecnym tutaj kolegą Wennergrenem-Olofssonem zadam pani parę pytań i chciałbym, żeby pani odpowiadała szczerze. Dotyczy to dwóch przypadków śmierci, które obecnie badamy. Marii Winckier, która trzydzieści pięć lat temu zginęła w okolicach wzgórza Gåsa w Rönninge koło Kymlinge,
I Germunda Grootha, którego ciało znaleziono w tym samym miejscu w zeszłym tygodniu. Czy oba te przypadki są pani znane?
EM: Oczywiście. Byłam przecież przy tym w 1975 roku
I rozmawiałam już z jakąś policjantką. We wtorek, o ile dobrze pamiętam.
AT: Czy może nam pani opowiedzieć o tym, co się stało w 1975?
EM: Oczywiście. Czegoś takiego się nie zapomina, poza tym, tak jak mówię, odświeżyłam sobie pamięć kilka dni temu.

AT: Przykro mi, że musimy jeszcze raz przez to przechodzić.
EM: Nie szkodzi. Byłam świeżo zatrudniona w tej szkole, Kymlingevik, chyba tak się nazywała. Jako nauczycielka plastyki byłam tam chyba tylko dwa lata, później zajęłam się czym innym. W którąś niedzielę pojechaliśmy na wycieczkę, zaprosiła mnie para nauczycieli, również świeżo zatrudnionych. Właśnie Maria Winckler i Germund Grooth. Zbieraliśmy grzyby w lesie blisko miejsca zwanego wzgórzem Gåsa i po jakimś czasie Maria spadła z urwiska i zginęła. Tak by to w skrócie wyglądało, że tak powiem.
AT: Dlaczego wszczęto śledztwo?
EM: Dlatego, że krzyknęła coś, spadając. Byłam blisko i słyszałam to w miarę wyraźnie. Wydawało mi się, że krzyknęła: „Morderca!".
AT: „Morderca"?
EM: Tak. Pozostali słyszeli mniej więcej to samo. Nikt nie widział, jak spadała, byliśmy rozproszeni, ale wszyscy usłyszeli, że coś krzyknęła. Było w tym długie eee. Jak „Smieeerć!" albo „Mordeeerca!". Sporo o tym rozmawiałam wtedy z inspektorem. Nazywał się Sandelin, czy jakoś tak.
AT: Inspektor kryminalny Sandlin, tak, czytaliśmy jego protokół.
EM: W takim razie dlaczego tu panowie siedzą? Moje odczucia się nie zmieniły od tamtego czasu.
AT: Siedzimy tutaj, ponieważ narzeczony Marii Winckler, Germund Grooth, został teraz znaleziony martwy w tym samym miejscu, przecież pani o tym wie. Co pani zrobiła, kiedy usłyszała krzyk Marii?
EM: Naprawdę muszę mówić to wszystko raz jeszcze?
AT: Prosilibyśmy.
EM: No dobrze. Pobiegłam tam, ma się rozumieć. Z początku nie wiedziałam, co się stało, ale spojrzałam w dół i zobaczyłam, jak ona tam leży. Byłam pierwsza na miejscu, ale pozostali przyszli zaraz po mnie. Szybko zaczęliśmy do

niej schodzić, była tam taka ścieżka. Zejście zajęło z pół minuty, nie, może trochę dłużej. Chyba od razu zrozumiałam, że nie żyje, ale mimo to zaczęłam jej robić sztuczne oddychanie. Choć zaraz przestałam, to było bez sensu. Potem przyszli pozostali.
AT: Kto był ostatni?
EM: Słucham?
AT: Czy zwróciła pani może uwagę, kto przyszedł na miejsce jako ostatni?
EM: Nie. Dlaczego bym miała. Byłam w szoku, pozostali również. Myślę, że wszyscy się tam zeszli w ciągu minuty.
AT: Co pani pomyślała? Wiedziała pani, że Maria krzyknęła „Morderca!". Myślała pani, że co zaszło?
(Dziesięciosekundowe wahanie przesłuchiwanej)
EM: Nie wiem, co pomyślałam. Nie sądzę, żebym od razu zastanawiała się nad tym, co krzyknęła.
AT: Coś jednak musiała pani pomyśleć? Musiała pani próbować wyobrazić sobie, co się stało?
EM: ***(Po kolejnym wahaniu)*** Trochę czasu to zajęło, ale oczywiście, że taka myśl przemknęła mi przez głowę. Myśl, że ktoś ją zepchnął.
AT: Tak pani pomyślała?
EM: Tak, a co miałam pomyśleć, do cholery? Ale to dopiero po chwili, kiedy już tam staliśmy, czekaliśmy i nie wiedzieliśmy, co robić. Leżała, a my staliśmy dookoła niej, wiadomo, że w takiej sytuacji myśli się różne rzeczy.
AT: Czyli zastanawiała się pani, czy ktoś z obecnych mógł ją zepchnąć?
EM: Tak. Albo może ktoś spoza grupy. Jakiś szaleniec, który był w lesie, czy jakoś tak. Albo czy po prostu nie spadla. Choć głównie myślałam o pozostałych.
AT: Proszę mówić dalej.
EM: Żadnego z nich przecież nie znałam, to była paczka znajomych, wszystko wskazywało na to, że znają się od

dawna. Byli na przyjęciu na jakiejś plebanii, jeden z nich był pastorem. Germund i Maria pracowali w szkole, ale od początku roku minął dopiero niecały miesiąc. To Maria zapytała, czy chcę z nimi jechać.
AT: Kiedy o to zapytała?
EM: Rozmawiałyśmy w palarni, chyba dwa dni wcześniej. Tak jak mówię, nie miałam zielonego pojęcia, co myśleć. Stałam tam w krzakach czarnych jagód z czterema obcymi ludźmi i jedną martwą kobietą. Brat Marii pobiegł po pomoc, my zostaliśmy i pilnowaliśmy, czy jak to tam nazwać.
AT: O czym rozmawialiście?
EM: Rozmawialiśmy niewiele. Z tego co pamiętam, byliśmy raczej cicho. Z jakiegoś powodu wydawało się to najbardziej naturalne. Choć po jakimś czasie ktoś poruszył temat krzyku. Powiedział, że spadając, krzyknęła. Było trochę różnych opinii, ale nie, o tym również dużo nie rozmawialiśmy.
AT: Kiedy zeszliście do Marii, czy Germund pomagał robić sztuczne oddychanie?
EM: Nie. Tylko stał. Czy klęczał, tak, po chwili upadł na kolana. Uznałam, że jest w szoku. Oniemiał, można powiedzieć.
AT: Cofnijmy się trochę w czasie. Jak dojechaliście do wzgórza Gåsa?
EM: Samochodem oczywiście. Ja jechałam z pastorostwem, bratem Marii i jego żoną.
AT: To znaczy, że Germund Grooth i Maria Winckler jechali tam sami?
EM: Tak. Było to trochę kłopotliwe. Odebrała mnie czwórka osób, których nigdy wcześniej nie widziałam. Było tak jednak dlatego, że mieszkałam po drodze. Maria i Germund musieliby jechać tam i z powrotem, żeby mnie zabrać... to chyba był powód.
AT: Rozumiem. Jaka była atmosfera w grupie?

EM: W samochodzie czy w lesie?
AT: Najlepiej i tu, i tu.
EM: Powiedziałabym, że wszyscy byli trochę przygaszeni. Nie mówili dużo. W samochodzie chyba tylko ten Tomas się odzywał, po tym jak już się przywitaliśmy. W lesie też nie było specjalnej okazji do rozmowy. Umówiliśmy się, że po dwóch godzinach wypijemy razem kawę, ale nie zdążyliśmy.
AT: Maria już wtedy nie żyła?
EM: Tak.
AT: Ale wszyscy byli przygaszeni już wcześniej?
EM: Tak mi się zdawało. W końcu poszli do lasu osobno. Nie zachowywali się jak dobrzy przyjaciele.
AT: Nikt się jednak nie kłócił?
EM: Nie. A przynajmniej ja nie zauważyłam.
AT: Czy poznała pani Germunda Grootha? W szkole.
EM: Nie, nie znałam go.
AT: Ale oboje pracowaliście do końca roku szkolnego, prawda?
EM: Tak, ale to nie oznacza, że trzeba się spotykać. W szkole pracowało co najmniej pięćdziesięciu nauczycieli. Większości z nich nie znosiłam, jeśli mam być szczera.
AT: Czy nie znosiła pani Germunda Grootha?
EM: Ani mnie on ziębił, ani grzał. Mówiliśmy sobie cześć i to wszystko.
AT: Pomimo tego przeżycia w lesie?
EM: Tak. Wydawało mi się, że on nie chce o tym rozmawiać.
AT: Czy była pani na pogrzebie Marii?
EM: Nie. Pytali mnie, czy przyjadę, ale to było w Sundsvall. Tam miała rodzinę.
AT: Jak to się stało, że została pani zaproszona na tę wycieczkę? To Maria Winckier wyszła z tą propozycją?
EM: Tak. Ale jej także nie znałam. To był przypadek, ponieważ akurat o tym wspomniała. Powiedziałam, że fajnie tak wyjechać na łono natury, i wtedy mnie zaprosiła. Nie-

zbyt dobrze to pamiętam. Myślę, że bym ją polubiła, również nie bardzo pasowała do grona pedagogicznego. Była trochę dziwna, Germund chyba też.
AT: Kogo miała pani w zasięgu wzroku, kiedy usłyszała krzyk Marii?
EM: Ani żywej duszy. Chodziłam sama. Pozostali najwyraźniej też. Ale to chyba ja byłam najbliżej Marii, bo dotarłam tam pierwsza.
AT: Czy może pani opowiedzieć o tym, jak Germund Grooth dostał w nos?
EM: Słucham?
AT: Grooth ściął się z kolegą, na pewno zna pani tę sprawę.
EM: Ściął się z kolegą? Nie wiem, o czym pan mówi.
AT: W semestrze letnim, nie mogło to ujść pani uwadze.
EM: Chwileczkę, proszę pana. Nic na ten temat nie wiem.
WO: A jeżeli powiem „pijawki", co pani na to?
EM: Pijawki?
WO: Bardzo proszę o szybką odpowiedź. Ja mówię „pijawki", pani odpowiada...?
EM: Odpowiadam, że pan oszalał.
WO: Zapamiętam to.
AT: Przepraszam. Powracając do Germunda Grootha
I tego incydentu z kolegą. Nie przypomina go pani sobie?
EM: Nie, i nie rozumiem, co mają do tego pijawki. Czy z pańskim kolegą wszystko w porządku?
AT: Przejdźmy dalej. Czy widziała się pani z Germundem Groothem po tym, jak zakończył pracę w szkole Kymlingevik w czerwcu 1976 roku?
EM: Widziałam go, ale z nim nie rozmawiałam.
AT: Więcej niż raz?
EM: Tylko raz. Ale pamiętam, bo byto to dość specyficzne.
AT: Czy mogłaby pani o tym opowiedzieć?
EM: Oczywiście. To bylo na promie do Finlandii. Chyba Silja Line. Płynęłam tam i z powrotem z mężem, od dawna

jesteśmy rozwiedzeni. Taki tam weekendowy rejs. To była zima, początek lat osiemdziesiątych, naszej córki jeszcze nie było na świecie. No i Germund Grooth płynął tym samym promem.
AT: Co było takie specyficzne?
EM: Może to nic nadzwyczajnego, ale siedział przy stoliku w restauracji razem z dwiema wysztafirowanymi kobietkami.
WO: Z dwiema?
EM: Tak.
WO: Wysztafirowanymi?
EM: Właśnie. O ile pan wie, co mam na myśli. I obie, że tak powiem, zabawiał. Kiedy odchodzili od stołu, jedną
I drugą obejmował w pasie. Ja tam nie wiem, cholera, ale byli lekko naprani i mąż powiedział, że pewnie idą na dół do kajuty na mały trójkącik.
WO: O cholera.
AT: I to wszystko?
EM: Tak, był odwrócony do nas plecami, więc mnie nie zobaczył. Zresztą, nie jestem pewna, czyby mnie poznał. Minęło kilka lat, odkąd ostatni raz widzieliśmy się w szkole Kymlingevik, pięć, może sześć. Ale ja od razu poznałam, że to on. Minęliśmy ich, idąc do stolika.
AT: Rozumiem. A pozostali? Czy spotkała pani kogoś z nich po 1975?
EM: Widziałam kilka razy pastora i jego żonę, kiedy byłam w Kymlinge, ale później raczej nie.
WO: Raczej?
EM: Jestem w miarę pewna, że żadnego z nich nie spotkałam.
WO: Interesujące.
AT: Okej. Jeszcze tylko kilka pytań. Czy kiedykolwiek uważała pani Marię Winckier za osobę o skłonnościach samobójczych?
EM: Nie.

AT: A Germunda Grootha? Czy według pani on mógł mieć skłonności samobójcze?
EM: Nie, ale znam raczej niewielu kandydatów na samobójców, więc nie bardzo wiem, jak się zachowują.
AT: Co robiła pani w sobotę? Chodzi mi o sobotę 25 września.
EM: Dlaczego pan o to pyta?
AT: To rutynowe pytanie. Muszę je zadać.
EM: Myśli pan, że pojechałam do lasu i zepchnęłam tego pieprzonego Grootha ze wzgórza?
AT: Oczywiście, że nie. Rozumie pani jednak z pewnością, że muszę o to zapytać. I poprosić o odpowiedź.
(Dziesięciosekundowy namysł osoby przesłuchiwanej)
EM: Myślę, do ciężkiej cholery, że cały dzień malowałam. O, to ***/wskazuje na duży obraz olejny, stojący na sztalugach w pokoju/.*** Tak, zgadza się, zaczęłam tworzyć to arcydzieło w sobotę.
AT: Była pani sama?
EM: Jasne, że tak. Chyba nie myśli pan, że obrazy maluje się grupowo?
AT: Czy w ciągu tego dnia z kimś się pani widziała?
EM: ***(Po krótkim wahaniu)*** Rano wypiłam kawę z przyjaciółką. Na dole w Strands, czasem jemy tam śniadanie.
AT: I później poszła pani do domu i malowała?
EM: Tak, później poszłam do domu i malowałam. Coś w tym złego?
AT: Oczywiście, że nie. W jakim mniej więcej przedziale czasowym była pani w domu sama?
EM: Diabli wiedzą. Chyba od dziesiątej. I przez resztę dnia.
AT: Rozmawiała pani z kimś przez telefon?
EM: Nie przypominam sobie. Zwykle kiedy pracuję, wyłączam wszystkie telefony.

AT: Rozumiem. W takim razie nie mam więcej pytań. Czy chciałaby pani dodać coś jeszcze, co mogłoby nam się przydać?
EM: Nie, nie wiem, co by to mogło być. Czyli według panów Germunda ktoś zepchnął?
AT: Jest taka możliwość. Rozpatrujemy kilka wersji.
EM: A co przemawia za tym, że nie skoczył sam?
AT: Nie możemy o tym mówić.
EM: Aha, doprawdy? No to życzę panom powodzenia w śledztwie. Czy coś jeszcze?
WO: Przepraszam, pani Martinsson. Odnoszę wrażenie, że coś pani ukrywa. Proszę wyprowadzić mnie z błędu, jeśli się mylę.
EM: Ukrywam coś? A gówno ukrywam. Trzydzieści pięć lat temu przypadkiem znalazłam się w lesie, w którym zginął człowiek. Poza tym nie mam zupełnie nic wspólnego ani z Marią Winckler, ani z Germundem Groothem.
WO: I nie jest tak, że mówi nam pani nieprawdę?
EM: ***(Odwraca się do AT)*** Mógłby pan wziąć swojego kolegę i już stąd wyjść? I spróbować w drodze powrotnej nauczyć go trochę kultury? Myślę, że pan wie, o czym mówię.
AT: Dziękuję, pani Martinsson. Przesłuchanie się kończy. Jest godzina 13.47.
Protokół spisany 4.10.2010. Spisał: asystent ktymiiuilny Alexander Tillgren.

39

Kiedy wreszcie dotarli do Timisoary, było wpół do dziewiątej wieczorem i zaczynało się ściemniać. Był 8 sierpnia. Rickard zapisał w swoim dzienniku, że jest to rocznica podpisania traktatu pokojowego między zwycięskimi mocarstwami a Japonią po drugiej wojnie światowej - data, dzięki której dostał punkt na sprawdzianie w liceum i której pewnie nigdy nie zapomni - oraz pierwszy dzień, kiedy w

grupie zapanowała wyraźnie niemiła atmosfera. Zapisał również, że był to wtorek.
Kiedy studiował w Uppsali, przestał odczuwać wtorkową antypatię; jeśli w ogóle o niej myślał, to bardziej na zasadzie przesądnego odruchu, jak wtedy, kiedy unika się przechodzenia pod drabiną albo spluwa trzykrotnie, kiedy drogę przebiegnie czarny kot. Kiedy jednak mijali ciemne, nieznane ulice obcego miasta, o których można by powiedzieć wszystko prócz tego, że wyglądają zachęcająco, to uczucie wróciło jako swego rodzaju atawizm. Musimy przetrzymać ten wieczór, pomyślał. Musimy znaleźć miejsce na obóz. Wszystko się ułoży, jutro znów zaświeci słońce, a my cały czas jesteśmy w drodze nad Morze Czarne.
Wiedział, że te myśli są dziecinne i zaklinające rzeczywistość, kiedy jednak wyglądał przez okno autobusu, wyraźnie czuł jakąś nieprzyjazną siłę. Przyczajoną. Tak jakby wjechali na zakazany teren. Popatrzył na pozostałych, wyglądali tak, jakby myśleli podobnie. Nikt ani słowem nie skomentował ponurego otoczenia, wszyscy tylko w milczeniu obserwowali opustoszałe chodniki i pogrążone w ciemności fasady domów. Prawie żadna uliczna latarnia się nie paliła, pojedyncze brudnożółte lampy, huśtane podmuchami wiatru, wydawały się raczej przyciągać mrok, niż go rozpraszać. Padał deszcz, Rickard poczuł, że nad całym miastem wisi atmosfera grozy. Siedzący za kółkiem Germund nie zdradzał najmniejszej ochoty zatrzymania autobusu, tylko powoli i metodycznie manewrował po śliskich, wyboistych kocich łbach, zniszczonym asfalcie, przez tory tramwajowe, bez wahania skręcał w prawo i w lewo, jakby wiedziony jakąś wewnętrzną busolą, jednak z jakiegoś powodu nikt nie pytał go, dokąd jedzie.
Atmosfera w autobusie była kiepska już po południu. Zapanowała różnica zdań co do tego, czy powinni zrobić postój przed Timisoarą, czy też spróbować dotrzeć tam przed

wieczorem, przy czym zdania nie były podzielone pomiędzy dwa obozy, różnice tkwiły w każdym z nich. Było to swego rodzaju umęczone i zaczepne niezdecydowanie, stale podsycane fatalnymi drogami oraz pojawiającymi się co chwilę traktorami i maszynami rolniczymi, których nie dało się wyprzedzić. Można było tylko spokojnie czekać, aż zjadą przy następnym polu albo skręcą do następnej wsi. Rickard przestudiował mapę i obliczył, że ich średnia prędkość wynosi mniej niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Jechali jedenaście godzin i pokonali trzysta osiemdziesiąt kilometrów.

Celem zaś była owa Timisoara, miasto, które wyglądało, jakby przykucnęło, czekając na atak bombowy. Rickard zapisał to porównanie w swoim dzienniku i kiedy pokazał je Annie, skinęła głową i przepisała do swojego.

W końcu Germund zatrzymał się przed czymś, co wyglądało jak duży magazyn. Jeśli w ogóle kiedykolwiek znajdowali się w bardziej centralnych częściach miasta, teraz je opuścili. Ulica, na której stali, była wąska i wyludniona, obramowana z obu stron dużymi, pogrążonymi w ciemności budynkami, jakieś trzydzieści metrów od nich widniała otwarta okratowana brama i jakieś słabo oświetlone znaki ostrzegawcze. Rickard uznał, że to dlatego Germund się zatrzymał. Ślepa uliczka; nie można było jechać dalej, należało zawrócić.

- Jedź - powiedział Tomas. - Zakręć. Nie możemy tu tak stać.
- Nie chce mi się jechać dalej - odparł Germund. - Dlaczego nie przenocujemy tutaj?
- Tutaj? - zapytała Gunilla. - Zgłupiałeś? Nie możemy tu zostać.
- Autobus wygląda przecież tak samo, niezależnie od tego, gdzie go postawimy No, chyba że chciałaś spać na zewnątrz.
- Myślałam, że coś przekąsimy - wtrąciła Anna.
- Ile restauracji widziałaś, odkąd wjechaliśmy do tego

miasta duchów? - zapytał Germund.
- Tu musi być jakiś kemping - powiedział Tomas. - Timisoara to w końcu duże miasto.
- Nigdy nie widziałam bardziej ponurej i nieprzyjaznej dziury - odezwała się Maria. - Ogłosili tu stan wyjątkowy, czy co?
- Weźmy się w garść - rzekł Tomas. - Popytamy ludzi. Chcesz, żebym cię zastąpił, Germund?
- Okej - odpowiedział Germund i wygramolił się z siedzenia kierowcy. - Ale nie rozumiem, co szkodzi zostać tutaj. Mamy piwo, owoce i żarcie na kolację. Chyba żadnych sklepów spożywczych tu nie widziałem. Wieczorna toaleta na chodniku; jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one.
- Nie widzę żadnych chodników - powiedziała Gunilla.
- To chyba musisz wytrzymać do jutra - odparł Germund i przesiadł się na sam tył autobusu.
Rickard Berglund zanotował w swoim dzienniku słowo ***kryzys,*** po czym go zamknął.
Zanim Tomas znowu odpalił autobus, siedział przez chwilę z Rickardem przy mapie. Miał to być plan Timisoary, kupili go przy granicy, po pięciu minutach jednak się poddali. Nie było zaznaczonych żadnych kempingów, zresztą prawie w ogóle nic nie było oznaczone i nie wiedzieli, w której części miasta się znajdują.
- Przejadę przez tę bramę na wprost i zawrócę - powiedział Tomas. - Zaryzykujmy.
- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł wjeżdżać na tamten teren - odezwała się Gunilla. - Te znaki świadczą w każdym razie o tym, że nie jesteśmy mile widziani.
- Nie widzę żadnych strażników - odparł Tomas. - Tylko wjadę i zakręcę.
Zapalił silnik i pomału przejechali przez otwartą bramę. Tuż za nią był plac z kilkoma blaszanymi barakami. Zakręcił,

żeby za chwilę wyjechać, ale zanim zdążył skierować autobus na odpowiedni kurs, otoczyło ich czterech mężczyzn w wojskowych mundurach. Dwóch z nich stało przed autobusem i mierzyło w Tomasa z broni automatycznej.
- Kałasznikowy - powiedział Tomas. - O kurwa, mają kałasznikowy.
Jeden z mężczyzn coś krzyknął i wykonał gest bronią.
- On chce, żebyś wysiadł - wyszeptała Gunilla, Rickard zaś pomyślał, że wygląda jak przerażone zwierzątko z komiksu.
- Mówiłam przecież, żebyśmy tu nie wjeżdżali.
- Wszystko będzie dobrze - rzekł Tomas. - Wytłumaczę, że trochę zabłądziliśmy i po prostu chcieliśmy wyjechać.
Wysiadł z autobusu i podszedł do dwóch mężczyzn stojących w świetle reflektorów. Mężczyzna, który machnął kałasznikowem, machał nim dalej.
- Chyba - powiedział Rickard i zauważył, że trudno mu powstrzymać głos przed drżeniem - chyba chcą, żebyśmy wszyscy wysiedli.
- Weźcie paszporty - poleciła Anna. - Na pewno będą chcieli je sprawdzić. No i trochę papierosów też by się przydało.
- Wdechowo - powiedziała Maria. - Te fajne chłopaki na pewno wiedzą, gdzie jest jakiś dobry kemping. Zgodzicie się, że wyglądają na pomocnych.
Stanęli rzędem przy ścianie. Od pierwszej chwili Rickard miał wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę. To była tylko zabawa, teatr albo jakiś idiotyczny kawał. Takie rzeczy się po prostu nie dzieją, a przynajmniej nie z taką obsadą. Sześcioro Bogu ducha winnych Szwedów, którzy nagle znaleźli się bardzo daleko od domu i nie mieli pojęcia, jak się zachować.
Ani co ich czeka. Po długim i dokładnym przestudiowaniu paszportów - przez trzech mężczyzn, czwarty stał nadal z na wpół uniesionym karabinem i pilnował, żeby nikomu z grupy nie przyszło do głowy nic niewłaściwego - jeden z

nich, może dowódca, bo wyglądał na najstarszego, schował je do kieszeni na piersi i powiedział coś do pozostałych. Dwaj skinęli głowami, a trzeci, który wyglądał na sporo młodszego i mógł być nawet nastolatkiem, zaśmiał się głośno, za co dostał reprymendę. Tomas zaczął mówić po angielsku, że chcieliby odzyskać paszporty, ale umilkł, kiedy dowódca wrzasnął, podniósł kałasznikowa i omiótł lufą całą grupę.
Znak był wyraźny. Rickard poczuł, że stojąca obok niego Anna próbuje wsunąć swoją dłoń w jego, ale pomyślał, że to może nieodpowiednie, i ją odepchnął. Mężczyźni rozmawiali teraz między sobą. Trzech zapaliło papierosy; nie, nie rozmawiali, to raczej dowódca wydawał rozkazy. To głównie on mówił, pozostali kiwali tylko głowami i czasem wtrącali krótkie komentarze. Najmłodszy znowu się zaśmiał, urywanym śmiechem, w którym nie było radości i który brzmiał raczej jak szczekanie psa, ale tym razem nie dostał reprymendy.
Upłynęło kilka minut. Rickardowi wydawało się to wiecznością. Sześcioro Szwedów stało pod ścianą, czterej rumuńscy żołnierze, czy kimkolwiek oni byli, stali cztery-pięć metrów dalej, palili i naradzali się. Brudna lampa wisząca na ścianie oświetlała całą tę scenę posępnym blaskiem. Gunilla zaczęła płakać, cichym, zduszonym płaczem, którego niemal nie było widać. Silnik autobusu wciąż warczał. Rickard zamknął oczy i modlił się w myślach do Boga. Cały czas padało.

40

- Tak sobie pomyślałam - rzekła Eva Backman. - Jeżeli rzeczywiście w grę wchodzą dwa morderstwa... albo przynajmniej jedno... to jaki jest motyw?
- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Gunnar Barbarotti. - I mogę przysiąc, że ty również.

- Masz absolutną rację. Nic a nic. Najgorsze jest jednak to, że nawet nie potrafię sobie żadnego wyobrazić. W każdym razie, jeśli mamy dwa morderstwa. Po co czekać trzydzieści pięć lat? Jaki szajbus zabija dwoje swoich przyjaciół w tak długim odstępie czasu?
- O ile to ktoś z nich.
- No właśnie. Choć może nie ma większego sensu zakładać, że to ktoś obcy. Nieprawdaż?
- Przynajmniej mielibyśmy kilku dodatkowych kandydatów - powiedział Barbarotti. - Ale może on nie zamierzał zabić obojga. Na początku.
- On? - zapytała Eva Backman.
- On albo ona. Jeżeli Germund Grooth rzeczywiście został zepchnięty do wąwozu Gåsa, w ostatnim czasie musiało się zdarzyć coś... co to uruchomiło.
- Uruchomiło?
Barbarotti westchnął.
- Nie wiem, cholera. Ale czy potrafisz wyobrazić sobie plan polegający na tym, że masz zabić dwie osoby - jedną dziś, a drugą za trzydzieści pięć lat?
- Wydaje się naciągane.
- No i właśnie o tym mówię - rzekł Barbarotti.
- Słyszę - powiedziała Backman. - Ale dlaczego w ogóle Grooth miałby być tak durny, żeby iść do lasu i dać się zabić? Skoro jego narzeczona zginęła tam swego czasu przed stoma laty, powinien przeczuwać, że coś tu nie gra. Nie był przecież imbecylem.
- Myślałem, że mamy skończyć spekulowanie.- Okej. Ale z tą grupą jest coś nie w porządku.
- Wiem - odparł Barbarotti. - Coś tu jest nie tak. Sandlin przeczuwał to w 1975 i my przeczuwamy to teraz. Zrobimy jeszcze jedną rundę ze wszystkimi? Tymi, którzy jeszcze żyją, ma się rozumieć.
- Dlaczego by nie? - powiedziała Backman. - Może z nieco

bardziej wyostrzonymi zmysłami. Nie zaszkodziłoby. Czego się dowiedziałeś z przesłuchania Martinsson? Po kolei.
- Wennergren-Olofsson to pacan.
- To wiedzieliśmy już wcześniej. A coś więcej?
Barbarotti wzruszył ramionami.
- Szczerze mówiąc, niewiele. Chyba jest tak, jak mówi. Trzydzieści pięć lat temu znalazła się na tej wycieczce. Z nikim z grupy nic jej nie łączy. A ty jak sądzisz?
Backman westchnęła.
- Ma słabe alibi. Ale oczywiście. Wydaje się mieć z tą sprawą bardzo niewiele wspólnego. Co my właściwie mamy? Co przemawia za tym, że Grooth został zamordowany?
Barbarotti się zamyślił.
- Zarezerwowana podróż do Paryża i rozmowa telefoniczna. To niewiele.
- I prócz tego brak środka transportu - dodała Backman.
- Ale to wciąż niewiele. Myślisz, że już czas iść do prokuratury?
- Chyba jeszcze trochę za wcześnie - odparł Barbarotti.
- Myślisz, że powinniśmy zamknąć sprawę?
- Chyba jeszcze trochę za wcześnie. A właśnie, ta rozmowa telefoniczna. Rozmawiałem ze Smutasem, okazuje się, że ten numer telefonu wykorzystano tylko raz. Do rozmowy z Groothem tego ranka. Jak myślisz, o czym to świadczy?
Backman przez chwilę milczała.
- O tym, że masz rację - powiedziała w końcu. - Za wcześnie, by zamykać tę sprawę.
- Dobrze, czyli robimy tak, jak powiedzieliśmy? Rozmawiamy jeszcze raz ze wszystkimi zainteresowanymi?
Eva Backman odchyliła się na krześle, zamyślona.
- Bez względu na wszystko, powinniśmy się bliżej przyjrzeć kwestii alibi - powiedziała. - Spróbować uzyskać ich potwierdzenie. Skontaktuję się też z Lund, nie zaszkodzi

chyba wiedzieć nieco więcej o Germundzie. Oni mają dziś porozmawiać z tą kobietą, Kristin Pedersen. Może ty czy ja też będziemy musieli z nią porozmawiać, zobaczymy.
- A komputer? - zapytał Barbarotti. - Jak tam z jego komputerem?
- Oprócz maili nie ma raczej nic ciekawego - powiedziała Backman. - Same maile też zresztą niewiele wnoszą. Smutas je czyta, pojawia się oczywiście parę osób, które można by popytać. Chociażby dwie kobiety, do których w ciągu ostatniego półrocza pisał i od których otrzymywał maile. Kristin I Birgitta, z jedną i drugą miał najwyraźniej romans. Kristin już znaleźliśmy, z tą drugą próbuje się skontaktować Smutas.
Barbarotti kiwnął głową i ziewnął.
- Nie ściągał żadnych godnych uwagi plików - kontynuowała Backman - a Smutas mówi, że dziewięć na dziesięć maili dotyczy pracy. Tą drogą w każdym razie nie kontaktował się z nikim z dawnej uppsalskiej paczki. Nie licząc krótkiego mailowego podziękowania, które wysłał do Tomasa Wincklera po ich spotkaniu w czerwcu. Podobne krótkie podziękowanie otrzymał w odpowiedzi.
- Nie wybierał się do Paryża z tą Birgittą?
- Z tego co wiem, w skrzynce mailowej nie ma nic, co by na to wskazywało. Ale zapytamy Smutasa.
- Świetnie - rzekł Barbarotti. - Nawet będąc samotnym wilkiem, nie żyje się w całkowitej izolacji.
- Mówisz o Smutasie?
- Nie, o Groocie.
- Okej - powiedziała Backman. - W naszych czasach rzeczywiście trudno być eremitą. Przynajmniej gdy ma się komputer. Czyli w czasie gdy pozostałe młyny mielą, my zajmiemy się alibi?
- Tak zróbmy - rzekł Barbarotti. - Skontaktuję się ponownie z Berglundem i Wincklerem. Chyba zacznę od Berglunda,

jest przynajmniej tu, w mieście.
Backman się zawahała.
- Jeszcze jedno.
- Co takiego?
- Nie poznaję cię. Coś się stało?
- Nie wiem, co by to miało być - odparł Barbarotti.
Odebrał po pierwszym sygnale.
- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Barbarotti, kiedy już się przedstawił. - Jak się pan czuje?
- Dziękuję, że pan pyta - odparł Rickard Berglund. - Anna zmarła dziś rano.
Barbarotti przełknął ślinę.
- Bardzo mi przykro. Nie wiedziałem...
- To była tylko kwestia czasu - powiedział Berglund. - Teraz przynajmniej odeszła.
- Nie chcę oczywiście przeszkadzać w takiej sytuacji. Składam wyrazy współczucia i proszę o pozwolenie, bym mógł zadzwonić jeszcze raz w przyszłym tygodniu.
- Nie przeszkadza pan - odrzekł Berglund. - Pogrzeb odbędzie się w sobotę. Dni poprzedzające pochowanie zmarłych nie są tak wypełnione różnymi sprawami, jak się ludziom wydaje. Poza tym czekałem już na to dość długo.
- Rozumiem - powiedział Gunnar Barbarotti. - Ale i tak nie chcę...
- To zarazem ulga i smutek, że już jest po wszystkim - ciągnął Rickard Berglund. - A lepiej o tym porozmawiać, niż trzymać tylko we własnej głowie. Przepraszam, w jakiej sprawie pan dzwoni?
Ciekawe, kiedy ostatnio przespał przynajmniej godzinę, pomyślał Barbarotti.
- Chciałem... chciałem tylko zamienić z panem parę słów na temat śmierci Germunda Grootha. Tak samo jak poprzednio. Jest jeszcze kilka szczegółów, ale to może poczekać.
- Mam czas jutro - powiedział Berglund. - Jeśli to panu pasuje.

- Pasuje - odparł Barbarotti. - O której wobec tego?
- Po południu? - zaproponował Rickard Berglund i umówili się na czternastą przy wejściu do komisariatu.
Dziwne, pomyślał Barbarotti, kiedy odłożył słuchawkę. Nic do roboty, kiedy się czeka na pogrzeb żony? Choć Berglund działał obecnie w branży, więc pewnie wiedział, jak to wygląda od strony praktycznej.
No i miał czas, by się przygotować. Pewnie nawet za dużo czasu.
Eva Backman zadzwoniła do Skanii i dowiedziała się, że Ribbing i Larsson czekają właśnie na Kristin Pedersen, która ma przybyć z Kopenhagi. Odezwą się, jak tylko przesłuchanie dobiegnie końca. Później tego dnia przyjdzie kolej na dwóch kolegów Germunda Grootha.
Eva Backman podziękowała i się rozłączyła. Po kilku-minutowym wahaniu doszła do wniosku, że nie ma ochoty siedzieć w gabinecie. Niebo za oknem trochę się przejaśniło, lada chwila może przestać padać, a czasem trzeba podążać za własną intuicją.
Brzmiało to co najmniej nieźle jak na uzasadnienie przed samą sobą tego, co zamierza się zrobić. ***Podążać za własną intuicją.*** Dużo lepsze na przykład od stwierdzenia, że czas pójść na wagary, bo przydałoby się trochę ruchu i świeżego powietrza.
Wzięła jeden ze stojących w policyjnym garażu samochodów i opuściła komisariat. Zakosami wyjechała z miasta
I po pięciu minutach była na drodze 256 w stronę Rónninge. Przestało już padać i w pokrywie chmur widać było niebieskie szczeliny.
Nienawidzę siedzieć bezczynnie, pomyślała. Ot, i tyle, a z każdym rokiem jest coraz gorzej. Ciężko mi się od tego myśli. Jeżeli ciało nie ma ruchu, jak ma sobie dawać radę mózg?
Znalezienie drogi do wzgórza Gåsa zajęło jej trochę czasu,

mimo że ostatni raz była tam jakiś tydzień temu. Na szczęście wzięła ze sobą mapę. Orientacyjną, dokładnie rzecz biorąc, w skali 1:25 000, pamiętała takie z liceum.
Choć słońce zaczęło się już przebijać przez chmury, w lesie nadal było mokro. Poza tym niektóre ścieżki wyglądały dużo lepiej na mapie niż w rzeczywistości, toteż kiedy w końcu stanęła na skraju wzgórza, była przemoczona aż po kolana.
Stojąc tam, spojrzała w przepaść, w której osiem dni wcześniej znaleziono Germunda Grootha.
A trzydzieści pięć lat wcześniej Marię Winckier.
Wyliczyła, że Germund miał wtedy dwadzieścia sześć lat. Próbowała wyobrazić sobie to uczucie. Jak to jest stracić nagle towarzyszkę życia, nie będąc w podeszłym wieku. Nie byli małżeństwem, ale i tak żyli ze sobą cztery czy pięć lat. Mieszkali pod jednym dachem w Uppsali i kilka miesięcy tutaj, w Kymlinge. To musi zostawiać ślady, pomyślała Eva Backman. Niezatarte ślady. Istniały przesłanki świadczące o tym, że Germund Grooth już wtedy był trudnym człowiekiem, tak nagła i brutalna śmierć Marii z pewnością nie zmieniła tego na lepsze.
Czy jednak prześladowała go przez trzydzieści pięć lat? Czy to możliwe? Zycie, rzecz jasna, nie jest prostą wędrówką od jednej chwili do drugiej, trzeciej, czwartej i tak dalej. Toczy się falami i zrywami; możliwe, że w określonym kierunku, lubiła to sobie wyobrażać, ale zawsze nadchodziły załamania, a w nich różne sprawy z przeszłości. Traumy, smutki i wszystko inne, czego nie udało nam się zamieść pod dywan. Wiedziała, że gdy jesteśmy najsłabsi, nasze znamiona zaczynają krwawić. I wtedy właśnie mrokom z przeszłości udaje się nas dogonić i rzucić na nas swój cień.
Aż w końcu nie możemy tego znieść.
I może wtedy postanawiamy, że nie chcemy już dłużej żyć?
Nawet jeśli za tydzień czeka nas wycieczka do Paryża?
Bo szkoda zachodu.

Czy nie mogło to, mimo wszystko, wyglądać właśnie tak? Patrzyła na czubki rosnących w wąwozie drzew i zastanawiała się. Czy nie mogło być tak, że Germund Grooth tego sobotniego poranka po prostu miał wszystkiego dosyć? Z jakiegoś konkretnego powodu. Albo po tej rozmowie telefonicznej? Wsiadł w pociąg, w taksówkę czy w obojętnie co, pojechał do Kymlinge i zrobił, co zamierzał?
Połączył się ze swoją Marią. Którą kochał i którą stracił, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat. Jedyną kobietą jego życia?
Eva Backman zaczęła schodzić ścieżką w dół. Tą samą, którą zeszli trzydzieści pięć lat temu, tą samą, którą zeszli w ubiegłym tygodniu. Była trochę śliska po deszczu, ale mimo to nie szło się trudno.
A gdyby naprawdę wziął taksówkę, myślała. Gdyby naprawdę tak zrobił. Z Kymlinge albo z samego Lund... i później wysiadł gdzieś tu w pobliżu. Na skrzyżowaniu Alhamra, czy jak ono się nazywa... czy to nie było najbardziej prawdopodobne rozwiązanie?
Czy sprawdzili taksówki?
W Kymlinge tak, ale tylko tam. A mógł przecież jechać z innego miasta, niekoniecznie aż w Skanii. Z Göteborga, Trollhättan czy skądkolwiek.
Zanotowała w pamięci: sprawdzić taksówki!
Ta rozmowa telefoniczna mogła zresztą dotyczyć czegokolwiek, mogła to być pomyłka.
Choć raczej nie rozmawia się... jak długo to było?... czterdzieści trzy sekundy?... z kimś, kto zadzwonił pod zły numer?
Doszła do miejsca, w którym leżał Germund Grooth. Teraz, osiem dni później, nie było po tym ani śladu. Wiedziała, że ekipa przeszukała to miejsce jak należy. Żeby nie powiedzieć drobiazgowo, zarówno teren na wzgórzu, jak
I w dole. Nie znaleziono jednak nic poza portfelem Grootha,

który najwyraźniej wypadł mu z kieszeni i wylądował w szczelinie między dwoma kamieniami. Zidentyfikowanie Grootha zajęło więcej niż dobę, ale nie ma w tym oczywiście nic szczególnego.
Nigdzie nie ma, stwierdziła ponuro. W tym miejscu nie zostało nic, co mogłoby dostarczyć wskazówki na temat tego, co się wydarzyło. Żadnych zapałek, niedopałków, jak w starych kryminałach i filmach, nic z tych rzeczy; jeżeli Germund Grooth rzeczywiście został zamordowany, wiadomo, że morderca nie czekał na niego przy dawnym miejscu odejścia przodków, popalając papierosa.
O ile takie miejsca kiedykolwiek istniały, co również nie zostało do końca rozstrzygnięte.
Żadnych odcisków stóp. Ani tydzień temu, ani tym bardziej teraz. Ziemia na skraju zbocza była twarda, ciało spadło na kamienie, gdyby nie to, może udałoby się przeżyć. Zarówno Germundowi Groothowi, jak i Marii Winckier. Zlustrowała wzrokiem pionowe zbocze i próbowała ocenić wysokość.
Na oko dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów, dokładna liczba z pewnością gdzieś figuruje. Może da się przeżyć taki upadek, o ile tylko wyląduje się na w miarę miękkim podłożu. Z takim czy innym złamaniem pewnie należałoby się liczyć, ale ogromna kępa borówek może zamortyzowałaby upadek na tyle, by ujść z życiem? Kępa borówek albo przynajmniej młody świerk.
Wzruszyła ramionami i zaczęła wracać ścieżką. Łatwiej było wejść, niż zejść, i po chwili znów stała w miejscu, z którego - jak można było sądzić - obie ofiary zrobiły krok ku śmierci. W dół ku śmierci.
Przepaść. Miejsce odejścia przodków?
Albo spadły. Albo zostały zepchnięte. Obróciła się i popatrzyła na otaczający ją las. Próbowała wyobrazić sobie, jak przed laty biegli tu grzybiarze. Z różnych stron, zadyszani, każdy przecież usłyszał krzyk, każdy musiał przeczuwać, że

coś się stało i... w tej chwili do Evy Backman dotarło, jaki musi być ich następny krok w śledztwie.
Mapa. Mapa inspektora Sandlina, na której każdy zaznaczał, gdzie się znajdował, kiedy Maria Winckler spadała.
Czyż nie było strasznie dziwne, że żadne z nich nie widziało wtedy nikogo innego? Ze nikt nikomu nie mignął? Dlaczego poruszali się w tak nienaturalnym rozproszeniu? Tak jakby... się umówili?
Nie, pomyślała. Znowu spekuluję.
Jednak mapa Sandlina to nie był zły pomysł. Zadowolona, że w czasie wycieczki przynajmniej podjęła decyzję, zaczęła iść z powrotem do samochodu.

41

Cały czas padało i wiał silny wiatr.
Gunilla stała między Tomasem a Anną i próbowała liczyć uderzenia swojego serca. Czuła je bardzo wyraźnie, ponieważ wsunęła rękę pod lewą pierś. Nie wiedziała, dlaczego to robi, była jednak przekonana, że jeśli nie zajmie się czymś neutralnym, straci przytomność.
To zaś na pewno nikomu by nie pomogło.
Mężczyźni wciąż jeszcze dyskutowali. Kiwali do siebie głowami, palili i nie spuszczali grupy z oka. Kiedy Tomas ostrożnie zaczął coś szeptać, do niej albo może do wszystkich, nie zdążyła usłyszeć, co to było, bo jeden z mężczyzn krzyknął. To najwyraźniej on był przywódcą; wyszczekał całą groźną litanię, z której nie zrozumieli ani słowa. Sens był jednak wyraźny. Mają się nie odzywać.
Dla swojego dobra stać przyciśnięci do ściany i trzymać gęby na kłódkę. Nieruchomi i posłuszni. Przywódca wskazał swoją broń. Tak, przekaz był nader jasny.
Zaczęła liczyć od początku. Nie mogła doliczyć się więcej niż piętnastu-dwudziestu uderzeń, potem zawsze się gubiła i musiała liczyć od nowa. Mogła wręcz wyczuć bicie serc

pozostałych, przynajmniej Anny, która stała tuż obok. Było tak, jakby deszcz spotęgował puls. Puls strachu. Woda spływała jej po twarzy, po włosach i ramionach, innym oczywiście też, a Gunilla uświadomiła sobie, że to przeczuwała. Ten dzień już od początku nie wróżył niczego dobrego. Ta atmosfera, nieznośnie długa podróż po fatalnych drogach, wszystko.

Dobry Boże, pomyślała, spraw, żeby nas puścili. Pozwól nam się stąd wydostać.

Zauważyła jednak, że się nie modli, to były tylko myśli pozbawione mocy i rzeczywistej woli. Nie wierzyła przecież w żadnego boga. Mimo to może powinna była zmówić modlitwę kilka dni temu w tym kościele w... zapomniała nazwy miasta. Z perspektywy ta chwila wydawała się bezpowrotnie utracona. Już od momentu kiedy się skończyła. Możliwość, której nie wykorzystała.

Jeszcze jedna dziwna myśl. A może właśnie pasowała do tej chwili i miejsca. Kiedy w ciemności i w deszczu stali oparci o ścianę domu w nieznanym, przerażającym mieście.

Cokolwiek, byle utrzymać strach w szachu, pomyślała. Cokolwiek.

Znów zaczęła liczyć.

Po chwili, która być może wyniosła dziesięć minut, a może połowę tego czasu lub dwa razy tyle, mężczyźni w mundurach doszli do porozumienia.

Dowódca - niski, z pewnością nie miał więcej niż metr siedemdziesiąt, ale za to był mocno zbudowany - wyszedł naprzód i stanął dwa metry od grupy. Zaczął do nich mówić, wciąż po rumuńsku, a przynajmniej Gunilli wydawało się, że to rumuński, i co jakiś czas wtrącał takie czy inne zrozumiałe słowo. Gunilla wyłapała: ***forbidden,, police, document, passport, arrest, problem, prison, teritory.***

Kiedy skończył, Tomas znów próbował coś powiedzieć, ale

został uciszony policzkiem. Wymierzył mu go jeden z pozostałych mężczyzn. Gunilli nagle zachciało się wymiotować, Anna zaś wydała przerażony okrzyk.
Mężczyzna, który wymierzył cios, podszedł do Anny. Stanął jakieś pół metra przed nią i podniósł rękę. Po kilku sekundach ją opuścił i wrócił na miejsce za dowódcą.
- ***Comel*** - powiedział dowódca i pokazał kierunek kałasznikowem.
Poprowadzono ich w szeregu przez plac. Kiedy mijali autobus, zatrzymali się, dowódca wyciągnął rękę i powiedział: ***Key*** Tomas odparł: ***In bus,*** a jeden z żołnierzy wszedł i wyłączył silnik. Wychodząc, wręczył klucz dowódcy. Ten rzekł: ***Forbidden teńtoiy,*** i ruszyli dalej w stronę niższego, betonowego klocka bez okien, za to z wysokim kominem.
Jeden z mężczyzn otworzył kluczem ciężkie, metalowe drzwi i zostali wprowadzeni do środka. Trzech żołnierzy, w tym dowódca, weszło za nimi, najmłodszy został na zewnątrz. Dowódca zapalił światło, samotną, brudną żarówkę na kablu, zwisającą z sufitu pośrodku pomieszczenia.
Było duże i zimne. Betonowa podłoga, betonowe ściany. Pod kolejną żarówką na drugim końcu stało kilka ławek, najwyraźniej zepsutych. W jednym rogu przymocowana do ściany umywalka. Kilka metalowych pojemników, może to były kanistry na benzynę, Gunilla pomyślała, że zapach przypomina garaż albo stację benzynową. Był jeszcze inny, którego nie potrafiła zidentyfikować. Może to po prostu zapach brudu. Albo pleśni.
Rozkazano im usiąść na ławkach. Kiedy spełnili polecenie, dowódca znowu stanął tuż przed nimi na szeroko rozstawionych nogach i przyglądał się im z kamienną twarzą. Pozostali dwaj stali dwa metry za nim z na wpół uniesionymi karabinami i przez krótką chwilę wydawało się jej, że chcą ich zastrzelić.

Ze ich po prostu zabiją.
Tu i teraz, w tych brudnych betonowych bunkrach kolo rumuńskiego miasta Timisoara przyjdzie im umrzeć. Odruch wymiotny powrócił, jednak kiedy już wydawało jej się, że zwymiotuje, dowódca chrząknął i powiedział:
- ***Stay here.***
Następnie obrócił się i wymaszerował z budynku razem z kolegami. Jak na starej, niewyraźnej taśmie filmowej - bo nie wydawało się to ani trochę rzeczywiste - Gunilla zobaczyła, jak ciężkie drzwi się zamykają, usłyszała, jak żołnierze pieczołowicie je ryglują, po czym zostali sami.
Przez całą minutę nikt się nie odzywał. Anna płakała. Idąc za jej przykładem, Gunilla również zaczęła płakać.
- Chcą nas tylko przestraszyć - powiedział Tomas. - Najpewniej poszli poszukać kogoś, kto tu podejmuje decyzje. Po prostu wjechaliśmy na jakiś tajny wojskowy teren i to wszystko.
- W takim razie całkiem dobrze im wyszło - powiedziała Maria. - To straszenie. Możecie przestać wyć? Tu nie ma nad czym ronić łez.
- Cholera jasna - powiedziała Anna. - Ty oczywiście żadnych łez nie masz.
- Mam więcej, niż myślisz. Ale oszczędzam.
- Czy nie powinniśmy teraz trzymać się razem? - odezwał się Rickard. - To chyba niezbyt mądre kłócić się w tej chwili. Nie jestem pewien, czy to byli wojskowi.
- Co masz na myśli? - zapytał Tomas.
- Te ich mundury. Wyglądali bardziej na jakichś policjantów. Albo strażników, w każdym razie nie mieli żadnych dystynkcji.
- Co to w ogóle za miejsce? - spytała Anna. - Boże, Tomas, on cię przecież uderzył.
- Kałasznikowy - odezwał się Germund. - Paskudne maleństwa. Może powinniśmy się cieszyć, dopóki używają

tylko pięści.
- To była dłoń - odparł Tomas. - Policzek, to nie jest takie groźne.
- Musisz cały czas być takim pieprzonym optymistą? - zapytała Maria. - Dostajesz w twarz i uważasz, że to w porządku. Zamykają nas w tym przeklętym w bunkrze i to też jest według ciebie okej. Spróbuj zrozumieć, że to zmierza w kurewsko złym kierunku.
Tomas stanął naprzeciwko Marii, która nadal siedziała na ławce.
- Możesz się zamknąć, z łaski swojej? Nic nie da takie siedzenie i wyolbrzymianie wszystkiego. Może raz w życiu spróbujesz być choć trochę konstruktywna?
- Konstruktywna? - odparła Maria i zaśmiała się sucho.
- Jak, do cholery, można być konstruktywnym w tym miejscu, zastanowiłeś się?
Uczyniła gest ręką i potrząsnęła głową. Tomas stał przez chwilę, wyraźnie zbity z tropu, a Gunilla zaczęła się zastanawiać, czy nie miał ochoty wziąć przykładu z tego żołnierza. Wymierzyć policzek. W końcu usiadł koło Rickarda.
- Co, do cholery, teraz robimy?
- Nie wiem - odparł Rickard. - Chyba czekamy.
Mężczyzn nie było zaledwie kwadrans, ale nikt nie liczył czasu.
Podczas ich nieobecności padło niewiele słów. Gunilla zastanawiała się dlaczego, ale jednocześnie czuła, że nie jest to szczególnie dziwne. Co mieli mówić? Tomas i Rickard przeszli się tylko po sali i zbadali ją, nic więcej się nie zdarzyło. Nie była zbyt duża, mniej więcej siedem metrów na siedem, wysoka na trzy metry i pozbawiona okien. Ściany z lanego betonu, drzwi ze stali, nie było cienia szansy, żeby się stąd wydostać.
Kontenery były puste, Tomas je kopnął.
Co by zrobili, gdyby udało im się wydostać? Pod łóżkiem

Anny i Rickarda był zapasowy klucz do autobusu, ale kto powiedział, że ich klawisz nie ma pojazdu na oku? Może właśnie go przeszukiwali. Z nadzieją na znalezienie pornograficznych pisemek, papierosów czy Bóg wie czego. Pieniędzy, oczywiście.
Poza tym mieli ich paszporty. Fajnie tak przyjechać na granicę między Rumunią a Bułgarią bez paszportu, stwierdził Tomas i nawet Maria przyznała mu rację.
Poza tym jednak byli cicho. Cicho jak nigdy; kiedy Gunilla zapytała Annę, czy chce jej się pić, nie otrzymała odpowiedzi, Anna potrząsnęła tylko głową. Wyglądało na to, że każdy próbuje sobie poradzić z sytuacją na własną rękę; że jest to swego rodzaju konieczny proces poprzedzający rozmowę o ich położeniu.
Germund siedział z pochyloną głową, Gunilla pomyślała, że wygląda jak wtedy w kościele. Wciąż nie potrafiła sobie przypomnieć nazwy miasta. Maria położyła się na ławce, zamknęła oczy, ale rzecz jasna nie spała. Cały dzień była podenerwowana, może zbliżał jej się okres, z nią nigdy nie wiadomo. Gunilla znów myślała o tym, jak trudno zrozumieć Marię i Germunda. Tak jak mówił Tomas.
Wyjątkowi ludzie.
Choć oczywiście to nie Maria z Germundem zajmowali jej myśli ani nikt z pozostałych. Czuła pulsujący strach, taki sam jak podczas miesięcy spędzonych w Ulleråker. Samotne bezsenne noce. Była sama i chodziła po lodzie, jaki powstał po nocnym przymrozku i w każdej chwili mógł się załamać. W każdej chwili mogła wpaść do wody i znowu pogrążyć się w ciemności.
Żałowała, że nie może przekazać części swojego strachu Tomasowi. Albo raczej dać mu znać, że się boi; to było jednak niemożliwe. Tomas był tym, który odpowiadał za grupę; kolektyw ważniejszy od jednostki, w takiej sytuacji jak ta nie mógł zajmować się prywatnym bólem każdego z

osobna. Nawet jej, niestety. Jest już tak przyzwyczajony do zajmowania się mną, pomyślała. I tak bardzo tym znużony.
Patrzyła, jak miota się po sali niczym schwytane zwierzę
I rzuca bezsensowne uwagi. Próbował przeanalizować sytuację, znów kopnął kanistry, zamienił kilka słów z Rickardem, który raz na jakiś czas dołączał do niego w wędrówkach między czterema zimnymi ścianami. Głównie jednak siedział koło Anny. To Tomas był przywódcą, Tomas zorganizował całą tę wycieczkę i jeśli ktokolwiek miał ich wydostać z opałów, to tylko on. Gunilla widziała, że tak właśnie rozumuje i, próbując cały czas zwalczyć swój strach, nie mogła jednocześnie powstrzymać myśli, że to trochę dziecinne. Ze Tomas zachowuje się jak instruktor harcerski.
Przysunęła się do Anny. Wsunęła rękę pod pierś i znów zaczęła liczyć uderzenia serca.
Nie naliczyła ich zbyt wiele. Mężczyźni wrócili.
Tym razem było ich tylko dwóch. Dowódca i jeden z pozostałych, nie ten najmłodszy. Zamknął drzwi i stanął przy nich na warcie. Szeroko rozstawione nogi, czujny wzrok. Broń w gotowości. Dowódca pokazał Tomasowi i Rickardowi, by usiedli na ławkach.
Maria podniosła się. Dowódca zapalił papierosa.
- ***Woman*** - odezwał się po chwili.
Powiedział to z kamienną twarzą. Zaciągnął się dymem.
- ***One woman, one hour. You choose.***
Wskazał bronią po kolei Annę, Gunillę i Marię.
- ***One woman, one hour. Then free.***
- ***Then free -*** powtórzył.
Minęło kilka sekund, zanim do Gunilli dotarło, o co mu chodzi. Do pozostałych chyba też. Anna zaczerpnęła haust powietrza, Tomas zaklął. Rickard i Maria osłupieli, tylko Germundowi udało się odezwać.
- ***No -*** powiedział tylko. - ***No way.***
Dowódca nie zwrócił na niego uwagi. Powtórzył tylko swój

rozkaz.
- ***One woman, one hour. Then free. If not…***
Podniósł broń i omiótł nią wszystkich. Żeby nie musieć czerpać ze swojego zasobu obcych słów.
- ***One woman. You choose.***
Spojrzał na zegarek.
- ***Back in fifteen minutes. One woman with me.***
I znowu zostali sami.

CZĘŚĆ III

42

Telefon zadzwonił równo o 13.30. Słuchając, zanotował godzinę, a później zastanawiał się dlaczego. Po jakie licho to zrobił?

Zanim zorientował się w sytuacji, również minęło trochę czasu.

- Czy rozmawiam z Gunnarem Barbarottim? - zapytał cienki kobiecy głos.
- Tak, przy telefonie.
- Bardzo przepraszam, dzwonię ze szpitala.
-Aha?
- Marianne Grimberg to pańska żona, zgadza się?
- Tak... tak jest.
- Pracuje w tym szpitalu na ginekologii?
- Tak. O co chodzi?
- Źle się poczuła.
- Źle się poczuła?
- Tak. Ale jej stan jest stabilny. Jest w drodze do szpitala Sahlgrenska w Góteborgu.
- Słucham?
- W Sahlgrenska zrobią jej operację.
- W Sahlgrenska?
-Tak.
- Zrobią jej oper... co pani, do licha, opowiada? Co się stało?
- Straciła przytomność. Ale nie musi się pan obawiać, jej stan jest stabilny Na wszelki wypadek zajmie się tym neurochirurg z Sahlgrenska. W Kymlinge nie mamy takiej kliniki. Prawdopodobnie mamy do czynienia z niewielkim krwotokiem do mózgu.- Krwotokiem do... z wylewem?

Nagle zdał sobie sprawę, że nie ma czym oddychać. T-shirt, który mial pod koszulą, byl stanowczo za ciasny. Pociągnął

go wolną ręką, aż puściły szwy.
- Tak. U nas w szpitalu zrobiono tomografię i doktor Berngren orzekł, że potrzebna jest operacja. Ale proszę się nie martwić, równie dobrze może to być jakaś drobnostka. Zona jest teraz w drodze.
- Chwileczkę... kiedy to się stało?
- Jakieś dwie godziny temu. Na oddziale, na którym pracuje. Straciła przytomność i...
- Dwie godziny? Dlaczego dzwonicie dopiero teraz?
Cienki głos nabrał bardziej stanowczego tonu.
- Najpierw zajęliśmy się pacjentką. Taką mamy procedurę. Jakiś czas temu próbowaliśmy się do pana dodzwonić, ale nikt nie odbierał.
Gunnar Barbarotti przypomniał sobie, że kiedy rozmawiał z Backman, jego telefon leżał w gabinecie. Przez chwilę milczał. Jego głowa była jak stół do pinballa. ***Marianne... wylew... neurochirurg... stan stabilny... Sahlgrenska.*** Spróbował poskładać to w sensowną całość, ale nie potrafił. Były to puzzle z elementów, których nie dało się połączyć.
- Co... co mam zrobić? - wykrztusił. - Co... my mamy czworo dzieci... nie, pięcioro...
- Doktor Berngren proponuje, żeby pan najpierw przyszedł tutaj zasięgnąć informacji. **I** żeby, ma się rozumieć, zawiadomił pan dzieci.
- Ach, tak?
- Pańska żona będzie miała operację w Göteborgu i najprawdopodobniej jeszcze przez kilka godzin będzie nieprzytomna. Możemy zorganizować transport dla pana i dzieci, ale wystarczy, jeżeli wyjedziecie państwo za jakąś godzinę.
- Tak... rozumiem. Zadzwonię do dzieci i przyjedziemy. Gdzie mamy się zgłosić?
- Oddział 35. Budynek numer 30. Ja się nazywam Jeanette Möller, będę dzisiaj aż do osiemnastej. Proszę o mnie pytać

w recepcji. Dobrze?
- Do... dobrze - wyjąkał Gunnar Barbarotti i odłożył słuchawkę.
Najpierw skontaktował się z Sarą, i bardzo dobrze. Była najstarsza, miała dwadzieścia dwa lata, i najrozsądniejsza. Kiedy dotarła do niej ta szokująca wiadomość - i zrozumiała, że jej ojciec chyba nie bardzo jest w stanie poradzić sobie z sytuacją - wzięła to na siebie.
- Myślę, że nie ma sensu, żebyśmy jechali wszyscy - uznała.
- Nie za jednym razem. Zbiorę pozostałych u siebie i przedyskutujemy sprawę. Być może Jenny i Johan będą chcieli jechać od razu, ale to nie jest pewne. Najlepiej, jeśli sami zdecydują. Ty możesz jechać teraz, na razie ja się zajmę frontem domowym.
- Ale... - zaczął Gunnar Barbarotti.
- Żadnych ale - powiedziała Sara. - Zdaj się na mnie i nie martw się. Zamiast tego pojedź do Marianne.
- Dzięki - odparł Gunnar Barbarotti. - Nie wiem, co mam... dzięki, Sara.
- Jeszcze jedna sprawa. Nie prowadź teraz samochodu. Może szpital załatwiłby ci transport?
- Tak, powiedzieli, że tak zrobią.
- No i dobrze. Będziemy w kontakcie przez komórkę.
- Kocham cię, Saro - powiedział.
- Kocham cię, tato - odparła Sara i się rozłączyli.
Jeanette Möller była kolorowa i miała jakieś dwadzieścia pięć lat. To dziwne, że po głosie nie słychać koloru skóry, pomyślał. Dlaczego ta myśl przyszła mu do głowy w takiej sytuacji?
- Dzień dobry. Nazywam się Jeanette. To ze mną rozmawiał pan przez telefon.
- Domyśliłem się - odparł Gunnar Barbarotti.
Położyła mu dłoń na ramieniu.
- Wiem, że jest pan w lekkim szoku - powiedziała. - To

zupełnie naturalne. Proszę pójść ze mną, będzie pan mógł porozmawiać z doktorem Berngrenem.
Poszła przodem w stronę wind w holu. Wjechali na piąte piętro. Pomyślał, że rozpoznaje otoczenie. To nie tutaj leżał dwa lata temu po złamaniu stopy, to było w innym budynku, numer 20. Ale sceneria była identyczna. Wszystko poza tym było już zupełnie inne.
- Co się stało? - zapytał raz jeszcze, kiedy stali w windzie. - Rozumie pani na pewno, że się denerwuję.
- To zupełnie normalne - powtórzyła. - Choć właściwie nie wiem zbyt wiele. Poza tym że pańska żona straciła przytomność. I że miała krwotok do mózgu.
Normalne? - pomyślał. Co chciała przez to powiedzieć? Nawet ułamek tego nie jest normalny.
- Zemdlała?
- Tak. I nie odzyskała przytomności.
- Krwawienie?
-Tak.
- Gdzie?
- W mózgu. Ale dokładnie nie wiem, w której części. No, już jesteśmy.
Wysiedli i poszedł za nią na oddział 35. Poprosiła, żeby usiadł na zielonym krześle. Zostawiła go samego i poszła po doktora Berngrena. Myśli krzyczały mu w głowie.
Doktor Berngren był rumianym mężczyzną koło czterdziestki. Podał Barbarottiemu rękę i poprosił, by przeszli do gabinetu przyjęć, gdzie będą mogli w spokoju porozmawiać. Zapytał, czy czegoś się napije. Barbarotti podziękował, ale jednocześnie poczuł w ustach taką suchość, że szklanka wody naprawdę by nie zaszkodziła.
- Moja żona - odezwał się. - W jakim jest stanie?
Lekarz założył nogę na nogę i odchrząknął.
- Myślę, że w dobrym, zważywszy na okoliczności. Ale jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek mówić. Spróbuję opisać panu, co wiemy, tak dokładnie, jak tylko potrafię.

- Dziękuję - odparł Barbarotti. - Proszę tak zrobić.
- Prawdopodobnie mamy do czynienia z niewielkim krwotokiem do mózgu. Tu, w szpitalu, zrobiliśmy tomografię i uznaliśmy, że konieczna jest operacja. Prawdopodobnie trzeba będzie usunąć krew, która wypłynęła. To wymaga ingerencji neurochirurga, a oni są tylko w większych szpitalach. Dlatego więc skierowaliśmy ją do Sahlgrenska.
- Niewielki, ale poważny? - powtórzył Barbarotti machinalnie i zorientował się, że słyszy, jak krew pulsuje mu w skroniach. Sam zaraz takiego doznam, pomyślał.
- Tak, podejrzewamy, że po prostu pękło jakieś mniejsze naczynie. Tętniak. Może się to przytrafić każdemu, kiedykolwiek. Oczywiście częściej występuje u starszych osób, ale zdarza się w każdym wieku.
- Ona ma czterdzieści pięć lat - powiedział Barbarotti.
- Wiem - odparł doktor Berngren.
- Chcę tam pojechać. Muszę z nią być.
- Możemy załatwić transport od ręki. Ale pośpiech na niewiele się zda. Jest w śpiączce farmakologicznej i do czasu operacji będzie pod respiratorem. Chodzi o utrzymanie aktywności mózgu na niskim poziomie, żeby nie pogorszyć jej stanu. Jak pan to rozwiąże, weźmie dzieci ze sobą? Zrozumiałem, że macie państwo kilkoro...
- Na razie zostaną w domu - odparł Barbarotti. - Moja najstarsza córka się nimi zajmie. Ma dwadzieścia dwa lata, już to uzgodniliśmy. Czy... jak pan myśli?
- Rozsądnie - powiedział doktor Berngren. - Zwykle najlepiej, gdy przychodzą, kiedy pacjenci są już przytomni. Może się też zdarzyć, że Göteborg odeśle ją do nas już jutro, to zależy od sytuacji. O tym jednak musicie państwo, rzecz jasna, zdecydować sami.
- Oczywiście - odparł Barbarotti.
- Proszę, tu jest osoba, z którą można się kontaktować.
- Berngren wręczył złożoną kartkę papieru. - Proszę się do

niej zgłosić po przyjeździe do Sahlgrenska. Oddział neurochirurgii. Jest tam również numer telefonu.
Barbarotti wziął kartkę i włożył ją do kieszeni na piersi.
- Dziękuję - powiedział. - Ma pan... ma pan coś jeszcze do powiedzenia?
- W większości przypadków pacjenci doznają bardzo niewielkiego uszkodzenia albo żadnego - powiedział doktor Berngren. - Zwłaszcza jeśli pacjent jest młody, a krwawienie niewielkie. Ale to oczywiście poważna sprawa i nie mogę stawiać żadnych prognoz. Wysłaliśmy ją dalej, zawsze tak robimy w tego typu przypadkach. Siostra Molier pomoże panu z transportem.
- Dziękuję... - powiedział Gunnar Barbarotti. - Dziękuję panu bardzo.
Za co ja właściwie dziękuję? - pomyślał. Może jej nie uratują?
Przejazd taksówką ze szpitala w Kymlinge do Sahlgrenska w Göteborgu zajął niecałe półtorej godziny i była to najdłuższa podróż w jego życiu.
Siedział z tyłu za kierowcą, żeby uniknąć kontaktu wzrokowego. Jeszcze zanim minęli rondo Rocksta, w głowie pojawiły mu się słowa z Biblii; były niczym balsam na komarzy rój panicznych myśli. Spróbował odnieść je do siebie.
Częścią życia jest również i śmierć. W pełni życia idziesz za rękę z aniołem śmierci. Ale nie lękaj się.
Nie pamiętał, skąd to było, i nie był pewien, czy zgadza się co do słowa. Nie brzmiało skądinąd zbyt pocieszająco, może to z Księgi Koheleta. Marianne z jakiegoś powodu darzyła tego posępnego głosiciela wiary szczególnym upodobaniem, kiedy zaś teraz próbował przejąć w jakikolwiek sposób kontrolę nad życiem, pomyślał, że właśnie to zwykle powtarzała.
Życie toczy się tu i teraz. Musimy z niego korzystać. Śmierć jest naszym najbliższym sąsiadem, w jednej sekundzie

żyjemy, w następnej może być już po wszystkim. Żadne ostrzeżenia nie nadchodzą.
Ale ona przecież nie umarła.
Marianne wciąż żyła. Przebywała na oddziale neurochirurgii szpitala Sahlgrenska w Göteborgu, gdzie zajmowali się nią ludzie wiedzący, jak sobie z tym radzić. Z małymi krwotokami do mózgu. Którzy otwierali czaszkę, odsysali krew i pilnowali, by pacjent wyzdrowiał i nie miał żadnych uszkodzeń...
Zaczął się zastanawiać, jakie konsekwencje mogły mieć takie uszkodzenia. Z... jak to się nazywało?... tętniakami nie miał do tej pory praktycznie w ogóle do czynienia. Można było zostać sparaliżowanym? Na resztę życia przykutym do łóżka? Mieć problemy z mową?
Czy Marianne mogła się od tego zmienić tak bardzo, że by jej nie poznali? Albo ona ich? Jego i dzieci, młodzieży Szwecji, przyszłości tego kraju? Tragiczna postać, która całymi dniami siedzi na wózku inwalidzkim i nie potrafi mówić? Przez dwadzieścia, trzydzieści lat?
Obrazy go bombardowały, zaczął się zastanawiać, jak wielu ludzi w kraju znajdowało się w podobnej sytuacji. Ile było par, w których jednej osobie coś się nagle przytrafiło i wszystko w jednej sekundzie uległo zmianie. Których życie zmieniło bieg tak szybko, że nie było czasu, by się na to przygotować.
Albo by powiedzieć to wszystko, póki jeszcze był czas? To, co jeszcze nie zostało powiedziane.
Żeby jedno małe naczynie krwionośne mogło tak po prostu pęknąć? I to w każdej chwili? Cieniutka ścianka, która nagle nie wytrzymała, wpływając tym samym nie tylko na życie osoby, której była częścią, ale też na tak wiele innych osób. W tym przypadku sześć.
Nie licząc przyjaciół i kolegów z pracy.
To niesprawiedliwe, pomyślał Gunnar Barbarotti.

Sprawiedliwość nie ma jednak zbyt wiele wspólnego z życiem i śmiercią. Przynajmniej tego powinna go nauczyć jego praca.
Ponieważ śmierć jest częścią życia. ***W pełni życia idziesz za rękę z aniołem śmierci.***
Zaczął się modlić.
Tym razem odmawiał inną modlitwę. Zupełnie inną. Pan Bóg usiadł koło inspektora Barbarottiego na tylnym siedzeniu taksówki jadącej z Kymlinge do Góteborga i rozmawiali ze sobą w nowy sposób.
Jeżeli chodzi o tę starą umowę, rzekł Bóg, wedle której mam stale dostarczać ci dowodów na moją egzystencję, może już czas ją anulować?
Bez chwili wahania Gunnar Barbarotti odparł, że tak właśnie jest. Czas ją anulować.
Ponieważ teraz obowiązuje już co innego, powiedział Bóg. Prawda?
Tak jest, odpowiedział Gunnar Barbarotti. Teraz obowiązuje zupełnie co innego. Od tej chwili. Gdybyś tylko...
Nie, przerwał Bóg. Znowu zaczynasz kupczyć. Wiara we mnie to nie targi. Nie wolno ci stawiać takich warunków. Jeżeli tylko zrobię to czy tamto, ty uznasz, że istnieję. Dosyć, jestem już tym zmęczony.
Zmęczony? - zapytał Barbarotti.
Tak, mam tego serdecznie dosyć. Chodzi o to, że daję ci całą swoją miłość; jeżeli ją przyjmiesz i staniesz po mojej stronie, ja będę przy tobie. Jednak nie jestem wszechmogący. Nie panuję nad wszystkim, to stare nieporozumienie. Nie panuję nad wolną wolą człowieka i nad wymysłami szatana. Jestem dobrą siłą, ale istnieje również ta zła. Poza tym to nie ja wymyśliłem religię, Kościoły i papieża, tylko człowiek. Rozumiesz?
Gunnar Barbarotti odparł, że rozumie. Przynajmniej częściowo.

Jeżeli zaś chodzi o Marianne - kontynuował Bóg - możemy tylko ufać. Ty i ja. Zycie i śmierć naprawdę są sąsiadami, tak jak to stwierdziłeś w przypływie strachu. Człowiek jednakże jest jedyną istotą zdolną dostrzegać piękno życia i cieszyć się nim. Pomyśleć tylko, że tak trudno czasem zdać sobie z tego sprawę.
Ale ja to rozumiem, zaprotestował Barbarotti. Po prostu...
Znów zaczynasz narzekać, przerwał Bóg. Przestań to robić. Miej ufność i myśl o Marianne, nie musisz robić nic więcej.
Następnie zniknął. Taksówkarz włączył radio, a Barbarotti zdecydował, że posłucha rady. Zaufa i będzie o niej myślał.
Zresztą, czym w ogóle jest ta cała ufność?
Nietrudno się domyślić, że pewnie jedynym naprawdę skutecznym lekarstwem na rozżarzony do białości strach, jaki czuł w środku. Wytrwanie przy nim to jednak inna sprawa. To, by naprawdę, w każdej minucie i każdej sekundzie, nie martwić się, tylko mieć ufność... no właśnie, w czym? Dobre pytanie. Naprawdę dobre. Ufność jest jak mydło w łazience, pomyślał skołowany inspektor Barbarotti. Chwycenie go jest prawie niemożliwe.
Licząca sześć lat umowa z Bogiem nagle przestała być aktualna. Została przekłuta raz na zawsze. Dziwne było zaś to, że go to ani trochę nie zdziwiło.
Od tej chwili wszystko się zmieniło, pomyślał Gunnar Barbarotti. Dobry Boże, pozwól jej żyć.

43

Cisza, jaka zaległa po zamknięciu drzwi, była jak żyjąca istota. Przez dobre dziesięć sekund nikt nawet nie kiwnął palcem ani nie wypowiedział choćby słowa. Rickard odniósł wrażenie, że nikt nawet nie oddychał. On na pewno nie.
Znaczenie słów dowódcy wsączało się w niego powoli, ale sens wypowiedzi był praktycznie nie do przyjęcia.
One woman with me.

Jedna z nich - Gunilla, Maria lub Anna - miała zostać wybrana do tego, by pójść z czterema mężczyznami. Spędzić z nimi godzinę. Nie potrzeba specjalnie rozwiniętej wyobraźni, by pojąć, czym zamierzali się zajmować. Nie potrzeba żadnej wyobraźni.
Czterech mężczyzn. Rickard wiedział, że to dlatego nikt nic nie mówi. Każdy doskonale zdaje sobie sprawę, w czym rzecz. Nie ma pola do domysłów.
Jeśli nie dostaną dziewczyny, użyją kałasznikowów.
Dobitniej nie można było tego wyrazić.
Pierwsza odezwała się Maria.
- Dlaczego nic nie mówisz, kochany braciszku? Czyżbyś właśnie stracił kontrolę?
Tomas nie odpowiedział. Wstał i przeszedł się po sali.
- Co mamy zrobić? - wyszeptała Gunilla. - Nie chcecie chyba...?
- Nie - powiedziała Anna. - Musimy oczywiście...
Żadna z nich nie znalazła dalszego ciągu. Rickard spojrzał na pozostałych. Germund przyglądał się swoim stopom. Maria siedziała bez ruchu z zamkniętymi oczyma, nie otworzyła ich chyba nawet wtedy, kiedy zadawała pytanie bratu, nie był jednak pewien. Zerknął na zegarek. Minęła chyba minuta.
Zostało czternaście. Jeżeli Tomas zaraz czegoś nie powie, ja będę musiał przejąć odpowiedzialność, pomyślał Rickard. Ta myśl go zdziwiła, w środku czuł czyhającą panikę i roztańczony strach, ale mimo to wiedział, że nie mogą tak po prostu siedzieć, niezdolni, by cokolwiek zrobić, kiedy czas ucieka.
Jak bydło. To też była zadziwiająca myśl.
Dlaczego się nie modlę? - myślał. Coś go jednak powstrzymywało.
- Musimy coś zrobić - powiedział Tomas.
- Zrobić? - odparła Maria. Tym razem zobaczył, że nie

otworzyła oczu. - A co proponujesz, żebyśmy zrobili?
Tomas wrócił i usiadł na ławce. Pewnie podjął decyzję, pomyślał Rickard.
- Jeżeli się nie zdecydujemy, będzie gorzej - powiedział Tomas.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Gunilla.
- To, że może nam nic nie przyjść z przeciwstawiania się ich żądaniu. Na przykład.
- Teraz przeszedłeś sam siebie - powiedziała Maria.
- Czyli mówisz, że mają dostać jedną z nas?! - wykrzyknęła Anna. - Że mamy ofiarować Gunillę, Marię albo mnie?
Załamał jej się głos. Wstała, przeszła kawałek i stanęła przy ścianie. Plecami do pozostałych. Rickard zawahał się. Następnie podszedł do niej. Ostrożnie położył jej dłoń na ramieniu. Odwróciła głowę i utkwiła w nim wzrok.
- Spierdalaj - wycedziła. - Spierdalaj stąd, Rickard.
Praktycznie nie zrozumiał jej słów. Czyżby się przesłyszał? Popatrzył na resztę. Nie, nikt najwyraźniej nic nie usłyszał.
Gunilla zaczęła płakać. Siedziała pochylona do przodu, obejmowała głowę rękami i wstrząsał nią płacz. Przez chwilę znowu nic się nie działo. Rickard zabrał dłoń z ramienia Anny i spojrzał na zegarek.
Zostało dwanaście minut.
- Musimy spróbować trzymać się razem - powiedział Tomas. - Nic nie pomoże, jeśli będziemy na siebie krzyczeć.
- Dobrze - odparła Maria. - Trzymamy się razem. W takim razie stawiamy opór.
- No nie wiem - rzekł Tomas. - Nie jestem pewien, czy to najlepsze rozwiązanie. A wy co myślicie?
- Ja myślę... - zaczął Rickard, ale zorientował się, że nie wie, co myśli. Albo że może i coś myśli, ale nie da się tego powiedzieć na głos.
- A ty jak uważasz? - zapytała Anna. Zwróciła się do Tomasa, nie do Rickarda. - Ciekawie będzie posłuchać. Jesteś

więc zdania, że powinniśmy przystać na ich żądanie?
- Tego nie powiedziałem - odparł Tomas. - Powiedziałem tylko, że może nie powinniśmy tak od razu odmawiać.
- Tak od razu odmawiać? - odezwała się Maria. - Co to, kurwa, ma znaczyć?
- Chodzi mi tylko o to, że powinniśmy porozmawiać. Żeby każdy powiedział, co sądzi, zanim oni wrócą. Jasne, że to okropna sytuacja, ale nikt z nas nie może nic na to poradzić. Padliśmy ofiarą czegoś, czego nie jesteśmy w stanie kontrolować. Nie ma w tym żadnej naszej winy i musimy spróbować się opanować.
- Okej - powiedziała Maria. - Ja jestem opanowana. Wszystkie dziewczyny z naszej grupy z pewnością są opanowane. Gunilla, Anna i ja. Niedługo jedną z nas przez godzinę będzie gwałcić czterech żołnierzy. Jasne, kurwa, że jesteśmy opanowane, tego by jeszcze brakowało.
Gunilla krzyknęła i rzuciła się na podłogę. Tomas niezdarnie próbował ją podnieść, ale po chwili dał spokój.
- Spójrz tylko, jaka opanowana i spokojna jest Gunilla
- stwierdziła Maria. - Po wszystkim z pewnością też taka będzie.
- Zamknij się, Maria! - wrzasnął Tomas.
Rickard widział, jak zaciska ręce, a na skroni wychodzi mu żyła. Wiedział, że powinien coś zrobić, powiedzieć albo przyjść z odsieczą w inny sposób, ale to, co syknęła do niego Anna, odebrało mu mowę. Powiedziała, żeby spierdalał. Nie wiedział dlaczego; albo też nie chciał wiedzieć. Może w głębi duszy czuł, że ona ma rację, że powinien był ją w jakiś sposób obronić, ale jak miałby to zrobić? Jak mógł ją obronić? Później, pomyślał, kiedy to wszystko w jakiś cudowny sposób już się skończy, muszę z nią o tym porozmawiać. Oskarżyła go, wzbudziła w nim ciężkie jak ołów, niesprawiedliwe poczucie winy, ale oczywiście... oczywiście to nie jemu kazała spierdalać, była to tylko pewna

projekcja... tak, kiedy koszmar wreszcie się skończy, wszystko sobie wyjaśnią.
Teraz jednak, kiedy byli w tej okropnej sali, a sekundy i minuty mijały bez widoków na jakiekolwiek rozwiązanie, nie znajdował żadnych słów.
Żadnych, które by cokolwiek znaczyły.
Siedział na ławce, z głową wspartą ciężko na dłoniach. Tomas i Anna stali. Gunilla siedziała na brudnej podłodze i kołysała się tam i z powrotem, a Maria i Germund siedzieli bez ruchu w takiej samej pozycji przez cały czas.
- Podejrzewam, że nie mamy żadnej ochotniczki - powiedział Tomas i wtedy Maria podeszła i splunęła mu w twarz.
Po czasie Rickard nie był w stanie powiedzieć, jak pojawił się ten pomysł, musiało to jednak być ich wspólne porozumienie. Mimo wszystko. Może nie było innego wyjścia. Może uznano, że w ten sposób uda się mimo wszystko zachować jakąś godność. Podjęto decyzję, ale pozostawiono ją przypadkowi. Oprawcom i przypadkowi.
Solidarność? - pomyślał Rickard.
Według jego zegarka pozostały niecałe trzy minuty, kiedy zaczęli losowanie
Trzy zapałki, jedna z nich złamana. Tomas trzymał je schowane między kciukiem a palcem wskazującym lewej dłoni, a dziewczyny po kolei wyciągały.
Najpierw Anna.
Cała zapałka. Rickard zauważył, że trudno jej ukryć ulgę. Jemu też. Gdyby to miała być ona, pomyślał... gdyby to miała być ona, wtedy...
Przerwał tę myśl. Nie pociągnął jej do końca. Było tego za dużo.
Maria wyciągnęła zapałkę. Schowała ją w dłoni, nie patrząc, czy jest cała, czy złamana, i kiedy tak stała w zupełnym bezruchu i patrzyła na pozostałych oczyma przypominającymi oczy kota, Tomas nagle wybuchnął płaczem.

Były to trzy krótkie, głośne chłipnięcia, nic więcej, potem doszedł do siebie.
Jego siostra albo jego żona, pomyślał Rickard. Jedna z nich.
Minęło kilka sekund. Potwór zwany ciszą powrócił z obnażonymi zębami.
Maria pokazała swoją zapałkę. Była cała.
Gunilla krzyknęła.
Ten krzyk nie zabrzmiał jak ludzki, pomyślał Rickard.
Tym razem było ich trzech. Najmłodszego zostawili na zewnątrz na warcie. Nie zamykali nawet drzwi na lducz. Dowódca zrobił kilka kroków naprzód i stanął w świetle żarówki.
Omiótł wzrokiem grupę więźniów. Siedzieli teraz równym rzędem na ławkach. Zapalił papierosa i zaciągnął się.
- ***One woman now.***
Minęło kilka sekund ciszy. Gunilla wstała. Puściła Tomasa i zrobiła dwa kroki w stronę dowódcy.
Nagle ugięły się pod nią nogi. Upadła na podłogę i leżała metr przed nim. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Dowódca dał znak mężczyznom przy drzwiach. Jeden z nich ruszył się z miejsca i podszedł do Gunilli. Chwycił ją za ramię i zaczął ciągnąć po podłodze. Było słychać jedynie ciche szuranie jej ubrania o beton.
- ***Stop it***
Germund wstał. Żołnierz puścił ramię Gunilli. Dowódca uniósł broń. Germund zbliżał się do niego powoli, trzymając ręce daleko od tułowia. Rickard zdążył pomyśleć: Co on, do cholery, wyprawia?
- ***Stay or I shoot***
Germund się nie zatrzymał. Zamiast tego skoczył wprost na dowódcę i w tej samej chwili padły strzały.
Tat-tat-tat.
Trzy, nie więcej. Strzelił nie dowódca, tylko jeden z mężczyzn przy drzwiach. Germund upadł na podłogę i złapał się

za ramię. Jego biała koszulka natychmiast zabarwiła się na czerwono.
Wszystko rozegrało się w jakimś surrealistycznym, ultra-szybkim tempie, pomyślał Rickard. Uczucie nierzeczywistości było wręcz przygniatające. Cały ciąg zdarzeń nie mógł trwać dłużej niż dziesięć-piętnaście sekund, a mimo to myślał - zarówno jako oniemiały obserwator, jak i później - że musiały to być minuty.
Rozkaz dowódcy. Trzy-cztery kroki Gunilli. Jej upadek. Ciągnięcie po podłodze i krzyk Germunda, jego wojowniczy skok.
Ostrzeżenie dowódcy, atak Germunda i strzały.
Tat-tat-tat.
I kiedy Germund nadal klęczy, trzymając się za krwawiące ramię, kiedy Gunilla leży skulona na podłodze metr od niego, a dźwięk strzału wciąż jeszcze rozbrzmiewa w sali, Maria się podnosi.
- ***Okay -*** mówi. - ***I'm the one.***
Schodzi ze sceny razem z trzema mężczyznami.
Starannie zamykają drzwi i znów zalega cisza. Cisza innego rodzaju, Rickard od razu znajduje na nią określenie.
Brzmi ono: Wstyd.

44

Myślałem, że mam rozmawiać z inspektorem Barbarottim - powiedział Tomas Winckler i usiadł po drugiej stronie biurka.
- Coś mu wypadło - wyjaśniła Eva Backman. - Ale jestem lak samo obeznana ze sprawą jak on, więc nie ma to znaczenia.
- Naprawdę? - odparł Tomas Winckler. Poprawił kant swoich jasnych spodni i założył mikroskopijne prostokątne okulary. - Nie rozumiem, dlaczego państwo wciąż to drążą.
- Zaraz panu wyjaśnię - powiedziała Backman. - Tak

naprawdę nie jest to szczególnie dziwne. Mamy mocne podstawy, by uważać, że Germund Grooth został zamordowany. I pańska siostra trzydzieści pięć lat temu również.
Obserwowała jego reakcję. Miała nadzieję, że będzie wyraźna, ale nic takiego nie nastąpiło. Uniósł tylko brwi i lekko pokiwał głową z powątpiewaniem. Wprawdzie znowu zaczął skubać spodnie, ale nie chciała pozwalać sobie na nadinterpretacj ę.
- Trudno mi w to uwierzyć - powiedział. - Ale po rozmowie z pani kolegą zrozumiałem, że właśnie to jest na tapecie. Co mówi wam, że oboje mogli zostać zamordowani?
- Nie mogę się wdawać w szczegóły - odparła Eva Backman i jak zwykle zaczęła się zastanawiać, jak wiele razy wypowiedziała to zdanie. Nie mogę się wdawać w szczegóły.
- Podejrzenia pojawiły się przecież już po śmierci pańskiej siostry - dodała. - Prawda?
- Najwyraźniej - odpowiedział Tomas Winckier, wzruszając ramionami. - Ten cały Sandlin ciągnął śledztwo miesiącami. Gunilla i ja rozmawialiśmy z nim kilka razy.
- Uważa pan to za dziwne? - zapytała Backman. - Ze prowadził dochodzenie?
- Nie wiem - odparł Tomas Winckier z przelotnym, niewyraźnym uśmiechem. - To było tak dawno. Ale chodziło przecież o ten jej krzyk. Bardzo słabo się orientuję w policyjnym sposobie myślenia i pracy.
Możliwe, że w ostatnim zdaniu kryła się nutka ironii, trudno jednak było to stwierdzić. Eva Backman przewróciła kartkę w swoim notatniku i zrobiła krótką pauzę. Winckier nie wypełnił jej słowami, tylko spokojnie czekał.
- Wie pan o tym, że w zeszłym tygodniu rozmawiałam z pana żoną?
- Oczywiście. Mówiła mi o tym.
- Chciałabym zacząć od cofnięcia się do wydarzeń sprzed trzydziestu pięciu lat. A dokładniej, do spotkania u Rickarda i Anny Berglundów dzień wcześniej.

- Rozumiem - odparł Tomas Winckler.
Czyżby? - pomyślała Backman. I co takiego rozumiesz? Ze mamy wszelkie powody, by dociekać, co stało się tego wieczoru w parafii Rödåkra? Ze stało się wtedy coś, co wskazywałoby, że następnego dnia ktoś zginie, a on doskonale o tym wiedział?
A może był to tylko niewinny komentarz? Nie wiedziała, po raz kolejny wszystko balansowało na ostrzu noża. Albo-albo.
- Czy naprawdę byliście takimi dobrymi przyjaciółmi, za jakich chcieliście uchodzić?
- Nie bardzo panią rozumiem - powiedział Winckler. - Ani ja, ani Gunilla nie twierdziliśmy, że w 1975 roku jakoś szczególnie mocno się przyjaźniliśmy. W Uppsali spędzaliśmy ze sobą dużo czasu. Rickard i ja poznaliśmy się w wojsku, a Maria była moją siostrą. Ale kiedy spotkaliśmy się na plebanii u Rickarda, nie widzieliśmy się już długo.
- Jak długo? - zapytała Backman.
- Całą szóstką nie spotykaliśmy się od ponad roku - odparł Winckler po chwili namysłu. Gunilla i ja wyjechaliśmy z Uppsali w 1974. Chyba widzieliśmy się na wiosnę u nas... mówię o roku 1974. Przyszło jeszcze kilka innych osób, nie tylko te dwie pary. To był chyba ostatni raz w Uppsali.
Backman zanotowała, nic nie mówiąc. Tomas Winckler odchrząknął i mówił dalej.
- U Anny i Rickarda spotkaliśmy się rzecz jasna dlatego, że cała czwórka akurat znalazła się w okolicach Kymlinge. My siedzimy w Göteborgu, a to przecież tylko godzina jazdy samochodem... może półtorej.
- Nie było więc żadnego szczególnego powodu, dla którego się spotkaliście?
- Nie, nic poza tym, że mieliśmy zjeść kolację. No i poje- i hać na małą wycieczkę w niedzielę, zanim Gunilla i ja wrócimy do Göteborga. Rickard i Anna zapraszali, my daliśmy

się namówić, i tyle.
Eva Backman skinęła głową.
- Czyli wasze regularne spotkania z dwiema pozostałymi parami ograniczają się do kilku lat na początku lat siedemdziesiątych? Mówiąc ściśle.
- Zgadza się - odparł Tomas Winckier. - Powiedziałbym, że do lat 1969-1973.
- I to wygasło, kiedy jeszcze byliście w Uppsali?
- Nie powiedziałbym, że wygasło. Po prostu oddaliliśmy się od siebie.
- Był jakiś szczególny powód?
- Tego, że się od siebie oddaliliśmy?
-Tak.
Nagle się zawahał. Zanim odpowiedział, siedział przez chwilę w milczeniu, pocierając brodę kciukiem i palcem wskazującym. Poprawiał okulary.
Zastanawia się, co mogli powiedzieć inni, pomyślała Backman. W tym coś jest, a on nie ma pewności, czy ja o tym wiem. Doskonale.
Choć, gdyby to było ważne, powinien chyba dopilnować? Porozmawiać z innymi?
O ile oczywiście nic nie stanęło na przeszkodzie takiej rozmowie.
Gdyby jednak wziąć pod uwagę tylko tych, którzy wciąż żyją, myślała dalej, to w grę wchodzą tylko dwie osoby. Jego żona i Rickard Berglund.
Oraz Elisabeth Martinsson, o ile ją także należy liczyć.
- Waha się pan - powiedziała Eva Backman.
Tomas Winckier skinął głową, sprawiał wrażenie jakby właśnie podjął decyzję.
- Wybraliśmy się w podróż - powiedział. - Latem 1972 roku. Później nie spotykaliśmy się już za często.
- Podróż? - spytała Backman.
- Wspólną podróż po krajach bloku wschodniego - wyjaśnił

Winckier. Wyprostował się odrobinę na krześle i znów majstrował przy okularach. Pewnie kupił je wczoraj, pomyślała Backman. Nie jest do nich przyzwyczajony.
- Trwała ponad miesiąc - oznajmił. - W takich warunkach ludzie bardzo się do siebie zbliżają. Czasem nawet za bardzo, no i chyba właśnie to się stało.
Przez dziesięć minut opowiadał o podróży. O tym, jak wspólnie kupili autobus, jak przejeżdżali przez kolejne kraje na Wschodzie: Polskę, Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Rumunię i Bułgarię. Jak prowadzili na zmianę z Germundem, ponieważ tylko oni zdążyli zrobić prawo jazdy na autobus. Jak biednie, obskurnie i przygnębiająco było w wielu miejscach socjalistycznego raju.
Jak przez tydzień kąpali się w Morzu Czarnym. Jak jeździli po kiepskich drogach i jak wracając do domu, minęli Monachium akurat w dniu, kiedy zaczęła się olimpiada, która przeszła do historii głównie przez zamach terrorystyczny, w wyniku którego zginęło jedenastu izraelskich sportowców... i jak najprawdopodobniej zmęczyli się sobą nawzajem. Sześcioro młodych Szwedów na małej przestrzeni, w świecie, który był dla nich właściwie zupełnie obcy.
Eva Backman wyjęła kartkę papieru.
- Ten autobus, czy ma on coś wspólnego z biurem podróży, które państwo zarejestrowali?
- Tak - odparł Tomas Winckler. - Przez jakiś rok jeździliśmy trochę po Norrlandii, ale nie było to zbyt opłacalne. Zbankrutowaliśmy w 1974.
- Ale później nadal działał pan w branży turystycznej?
- Tak - uśmiechnął się wystudiowanym przepraszającym uśmiechem. - Choć w nieco bardziej zorganizowany sposób.
- Tak? - odparła Eva Backman i zdecydowała się zmienić temat. - Czy mógłby pan opowiedzieć trochę więcej o Germundzie i Marii?
Odchrząknął i znów zamyślił się na chwilę.

- Byli wyjątkowi - powiedział. - Oboje bardzo wyjątkowi. Ona była moją siostrą, kochałem ją, ale nie mogę powiedzieć, żebym kiedykolwiek ją rozumiał. Germund zaś był trudnym człowiekiem, można powiedzieć, że w pewnym sensie dziwakiem. Trzeba jednak przyznać, że pasowali do siebie. Po wszystkim sporo o tym myślałem.
Backman stwierdziła, że opowiadając, zrobił się bardziej miękki. Sama nie mówiła dużo, kiedy opowiadał o autobusowych perypetiach, wtrąciła czasem jakieś pytanie, ale nagle wydało jej się, że odbywają rozmowę, a nie przesłuchanie. Zdecydowała, że spróbuje zachować ten ton.
- Jak w takim razie wypadło ponowne spotkanie na plebanii? - zapytała. - Mimo wszystko musiało być miło znów się zobaczyć?
- Gunilla i ja chyba nie spodziewaliśmy się po nim zbyt wiele - odparł Tomas Winckier po kolejnej chwili namysłu.
- Pamiętam, że już później, kiedy kładliśmy się do łóżka, powiedzieliśmy sobie, że było trochę sztywno.
- Sztywno? - zapytała Backman.
- Tak jest. W każdym razie nie było to spotkanie starej paczki, która znów dobrze się bawi. Było raczej... w pewnym sensie żenująco. Nie potrafię tego bliżej określić. Poza tym Gunilla była w ciąży, wprawdzie dopiero w czwartym miesiącu, ale szybko się męczyła. Była po dwóch poronieniach, ale tym razem się udało. Nasza najstarsza córka urodziła się w lutym 1976 roku.
- Mają państwo trójkę dzieci, prawda?
- Tak.
- Tego wieczoru na plebanii nie zdarzyło się jednak nic szczególnego?
- Nie. Jedliśmy kolację i rozmawialiśmy, chyba nikt się szczególnie dobrze nie bawił. Czasem tak się zdarza, nawet jeśli ludzie mają najlepsze intencje pod słońcem. Prawda? Po prostu coś nie działa jak powinno. Wyrośliśmy ze swoje-

go towarzystwa, każde poszło w inną stronę, tak bywa.
Eva Backman zamyśliła się. Jeżeli rzeczywiście coś ukrywał, robił to umiejętnie. Z drugiej strony, może nie było zbyt trudno spuścić lekko fałszywą zasłonę na tak stare sprawy A jeżeli naprawdę dzień po owej kolacji na plebanii zdarzyło się morderstwo, tak czy inaczej, było nieźle przedawnione. Z marginesem dziesięciu lat.
- Co pan robił w sobotę 25 września? - zapytała. Czas przerwać ten przyjazny ton rozmowy. - Czyli dziesięć dni temu.
Tomas Winclder rozłożył ręce.
- I jeżeli zapytam, dlaczego chce pani to wiedzieć, usłyszę oczywiście, że to rutynowe pytanie?
- Oczywiście - odparła Eva Backman. - A więc?
- Rano grałem w golfa. Później pojechałem do Gótebor- ga. W domu w Lindås byłem z powrotem około dziesiątej wieczorem.
- Rozumiem, że spotykał się pan z ludźmi, którzy mogą to potwierdzić?
- I tak, i nie.
- Co to znaczy?
- Grałem w golfa z moim starym przyjacielem. W klubie golfowym Vassunda, jestem jego członldem. Skończyliśmy chyba koło jedenastej. Jeżeli chodzi o Göteborg, mógłbym poprosić pewną osobę, by za mnie poręczyła, ale wolałbym nie. Przynajmniej na razie.
- Dlaczego? - zapytała Eva Backman i od razu domyśliła się, w czym rzecz.
- Chodzi o kobietę - powiedział Tomas Winckler. - To delikatna sprawa. Nie chcę narobić jej kłopotów.
- A może nie chce pan narobić kłopotów sobie?
Tomas Winclder pokręcił przeczącą głową.
- Moja żona wie o jej istnieniu. I akceptuje to. Jesteśmy nowoczesnymi ludźmi. Ta kobieta z Göteborga ma jednak niestety... nienowoczesnego męża.

Naprawdę zajebiście to sformułował, pomyślała Eva Backman z wściekłością. Nawet postarał się o teatralną pauzę. Z pewnością ćwiczył to po drodze w samochodzie.
Nienowoczesny mąż.
- Zapamiętam to - powiedziała. - I wydaje mi się, że powinna pana chronić, jeśli jest taka potrzeba? Nawet jeśli nie jesteście państwo razem.
Tomas Winckier wziął głęboki wdech i spojrzał na inspektor Backman ze zmartwioną miną.
- Ja nie zabiłem Germunda Grootha - powiedział. - I nie sądzę, żeby ktokolwiek to zrobił. Choć przyznaję, że mogę się mylić.
Eva Backman pokiwała głową.
- Dlaczego odwiedził państwa w czerwcu? To musiało być niespodziewane. Z kobietą, i w ogóle?
- Bez wątpienia było niespodziewane - zgodził się Winckier. - Kiedy wpadliśmy na siebie w Göteborgu, powiedziałem to tak sobie. Jak się czasem mówi. Wpadnij do nas, bo ja wiem... oczywiście nie chodziło o to, żeby skorzystał.
- Ale tak zrobił?
- Tak. Ale o tej wizycie rozmawiałem już z inspektorem Barbarottim. Moja żona rozmawiała z panią. Jestem pewien, że żadne z nas nie ma już nic więcej do dodania.
Eva Backman pokiwała głową.
- Wstępnie mogę się zgodzić. Zostały mi jeszcze tylko dwa pytania. Pierwsze brzmi: jak to możliwe, że chodziliście po lesie każde osobno? Nikt nie miał nawet kontaktu wzrokowego z żadną inną osobą. Nie uważa pan, że to się wydaje dziwne?
- Nie - odpowiedział Tomas Winckier.
- Czy umówiliście się w ten sposób?
- Umówiliśmy się?
Wydawał się nie rozumieć pytania.
- Nie, nic z tych rzeczy - ciągnął mimo to, po tym jak

wyciągnął z kieszeni komórkę i chwilę na nią popatrzył. - Pamiętam jednak, że Sandlin też uznał to za dziwne. Na początku pomyślałem, że ma rację. Im dłużej jednak o tym myślę, tym mniej dziwne mi się to wydaje. Skoro poszliśmy na grzyby, byłoby przecież idiotyczne, gdybyśmy wszyscy szukali ich w tym samym miejscu. Najczęściej zaczyna się w małych grupkach, dwu- albo trzyosobowych, jednak chodząc po lesie, każdy stara się znaleźć swój własny rewir. Ludzie się rozdzielają i po dziesięciu-piętnastu minutach jest się już samemu. Myślę, że po namyśle przyzna mi pani rację.

Eva Backman zastanowiła się szybko. Nie doszła do żadnego wniosku; może i jest tak, jak on mówi. Zadała ostatnie pytanie.

- Wie pan, że Anna Berglund zmarła dziś wczesnym rankiem?

Kiedy poszedł, siedziała przez chwilę w gabinecie i próbowała rozstrzygnąć, czy westchnął z ulgą, czy też nie. W każdym razie nijak nie skomentował wiadomości o śmierci Anny Berglund. Potrząsnął tylko lekko głową; żeby być pewnym, potrzeba by kamery.

Rozmowa jednak była tylko w jej głowie i na taśmie, a westchnięcia mogą być bezgłośne. Zwłaszcza jeśli próbuje się je ukryć. Podniesione i opuszczone ramiona. Powiększająca się mimo woli klatka piersiowa.

Niewystarczające, by z tym iść do prokuratora, ale może byłoby widoczne na filmie.

Sama westchnęła i zadzwoniła do Barbarottiego.

Nikt nie odbierał.

Siedziała przez chwilę, po czym znowu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Skanii.

Wróbel po.
Nigdy nie będę o tym mówić.
Powinni byli mnie zabić, ale dali sobie spokój. Znaczyłam tak niewiele, że nawet nie chciało im się tego zrobić.
Jeśli kiedykolwiek będę miała okazję zabić któregoś z nich, zrobię to. Nie zawaham się, zrobię to z przyjemnością.
Ale oczywiście nie będę miała takiej okazji.
Zwrócili mnie, tak jak się umówiliśmy, i opuściliśmy Timisoarę. Do nikogo nie powiedziałam ani słowa i w końcu pogodzili się z moim milczeniem. Kiedy kilka godzin później się zatrzymaliśmy - była późna noc, choć jeszcze nie zapadł zmierzch, a kierowcą był Tomas - napisałam na kartce: ***Dalej do Morza Czarnego. Bez postoju.***
Znów próbowali ze mną rozmawiać, ale skuliłam się pod kołdrą na tyłach autobusu. Potwornie mnie bolało. Germund próbował mnie dotknąć, ale go zdzieliłam.
Miał w ramieniu dużą otwartą ranę, ale go zdzieliłam.
Czytałam, że kiedy rodzi się dziecko, wydziela się w nim hormon zapomnienia. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie dzieją się w życiu, i ma to swoje uzasadnienie. Przeżycie rodzenia się, wychodzenia z łona na świat jest tak silne, że nie można go porównać z niczym innym. Dlatego musi pójść w zapomnienie, bo gdyby było tam nadal, stałoby na drodze każdemu innemu przeżyciu.
Chciałabym dostać dawkę tego hormonu. Pierwszej nocy myślałam o tym, leżąc pod kołdrą.
Dajcie mi zapomnienie. Zabierzcie tę godzinę z mojego życia.
To, jak po kolei we mnie wchodzili. Jak brudnymi paluchami obmacywali mnie i ściskali. Jak brali mnie we dwóch naraz i jak wsadzili mi knebel w usta, ponieważ ich gryzłam. Śmierdzącą benzyną szmatę, którą znaleźli w jednym rogu.
Jak zapryskali mnie całą ohydną spermą z ich brudnych

kutasów i jak się śmiali.
Dwóch się śmiało. Jeden się wstydził. Dowódca robił wszystko z kamienną twarzą, ale mało brakowało, by mnie udusił, gdy się w końcu spuszczał. Nie powstrzymywałam go, po prostu za wcześnie zwolnił uchwyt.
Nigdy nie będę już taka sama. Dajcie mi ten hormon. Nie chcę przebywać w pobliżu żadnego innego człowieka.
Nie jadłam od dwóch dni. Nigdzie nie rozbiliśmy obozu. Milcząco zmuszałam ich, by jechali dzień i noc.
Po drodze dostałam okresu. Muszę dotrzeć do Morza Czarnego i wymyć się do czysta.
Dojeżdżamy do Mamai. Chodzę na plażę sama. Nie mówię. Nie patrzę w oczy.
Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Kilka hoteli, piaszczysta plaża, morze. Spasieni czarterowi turyści, opalający się na piasku. Obszar jest ogrodzony drutem kolczastym. Nie ma żadnych sklepów, spaślaki jedzą wszystkie posiłki w swoich hotelach.
Nie pasujemy tu. Mieszkamy w autobusie na kempingu, tuż za drutem.
Ale nie przejmuję się tym. Prawie w ogóle nie jem. Tylko trochę orzechów i owoców. Spaceruję plażą bez końca. Tam i z powrotem, od rana do wieczora.
Piję wodę. Myję się w morzu. To nie wystarczy. Wróbel jest pokaleczony.
Po kilku dniach ruszamy. Jedziemy cały dzień i przekraczamy granicę z Bułgarią. Docieramy do kolejnej miejscowości wypoczynkowej.
Idę na inną plażę. Nie mówię. Martwią się, ale zostawiają mnie w spokoju. W nocy Germund czasem kładzie na mnie rękę, pozwalam mu ją tam trzymać.
Czasem coś do mnie szepcze. Pozwalam mu szeptać.
Ale nie mówię.
Wiem, co myślą. Już wcześniej była dziwna. Nie poprawiło

się jej.
Mają absolutną rację. Nie poprawiło mi się.
Chodzę i chodzę. Myję się w morzu. Myję się w morzu.

46

Leżała podłączona do respiratora.
On siedział obok na krześle i patrzył na nią. Nie pozostawało nic innego, można było tylko patrzeć. Nic, co by powiedział lub zrobił, nie mogło zmienić sytuacji. Żadna myśl. W ogóle nic.
Było wpół do ósmej, miała pozostać pod narkozą jeszcze przez wiele godzin. Chyba dopiero jutro rano mieli ją wybudzić. Zrobili operację. Według chirurga, doktora Hemmingssona, przebiegła zgodnie z planem. Barbarotti rozmawiał z nim dwadzieścia minut i nadal nie wiedział, co oznacza ***zgodnie z planem.***
Znał znaczenie tych słów, ale nie wiedział, co się za nimi kryje. Będzie wiadomo dopiero, kiedy pacjentka obudzi się z narkozy. Tak powiedział Hemmingsson.
Krwawienie było stosunkowo niewielkie. Odprowadzono krew i przypalono naczynie. Nic nie wskazywało na to, że wystąpiły jakieś trwałe uszkodzenia.
Z drugiej strony, trudno stawiać diagnozy, gdy chodzi o mózg. Nie ma to również większego sensu. Najprościej poczekać, aż pacjent się wybudzi, i stwierdzić fakt.
Tak powiedział Hemmingsson.
Za ileś godzin. Regularnie przychodziły pielęgniarki, sprawdzały poziom świadomości, kłuły ją długopisem w koniuszki palców i ściskały jej ręce. Odczytywały informacje na ekranach. Rozmawiał też z anestezjolożką. Nazywała się Mousavi i urodziła się w Iranie. Wyjaśniła, że to wszystko rutynowe czynności. Teraz najważniejsze było to, by odłączyć pacjentkę od respiratora w odpowiednim momencie.
Prawdopodobnie jednak nie wcześniej niż jutro rano.

Tak powiedziała Mousavi.
Czasem trzymał ją za rękę. Mówił do niej. Zastanawiał się, czy go słyszyPewnie nie słyszała, nie było żadnej odpowiedzi i, jeśli wierzyć medycynie, nie mogło jej być. Człowiek, który nie potrafi oddychać bez pomocy respiratora, nie potrafi też komunikować się ze światem.
Tak myślał Gunnar Barbarotti, nie powstrzymywało go to jednak przed trzymaniem jej za rękę i mówieniem do niej.
Rozmawiał też z dziećmi. Przez telefon. Kilkakrotnie, z Sarą, Jenny i Johanem. Zwłaszcza z Jenny i Johanem, to ich matka leżała obok w łóżku. Marianne była oczywiście także przyszywaną mamą Larsa i Martina - i Sary - jednak głupio byłoby wmawiać sobie, że nie ma różnicy. W Villa Pickford mieszkali trzy lata jak rodzina, ale krew jest gęstsza niż woda i gęstsza niż czas.
Wszystko poszło dobrze, powiedział im. Zoperowali ją, ale wybudzi się chyba dopiero jutro. Co chcecie zrobić?
Jenny nie wiedziała, a Johanowi trudno było cokolwiek powiedzieć, Barbarotti słyszał, że powstrzymuje łzy.
Zaproponował, żeby przyjechali pierwszym porannym pociągiem. Będą oczywiście w stałym kontakcie telefonicznym, gdyby w nocy coś się stało, ale wystarczy, jeśli przyjadą do Sahlgrenska jutro przed południem.
Prawda?
Ale jeśli chcecie jechać teraz, to w porządku.
Umówili się w ten sposób. Pierwszy pociąg jutro rano.
Lars i Martin na razie zostaną z Sarą w Kymlinge. Spróbują żyć jak do tej pory.
Dodał, że może się zdarzyć i tak, że Marianne już jutro zostanie przewieziona z powrotem do Kymlinge. W takim wypadku Johan i Jenny w ogóle nie będą musieli jechać do Góteborga. Jeśli wszystko pójdzie dobrze.
Co znaczy „wszystko pójdzie dobrze", również nie wiedział.
Pomyślał, że tak naprawdę nie wie nic.

Rozejrzał się po sali, w której siedział. I w której leżała Marianne. Była klinicznie biała. Sam respirator był gmatwaniną rurek, kabli i ekranów, z których można było odczytać stan pacjenta. Do ust wprowadzono jej rurkę, która pomagała w oddychaniu, druga biegła przez nos, jeszcze jedna zdawała się znikać gdzieś w brzuchu. Czwarta mierzyła jej puls. Pielęgniarki często przychodziły i sprawdzały wszystkie funkcje życiowe. Jedna z nich wyjaśniła mu to w ogólnym zarysie, ale zorientował się, że nie jest zbyt podatny na informacje.

Zasłonięte żaluzje w oknach. Co jakiś czas pytanie, czy chce coś do jedzenia albo do picia.

Nie, nie chciał niczego.

Słowa z Biblii powróciły, podobnie jak rozmowa z Bogiem w taksówce.

W pełni życia idziesz za rękę z aniołem śmierci. Ufność.

Wciąż nie wiedział, w którym miejscu Biblii można znaleźć te słowa, ufność zaś w dalszym ciągu była mydłem. Być może da się ufać tylko krótko, myślał, kilka minut co jakiś czas, odczuwać swego rodzaju bezpieczną, lecz przemijającą pewność, że wszystko będzie dobrze.

Albo chociaż że samemu nie można nic poradzić i dlatego należy oddać wszystko w ręce innych.

Medycyny? Siły wyższej?

Ale tylko na jakiś czas. Ciemność cały czas czekała za rogiem, czyż nie? Przyczajona i cierpliwa.

Choć jakie to, u licha, ma znaczenie, jak ja sam się czuję?

- pomyślał z nagłym gniewem. Dlaczego nie koncentruję się na niej? Tylko siedzę tu i pławię się we własnym nieszczęściu. Co to za debilne użalanie się nad sobą? Muszę oczywiście skupić wszystkie siły na myśleniu o Marianne.

Znowu chwycił jej rękę. Lekko ją ścisnął i próbował wyobrazić sobie, że ona mimo wszystko to czuje. Byłoby do-

brze, gdyby czuła, ponieważ zdał sobie sprawę, że chce jej coś powiedzieć. ***Przekazać,*** w jakiś tajemny, a jednak skuteczny sposób.
Tych spraw bylo oczywiście bardzo wiele, ale jedna była ważniejsza niż wszystkie pozostałe. Miała związek z Germundem Groothem i tkwiła w nim jak cierń.
Chodziło o to, że przez cały weekend nie był w stanie przezwyciężyć swojej gruboskórności. Ze był zazdrosny o kogoś, kto już nie żył i kto był z nią w związku kilkadziesiąt lat temu, na długo, zanim on sam pojawił się w jej życiu. Ze w pewnym sensie miał jej to za złe. To przecież było absurdalne. Debilne, jak już stwierdził.
Kiedy w piątek wieczorem rozmawiał z nią przez telefon, wracając z Góteborga, myślał, że problem jest rozwiązany albo że rozwiążą go, jak tylko przyjadą do domu, tak się jednak nie stało. W jakiś sposób wisiał między nimi w powietrzu przez cały weekend. Po prostu dlatego, że o nim nie rozmawiali. Ani on, ani Marianne nie poruszali tematu Germunda Grootha.
Nie należało to jednak do Marianne. Oczywiście, że nie. To on nie podjął inicjatywy.
Nie wspomniał nawet o tym Evie Backman. Nie powiedział, że jego żona być może wie to czy owo na temat fizyka Germunda Grootha, którego za wszelką cenę starali się rozgryźć.
Ponieważ Marianne przez rok była z nim w związku.
To też było absurdalne. Lepszą osobę do wydania opinii o nim trudno było sobie wyobrazić, a czy nie to właśnie było centralnym punktem całej historii? Charakter Germunda Grootha. Mogło tak być. W każdym razie było to ważne.
Teraz zaś ów świadek, jego własna żona, leżała w szpitalu w sterylnej sali i nie mogła mówić, ponieważ miała wylew. Może już nigdy nie będzie mówiła?
Ogarnęła go nagła rozpacz, położył głowę na brzegu łóżka i

zaniósł się płaczem.
Przyszła pielęgniarka. Popatrzyła przez chwilę na aparaturę, na Marianne i na niego. Szczypnęła pacjentkę kilka razy w palce i zostawiła ich samych.Szesnastego sierpnia zakończyli pobyt nad Morzem Czarnym i ruszyli z powrotem.
Przez Bułgarię. Wszystkie drogowskazy były napisane cyrylicą, trudno było się poruszać.
Do tego drogi nie były lepsze niż w Rumunii. Z reguły nie udawało im się przejechać więcej niż trzysta, trzysta pięćdziesiąt kilometrów dziennie, a ich wiza tranzytowa straciła ważność, kiedy jeszcze byli w Sofii.
Rickard po Timisoarze przestał spisywać dziennik, ale Anna robiła to dalej ze swego rodzaju zawziętą powagą. Fotografowała i sporządzała notatki. Rzecz jasna także z myślą o owej serii artykułów, nie był to cel sam w sobie. Rozmawiali bardzo niewiele i nie kochali się ze sobą.
Z jakiegoś powodu nie dało się tego robić, kiedy wśród nich była Maria. Kiedy leżała tam z tyłu autobusu, milcząca i skamieniała. Pierwszy raz od wejścia w okres dojrzewania Rickard nie miał ochoty na seks. Seksualność stała się tabu, czymś zakazanym, i domyślał się, że reszta odbiera to podobnie.
Ranę Germunda opatrzył lekarz dla turystów w Mamai. Zapytał, jak powstała, ale nie wchodzili w szczegóły. Może lekarz i tak zrozumiał, a może nie chciał wiedzieć. Tak czy inaczej, miało być dobrze, rana obejmowała tylko miękkie części. Germund miał szczęście, olbrzymie szczęście. Dwie kule nie trafiły, trzecia go drasnęła.
Z ranami Marii było inaczej. Proces leczenia wymykał się wszelkim prognozom. Od zdarzenia w Timisoarze nie powiedziała ani słowa i wyglądało na to, że nie chce mieć z nimi nic do czynienia. Nawet z Germundem.
Gunilla pisała do niej listy. Siedziała z przodu autobusu i

zapisywała stronę za stroną w swoim kołonotatniku. Kartki wkładała do kopert i wręczała Marii.Maria je przyjmowała, Rickard nie widział jednak, by kiedykolwiek czytała. W każdym razie Gunilla nigdy nie otrzymała listu zwrotnego.
To za Gunillę Maria złożyła się w ofierze. Rickard próbował wyobrazić sobie, co musi czuć. Mogła zostać zgwałcona przez czterech mężczyzn, ale uniknęła tego, ponieważ Maria zajęła jej miejsce.
Z jakiegoś powodu. To było niepojęte, ale cały ciąg wydarzeń w Timisoarze taki był. Były to dwie godziny wyjęte z jego życia, z życia każdego z nich, i wydawało się, że zmieniły wszystko. Nie tylko dla Marii, ale dla nich wszystkich. Przekroczyli próg, membranę zła, a po drugiej stronie świat wyglądał inaczej. I nigdy nie będzie taki sam.
Choć najgorzej miała oczywiście Maria. Zmiany jej świata nie sposób było sobie wyobrazić.
Rozważali zgłoszenie się na policję. Nie, nie rozważali, ktoś o tym wspomniał, może Tomas, ale Maria pokręciła głową. Rickard to pamiętał, po tym, jak włączyli silnik i wyjechali przez bramę, potrząsnęła głową i kilkoro innych zrobiło to samo. ***Nie policja.*** Czy ci mężczyźni nie byli właśnie policjantami?
Później, tej samej nocy, Maria podała im kartkę. ***Bez postoju.***
Nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej. Tylko na tyle, ile potrzeba na zatankowanie czy na zakupy. Cud, że autobus się nie rozleciał.
W dwie doby dotarli jednak do Mamai, a tam wreszcie było morze.
W Sofii spędzili półtora dnia i pojechali dalej na zachód, chcąc dotrzeć do Skopie w Jugosławii. Na krętych, fatalnych górskich drogach zaczęli łapać gumy. Każdego dnia zmieniali koło, otoczeni przez śmiejące się dzieci z okolicznych górskich wiosek. Żebrały o gumę do żucia, ale zapas

już dawno się skończył. Kredy po południu przyjeżdżali do kolejnego małego miasteczka, zaczynali od znalezienia warsztatu wulkanizacyjnego, żeby przez noc naprawiono im zapasowe kolo. Każdego dnia tak bylo. ***Vulk*** było jedynym słowem, którego używali. W tych stronach każdy był przyzwyczajony do przebitych opon.

Nocowali najczęściej w hotelach zamiast w autobusie. Prawie nic to nie kosztowało, a za bezcen dostawali również kolację i śniadanie. Rickard wiedział, że na zawsze zapamięta te małe miejscowości, z których jedna wręcz do złudzenia przypominała drugą; zanim dotarli do Skopie, nie odwiedzili ich oczywiście więcej niż trzy czy cztery, ale zarówno czas, jak i miejsca wydawały się ulotne i nierzeczywiste. Podobnie jak spokojna wymiana zdań na granicy, spowodowana wygaśnięciem ich wizy. Zapłacili parę marek niemieckich, dołożyli kilka paczek papierosów i mogli jechać.

W tych dniach prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali, jeśli nie było to konieczne; czasem odnosił nawet wrażenie, że sam język stał się czymś wstydliwym. Na tyle wstydliwym, że należało się powstrzymywać przed jego używaniem.

Jak gdyby sytuacja, to, co wisiało w powietrzu po zdarzeniu w Timisoarze, tego wymagała. Jakby milczenie Marii przeszło również na innych. Lub ich do tego zmusiło. Solidarność w nieznanej dotychczas formie.

Tak to mniej więcej wyglądało. Rickard co jakiś czas próbował nawiązać rozmowę z Bogiem, wkrótce jednak odkrył, że z tamtej strony odpowiada mu taka sama cisza. Jakby nawet On dostrzegł ofiarę Marii i przyjął wyczekującą postawę.

Musimy jechać do domu, pomyślał Rickard. Nic nie będzie ani odrobinę normalne, dopóki tam nie wrócimy.

Dojechali do dotkniętego trzęsieniem ziemi Skopie. Jechali przez Sarajewo i Dubrownik, a 24 sierpnia zostawili za sobą blok wschodni i wjechali na piękny półwysep Istria.

Wzgórza opadające prosto do Morza Adriatyckiego, kryształowo przejrzysta woda, kąpali się jednak tylko godzinę. Kiedy wjechali do Triestu we Włoszech, Rickard poczuł, że ogarnia go uczucie swoistej ulgi. Nagle świat znów wydawał się możliwy do ogarnięcia. Rickard ***rozumiał*** otoczenie.
A przynajmniej wmawiał sobie, że tak jest. Atmosfera w autobusie też się może trochę poprawiła, ale niewiele. Maria w dalszym ciągu się nie odzywała. Reszta postanowiła, że wieczorem pójdą do nieco bardziej eleganckiej restauracji w alpejskim miasteczku Tolezzo. Była to swego rodzaju ostatnia próba odzyskania normalności, niezbyt jednak udana. Germund i Maria nie poszli, kiedy zaś Tomas próbował rozmawiać o tym, co się stało, nikt się nie przyłączył. Słowa w dalszym ciągu sprawiały trudność. Ograniczyli się do zawarcia swoistego porozumienia. Umówili się, że nigdy nie zdradzą tego, co wydarzyło się w Timisoarze. Nikomu. Wszyscy uznali tę decyzję za oczywistą.
Wyszli z restauracji po niecałych dwóch godzinach.
Wczesnym rankiem 26 sierpnia przejeżdżali przez Monachium, gdzie tego samego dnia miały się rozpocząć letnie igrzyska olimpijskie. Do zamordowania jedenastu izraelskich sportowców zostały jeszcze dwa tygodnie, powietrze było czyste i rześkie.
Nocowali na kempingu koło miasta uniwersyteckiego Göttingen w Dolnej Saksonii, później zaś, wieczorem 27 sierpnia, zdążyli na ostatni prom z Puttgarden do Rödby w Danii. Bez zatrzymywania się przejechali przez Danię
I cieśninę Oresund trasą Helsingör-Helsingborg i dwanaście godzin później byli w Uppsali.
Była północ z 28 na 29 sierpnia. Nie było ich trzydzieści siedem dni. Ostatni tydzień spędzili niemal wyłącznie w autobusie. Nie tak miało być, Rickard zaś pomyślał, że najchętniej przespałby tydzień w swoim łóżku i obudził się w jakimś innym świecie.

O czym myśli i czego by chciała Anna, nie wiedział. Miał jednak nadzieję, że znowu zaczną ze sobą rozmawiać.

48

Evie Backman udało się złapać Barbarottiego dopiero o dziesiątej wieczorem.

Powiedział, że miał wyłączoną komórkę, ponieważ przebywa w szpitalu Sahlgrenska w Göteborgu.

- Sahlgrenska? - zdziwiła się Backman. - Co ty tam robisz?

- Chodzi o Marianne - odparł Barbarotti i musiało upłynąć pięć sekund, zanim wydusił, że miała wylew.

Backman również milczała pięć sekund. Co najmniej. Wydawało się, że słuchają swoich oddechów w nieskończoność.

Marianne. Wylew. Ta informacja nie chciała pomieścić jej się w głowie. Wylew nie zdarza się przecież w wieku... ilu lat? Czterdziestu pięciu? Takie rzeczy dzieją się w jesieni życia, nie w jego środku. Nie Marianne, to było po prostu niemożliwe. Czyżby jednak?

- Boże kochany - wykrztusiła w końcu. - Nie wiedziałam...

- Zoperowali ją - rzekł Barbarotti. - Ale jeszcze się nie obudziła. Prawdopodobnie będą ją wybudzać dopiero jutro rano.

- Ale co się stało? - zapytała Backman. - Nie mogę uwierzyć, że to prawda.

- Tętniak - odparł Barbarotti. - Pękło małe naczynie w mózgu.

Zrobił krótką pauzę, zanim mógł mówić dalej, ona zaś usłyszała, że z trudem nad sobą panuje.

- Najwyraźniej może się to zdarzyć w każdej chwili. I komukolwiek. Straciła przytomność, kiedy była w pracy... i tyle.

- I tyle - powtórzył z jakiegoś powodu.

- To okropne - powiedziała Backman. - Co będzie... będą jakieś konsekwencje czy... to znaczy, co mówią?

Odchrząknął.
- Nie mogą nic powiedzieć, dopóki się nie obudzi. Tak więc siedzę tu i czekam.- Musisz być w szoku.
- Jestem. Już od ponad siedmiu godzin. Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o Marianne.
- Tak, tu chodzi o Marianne - zgodziła się Eva Backman
I nagle zauważyła, że świat wokoło się zakołysał. Krótkotrwałe, mentalne trzęsienie ziemi, chyba trochę opóźnione, bo od samego wstrząsu minęła minuta. Usiadła i pomyślała, że nie jest to specjalnie dziwne. Ani trzęsienie, ani opóźnienie. Barbarotti nic nie powiedział, ale słyszała w słuchawce jego oddech.
- Jak z dziećmi? - zapytała.
- Johan i Jenny przyjadą jutro rano. Prawdopodobnie. Na razie jest z nimi Sara.
Eva Backman skinęła głową. Choć przy rozmowie przez telefon na niewiele się to zdało. Jednak wszystkie słowa nagle wydały się puste. Co można było powiedzieć? Co takiego jeszcze dodać?
- Lekarze nie podają żadnych informacji? - zapytała. - Musiałeś się chyba czegoś dowiedzieć?
- Niewiele się dowiedziałem - odparł Barbarotti. - W każdym razie krwotok nie był duży i mówią, że operacja się udała. Twierdzą, że można być dobrej myśli, ale sam nie wiem... poczekaj, właśnie przyszła siostra i chce ze mną porozmawiać. Muszę kończyć.
- Uważaj na siebie - powiedziała Eva Backman. - Będę o was myślała całą noc.
- Dzięki - odparł Gunnar Barbarotti.
Siedziała jeszcze dobrą chwilę w rogu kanapy, zanim zdecydowała się wstać. Niedawna rozmowa tkwiła w niej jak gwóźdź. Jak duży, zardzewiały gwóźdź. Ze też... życie może być tak cholernie kruche. Ze w każdej chwili wszystko się może zdarzyć.

Każdemu. Jak się okazuje. Zacisnęła pięści i zamknęła oczy. Wizerunek Marianne tańczył jej pod powiekami.
Widziała ją na owym przyjęciu w Villa Pick ford sprzed czternastu dni, kiedy to towarzyszyło im siedmioro nastolatków. Wtedy chyba nic tego nie zwiastowało?
Nie, na pewno nie, stwierdziła, i to właśnie jest najbardziej przerażające. Ze nie było żadnego ostrzeżenia. Ze to się po prostu stało. Wspaniałej, ciepłej, szczodrej Marianne.
Po chwili doszła do wniosku, że nie ma co wyolbrzymiać. Przecież Marianne żyła. Może się obudzi i całkowicie powróci do zdrowia? Albo konsekwencje wylewu będą stosunkowo niewielkie?
Ale w takim razie jakie? Nie miała pojęcia. Nic nie wiem o takich przypadkach, stwierdziła. Nie wiem, co może się stać po wylewie.
Nietrudno się domyślić, że na pewne części mózgu musi to mieć wpływ bez względu na to, jak mały był krwotok. Czy jednak pozostałe partie nie mogą przejąć funkcji tych uszkodzonych? Wydało jej się, że niedawno o czymś podobnym czytała. O zdolności mózgu do samoregeneracji, zwłaszcza u w miarę młodych osób, którym przytrafia się...
Otworzyły się drzwi i weszli Jörgen i Kalle. Rzucili swoje torby sportowe w przedpokoju i krzyknęli „cześć!". Wieczorny trening unihokeja dobiegł końca.
Backman wstała i szybko podjęła decyzję, żeby o niczym im nie mówić. Lepiej zaczekać do jutra, kiedy już będzie wiedziała co i jak. Lepiej najpierw trochę się pozbierać. Rozmowy przy stole o tym i o tamtym jednak nie wytrzyma.
- W kuchni macie chleb i sałatkę makaronową! - zawołała. - Muszę popracować godzinę, zajmijcie się tym sami, dobrze? Viktor śpi u Zetterbergów.
- Poradzimy sobie, kochana mamo - odparł Kalle i obdarzył ją niedźwiedzim uściskiem.
- Aj - powiedziała Eva Backman. Zostawiła synów i za-

mknęła się w sypialni.
Sypialnia spełniała również funkcję pracowni, postanowili tak, kiedy byli małżeństwem, dwa lata później biurko wciąż stało tam, gdzie zawsze.
Właściwie wszystko wyglądało tak jak przed rozwodem, dużo trudniej mieszkało jej się w willi niż w mieszkaniu na Pampas i nie było to szczególnie dziwne. Zupełnie nie; małżeństwo z Villem było zaklęte w każdej filiżance, w każdym kwiatku na tapecie, każdej przeklętej plamie na sosnowej podłodze koło zlewozmywaka. Za kilka lat to się jednak skończy, pomyślała, nie ma powodu do narzekań. Przynajmniej... przynajmniej nie dostała wylewu.
Doszła do wniosku, że nie będzie jej łatwo zasnąć. Nie po tym wszystkim. Nie kiedy Marianne i Barbarotti byli w Sahlgrenska, wibracje po trzęsieniu ziemi wciąż w niej trwały.
Lepiej zająć się czymś sensownym i czekać, aż nadejdzie sen, zdecydowała. Albo na to, że zadzwoni znowu z jakąś wiadomością.
Choć oczywiście tego nie zrobi. Gdyby w szpitalu zdarzyło się coś, o czym trzeba powiedzieć, pierwsze na liście były dzieci. Przede wszystkim, rzecz jasna, Johan i Jenny, ale pozostałe również.
Nie, Backman wiedziała, że żadnych więcej rozmów z Barbarottim tego wieczoru i tej nocy nie będzie. Wyjęła swoją teczkę i zapaliła lampkę na biurku. Sięgnęła po segregatory Sandlina, ale się rozmyśliła.
Poszła do kuchni, gdzie siedziały gwiazdy unihokeja. Zrobiła sobie dzbanek herbaty, powiedziała, że nie chce, by jej przeszkadzano, życzyła im dobrej nocy i wróciła do biurka.
A teraz się skoncentrujmy, pomyślała. Odsuńmy Gunna- ra i Marianne w ciemny kąt w głowie i pomyślmy o wąwozie Gåsa.
Nie, nie ciemny, ten kąt musi być lekko oświetlony.

I miękko wyłożony.
Zaczęła od mapy. Właśnie o niej bowiem pomyślała tego przedpołudnia w lesie.
A dokładniej rzecz biorąc, o tym, by przyjrzeć się rozmieszczeniu siedmiorga grzybiarzy w tę wrześniową niedzielę przed trzydziestu pięciu laty. Nie była do końca pewna, co to właściwie da, ale skoro kiedyś wbiła sobie ten znak zapytania do głowy, mogła równie dobrze postarać się znaleźć odpowiedź.
Po pierwszym łyku herbaty zdała sobie jednak sprawę, że w grę wchodzi nie jeden znak zapytania, lecz kilka.
Na przykład, czy może polegać na mapie Sandlina?
Zapewne nie w stu procentach, ale może mimo to da się za jej pomocą wyciągać słuszne wnioski. Gdyby... gdyby założyć, z jednej strony, że Maria Winckier została zamordowana, z drugiej zaś, że nie mamy tu do czynienia ze zmową (choć taka myśl przemknęła jej przez głowę wczoraj, a może nawet dzisiaj przed południem) - można też przyjąć, że każdy oprócz mordercy postawił krzyżyk w z grubsza właściwym miejscu. ***Gdzie pan/pani był/a, kiedy usłyszał/a krzyk?***
Czy może nie?
Spojrzała na mapę i zamyśliła się. Krzyżyk numer jeden oznaczał Marię na skraju zbocza, pozostałe były rozciągnięte na nierównym i nieregularnym półokręgu na południe i południowy zachód od wąwozu. Jeden z nich - Anny Berglund - był wysunięty lekko na wschód; kiedy Eva Backman odczytywała mapę i porównywała ją z obrazem zapamiętanym z oględzin terenu, pomyślała, że wygląda to całkiem naturalnie. Szli przez las od południa, formując swego rodzaju wachlarz, oczywiście nie musieli być tego świadomi, ale szyk zdawał się regularny. Powoli posuwali się na północ w stronę krawędzi zbocza; sam wąwóz nie miał więcej niż piętnaście-dwadzieścia metrów szerokości.

Jego wschodnia część była dość stroma, zachodnia bardziej łagodna. Utrzymując obraz w pamięci, policzyła poziomice na mapie. Gdyby poruszali się dalej, powinni trzymać się lewej, zachodniej strony i tym sposobem przeprawiliby się przez wąwóz.

Tak daleko jednak nie doszli. Dawne miejsce odejścia przodków wyznaczyło kres wszelkich dalszych ruchów.

W komentarzu do mapy Sandlin wyliczył odległości pomiędzy poszczególnymi pozycjami. Trudno było stwierdzić, czy ma to jakiekolwiek znaczenie, ale najbliżej Marii Winckier znajdowała się Elisabeth Martinsson, około stu metrów w linii prostej na południe. Następnie Germund Grooth, około stu pięćdziesięciu metrów i trochę bardziej na wschód. Najdalej, jakieś trzysta metrów od niej i zarazem najdalej na zachód, znajdował się Rickard Berglund.

Po namyśle doszła do wniosku, że wydaje się to zgadzać z czasem, w jakim każde z nich dotarło do skraju zbocza. Elisabeth Martinsson jako pierwsza, tuż za nią Germund Grooth. To, że Rickard Berglund zdążył przed Tomasem Win- cklerem, choć miał do pokonania nieco dłuższy dystans, nie musiało oczywiście o niczym świadczyć. Do taldego wniosku w swoim komentarzu doszedł również inspektor Sandlin.

Wielkie pytanie - o ile takowe istniało w tym całym miszmaszu, pomyślała Eva Backman z rezygnacją - brzmiało jednak oczywiście: czy ktoś z nich zaznaczył swoje położenie niezgodnie z prawdą. Postawił krzyżyk w odległości stu lub dwustu metrów od Marii, gdy tymczasem znajdował się tuż przy niej na krawędzi wzgórza.

Zepchnął swoją ofiarę, schował się za jakimiś świerkami czy czymkolwiek, by następnie ukazać się pozostałym zszokowanym grzybiarzom, gdy moment wydawał się odpowiedni.

Jakim zresztą grzybiarzom? Eva Backman nie natknęła się

na żadną wzmiankę o tym, by ktokolwiek znalazł choćby pieprznik trąbkowy. Jednak w świetle tego, co się stało, nie była to może zbyt istotna kwestia.
Westchnęła, wypiła łyk herbaty i zaczęła czytać komentarze Sandlina. Szybko się zorientowała, że doszedł do tych samych wniosków, co ona. Czy raczej do tych samych kolejnych znaków zapytania. Ponieważ każdy z uczestników wycieczki miat zaznaczyć swoją pozycję na białej mapie, nie wiedząc, jak zaznaczyli pozostali, blef musiał dla mordercy wiązać się z ryzykiem. Nawet jeśli w lesie widoczność była kiepska, teren nie był porośnięty aż tak gęsto, a więc postawienie krzyżyka na chybił trafił tak, by nie wypadł zbyt blisko pozostałych - których położenie stanowiło niewiadomą - był to bez wątpienia hazard.
Z drugiej strony, nie było to niemożliwe do zrobienia. Zwłaszcza jeśli sprawca mógł obserwować, skąd nadbiegają pozostali po usłyszeniu krzyku Marii Winckler. Ze swojej kryjówki za gęstymi świerkami.
Bynajmniej nie było to niemożliwe.
Stwierdził inspektor Sandlin.
Stwierdziła inspektor Backman trzydzieści pięć lat później.
Westchnęła, wypiła jeszcze jeden łyk herbaty i pomyślała o szpitalu Sahlgrenska.
Następnie poświęciła pół godziny pozostałym sprawom tego dnia.
Na przykład zeznaniom Tomasa Wincklera. Włączyła taśmę i słuchała jej przez kilka minut, doszła jednak do wniosku, że nie jest to konieczne, ponieważ wszystko dobrze pamięta. Wyłączyła więc dyktafon i odchyliła się na krześle, opierając nogi na biurku.
Co on takiego mówił?
Mówił, że ma romans z mężatką i że jego żonie to nie przeszkadza. Przynajmniej tak twierdził. Przykre, pomyślała Eva Backman, ale zakazu nie ma.

Jego alibi na sobotę zależało od tej kobiety. Może mimo wszystko by mu pomogła, bez względu na to, czy się rzeczywiście widzieli. Może była gotowa dla niego kłamać.
Dlaczego jednak Tomas Winckler miałby zabić Germunda Grootha?
Dlaczego miałby trzydzieści pięć lat wcześniej zabić własną siostrę?
Nie mam bladego pojęcia, pomyślała Backman i wypiła jeszcze trochę herbaty. A to, co mówił na temat grupy, jakie to miało właściwie znaczenie? Może tam mógł być jakiś pies pogrzebany? Paczka rozpadła się po tej podróży po Europie Wschodniej... czy nie tak powiedział? Latem 1972 roku? W takim razie było to trzy lata przed zdarzeniem w wąwozie Gåsa.
Twierdził też, że przyjęcie na plebanii nie było zbyt udane. Dawni przyjaciele wyrośli ze swojego towarzystwa. Uppsalskie lata należały do odległej przeszłości. Nic więcej się za tym nie kryło? - zastanawiała się Backman. Czy on tego nie wybielił? Przyznał, że atmosfera nie była dobra, by ukryć coś, co było znacznie gorsze?
Czy mogło tak być?
Spekulacje, pomyślała. Nic innego, tylko spekulacje.
Choć kiedy brakuje umiejętności, tylko to pozostaje.
Może od samego początku miałam rację, stwierdziła po jakimś czasie. Jedno spadło, a drugie skoczyło. Dlaczego tu siedzę, łamiąc sobie moją biedną głowę?
Ano tak, żeby nie myśleć o Sahlgrenska.
Przeszła do rozważań na temat Lund. Tu wystąpiła kolejna nieprzewidziana trudność. Rozmawiała z inspektorem Ribbingiem, który oznajmił, że Kristin Pedersen po prostu nie stawiła się na umówione spotkanie. Dzwonili kilka razy na jej kopenhaski numer, ale nikt nie odbierał.
Może to zresztą nie jest tylko kolejna trudność? - pomyślała Eva Backman. Może to coś więcej? Fakt, który coś znaczy.

Tak czy inaczej, koledzy ze Skanii jutro znów spróbują, być może z pomocą policji z drugiej strony cieśniny.
Z dwoma kolegami Grootha z pracy mimo wszystko rozmawiali. Z profesorem Lindskogiem i z adiunktem Tórnellem. Obaj długo znali Grootha, obaj też nakreślili taki jego obraz, jaki na tym etapie był już bardzo dobrze znany.
Samotny wilk. Bystry i nienaganny pracownik wydziału, jednak nikt, kogo by się znało bliżej albo z kim się spotykało. Grooth wolał chadzać własnymi drogami, a w świecie akademickim tacy ludzie są akceptowani.
Ribbing przysłał nagrania obydwu rozmów, jednak nie zdążyła ich przesłuchać. Na razie wystarczyło jej streszczenie, jakie od niego usłyszała przez telefon.
No i tyłe, pomyślała Eva Backman i spojrzała na zegar. Za piętnaście jedenasta, zmęczenie mimo wszystko dawało jej się we znaki. Schowała segregatory Sandlina i wstała zza biurka. Zrobiła szybką wieczorną toaletę i poszła do łóżka.
Zamazane, trudne do zrozumienia obrazy Barbarottiego
I Marianne w szpitalnej sali w Sahlgrenska powróciły, gdy tylko zgasiła światło. Wysiłkiem woli odsunęła je w ów delikatnie oświetlony kąt.
Zamiast tego w głowie pojawiła jej się ostatnia myśl na temat sprawy, zanim zmorzył ją sen.
W tym jest ukryta jakaś historia. Musi tak być. Historia, do której się jeszcze nie zbliżyliśmy. Właśnie tak.

49

Gunilla spotkała Annę przy kasie księgarni Lundequistiska. Obie kupowały książki. Anna jakąś naukową, ona zaś kieszonkowe wydanie Georges'a Simenona; chciała dać je na urodziny nowej koleżance, która też studiowała hiszpański.
Była sobota 21 października, obie stwierdziły, że nie widziały się prawie dwa miesiące. Zauważyły to z pewnego rodzaju wstydliwym zdziwieniem. Przynajmniej Gunilla.

Pewnie właśnie z powodu tego małego wstydu zapytała Annę, czy ta miałaby czas na kawę. Może w Guntherska tuż za rogiem?
Ku swojemu skrajnie wstydliwemu zdziwieniu odkryła, że czeka na to, aż Anna odmówi. Tak się jednak nie stało. Anna spojrzała na zegarek, po czym wyraziła zgodę. Do spotkania z Rickardem miała jeszcze godzinę, więc czemu nie?
- Jak tam u was? - zapytała, kiedy na stole stanęła kawa
I cynamonowa bułeczka.
- Dobrze - odparła Anna.
To właśnie jest problem z Anną, pomyślała Gunilla. Nigdy nie przejmuje inicjatywy w rozmowie. Samemu trzeba pilnować, żeby się kleiła. Dorzucać drwa do ognia. Jeżeli nie zaczyna się tego czy innego tematu, nie zadaje pytań czy czegoś nie stwierdza, najczęściej zapada cisza.
Już wcześniej przyszło jej do głowy, że można to odbierać jako łagodne oskarżenie. Tomas uświadomił jej to w trudnym dla niej okresie w zeszłym roku. Podczas owych trudnych, cichych miesięcy, spędzonych w Ulleråker.
Czuję się, jakbyś mnie za wszystko obwiniała - powiedział przy jakiejś okazji. To nie jest sprawiedliwe.
Tak źle, rzecz jasna, nie było, ani z nią w czasie choroby, ani z Anną Berglund w ogóle, małomówni ludzie mają jednak często swoistą przewagę, nie da się od tego uciec.
- A studia?
Wskazała książkę, którą Anna wyjęła z plastikowej torby
I położyła na stole koło filiżanki kawy.
-No.
- To już chyba ostatni rok?
Anna pokiwała głową i ugryzła bułeczkę.
- Zaczęłam studiować hiszpański - ciągnęła Gunilla. - Nowe języki są ekstra, człowiek na początku tyle się uczy. Rickard też dobrze sobie radzi?
- Tak. Słyszałaś coś o Marii?

Przynajmniej jakieś pytanie. Gunilla wzruszyła ramionami.
- Niewiele. Tomas próbuje utrzymywać kontakt, ale niewiele z tego wychodzi. Są, jacy są, Maria i Germund.
I oczywiście nic się nie poprawiło... rozważaliśmy spotkanie w szóstkę. Ale może lepiej trochę poczekać?
Anna polowała głową.
- Czytałam twoje artykuły o wycieczce w „Dagens Nyheter" - ciągnęła Gunilla. - Ciekawie napisane. Dobrze, że udało ci się to zrobić, biorąc pod uwagę... no, wszystko.
- Jeżeli chce się być dziennikarzem, trzeba umieć pisać.
- No tak, oczywiście.
Na chwilę zapadła cisza.
- Tomas w każdym razie doprowadził autobus do porządku. W przyszły weekend zrobi pierwszy kurs do Norr- landii.
- Słyszałam. Rickard mi mówił.
- Zobaczymy, jak to wyjdzie. Planuje jeździć co drugi weekend. Jeżeli Germund się dołączy, mogliby jeździć co tydzień. Aż do świąt. Fajnie by było, gdyby spółka trochę zarobiła.
- Spółka, tak - powiedziała Anna.
Gunilla czekała, ale nie padło już żadne słowo.
- Z Europy Wschodniej oczywiście nic nie wyjdzie. Mówię o przyszłych wakacjach. Ale nikt chyba na to nie liczy?
Anna pokręciła głową. Gunilla wypiła trochę kawy i zdecydowała, że ona też przez chwilę nie będzie się odzywać. Odchyliła się na krześle i spojrzała za okno. Zaczęło padać. Ludzie przemykali chodnikiem i nie wyglądali na zadowolonych. Sobotni stres, przeszło jej przez myśl. Podenerwowani ludzie, którzy dotarli do centrum tylko po to, by wydać pieniądze na rzeczy, których, jak im się wydaje, potrzebują. Jakaś mama z wózkiem do połowy osłoniętym folią stanęła tuż przed szybą, wyjęła z wózka krzyczące dziecko i próbowała zrozumieć, co jest z nim nie tak. Bo najwyraźniej coś było. Obracała je na wszystkie strony, zanim z powrotem

włożyła do wózka.
To mogłabym być ja, pomyślała nagle Gunilla i ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że to nie sprawiło jej bólu.
Nawet jeśli ostatnio nic szczególnego się nie wydarzyło, przynajmniej mogła patrzeć na dziecko bez ucisku w żołądku. W każdym razie kiedy było niezadowolone i wrzeszczało. Zawsze coś.
- Muszę chyba już iść - odezwała się Anna. - Przypomniałam sobie, że przed spotkaniem z Rickardem powinnam jeszcze coś zrobić.
- Okej - odparła Gunilla. - Ja chyba jeszcze trochę posiedzę i poczekam, aż przestanie padać. Może będziemy w kontakcie i spróbujemy umówić się później? Fajnie byłoby zobaczyć twoje zdjęcia.
- Zdzwonimy się - powiedziała Anna i wyszła z cukierni.
Gunilla spojrzała na zegarek. Nie spędziły razem nawet piętnastu minut.
Kolejnego spotkania jednak nie było. Gunilla i Tomas mówili o tym kilka razy, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Wiedzieli ponadto, że to do nich należy inicjatywa. Jeśli Tomas i Gunilla nie zwołają spotkania, nikt inny tego nie zrobi.
Cztery kursy do Norrlandii jednak się odbyły. Na całą jesień; trzy razy autobus prowadził Tomas, raz Germund. Gunilla pojechała, kiedy kierowcą po raz ostatni był Tomas. Przenocowali w skromnym hotelu w Luleå. Pasażerów, gdy zsumować wszystkie cztery kursy, mieli siedemdziesięciu ośmiu. Cena biletu wynosiła jakieś sześćdziesiąt procent kosztu przejazdu pociągiem ze zniżką studencką; wszyscy podróżni byli zadowoleni, ale autobus mógł pomieścić pięćdziesiąt osób i zysk był skromny. Tomas wyjaśnił, że potrzebowaliby przynajmniej trzydziestu pasażerów na każdy kurs, żeby interes zaczął się opłacać. Powinni też kursować co weekend, żeby ludzie wiedzieli, że w piątkowe popołu-

dnie wystarczy po prostu wskoczyć w autobus. I że późnym niedzielnym wieczorem będą z powrotem.
Choć był to oczywiście dopiero okres testowy. Wiosną lepiej się ogłoszą i spróbują ponownie. Może postarają się o nowego kierowcę; Germund nie wydawał się specjalnie zainteresowany jeżdżeniem co drugi tydzień tam i z powrotem trasą E4, a Tomas miał kilka osób na oku.
Z Germundem i Marią w ogóle było trudno. Na początku, po powrocie do Uppsali, biorąc pod uwagę to, co się stało, najbardziej naturalne wydawało się zostawić ich w spokoju, jednak z czasem, w listopadzie i grudniu, przynajmniej Gunilla pomyślała, że to dziwne, że już się nie spotykają. Maria była w końcu siostrą Tomasa i może tylko wmawiali sobie, że to, co się stało w Timisoarze, rozejdzie się po kościach. Ona tak w każdym razie zrobiła.
Może zresztą tak się stało, problem polegał na tym, że nie wiedziała. We wrześniu i w październiku dzwoniła do Marii, chciała z nią porozmawiać, ale nigdy się nie dodzwoniła. Nie była nawet pewna, czy Maria zaczęła już mówić, czy też nadal milczała. Jeśli się nie mówi, nie odbiera się również telefonu, to jasne.
Nie widziała się z nią w każdym razie przez całą jesień, kiedy zaś spotkała Germunda i zapytała o Marię, odpowiedział, że wszystko z nią w porządku.
Pisała również listy, tak samo jak w drodze powrotnej w autobusie, ale również nie otrzymywała odpowiedzi.
- Wiemy chociaż, czy nadal tu mieszka? - zapytała Tomasa na początku grudnia, a on pokiwał głową. Powiedział, że trzyma rękę na pulsie.
Zwykle tak mówił. Ze trzyma rękę na pulsie. Gunilla nie bardzo wiedziała, co to znaczy, było jednak jasne, że Tomas nie chce na ten temat rozmawiać. Może w tajemnicy przed nią spotykał się z Marią. Nie była w stanie tego stwierdzić, jak również, czy nie wynika to przypadkiem z poczucia

winy. Fakt, że nie chce z nią rozmawiać o siostrze. Ale nie miało to znaczenia, wystarczyło jej, że musiała się uporać z własnymi wyrzutami sumienia.
Ponieważ tak właśnie było, tego okropnego wieczora w Timisoarze Maria poniosła za nią ofiarę, Gunilla wiedziała zaś, że gdyby tego nie zrobiła, to wszystko by ją zniszczyło. Gdyby to ona miała spędzić godzinę z żołnierzami, Ulleråker nigdy nie miałoby końca. To Marii zawdzięczała fakt, że w ogóle w jakiś sposób funkcjonowała.
Po prostu.
Jednocześnie nie można było się na to nie wściekać. Dlaczego miałaby czuć się winna, skoro rzeczywista wina leży po stronie tych mężczyzn? Czyn Marii był wprawdzie ofiarą, ale czy to musi oznaczać, że Gunilla ma być wdzięczna? Po wsze czasy?
Oczywiście, że nie, myślała w chwilach, kiedy próbowała spojrzeć na to chłodnym okiem, i trzeba oddać sprawiedliwość, że Maria nigdy tak tego nie przedstawiła. Nigdy nie powiedziała ani słowa o sprawie. Ani nie napisała. Nikt tego nie zrobił, tylko ona. I niełatwo było się od tego uwolnić.
Zwłaszcza że Maria od czasu tamtego zdarzenia była niedostępna. Kompletnie i stuprocentowo. Całą drogę powrotną i potem.
To właśnie niewypowiedziane jest najtrudniejsze, pomyślała Gunilla. Nie możemy rozwiązać tego, czego nie ubieramy w słowa.
W ciągu tych jesiennych miesięcy budziła się czasem w środku nocy i nie mogła z powrotem zasnąć. Leżała wtedy w ich nowym podwójnym łóżku z Asko Finncenter, wpatrywała się w ciemność i próbowała myśleć o swoim życiu. Wprawdzie bez owych czarnych uczuć z czasów w Ulleråker, ale mimo to z silnym lękiem.
Odkąd opuściła dom w Karlstad, nie minęło więcej niż trzy i pół roku, ale wydawało się to tak dawno.

Dlaczego tyle rzeczy się dzieje? - zadała sobie pytanie. Co oznaczają te wszystkie nieszczęścia?
Samobójstwo byłego narzeczonego? Dwa poronienia? Ulleråker? Zdarzenie w Timisoarze?
To się dzieje za szybko, pomyślała. Nie da się w ten sposób żyć.
Germund i Maria? Gdzie się podziali?
A Rickard i Anna, czy oni także zniknęli? Wiedziała, że Tomas spotyka się z Rickardem raz na jakiś czas. Nigdy jednak w domu przy Sibyllegatan, jak to było kiedyś. Zawsze na mieście, w kawiarni albo w jakiejś korporacji. Tak się pozmieniały sprawy i było to jak... no właśnie, co?
Z drugiej strony, zyskali nowe towarzystwo. Już pierwszego dnia złapała dobry kontakt z koleżankami, które razem z nią studiowały hiszpański - Britt-Marie i Karin. To dla Britt-Marie kupiła ***La neige était sale*** Simenona i obie zaczęły odwiedzać ich na Sibyllegatan. Obie w towarzystwie, Karin z młodym Amerykaninem o imieniu Dave, który wyjechał ze Stanów, żeby nie musieć jechać do Wietnamu, Britt-Marie ze zwykłym Szwedem, Jórgenem, pochodzącym z Hamerdal w Jämtlandii.
Tomas też się dorzucił, zapraszając do domu nowych ludzi. Na przykład Ulrikę i Dennisa, którzy mieszkali niedaleko na Luthagen i mieli dziecko i psa, choć liczyli sobie tylko dwadzieścia dwa i dwadzieścia jeden lat. Pies był ogromnym i niesłychanie spokojnym leonbergerem, który wabił się Johansson, chłopczyk zaś miał rok i nazywał się Torsten.
Gunilla pilnowała Torstena pierwszy raz w połowie stycznia 1973 roku. Tego wieczora zrozumiała, że przestała już rozpaczać po swoich dwóch tragicznych ciążach. Lussan
I Aurora odeszły, nie była to jednak trauma, która naznaczyłaby ją na całe życie. Mimo wszystko i dzięki Bogu.
Pamiętała swoje myśli sprzed pół roku na temat wewnętrznej odwilży. Były oznaki, że właśnie się dokonała.

Również w styczniu 1973 roku, choć pod koniec miesiąca, sześcioro podróżników spotkało się znowu. Miało to miejsce na Sibyllegatan - gdzież by indziej? - i było swego rodzaju koniecznością. Również dlatego, że należało doprowadzić do porządku finanse firmy.

50

Nagle się obudził.

Przyglądały się mu trzy ubrane na biało kobiety, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest.

Ale później sobie przypomniał. Najwyraźniej w nocy położył się na pustym łóżku koło łóżka Marianne, bo tam teraz leżał. W pozycji embrionalnej, z dłońmi między kolanami. Ktoś przykrył go niebieskim szpitalnym kocem. Przerzucił nogi nad brzegiem łóżka i usiadł. Na sekundę pociemniało mu w oczach, ale zaraz doszedł do siebie. Wytarł brodę i policzki, miał na nich na wpół zaschniętą ślinę. Pomyślał, że już dawno nie czuł się taki nieświeży. Trochę jak pijak, który spędził noc w rowie.

- Dobrze, że się pan trochę przespał - powiedziała jedna z ubranych na biało kobiet. Przypomniał sobie, że to doktor Mousavi, anestezjolożka.
- Yy... tak? - odparł Barbarotti.
- Wybudzimy teraz pańską żonę - oznajmiła Mousavi.
- Już prawie oprzytomniała sama z siebie, to dobry znak. Prosimy jednak, by na ten czas opuścił pan salę.

Dwie pielęgniarki u jej boku skinęły głowami. Barbarotti potarł zaciśniętymi dłońmi oczy.

- Może pan w tym czasie zająć się poranną toaletą i zjeść śniadanie. Z pewnością potrwa to pół godziny. Zawołamy, kiedy będzie pan mógł znów wejść.

Barbarotti wstał. Popatrzył na Marianne. Nie dostrzegł żadnej wyraźnej zmiany, ale założył, że wiedzą, o czym mówią. Pogładził ją po przedramieniu i wyszedł na korytarz,

zanim uczucia zdołały przejąć nad nim kontrolę.
Spojrzał na zegarek. Była za piętnaście szósta rano.
Wszystko zajęło czterdzieści pięć minut. Zdążył wziąć prysznic i wypić dwie filiżanki czarnej kawy. Jedzenie nie wchodziło w rachubę.Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do domu, ale zdecydował, że poczeka. Głupio byłoby ich budzić, nie mając nic do powiedzenia, pomyślał. Pierwszy pociąg do Göteborga odjeżdża o ósmej, wystarczy, jeśli zadzwoni tuż po siódmej.
Doktor Mousavi zjawiła się kilka minut po wpół do siódmej, a Gunnar Barbarotti zdał sobie sprawę, że w pół sekundy, jakie upłynęło, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zdążył odczytać sytuację z jej twarzy.
Marianne żyła.
Przynajmniej tyle.
A może nawet więcej.
- Może pan już pójść do żony - powiedziała Mousavi.
- Oddycha samodzielnie i jest przytomna. Ale bardzo zmęczona, więc proszę się nie spodziewać, że będzie z panem rozmawiać. Potrzebuje teraz snu, ale odłączyliśmy respirator.
- To znaczy...?
- To znaczy, że najprawdopodobniej wszystko się udało. Wszystkie funkcje życiowe są w normie, nie widzimy żadnych poważniejszych uszkodzeń. Jednak zawsze mogą wystąpić powikłania, a rehabilitacja będzie długa.
- Rozumiem - odparł Barbarotti.
- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała Mousavi. - Pacjenci zwykle są rozdrażnieni. Teraz żona potrzebuje tylko snu. Nie pamięta nic z tego, co się stało, natychmiastowych wyrazów miłości też pan nie otrzyma.
Spojrzała na niego znad brązowawych okularów i poklepała go po ramieniu.
- To nie szkodzi - powiedział Barbarotti. - Dziękuję.

Dziękuję pani bardzo.
Następnie wszedł do sali, a łzy spływały mu po policzkach. Obie pielęgniarki uśmiechnęły się do niego, ale nie zwrócił na to uwagi.
Porozmawiał z Sarą.
Później z Johanem, a następnie z Jenny. Powiedział, że nie muszą przyjeżdżać do Góteborga, ponieważ mama najprawdopodobniej jeszcze tego popołudnia zostanie przewieziona z powrotem do szpitala Kymlinge.
- Wyjdzie z tego?
- Myślę, że tak - odparł Barbarotti. - W każdym razie wszystko na to wskazuje. Ale będzie to wymagało czasu.
Oboje śmiali się i płakali ze szczęścia; zanim jemu samemu się to udzieliło, zaproponował, by mimo wszystko poszli do szkoły, ponieważ mama właśnie tego by oczekiwała.
Obiecali, że pomyślą.
Rozmawiał też kolejno z Larsem i Martinem, a następnie z siostrą Marianne i z jej bratem, do którego dzwonił wczoraj późnym wieczorem, a na koniec - ponieważ Marianne i tak tylko spała - puścił sygnał Evie Backman.
- Powiedz, że wszystko dobrze - odezwała się.
- Wszystko dobrze - powiedział Gunnar Barbarotti.
- Dzięki ci, Boże - odparła Eva Backman. - Jak dobrze?
- Nie można jeszcze powiedzieć. Czas pokaże. Ale jest przytomna i mnie poznaje. To znaczy kiedy nie śpi, bo śpi właściwie na okrągło.
- Podziękuj za nią losowi - powiedziała.
- Robię to w każdej sekundzie - zapewnił Gunnar Barbarotti. - Po południu może pojedziemy do Kymlinge. Tutaj mają niedobór miejsc. Ale kilka tygodni będzie leżała na oddziale rehabilitacyjnym.
- To jasne. Wiesz, że...?
- Słucham?
- Wiesz, że w życiu się tak nie bałam jak dzisiaj w nocy?

Obudziłam się o trzeciej i nie mogłam znowu zasnąć. Czułam się tak, jakby to dotyczyło moich własnych dzieci. Gdyby tak było... nie, nie wiem.
Oboje siedzieli przez chwilę w milczeniu, Barbarotti zaś pomyślał, że Pan Bóg leży na poduszce z chmur i ich obserwuje. A przynajmniej jego.
- Tak, tak, wiem - powiedział. - Pamiętam.
- Słucham? - odparła Eva Backman.
- Przepraszam, nie mówiłem do ciebie - odparł Barbarotti.
Wierzchem palców pogładził ją po policzku. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.
Rozchyliła też lekko usta. Tak jakby chciała coś powiedzieć. Nic jednak nie powiedziała, rzecz jasna.
- Niedługo wrócimy do Kymlinge - odezwał się. - Lekarze mówią, że za godzinę.
Zamknęła oczy i ciężko westchnęła. Chwycił ją za rękę. Ścisnął ją delikatnie i wydawało mu się, że odwzajemniła uścisk.
- Wiem, że nie możesz mówić - rzekł. - Ale słyszysz, co mówię, prawda?
Możliwe, że kiwnęła głową.
- Chcę w każdym razie powiedzieć, że cię kocham i po tym wszystkim będę cię nosił na rękach.
Otworzyła jedno oko i znowu je zamknęła.
- Będziemy żyć ze sobą, aż stuknie nam setka, i ani minuta nie będzie zmarnowana.
Westchnęła.
- Przed świętami nie musisz nic robić w domu. Rozmawiałem z dzieciakami, opracujemy plan. Ty tylko leż, odpoczywaj i zdrowiej. A my dzień i noc będziemy na twoje usługi. Słyszysz, co mówię?
Uśmiechnęła się.

Nawet wróbel nie spadnie na ziemię bez łaskawej opatrzności.
Chyba Szekspir napisał coś takiego, ale to nieprawda. Nad moim spadaniem nikt nie czuwa. Dwukrotnie moje życie implodowało - tak, tu ma być właśnie to słowo - implodowało. Po raz pierwszy, kiedy jako dziecko dostałam w głowę i zmieniła mi się osobowość, i po raz drugi, kiedy zgwałciło mnie czterech żołnierzy w Timisoarze.
Cieszę się, że wybrałam milczenie. To było instynktowne posunięcie, mechanizm obronny. Kiedy człowiek sam nie mówi, inni nie mówią do niego. Może z początku tak, ale po jakimś czasie się poddają.
Chciałam tylko mieć spokój, nadał tego chcę. A przede wszystkim nie mam potrzeby spotykania się z innymi. Jeżeli czegoś nie mogę znieść, to ciągłych analiz tego, co się stało. Musiałabym się pławić w ich nieporadnej trosce
I rzekomych próbach naprawienia wszystkiego. Pomagać im w radzeniu sobie z ich własnymi boleściami. Tak się po prostu nie da, siedzieli tam jak złapane w pułapkę durne szczury, drżące i przerażone, i użalali się nad sobą. Tylko ja
I Germund podjęliśmy jakieś działania. Przede wszystkim stawiliśmy opór i próbowaliśmy cokolwiek zrobić.
Wstydzę się za nich, od samego początku było mi za nich wstyd. Nigdy tego nie zrozumieją, a ja nie zamierzam tłumaczyć. Nie chcę ich więcej widzieć. Wiem, że nie da się tego całkowicie uniknąć, ale niech to najpierw przycichnie. Niech oni również spojrzą na to z dystansu.
Germund rozumie to bez słów, nasz związek stał się jednocześnie silniejszy i bardziej kruchy. Kruchość wynika głównie z faktu, że już nie mogę się kochać i nie wiem, czy to się zmieni. Kilka razy próbowaliśmy, ale wywołuje to we mnie takie obrzydzenie, że chce mi się rzygać. Na razie muszę wyłączyć całą tę sferę życia.

- Na jak długo? - pyta Germund.- Skąd mam to, kurwa, wiedzieć? - odpowiadam.
Oczywiście znowu mówię. Niewiele, wtedy, kiedy potrzeba. Jesienią robiłam kurs C na literaturoznawstwie, tam nie musiałam się często odzywać. Mówiłam w zasadzie tylko wtedy, kiedy broniłam swojej pracy na temat Johna Cowpera Powysa. Dałam sobie spokój z Celine'em i Dagermanem. Nie sądzę, żeby mój promotor, pan Bjórnell, rozumiał szczególnie wiele z Powysa, ale tak czy inaczej, postawił mi najwyższą ocenę. Doskonała robota, powiedział. Doskonalsza, niż ci się wydaje, pomyślałam.
Teraz, wiosną, robię kurs D. Dwa przedmioty za pięć punktów - powieść XIX-wieczna i powieść XX-wieczna, to doskonałe zajęcie dla wróbla, który spadł na ziemię. Po prostu czyta się powieść, spotyka raz w tygodniu i rozkłada na czynniki pierwsze. Parę dni temu, wędrując do domu przez Gamla kyrkogården, słyszałam, jak Hjalmar Söderberg przewraca się w grobie; nigdy nie było jego intencją, żeby w ten sposób obchodzić się z ***Niebłahymi igraszkami.*** Powiedziałam mu, że się z nim zgadzam, ale nie ma się co gorączkować.
Wiem, wiem, Söderberg jest pochowany w Sztokholmie. To była tylko taka myśl.
Poza tym pracuję nad kolejną rozprawą. O francuskim poecie surrealistycznym Grimaux, który w 1930 roku dostał nagrodę PSCP i trzy lata później odebrał sobie życie w Nowym Jorku. Nie z powodu nagrody, tylko dlatego, że stracił żonę i córkę w katastrofie statku niedaleko Collioure. Najchętniej skupiłabym się tylko na tym, co pisał w Nowym Jorku - było to około dwudziestu mrocznych wierszy wyjaśniających rzeczywistą strukturę życia - ale mój promotor mówi, że jest za mało materiału.
Zwróciłam mu uwagę, że niektórzy doktoryzują się z dziesięciu linijek Racine'a albo Szekspira, ale nie chce o tym na-

wet słyszeć. Twierdzi, że są poeci i poeci. Jak się domyślam, daje do zrozumienia, że również badacze i badacze.
Germund nadal studiuje filozofię. Filozofię teoretyczną, głównie chodzi tu o matematykę i hermetyczne systemy logiczne. Kilka dni temu rozmawialiśmy o naszym dawnym koniku: czystej matematyce i fizycznej miłości.
- Chodzisz się pieprzyć do innej? - zapytałam go.
Germund odparł, że najchętniej by o tym nie rozmawiał.
- Doskonale to rozumiem - powiedziałam. - W takim układzie.
- Okej - rzeki Germund. - Bywało.
- Kiedy znów ruszymy, życzę sobie, żebyś z tym skończył.
- Zdaję sobie sprawę - odparł Germund. - Jak chcesz, mogę od razu z tym skończyć.
- Dopóki mnie w to nie mieszasz, możesz kontynuować
- powiedziałam. - Ale nie chcę wiedzieć, kiedy byłeś u innej. Nie przychodź do domu pachnący pizdą, bo odejdę.
Widziałam, że go to poruszyło. Jeszcze długi czas chodził po pokoju, przeczesując włosy rękami. Pomyślałam, że jest piękny. Wyglądało to jak scena ze starego filmu ***noir.*** Melancholijny młodzieniec próbuje podjąć decyzję.
Pomyślałam, że go kocham.
Ostatnio co jakiś czas przychodziło mi to do głowy.
Skończył chodzić, przystanął i spojrzał na mnie płonącym wzrokiem. Tak by to chyba w każdym razie określił John Cowper Powys. ***Płonącym.***
- Maria, ja nie chcę bez ciebie żyć, nigdy. Wszystkie inne kobiety są jak letnia woda w porównaniu z tobą.
Zaczęłam się zastanawiać, czy temu poświęcił swoją przechadzkę. Wymyślaniu tej akurat formułki. Tak czy owak, spodobała mi się i powiedziałam, że jeśli kiedykolwiek zechcę znowu się pieprzyć, to właśnie z nim.
Było tak, jakbyśmy tego wieczoru zawarli pakt.
Bez słów, oczywiście.

Tylko raz od wakacji spotkaliśmy się z resztą.
To było kilka miesięcy temu, pod koniec stycznia albo może na początku lutego. Oczywiście u Tomasa i Gunilli, przy Sibyllegatan. Chciałam udać, że mam grypę, czy coś,
I wysłać Germunda samego, ale to by było egoistyczne. Germund nie jest bardziej zainteresowany tym towarzystwem niż ja. Tak wyszło.
Powodem naszej wizyty była ta przeklęta firma autobusowa. Germund i ja mamy w końcu jedną czwartą udziałów, a zaczynając działalność, nastawialiśmy się przecież na zysk. Nic z tego jednak nie wyszło, oznajmił mój cudowny braciszek, kiedy usiedliśmy i zaczęliśmy zajadać chili eon carne z Paradorem. Parador był i w kieliszku, i w chili. Tomas rozłożył na stole masę papierów i powiedział, że mamy trochę strat, ale to dobrze, bo nie musimy wykazywać żadnego zysku. I wyrównamy je sobie przyszłorocznym zyskiem.
Gadał w ten sposób jakiś czas, a później podpisywaliśmy kolejne papiery. Teraz uważam, że dobrze się stało, bo mogliśmy zająć się czymś neutralnym. O Timisoarze nie powiedzieliśmy ani słowa, tak jakby się to nigdy nie zdarzyło, jakbyśmy w ogóle nie byli na żadnej wycieczce, zauważyłam jednak, że mają kłopoty z patrzeniem mi w oczy. Zwłaszcza Gunilla, rzecz jasna. Jesienią napisała do mnie kupę listów, przeczytałam mniej więcej połowę, ale na żaden nie odpowiedziałam.
Tak czy inaczej, powiedział Tomas, dobrze by było, gdyby każdy z nas dołożył do spółki ze dwa tysiące. Kolejne dwa tysiące, ma się rozumieć. W tym roku skoncentrowalibyśmy się całkowicie na kursach po Norrlandii, miał na oku chłopaka chętnego, by prowadzić przynajmniej co drugi weekend, więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, pieniądze zwrócą się nam przed wakacjami. Zapytał Germunda, czy ma ochotę dalej prowadzić, na co Germund odpowiedział, że zrobi wszystko, żeby jego noga więcej nie postała w tym

cholernym autobusie.
Rickard powiedział, że jemu i Annie może być ciężko uzbierać dwa tysiące, tym bardziej że będą musieli zacząć spłacać pożyczkę, którą wzięli, kiedy kupowaliśmy autobus, ale w końcu ustalili z Tomasem, że porozmawiają o tym na osobności.
Byliśmy u nich nie dłużej niż dwie godziny. Kiedy człapaliśmy do domu, Germund był podenerwowany, próbowałam się dowiedzieć, o co chodzi, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Zostawiłam go w spokoju, oboje szanujemy swoje potrzeby w tym zakresie. To żadna nowość, że człowiek wymaga przede wszystkim samotności. Sny to diabelski wynalazek. Wszystko, co buduję za dnia, w nocy może ulec zniszczeniu. Grimaux opisuje też i to doświadczenie. Nie ma znaczenia, jak rozsądne myśli przychodzą nam do głów, kiedy nie śpimy; możemy przebyć tysiące kilometrów w poszukiwaniu lekarstwa dla duszy, ale kiedy dopadają nas sny, wszystko, co udało nam się osiągnąć, idzie na marne.
Znowu mnie otaczają. Znów czuję ich dyszenie. Spocone ciała i drążące mnie niemyte kutasy. Nie mogę nawet się obudzić, za każdym razem wydaje mi się, że to sen, ale tak nie jest. To kawałek jawy z przeszłości, tak samo mój jak ręka czy noga, choć nie da się go tak po prostu odciąć. Ponieważ to się naprawdę wydarzyło, to nie sen, ale część mojego mentalnego pejzażu i wygląda na to, że co jakiś czas muszę tam trafiać. Zapuszczać się w te strony w co którąś noc, żebym nie zapomniała.
Ostatni wiersz napisany przez Grimaux - jest datowany na zaledwie dwa dni przed jego samobójczą śmiercią - opowiada o tym, jak w nocy odwiedzają go żona i córka, każdej nocy, przez wiele tygodni, są ze wszech miar umarłe, w stanie daleko posuniętego rozkładu, on zaś w końcu próbuje je zabić raz jeszcze, żeby wreszcie uwolnić się od tych wizyt.
Czasem myślałam o tym, że powinnam wrócić i zabić swoich

gwałcicieli, ale jak miałabym ich znaleźć? Jak by to trzeba było zrobić? Bóg wie, że nie zawahałabym się ani chwili, gdybym tylko miała szansę. Niektóre życiowe wybory są proste.
Mam tylko jedno lekarstwo na te noce: jeżeli przed zaśnięciem wypalę trochę haszyszu, oni się nie pojawiają. Przynajmniej na to wygląda; testowałam to na razie trzy wieczory z rzędu i działa.
Germundowi nie podoba się zapach, ale pogodził się z tym. Sam nigdy nie pali, mówi, że tylko od tego głupieje.
Za tydzień Noc Walpurgii, zdecydowaliśmy, że pojedzie- my do Sztokholmu i zatrzymamy się w hotelu.

52

Wczesnym rankiem w środę 6 października nad Kymlinge z południowego zachodu nadciągnęła ulewa i padało całe popołudnie. Koło dziewiątej Gunnar Barbarotti siedział z filiżanką kawy na najwyższym piętrze budynku nr 30 szpitala Kymlinge, patrzył przez wielkie panoramiczne okno na rozsierdzone niebo, ciężkie jak ołów, i myślał, że nic a nic go to nie martwi.
W sali kilka metrów dalej spała Marianne. Ona też go nie martwiła. Przynajmniej kiedy uświadamiał sobie, jak mogłoby być. Tej nocy również u niej spał i rozmawiał z pół tuzinem lekarzy i pielęgniarek. Wszyscy mówili to samo i wszystko przemawiało za jednym. Marianne nie będzie miała żadnych trwałych uszkodzeń mózgu spowodowanych wylewem, jaki dwa dni wcześniej przytrafił jej się w miejscu pracy oddalonym o sto pięćdziesiąt metrów od sali, w której teraz byli. Przynajmniej żadnych poważniejszych uszkodzeń. Było oczywiście za wcześnie, by stwierdzić to z całkowitą pewnością, jednak, biorąc pod uwagę to, co mogło się stać, trudno było odczuwać cokolwiek innego niż bezpieczny optymizm.

Piątka ich dzieci właśnie opuściła szpital, żeby zająć się codziennymi sprawami - edukacją na różnych szczeblach - sam jednak nie zamierzał jechać na komisariat wcześniej niż po lunchu. Zanim dzieci pojechały, stali przez chwilę całą rodziną wokół łóżka Marianne i trzymali się za ręce, nie miała siły na więcej niż zmęczony uśmiech, ale to wystarczyło.
I to w zupełności.
Najprawdopodobniej nie rozumiała jeszcze, co jej się przytrafiło, ale i tym nie było sensu się martwić. Doktor Berngren i kilkoro innych zapewniło, że wszystko przyjdzie z czasem i zdecydowanie nie ma powodu do pośpiechu.
Nie, tym, co owego jesiennego wieczoru mogło niepokoić inspektora Barbarottiego, była rozmowa, którą miał przeprowadzić z Evą Backman, kiedy o wpół do drugiej spotkają się w jej gabinecie.
Umówili się na to miejsce i czas, on zaś oznajmił, że ma coś ważnego do powiedzenia.
- Coś ważnego? - zastanawiała się. - Przecież dopiero co powiedziałeś, że Marianne czuje się dobrze. Co może być ważne w porównaniu z tym?
- To ma związek ze sprawą. Ze śmiercią w wąwozie Gåsa. I... z Marianne. W pewnym sensie. Ale opowiem, jak się spotkamy.
- Chryste Panie - jęknęła Eva Backman. - Czyżby to tobie podali tlen?
- Może po prostu przejdę od razu do rzeczy?
- Nie jest to głupi pomysł - powiedziała Eva Backman.
Przełknął ślinę i odchrząknął. Wstał od biurka i znowu usiadł.
- Co z tobą? - zapytała Eva Backman. - Pchły cię oblazły?
- Po prostu to tak cholernie głupia sprawa - rzekł Barbarotti.
- Widzę po twoim zachowaniu - odparła Backman.

- Po prostu... Marianne... moja żona...
- Wiem, że Marianne jest twoją żoną.
- Ona miała... jak by to powiedzieć? Romans z Germundem Groothem.
Eva Backman upuściła na podłogę filiżankę kawy.
- Mówiłem, że to cholernie głupia sprawa.
- Nie nabijasz się ze mnie? - To było pierwsze, co chciała wiedzieć po posprzątaniu podłogi.
- Nie - odparł Barbarotti. - Zwariowałaś? Po co miałbym w ten sposób się z ciebie nabijać?
- Masz rację - przyznała Backman. - No, mówże wreszcie dalej! Rozwiń ten temat. Kiedy?
- Oczywiście na długo zanim się poznaliśmy - powiedział Barbarotti. - No, dosyć długo - poprawił się. - Spotkali się kilka razy w ciągu roku, coś w tym stylu.
- Aha?
- Oczywiście powiedziałbym o tym, ale to było tak cholernie... no, wiem, że jestem idiotą, ale to po prostu było żenujące.
- Jesteś idiotą - powiedziała Eva Backman.
- Właśnie mówię - odparł Barbarotti. - Fajnie, że choć raz się ze mną zgadzasz.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Ale w takim razie oznacza to, że wiemy nieco więcej o Germundzie Groocie? Albo przynajmniej ty?
- No... nie - powiedział Barbarotti. - Nie rozmawialiśmy o nim zbyt dużo.
- Co? - zdziwiła się Backman. - Nie rozmawialiście o nim? Jak to?
- Właśnie tak. Nie rozmawialiśmy o nim zbyt dużo.
Eva Backman podniosła brwi i głos. - W takim razie szukamy tutaj ze świecą ludzi, którzy mogą powiedzieć coś sensownego o tym cholernym Groocie, a Marianne...
- Sytuacja zrobiła się trochę napięta - przerwał Barbarotti.

- Napięta?
- Tak. Między Marianne a mną.
- Dlaczego?
- Ponieważ... byłem trochę zazdrosny.
Eva Backman zrobiła duże oczy. Następnie potrząsnęła głową.
- Mówię przecież, że byłem idiotą - rzekł Barbarotti. - Ale ją kocham, więc mam do tego prawo.
- Byłeś zazdrosny o faceta, z którym była, zanim poznała ciebie?
-Tak.
- Który do tego nie żyje?
-Tak.
- Mężczyźni - powiedziała Eva Backman.
- Wiem - odparł Gunnar Barbarotti. - Tacy już jesteśmy, rozmawialiśmy o tym wcześniej.
- To prawda - przyznała Backman. - Ale w takim razie znaczy to, że Marianne wie to i owo o Germundzie Groocie. Mówiłeś, że jak długo byli razem?
- Marianne twierdzi, że niecały rok. Ale nigdy tak na poważnie. Spotykali się mniej więcej raz w miesiącu. Zanim zostaliśmy parą, Marianne mieszkała w Helsingborgu.
- Pamiętam - powiedziała Eva Backman i westchnęła.
- Tak czy owak, jest to co najmniej niespotykane. I może gdy przyjdzie co do czego, na niewiele nam się zda. Ale, jak rozumiem, nie rozmawialiście o nim wcale?
- W zasadzie nie.
- Nieprawdopodobne. A teraz oczywiście nie da się tego zrobić. Muszę powiedzieć, że czasem... czasem wydaje mi się, że nad wszystkim czuwa jakiś reżyser.
- A ja wiem, że tak jest - odparł Barbarotti. - Chociaż nie, on nie jest reżyserem. Bardziej takim... opiekunem.
- Opiekunem? - zapytała Backman.
- Coś w tym stylu.

Znowu potrząsnęła głową.
- Czasem jesteś zagadką. Ale kij z tym, nie zamierzam próbować jej rozwiązać. Niech to będzie robota dla Marianne. To co teraz zrobimy? Weź się może w garść i porozmawiaj z nią, kiedy będzie już wystarczająco silna... co oni mówią? Mam na myśli lekarzy.
- Potrzebuje odpoczynku - odparł Barbarotti. - Przynajmniej kilka tygodni poleży na oddziale rehabilitacyjnym. Choć oczywiście będzie można z nią porozmawiać... za parę dni. Może jutro?
- Pamiętaj o tym - powiedziała Eva Backman. - Ale uważaj na nią, może nie musimy się z tym tak spieszyć. To w końcu tylko... ocena charakteru, prawda?
- Tak sądzę. Choć przeczuwam, że...
-Tak?
- Ze byłoby lepiej, gdybyś to ty z nią porozmawiała.
Eva Backman przyglądała mu się badawczo przez chwilę.
- Rozumiem - powiedziała. - Chyba masz zupełną rację.
Spojrzała na zegarek.
- Za pół godziny mam się zobaczyć z Asunanderem. Chce wiedzieć, jak nam idzie.
- Aha? - rzekł Barbarotti. - A jak nam idzie?
- Nietęgo - odparła Eva Backman. - Chcesz usłyszeć, co cię ominęło?
- Z chęcią - powiedział Barbarotti.
- Znów rozmawialiśmy z zainteresowanymi. Przede wszystkim z myślą o alibi, tak jak sobie powiedzieliśmy. Gdyby trzymać się tych godzin w sobotę po południu, nie można nikogo wykluczyć w stu procentach. Choć nie widziałam się z Rickardem Berglundem. Ty miałeś to zrobić wczoraj, ale... no, wyszło, jak wyszło. A w sobotę jest pogrzeb jego żony, więc nie wiem.
Barbarotti pokiwał głową.
- Czyli nie posunęło się naprzód?

- Nie za bardzo. A, właśnie, nasi wreszcie skontaktowali się z Kristin Pedersen z Kopenhagi. Po południu albo wieczorem podeślą protokół przesłuchania. Więc może mimo wszystko dowiemy się czegoś więcej o charakterze Grootha. Niezależnie od Marianne.
Barbarotti wstał.
- Zadzwonię do Berglunda i dowiem się, kiedy by chciał porozmawiać. Mogę się tym zająć, ostatnio to ja z nim rozmawiałem. Może po namyśle będzie chciał to przełożyć na po pogrzebie?
- Możliwe - powiedziała Backman. - Czyli zamierzasz pracować?
- Lepiej, żebym wziął wolne, kiedy ona wróci do domu
- odparł Barbarotti.
Backman kiwnęła głową.
- Sara postanowiła zresztą, że trochę u nas pomieszka. Wydaje mi się, że nie najlepiej jej się układa z Jorgem. Więc może to i dobrze.
- Jak długo razem mieszkają?.
- Jakieś dwa lata - powiedział Barbarotti. - Ale szkoda. Lubię go.
- To nie ty z nim mieszkasz.
- Też tak uważam. Jest coś jeszcze? Bo chciałem pojechać z powrotem do szpitala?
- Tak - powiedziała Backman, podnosząc się z krzesła.
- Jest coś jeszcze. Pozdrów ode mnie Marianne i powiedz, że wszystko będzie dobrze. Ale że nie musi się śpieszyć. Wpadnę do niej za parę dni... nie tylko z powodu tego, o czym rozmawialiśmy.
- Przekażę - obiecał Gunnar Barbarotti. - Pozdrowienia dla szefa.
- Przekażę - powiedziała Backman.

- Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy poszukiwaniem szczęścia a poszukiwaniem sensu - powiedział Rufus Svensson i podrapał się w brodę. - Musimy to sobie uzmysłowić. Prościej jest szukać szczęścia, a jednak należymy do tej grupy szaleńców, którzy wybrali poszukiwanie sensu. Poprawcie mnie, jeśli się mylę. Chociaż nie, nie mylę się, ale i tak coś powiedzcie.
Siedzieli w cukierni Ofvandahls. W najgłębszym kącie najbardziej zadymionej sali, od kilku miesięcy było to ich stałe miejsce. Owalny stolik i kanapa pod portretem samego Erika Ofvandahla. Była godzina dziewiętnasta, siedzieli tam od około szesnastej, kiedy to skończył się wykład profesora Hallencreutza. Rickard Berglund poszedł po czwartą, a może piątą filiżankę kawy i pomyślał, że niedługo powinien się zbierać.
Z drugiej strony, lubił tu przebywać. Było ich czterech; oprócz niego i Rufusa Svenssona był Matti Kolmikoski i Sivert Grahn. Studiowali razem teologię już prawie trzy lata, ale dopiero ostatnio zaczęli się spotykać bardziej regularnie. Ciekawe dlaczego. Rickard czasem się nad tym zastanawiał. Dlaczego tak niewiele czasu spędzonego w Uppsali poświęcał na życie studenckie. Dlaczego częściej nie wychodził z ludźmi. Pomyślał jednak, że ta paczka nie ma zbyt wiele wspólnego z tym, co się powszechnie uważa za życie studenckie. Czterech przyszłych pastorów, wszyscy należeli do papierowej korporacji Skånelandens, co oznaczało, że oszczędzali pięćset koron rocznie i nie mieli wstępu do pozostałych korporacji. Co z kolei znaczyło, że oszczędzają znacznie więcej. Uczestnictwo w życiu korporacji studenckich polegało przede wszystkim na piciu, a nawet jeśli piwo, wino i mocny alkohol kosztowały ułamek tego, co w pierwszej lepszej restauracji, i tak nie były za darmo.Dla Rickarda wybór był prosty, a Anna to popierała. Urodziła

się i wychowała daleko na wschód od rzeki, w nieakademickiej Uppsali. Dla niej świat studencki oznaczał głównie snobizm, kumoterstwo i zamknięte środowiska. Już od dzieciństwa były to dla niej zamknięte drzwi, a jej studia dziennikarskie w Sztokholmie miały bardzo niewiele wspólnego z tradycyjnym akademickim światem. Zresztą wszędzie, nawet w Uppsali, święciła triumfy lewica. Może czasy właśnie się zmieniają, zastanawiali się Anna i Rickard. Może poncz, pieśni Gluntarne i wszystkie te dawne rytuały odchodzą do lamusa; dwa tygodnie temu każdy mógł się przekonać, że znacznie więcej studentów wzięło udział w pochodzie pierwszomajowym niż w eleganckiej kolacji, która zgodnie z tradycją tego samego dnia zwiastowała nadejście wiosny

- Kolega Rufus ma absolutną rację - powiedział Matti Kolmikoski, kiedy Rickard ponownie usiadł przy stole. - Ale nie zgłębił należycie problemu. Jak zwykle, chciałoby się rzec.

Mówił z fińskim akcentem, dzięki czemu wszystko, co mówił, wydawało się bardziej przemyślane i klarowne, niż było w istocie. Rickard już wcześniej to zauważył. Z ludzi chcących spędzić życie na głoszeniu kazań z ambony najlepiej mieli ci, którzy mówili z fińskim akcentem. Albo chociaż z norrlandzkim, w tych dialektach było brzmienie, jakiego próżno by szukać w mowie mieszkańców środkowej i południowej Szwecji.

- Wcale bowiem nie jest powiedziane, że mamy tu do czynienia z relacją przeciwieństw - ciągnął Kolmikoski. - Szczęście kontra sens. Ja na przykład nigdy nie byłbym szczęśliwy, gdybym nie poświęcił swojego życia na poszukiwanie sensu. Uważam, że pojęcie szczęścia jest równie nieprecyzyjne, co przeceniane. Utylitaryzm jest według mnie zbyt prostacki.

- Niech i tak będzie - zgodził się Rufus Svensson, znów pastwiąc się nad swoją bujną brodą. - Przy tym stole nie ma

jednak żadnego wyznawcy utylitaryzmu. Myślałem, że jestem w gronie chrześcijan.
- Jasne, że tak - wtrąci! się Sivert Grahn. - Ale całkowicie zgadzam się z Mattim. Dla mnie to prędzej synonimy. Jeżeli nie będę mógł się poświęcić poszukiwaniom sensu, ani przez sekundę nie będę szczęśliwy.
Rickard uważał go za najciekawszego z całego towarzystwa. Spokojny i poważny, jednak bez tej laestadiańskiej melancholii, właściwej wielu studentom teologii. Pokorny i inteligentny, rzadko robił wokół siebie szum, ale też nigdy nie podążał z prądem. W ważnych kwestiach zawsze zajmował stanowisko. Rickard miał nadzieję, że po studiach nie przestaną się spotykać, widział oczyma wyobraźni, jak spotykają się przez lata. Wszyscy czterej; jak porównują doświadczenia z rozmaitych probostw i posad. Za dwadzieścia, trzydzieści lat nadal poruszają kwestie wiary, życia i etyki. Pamiętają uppsalskie czasy.
- Masz rację, Sivert - powiedział. - Żyć to znaczy szukać sensu. Nie każdy musi to robić, mamy wolny wybór. My jednak musimy to robić. Wierzyć w Boga to znaczy przede wszystkim próbować go zrozumieć, właśnie o tym piszą Mulholland i Erazm z Rotterdamu.
Pozostali pokiwali głowami. Rickard zauważył, że jest w tym dobry. Trzymać się trochę z boku, może zresztą nauczył się tego od Siverta, słuchać argumentów i punktów widzenia pozostałych, a później w odpowiednim momencie podsumować dyskusję.
- Ojej - powiedział Rufus Svensson i spojrzał na swoją starą srebrną cebulę, którą wyciągnął z kieszeni kamizelki.
- Mój nieszczęsny zegarek znowu poniosło. Przykro mi, panowie, ale muszę niestety udać się do domu i przystąpić do wieczornego udoju.
Reszta wybuchnęła śmiechem. Rickard pomyślał, że Rufus z pewnością będzie świetnym pastorem. Ze starej szkoły.

Jeżeli już w wieku dwudziestu czterech lat jest taki jowialny, to wszystko może pójść tylko w dobrym kierunku.
Rozstali się i zaczął iść ulicą św. Olofa w stronę Kvarngärdet. Był środek maja, kwitły czeremchy, wczesnoletni wieczór był piękny, a do końca semestru pozostały tylko dwa tygodnie.
Dokładnie rzecz biorąc, jeden egzamin na początku czerwca, a później jeszcze tylko rok. Pomyślał, że to dziwne. Odkąd przyjechał do Uppsali, minęły cztery lata, a on pamiętał, jak się wtedy czuł. Jak wysiadł na dworcu i z niemalże nabożnym uczuciem szedł przez miasto. Jak lokalizował obecnie dobrze znane punkty - rzekę Fyris, katedrę, teologię, Carolinę, Slottsbacken i jak w cukierni Fågelsången poznał Tomasa.
Rok w wojsku i w szkole łączności, wszystko, co się z tym wiązało. Helgego z Gäddede i to, jak poznał Annę, kiedy obserwowali demonstrantów na Drottninggatan, koło Bok-Viktora.
Jak dosłownie wpadła mu w ramiona, jak poszedł z nią do domu i jak zostali parą. Mieszkali już ze sobą... jesienią będą dwa lata. Małżeństwem są od niespełna roku. Z jakiegoś powodu wydawało się, że krócej i dłużej jednocześnie.
Im dalej za plecami zostawiał miasto, im bardziej zbliżał się do Väktargatan, tym intensywniej o niej myślał. Czy może o ich związku, jednego nie dawało się oddzielić od drugiego.
Za parę tygodni miała skończyć studia dziennikarskie. Dostała letnie zastępstwo w gazecie „Uppsala Nya Tidning" i była nadzieja, że przedłużą je do jesieni. Rickard będzie pracował na poczcie, tak jak ubiegłego lata. Sivert Grahn, Matti Kolmikoski i Rufus Svensson też oczywiście mieli przed sobą jeszcze rok teologii, a Rickard z niecierpliwością czekał na ich kolejne spotkania w Ovfandahls w czasie dwóch ostatnich semestrów. Potem jeszcze przynajmniej jeden semestr, zanim otrzyma święcenia. To bez wątpienia

go uspokajało, nie był jeszcze gotowy na porzucenie Uppsali. Ale może za półtora roku będzie. Rozmawiali o tym z Anną wielokrotnie, doszli do wniosku, że mogliby przeprowadzić się w jakieś nowe miejsce, najlepiej daleko od miasta nauki, ale teraz jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment. Z czasem trzeba będzie rozejrzeć się po kraju w poszukiwaniu pracy.
Kościoły i gazety są prawie wszędzie, więc kiedy będzie trzeba, wszystko na pewno się ułoży.
Dobrze nam się żyje, pomyślał Rickard trochę niespodziewanie, mijając skrzyżowanie ulic Råbyleden i Mobilmacken. Więc to tak wygląda życie w związku. Czasem z górki, a czasem trochę pod górę, zgadzało się to, co mówili przy stole, kiedy dyskutowali o szczęściu i poszukiwaniu sensu. Zgadzało się, gdy zastosował to również do związku. Głupio wmawiać sobie, że cały czas powinno być różowo. Że szczęście powinno po prostu tam być. Każdego ranka, południa i wieczoru, nie, tak to nie działa. Tak samo jak trzeba doszukać się w życiu sensu, tak trzeba postępować również w małżeństwie. Wspólnie podążać krętą drogą wiodącą przez kłopoty i radości i nie wbijać sobie do głowy, że inni ludzie tańczą na dużo zieleńszej trawie. Albo że my sami powinniśmy do tego dążyć.
Rozmawiali o dzieciach, ale doszli do wniosku, że jeszcze poczekają. Przynajmniej do momentu, aż wyjadą z Uppsali i zaczną mieć stałe dochody. Na razie było z tym trochę kiepsko. Firma kosztowała więcej, niż przynosiła, a i tak nie brali pod uwagę zeszłorocznej podróży po Wschodniej Europie, na temat której od ukazania się reportażu Anny nie zamienili ani słowa. Poradzili sobie jednak i nie musieli prosić o pomoc mamy Rickarda. Tomas dał do zrozumienia, że wiosenne kursy do Norrlandii nawet się udały, ale przed wakacjami autobus wymagał napraw, więc o podziale zysków, na który mieli nadzieję, nie mogło być mowy.

Prawie nie spotykali się już z Tomasem i Gunillą. Nie licząc firmowego spotkania pod koniec stycznia, widzieli się tylko raz. Pewnego kwietniowego wieczoru zjedli całą czwórką kolację w Guldtuppen przy Kungsgatan, ale nie było tak jak dawniej. Może zdarzenie z Timisoary nadal straszyło, Anna i Rickard w każdym razie doszli do takiego wniosku, kiedy wracali do domu.
W tym czasie może raz rozmawiali z Tomasem przez telefon, również raz poszli na kawę, ale nic ponadto. Nie wiedział nawet, co Tomas studiuje, ale przyjął, że w dalszym ciągu ma to związek z ekonomią.
Maria i Germund? Od stycznia nie miał z nimi najdrobniejszego kontaktu i był pewien, że Anna również.
Tak już jest, pomyślał Rickard, gdy przecinał duży trawnik, idąc ku wyższym numerom Väktargatan, wszystko ma swój czas.
Spotkania. Rozstania. Śmierć.
Kiedy wszedł, siedziała przy biurku i pisała. Robiła to cały czas, stuk klawiszy słyszał już w przedpokoju. Powiesił kurtkę i krzyknął na powitanie.
- Cześć! - odkrzyknęła Anna. - Gdzie byłeś?
Usłyszał, że ma dobry humor. Pewnie kończyła artykuł, z którego była zadowolona.
- W Ofvandahls - odpowiedział i wszedł do kuchni, w której siedziała.
- Boże słodki, czuję - odparła. - Cuchniesz dymem jak pikling.
- Całą drogę wracałem na piechotę - tłumaczył się Rickard. - I siedzieliśmy przy otwartym oknie.
- Czterech teologów pali cztery papierosy na godzinę. Jak bardzo nadymione będzie po czterech godzinach? Zakładam, że to ci sami?
- Zgadza się - odparł Rickard. - Czterech biskupów in spe, dlaczego o nas nie napiszesz reportażu?

Anna się zaśmiała, a on znów przypomniał sobie dyskusję o sensie i szczęściu. Pomyślał, że są chwile, kiedy owego sensu wcale poszukiwać nie trzeba.
- Masz ochotę na herbatę? - zapytał. - Mogę zrobić.
- Bardziej marzyłby mi się kieliszek wina - odpowiedziała żona. - Mamy jeszcze butelkę w spiżarni, prawda?
Z jakiegoś powodu w oczach zakręciły mu się łzy.

54

Umówili się na dziesiątą, pojechał tam prosto ze szpitala. Rano spędził dwie godziny na oddziale rehabilitacyjnym, rozmawiał z tabunem lekarzy, pielęgniarek i ekspertów, ale przede wszystkim z Marianne.
Dzisiaj było to możliwe. Nadal była ogromnie zmęczona, ale w porównaniu z poprzednim dniem jej stan wyraźnie się poprawił. Pomyślał, że to tak jakby po raz drugi miała przyjść na świat. Powolny, ale niepowstrzymany proces, nie wiedział, skąd mu się wzięło to skojarzenie. Nie pamiętała, co się stało, nie przypominała sobie podróży do Sahlgrenska i z powrotem ani operacji, nie było wiadomo, czy kiedykolwiek coś sobie przypomni.
Nie miało to jednak znaczenia. Rozumiała, co się stało, w końcu na co dzień pracowała w szpitalu i choć jest różnica między rodzeniem dzieci a wylewami krwi do mózgu, był to w pewnym sensie jej chleb powszedni. Swoim stanem w ogóle się nie martwiła; zresztą, według doktora Berngrena i kilku innych, nie było ku temu powodu. Mogła się martwić jedynie tym, jak radzą sobie domownicy. Zwłaszcza jak Jenny i Johan przeżyli wieść, że mamie przytrafił się wylew.
Jednak kiedy już z nimi porozmawiała - znalazło się na to trochę czasu dziś rano przed lekcjami - i kiedy razem z Barbarottim zapewnili, że w willi Pickford wszystko gra, a poza tym mają do pomocy Sarę, uspokoiła się. Znów trzymali się za ręce, dopóki nie zasnęła; Barbarotti pomyślał, że

ta chwila będzie mu towarzyszyła przez cały dzień.
I nie tylko.
Teraz jednak stał przed drzwiami domu na Rosengatan i czekała go rozmowa z człowiekiem, który trzy dni temu stracił żonę. Uznał, że nie będzie szukał w myślach dalszych porównań, i nacisnął przycisk dzwonka.
Rickard Berglund wyglądał nieco bardziej rześko niż ostatnio. Miał na sobie zwykłe granatowe dżinsy i cienką czarną koszulkę polo. Na nogach filcowe kapcie. Podał Barbarottiemu rękę i zaprosił go do dużego pokoju. Przepraszającym tonem wyjaśnił, że ostatnio trochę zaniedbał sprzątanie, i zaproponował kawę lub herbatę.
- A pan co pije? - zapytał Barbarotti.
- Kawę.
- To ja też poproszę.
Usiadł w tym samym fotelu, co poprzednio. Szachownica nadal stała, Barbarottiemu zaś wydało się, że żadna z figur nie zmieniła pozycji. Choć oczywiście nie dałby głowy. Rickard Berglund zniknął w kuchni i po trzydziestu sekundach wrócił z dzbankiem kawy i talerzykiem migdałowych sucharków.
- Trochę pan przeczytał - powiedział Barbarotti i wskazał na regały z książkami, zajmujące całe dwie ściany Ocenił, że liczba pozycji waha się w granicach dwóch tysięcy.
- W piwnicy jest dwa razy tyle - odparł Berglund, siadając w drugim fotelu. - Przez lata trochę się zebrało.
- Przykro mi, że muszę przeszkadzać panu w takim momencie - rzekł Barbarotti. - Wyrazy współczucia z powodu śmierci żony.
- Pod koniec już tylko cierpiała - odpowiedział Berglund. - Nie powinniśmy ubolewać, że to się skończyło.
- Mimo wszystko to trudna sytuacja.
- Słyszałem, że z kolei pańskiej żonie przydarzył się wypadek - odparował Berglund. - Pana koleżanka o tym wspo-

minała. Jak się teraz czuje?
Gunnar Barbarotti pomyślał, że nie ma ochoty o tym rozmawiać, ale nie może zignorować pytania. Nie, biorąc pod uwagę sytuację Rickarda i rozmowę, jaką odbyli ostatnim razem.
- Mówią, że całkiem wróci do zdrowia - powiedział. - Mieliśmy szczęście.
Berglund skinął głową.
- Opatrzność czuwa.
Nie mieli oczywiście roztrząsać kwestii światopoglądowych, ale Berglund powiedział akurat to słowo i Barbarotti nie mógł się powstrzymać przed skorzystaniem z okazji.
- Naprawdę? - zapytał. - To znaczy, też wierzę, że tak jest, ale... nie bardzo wiem, jak to się odbywa.
- Może wcale nie mamy tego wiedzieć - odparł Rickard Berglund, zdejmując okulary. Opatrzność, którą potrafimy zrozumieć, automatycznie staje się wtedy czymś innym, prawda? Czymś możliwym do przewidzenia, czemu stawiać się będzie wymagania. Chodzi o to, by przekazać swoje cierpienie w czyjeś ręce, prawda?
Barbarotti uznał to za pytanie i zaczął się zastanawiać, co odpowiedzieć. Przyszedł tu, żeby się dowiedzieć, co Rickard Berglund robił w sobotę niecałe dwa tygodnie temu, może też podpytać trochę o wydarzenia w czasie imprezy na plebanii w 1975 roku, ale nagle, już od początku, zaczęło mu się wydawać, że inne kwestie są o wiele ważniejsze. A w każdym razie nie można ich tak po prostu odsunąć na bok, skoro już otworzyło się drzwi.
- Jestem zwykłym laikiem, jeśli chodzi o te sprawy - powiedział. -Ale przyznaję, że mnie to interesuje. Głupio tak przeżywać życie, wmawiając sobie, że to nie jest ważne.
- Chyba można tak to ująć - powiedział Rickard Berglund, pocierając w zadumie brodę i policzki. Czytał pan Kierkegaarda?

- Nie - przyznał Barbarotti. - Nie czytałem.
- Przez wiele lat był moim duchowym autorytetem. Pisał między innymi o stadiach życia. Od pasji przez etykę do wiary i spełnienia, ale nie będę teraz zabierał pańskiego czasu. W każdym razie istnieje odwieczne pytanie.
- Odwieczne pytanie? - spytał Barbarotti.
- Wspólne dla wszystkich ludzi, choć większość woli się przed nim bronić. Jaki stosunek powinniśmy tak naprawdę mieć do naszego życia. Do naszych czynów i odpowiedzialności. Chrześcijaństwo zbłądziło, tak, bezpowrotnie zbłądziło. Musielibyśmy cofnąć wskazówki zegara o prawie dwa tysiące lat, żeby znów odnaleźć drogę. To smutne, niewymownie smutne.
Barbarotti przypomniał sobie podobne sformułowanie z ich poprzedniej rozmowy i znowu nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Rickard Berglund ponownie założył okulary i wypił łyk kawy.
- Zauważyłem, że nie nagrywa pan tego, co mówimy - powiedział. - I nie robi żadnych notatek. Dlaczego w ogóle chciał pan ze mną rozmawiać?
- Chodzi o tę sprawę z Germundem Groothem - odparł Barbarotti, chrząknięciem próbując przykryć wahanie.
- Chcielibyśmy to ustalić. Dlaczego zginął... może też, co stało się z Marią Winckier trzydzieści pięć lat temu.
Rickard Berglund siedział przez chwilę w milczeniu i wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Przyglądał się swoim splecionym rękom. Barbarotti poczęstował się migdałowym sucharkiem i czekał. Pomyślał, że chyba nie czuje się do końca na siłach, żeby prowadzić taką rozmowę. Że coś w jego głowie chyba nie działa tak jak powinno. Pytanie Berglunda bez wątpienia było uzasadnione. Dlaczego właściwie rozmawiał z tym byłym pastorem, który właśnie stracił żonę?
Kolejny raz doszedł do wniosku, że ***właściwie*** jest zdra-

dzieckim słowem. Ukazuje, że to, co się dzieje, skrywa tak naprawdę coś innego, jakieś znacznie ważniejsze sedno.
Co nie zawsze jest prawdą, jakkolwiek bardzo byśmy sobie to wmawiali.
- Tak wiele jest pytań bez odpowiedzi - powiedział Rickard Berglund na koniec. - Tyle zależności, których nigdy nie odkryjemy Mam wrażenie, że podczas naszego ostatniego spotkania powiedział pan, że jest wierzący, nie mylę się?
Przez ułamek sekundy Barbarotti zobaczył, jak Bóg patrzy na niego wyczekująco.
- To prawda - odparł. - Jestem wierzący. W tym sensie, że uważam, iż istnieje Bóg. Ale chyba nie jestem religijny w obiegowym sensie tego słowa.
- Miło mi to słyszeć - powiedział Rickard Berglund, wykrzywiając usta w uśmiechu. - Wie pan, że kilka lat temu odrzuciłem swoje powołanie. Lecz nie odrzuciłem wiary, rozmawialiśmy już chyba na ten temat? Proszę mi wybaczyć, ostatnio jestem taki zmęczony. Pamięć mnie zawodzi. Przez wiele miesięcy zarywałem noce... do czasu, aż wreszcie zaznała spokoju. Od kilku dni jest inaczej. Ja też się trochę uspokoiłem.
Barbarotti się zamyślił.
- W poniedziałek nie wiedziałem, czy moja żona będzie żyła, czy nie.
Berglund pokiwał głową.
- Tylko w lustrze śmierci można wystarczająco wyraźnie zobaczyć życie - oznajmił. - Tylko tam możemy ocenić, co jest ważne, i oddzielić ziarna od plew. Nie chcę mówić jak zarozumialec, dość już się w ten sposób nagadałem z ambony.
Zaśmiał się nerwowym, suchym śmiechem. Barbarotti poczuł, że jemu samemu trudno jest powstrzymać uśmiech.
- Wiele jest zarozumialstwa - powiedział. - I rzeczy, których się nigdy nie dowiemy Teraz zajmujemy się tą zagadkową

śmiercią, ale mam pełną świadomość, że być może nigdy nie poznamy odpowiedzi. Jak i dlaczego zginęli. Jak pan myśli?
Rickard Berglund odchylił się na krześle i przejechał dłońmi po udach.
- Czy trzeba szukać szczęścia, czy też sensu? To pytanie towarzyszyło mi przez lata - oznajmił. - Czy naprawdę musimy się starać wszystko zrozumieć? Co to da? Może wiedza, o którą zabiegamy, wyrządzi nam krzywdę, kiedy już ją posiądziemy? Jak wygląda pański Bóg? Jakie ma cechy?
Barbarotti nagle zaczął się zastanawiać, czy siedzący naprzeciwko niego mężczyzna jest w pełni władz umysłowych. Wprawdzie był o wiele bardziej przytomny niż w czasie ich pierwszego spotkania, ale jego ostatnie słowa wydawały mu się, z całym szacunkiem, dziwaczne. A może po prostu próbował się przed nimi bronić?
- Mój Bóg? - zapytał po zjedzeniu połówki sucharka i spłukaniu jej łykiem kawy. - Tylko trzech rzeczy jestem pewien. Bóg jest dżentelmenem, ma poczucie humoru i nie jest wszechmogący.
Rickard Berglund zaśmiał się znowu, krótko i ochryple.
- Sam pan do tego doszedł? - zapytał. - Dzięki osobistemu doświadczeniu?
- A jak inaczej?
- To dobrze - powiedział Rickard Berglund. - Bardzo dobrze. W zasadzie nie ma innej drogi. Ale pominął pan to, co najważniejsze. Jego bezgraniczną miłość.
Barbarotti kiwnął głową. Zanim jednak zdołał skierować rozmowę na właściwe tory, Berglund kontynuował.
- Czyli to się stało tego samego dnia?
- Ale co takiego? - zapytał Barbarotti.
- Straciłem żonę tego samego dnia, w którym pana żona dostała wylewu. To trochę dziwne. Dzięki temu powinniśmy lepiej się rozumieć, prawda?
Barbarotti wypił kolejny łyk kawy i spróbował się skon-

centrować.
- Właściwie to nie o tym przyszedłem porozmawiać - powiedział. - Interesuje nas Germund Grooth. I do pewnego stopnia również śmierć Marii Winckier w 1975 roku.
- Przepraszam, jeśli gubię wątek - odparł Rickard Berglund. - Ostatnimi czasy nie jestem do końca sobą.
- Nie ma w tym chyba nic dziwnego. Gdyby jednak mógł się pan cofnąć do tego feralnego dnia sprzed trzydziestu pięciu laty, co skłoniło pana i pańską żonę do tego, by urządzić na plebanii przyjęcie? Z tego co zrozumieliśmy, ludzie z waszej paczki już nie trzymali się razem?
- Skąd o tym wiecie?
- Rozmawialiśmy z państwem Winclderami. Mówią, że w ciągu ostatniego roku w Uppsali nie spotykaliście się za często. Tomas Winckler twierdzi, że wszystko skończyło się już jesienią 1972 roku po wycieczce po krajach wschodniej Europy... koleżanka rozmawiała z nim o tym kilka dni temu. Zakładam, że może pan to potwierdzić?
Rickard Berglund zaczął pocierać obiema dłońmi policzki, w górę i w dół, w dół i w górę.
- Tak, coś się stało - powiedział powoli i z namysłem. - Ale myślę, że i tak byśmy się od siebie oddalili. Naprawdę. Miesiąc w gorącym autobusie przyspieszył ten proces, i tyle.
- Ale w tę sobotę we wrześniu zaprosiliście ich na plebanię - stwierdził Barbarotti. - Mimo że tak naprawdę już się nie spotykaliście. Dlaczego to zrobiliście?
Berglund wzruszył ramionami.
- Obawiam się, że to był mój pomysł. Spotkałem Germunda w mieście, powiedział mi, że się tu wprowadzili. Powtórzyłem to żonie, a ponieważ Tomas i Gunilla mieszkali już jakiś rok w Göteborgu, pomyśleliśmy że... po co człowiekowi plebania, jeśli nie urządza tam przyjęć?
Wykrzywił usta w uśmiechu, ale za sekundę znów był poważny.

- To, co się stało, było oczywiście potworne. Ale nigdy, przenigdy w ciągu tych wszystkich lat nie pomyślałem, że ktoś mógłby ją zepchnąć. A za tym węszył ten Sandlin. Tak się chyba nazywał?
- Inspektor Sandlin, zgadza się - potwierdził Barbarotti. - Czy jednak śmierć Germunda Grootha dwa tygodnie temu nie skłoniła pana do zmiany przekonania?
Rickard Berglund myślał kilkanaście sekund. Co najmniej. Barbarotti dał mu czas do namysłu, pamiętał starą regułę, że nie należy bać się ciszy, i zastanawiał się, czy Berglund wie, że podejrzewają, iż Grootha ktoś zabił. Wszystko wskazywało jednak na to, że żył z pytaniem o śmierć Marii, więc chyba powinien wiedzieć? Tak czy owak, musi znaleźć sposób na zbliżenie się do kwestii alibi, bo inaczej będzie zmuszony zapytać wprost. Nawet jeśli to się wyda brutalne.
Jestem zbyt miękki, pomyślał. Jest mi go żal. Nie wiem dlaczego, ale pewnie dlatego, że w sobotę będzie musiał pochować żonę.
- Nie zdążyłem się nad tym zastanowić - powiedział w końcu Rickard Berglund. - To oczywiście niesłychanie dziwne. Ale nie znałem Germunda. Nigdy go nie poznałem, nawet wtedy w Uppsali. Tworzyli z Marią dziwaczną parę, niezwykle dziwaczną.
- Jak bardzo dziwaczni byli tego wieczoru na plebanii?
Berglund wzruszył ramionami.
- Chyba tak jak zwykle... Nie, to nie był udany wieczór. Ale dość wcześnie się skończył. Gunilla była zmęczona z powodu ciąży, i w ogóle. Gdybyśmy wcześniej nie zaplanowali tego wyjazdu na grzyby... nie pomyśleli o prowiancie i tak dalej... z pewnością by się nie odbył.
- Nie? - zapytał Barbarotti.
- Nie, nie wydaje mi się. Ale, tak jak mówię, to już było ustalone.
- Rozumiem. I tego wieczoru nie zdarzył się żaden

szczególny incydent?
- Incydent? Z pewnością nie.
- Podczas podróży po Europie także nie? Kiedy to było? W 1972 roku?
- W 1972, zgadza się. Nie, wtedy też nic szczególnego się nie wydarzyło, jeśli o to panu chodzi. Po prostu zmęczyliśmy się sobą. Nasze drogi się rozeszły. A ja nadal unikam jazdy autobusem na dłuższych trasach.
Barbarotti doszedł do wniosku, że nie ma innego sposobu.
- Co robił pan w sobotę, kiedy zginął Germund Grooth?
- zapytał.
Rickard Berglund znowu się zamyślił. Choć tylko na kilka sekund.
- Nie mam bladego pojęcia - powiedział. - Najprawdopodobniej byłem u Anny w szpitalu. Przez ostatni miesiąc byłem tam praktycznie non stop.
- Może pan to jakoś sprawdzić?
Rickard Berglund założył okulary i nachylił się do Barbarottiego.
- Można pewnie zapytać personelu - powiedział. - Dlaczego, u licha, chce pan to wiedzieć?
Barbarotti mógł odpowiedzieć „rutyna", ale z jakiegoś powodu wydało mu się to tak prymitywne, że nie powiedział nic.
Zamykamy tę sprawę, pomyślał. To już nie ma sensu.

55

Gunilla obudziła się, zapaliła nocną lampkę i spojrzała na zegarek.
Była 3.35. Zegarek poinformował również, że jest czwartek 22 listopada 1973 roku. Co ją obudziło? Jakiś dźwięk? Odwróciła głowę i zobaczyła, że Tomas nie leży w łóżku. Nie wrócił jeszcze do domu? - zdziwiła się. Dlaczego? Dlaczego nie leży na swoim miejscu koło niej w łóżku?

Było wpół do czwartej rano! Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie szedł wczoraj wieczorem, miało to chyba związek z korporacją, ale nie mówił, że nie będzie go pół nocy...
Znowu usłyszała ten dźwięk. Cichy chrobot dobiegający z przedpokoju, metal o metal, jeśli się nie myliła. Zanim strach zdołał chwycić ją za gardło, zrozumiała, co to za odgłos. Może dlatego, że wreszcie udało mu się trafić kluczem do dziurki.
Słyszała, jak otwiera drzwi i wywraca się w przedpokoju. Zamyka za sobą drzwi i dyszy. To chyba Tomas?
Tak, poznała go po kaszlu, poza tym mamrotał coś, skopując z nóg buty i wieszając płaszcz. Na podłogę upadł wieszak. Po chwili do sypialni dotarły opary alkoholu i nie musiała się już dłużej zastanawiać.
To był Tomas. Przyszedł do domu o czwartej nad ranem, z pewnością pijany jak bela. Przez głowę przemknęła jej myśl, czy nie zgasić lampy i udawać, że śpi, na pewno nie zauważył, że ją zapaliła. Pomyślała jednak, że jej obowiązkiem jest wyjść mu naprzeciw, skopała więc kołdrę i krzyknęła „cześć!".
Ledwo trzymał się na nogach. Próbował skupić na czymś wzrok, być może na niej. Otworzył usta i zamknął.
Boże, pomyślała Gunilla. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak pijanego.
- Cześć, Gunilla - wykrztusił. Widziała, że z wysiłku omal nie rymnął na podłogę.
- Cześć, Tomas - odpowiedziała.
Jedną ręką oparł się o ścianę i wziął głęboki oddech.
- Przepraszam, ale jestem trochę pijany.
Przynajmniej wydawało się, jakby to powiedział. I pasowało do sytuacji.
- Widzę. Chodź się położyć. Czy może potrzebujesz najpierw chwili w łazience?
- La... zience? - odpowiedział Tomas, jakby nie bardzo

rozumiał, co to takiego. Ale nagle go olśniło. - Łazienka... to... wspaniały... wspaniały... pomysł. Pójdę najpierw... do... łazienki!
Zaczął zdejmować marynarkę, ale w połowie się zaklinował i musiała mu pomóc. W tym czasie próbował ją przytulić, wymknęła się bez większych trudności.
- No to idź do łazienki, a później przyjdź się położyć.
Stał jeszcze przez chwilę na chwiejnych nogach, próbując sobie przypomnieć, gdzie leży łazienka. Gunilla podeszła i zapaliła światło.
- Proszę uprzejmie - powiedziała.
- Łazienka! - zawołał Tomas i rozpromienił się na ułamek sekundy.
Wtoczył się do środka i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała, jak rymnął na muszlę klozetową i znowu zaczął do siebie mamrotać. Westchnęła i poszła powiesić w przedpokoju jego marynarkę. Wkładając ją na wieszak, zauważyła, że z jednej kieszeni wystają banknoty. Wyjęła je i stwierdziła, że nie są to pojedyncze sztuki. Cała kieszeń pełna była banknotów stukoronowych.
Druga tak samo. Zbierając je wszystkie, czuła, jak coś w niej się ściska. Banknot za banknotem. Setka za setką.
Obie ręce miała pełne. Weszła do kuchni. Siadła przy stole, zapaliła lampkę i zaczęła liczyć, a myśli tańczyły jej w głowie.
Było tam prawie dwadzieścia tysięcy koron.
Wróciła do łazienki. Przycisnęła ucho do chłodnych, drewnianych drzwi i nasłuchiwała. Słychać było tylko lejącą się wodę. Stała tak z pół minuty, po czym uchyliła drzwi.
Woda lała się do umywalki.
Tomas spał w wannie z otwartymi ustami. Zdjął spodnie, ale nic więcej.
Poczekam z tym do rana, pomyślała. Zakręciła wodę i zgasiła światło.

*

O siódmej rano zmusiła go, by przeniósł się z wanny i położył do łóżka. Prawie musiała go nieść.

Piętnaście po jedenastej zmusiła go, by wrócił do łazienki i wziął prysznic, a dokładnie o dwunastej siedzieli w kuchni i pili czarną kawę.

Pieniądze leżały między nimi na stole.

- No więc? - powiedziała.
- Taki jeden skurkowaniec zaprosił mnie na calvados, rocznik 1946 - odparł Tomas.
- Nie obchodzi mnie, co piłeś ani dlaczego. Co to za pieniądze?
- Muszę wziąć jeszcze jeden magnecyl.
- Nie bierze się więcej niż dwa - powiedziała Gunilla. - Poza tym chwilę potrwa, zanim zacznie działać. Pij kawę. Pieniądze?
- Hrrm - odparł Tomas, pocierając skronie. - Sprzedałem autobus.

-Co?

- Sprzedałem autobus.
- Nie możesz przecież... ale dlaczego?
- A, chuj z tym - powiedział Tomas. - Już mnie to zmęczyło.

Gunilla spojrzała na stosy setek. Jeden miał równe sto, drugi dziewięćdziesiąt siedem. Dziewiętnaście tysięcy siedemset koron.

- Dwa tysiące gotówką. I chuj.
- Nie powinniśmy... - zaczęła Gunilla. - Nie powinniśmy najpierw zapytać pozostałych?
- Pozostałych? Dlaczego miałbym ich pytać?
- Bo autobus jest waszą wspólną własnością... był. Tomas wypił łyk kawy i skrzywił się.
- Kupiliśmy go za trzydzieści osiem - dodała.
- Wiem, za ile go kupiliśmy. Ja to zrobiłem. Ale przejechaliśmy nim siedemdziesiąt tysięcy kilometrów. Wszystko

w tej pieprzonej firmie zrobiłem sam. Po jaką cholerę miałbym się radzić któregokolwiek z nich? Ty i ja mamy pięćdziesiąt procent, tak czy nie?
Zamilkł. Podszedł do zlewozmywaka i napił się wody prosto z kranu. Nie wiedziała, dlaczego jest tak agresywny, zwykle taki nie był. Czy było to spowodowane kacem, czy też wiedział, że sprzedał autobus zbyt tanio? Uznała, że nie będzie tego dociekać.
- No dobrze - powiedziała. - W pewnym sensie masz rację.
- Zrobię jeszcze dwa kursy i zarobię jako kierowca. Tak się umawialiśmy.
- I(omu go sprzedałeś?
- Takiemu jednemu Pontusowi. To prawnik, cholernie bystry.
-Ale dlaczego płaci w ten sposób... Boże, przecież ty nosiłeś pieniądze luzem w kieszeniach marynarki.
- Tak wyszło - odparł Tomas. - A na rachunku widnieje tylko dziesięć tysięcy, tak jest lepiej dla obu stron.
Ach tak? - pomyślała Gunilla, zdając sobie sprawę, że ten kruczek nie do końca rozumie.
- Ale przecież musimy podzielić się pieniędzmi z innymi
- powiedziała.
- Oczywiście - rzekł Tomas. - Każda para dostanie dwa i pół tysiąca... plus jedną czwartą z jesiennych zysków. Powinni być zadowoleni.
- Dwa i pół? - zapytała Gunilla.
- Na rachunku widnieje dziesięć tysięcy - powtórzył Tomas.
- No tak. Ale to nie...
- Czy możemy ustalić jedną rzecz? - przerwał.
- Jaką?
- Że od teraz to ja będę się zajmował finansami w tej rodzinie. Tak będzie najprościej.
Gunilla oparła brodę na knykciach i patrzyła na niego. On odpowiadał spojrzeniem przekrwionych oczu. Wyglądał,

jakby uważał wszystko za najzupełniej normalne.
To, że wrócił do domu o czwartej nad ranem, pijany w sztok. I że sprzedał autobus i zamierzał oszukać pozostałych na dziesięć tysięcy koron.
- Podzielimy pieniądze w odpowiednim czasie przed świętami - powiedział. - Za jakieś dwa tygodnie. Będą się tylko cieszyć. A po Nowym Roku ogłosimy upadłość.
- Nie podoba mi się to - stwierdziła Gunilla.
- Czy ktokolwiek poza mną kiwnął choćby palcem, żeby to działało? - zapytał Tomas.
- Może i nie, ale...
- Następnym razem będziemy uważniej dobierać współpracowników.
- Następnym razem? - zapytała Gunilla.
- Następnym razem. Wiem, co mówię. Ale teraz muszę się jeszcze na godzinę położyć. To ten pieprzony calvados... mówiłem, że był z 1946 roku? Tuż po wojnie.
- Obiecaliśmy Ulrice i Dennisowi, że po południu wpadniemy do nich na tort - odparła Gunilla. - Są drugie urodziny Torstena.
- Ty idź - powiedział Tomas. - Przykro mi, ale ja nie dam rady Możesz powiedzieć, że jestem przeziębiony i nie chcę ich zarazić.
Wstał i poczłapał z powrotem do sypialni. Gunilla siedziała jeszcze przez chwilę w kuchni, patrząc na stosy banknotów. Następnie włożyła je do drugiej od dołu szuflady i zadzwoniła do Ulriki.

56

Kiedy Eva Backman wróciła ze spotkania z Asunanderem, na jej biurku leżał wydruk przesłuchania Kristin Pedersen.
W brązowej kopercie i z pozdrowieniami od Smutasa, który dodatkowo informował, że nie zdążył go przeczytać.
Wyjęła luźne kartki z koperty, okazało się, że jest trzynaście

stron, zdecydowała, że weźmie je do domu i przeczyta wieczorem. Było dziesięć po czwartej, obiecała synom, że zrobi im lazanię.
Dobrze by było, gdyby jedzenie stanęło na stole koło szóstej, ponieważ dwóch z nich o ósmej miało mecz.
Schowała panią Pedersen do teczki, w jakieś dwadzieścia sekund ogarnęła biurko i opuściła komisariat.
Okazja nadarzyła się dopiero o wpół do dziewiątej. Może zresztą celowo trochę to odwlekła; podstępna myśl, że tak naprawdę nie ma to już większego sensu, nie dawała jej spokoju. Podczas popołudniowego spotkania Asunanderowi towarzyszył prokurator Månsson, obaj nie byli szczególnie zachwyceni tym, co dotychczas udało się osiągnąć.
- Czy istnieje choćby maleńki powód, by sądzić, że Germund Grooth został pozbawiony życia? - zapytał prokurator.
- Moim prywatnym zdaniem istnieje właśnie tyle - odparł Asunander. - Maleńki powód. Istniał już tydzień temu i z tego co wiem, nie zwiększył od tego czasu swoich rozmiarów. Prawda?
Backman wyjaśniła, że to niestety prawda, ale nadal pracują na miarę swoich możliwości.
- A ten maleńki powód - zapytał Månsson - z czego dokładnie się składa?
Po zastanowieniu Backman odpowiedziała, że właściwie z dwóch elementów. Dwa maleńkie powody, można by powiedzieć. Z jednej strony anonimowa, niedająca się namierzyć rozmowa telefoniczna, którą odbył rankiem w dniu swojej śmierci. Z drugiej zaś pytanie, jak z domu w Lund dostał się do oddalonego o trzysta kilometrów odludnie położonego wzgórza Gåsa. Przynajmniej jeśli założyć, że poruszał się własnym samochodem.
- I to wszystko? - zapytał prokurator, świdrując ją wzrokiem.

- Tak - odpowiedziała, myśląc, że najchętniej pociągnęłaby go za włosy. Istniały przesłanki, że to peruka, ale na komisariacie panowała w tej kwestii różnica zdań. - To cały zbiór, czy nie o to pan pytał?
- Chociaż nie - dodała, zanim Månsson zdążył otworzyć usta. - Jest jeszcze jedna sprawa. Miał wylot do Paryża zarezerwowany na sześć dni po śmierci. Biorąc to wszystko pod uwagę, można się zastanawiać, czy wniosek o samobójstwie nie jest trochę pochopny.
Nie lubiła Månssona i nie znała nikogo, kto by go lubił. Jednak nawet jeśli nie mógł zaprzeczyć jej ostatniemu stwierdzeniu, i tak sprawił, że zaczęła się zastanawiać nad tym, czym się zajmowali.
Dlatego też nie zasiadła ze szczególnym optymizmem ani ochotą do sporządzonego przez Ribbinga zapisu rozmowy z nieuchwytną Dunką Kristin Pedersen.
Dobrze pamiętała, że kiedy pięć dni temu wracała samochodem z Lund, była przekonana, że Germund Grooth został zamordowany. Teraz po tamtym przekonaniu nie było ani śladu.
Nie dlatego, że w ciągu tych pięciu dni w sprawie wydarzyło się coś szczególnego. Raczej przeciwnie, dlatego że nie wydarzyło się zupełnie nic.
Lecz ***the show must go on,*** pomyślała Eva Backman, skupiła wzrok na pierwszej stronie i ugryzła jabłko.
Było kwaskowate, prawie kwaśne.
Ribbing był skrupulatny. Strony były gęsto zapisane i znalazło się na nich każde cholerne pytanie: o wiek, o zawód, o miejsce pobytu oraz o to, ile powinni jej zwrócić za podróż pociągiem z Danii.
Pani Pedersen nie przyszła na pierwsze spotkanie, ponieważ kolidowało z jej wizytą u dentysty; zorientowała się zbyt późno, a duński dentysta zawsze ma pierwszeństwo przed szwedzkim policjantem. Przed duńskim zresztą też.

Powiedziała, że zna Germunda Grootha od jakichś czterech lat. Poznali się na promie z Fredrikshamn do Oslo. Backman pamiętała, że ktoś inny widział Grootha w podobnych okolicznościach, nie mogła sobie teraz przypomnieć kto, ale być może taka była jego strategia. Tam poznawał kobiety, zanotowała w pamięci, że musi zapytać Marianne o ich pierwsze spotkanie, choć z jakiegoś powodu trudno jej było wyobrazić sobie Marianne płynącą statkiem. Przynajmniej w celu podrywania facetów.
Kristin Pedersen tłumaczyła, że nigdy nie było mowy, by mieli razem zamieszkać czy coś w tym stylu, takich związków miała w życiu dosyć. Chciała żyć sama, ale od czasu do czasu potrzebowała faceta, czy to takie dziwne?
Ribbing zapewnił, że to wcale nie jest dziwne, a pani Pedersen zaczęła rozwijać temat zalet płynących z posiadania mimo wszystko kogoś, by tak rzec, mniej lub bardziej na stałe. Albo nawet kilku takich mężczyzn. Żeby za każdym razem, gdy nadejdzie taki czas, nie musieć zaczynać od zera. Ribbing powiedział, że doskonale ją rozumie.
- Ale on był taki udręczony, ten Germund - stwierdziła nieco później Kristin Pedersen, Backman zaś zaczęła czytać trochę wolniej, z każdą chwilą coraz mocniej marszcząc brwi.
GR: Udręczony?
KP: Tak, nie znajduję lepszego słowa. Germund nosił w sobie coś, co go dręczyło.
GR: Co to mogło być?
KP: Nigdy nie mówił. Ale wyznał, że coś takiego istnieje.
GR: W jaki sposób się to objawiało?
KP: Potrafił być niezwykle ponury i przybity. Choć oczywiście tylko od czasu do czasu. Nie da się być z kimś, kto ciągle jest w dołku.
GR: Ale mówi pani, że był szczególny powód? Coś, o czym nie chciał rozmawiać?

KR: Tak mi się wydaje. Czułam nawet, że chodzi o jakieś konkretne zdarzenie z przeszłości.
GR: Jałcie to mogło być zdarzenie?
KP: Już mówiłam, że nie wiem.
GR: Czy wie pani, że dość dawno temu stracił w wypadku narzeczoną?
KP: Marię, tak. Wspominał o tym. Zabiła się, spadając z urwiska.
GR: Dużo rozmawialiście o tym wydarzeniu?
KP: Nie. Opowiedział o tym tylko raz i raz do tego wrócił. Nic więcej, o ile dobrze pamiętam.
GR: Czy właśnie to zdarzenie mogło być przyczyną jego skłonności do depresji?
KP: Nie mam pojęcia. Wydaje mi się to możliwe, ale mogło to też być co innego. Coś...
GR: Tak?
KP: ***(Po długim wahaniu)*** Możliwe, że się mylę, ale mogło to być coś z odległej przeszłości. Coś, co się wydarzyło, kiedy był dzieckiem.
GR: Czy kiedykolwiek opowiadał o swoich rodzicach?
KP: Tak, wspominał, że oboje zginęli, gdy był mały. Nie miał chyba więcej niż dwanaście-trzynaście lat. Zdaje się, że w wypadku samochodowym.
GR: Czy właśnie to zdarzenie mogło leżeć u podstaw?
KP: Nie wiem.
GR: Ale twierdzi pani, że w jego przeszłości była jakaś trauma?
KP: Jestem tego całkiem pewna. To stamtąd brało się jego cierpienie. Mogło to wynikać ze śmierci rodziców, narzeczonej, nie potrafię powiedzieć. Mogło to być jedno
I drugie albo jeszcze co innego. Gdy był w tym smutnym nastroju, nie chciał mówić.
GR: Rozumiem. Jak się pani dowiedziała o jego śmierci?
KP: Dopiero przedwczoraj. Kiedy do mnie zadzwoniliście.

GR: Kiedy widziała się z nim pani po raz ostatni?
KP: Spędziliśmy razem weekend na początku sierpnia.
GR: Gdzie?
KP: U mnie, w Kopenhadze. Tak, wtedy widziałam go ostatni raz.
GR: Jak się wtedy zachowywał?
KP: Tak jak zwykle.
GR: Co państwo robili?
KP: A jak się panu wydaje?
GR: Rozumiem. Zauważyła pani jakieś elementy jego udręki, jak pani to nazywa? Podczas tego ostatniego spotkania.
KP: Często długo nie mógł zasnąć. Około godziny leżał z otwartymi oczami. Tym razem też tak było. Ale nie uważałam, że to coś szczególnego. Udręczeni mężczyźni mogą być zresztą całkiem pociągający, choć pan pewnie nie może tego zrozumieć?
GR: Proszę tak nie mówić, pani Pedersen. Co myśli pani o jego śmierci?
KP: Słucham?
GR: Wie pani, jak zginął?
KP: Nie. Mówiliście, że w wypadku samochodowym.
GR: Przepraszam, ale musiało zajść jakieś nieporozumienie. Mówiliśmy, że zdarzył się wypadek, ale żadnych samochodów tam nie było.
KP: Tak? A więc jaki to był wypadek?
GR: Spadł z urwiska.
KP: Z urwiska?
GR: Tak.
KP: On też?
GR: Tak. Naprawdę pani o tym nie wiedziała?
KP: Nie, skąd miałabym wiedzieć? Trzy tygodnie byłam na Seszelach.
GR: Wiemy o tym. W każdym razie Germund Grooth został znaleziony martwy w tym samym miejscu, w którym

trzydzieści pięć lat wcześniej zginęła jego narzeczona.
KP: Co pan mówi?
GR: Tak właśnie było. Dlatego też interesują nas okoliczności jego śmierci. Jak się pani wydaje, czy Germund Grooth mógłby odebrać sobie życie?
KP: Zginął w tym samym miejscu?
GR: Tak. Uważa pani, że miał skłonności samobójcze?
KP: ***(Po krótkim wahaniu***) Właściwie to nie.
GR: Co pani przez to rozumie?
KP: Co prawda był udręczony, ale gdyby miał odbierać sobie życie, zrobiłby to dawno temu. Miał sześćdziesiąt lat... Poza tym...
GR: Tak?
KP: Poza tym, o ile się nie mylę, miał jechać do Paryża. Rozmawialiśmy przez telefon tuż przed moim wylotem na Seszele, mówił, że na początku października jedzie na tydzień do Paryża. O ile dobrze pamiętam, chodziło o ten tydzień. Człowiek nie odbiera sobie życia tydzień przed planowanym wyjazdem do Paryża.
GR: Również zwróciliśmy uwagę na tę okoliczność. Wydaje się pani, że miał jechać sam czy z kimś?
KP: Naprawdę trudno mi sobie wyobrazić, by miał się z nikim nie spotkać.
GR: Dlaczego?
KP: Kochany inspektorze, z całą pewnością nie byłam jedyną kobietą w życiu Germunda Grootha. Nigdy się co do tego nie łudziłam. Ale żeby zginął w tym samym miejscu co ona?
Udręczony i atrakcyjny? - pomyślała Eva Backman, odrywając na chwilę wzrok od papierów. Może coś w tym jest. Przynajmniej jeśli chodzi o zauroczenie na chwilę, a tak najprawdopodobniej było w tym przypadku. Na powtarzające się chwile.
Trauma? Oczywiście nie było pewne, czy to prawda, ale jeśli

tak, można się zastanawiać. Śmierć rodziców i śmierć Marii Winckier. Czy mogła być jakaś trzecia? Dlaczego w ogóle miałaby być potrzebna?
Potrząsnęła głową i czytała dalej. Ribbing męczył przez chwilę Kristin Pedersen pytaniami o to, jak często się widywali, czy zna nazwisko jakiejś innej znajomej Grootha (nie znała i nie była zainteresowana jego poznaniem), powrócił do udręczenia i skłonności do depresji, ale Eva Backman nie sądziła, żeby wyszło z tego coś treściwego.
Później Ribbing - zgodnie z otrzymanymi od niej instrukcjami - przeszedł do pytania o czerwcowe odwiedziny u państwa Wincklerów, ale Kristin Pedersen powiedziała tylko tyle, że nocowali u pary nowobogackich palantów ze Szwecji. Byli nudni jak cholera, ale podali sporo dobrych win. Nie pamiętała, o czym rozmawiali. Jeżeli między Groothem a gospodarzami doszło do jakichś zgrzytów, Kristin Pedersen tego nie zauważyła.
Choć trzeba przyznać, że wypiła jeden lub dwa kieliszki. Zasnęła na kanapie, o ile nie myli tego z jakąś inną sytuacją.
Eva Backman skończyła lekturę i westchnęła. Schowała papiery z powrotem do koperty i przypomniała sobie, co pomyślała przed paroma dniami.
W tym jest jakaś ukryta historia. Historia, do której się jeszcze nie zbliżyliśmy.
Czy naprawdę tak jest? - pomyślała teraz. A może po prostu lubimy sobie to wmawiać? Ja lubię sobie to wmawiać?
Z drugiej strony, Kristin Pedersen mówiła, że trudno jej sobie wyobrazić, by Germund Grooth mógł popełnić samobójstwo. Mając zaplanowany wyjazd do Paryża, i w ogóle.
Naprawdę to powiedziała.
Nic z tego nie rozumiem, pomyślała Eva Backman. Ale męczy mnie to. Jutro pójdę do Barbarottiego i powiem, żeby wreszcie rozwiązał tę cholerną sprawę.
Albo ją zamykamy, chyba tego chcą panowie na szczycie.

Wróbel.
Nie było łatwo znaleźć informacje o tej katastrofie statku, w której Bernard Grimaux stracił żonę i małą córeczkę, ale mnie się udało. Promotor pochwalił mnie za historycznoliteracką detektywistyczną robotę, jak sam to nazwał, i powiedział, że nigdy wcześniej nie czytał pracy napisanej z takim talentem.
Wiem, pomyślałam; kiedy jednak zaproponował, żebym na wiosnę zaczęła studia doktoranckie, grzecznie, lecz stanowczo odmówiłam.
Ani Germund, ani ja nie mamy ochoty utknąć w akademickim kaczym dole, przynajmniej tak sobie powtarzamy. Choć kiedy myślę o Germundzie, zastanawiam się czasem, w jakim świecie tak naprawdę czułby się jak u siebie. Oboje jesteśmy samotnymi wilkami - albo kaczkami - ale Germund jest, że tak powiem, w gorszym stanie niż ja.
Ale najpierw o Grimaux, tę historię znalazłam w dwóch francuskich gazetach czy też właściwie ***magazines.*** Obie przeprowadziły wywiad z poetą kilka miesięcy po wypadku, zanim zdecydował się przenieść na drugą stronę Atlantyku.
Tak więc, kiedy zdarzył się wypadek, Grimaux towarzyszyła żona i córka. Płynęli tym samym statkiem i wszyscy troje wpadli do wody. Grimaux sobie poradził, ale żona
I córka utonęły i właśnie tu tkwi sedno. Nie jest to napisane wprost, ale jeśli zestawić to z niektórymi jego tekstami napisanymi w Nowym Jorku, wyłania się jasny obraz. Próbował je obie ratować. Długo walczył z falami, to jasne, ale w którymś momencie się poddał. Zdecydował, że zamiast próbować im pomóc, uratuje siebie.
Gdyby nie podjął tej decyzji, utonęliby wszyscy. Trzy trupy zamiast dwóch. Ale to niczego nie zmienia. Zycie nie pozwala na takie czysto matematyczne uproszczenia - na

pewno porozmawiam kiedyś o tym z Germundem. W swoich marzeniach i poezji Grimaux powraca raz po raz do sytuacji, w której je rzeczywiście opuszcza - do chwili kiedy podejmuje tę decyzję, która już do końca życia nie da mu spokoju. One powracają, prosząc go o pomoc, odwiedzają go w snach, nawet wtedy, kiedy nic nie wskazuje na to, by spał. Jest to źródłem jego ogromnych cierpień; tonąca żona I córka wołające, by je uratował; w końcu rozumie, że może się ich pozbyć tylko w jeden sposób. Musi zabić je raz jeszcze, w ten sposób pozbędzie się winy i udręki. W ostatnim wierszu, tym, który jest datowany na dwa dni przed jego śmiercią, dokonuje tego czynu i jest to najmroczniejszy, najpiękniejszy i najbardziej bezwzględny wiersz, jaki czytałam.
Teraz jednak zostawiam Grimaux za sobą. Jest styczeń I w Uppsali potwornie wieje. Rozmawialiśmy z Germundem, czy rzeczywiście jest sens zostawać tu jeszcze tak długo, on mówi, że jeszcze rok musi studiować, twierdzi, że znowu weźmie się za fizykę, i spodziewam się, że tak zrobi. Nie wiem, dokąd powinniśmy się udać i czym zająć, jeśli mielibyśmy się przeprowadzić. Moje życie nie zmierza w żadnym konkretnym kierunku. W każdym razie na wiosnę idę do pracy, na początku na cmentarzu Gamla kyrkogården i może w Berthåga. Zobaczyłam w gazecie ogłoszenie, że potrzebują ludzi, zadzwoniłam i z miejsca dostałam pracę. Ma to być sześć miesięcy, może później okaże się, że dłużej, ale żadnych gwarancji nie ma. Nie mogę się już doczekać, grabić ziemię między grobami, zamiast tylko czytać i czytać, to będzie piękne. Zaczynam 1 lutego.
Nadal nie bardzo wiem, co myśleć o Germundzie. Choć może nigdy tego nie wiedziałam. Frustruje go to, że nadal nie zaczęliśmy się pieprzyć. Od czasu do czasu spotyka się z innymi dziewczynami, to żadna tajemnica, ale nigdy o tym nie rozmawiamy. Nie chcę wiedzieć, mówię mu tylko, że mnie to nie obchodzi.

Cierpi z powodu tego, że nie mogę z nim sypiać, pytałam, czy chce, bym się wyprowadziła, żeby mógł zacząć zapraszać inne kobiety, ale tylko się wściekł.
- Ty i ja - powiedział mi kilka dni temu. - Ty i ja na zawsze, czy nie tak postanowiliśmy? Nie możemy z kimś o tym porozmawiać?
- Porozmawiać z kimś? - zapytałam. - O co ci chodzi? Z kim mielibyśmy rozmawiać? I o czym?
- O tym - odparł i rozłożył ręce, choć właściwie był zły i zacięty. - O tobie i o mnie. O tym, że się kochamy, ale nie pieprzymy ze sobą. O tym, co się stało w tej cholernej Timisoarze. Przecież nie jesteś pierwszą kobietą na świecie, która została zgwałcona?
Kilka sekund zastanawiałam się, co też, do kurwy nędzy, mam mu odpowiedzieć. Po czym go uderzyłam. Trafiłam pierścionkiem akurat w brew, zaczął krwawić i po wszystkim spędziliśmy kilka wspaniałych godzin na godzeniu się.
Piliśmy wódkę, leżeliśmy nago i przytulaliśmy się, w końcu pomogłam mu dojść, ale dalej się nie posunęliśmy. Za wcześnie na to, wciąż jeszcze za wcześnie.
Moi rodzice marudzą, że powinniśmy ich odwiedzić w faszystowskiej Hiszpanii, ale ja się nie daję. Albo marudzą, że przynajmniej ja powinnam to zrobić. Myślę sobie, że może bym i pojechała, gdybym tylko mogła mieć tam trochę spokoju. Gdybym przez lato popracowała, mogłabym jesienią pojechać tam na parę miesięcy, pod warunkiem że ich nie będzie. A przynajmniej że nie będą tam siedzieli cały czas.
Muszę się w tej sprawie dogadać z mamą, w końcu ciągle jeszcze mają dom w Sundsvall i przynajmniej pół roku spędzają w Szwecji, muszę pamiętać o tej możliwości. Nie trzeba przecież leżeć całymi dniami na plaży, jest jeszcze Granada, Ronda i nie tylko.
Tomas Swinia-Nie-Brat sprzedał autobus, co samo w sobie jest dobre, ale wydaje mi się, że orżnął nas na pieniądze.

Mam to gdzieś, poradzimy sobie i tak. Germund nadal dostaje swoje dziwaczne stypendium, a kiedy zacznę pracować, też powinni mi dać jakąś pożyczkę. Ale w styczniu ciężko związać koniec z końcem, Bóg mi świadkiem, to zasrany miesiąc.
Wczoraj widziałam na mieście Gunillę, na S:t Eriks torg wśród handlarzy owoców, i jestem prawie pewna, że udawała, że mnie nie widzi. Patrzyła w drugą stronę w ten łatwy do rozszyfrowania sposób, w jaki się to robi, nie chcąc się z kimś witać.
Zastanawiam się, z czego to wynika i czy powinnam wziąć ją w obroty Trochę przyprzeć do muru, nie lubię, kiedy traktuje się mnie w ten sposób. W ogóle, a już szczególnie, kiedy ona to robi.
Sny zdarzają się teraz rzadziej i nigdy nie jestem na nie przygotowana. Ale przynajmniej raz w miesiącu jestem z powrotem w tym pokoju. Za każdym razem jest to równie żywe i równie bolesne. Rozumiem, jak Bernard Grimaux czuł się w Nowym Jorku, naprawdę rozumiem.

58

- Zapomnieliśmy o czymś? - zapytała Eva Backman.
Był piątek. Padało. Jedli lunch w Kungsgrillen, ona zamówiła filety śledziowe z musem z czerwonych borówek, Barbarotti zaś jadł cielęcinę z koperkiem i ziemniakami.
- Zapomnieliśmy? Nie wiem. Nie pamiętam.
Odpuściła.
- Nie ma możliwości, żebyśmy pracowali nad tym jeszcze długo. Inaczej niż w dotychczasowy, udawany sposób. Nie ma powodu, żeby tracić na to czas, Asunander i Månsson jasno dali to do zrozumienia, prawda?
- Przepraszam - odparł Barbarotti. - O czym mielibyśmy zapomnieć? Wydaje mi się, że pociągnęliśmy za każdy możliwy sznurek.
- Ja też tak sądzę - powiedziała Backman.

Barbarotti wypił łyk gazowanej wody i odchylił się na krześle.
- Słuchaj - powiedział. - Jeśli Germund Grooth rzeczywiście został zamordowany, i tak nigdy nie znajdziemy żadnego fizycznego dowodu. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto był mordercą, a nawet jeśli uda nam się dojść tak daleko... jeśli rozwiązanie wpadnie nam w ręce, nie będziemy mogli go skazać. Albo jej.
- Dobrze, że jesteś optymistą - stwierdziła Eva Backman. - Właśnie o to chodziło Månssonowi, o ten brak fizycznego dowodu. Ale jednak fajnie byłoby wiedzieć, jak się to tak naprawdę odbyło, nie sądzisz? Mimo wszystko? Denerwuje mnie to.
Gunnar Barbarotti żuł przez chwilę mięso, ale nic nie odpowiadał.
- Co z tobą? - ciągnęła Backman. - Zupełnie straciłeś swoją ciekawość? Chciałam ci nawet powiedzieć, żebyś w końcu rozwiązał tę cholerną sprawę, bo ja też jestem nią zmęczona. Słuchasz mnie?
Barbarotti przełknął i się zamyślił.
- Jestem po twojej stronie. Jasne, że się zastanawiam, co się stało. Z obojgiem.
- No - odparła Eva Backman.
- Tylko po prostu nie wiem, co mamy dalej robić. Przecież rozmawialiśmy już ze wszystkimi dwa razy. Nie możemy tego raczej zrobić jeszcze raz.
- Prześladuje mnie taka jedna myśl - powiedziała Eva Backman. - W tym jest ukryta jakaś historia, do której się jeszcze nie zbliżyliśmy.
- Historia?
- Tak. Wśród tych ludzi. Jest coś, o czym tylko oni wiedzą i o czym nie rozmawiają. I to właśnie jest kluczem do wszystkiego.
- Mów dalej - rzekł Barbarotti.
Backman odłożyła sztućce i wytarła usta serwetką.

- No więc. Było ich sześcioro... może siedmioro... od początku. Teraz zostało tylko troje. Albo czworo, choć nie sądzę. Ta trójka, czyli państwo Wincklerowie i twój były pastor, nie chce nam po prostu tego powiedzieć. Zawarli jakiś pakt, pisany bądź niepisany... co o tym sądzisz?
- Brzmi jak scenariusz kiepskiego filmu.
- Możliwe, że życie jest kiepskim filmem - odparła Eva Backman. - Czy parę dni temu nie rozmawialiśmy o tym, że istnieje jakiś reżyser?
- No tak. Ale dlaczego miałby to być kiepski reżyser?
Eva Backman prychnęła.
- Zgodzisz się chyba, że wiele wskazuje na to, że tak właśnie jest. Ale teraz znów odchodzimy od tematu. Ostatnio zawsze tak się dzieje, kiedy z tobą rozmawiam. Jak się dziś czuje Marianne?
- Powoli do przodu - odparł Barbarotti.
- Mhm?
- Mówią, że wszystko jest dobrze, chociaż nie rozumiem, dlaczego jest taka zmęczona. Ale pozdrawia i mówi, że chętnie by się z tobą zobaczyła. Jakoś w weekend, jeśli będziesz miała czas. Powiedziałem jej też o Groocie... chętnie z tobą o nim porozmawia.
- Doskonale - powiedziała Backman. - W takim razie zajmę się tym w niedzielę po południu, kiedy odwiozę chłopaków do Villego. A w ogóle, jak wczoraj poszło z pastorem? Mówiłeś tylko, że niczego się nie dowiedziałeś.
Gunnar Barbarotti przez kilka minut streszcza! swoją rozmowę z Rickardem Berglundem. Albo przynajmniej próbował streścić, sam uważał, że trudno w niej znaleźć jakąkolwiek strukturę.
- Rozmawialiśmy bardzo długo o wszystkim co się da. Może sytuacja też miała na to swój wpływ. Wylew Marianne i niedawna śmierć jego żony. Nie były to... nie były to, że tak powiem, warunki do porządnego przesłuchania. Może je

sfuszerowałem.
- Co mogłeś sfuszerować?
Barbarotti wzruszył ramionami.
- Nie wiem. Nie, na pewno nic takiego nie było. Ale nie udało mi się nawet dowiedzieć, jakie jest jego alibi, a tyle chociaż można było zrobić... choć zamierzam sprawdzić to w szpitalu.
- W sobotę był u żony?
- Prawdopodobnie. Ale dokładnie nie pamięta, w końcu czuwał przy niej od ponad miesiąca.
- Okej - powiedziała Eva Backman. - Sprawdź to. Wincklerowie mają wątłe alibi. Elisabeth Martinsson też. Cholernie dziwne, że żadne z nich nie jest zupełnie wolne od podejrzeń, prawda?
- I że trzydzieści pięć lat temu było tak samo - dodał Barbarotti. - Tak, to dziwne, człowiek zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście może być mowa o zbiegach okoliczności. Co będziesz robiła po południu?
- Zapoznam się zresztą raportów przygotowanych przez kolegów ze Skanii - odparła Eva Backman z westchnieniem. Kiedy w niedzielę spotkam się z Marianne, będę pewnie wiedziała o Germundzie Groocie więcej niż ona.
Gunnar Barbarotti pokiwał głową, ale się nie odezwał.
Tracę swój dryg, pomyślał, kiedy wrócił do gabinetu. Sam siebie nie poznaję.
Może miało to coś wspólnego z Marianne? Doktor Berngren rozmawiał z nim o tym. Proszę zwracać uwagę na to, jak się pan czuje. Opóźniony szok nie jest w takich sytuacjach niczym nadzwyczajnym.
Najbardziej ze wszystkiego czuł się jednak otępiały. Może tak właśnie się to objawiało? Tak czy owak, wczoraj przy śniadaniu zwrócił na to uwagę Lars. A może to był Martin? „Dzień dobry tatusiu, czy zastałem dzisiaj kogoś w twojej głowie?”.

Nie pamiętał, co odpowiedział, o ile w ogóle cokolwiek. Ale dawało do myślenia, czyż nie? Nie czuł się przytomny
I najwyraźniej dało się to zauważyć. Choć kiedy siedział w szpitalu przy łóżku Marianne, był oczywiście przytomny, jeśli akurat nie spal. Może to tam powinien być przez cały czas? Tak samo jak Rickard Berglund.
Na nic się jednak nie przydawał. Przynajmniej przez większość czasu. Jeśli gdzieś był potrzebny, to w domu. Wspólnie z Marianne musieli troszczyć się o piątkę dzieci, to straszne, że był tak otępiały. W sytuacji takiej, jak ta.
Od dzisiaj biorę się w garść, postanowił inspektor Barbarotti. Wystarczy już tego wywołanego szokiem otumanienia. Moje najważniejsze zadanie... moje najważniejsze zadanie to trzymać się i dbać o nich. 1 starać się, żeby to zauważali. Żeby to było widoczne. Zapamiętają ten czas na resztę życia.
Spojrzał na zegar. Wpół do drugiej. Ziewnął. Do przeczytania były papiery z czterech różnych śledztw. Nie licząc historii wzgórza Gåsa, ale z drugiej strony, żadnych nowych raportów z nią związanych nie było. Przez chwilę przeglądał stosy bez większego entuzjazmu.
Ziewnął znowu. Wyjrzał przez okno.
Zauważył, że pogoda nie jest taka zła. Deszcz przestał padać, a w pokrywie chmur widoczne były szczeliny
Splótł dłonie przed sobą na biurku. Wycieczka samochodem? - pomyślał. Rödåkra-Rönninge? Nagle wydało się to całkiem uzasadnione. Nigdy nie zaszkodzi wrócić na miejsce zbrodni. Przeciwnie, to najbardziej klasyczna z metod.
Przemknął ostrożnie koło drzwi Evy Backman, nie wkładając głowy do środka i nie opowiadając, jak zamierza spędzić popołudnie. Jak ona to powiedziała?
Ukryta historia?

59

Kiedy Rickard Berglund spojrzał wstecz na rok 1974 - w dniach między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, kiedy już było jasne, że wyprowadzą się z Uppsali - myślał sobie, że był to rok brzemienny w wydarzenia.

Pomyślał również, że to znak, że ich decyzja jest poważna. Samo bogactwo wydarzeń wskazywało na to, że czas już opuścić miasto uniwersyteckie i wyruszyć na spotkanie z rzeczywistością. Ani on, ani Anna nie wahali się podjąć tego wyzwania, zapewnili się o tym nawzajem, gdy tylko przeczytali list - ten, w którym było napisane, że dostał pracę, o jaką się starał, i może ją rozpocząć 1 lutego.

Magistrem teologii został w czerwcu, ale wtedy było już po największym wydarzeniu: śmierci jego matki. Spadła jak grom z jasnego nieba na początku kwietnia. Czy raczej dwa gromy: udar mózgu wieczorem ósmego i kolejny po przywiezieniu jej do szpitala w Mariestad rankiem dziewiątego.

Ethel Berglund pochowano w kościele w Hova 18 kwietnia; gdyby poczekała osiem miesięcy, sam mógłby odprawić pogrzeb. Pierwszy udar zdarzył się w poniedziałek, drugi, który zakończył jej życie - we wtorek. Rickard nie mógł tego nie odnotować.

Mimo że nigdy nie był z matką blisko, jej śmierć położyła się cieniem na jego święceniach w katedrze w Uppsali w czasie adwentu. Zdał sobie sprawę, że chciałby, żeby tam była. I żeby był tam ojciec pastor. Pocieszała go jednak myśl, że znów są razem i z jakiejś chmury, hen wysoko, obserwują wywyższenie swojego syna.

Z pewnością żadne z nich nie miało nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy.

Pod koniec maja dom w Hova został sprzedany i razem z Anną zafundowali sobie czterotygodniowe wakacje w Grecji. Pływali łódkami między wyspami archipelagu Cyklady, jednej piękniejszej od drugiej na błękitnym morzu,

I mówili pół żartem, pół serio, że to Bóg stworzył łódź, zaś autobus jest dziełem szatana.
Tak samo jak matka Rickarda, ich firma przewozowa była już tylko wspomnieniem. Tomas sprzedał autobus i podzielili się skąpymi przychodami, a w lutym bankructwo było już faktem. Kiedy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że było to jedyne spotkanie całej szóstki tego roku. Ponieważ Tomas i Gunilla w sierpniu przeprowadzili się do Góteborga, również Sibyllegatan należała już do historii. 1974 był bez wątpienia przełomowym rokiem.
W czasie ***prakten,*** jak nazywano praktyczny kurs przygotowawczy dla pastorów, został rzucony na głęboką wodę w kilku parafiach w okolicach Uppsali. Vittinge, Almunge
I Knutby i choć wygłosił w sumie tylko cztery kazania, miał okazję poczuć ciężar liturgii. Zrozumiał, jak to jest stać na ambonie, widząc pod sobą zasłuchanych wiernych. Za pierwszym razem, w pięknym kościele w Vittinge, był tak zdenerwowany, że ledwo wszedł po schodach.
Była to jednak pouczająca jesień, poznał mądrych i przyjaznych proboszczów o wieloletnim doświadczeniu w pracy w terenie i kiedy teraz miał objąć parafię Rödåkra-Hemleby na dalekim zachodzie kraju, czuł, że mimo wszystko jest na to gotowy Nieopierzony co prawda, ale jednak gotowy.
Anna mogła również nazwać ten rok przełomowym. Wprawdzie w „Uppsala Nya Tidning" przedłużono jej umowę, ale kiedy skończyła wakacyjne zastępstwo, wylądowała w lokalnej redakcji w Östhammar. Oznaczało to długie dni i długie podróże. Za dwa tysiące czterysta koron kupili swój pierwszy samochód, stare trzybiegowe volvo PY dzięki czemu nie musiała przynajmniej jeździć autobusem, ale i tak dwie godziny dziennie spędzała w drodze. Posadę w „Svenska Kyrkans Tidning" znalazła bez jego namów i udziału; chodziło o pracę na pół etatu w oddziale na zachodnią Szwecję

I w redakcji zapewnili ją, że może pracować w Kymlinge, choć z taką czy inną podróżą do Góteborga i nie tylko musi się oczywiście liczyć.
Była w pełni gotowa na opuszczenie miasta, w którym się wychowała. Rickard nie miał powodu wątpić w jej słowa.
Choć istniało coś innego, co mogło zasiać ziarno wątpliwości, ale wolał o tym nie myśleć. O ile było to możliwe. Było tak, jakby Anna miała w środku pokój, do którego nie chciała go wpuścić. Kilka razy właśnie tak sobie to tłumaczył. Prywatny pokój. Czasem wydawało mu się, że zupełnie jej nie zna i właściwie nic z jej strony nie mogłoby go zdziwić.
Może jednak było tak z każdą kobietą, ze wszystkimi ludźmi? Nie wszystko da się ***skursywować*** i może nawet nie o to chodzi. Może to właśnie jest wyzwanie? Nigdy nie był pewien, co Anna w głębi duszy myśli o różnych sprawach; utrzymywała na przykład, że jest wierząca, ale rzadko o tym rozmawiali. Tylko w wyjątkowych przypadkach udawało mu się namówić ją na wspólne uczestniczenie w jakimś kościelnym wydarzeniu. Nigdy się razem nie modlili, a ciągu tych lat, kiedy byli parą, tylko trzy czy cztery razy byli razem na mszy. Jedną z nich sam odprawiał, w kościele w Dalby. Właściwie przestał ją pytać, czy chce z nim pójść.
Oczywiście z radością podyskutowałby z żoną o wierze - nie tak dogłębnie, jak rozmawiali w czwórkę w Ofvandahls, ale
I tak. Z drugiej strony może po prostu był przewrażliwiony, rozmawiali w końcu czasem o sprawach dotyczących nie tylko tu i teraz, często jednak zdarzało jej się przerywać taką rozmowę, akurat w chwili gdy według niego nabierała głębi, słowami, że nie ma teraz ochoty o tym mówić. Rzadko rozumiał dlaczego, nie był w stanie przewidzieć, kiedy ten znak stopu się pojawi, a cisza, jaka zalegała między nimi po takim finale dyskusji, dręczyła go. Było tak, jakby odnosiła

małe zwycięstwa poprzez samo milczenie. Zamknięcie drzwi do swojego wewnętrznego pokoju. Wręcz do samego języka. Może był to powód do zmartwienia, tego nie wiedział. W każdym jednak razie nie było to coś, co należało wyjaśnić, kiedy jeszcze mieszkali na Kvarngärdet w Uppsali. Oboje wiedzieli, że w styczniu rozpocznie się dla nich nowy rozdział, a wtedy zaczną obowiązywać nowe zasady.
Myślał czasem, że aż do tego momentu byli młodzi. W Kymlinge, z własną parafią i plebanią, będą dorośli.
Stadia na drodze życia.
W ciągu tego roku przestali na dobrą sprawę spotykać się z Tomasem i Gunillą, zwłaszcza od kiedy tamci przeprowadzili się do Góteborga, ale od czasu do czasu zadawał sobie pytanie, z czego to wynika. Nie znalazł odpowiedzi i nigdy o tym poważnie nie rozmawiał z Anną. Może to wydarzenie w Timisoarze nadal w jakiś sposób ciążyło, może też zlikwidowana firma transportowa. Od samego początku był to pomysł Tomasa, teraz, po fakcie, można było stwierdzić, że niezbyt udany. Ile dokładnie Rickard i Anna na tym stracili, trudno powiedzieć, ale po tym, jak otrzymał spadek po matce, przestał się przejmować. On i Anna wzięli studenckie pożyczki, które powoli powinni zacząć spłacać, ale nie oni jedni. Od stycznia oboje zaczną stałą pracę, będą mieć plebanię i już zaczęli rozmawiać o kupnie lepszego samochodu. Wprawdzie volvo chodziło jak w zegarku, odkąd kupili je od emerytowanego nauczyciela z Morgongâva, ale przyszła posada Rickarda wymagała może czegoś bardziej nowoczesnego. Z drugiej strony pamiętał, że u nich w parafii Hova-Gullsâng był stary pastor, który jeździł PV Z jakiegoś powodu Rickardowi dobrze się kojarzyło to wspomnienie.
Maria i Germund przepadli jak kamień w wodę. Maria pewnie nadal była w Hiszpanii, w sierpniu Tomas powiedział mu przez telefon, że jesienią jego siostra spędzi kilka miesięcy w domu rodziców. Powiedział też, że wydaje

mu się, że ona nie czuje się najlepiej. Tak już było, nie bez przyczyny. Czym zajmuje się Germund, nie wiedział ani Tomas, ani Rickard, najprawdopodobniej jakąś zaawansowaną teoretyczną fizyką. Rickard spotkał go tylko dwa razy jesienią; za jednym razem towarzyszyła mu inna kobieta, siedzieli dwa rzędy przed nim w kinie Fyris i wyglądało na to, że całkiem dobrze się znają.
No cóż, pomyślał Rickard, to nie moje zmartwienie. Dziwne było tylko to, że kiedy wspomniał o tym Annie, zdenerwowała się i powiedziała, że to oczywiście ich sprawa
I że powinni nawiązać kontakt z Marią w Hiszpanii. Rickard zapytał, czy mają przynajmniej pewność, że oni nadal są razem, ale Anna tylko prychnęła.
Nie skontaktowali się jednak ani z Marią, ani z Germundem, Rickard zaś kolejny raz pomyślał, że niektórych stron swojej żony nadal nie potrafi odczytać. Choć po prawdzie
- stwierdził również - co wskazuje na to, że ona lepiej rozumie mnie?
Jesteśmy razem cztery lata. Za kolejne cztery będziemy mieli czwórkę dzieci, pomyślał nagle i rozpromienił się w duchu, a wtedy nie będziemy już tego wszystkiego pamiętali. Cóż, czwórka dzieci w cztery lata to może lekka przesada, ale na dwoje można chyba liczyć?
Dwoje dzieci, które będą dorastały na wiejskiej plebanii. Był to piękny obraz przyszłości i trudno mu było nie widzieć go przed oczami, gdy czasem nie mógł zasnąć.
Parafia Rödåkra-Hemleby. Nazwa też mu się podobała. Może spędzę w niej resztę życia, pomyślał.
Niedługo tam będziemy. Został tylko miesiąc.
Pamiętał to delikatne podniecenie, które czuł w pierwszych dniach ich podróży po Europie Wschodniej, ale oczekiwanie, jakie towarzyszyło mu teraz, w czasie tych spokojnych poświątecznych dni, było czymś zupełnie innym. ***Wielki plan.*** Nadszedł czas.

60

Był sobotni wieczór, siedział przy jej łóżku.
Cała piątka dzieci już ją odwiedziła, ale powiedziały, że rozumieją, że dorośli potrzebują też chwili dla siebie. Albo może Marianne im to powiedziała, kiedy Barbarotti na chwilę wyszedł, żeby przynieść coś do picia, co oczywiście było równie prawdopodobne.
- Nigdy się nie bałaś? - zapytał.
- Byłam nieprzytomna - odparła Marianne. - Myślę, że nie można jednocześnie się bać i być nieprzytomnym.
- Ale czy po odzyskaniu przytomności się nie bałaś? Nie zastanawiałaś się, co się stało i gdzie jesteś?
Potrząsnęła głową. - Byłam tylko zmęczona. Tak jakbym miała spać i nic więcej. Wciąż jestem zmęczona, w końcu śpię szesnaście godzin na dobę.
- A teraz jesteś zmęczona?
Uśmiechnęła się.
- Zostań jeszcze chwilę.
- Bałem się - powiedział Barbarotti. - Jak nigdy w życiu. Myślałem, że mnie zostawisz.
- Rozumiem - odparła Marianne. - Ale nie zamierzam cię zostawiać. - Chwycił ją za rękę. Trzymał ją w dłoniach, ostrożnie i opiekuńczo, jakby to było opuszczone pisklę. Przez chwilę siedział w milczeniu, szukając słów.
- Zycie jest tak kruche - powiedział. - Tak kruche, że... że trudno sobie z tym poradzić.
Pokiwała głową, ale nie odpowiedziała.
- Jak właściwie można żyć, jeśli w ciągu jednej sekundy wszystko może się skończyć? Już wcześniej o tym myślałem, widziałem wielu nieżywych ludzi, ale dopiero w poniedziałek ukazało mi się to z całą ostrością. Rozumiesz, co mam na myśli?
- Nadal się boisz?

Zastanowił się.
- Nie wiem. Czuję się otępiały. Berngren mówi, że to być może opóźniony szok, z pewnością może się tak objawiać. Ale do licha, to nie o mnie tu chodzi. Chodzi o ciebie i nasze dzieci. Jeśli tylko mi obiecasz, że będziemy ze sobą jeszcze kilka... nie, to znaczy wiele... wiele lat, to będę spokojny.
Marianne przyglądała mu się przez chwilę bez słowa. Widział, że się uśmiecha, bo coś sobie przypomniała.
- Jest taki wiersz Philipa Larkina - powiedziała. - W liceum nasz nauczyciel angielskiego rozdał nam kopie. Cierpiał na nieuleczalną chorobę.
- Tak? - zapytał Barbarotti.
- Zmarł pół roku później, w ostatniej klasie mieliśmy zastępstwo. Kilka wersów, których nigdy nie zapomnę.
Wypiła trochę wody. Barbarotti czekał, widział, że powtarza sobie najpierw w głowie, żeby nie uronić żadnego słowa.
- No więc tak. To wiersz o śmierci, o tym jak przychodzi. ***And so it stays just on the edge of vision/ A small, unfocused blur, A standing chill/ That slows each impulse down to indecision/ Most things may never happen: this one will.****
- Pamiętasz go co do słowa?
- Nosi tytuł ***Alba.*** Wszyscy się go nauczyliśmy Przynajmniej wszystkie dziewczyny Jeśli wiesz, co mam na myśli?
- Chyba tak - odparł Barbarotti.
- Żadnych gwarancji nie ma - powiedziała Marianne. - Ale czuję, że z tym akurat kryzysem sobie poradzę.
- To dobrze - odrzekł Barbarotti.
Choć nie chodzi przecież o liczbę dni. Tylko o godziny, z których zrobimy użytek. Prawda? Można przeżyć sto lat bez żadnego sensu, ale po co?

** I tak to trwa, na samym skraju naszej wizji:/ Rozmazana, nieostra plamka, która zwarzy/ Chłodem każdy nasz impuls, zmrozi w brak decyzji./ Większość rzeczy nie zdarza się: lecz ta się zdarzy (przekład Stanisława Barańczaka)*

- Jasne - odpowiedział Barbarotti. - Ale dzieci mogłyby trochę podrosnąć.
- Miej ufność - odparła Marianne.
Pochylił się i ją pocałował. Opadł z powrotem na krzesło.
- Rozmawiałem kilka razy z byłym pastorem - powiedział. - Jego żona zmarła tego samego dnia, w którym ty miałaś wylew.
- To ma coś wspólnego ze sprawą? Z Germundem Groothem?
-Tak.
- Jutro ma mnie odwiedzić Eva, prawda?
- Zgadza się - potwierdził Barbarotti. - Przyjdzie jutro po południu. Ten pastor siedział przy łóżku chorej żony przez... no na pewno kilka miesięcy. Może lat, nie wiem dokładnie. A teraz jej nie ma. I wygląda na to, że nie mają dzieci i żadnych innych krewnych. Musi się czuć... tak naprawdę nie wiem jak.
- I to cię przeraża?
- Tak - odparł Barbarotti. - Przeraża mnie to. ***Most things may never happen: this one will...*** tak mówiłaś?
Marianne skinęła głową i wypiła jeszcze trochę wody.
- Życie i śmierć to rodzeństwo - powiedziała. - Jak to się mówi... syjamskie. Jeżeli boimy się jednego, boimy się też drugiego. Rozumiesz, co mam na myśli?
Gunnar Barbarotti zastanowił się i odparł, że tak. Nie wiedział jednak, czy zrozumienie i słowa cokolwiek ważą, może to tylko powietrze. Marianne chwyciła jego dłonie.
- Wszystko się ułoży - powiedziała. - Idź do domu i pograj z dzieciakami w karty. Ja się trochę prześpię.
Siedział jeszcze dziesięć minut. Myśli trzepotały mu w głowie jak zagubione motyle. ***Just on the edge of vision. A small, unfocused blur***? Kiedy był pewien, że Marianne już mocno śpi, poszedł do oddziałowej i zapytał, jak dojść do hospicjum.

Było tu bardzo przytulnie, pomyślał, że nie bez przyczyny Do hospicjum pacjenci przyjeżdżali, aby umrzeć. A krewni, żeby ich w godny sposób pożegnać. Były tu miękkie fotele, a na ścianach wisiały obrazy Rośliny w doniczkach i regał z książkami. Nawet przeszklona szafka, w której nie brakowało napojów alkoholowych. Porto, madera, koniak. Cieszyło go to; najwyraźniej panowały tu ciepła atmosfera i swego rodzaju zdrowy rozsądek, które wielokrotnie przewyższały normy i przepisy.
Godność u schyłku życia.
Personel był na miejscu całą dobę. Barbarotti przywitał się z tęgą, starszą kobietą z recepcji, która siedząc przy biurku, rozwiązywała krzyżówkę. Przedstawił się i wyjaśnił powód wizyty.
- Anna Berglund? - zapytała kobieta. - Tak, zgadza się. Była u nas dość długo, ale w poniedziałek zmarła.
- Wiem - odparł Barbarotti. - Dzisiaj był jej pogrzeb. Przychodzę w sprawie trochę... niestosownej, wydaje mi się, że to właściwe słowo. Jeśli wziąć wszystko pod uwagę. Ładnie tu u państwa.
- Tak - odparła kobieta. - Większość osób tak mówi. Sama mogłabym umrzeć w takim otoczeniu. Pracuję tu czternaście lat. Czego chciał się pan dowiedzieć?
- Przychodzę w sprawie Rickarda Berglunda, męża Anny.
O ile wiem, spędzał tu dużo czasu. Przy łożu śmierci żony.
Skinęła głową.
- Zgadza się. Myślę, że bardzo mocno się kochali, i mam nadzieję, że jakoś sobie z tym poradzi.
- Sprawa, którą się teraz zajmuję, w zasadzie nie ma z nimi nic wspólnego - powiedział Barbarotti. - Ale przydałaby nam się informacja, czy był tu w sobotę dwa tygodnie temu... czyli 25 września.
- W sobotę dwa tygodnie temu?
-Tak.

- Dlaczego sam go pan nie zapyta?
- Pytałem, ale był tu tak często, że nie pamięta. To zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę...
- Jak najbardziej zrozumiałe - przerwała kobieta, ze zmartwioną miną. - Ale na tym oddziale nie prowadzimy rejestru odwiedzin. Nie ma powodu... Proszę poczekać, sprawdzę.
Zaczęła pośpiesznie przerzucać kartki leżącego na biurku terminarza.
- Sobota 25 września... tak, miałam wtedy dyżur. Od rana do popołudnia, czyli zaczęłam o siódmej i skończyłam o szesnastej.
Zamknęła terminarz, wzięła się pod bold i myślała.
- Nie bardzo pamiętam - powiedziała. - Nie, chwileczkę, już wiem. Kiedy rano zmieniałam Margaretę, koleżankę, która miała nocną zmianę, powiedziała, że Berglund siedział aż do drugiej. Już go dobrze znałyśmy, ponieważ jego żona leżała tu tak długo... Najczęściej jest to tylko kilka tygodni, ale Anna Berglund była u nas trzy miesiące, tak jakby nie chciała umrzeć... jakby nie chciała się poddać. Tak czy owak, pomyślałam, że tego dnia nie zobaczę Berglunda, ale pojawił się, jak już miałam iść do domu.
- O której godzinie mogło to być? - zapytał Barbarotti.
- Tuż przed szesnastą. Zgadza się. Dziwne, że to w ogóle pamiętam.
- Jest pani pewna, że to była sobota dwudziestego piątego?
- Absolutnie - potwierdziła. - Pracuję co drugi weekend. Mówimy o tym dwa tygodnie temu, prawda?
- Tak jest - odparł Barbarotti i wstał. Podziękował za informacje i przeprosił za kłopot.
- Nic nie szkodzi - odparła. - Mała przerwa jest zawsze mile widziana. Tutaj niewiele się dzieje.
Siedząc w samochodzie w drodze na przylądek Kymmen, myślał o tym.
Nawet on, brzmiała jego pierwsza myśli. Nawet Rickard

Berglund nie miał najwyraźniej pewnego alibi na ten krytyczny moment.
Nie mieli go Tomas i Gunilla Winclderowie z Góteborga. Nie miała go Elisabeth Martinsson ze Strömstad. Nie miał Rickard Berglund z Kymlinge.
Ani teraz, ani trzydzieści pięć lat temu, dokładnie tak, jak zauważyła Eva Backman. Prawda, że to dziwne?
Choć z drugiej strony, jeśli Berglund czuwał przy żonie do drugiej w nocy, czy nie było zrozumiałe, że pojawił się z powrotem dopiero o szesnastej? Może zresztą w sobotę spotkał kogoś, kto za niego poręczy? Może poszedł po zakupy, do fryzjera albo gdziekolwiek?
Jednak niestety był tylko jeden sposób, żeby to potwierdzić. Kolejna rozmowa z Berglundem, podczas której przyciśnie się go trochę bardziej, niż miał możliwość, kiedy się ostatnio widzieli.
Zadanie dla inspektor Backman, pomyślał Barbarotti. To w końcu głównie ona jest za to odpowiedzialna. Jutro będzie też przesłuchiwała Marianne.
Nie, przesłuchiwała to może za dużo powiedziane.
Zanim zaczął się zastanawiać, co ta rozmowa mogłaby przynieść, i zanim jeszcze znalazł się w domu, gdzie czekała horda dzieciaków, wrócił na chwilę myślami do wczorajszej wycieczki na wzgórze Gåsa. Co tak naprawdę dała?
Narzucała się odpowiedź, że zupełnie nic. Przez godzinę chodził po lesie, stanął na skraju zbocza i próbował zobaczyć oczyma duszy, co wydarzyło się trzydzieści pięć lat wcześniej i dwa tygodnie temu. Dwoje ludzi, niegdyś para kochanków, stało tu na górze i patrzyło w dół, każde osobno, a między tymi zdarzeniami upłynął długi, długi czas. Później coś się stało... Albo podjęli decyzję, albo ktoś niespodziewanie położył im dłoń na plecach i popchnął... Barbarotti niemal czuł to lekkie popchnięcie. Tak niesamowicie łatwo jest zabić kogoś w ten sposób. Pytanie, od-

wieczne pytanie, brzmi oczywiście: dlaczego. Dlaczego, do stu piorunów, Maria Winckler i Germund Grooth zginęli?
Zszedł ścieżką w dół i chodził przez chwilę po kamieniach, ale przegrał z deszczem. Niewielkie chmury, które zauważył, wsiadając do samochodu w Kymlinge, okazały się zwodnicze. Wszedł z powrotem na górę, pobiegł do samochodu, a wszystko to zajęło piętnaście minut i kiedy znów usiadł za kierownicą, był przemoczony.
Dziś wieczorem nie padało jednak. Żadnych chmur i zimno, prawdopodobnie koło zera stopni. Kiedy podjechał pod willę Pickford, świeciło się w prawie każdym oknie. Pora zostawić umarłych w spokoju, pomyślał i wysiadł z samochodu.
Teraz czas na młodzież tego kraju, jego przyszłość. I na kanastę.
Ogram ich, aż im w pięty pójdzie.

61

Wróbel.
Il gorrión. Tak się to mówi po hiszpańsku. Nie ***moineau,*** jak po francusku, więc te słowa mają różne rdzenie, ale w obu językach są to wyrazy rodzaju męskiego, co, moim zdaniem, jest trochę mylące. Zarówno Piaf, jak i ja jesteśmy bez dwóch zdań kobietami. Kiedy cztery miesiące temu tu przyjechałam, miałam pewne problemy z hiszpańskim, ale radzę sobie coraz lepiej. Po francusku mówię właściwie perfekt, potrafię więc domyślić się praktycznie wszystkiego. Potrzeba mi tylko trochę czasu.
Chociaż w barze, gdzie pracuję, można sobie poradzić ze względnie ubogim zasobem słów. 1 z pomocą angielskiego - połowa klientów nie jest Hiszpanami.
Torremolinos. To rozwijająca się pipidówa dla turystów pod dyktaturą Franco, ale już się tu zadomowiłam. Mam w dupie politykę, a wszyscy mówią, że ldedy generalissimus umrze, zwycięży demokracja. Nie mówię, że się tu dobrze czuję, ale nigdzie indziej też nie czułabym się dobrze. Kiedy

pod koniec listopada przyjechali rodzice i powiedzieli, że zamierzają mieszkać w domu do marca, zrozumiałam, że muszę rozejrzeć się za czymś własnym. Postanowiłam też opuścić Fuengirolę, najlepiej zachować jakiś dystans, nawet jeśli jest to tylko kolo dwudziestu kilometrów. Znalazłam małe mieszkanie w tej samej dzielnicy, w której jest bar, to w zasadzie tylko jeden pokój, ale więcej mi nie trzeba. Gdybym tylko przespała się z właścicielem, mogłabym pewnie nie płacić czynszu, ale się z nim nie prześpię.
Z nikim nie sypiam. Sama sobie wystarczam. W wolne dni mogę godzinami spacerować plażą, tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Jest zupełnie inna niż plaże nad Morzem Czarnym, ale czasami i tak wydaje mi się, że znów tam jestem. Nie wiem, co się dzieje z moją głową, ale coś na pewno. Mama boi się, że tracę kontakt z rzeczywistością, że zwariuję i że będą musieli zamknąć mnie w hiszpańskim szpitalu dla umysłowo chorych. Widzę to po niej, nie spotykamy się często, może raz na dwa tygodnie. To ona do mnie przychodzi, ja nigdy nie jeżdżę do Fuengiroli, jak bardzo nie suszyłaby mi głowy.
Przyjeżdża pociągiem i zawsze ma ze sobą jedzenie. Świeże warzywa, świeży chleb, który kupuje tu nieopodal, na ryneczku, owoce i konserwy. Boi się również, że zagłodzę się na śmierć, i może ma do tego pewne podstawy. Z pewnością od przyjazdu schudłam siedem-osiem kilo, ale nie cierpię z tego powodu. Jem bardzo mafo. Prawie same owoce, ale piję mnóstwo wody. Po kilka litrów każdego dnia i nigdy ani kropli alkoholu, mimo że pięć dni w tygodniu staję wieczorem za barem.
Palę czasem jointa po powrocie z baru, czyli zazwyczaj kolo trzeciej nad ranem. Działa jak dawniej - kiedy to zrobię, śpię prawie do południa i nic mi się nie śni.
Oczywiście podrywa mnie wielu facetów, wciąż jestem piękna, choć chudsza niż kiedykolwiek. Ale mam w spojrze-

niu coś takiego, dzięki czemu szybko rezygnują. Myślę, że ich przerażam, odkrywają, że jest we mnie jakiś mrok, coś, z czym nie chcą mieć do czynienia, ponieważ nie potrafiliby sobie z tym poradzić. Kilka tygodni temu podrywała mnie również jedna dziewczyna, tu jest sporo homoseksualistów. Nawet poszłam z nią do domu, leżałyśmy nago na tarasie na dachu
I pieściłyśmy się, ale była pijana i nagle poczułam obrzydzenie. Kiedy stamtąd uciekłam, miotała za mną przekleństwa. Ale następnego wieczoru podeszła do baru i przepraszała, blada
I skruszona. Chyba chciała spróbować ze mną znowu, ale dałam jej do zrozumienia, żeby spierdalała. Nie za pomocą słów, wystarczyło, że wlepiłam w nią moje mroczne spojrzenie.
Gdy przychodzi co do czego, może mama ma rację, może rzeczywiście tracę nad sobą kontrolę. Połykam sporo książek, ale czasem zdarza się, że kiedy po przeczytaniu pięćdziesięciu stron odkładam książkę na pięć minut, nie pamiętam ani słowa z tego, co czytałam. Kiedy grzebię w pamięci, też nie potrafię tego przywołać, zastanawiam się, gdzie tak naprawdę byłam w trakcie lektury.
Germund napisał trzy listy. Krótkie i trochę gorzkie. A może po prostu nie opanował tej sztuki. Sztuki pisania; tak czy inaczej, na wszystkie odpisałam, a cztery czy pięć razy rozmawialiśmy przez telefon. Chce, żebym wróciła, ale mówię, że jeszcze na to za wcześnie. Najpierw musi nastąpić we mnie jakaś zmiana, nie ma sensu, żebym wracała do Szwecji w takim stanie.
No to ja przyjadę, mówi Germund. Zaczął to mówić już w listopadzie i w końcu się poddałam. Może i powinniśmy znów się spotkać, on jest w każdym razie jedynym mężczyzną, przy którym mogłabym bezpiecznie zasnąć. Nie, bezpiecznie to złe słowo, on jest jedynym mężczyzną, który

nie napawa mnie obrzydzeniem, ot co.
Przyjedzie pod koniec lutego i przypuszczam, że będzie chciał zostać do momentu, kiedy będziemy mogli razem wrócić, nawet jeśli nie powiedział tego wprost. Jesienią trochę wykładał w jednym z instytutów na fizyce, o ile dobrze zrozumiałam, i mówi, że ma całkiem sporo pieniędzy. Pewnie będziemy musieli się pomieścić w moim jednopokojowym mieszkaniu, zobaczymy, jak to wyjdzie. Może zresztą w kwietniu rodzice pojadą do Szwecji, wtedy będziemy mogli mieszkać w ich domu.
W mojej dzielnicy jest porzucona dziewczynka, z którą czasem się spotykam. Mówi, że mieszka u babci, ale nigdy żadnej babci nie widziałam. Jeżeli nie jest porzucona, to w każdy razie samotna.
Z pewnością nie ma więcej niż dziesięć lat, spotykamy się zawsze wieczorami, przed moim wyjściem do baru. Między szóstą a siódmą. Wchodzi schodami od strony morza i za każdym razem ma na sobie tę samą zniszczoną sukienkę i sweterek. Chodzi boso, chociaż nie jest zbyt ciepło. Kiedy mówię, że się spotykamy, jest to prawda z małym ale, ponieważ niezbyt dużo do siebie mówimy. Tylko kilka słów, czasem nic. Siedzimy za to razem na ławce przed kościołem i patrzymy na gołębie; ona jest bardzo nieśmiała, ale mimo wszystko tam siedzimy i w jakimś sensie dotrzymujemy sobie towarzystwa.
Mówiła, że nazywa się Miranda. Nie zadaję jej żadnych pytań, bo widzę, że tego nie chce i najwyraźniej nie chce nic wiedzieć o mnie. Obie lubimy tę naszą małomówność
I pomyślałam sobie, że gdyby moje życie wyglądało inaczej
I moja głowa też, mogłabym ją adoptować.
Właściwie dopiero wczoraj ta myśl uderzyła mnie po raz pierwszy, ale od tego czasu mnie prześladuje. Obawiam się, że jest niebezpieczna, że mogłaby mnie opętać, kiedy zaś dziś wieczorem usiadłam na ławce, Miranda nie przyszła.

Stoję za barem i czuję, jak coś we mnie wzbiera. Może krzyk, a może coś innego. Nie jadłam nic od rana.

Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, żeby zamykać mnie w hiszpańskim szpitalu dla obłąkanych. Chciałabym, żeby Germund tu był. Ale do jego przyjazdu zostały jeszcze dwa tygodnie.

62

- To trochę dziwne - powiedziała Eva Backman. - Delikatnie mówiąc.
- Też tak sądzę - odpowiedziała Marianne.
- Jedno i drugie. To, co ci się przytrafiło, i to, o czym chcę z tobą porozmawiać.

Marianne skinęła głową. Zwilżyła wargi językiem i zastanawiała się przez chwilę.

- Dla Gunnara jest to trudne. To ja zaproponowałam, że porozmawiam z tobą.
- Tak, wiem o tym - odparła Eva Backman. - Myślałam, że będziesz leżała w łóżku.
- Można nabawić się odleżyn - powiedziała Marianne.
- I zakrzepów, i tak dalej. Nie, muszę się ruszać na ile to możliwe, choć nadal śpię jak miś koala... To chyba one przesypiają trzy czwarte życia?
- Tak mi się wydaje - potwierdziła Eva Backman. - To może zacznijmy, zanim nam tu uśniesz.
- No właśnie. A więc Germund Grooth?
- Germund Grooth - powiedziała Eva Backman i włączyła dyktafon. - Co więc możesz powiedzieć o tej znajomości?

Marianne wypiła trochę wody i westchnęła.

- Myślałam o tym. Przed i po... tym wszystkim. - Wskazała swoją głowę. - To dziwny zbieg okoliczności, w końcu w tym kraju mieszka dziewięć milionów ludzi, a ja naprawdę nie miałam w życiu wielu mężczyzn...
- Ja miałam czterech - wtrąciła Backman.

- Ja też - powiedziała Marianne z uśmiechem. - Kolejny zbieg okoliczności, ale że akurat ten Germund jest zamieszany w sprawę, nad którą pracujecie z Gunnarem, to po prostu strasznie dziwne. Pomyślałam nawet, że...
- Tak?
- ...że może nie jest to zbieg okoliczności.
- Ciekawe - powiedziała Eva Backman. - Też mi to przyszło do głowy. **I** do jakich wniosków dochodzisz?
- Zanim przytrafiło mi się... to... myślałam chyba, że jednak musi to być czysty przypadek.
- Ja też wyszłam z takiego założenia - powiedziała Eva Backman. - W przeciwnym razie byłoby to tylko jeszcze bardziej niepojęte. Jaki on był? Co masz do powiedzenia o Germundzie Groocie?
- To zależy - odparła Marianne i wzięła głęboki oddech.
- Zależy, czego się szuka. Był dobrym kochankiem i chyba tego szukałam. W układzie, jaki mieliśmy, chyba niczego więcej. Trudno mi było go sobie wyobrazić w roli drugiego taty dla moich dzieci. Chyba nie spotkaliśmy się więcej niż dziesięć razy, trwało to rok z niewielkim okładem. Problem polegał na tym...
Urwała i ugryzła się w knykieć.
- Na czym polegał problem?
- Problem polegał na tym, że tak naprawdę chodziło wyłącznie o seks. Spędzaliśmy razem dobę i się kochaliśmy, to wszystko. Nie mogłabym o tym rozmawiać z Gunnarem, ale tak po prostu było. Uważasz, że to dziwne?
- Uważam, że nie jest to ani trochę dziwne. Dlaczego zerwaliście?
- Właśnie dlatego - odparła Marianne. - Ponieważ nie było nic więcej. Nigdy nie chodziliśmy do teatru ani do luna, nie planowaliśmy wspólnych podróży, nie chciał nic wiedzieć o moim życiu. Nie pytał o moje dzieci... Sama rozumiesz.
- Rozumiem - odparła Eva Backman. - To nie działa. A ty

pytałaś o jego życie?
- Próbowałam - odparła Marianne, krzywiąc się lekko. - Ale nie był szczególnie rozmowny. Nie był tak opryskliwy jak niektórzy mężczyźni, przeciwnie, potrafił być uprzedzająco grzeczny. Tak to się mówi?
Eva Backman skinęła głową.
- Tak, uprzedzająco grzeczny, choć jednocześnie wymijający. Dobrze wyglądał, zawsze był serdeczny i czuły, ale... no, czegoś brakowało. Pomału zrozumiałam, że ma depresję. Albo przynajmniej przyjęłam taką diagnozę. A ten seks, te spotkania, to było... to było, jakby czytać książkę i wciąż od nowa powtarzać pierwszy rozdział. W kółko i w kółko. Rozumiesz, co mam na myśli?
- W zupełności - zapewniła Eva Backman i nagle pomyślała, że już od dawna nie czytała nawet pierwszego rozdziału. - Dowiedziałaś się, co leży u podstaw tej depresji, o ile to rzeczywiście była depresja?
- Depresja nie zawsze musi mieć wyraźną przyczynę - powiedziała Marianne. - Ale w jego przypadku myślę, że u podstaw leżała trauma. Wspominał, że wiele lat temu stracił narzeczoną, ale nigdy nie mówił, w jaki sposób. Właściwie tylko jeden raz udało mi się zajrzeć mu do środka... czy jak to tam nazwać. To było nasze ostatnie spotkanie. Mam opowiedzieć?
- Jasne - odparła Eva Backman.
Marianne odchrząknęła i wypiła jeszcze trochę wody.
- Było tak, myślałam o tym przez kilka dni, próbując przypomnieć sobie szczegóły. Zatrzymaliśmy się na weekend w hotelu w Simrishamn. Przyjechaliśmy w piątek wieczorem, wyjechaliśmy w niedzielę. Drugiej nocy, z soboty na niedzielę, śnił mu się pewien koszmar, przynajmniej wydaje mi się, że to był koszmar. Obudziło mnie jego mamrotanie, siedział na łóżku i coś mamrotał. Nie byłam wtedy pewna, czy śpi, czy nie, więc zapytałam, co się dzieje. Wtedy po-

wiedział, głośno i wyraźnie... nawet z lekkim oskarżeniem w głosie: „Zabiłem rodziców i siostrę, czy możecie wpisać to do waszych ksiąg?”.
- Co? - zapytała Eva Backman.
- Właśnie tak. „Zabiłem rodziców i siostrę, czy możecie wpisać to do waszych ksiąg?”. Powiedział to dwa razy. Nie przesłyszałam się, nie udało mi się o tym zapomnieć. Kiedy to powtórzył, położył się i spał dalej. Pomyślałam, że oczywiście mógł to być jakiś chory sen. Uderzyło mnie, że brzmi to, jakby stał przed jakimś sędzią... jakby przemawiał na sali sądowej. Sny potrafią czasem być bardzo dziwne. Kiedy się rano obudziliśmy, powiedziałam mu, co się stało, i zareagował bardzo osobliwie.
-Jak?
- Przestał się odzywać. Był w szoku czy jak to tam powiedzieć... nawet nie zjedliśmy razem śniadania. Przyjechaliśmy tam każde swoim samochodem, więc on wziął prysznic
I wyjechał z hotelu przed dziewiątą bez słowa wyjaśnienia. Pomyślałam sobie... moja pierwsza myśl była taka, że to prawda.
- Że on...?
- Tak, że naprawdę zabił rodziców i siostrę.
Eva Backman milczała kilkanaście sekund. Marianne znów wypiła trochę wody i przywitała się z pielęgniarką, która przechodziła obok.
- I to było wasze ostatnie spotkanie?
- Tak. Zadzwoniłam do niego kilka tygodni później. Powiedział, że może nie powinniśmy się więcej spotykać. Nie zamierzałam go nawet o to pytać, ale powiedziałam, że ma absolutną rację.
- I już nigdy się nie widzieliście?
- Nie.
- Nie rozmawialiście przez telefon, nie pisaliście maili?
-Nie.

- Kiedy to było?
- W sierpniu 2005 roku. Mniej więcej rok przed tym, jak poznałam Gunnara.
Eva Backman pokiwała głową.
- Czy kiedykolwiek przed tym wyjazdem do Simrishamn rozmawialiście o jego rodzicach?
- Wiedziałam, że zginęli, kiedy był mały. Ale wydawało mi się, że w wypadku samochodowym, chyba sam tak powiedział.
- Potem jednak stwierdził, że to on ich zabił?
- Tak, chociaż nie był przytomny.
Eva Backman znowu się zamyśliła.
- A teraz co o tym myślisz? - zapytała. - Teraz, po czasie.
- Nic nie myślę - odparła Marianne i potrząsnęła ze zmartwieniem głową. - Może to, że w jakiś sposób oskarża sam siebie, że oskarżał się, odkąd to się wydarzyło, cokolwiek to było. Dzieci mogą tak robić bez przyczyny. Na przykład myśleć, że ponoszą winę za coś, czemu tak naprawdę winni są rodzice. Przy rozwodach i tak dalej.
- Tak, to się często zdarza - powiedziała Eva Backman. -
I nawet jeśli było to tylko urojenie, mogło prześladować go przez całe życie... wydaje ci się, że tak właśnie było.
Mariannę wzruszyła ramionami.
- W każdym razie to jedna z możliwości.
- Pomyślałaś, że owo urojenie było przyczyną depresji?
- O ile to była depresja. Druga możliwość jest przecież przerażająca, prawda?
- To znaczy...?
- Ze naprawdę miałby to zrobić.
Po wyjściu ze szpitala Eva Backman poszła na swój obowiązkowy, długi niedzielny spacer. Choć tego popołudnia nie chodziło o bufor między willą a mieszkaniem, w każdym razie nie przede wszystkim. To Germund Grooth straszył w jej głowie.

Po raz kolejny.
A więc jak to jest, pomyślała. Czy rozmowa z Marianne cokolwiek wyjaśniła?
A może tylko sprawiła, że obraz Grootha stał się jeszcze dziwniejszy? Opis charakteru Grootha podany przez Marianne całkiem dobrze zgadzał się z tym podanym przez Kristin Pedersen. Co jednak znaczyło to, co Marianne powiedziała na końcu? Czy w ogóle cokolwiek?
„Zabiłem rodziców i siostrę, czy możecie wpisać to do waszych ksiąg?".
Było to bardzo dziwne. Dlaczego mówił coś takiego nawet we śnie? O ile dobrze rozumiała, jego rodzice i młodsza siostra zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Germund miał zaledwie dziesięć lub jedenaście lat. Smutas dowiedział się tego z dokumentów. Czy nie było tak, że zjechali z drogi i utonęli w rzece?
Wydawało jej się, że właśnie tak się stało, ale oczywiście trzeba było to sprawdzić u Smutasa. Poza tym jak dziesięciolatek miałby zabić trzy osoby, przecież nawet nie było go w samochodzie.
Nie, uznała Eva Backman, mijając aleję Barina i zbliżając się do Pampas. Jeżeli ta wypowiedź w ogóle miała jakiś sens, to było to tylko urojenie, o którym mówiła Marianne. Dziesięcioletni chłopiec oskarżał się, ponieważ przeżył
I nikt nie uwolnił go od poczucia winy. Tkwiło ono w nim, przynajmniej w snach, przez całe życie.
Życie, które z wciąż nieznanych powodów zakończyło się w wąwozie Gåsa, dziesięć kilometrów na południe od Kymlinge, 25 września 2005 roku. Przynajmniej tyle wiemy, pomyślała Eva Backman ponuro.
Wiedzieli to jednak już długo.

63

Dobrze się czuła w Göteborgu.

Dwadzieścia lat życia spędziłam w Karlstad, pięć w Uppsali, myślała czasem pierwszej, wietrznej i deszczowej zimy. W tym mieście mogę spędzić resztę.

Kiepska pogoda jej nie przeszkadzała. Tomasowi udało się dostać mieszkanie przy Aschebergsgatan - trzypokojowe, na trzecim piętrze z widokiem na ołowiane niebo i na Vasastaden. Z tego co zrozumiała, załatwił je przez bank

I sama poświęciła sporo czasu na urządzanie wnętrza. Tapetowanie, remont kuchni i malowanie; pracę znalazła dopiero w kwietniu, czasu miała więc pod dostatkiem.

Z punktu widzenia finansów to, że nie pracowała, nie stanowiło wielkiej różnicy. Tomas dostał na dzień dobry fantastyczną pensję w Handelsbanken i przynajmniej na początku podobało jej się siedzenie w domu. Jednak nie tylko praca nad mieszkaniem sprawiała, że czuła się zadowolona, również mieszkańcy Göteborga. Ich pozytywne nastawienie do świata i poczucie humoru. Myślała, że to mit, ale wkrótce odkryła, że w tym mieście ludzie inaczej się do siebie odnoszą. W sklepach, na ulicach, wszędzie. Mały żarcik, uśmiech; nigdy nie uważała, że uppsalczycy są zimni czy niemili, ale teraz, kiedy miała porównanie, nie mogła nie zauważyć różnicy. Samo wyjście po zakupy było przyjemnością.

Przede wszystkim ta pierwsza zima w Göteborgu wydawała się początkiem czegoś nowego i dobrego. Od wydarzenia w Timisoarze minęły już ponad dwa lata, pobyt w Ulleråker i dwa poronienia należały do jeszcze odleglejszej przeszłości. Noworoczny wieczór spędzili w restauracji z Sirkką i Martinem, nowo poznaną parą; Martin również pracował w banku. ICiedy Gunilla i Tomas koło drugiej w nocy wrócili do domu, kochali się na nowym chodniku w przedpokoju; nie mogli już dłużej wytrzymać, gra wstępna rozpoczęła się,

kiedy wyszli z restauracji.
Tak się właśnie powinien zaczynać udany nowy rok, stwierdził Tomas. Minęły dopiero dwie godziny, a już kochaliśmy się w przedpokoju.
Gunilla wybuchnęła śmiechem. Jak dawniej, pomyślała. Jak wtedy, kiedy dopiero co się poznaliśmy. Właściwie to jestem gotowa znowu zajść w ciążę.
Tak się jednak nie stało i nie było w tym nic dziwnego, ponieważ wciąż przyjmowała pigułki. W styczniu jednak przestała, nie mówiąc nic Tomasowi. Czas leczy rany, pomyślała. Naprawdę, to nie tylko frazes.
Tomas dużo pracował; regularnie musiał wieczorami wychodzić z klientami, ale to również jej nie przeszkadzało. Ich życie erotyczne było coraz lepsze i wiedziała, że to jej zasługa. Była chętna, tak jak w ciągu pierwszych lat ich związku. Po prostu czuła silne pożądanie, czasem już przed południem za nim tęskniła, mimo iż wiedziała, że wróci do domu dopiero późnym wieczorem; zastanawiała się również, czy ma to coś wspólnego z jej chęcią powtórnego zajścia w ciążę. Z czystą biologią. Czy był to zegar życia, który nagle znowu zaczął działać.
Nie zaszła jednak w ciążę. Dwudziestego dnia każdego miesiąca pojawiał się okres, zdecydowała więc, że nie będzie o tym myśleć. Nic na siłę. Możliwe, że to właśnie jej pragnienie stało na przeszkodzie.
Pierwszego kwietnia rozpoczęła pracę. Biuro tłumaczeń poszukiwało personelu i choć nie uzyskała jeszcze tytułu magistra na uniwersytecie w Uppsali, to jednak wiele lat uczyła się języków. Studiowała zarówno angielski, niemiecki, jak i hiszpański; obowiązki zawodowe obejmowały przede wszystkim różnego typu korespondencję handlową i umowy, w czym się raczej nie specjalizowała. Były jednak słowniki i ludzie, których można się było poradzić, a ona szybko się uczyła. Biuro mieściło się na Guldheden, dwadzieścia

minut spacerem od Aschebergsgatan. Pracowała tylko trzy dni w tygodniu, ale istniała duża szansa, że jesienią wymiar godzin się zwiększy.
Kiedy w czwartek pod koniec kwietnia wróciła z pracy, zadzwonił telefon. Sygnał usłyszała już na klatce schodowej i pomyślała, że nie zdąży odebrać.
Ale telefon nie przestawał dzwonić. Osoba, która telefonowała, najwyraźniej bardzo chciała się z nią skontaktować. Rzuciła torbę na wiklinowe krzesło i odebrała.
- Tu Maria. Chcę z tobą porozmawiać o Timisoarze.
Poczuła, że traci grunt pod nogami.

64

Komisarz Asunander nie śmiał się zwykle w poniedziałki i ten poranek nie należał pod tym względem do wyjątków. Eva Backman pomyślała, że wygląda na skacowanego, wiedziała, że siedząc w domu, ma zwyczaj popijać grog w swoim własnym towarzystwie, niezwykłe jednak było, że przesadził z ilością, i to w niedzielny wieczór.
O ile to kac. Może po prostu był zmęczony i przygnębiony.
Za dwa lata odejdzie na emeryturę. Wtedy będzie mógł pić grog każdego wieczoru przez cały tydzień i nikomu nie będzie to przeszkadzało, pomyślała. Asunander bez wątpienia należał do nieustraszonej gromady samotnych.
- Musimy to sobie trochę uporządkować - powiedział. - Tak dalej być nie może.
- Co masz na myśli? - odważył się zapytać Gunnar Barbarotti.
Backman zauważyła, że i on nie wyglądał zbyt świeżo. Może całą noc spędził u Marianne? W każdy razie był nieogolony.
Asunander wlepił w niego wzrok.
- Mam na myśli wzgórze Gåsa. Mam na myśli martwego fizyka z Lund, który wciąż przebywa w limbo. Minęły już ponad dwa tygodnie. Może to inspektorów zaskoczy, ale mamy

jeszcze kilka innych spraw, które czekają na rozwiązanie.
Backman próbowała sobie przypomnieć, jak to było trzy-cztery lata temu, kiedy Asunander wciąż jeszcze miał problemy ze swoją sztuczną szczęką. Wtedy nie był taki elokwentny. Wysławiał się bardziej jak starodawny telegram, ponieważ jeśli mówił za dużo, gubił zęby. Wtedy w zasadzie było lepiej. Ona i Barbarotti byli co do tego zgodni.
- To dziwny przypadek - powiedziała.
- Bardzo możliwe - odrzekł Asunander. - Ale chciałbym z wami porozmawiać, kiedy nie ma tu tego palanta Månssona. Karty na stół. Chcę wiedzieć, czy mamy to umorzyć, czy nie. No, co powiecie? Zamieniam się w słuch. Powiedzcie, co, do cholery, myślicie?
- Hrrm, ja bym... - zaczął Barbarotti.
- Najpierw Backman - przerwał Asunander. - Wiem, że ty jeszcze nie myślisz jasno po tym, co się stało twojej żonie. Trudno tego oczekiwać. Jak ona się czuje?
- Coraz lepiej - powiedział Barbarotti. - Prawdopodobnie wyjdzie z tego bez szwanku, choć to musi potrwać.
- Warta jest chyba tego, by na nią poczekać - odparł Asunander. - Ale co o sprawie Germunda Grootha powie inspektor Backman?
- Czytałeś moje streszczenie?
- Czytałem. Dzisiaj w nocy. Dobrze napisane, tylko brakuje jednego szczegółu.
Eva Backman skinęła głową. Sprawozdanie napisała w sobotę przed południem i wysłała mu mailem, ponieważ tego zażądał. O rozmowie z Marianne nie było w nim ani słowa i po namyśle stwierdziła, że to nawet dobrze. Była pewna, że Barbarotti jest tego samego zdania. Ale to nie o ten szczegół dopominał się komisarz.
- Jakiego szczegółu? - zapytała.
Asunander odchylił się na krześle i przez chwilę wyglądał na zadowolonego. Lubi wygłaszać takie kwestie, pomyślała.

Lubi zbijać ludzi z pantałyku. Dziecinne. Poza tym wcale nie chce poznać mojego zdania o sprawie. To on ma zamiar podzielić się z nami swoim.
- Czy została popełniona zbrodnia, czy też nie - powiedział, akcentując w zasadzie każdą sylabę. - To jest to maleńkie pytanie, na które musimy spróbować odpowiedzieć. To dlatego was wezwałem. Z raportu nie wynika, czy Germundowi Groothowi ktoś w ogóle pomógł spaść. Nie powinniśmy marnować środków na badanie wypadków i samobójstw, podatnicy tego nie lubią.
- Nie wiemy - powiedziała Backman. - Na razie nie da się tego rozstrzygnąć.
- Dziękuję, zauważyłem - odparł Asunander. - Po dwóch tygodniach intensywnego śledztwa nadal nie wiemy, czy został zamordowany, czy nie. Zdradzę wam, że ten palant Månsson był jeszcze bardziej spalanciały po naszym czwartkowym spotkaniu.
Eva Backman westchnęła i spojrzała na Barbarottiego. Barbarotti westchnął i spojrzał przez okno.
- No więc - podjął Asunander - musimy się zdecydować. Pracujemy nad tym dalej czy nie?
- Może mógłby szef coś nam podsunąć? - zaproponował Barbarotti.
- Całe szczęście, że mój ironiczny radar jeszcze się nie obudził - powiedział Asunander i pogroził palcem. - Ale może zauważyliście, że nie poleciłem wam odłożyć Grootha ***ad acta.*** Zapoznałem się z segregatorami Sandlina z 1975 roku i cały czas miałem was na oku. To jest... to jest rzeczywiście piekielnie dziwna historia. Drażni mnie.
- Witaj w klubie - odezwała się Backman.
- Jedna z najdziwniejszych od dawna - powiedział Barbarotti.
Asunander odchrząknął.
- Posłuchajcie, siedem osób idzie do lasu. Jedna z nich

ginie. Trzydzieści pięć lat później ginie jeszcze jedna w tym samym miejscu. Czy któreś z was rozwiązuje sudoku?
- Sudoku? - zapytała Backman. - Ja w każdym razie nie.
- Kilka razy spróbowałem, kiedy to było nowe - powiedział Barbarotti. - Ale jakoś mnie nie wciągnęło.
- Mnie za to tak - rzekł Asunander. - Ale w głębi serca jestem właściwie matematykiem, więc nie jest to takie dziwne. Rozwiązuję dwadzieścia tygodniowo. Oczywiście tylko te najtrudniejsze. No i czasem zdarza się, że pojawia się problem, który jest nie do rozwiązania, lub raczej, który ma dwa lub więcej rozwiązań. Jeśli układający dał plamę. Sprawa Grootha przypomina takie źle ułożone sudoku.
- Ale przecież nie może być dwóch rozwiązań - odparł Barbarotti. - Albo został zamordowany, albo...
- I to właśnie jest różnica - przerwał Asunander. - Musimy zadowolić się jednym rozwiązaniem. Czasem jednak, rozwiązując sudoku, trafiamy na sytuację, kiedy musimy zrobić krok w ciemno. Podjąć decyzję, kiedy właściwie nie da się tego zrobić. Nie mając do tego podstaw, bo inaczej nie posuniemy się do przodu. Czy inspektorzy rozumieją, o czym mówię?
- Prawie na trzydzieści procent - powiedział Gunnar Barbarotti. - Ale kroki w ciemno to moja specjalność.
Asunander znów podniósł palec i powoli go opuścił.
- A więc jak się wam zdaje? - podsumował. - Tylko to chcę wiedzieć. Zabito go czy nie? Zastanówcie się, zanim odpowiecie.
Na kilka sekund zapadła cisza. Asunander zdjął krawat.
- Tak - odparła Eva Backman. - Ja uważam, że tak. Choć nie mam nic na poparcie.
- Zgadzam się - powiedział Barbarotti. - Został zamordowany. Krok na oślep i na bosaka.
- Dobrze więc - powiedział Asunander. - Ja też tak myślę. Inaczej nie siedziałbym tu i nie trwoniłbym chwil młodości.

A Maria Winckier?
Minęło kilka kolejnych sekund ciszy. Asunander schował krawat do prawej górnej szuflady biurka.
- Nie można po prostu odpowiedzieć tak czy nie, nie wyobrażając sobie jednocześnie jakiegoś scenariusza - powiedziała Backman. - To byłoby bez sensu. Przynajmniej w zwyczajnych przypadkach tak właśnie jest. Problem polega jednak na tym, iż myślę, że również Maria Winclder została zamordowana, ale scenariusza ani śladu.
- A ty? - Asunander wskazał długopisem Barbarottiego.
- Nie bez pewnych zastrzeżeń - odparł Barbarotti.
- Zastrzegam sobie prawo do ich nieprzyjęcia - powiedział Asunander. - Uważasz, że ktoś ją zepchnął, czy nie?
Barbarotti się zastanowił.
- Tak uważam - powiedział.
- To dobrze - odparł Asunander. - Ja też tak sądzę. Ale kiedy doszedłem do tego wniosku, była druga w nocy.
Nie bez pomocy kilku grogów, pomyślała Eva Backman. Tak też sądziłam. Komisarz zrobił przerwę i wygrzebał jakiś papier ze stosu na biurku. Przyglądał się mu przez chwilę. Backman dostrzegła tylko, że wyglądał on jak kartka z notatnika po wyjątkowo chaotycznym wykładzie.
- Moje ostatnie pytanie - powiedział. - Jeden czy dwóch morderców?
Backman spojrzała na Barbarottiego. Barbarotti spojrzał na Backman.
- Jeden - powiedziała Backman.
- Jeden - powiedział Barbarotti.
- Zgadza się - rzekł Asunander. - Jeśli się zsumuje wasze odpowiedzi.
- Jest coraz dziwniejszy - powiedziała piętnaście minut później, kiedy siedzieli w stołówce. - Zgodzisz się chyba?
- Tak - odparł Barbarotti. - Może to i dobrze, że zostały mu tylko dwa lata. Ale w każdym razie ma nosa. Pal sześć jego

zachowanie.
- Rozwiązał sprawę Mousterlin - przypomniała sobie Backman. - Wiesz, jak na to wpadł?
- Nie - odparł Barbarotti. - Nigdy nie mówił.
- I całą noc piliście grog?
- Tylko kilka godzin - poprawił Barbarotti. - Ale wczoraj siedział chyba sam. Człowiekowi robi się go nawet trochę żal.
- To prawda - odparła Backman. - Ale co myślisz o tym, co powiedział?
- Ze mamy szukać dwóch morderców? A cholera wie.
- Jeżeli każde z nas znajdzie jednego, sprawa będzie rozwiązana.
- W twoich ustach brzmi to tak prosto - powiedział Barbarotti. - Masz jakiś plan?
- Zamierzam zrobić sobie wycieczkę do Lindås. Proponuję, żebyś...
- Nie musisz nic proponować - rzekł Barbarotti. - Dobrze wiem, co mam robić.

CZĘŚĆ IV

65

- Przyjęcie na plebanii? - zapytał Rickard Berglund. - Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł?
- Dlaczego nie? - odparła Anna. - A od czego mamy plebanię?

Był czwartek na początku sierpnia. Siedzieli w altance na zielonych ogrodowych krzesłach. Trzmiele brzęczały w rezedach. Wyż utrzymywał się od dwóch tygodni, a Rickard właśnie zaczął pisać niedzielne kazanie. Dziesiąty tydzień po Niedzieli Trójcy Świętej. Dary łaski.

- Może i tak. Ale nie proponowałaś tego?
- Oczywiście, że nie. Muszę przecież najpierw porozmawiać z tobą. Ale pojawił się taki koncept i pomyślałam sobie, że mogłoby to być ciekawe. Już dawno się z nimi nie widzieliśmy. A teraz Maria i Germund się tu przeprowadzają.
- Naprawdę tak powiedziała?
- Tak. Zresztą już tu są. Będą uczyć w szkole w mieście. Każde najwyraźniej załatwiło sobie zastępstwo, a Gunilla i Tomas mogą tu dojechać w godzinę. Najwyżej półtorej, mogliby u nas nocować.

Może to nie taki zły pomysł, stwierdził Tomas. Może już najwyższy czas na ponowne spotkanie? Poza tym dlaczego miałby stawać okoniem, jeśli Anna w końcu powitała coś z odrobiną entuzjazmu.

- Okej - powiedział. - Możemy się nad tym zastanowić.

Siedem miesięcy Już ponad pół roku mieszkali na plebanii w Rödåkra, a wciąż zdarzało się, że kiedy budził się rano, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Kiedy w polu widzenia miał ręcznie malowane XIX-wieczne tapety. Szczeb- linowe okno i krzaki bzu.Była to idylla jak z bajki. Albo ze starego szwedzkiego filmu. Główny budynek wzniesiono pod koniec XVIII wieku; z bali, dwa skrzydła w

tym samym stylu dobudowano pół wieku później. Po drugiej stronie drogi był dom parafialny.
W jednym skrzydle miał pracownię, drugie zostało urządzone dla gości, ponieważ w samym domu znajdowały się tylko cztery pokoje. Obszerne; wystarczały aż nadto. Rickard pamiętał, że jeszcze kiedy byli w Uppsali, wyobrażał sobie, jak ich dzieci tu dorastają, dwójka bez trudu zmieściłaby się pod grubymi, bielonymi belkami stropu. Nie mówiąc już o ogrodzie, w którym teraz siedzieli i w którym dziesięcioro dzieci mogłoby biegać i się bawić; kończył się mulastą rzeczką i był hojnie obsadzony starymi sękatymi drzewami owocowymi, krzakami malin, porzeczek i agrestu. Nie raz rozmawiali o dzieciach, ostrożnie dobierając słowa, ale w Annie nadal było coś, co sprawiało, że się wahała. Nie wiedział, co to taldego, i może to właśnie ta mała łyżeczka dziegciu sprawiała, że czasem nie mógł spać w nocy.
Dlaczego nigdy nie była do końca zadowolona? To było powracające pytanie. Czego jej brakowało? Czy było to coś w nim samym? Czy może chodziło o stare rozróżnienie między szczęściem a sensem? Może inaczej: czy Anna była tak zajęta szukaniem sensu, że nie potrafiła odczuwać szczęścia? Czy miało to związek z jej dzieciństwem? Z melancholijnymi rodzicami i skwaszonymi braćmi z Salabacke?
Nie rozmawiali o tym i nigdy nie poznał odpowiedzi na te pytania, czy raczej znajdował różne możliwe wyjaśnienia, które po chwili odrzucał. I nawet jeśli rzadko, lub wręcz nigdy, nie niepokoił jej swoimi rozważaniami, widziała przecież, że jednocześnie przez to cierpi. Oczywiście rozumiała sytuację, przynajmniej gdy chodziło o posiadanie dzieci.
- Od czego mamy plebanię? - powiedziała.
Rickard uważał, że lepsze pytanie brzmi: po co im ona, jeśli nie mają dzieci?
A kiedy widziała, że jest smutny, sama również smutniała. Bywało, że mówiła: Daj mi czas, Rickard, jeszcze trochę

czasu, nie rozmawiajmy o tym teraz.
Zawsze było to jakieś porozumienie.
Z roli pastora dobrze się wywiązywał. Mimo że jego poprzednik był na stanowisku trzydzieści lat, Rickard szybko doszedł do wniosku, że nie był zbytnio popularny ani wśród starszych, ani wśród młodszych parafian. Proboszcz Tómlin w swoich kazaniach za bardzo straszył ogniem piekielnym, zwłaszcza w jesieni życia, kiedy problemy gastryczne dręczyły go dzień i noc. Kościelny Holmgren już w pierwszych tygodniach lutego przekazał Rickardowi wszystko, co ten powinien wiedzieć. Tómlin umarł w sierpniu, licząc sześćdziesiąt pięć lat i ważąc dwa razy tyle kilogramów; pastorzy z okolicznych parafii zjawiali się jesienią i doglądali stada.
Holmgren tak się właśnie wyraził. Doglądali stada. Co było lekką przesadą, biorąc pod uwagę liczbę wiernych obecnych zazwyczaj na sumie.
Tak czy inaczej, miody pastor z żoną byli mile widziani, nie tylko przez kościelnego. Nawet panna Bengtsson i pani Lavander, które prowadziły księgi parafialne i zajmowały się innymi sprawami w kancelarii, wyraziły uznanie. Już od samego początku. Powiedziały, że czują ulgę, i zaśmiały się z tego sformułowania.
- Chcesz przepisać na czysto swoje kazania? - zapytała Anna i odgoniła trzmiela.
- Tak, chyba już na to czas.
Wyjęła maszynę do pisania, uznał, że udokumentowana miała zostać jej niedawna wycieczka na stare cmentarzyska na Tjörn i Orust. Wróciła wczoraj wieczorem, po trzydniowej nieobecności.
- Nie będzie ci przeszkadzało stukanie?
- Nie, pewnie, że nie - odpowiedział.
Pomyślał, że ją kocha. Dzisiaj miała jeden z tych dni, kiedy była łagodna i zadowolona, może wieczorem będą się kochać.

Zawstydził się tej myśli. Mamy tu jak w raju, pomyślał, pastor i pastorowa. On dłubie przy kazaniu, ona pisze artykuł dla „Svenska Kyrkans Tidning". A pastor myśli o bzykaniu.
Choć nie było to takie straszne. Potrafił się z tego śmiać w duchu i zakładał, że Bóg również to potrafi. Pożądać własnej żony to nie grzech. A jeżeli na plebanii w Rödåkra któregoś dnia miały pojawić się dzieci, to nie było innego sposobu.
Stało się to, czego pragnął. Po wszystkim leżeli w przestronnym podwójnym łóżku i czuli, jak ciepłe nocne powietrze napływa do sypialni. Wyż naprawdę długo się utrzymywał, sierpniowe noce zwykle nie były tak ciepłe.
- Co o nich myślisz? - zapytał.
- O kim?
- O Marii i Germundzie. O Tomasie i Gunilli. Jak im się wiedzie?
Milczała przez chwilę.
- Myślisz czasem o nich? - zapytała. -1 o tym, co się stało?
- Od czasu do czasu - odpowiedział. - Czegoś takiego się nie zapomina i przecież naprawdę spędzaliśmy z nimi sporo czasu. Tomas był pierwszą osobą, jaką poznałem w Uppsali. To dziwne, że tak się od siebie oddaliliśmy.
Anna skinęła głową.
- Może i tak - powiedziała. - Ale tak już jest. Martwiła się trochę o Marię.
- Gunilla?
-Tak.
- Dlaczego?
- Maria dzwoniła do niej kilka razy i dziwnie się zachowywała. Gunilla tak mówiła.
- Dziwnie?
-Tak.
- W jakim sensie?
- Nie wiem. Nie rozmawiałyśmy o tym zbyt wiele. Maria

dość długo była w Hiszpanii. Chyba dopiero w maju wróciła do domu.
- Nigdy nie było łatwo ją zrozumieć.
- Nie, ale teraz najwyraźniej jest jeszcze trudniej.
- Germund też był w Hiszpanii?
Anna odwróciła się i zgasiła lampę.
- Chyba tak. Spijmy już. Jutro możemy pogadać o przyjęciu.
Czasem brakowało mu Uppsali. Teraz, kiedy nie mógł zasnąć, również zaczął za nią tęsknić. Może nie za samym miastem i czasem, kiedy spotykali się z czwórką przyjaciół, którzy zresztą może odwiedzą ich na plebanii, nie, to za tą drugą ekipą tęsknił. Rufusem, Mattim i Sivertem. Zadymionym kątem w cukierni Ofvendahl i niekończącymi się dyskusjami o wierze, sensie i etyce. O dylematach życiowych w ogóle. Matti Kolmikoski i Rufus Svensson przyjęli święcenia w tym samym czasie co on, a Sivert Grahn zdecydował, że najpierw popracuje jako misjonarz. Rickard dostał kilka listów z Ugandy i Tanzanii, to naprawdę był inny świat niż parafia Rödåkra-Hemleby. Pomyślał jednak, że w jakiś sposób jest to typowe dla Siverta. Nie uznawał żadnych kompromisów, podążał za wewnętrznym głosem, a jeśli ten głos mówił mu, że ma pojechać do Afryki, Sivert to robił. Rickard mimo woli nie mógł wyjść z podziwu.
Dyskusje o wierze i słowie po jego wyjeździe z Uppsali ograniczyły się do trzydniowego spotkania diecezjalnego w Härlandzie, ale i ono nie na wiele się zdało. Omawiano na nim wiele praktycznych spraw związanych z posługą kapłańską, on zaś był najmłodszym i najbardziej niedoświadczonym uczestnikiem. Nie, o wierze chrześcijańskiej w jakimś głębszym sensie nie było wówczas mowy.
Kościelny Holmgren był, co prawda, gadułą, ale z nim było podobnie - rzadko kiedy rozważał kwestie duchowe. Żeby nie powiedzieć nigdy.

Rickard myślał jednak, że na dłuższą metę nie to było ważne. Nie rozmowy z innymi o Bogu. Najważniejsza ze wszystkiego była oczywiście własna z Nim rozmowa.
Co nie zawsze było pozbawione pewnych mankamentów.
Mam dwadzieścia sześć lat, pomyślał nagle. Czy za trzydzieści lat nadal będę pastorem w tej parafii? Jak wtedy będzie wyglądało życie? W roku 2005. Jakie myśli będą krążyły mi po głowie, kiedy będę miał pięćdziesiąt sześć lat? Albo sześćdziesiąt? Jak będzie wyglądał świat? Ile będziemy mieli dzieci? Wnuków? Czy znajdę sens?
Sens? Dary łaski? Westchnął. Przewrócił się na bok i pomyślał, że rzeczywiście ciekawie byłoby się znów spotkać ze starymi przyjaciółmi. Tomasem i Guniłlą, Marią i Germundem. Jesteśmy teraz dojrzałymi ludźmi, pomyślał. Dorosłymi.
Ponowne spotkanie w parafii Rödåkra. Może któregoś dnia września. Zobaczyć, co z nich wyrosło.
Dlaczego nie?

66

Wróbel. Zanim zaczęłam studiować w Uppsali, naprawdę myślałam, że po francusku to jest ***le piaf.*** Albo ***la piaf.*** Ale, jak już mówiłam, tak nie jest.
Mamy kanikułę i rok 1975. We wszystkich znanych językach. Hiszpania - Uppsala - Kymlinge; tak się prezentuje trasa, którą przebyłam w ciągu ostatnich miesięcy. Przyjechaliśmy tu z Germundem tydzień temu, za cztery dni zaczyna się semestr zimowy. Trochę to dziwne, bez dwóch zdań, ale po powrocie w maju zdecydowaliśmy się wziąć rozbrat z życiem akademickim, a Germund powiedział, że co jak co, cholera, ale nauczycieli zawsze potrzeba.
I w ten sposób znalazł dwie posady w tej samej szkole, to było w połowie czerwca. Zadzwonił do dyrektora i uzyskał wstępną obietnicę. Urzeczywistniła się tydzień później;

tłumaczyli, że nie chcą zatrudniać wykwalifikowanych nauczycieli, ponieważ wtedy nigdy nie mogliby ich zwolnić. Jeżeli oczywiście dobrze zrozumiałam Germunda, a on dyrektora. Facet nazywa się zresztą Flemingsson, ma prawie dwa metry wzrostu i był zawodowym koszykarzem. Kiedy spotkałam go kilka dni temu, spodobał mi się, a że ja mu się spodobałam, nie ulega wątpliwości.

Myślę więc, że jestem na dobrej drodze. Znów radzę sobie wśród ludzi, przynajmniej na tyle, na ile potrafiłam wcześniej. Choć najważniejsze, że radzę sobie ze sobą.

Jestem Wróbel, spadlam i nad moim upadkiem nie czuwała żadna opatrzność. Ale się podniosłam.

Nie boję się nastolatków, ani trochę, nauczę ich angielskiego i francuskiego równie dobrze, jak ktokolwiek inny. Flemingsson zapytał, czy przypadkiem nie mówię też po hiszpańsku, bo z czasem można by stworzyć małą grupę próbną, cokolwiek to znaczy. Powiedziałam, że nie ma problemu. Niemos problemos. Świetnie, powiedział Flemingsson.

To ona jest świetna, powiedział Germund. A dla mnie co pan ma?

Będzie uczył matmy i fizyki oczywiście. Trochę trudno mi go sobie wyobrazić na katedrze, choć z drugiej strony mówi, że jemu trudno sobie wyobrazić mnie. Więc chyba mamy podobny punkt wyjścia.

Z drugiej strony to żadna sztuka, mówi Germund. Przypomnij sobie jakiegoś dobrego nauczyciela, którego miałaś, i zachowuj się mniej więcej tak samo. Nie ma sensu utrudniać sobie życia.

Całe szczęście, że przyjechał do Hiszpanii. Myślę, że trafiłabym do czubków, gdybym dalej była sama. Tamten bar, ta dziwna dziewczynka i ta wielka samotność, nie, to nie mogło się dobrze skończyć. Wyjechaliśmy z Torremołinos już po tygodniu, znaleźliśmy dwa pokoje w Maladze, na starym mieście, tuż obok katedry, i mieszkaliśmy tam aż do

powrotu pod koniec maja. Mieszkanie wynajmowaliśmy od starej wdowy po toreadorze, przynajmniej tak o sobie mówiła, nie wiem, może wszystkie andaluzyjskie wdowy tak mówią.
Germund miał dość pieniędzy, więc żadne z nas nie musiało pracować. Przestałam palić haszysz. Zaczęliśmy wychodzić na długie spacery po starych żydowskich i mauretańskich dzielnicach, dookoła twierdzy i brzegiem morza i nagle było to zupełnie inne morze. Nie takie jak w Mamai i inne niż zimą w Torremolinos i Fuengiroli; różnica wynikała oczywiście z obecności Germunda i powiedziałam mu to. Jesteś dla mnie cholernie ważnym życiowo organem. Bez ciebie nie mogę dalej istnieć.
Nie było to wcale żadne wyznanie miłosne, tylko stwierdzenie, a on to załapał.
- Mnie też trudno oddychać, kiedy cię nie ma - powiedział.
To również na plaży po raz pierwszy udało nam się kochać. Z pełną świadomością zamieniam słowo „pieprzyć" na „kochać", bo tym razem chodziło o coś innego. Była noc, świecił księżyc, a kiedy mam ochotę, nadal potrafię przywołać szum tamtych fal.
- To o czystej matematyce i fizycznej miłości - powiedziałam później. - Nadal w to wierzysz?
- Może jest jeszcze coś trzeciego - odparł Germund.
- Piękno? - zapytałam.
- Coś czwartego.
Poza tym spotkaliśmy się z moimi rodzicami, po raz pierwszy. W ich domu w Fuengiroli. Mama ugotowała ogromną paellę, na wszelki wypadek zaprosiła też sąsiadów. Siedzieliśmy na tarasie na dachu i wszystko przebiegło bez intermezzo. Wiem jednak, że przynajmniej tata poczuł ulgę, kiedy wyjechaliśmy. On trochę się mnie boi, a ja na to pozwalam. To po części jego wina, że spadłam z huśtawki, kiedy miałam osiem lat, i sama moja obecność wystarczająco mu

o tym przypomina. Mama chyba też, od czasu do czasu. Przypomina mu.
Teraz jednak jesteśmy w Kymlinge. Okazuje się, że niedaleko mieszkają Rickard i Anna, na plebanii, jakieś dziesięć kilometrów za miastem. Wczoraj zadzwonił Rickard i nas zaprosił. Choć najwcześniej za miesiąc. Powiedział, że chce najpierw uzgodnić datę. Może chce się wymigać od kazania w którąś niedzielę. Nie wiem. Wspominał o grzybobraniu. Tomas i Gunilla też mają być, przyjadą pewnie samochodem z Góteborga. Czułam instynktowną niechęć do tego przedsięwzięcia i kiedy powiedziałam o tym Germundowi, czuł to samo.
- Na cholerę to wszystko? - zapytał.
Ja też się zastanawiam, ten czas już minął.
Chociaż z drugiej strony, co nam szkodzi. Oboje stwierdziliśmy to po chwili. Instynktowna niechęć zaczęła po nas spływać jak woda po kaczce, a godzinę później uzgodniliśmy, że pojedziemy. Kolację na plebanii, podlaną dobrym winem, chyba jakoś zniesiemy?
Siedzę na naszym balkoniku i patrzę na rzekę przepływającą zaledwie trzydzieści metrów od mieszkania, które wynajmujemy. Udało im się ją ochrzcić mianem rzeki Kymlinge. Jak na to wpadli? Czekam na Germunda, poszedł kupić farbę. Postanowiliśmy pomalować łazienkę na żółto.
W ogóle już nie myślę o Bernardzie Grimaux.
I o Gunilli, co na to poradzę?

67

Eva Backman opuściła willę w Lindås, przejechała pięćset metrów i zatrzymała się na parkingu. Wyłączyła silnik i zaczęła się zastanawiać. Dwóch morderców? - pomyślała. Sudoku?
Cholera wie. Komisarzu Asunander, dziwny z ciebie facet.
Właściwie to chciałaby się zobaczyć z Tomasem Win-

cklerem, ale nie było go w domu. Zastanawiała się, ile czasu spędzał tak naprawdę w kosztownej willi przy Hägervägen, wydawało się, że przeważnie go tam nie ma. Choć z drugiej strony, był poniedziałek, zwykły dzień roboczy. Tego biura podróży pewnie trzeba co jakiś czas doglądać.
Poza tym chciała przyjść bez zapowiedzi. Ponieważ miała po drodze i chciała wyjaśnić pewien szczegół.
Tak powiedziała pani Winckler-Rysth, ale ciekawsze byłoby móc powiedzieć to mężowi. Zdecydowanie ciekawsze.
Popatrzyła na zegarek. Było wpół do trzeciej. Dzieci nie czekały na obiad, ponieważ był to tydzień Villego. Żadnego umówionego spotkania w restauracji z nowym interesującym mężczyzną. Żadnych zobowiązań.
Wyjęła mapę ze schowka na rękawiczki. Ile jedzie się do Strömstad?
Gunnar Barbarotti nacisnął dzwonek i czekał.
Żadnej reakcji.
Spróbował znowu. Zrobił cztery kroki do tyłu i spróbował zajrzeć przez kuchenne okno. Żaluzje były jednak na wpół przymknięte i widział tylko wąskie prześwity, które niczego nie przypominały W środku najwyraźniej nie paliło się światło, tyle był w stanie zobaczyć. Tak samo w dużym pokoju; pamiętał, że mieści się na lewo od drzwi. Tam siedzieli zeszłym razem. A właściwie i przy pierwszej, i przy drugiej wizycie.
Gdyby był w domu, zapaliłby jakieś światło, uznał Barbarotti. W powietrzu wisiał deszcz, a zmierzch zapadający nad Kymlinge przybrał barwę przejrzałej śliwki, choć była dopiero piąta.
Chyba nie siedzi po ciemku, tylko dlatego, że nie chce przyjmować gości. A może?
To była trzecia próba. Dzwonił już do drzwi o pierwszej i o trzeciej. Sprawdził też w zakładzie pogrzebowym
Linderholma, ale Linderholm wyjaśnił, że nie widział Berg-

lunda od czasu pogrzebu.
Barbarotti wzruszył ramionami i wrócił do samochodu. Zajmę się tym jutro, pomyślał. On nie wyjedzie z kraju.
- Chciałabym z tobą porozmawiać.
Siedział w kuchni i przeglądał brulion z przepisami. Byl w domu dopiero od pięciu minut. Jenny stała w drzwiach do dużego pokoju, słyszał w jej głosie, że się przygotowała do tej rozmowy. Ze coś ją gryzło. Jenny bez wątpienia była najspokojniejszym z dzieci. Tą, która zawsze najpierw myślała, a później mówiła. Miała szesnaście lat, chodziła do pierwszej klasy liceum, linia nauk społecznych, profil językowy, co oznaczało, że językami wykładowymi niektórych przedmiotów były angielski i francuski. Barbarotti próbował sobie wyobrazić, jak to jest uczyć się matematyki po francusku, ale nie znajdował lepszego porównania niż takie, że to jak zostać wessanym w czarną dziurę.
Podziwiał ją jednak za to. Oczywiście. Poza tym bardzo przypominała Marianne, tak w wyglądzie, jak i w sposobie bycia. Było to nie mniej godne podziwu.
- Oczywiście - powiedział. - Siadaj.
Wyciągnęła krzesło i usiadła naprzeciwko niego. Zawahała się i wbiła spojrzenie w stół.
- Myślałaś o mamie? - zapytał Barbarotti.
- Tak - odparła Jenny. - Myślałam o mamie.
- Tak jak my wszyscy - rzekł Barbarotti. - Od samego początku. Ale wszystko będzie dobrze.
Jenny kiwnęła głową.
- Tak. Wszyscy tak mówią. Ale co, jeśli to się powtórzy?
Barbarotti przełknął ślinę.
- Nic nie wskazuje na to, żeby się miało powtórzyć.
- Wiem, że tak mówią. - Rzuciła mu szybkie spojrzenie, jakby szukała porozumienia. Porozumienia oznaczającego, że oboje wiedzą, o co chodzi. Że takie rzeczy ludzie mówią,

kiedy chcą kogoś pocieszyć. Lekarze i inne mądre głowy.
- Co chcesz powiedzieć, Jenny?
Wzięła głęboki, niespokojny wdech, zrozumiał, że zbiera jej się na płacz.
- Gdyby umarła, co by się z nami stało?
- Z nami?
- Z Johanem i ze mną.
- Nie rozumiem, co masz na myśli.
Może rozumiał, ale lepiej było, żeby sama ujęła to w słowa.
- Rozmawiałam wczoraj z tatą.
-Aha?
- Powiedział, że jeśli mama umrze, zamieszkamy u niego. Nie...
-Tak?
- Nie pytał, czy chcemy. Po prostu powiedział, że tak będzie.
Barbarotti potrząsnął głową. Miał ustalony pogląd, że były mąż Marianne to kawał drania, ale prawdopodobnie nie była to właściwa chwila na wyrażenie tej opinii.
- Jenny, ona żyje. Twoja mama żyje i będzie jeszcze żyła trzydzieści lat. Pięćdziesiąt!
- No tak, ale gdyby. Chcę to wiedzieć, nie rozumiesz?
Zastanowił się i nagle rzeczywiście zrozumiał, o co pyta.
- Przepraszam, Jenny. Jestem dziś trochę przytępiony. To jest twój dom. Chyba o tym wiesz?
Nie odpowiedziała. Czekała na jakiś dalszy ciąg. Zapewnienie.
- Nie chcesz mieszkać z tatą, prawda?
-Nie.
- Johan też nie chce?
- Nie.
- To ustalone. Chodź tu do mnie.
Wstał i rozłożył ręce. Po krótkim wahaniu przytuliła go.
- Kocham cię, Jenny. Jeśli chcesz, możesz mieszkać w tym

domu, dopóki nie pójdziesz na emeryturę. Obiecuję ci to. Kiedy przyjdzie czas, w ogrodzie możemy usypać rodzinny grób. Może koło kompostownika?
Rozśmieszyło ją to.
- Dziękuję.
- Dlaczego w ogóle wątpiłaś?
Nie odpowiedziała. Oparła głowę na jego piersi i wzięła kilka niespokojnych oddechów. Poczuł, że wzbiera w nim płacz; ten dobry, ale i tak, ugryzł się w policzek i go powstrzymał.
- Ona żyje. Wszyscy żyjemy Musimy nauczyć się być za to wdzięczni. Cenić życie, zamiast bać się śmierci.
- Wiem - powiedziała Jenny. - Ale to nic fajnego, jeśli się nie lubi swojego taty.
- Ja nie mam taty.
- Opowiadałeś o tym.
- Zniknął, zanim się urodziłem. To też nie jest fajne. Ale na niektóre rzeczy nie można nic poradzić.
- Na przykład na to, jakich się ma rodziców?
- Na przykład. I na wiele innych rzeczy. To jednak, co da się poprawić, należy poprawiać. Tak jak sobie kiedyś mówiliśmy. Ale olejmy to teraz. Pomożesz mi w kuchni? Szukam tego przepisu na risotto z grzybami. Co ty na to?
- Okej - powiedziała Jenny, puściła go i wydmuchała nos. - Czyli mama niedługo wraca do domu?
- Za parę dni.
- Cieszę się w każdym razie, że na ciebie trafiła.
Dobry płacz znowu dał o sobie znać, Barbarotti poczuł,
jak ciepło rozchodzi mu się po całym ciele. Czasem człowiek dostaje więcej, niż na to zasłużył, pomyślał. Czy to właśnie jest owa łaska?

Jak się czujesz? - zapytał Tomas. - Wszystko prima sort?
Gunilla kiwnęła głową.
- Wszystko prima sort.
- Na pewno?
Nie mogła nie śmiać się z jego troskliwości.
- Tomas, jestem w czwartym miesiącu i czuję się dobrze. Nie jesteśmy nawet na półmetku. Nie możesz się tak cały czas zachowywać.
Tomas uśmiechnął się i otworzył jej drzwi do samochodu.
- ***Sony,*** tak czy siak, jedziemy teraz do pastora. Jak myślisz?
- Co, jak myślę?
- No, jak to będzie? Tak jak kiedyś?
Zapalił silnik i wyjechał z parkingu. Bębnił palcami o kierownicę.
- Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „kiedyś". Kiedyś na Sibyllegatan czy później?
- Byłoby dobrze, gdyby było tak, jak na początku - powiedział Tomas. - Prawda? W każdym razie dobrze, że możemy przenocować. Nie byłoby za fajnie, gdybyśmy musieli siedzieć przy długiej kolacji, a później jeszcze wracać... Poza tym myślę, że na plebanii miejsca nie zabraknie.
- Mnie też się tak wydaje. To nie Rickard i Anna są problemem. Jeżeli zakładamy, że nie będzie tak jak kiedyś?
Tomas zmarszczył czoło i obrzucił ją spojrzeniem.
- Pijesz do mojej siostrzyczki?
- Piję do twojej siostrzyczki.
- Chyba nie myślisz, że będzie to wywlekała?
- Nigdy nie wiadomo. Przez telefon to zrobiła.
- To było w kwietniu. Wtedy była w dołku.
- W maju też. Po prostu nie rozumiem, o co jej chodziło. Przecież teraz nikt z nas nie może nic poradzić. Boże święty, minęły ponad trzy lata.- Może tylko chciała porozmawiać.

- Próbowałam z nią rozmawiać cały następny rok po tym zdarzeniu. Nie wydobyłam z niej ani słowa.
- Tak czy inaczej, martwisz się tym spotkaniem. Myślisz, że powinniśmy dać sobie spokój?
Gunilla pokręciła głową. Próbowała się zaśmiać, ale sama usłyszała, że zabrzmiało to nieszczerze.
- Jasne jak słońce, że tam pojedziemy - powiedziała. - W końcu się starali. Jak by to wyglądało, gdybyśmy teraz zadzwonili i odwołali?
- Czyli bierzemy byka za rogi?
- Otóż to - potwierdziła Gunilla. - Może będzie bardzo fajnie. Tylko ten mały niepokój... sam rozumiesz.
Tomas westchnął.
- Germund i Maria. Co za przeklęta para. Choć może całe szczęście, że mają się nawzajem.
- Jasne - odparła Gunilla. - Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś, zachowywała się normalnie?
- Jak na nią, to tak. W każdym razie będziemy o czasie. Dlaczego chcieli, żebyśmy byli już o czwartej? Anna tak zarządziła?
- Najwyraźniej mamy zacząć od drinka i gry w podchody.
- W podchody?
- Mnie nie pytaj. Jeśli przetrzymamy wieczór, miło się będzie jutro wybrać na grzyby. Nie ma lepszego sposobu na jesienny wolny dzień.
- Pamiętaj, że szybko się męczysz - powiedział Tomas. - Ciąża może się okazać przydatna.
- Nie urodziłam się wczoraj - powiedziała Gunilla, kładąc mu dłoń na udzie.
Wróbel.
Mam wątpliwości, ale wiedziałam, że tak będzie. Germund zaproponował, żebyśmy przed wyjazdem strzelili sobie po głębszym. Idioto, powiedziałam, nie możemy się tam zjawić i jechać wódką.

Tak czy owak, postanowiliśmy, że wrócimy taksówką, żeby nie siedzieć o suchym pysku. W tamtą stronę poje- dziemy oczywiście autobusem. Wpół do czwartej kursuje żółte podmiejskie cudo. Do przystanku jest od nas kilkaset metrów, Germund sprawdził. Choć nocne autobusy nie jeżdżą, nie w tamtej okolicy.

Zaprosili nas na czwartą. Najpierw chyba mamy wypić po drinku w ogrodzie i zrobić rundkę po okolicy. Dlaczego by nie? To ich zadupie to z pewnością raj jak jasna cholera. Ale się denerwuję. Zwykle mi się to nie zdarza, z Germundem też jest coś nie tak, fakt jest taki, że oboje żałujemy, że przyjęliśmy zaproszenie na ten spektakl. Nie chcę znowu widzieć tych ludzi, a Germund zdecydowanie wolałby zostać w domu i malować ściany, widzę to po nim. Jeszcze połowa roboty przed nim.

Nie przyznaje się do tego jednak.

- Daj spokój - mówi. - Zapraszają przecież też na wino. Możemy napełnić brzuchy i przyjemnie się wstawić, a jutro pojedziemy do lasu. Mówiłem ci już, że jestem arcymistrzem w zbieraniu kurek.

Nie udawaj, wolisz zostać w domu i malować, myślę sobie. A las możemy sobie znaleźć na własną rękę. Nic jednak nie mówię. Myślę, że jeśli człowiek potrafi każdego dnia poradzić sobie z setką nastolatków, potrafi też przeżyć kolację na plebanii z kilkorgiem starych znajomych.

Jest za piętnaście trzecia. Germund mówi, że muszę zacząć się malować, jeśli mamy zdążyć na autobus.

Cholera jasna, przychodzi mi do głowy, powinniśmy chociaż kupić jakiś kwiatek.

Choć z pewnością na plebanii kwiatków jest pełno. Pytam Germunda, czy coś ze sobą bierzemy. On kręci głową, ale po chwili sobie przypomina, że w kredensie mamy nieotwieraną bombonierkę Aladdin.

*

- Pytania - powiedział Rickard. - Sprawdziłaś je?
- Nie - odparła Anna. - To pytania dla kandydatów do konfirmacji. Ale to chyba nie ma aż takiego znaczenia, w końcu to tylko zabawa. Poza tym, oczywiście, nie chcę ich wcześniej oglądać, to byłoby oszustwo.
Rickard wybuchnął śmiechem.
- No dobrze, niech sobie radzą. Ja przeczytałem tylko napis na początku trasy. „Na bożym pastwisku. Dwadzieścia pytań o zwierzęta, przyrodę i życie w wierze". Chyba doleję trochę wódki do kruszonu, przyda się.
- Myślisz, że będą mieli z tym problem?
- Skąd - zapewnił Rickard.
- Pogoda jest ładna, mały spacer z napojem w dłoni nie zaszkodzi. Spodoba im się to. Połechce ich wrodzoną złośliwość.
- Trzy drużyny? - zapyta Rickard.
- Tak jest. Ty i Gunilla to numer jeden. Tomas i Maria - numer dwa, może będą chcieli pogadać jak brat z siostrą. Ja i Germund numer trzy. Przygotowałam długopisy i bloczki. Która godzina?
- Za piętnaście czwarta. Mogą tu być lada chwila. Anno?
- Tak?
- Kocham cię. Dopilnujemy, żeby to był przyjemny wieczór, prawda?
- Oczywiście, ale musimy teraz zrobić zapiekankę ziemniaczaną, żeby nie paprać się z tym, jak przyjdą.
Zastanawiał się, czy nie pocałować jej w szyję, ale się powstrzymał. Wyraźnie nie była w odpowiednim nastroju.
Wzięła się do obierania ziemniaków. Jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem... i tak dalej.

Dzień dobry - powiedział Gunnar Barbarotti. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.
- To zaczyna być tradycją - powiedział Rickard Berglund, otwierając mu drzwi.
- Dziękuję. Znów potrzebowałbym chwili rozmowy. Ma pan czas?
- To jedyne, co mam - odparł Rickard Berglund. - Podejrzewam, że napije się pan kawy?
- Z przyjemnością - powiedział Barbarotti.
- Leje na całego.
- Tak.
Pięć minut później znów siedzieli w fotelach. Berglund miał na sobie te same dżinsy i tę samą koszulkę polo co ostatnio, przynajmniej na to wyglądało. Zamiast migdałowych sucharków zaproponował pierniczki rozłożone na talerzyku.
- Pańska żona jest już pochowana - powiedział Barbarotti.
- Tak - odparł Berglund. - A jak się czuje pańska?
- Coraz lepiej. Pod koniec tygodnia chyba ją wypiszą.
Poczęstował się pierniczkiem i pomyślał, że to nietypowy początek rozmowy.
- Dlaczego tym razem chce pan ze mną rozmawiać? - zapytał Berglund. - Nie mam nic przeciwko temu, ale rozumie pan pewnie, że jestem ciekaw.
- To, co zwykle - stwierdził Barbarotti. - Ta sprawa nam się wymyka. A jednocześnie wydaje nam się, że posunęliśmy się trochę naprzód.
- Naprawdę? - zapytał Berglund zaciekawiony - W jaki sposób, jeśli mogę spytać?
Barbarotti chrząknął i zablefował.- Jesteśmy mianowicie przekonani, że Germund Grooth został zamordowany I że krąg podejrzanych jest nadzwyczaj wąski.
Rickard Berglund splótł dłonie na kolanach i dobrą chwilę przyglądał się mu znad okularów. Wyglądał na równie

odprężonego, jak ktoś, kto zastanawia się, czy kupić „Aftonbladet", czy „Expressen". Czy też zrezygnować z obu tych gazet.
- Co właściwie chciałby pan wiedzieć? - zapytał wreszcie.
- Na początek chciałabym wiedzieć, co dokładnie stało się na tym przyjęciu dzień przed śmiercią Marii Winckler. W szczegółach, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział Barbarotti.
- To było trzydzieści pięć lat temu - powiedział Berglund.
- Wydaje mi się, że pan pamięta - rzekł Barbarotti.
Berglund nie odpowiadał, pochylił się do przodu i z wciąż stojącej tam szachownicy podniósł konia. Przez krótką chwilę ważył go w dłoni, po czym odstawił z powrotem. Barbarotti czekał. Ostatnim razem był to pionek, pomyślał.
W ten sam wtorek, 12 października roku pańskiego 2010, inspektor kryminalna Eva Backman zaspała. Zamiast o szóstej trzydzieści, kiedy to powinien był zadzwonić budzik, i może nawet zadzwonił, obudziła się dwie i pół godziny później. Kiedy zaś zobaczyła, że na wyświetlaczu widnieje godzina 9.01, uznała, że jest sobota albo niedziela, i pospała jeszcze kwadrans.
Stojąc później pod prysznicem, pomyślała, że stało się tak nie bez powodu i że ma elastyczny czas pracy, więc nie ma się czym martwić. Skoro dzień już się tak zaczął, z powodzeniem może trzymać się z daleka od komisariatu przez całe przedpołudnie. Pomyślała, że chciała przesłuchać taśmy z dwóch wczorajszych rozmów i równie dobrze może to zrobić w swoim pięknym salonie przy Grimsgatan, co w swojej znacznie mniej ciekawej służbowej dziupli przy Norra Långgatan.
Zaspała prawdopodobnie dlatego, że ze Strömstad wróciła dopiero po północy i minęły jeszcze dwie godziny, nim udało jej się zasnąć. To drugie również miało swoje przyczyny, a przynajmniej tak sobie wmawiała.

Przygotowała śniadanie złożone z ośmiu pożywnych składników i mniej więcej tej samej liczby niepożywnych, usiadła w fotelu, z którego miała widok na miejski las, i włączyła odtwarzanie. Przewinęła kilka razy tam i z powrotem, zanim znalazła właściwe miejsce.
EB: Czyli w tę sobotę jechali państwo na plebanię w Rödåkra z mieszanymi uczuciami?
GW: Tak, można tak chyba powiedzieć.
EB: Ponieważ pani relacje z Marią Winckier, pani szwagierką, były trochę napięte?
GW: Tak, ale nie wiedziałam, jak to będzie. Od roku nie utrzymywałyśmy zbytnio kontaktu.
EB: Z jakiego powodu?
GW: Słucham?
EB: Nie utrzymywały panie kontaktu.
GW: Nie mogę o tym mówić.
EB: Dlaczego nie?
(Brak odpowiedzi)
EB: Rozumiem więc, że istniał szczególny powód, dla którego pani relacje z Marią Winckier nie były dobre, ale nie chce pani powiedzieć, co to było.
GW: Tak, zgadza się.
EB: A dlaczego nie chce pani tego powiedzieć?
(Długie wahanie)
GW: Zawarliśmy umowę.
EB: Kto? I czego ta umowa dotyczyła?
GW: My wszyscy. Ze nie będziemy o tym mówić. I tak nie miało to nic wspólnego z wypadkiem.
EB: A na jaki temat mieliście milczeć?
GW: Właśnie tego nie mogę powiedzieć.
EB: Ta umowa liczy trzydzieści pięć lat. Dwoje ludzi nie żyje, być może zostali zamordowani. Anny Berglund także już nie ma. Ile osób zawierało umowę?
GW: Pięcioro.

EB: Elisabeth Martinsson nie?
GW: Nie.
EB: Pani, pani mąż i Rickard Berglund. Tylko wasza trójka została, prawda?
GW: Tak.
EB: Wobec tego proszę, żeby zdradziła mi pani, czego dotyczyła umowa. Jeśli pani tego nie zrobi, będę musiała zabrać panią na komisariat w Kymlinge.
Wyłączyła dyktafon. To wtedy Gunilla Winckler-Rysth wybuchnęła płaczem. Płakała niepohamowanie kilka minut, kiedy przestała, powiedziała, co się stało. Albo - co stało się jej zdaniem.
Zbiorowy gwałt.
W Rumunii.
Latem 1972 roku. Sprawcami byli czterej nieznani żołnierze albo jacyś strażnicy, albo policjanci.
Ofiarą była Maria Winckler.
Ale pierwotnie miała nią być Gunilla. Maria zajęła jej miejsce.
Poświęciła się.
Uzyskanie tych informacji zajęło sporo czasu. Kolejne pauzy. Kolejne ataki płaczu. Backman nie wyłączała dyktafonu, ale teraz nie był już potrzebny. Nacisnęła stop.
- Dlaczego? - zapytała. - Co takiego skłoniło Marię do tego, żeby się poświęcić?
Gunilla nie wiedziała.
- Dobrowolnie pozwoliła się zgwałcić czterem żołnierzom?
- Tak. Choć miałam to być ja. Ciągnęłyśmy losy i przegrałam.
- Ciągnęłyście losy?
- Tak, chcieli jedną z nas. To byl warunek.
Nie potrafiła wytłumaczyć czynu Marii. Ani wtedy, ani teraz, po trzydziestu pięciu latach. Po tym wszystkim Maria jednak nie była tą samą osobą. Już wcześniej była dziwna,

ale po tym wszystkim nie sposób jej było zrozumieć. I zachowywała się nieprzyjemnie.
Zdaniem Gunilli Winckler-Rysth.
- Czy tak bardzo, że zepchnęła ją pani do wąwozu Gåsa?
Nie, nie, nie, i więcej łez.
- Myśli pani, że ktoś inny to zrobił?
Nie, nie, nie.
- Czy to dlatego przestaliście się spotykać? - zapytała Backman na koniec. - Po lecie 1972 roku?
- Myślę, że tak.
- A dlaczego zdecydowaliście się o tym nie mówić?
- Ponieważ Maria nigdy nie poruszała tego tematu. My także nie, nigdy o tym nie wspominaliśmy. Poza tym nie miało to nic wspólnego z wypadkiem z 1975 roku. Tylko by niepotrzebnie namieszało. Zgodziliśmy się, że w przyszłości również będziemy na ten temat milczeć. Zrobiło się z tego swoiste tabu.
- Tabu?
-Tak.
- Skąd pani wie, że nie miało to nic wspólnego z wypadkiem?
Na to pytanie Gunilla Winckler-Rysth nie odpowiedziała. Potrząsnęła tylko głową.
Inspektor Backman też to zrobiła dwadzieścia cztery godziny później. Nalała sobie kolejną filiżankę kawy i zmieniła taśmę w dyktafonie.

70

Wypełniło go nagle dziwne uczucie.
Może to Bóg, pomyślał. Poczuł w każdym razie czyjąś obecność.
Coś, co nadało ciężar tej chwili, tej sekundzie. Sześć osób grających w podchody na terenie plebanii w Rödåkra. Wrześniowe popołudnie, błękitne niebo i krystalicznie czy-

ste powietrze. Tak spokojne, że nawet żółte liście osiki nie drżały ani trochę.
- Jak tu pięknie - powiedziała Gunilla.
- Tak - odparł. - Pięknie.
Chodzili, gawędząc. Spokojnie i bez zbędnych emocji. Zastanawiali się nad kolejnymi pytaniami, dyskutowali, śmiali się i stawiali w bloczkach jeden lub dwa krzyżyki. Może ją również wypełnia ta obecność, pomyślał. Sama chwila. Nie wydawało się to w każdym razie trudne ani krępujące chodzić razem z nią po tak długim czasie.
Pamiętał, z jakim podziwem na nią patrzył, kiedy ją poznał. Jak zazdrościł Tomasowi, było to, zanim spotkał Annę. Zanim w ogóle był z dziewczyną. Zaledwie sześć lat temu, czuł, jakby to była wieczność. Czy przez najbliższe sześć lat zmieni się równie dużo? Zastanawiał się. A przez sześć kolejnych? W takim razie w roku 2000 będę już zupełnie innym człowiekiem.
Jeżeli w ogóle tego dożyję. Może za rogiem czyha kolejna wojna światowa? Albo jakaś inna katastrofa. Trudno żądać, by dane nam było cieszyć się pokojem i wolnością kolejne ćwierć wieku.
Chwile i sekundy pod wypływem tych myśli zwiększały swój ciężar i stawały się bardziej rzeczywiste.
- I pomyśleć, że tak sobie mieszkacie - powiedziała Gunilla. - Istna sielanka.
- Tak - odparł Rickard. - Rzeczywiście tak jest. Można tylko mieć nadzieję, że będzie się na tyle mądrym, by to docenić.- Myślę, że jesteście - rzekła Gunilla. - Ty i Anna wiecie, co jest tak naprawdę ważne.
- Tak sądzisz? - zapytał Rickard, a ona skinęła głową.
Przed sobą mieli rodzeństwo, Tomasa i Marię. Szli trochę żwawszym krokiem, wyglądali na pogrążonych w dyskusji, tak jak się można było spodziewać. Dostrzegał ich od czasu do czasu między jałowcami i tarniną. Nie wyglądali, jakby

naprawdę byli w stanie cieszyć się tą chwilą i pobytem tutaj. Wędrowali ścieżką wiodącą przez pagórkowaty teren na południe od plebanii. Liczyła półtora kilometra, jak wynikało z umieszczonej na początku drewnianej tablicy, a pytania dla konfirmantów zawiesiła na początku lata panna Bengtsson. Na bożym pastwisku.
Zwierzęta, przyroda i wiara chrześcijańska. Całe szczęście było więcej pytań o zwierzęta i przyrodę niż o wiarę. Na razie.
Kilkaset metrów za Rickardem i Gunillą szli Germund i Anna. Cieszą się tą chwilą? Czy również ich wypełnia to błogie uczucie, zastanawiał się Rickard. Każde w inny sposób? Z jakiegoś powodu wątpił w to, przynajmniej jeśli chodzi o Germunda. Jednak Anna również nie była zadowolona, dawało się to wyczuć od rana.
Rozmawiając z Gunillą, pozwolił myślom płynąć dalej, jedno w żaden sposób nie przeszkadzało drugiemu.
Jesteśmy sześciorgiem ludzi, którym przypadła chwila na ziemi, stwierdził. Ni mniej, ni więcej. Poznaliśmy się dzięki splotom różnych okoliczności, równie dobrze mogłoby to być sześcioro innych ludzi wędrujących tego wspaniałego, jesiennego dnia.
Ale to akurat my. Tak się składa, że to akurat nasza szóstka, a za sto lat wszyscy będziemy martwi. Musimy... musimy robić jak najlepszy użytek z tej chwili i tego czasu. Zrozumieć, że żyjemy tu i teraz. Takie jesienne dni jak ten są po to, żeby nam o tym przypominać.
Zastanawiał się, czy powinien jakoś do tego nawiązać, kiedy siądą do stołu. Do tego silnego i ciepłego uczucia, które ogarnęło go w czasie gry w podchody. Dać mu wyraz, jak to się mówi. O ile pozostali czuli podobnie, mimo wszystko, albo może trzeba im było o tym przypomnieć.
Może, a może nie. To ważne, by ubierać rzeczy w słowa. Ale nie znajdując odpowiednich słów, łatwo można było

osiągnąć coś przeciwnego. Bełkotliwość w miejsce jasności. Szaleńcy bredzący o boskich sprawach, a tych nie brakowało, robili Bogu złą opinię.
W czasie pierwszych ośmiu miesięcy posługi nauczył się wielu rzeczy, między innymi tego. Zauważył też, że jego myśli utrzymane są w tonie kazania.
- Czwarty miesiąc, tak? - zapytał.
- Czwarty - odparła Gunilla.
- Prawie po tobie nie widać. Ale tym razem wszystko będzie dobrze, wiem to.
- Nie możesz tego wiedzieć - powiedziała Gunilla z lekkim uśmiechem. - Ale ja też to wiem.
Zatrzymali się przed pytaniem numer osiem. Dotyczyło łacińskiej nazwy kwiatu, która żadnemu z nich nic nie mówiła. Przeczytali możliwe odpowiedzi i zgodzili się co do tego, w którym miejscu postawić krzyżyk. Wrotycz pospolity, skąd do licha kandydat do bierzmowania miałby to wiedzieć, zastanawiał się Rickard. Ambicje panny Bengtsson bez wątpienia były duże.
Wznieśli toast na niby, Gunilla ze względu na swój stan piła wersję bezalkoholową. W plastikowym kubeczku Rickarda alkoholu było pod dostatkiem.
- Długo się nie widzieliśmy - powiedział. - Szkoda.
Pokiwała głową i ruszyli ścieżką.
- Pewnie chodzi o Marię.
- Wiesz, jak ona się trzyma?
Gunilla wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Chyba lepiej, ale wygląda na to, że Tomas ma pełne ręce roboty.
Wskazała na pole. Rodzeństwo zatrzymało się, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi, i widać było, że są pochłonięci dyskusją. Tomas gestykulował, Maria stała nieruchomo z rękoma wzdłuż tułowia.
- W każdym razie nie wygląda to na miłość siostry i brata.

Nagle Rickard poczuł, jak delikatny, lecz zimny podmuch wiatru szczypie go w kark. Nie, pomyślał, daruję sobie talde rozmyślania.
Coś jest nie tak, pomyślała Gunilla. Coś więcej niż to, co zwykle.
Właśnie kończyli ciepłe danie. Pieczoną polędwicę wieprzową z sosem rozmarynowym i zapiekankę ziemniaczaną. Dobre, ale nie rzucało na kolana. Reszta towarzystwa była w trakcie trzeciej butelki czerwonego wina, ale ona poprzestała na wodzie. Siedzieli dookoła dużego i starego dębowego stołu. Pomyślała, że Annie i Rickardowi naprawdę się poszczęściło; mieli piękny i przytulny dom, ponad sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych, i nie musieli kupować zbyt wielu mebli. Wymienili tylko te, których już nie chcieli. Nie ulega wątpliwości, że kiedy obejmuje się parafię, w zestawie otrzymuje się całkiem sporo.
- Ale w każdym razie nie musiałeś dochowywać tradycji i żenić się z wdową po poprzednim proboszczu? - zapytała.
- Nie, dzięki Bogu nie - zaśmiał się Rickard.
Świece na stole. Simon and Garfunkel sączący się cicho z głośników wieży stereo, tego w każdym razie w inwentarzu nie było. Siedziała koło Germunda. Maria naprzeciwko, a gospodarze po obu końcach stołu. Tomas mówił. O pożyczkach długo- i krótkoterminowych, o rządzie, o tenisiście, o którym nikt nigdy nie słyszał, ale który zapowiadał się na gwiazdę światowego formatu. Rickard opowiedział trochę o tym, jak to jest być pastorem w wiejskiej parafii. A ona próbowała wtrącić jedno czy dwa zdania o tym, że miło się mieszka w Góteborgu. Pozostałych troje stołow- ników nie mówiło wiele. Choć może zwykle tak było. W dawnych czasach. To, że Tomas gadał jak najęty, nie było w każdym razie niczym nadzwyczajnym; akurat teraz jej to pasowało. Sześć osób przy stole, przy którym nikt nic nie mówi - to byłoby straszne.

Wspierała go więc jak tylko się dało. Opisywała Göteborg. Guldheden. Majorna. Avenyn i Haga.
Żeby tylko nikt nie mówił nic o Rumunii, pomyślała. Wtedy od razu pójdę się położyć.
Nikt jednak o Rumunii nie wspomniał. Ciche porozumienie przetrwało. Zjedli deser, lody z porzeczkami z plebanii, zamrożonymi i posypanymi cukrem. Rickard powiedział, że za rok wszyscy będą mogli zebrać tyle agrestu, porzeczek i malin, ile będą chcieli. Im udało się tylko zebrać ułamek tegorocznych owoców.
Później kawa, trochę ponczu i koniaku. Wstali od stołu i usiedli przy kominku. Germund i Maria wyszli na papierosa, tak samo jak po zjedzeniu ciepłego dania, tylko oni jeszcze palili. Reszta rozmawiała o tym przez chwilę. W Uppsali cała szóstka kopciła, Gunilla pamiętała, jak cuchnęło w mieszkaniu przy Sibyllegatan na drugi dzień.
Pamiętała też, jak latem 1972 pachniało w autobusie, ale powstrzymała się przed wspominaniem tego.
Tomas wciąż mówił. Ona i Rickard również, choć nie aż tak dużo.
I coś było nie tak.
Czy Anna zawsze była taka cicha? A Maria i Germund?
Przyglądała się im ukradkiem, gdy tak siedzieli na wiklinowych krzesłach. Próbowała odgadnąć, o czym każde z nich myśli. Bycie trzeźwym miało wyraźną zaletę; byli trochę nabzdyczeni, ale niezbyt spostrzegawczy. Można było przyglądać się im, a oni tego nie zauważali.
Czy Anna i Rickard się poprztykali? A Maria i Germund? Czy było to zbyt proste wyjaśnienie? Czy Maria naprawdę była zupełnie zdrowa?
Uświadomiła sobie, że się jej boi. I że pięć lat temu też się jej bała. Wiosenne rozmowy przez telefon nie poprawiły sytuacji.

Kiedy zegar wybił wpół do dwunastej, zdecydowała, że już czas. Kiedy się jest w ciąży, trzeba się wysypiać. A jutro wycieczka na grzyby, dosyć ma dzień swojej biedy.
Wróbel.
Taksówka będzie za piętnaście minut, tak obiecała dziewczyna z dyspozytorni. Maksymalnie dwadzieścia. Wiem, ponieważ to ja dzwoniłam.
- Dlaczego ta pieprzona taksówka nie przyjeżdża? - zapytał Germund. - Na pewno podałaś im właściwy adres?
Zapytałam, co go ugryzło.
On zapytał, o co mi chodzi.
Staliśmy przy drodze i tupaliśmy nogami. Staliśmy kawałek od bramy, więc nie było nas widać z plebanii. Było zimno, nie przymrozek, ale niewiele brakowało.
- Moim zdaniem Gunilla mogła nas odwieźć - powiedział Germund. - Przecież nic nie piła.
- Nie sądzę, żeby Gunilli podobało się odwożenie nas, ciebie i mnie - powiedziałam.
- Masz rację - zgodził się Germund.
Kiedy wciąż jeszcze tam czekaliśmy, próbując trochę się rozgrzać, zapytałam raz jeszcze, co go ugryzło i znowu udawał, że nie wie, o co mi chodzi.
- Okej - powiedziałam. - Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to nie.
W końcu przyjechała taksówka. Za kierownicą siedziała młoda kobieta, przeprosiła za spóźnienie. Zabłądziła, to był jej drugi wieczór w pracy.
Germund podał adres i przez całą drogę nie odezwaliśmy się słowem. Zastanawiałam się, czy to ten jego dawny koszmar znów go męczy, dawno nie widziałam go tak ponurego. Nie zachowywał się tak ani w Hiszpanii, ani po powrocie.
Choć ja też uważałam, że wieczór był męczący, trzeba to przyznać. Kiedy gówniany braciszek się rozkręcił, ja przestałam się odzywać, nie pamiętam, żeby wcześniej tak było.

To oznaka słabości, a ja nie lubię być słaba.
- Przepraszam - powiedział Germund, kiedy wróciliśmy do domu. - Po prostu nie mogę z nimi wytrzymać, nie wiem dlaczego.
Powiedziałam, że wszystko w porządku. Zapytałam, czy w takim razie nie powinniśmy zrezygnować z tej wycieczki na grzyby.
Germund potrząsnął głową.
- Co tam, możemy się z nimi wybrać.
- Dlaczego? - zapytałam.
- Zaufaj mi - odparł Germund, a ja mogłam tylko stwierdzić, że nie mam pojęcia, o czym mówi.
Zasnął, a ja wciąż leżę z otwartymi oczyma. Pulsuje we mnie niepokój, nie wiem dlaczego. Wszystko znów wydaje się takie kruche, widzę, że uzależniłam się od Germunda. Kiedy on się gnie, gnę się i ja. To nie powinno tak wyglądać. Kiedy jest się we dwoje, jedno powinno nosić drugie. Można zamieniać się rolami, ale jedno musi zawsze trzymać nos nad powierzchnią wody.
Na tym najlepszym ze światów.
Drogi władco, o ile taki istnieje. Ześlij mi trochę snu. Jutro rano wszystko będzie inaczej.
Wróbel, ***over and out.***

71

- Wydaje mi się, że pan pamięta - powtórzył Barbarotti.
Rickard Berglund nie patrzył na niego. Zamiast tego przyglądał się swoim splecionym dłoniom. Kilka sekund milczenia upłynęło w drodze do wieczności, Barbarotti zaś pomyślał, że to nieme chwile są w rozmowie najbardziej interesujące. Przerwy, w czasie których myśli szukają kierunku, decyzji, czy co to tam jest. Ku swemu zdziwieniu zauważył, że serce bije mu jak szalone.
- Tamto przyjęcie - powiedział w końcu Rickard Berglund. -

Jest tak, jak pan mówi. Pamiętam je i pamiętam, że to był szczęśliwy dzień. Albo może powinienem powiedzieć, że to ja byłem szczęśliwy, wydawało mi się, że w jakiś sposób odczuwam obecność Boga. Nie wiem, czy gdybyśmy nie zorganizowali tego spotkania, wszystko potoczyłoby się inaczej... tak, oczywiście, że tak...
Barbarotti się nie odzywał. To myśli Berglunda szukały kierunku, nie jego własne. Niewłaściwe pytanie w tej sytuacji pewnie zamknęłoby, zamiast otworzyć drzwi. Nie żeby miał jakiś wyraźny obraz tego, do jakiego pokoju wiodły, ale coś się miało wydarzyć, to było jasne. Bardzo wyraźnie czuł owo szczególne wibrowanie w skroniach.
- Faktem jest - ciągnął Berglund, rozplatając dłonie - faktem jest, że już po wszystkim. Niepokój tego świata znika, że zacytuję Wallina. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia. Uważam, że to samo w sobie przykre, nasze małe rozmowy sprawiały mi przyjemność.
- Mnie również - odparł Barbarotti. - Ale nie jestem pewien, czy podjął pan właściwą decyzję.
- Decyzję? - zapytał Berglund.
- Mam silne uczucie, że nie mówi pan wszystkiego. Zobaczyłem to przed chwilą, kiedy przyglądał się pan swoim dłoniom. Wydawało mi się, że się pan modli.
Rickard Berglund popatrzył na niego zdziwiony.
- Nie, nie modliłem się, ale to prawda, że przez ostatnie dni wiele rozmawiałem z Bogiem. Mam na myśli tydzień od czasu, kiedy odeszła. Pan sam jest przecież wierzący, zgadza się? Czy była to tylko poza, którą zdecydował się pan przyjąć, ponieważ akurat rozmawiał pan z osobą stanu duchownego?
- Nie - powiedział Barbarotti i potrząsnął głową. - Nie chodziło o pozę, pan mnie chyba nie docenia.
- Przepraszam - odparł Berglund.
- Czy jednak tylko pan zwraca się do Boga, czy też pozwala

mu pan od czasu do czasu dojść do głosu?
Nagle Rickard Berglund się uśmiechnął.
- Dobre pytanie - stwierdził. - Nietypowe słowa jak na przedstawiciela władzy porządkowej, jak mi się zdaje. Ale pewnie pan nie chce postrzegać w ten sposób samego siebie?
- Często siedzimy na wielu stołkach - odparł Barbarotti.
- No więc?
- No więc co?
- Jak zakończyły się pańskie rozmowy z Bogiem? O ile oczywiście miał okazję zabrać głos.
Berglund nie odpowiedział.
- Zakładam, że człowiek, który był pastorem tak długo jak pan, potrafi rozróżniać głosy - spróbował Barbarotti. - Odróżnić swój własny od boskiego. Trudno mi zaś wyobrazić sobie, żeby namawiał pana do milczenia.
Rickard Berglund jednak właśnie to robił. Milczał. Minęło kilka kolejnych sekund, ich spojrzenia skrzyżowały się na moment i w końcu Barbarotti podjął decyzję. Uznał, że czas cierpliwości minął. Zawsze lubił powolność, ale mimo wszystko były jakieś granice.
- Widzę dwie możliwości - powiedział. - Opowie mi pan wszystko tu i teraz. Jak człowiek. Albo ja przestanę się zachowywać jak człowiek. **I** będę musiał zaciągnąć pana na komisariat i umieścić w pokoju przesłuchań. Przykro mi, ale nie widzę innych rozwiązań. Trzecia możliwość nie istnieje.
Teraz wszystko zaprzepaściłem, pomyślał. Dobrze, że nie zacząłem tego nagrywać, nikt nie będzie musiał słuchać, jak się błaźnię.
Berglund odchrząknął. Barbarotti spojrzał mu w oczy, a Berglund wytrzyma! jego spojrzenie. Z jego oczu nie dało się nic wyczytać, nic poza ogromnym spokojem.
- Mam nadzieję, że wybierze pan pierwszą możliwość - dodał Barbarotti. - Tu i teraz.

Berglund podniósł prawą rękę w geście, który w połowie przerwał. Siedział z dłonią skierowaną w stronę sufitu i z palcami rozcapierzonymi tak, jakby czekał na jakiś dar z niebios. Może zresztą właśnie tak było.
- No dobrze, skoro się pan upiera - powiedział w końcu i opuścił rękę. - Ale może najpierw napijmy się trochę kawy.
- Chętnie - powiedział Gunnar Barbarotti. - Włączę dyktafon.
Ślepa kura, która za chwilę znajdzie ziarno, pomyślał. Była to powracająca i trochę denerwująca myśl, ale może da się to uznać za krok we właściwym kierunku. Samą ślepotę można by kwestionować. Przez lata uzbierało się więcej ziaren niż jedno.
- Zaczął pan od pytania o tamto przyjęcie - powiedział Berglund. - Wtedy nic nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Najmniejszego, wiedzieli tylko ci, których to dotyczyło.
Barbarotti skinął głową. Zastanawiał się, kim są „ci", ale postanowił trzymać język za zębami.
- To zajęło trzydzieści pięć lat. Może pan sobie to wyobrazić? Powiedziała to dopiero po trzydziestu pięciu latach. Ze można żyć tak długo, nie mając o niczym pojęcia. I że można tak długo żyć w kłamstwie. Trzeba jednak mieć na uwadze, że jej cierpienie było większe niż moje. Jeśli mężczyzna i kobieta są razem przez całe życie, z czasem przychodzi swego rodzaju równowaga. Niezależnie od punktów wyjścia. Komuś z zewnątrz być może trudno to zrozumieć, ale w środku widać, że tak rzeczywiście jest. Człowiek to rozumie.
Ucichł i poszukał we wzroku Barbarottiego potwierdzenia. Barbarotti zastanawiał się, czy taka teoria równowagi naprawdę ma jakiś sens. Nie przyszła mu do głowy żadna odpowiedź, więc tylko jeszcze raz kiwnął głową.
- W pewnym sensie była wdzięczna za chorobę - ciągnął

Berglund. - Przyjęła ją jako zasłużoną karę. Nasze życie było zmarnowane, ona była temu winna, rak zaś był karą... tak, mniej więcej w ten sposób na to patrzyła. Ja sam widziałem to oczywiście nieco inaczej. Ale jej obraz mieścił się w moim, że tak powiem. Dopiero w obliczu śmierci naprawdę się do siebie zbliżyliśmy, nie tak ma oczywiście być, ale w naszym przypadku tak się właśnie stało i mimo wszystko jest to jakieś pocieszenie.
- Myślę, że powinien pan opowiedzieć od początku - poprosił Barbarotti.
- Przepraszam - odparł Rickard Berglund. - Wyprzedzam fakty.
- Czasu mamy pod dostatkiem - powiedział Barbarotti i sprawdził, czy taśma w dyktafonie się przesuwa.
Rickard Berglund zastanawiał się przez chwilę, próbując znaleźć właściwy początek.
- Było w nim coś demonicznego - powiedział w końcu i odchylił się na krześle. - Tak, tak właśnie bym to określił. Demonicznego.
- W kim? - zapytał Barbarotti.
- W Germundzie Groocie - odparł Berglund. - To Germund Grooth był sednem tego wszystkiego, ale o tym chyba nie muszę panu mówić.
- Przeciwnie - rzekła Barbarotti. - Chętnie posłucham.
- Oczywiście. Przepraszam.
Berglund kaszlnął kilka razy, zasłaniając ręką usta, i zaczął mówić.
- Nigdy nie potrafiłem go zrozumieć, a w ostatnich latach, w tym ostatnim czasie naprawdę próbowałem. Wiem, że Ekelöf pisze, że „to, co głębokie w tobie, jest również głębokie w innych”*,

**Gunnar Ekelöf, Wierzę w samotnego człowieka, tłum. Zdzisław Wawrzyniak (przyp. Tłum.).*

ale u Grootha nie było o czymś takim mowy Po prostu on jest... był... diametralnie różny.
Westchnął i milczał przez chwilę. Barbarotti czekał.
- Nie jest miło być starym i czuć, że twoje życie było kompletnie spieprzone - stwierdził Berglund, a w jego głosie pojawiła się nagle nuta wściekłości. Było to jednocześnie pierwsze przekleństwo, jakie wyszło z jego ust. Nie uszło to uwadze Barbarottiego.
- Człowiek buduje i buduje - ciągnął. - Latami dokłada po gałązce do swojego gniazda i myśli, że w czasie tej podróży czegoś się uczy... że właśnie osiąga ową równowagę. Przynajmniej to chcemy sobie wmawiać, prawda?
- Dobrze, jeżeli podróż wiedzie naprzód - rzekł Barbarotti.
- Otóż to. Jednak w moim przypadku tak nie było. Byłem głosicielem Słowa Bożego, a zrezygnowałem z powołania, nie mam żadnych dzieci, a przez cały czas trwania małżeństwa moja żona kochała innego. Można zadać sobie pytanie, po co to wszystko.
- Kochała Germunda Grootha?
- Germunda Grootha - odparł Berglund i przeciągnął dłonią po ustach i brodzie. - Mieli romans przez dwadzieścia pięć lat. Więcej niż dwadzieścia pięć lat. Od dnia...
Załamał mu się głos. Potrząsnął głową i wziął głęboki, niespokojny oddech. Barbarottiemu przemknęło przez myśl, że może będzie świadkiem załamania, ale tak się nie stało. Berglund musiał zrobić przerwę przed tym, co go czekało, ale się trzymał. Był opanowany, a to, co miał do powiedzenia, ułożył sobie już wcześniej.
- Od dnia, w którym razem zamieszkaliśmy... Wyobraża sobie pan taki melodramat? Germund pomagał przy przeprowadzce i zdążył odbyć z nią stosunek, kiedy ja na chwilę wyszedłem. Odwiedziłem wtedy przyjaciela, który miał wypadek... byłem w szpitalu Akademiska w Uppsali. A w tym czasie ona zdradziła mnie w naszym pierwszym

domu. W październiku 1971 roku.
Urwał, przyjrzał się swoim dłoniom i opuścił ramiona.
- Trwało to aż do późnych lat dziewięćdziesiątych. Dopóki rak nie uderzył po raz pierwszy. Tak, chyba tak właśnie było. Straciła... dla niego głowę. Nie chciała go mieć, ale nigdy nie umiała odmówić, on był... to mocne słowo, ale myślę, że on był złym człowiekiem. Demonicznym, jak już mówiłem. Próbowałem go zrozumieć, jego motywy i to wszystko, ale po prostu się nie da. Przecież cały czas kręciły się koło niego kobiety.
- Jak się pan tego dowiedział? - zapytał Barbarotti i zwalczył pokusę pogładzenia siedzącego naprzeciwko niego mężczyzny po ręce. Skąd się biorą takie impulsy? - pomyślał. Uświadomił też sobie, że między Anną Berglund a Marianne musiało upłynąć z dziesięć lat i myśl ta sprawiła, że zboczył na niepożądane tory. Demoniczny? Dalsze słowa Berglunda rozproszyły jego wewnętrzną mgłę.
- Powiedziała mi o tym - wyjaśnił. - Kiedy rak powrócił, wszystko mi powiedziała. Chciała się zresztą zabić, ale udało mi się ją powstrzymać. Była mi za to wdzięczna, po przełomie wieków nie widziała się już z Germundem ani razu. Ostatni rok upłynął na pokucie. Dziwne jest to, że...
- Tak? - zapytał Barbarotti. - Co jest dziwne?
Berglund się zaśmiał, krótko i niepewnie.
- Dziwne jest to, że zaczęła go nienawidzić... a może wcale to nie takie dziwne. Wahadło osiągnęło swój drugi biegun, można by rzec. Czasem było wręcz tak, że go broniłem. Wskazywałem, że do tanga trzeba dwojga, ale jej trudno było przyjąć to do wiadomości. On był narkotykiem, a ona ofiarą, tak to zwykle określała. Tak czy inaczej, Germund Grooth zniszczył nam obojgu życie, wprawdzie jest dla mnie głównym winnym, ale dla Anny był nim jeszcze bardziej. Nie wiem, czy dla kogoś z zewnątrz jest to zrozumiałe?
- Może to nie takie ważne - powiedział Barbarotti. -

Rozsądek i uczucia przecież nie zawsze idą w parze. A więc, co się wydarzyło na wzgórzu Gåsa w roku 1975?
Rickard Berglund zmarszczył na chwilę czoło, najwyraźniej zastanawiając się nad uwagą o rozsądku i uczuciach. Wypił łyk kawy i wyprostował się.
- Moja żona zepchnęła Marię do wąwozu - powiedział.
Barbarotti trawił przez chwilę te słowa. Sprawdził, czy dyktafon jest włączony.
- Dlaczego? - zapytał.
- Dlatego że wiedziała, iż Germund zawsze będzie wolał Marię - odparł Berglund. - Marię i Germunda łączyły niemal więzy krwi. Poprzedniego wieczoru zostało to dobitnie wyrażone na plebanii. Powiedział to Annie wprost i wtedy Anna się zdecydowała. Zabiła Marię, żeby mieć Germunda dla siebie, to było tak proste.
- Tak proste?
- Tak. Można oczywiście analizować wszystko z każdej strony, ale nie wydaje mi się, żeby to cokolwiek zmieniło. Było to właśnie tak proste.
- Rozumiem - odparł Barbarotti. - I nikt niczego nie podejrzewał?
- Nic a nic - stwierdził Berglund. - Zwłaszcza Germund. Dopiero dwa tygodnie temu dowiedział się, że Maria w czasie tej wycieczki nie spadła sama. Ze to nie był wypadek. Plan Anny jednak się nie powiódł. Nie stało się tak, jak sobie wymyśliła. Germund jej nie chciał, mimo że Marii już nie było. Nie na poważnie, tylko jako niezobowiązujący romans przez kolejnych dwadzieścia lat. Musiała się tym zadowolić... straciła dla niego głowę, nie ma innego określenia.
- A kiedy? - zapytał Barbarotti. - Kiedy pan się tego dowiedział?
- Pięć lat temu - odparł Berglund. - Dokładnie rzecz biorąc, pięć i pół. Kiedy poważnie zachorowała. Kilka miesięcy

później zrzuciłem sutannę, jedno łączy się z drugim, ale nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, w jaki sposób. Nie mogłem dłużej tego kontynuować, musi panu wystarczyć to wyjaśnienie. Rozumie pan, co mam na myśli, kiedy mówię, że moje życie zostało zmarnowane?
- Chyba tak - odparł Barbarotti. - Ale chcę, żeby, gwoli ścisłości, opowiedział mi pan również o śmierci Grootha.
- Z wielką chęcią - odparł Berglund i Barbarotti słyszał, że mówi poważnie. Ze opowiadanie o tym, jak kochanek żony zakończył życie, sprawia mu gorzką radość.
I kto mógłby mu tego zabronić? - pomyślał Gunnar Barbarotti i przepędził obraz Marianne i Germunda Grootha, który ponownie pojawił się w jego głowie. Zepchnął go w zapomnienie, zanim miał szansę się wyklarować.
- Można by powiedzieć, że to ona mnie do tego doprowadziła - rzekł Rickard Berglund. - Ale to nie do końca prawda.
Barbarotti skinął głową.
- Gdyby tego nie wymusiła, zrobiłbym to sam z siebie. Przynajmniej taką mam nadzieję. W każdym razie nie chciała umierać, dopóki nie wiedziała, że się go pozbyłem. Ze go ukarałem; tylko to trzymało ją przy życiu przez ostatnie tygodnie. Rozumie pan?
- Rozumiem - rzekł Barbarotti.
- To ważne, żeby pan dobrze zrozumiał - powiedział Berglund. - Jeśli teraz opowiem, jak to było, nie chcę, żeby zostało to źle zrozumiane.
- Słucham - powiedział Barbarotti. - I nie jestem głupi.
- To dobrze - odparł Berglund. - Zauważyłem, że nie jest pan głupi. Razem to zaplanowaliśmy i towarzyszyło nam przy tym silne uczucie wspólnoty. Była osłabiona, odczuwała ból, ale to, co zrobiliśmy, musiało... musiało w jakiś sposób wynagrodzić całe nasze nieudane małżeństwo, nieudane życie. A ja trzymałem się planu. Wsiadłem w

samochód i w środku nocy pojechałem do Lund. Zadzwoniłem do niego z komórki - z telefonu na kartę, jak prawdziwy zbrodniarz. Było wcześnie rano, stałem przed jego domem. Zapytałem, czy mogę wejść, słyszałem, że był zdziwiony, ale powiedziałem, że Anna umiera i że to ważne. Poprosił, żebym parę minut zaczekał, po czym mnie wpuścił, a ja oczywiście mogłem...

- Tak?

Rickard Berglund wstał, podszedł do jednego z regałów i wyciągnął szufladę; stojąc plecami do Barbarottiego, przesunął jakieś papiery i kilka map, i kiedy się odwrócił, trzymał ciężki rewolwer. Trzymał go oburącz, jakby chodziło o coś bardzo delikatnego, w głowie Barbarottiego na sekundę pojawił się obraz mszalnego kielicha, a Rickard niemal uroczyście podszedł z powrotem do fotela. Usiadł i położył sobie broń na udzie. Z tego co Barbarotti widział, mógł to być berenger albo hiszpańska baluga. Na kolanie Berglunda wyglądał tak samo nie na miejscu jak Biblia w akwarium.

- Proszę to odłożyć - polecił Barbarotti.

Berglund pokręcił głową.

- Nie mogę kontynuować tej rozmowy kiedy grozi mi pan bronią.

- Nie jestem pewien, czy ma pan jakiś wybór - powiedział Berglund.

Gunnar Barbarotti zastanawiał się pięć sekund. Następnie skinął głową. Mimo wszystko cieszył się, że jest nieuzbrojony. Gdyby miał przy sobie swój służbowy pistolet, sytuacja byłaby inna. Zmusiłoby go to do takiego czy innego działania. A Barbarotti nie chciał działać, chciał tylko słuchać.

- Mogłem oczywiście od razu go zabić - kontynuował wątek Berglund. - Tym. Ale nie taki był plan.

Barbarotti splótł ręce.

- A jaki dokładnie był plan?

- Przecież pan wie - odparł Berglund. - Przewieźć go i

zjednoczyć z Marią. Zamknąć krąg. W ostatnich dniach Anna lubiła to określenie. „Musimy zamknąć krąg, Rickard", powtarzała. „Zamknąć zło w kręgu".
Umilkł i z namysłem przejechał palcami po rewolwerze.
- Proszę mówić dalej - poprosił Barbarotti. - Muszę powiedzieć, że jestem trochę zdziwiony obecnością tego... przedmiotu.
- Ja też - zgodził się Berglund. - Broń niezbyt pasuje do duchownych, prawda? Nawet eks-duchownych. Wszedłem w jego posiadanie kilka lat temu, nie wiem, dlaczego go sobie przywłaszczyłem, to był jakiś dziwny impuls, i okazało się, że się przydał...
- Wszedł pan w posiadanie? - zapytał Barbarotti.
- Inwentarz spadkowy - wyjaśnił Berglund. - Spisywałem majątek po zmarłym, w ostatnich latach zajmowałem się takimi rzeczami, a on tak po prostu leżał sobie w skrzyni w piwnicy. Z amunicją i ze wszystkim, schowałem go po prostu do teczki, nic o tym nie mówiąc Linderholmowi, który przeszukiwał mieszkanie na górze... Kiedy mówię, że się przydał, nie oznacza to oczywiście, że z niego strzelałem.
- Aha? - odparł Barbarotti.
Berglund odchrząknął i mówił dalej.
- Miałem go w kieszeni płaszcza tego ranka, gdy Germund otworzył drzwi, ale poszedł ze mną dobrowolnie. Odniosłem wrażenie, że przeczuwa, co się święci, ale może było to tylko złudzenie. Poprosiłem, żeby prowadził, nie zamieniliśmy wielu słów, powiedziałem, że Anna chce się z nim zobaczyć przed śmiercią, tyle wystarczyło. Mógł oczywiście odegrać komedię i powiedzieć, że nie rozumie dlaczego, ale tego nie zrobił. Wzruszył tylko ramionami i poszedł ze mną. Usiadł za kierownicą i włączył silnik. Ja zająłem tylne siedzenie, mówiąc, że muszę się chwilkę zdrzemnąć i że tak jest wygodniej. Nie chciał rozmawiać, kiedy tak mknęliśmy na północ trasą E6; nic się nie zmienił. Był cichy i w pewien

sposób taki jak zwykle. Defensywny, raz tylko zapytał, jak ona się czuje, ja odpowiedziałem, że źle i że teraz to już tylko kwestia dni. Dopiero kiedy byliśmy jakieś dziesięć kilometrów od Kymlinge, wyjąłem to.
Skinął głową w stronę rewolweru i na moment podniósł kąciki ust w krzywym uśmiechu.
- Zobaczył go w lusterku i potrząsnął tylko lekko głową. Nie wiem nawet, czy go to zdziwiło. Powiedziałem, że pojedziemy na wzgórze Gåsa, skinął głową i powiedział, że nie pamięta drogi. Pilotowałem go. Dojechaliśmy i zaparkowaliśmy w tym samym miejscu, co trzydzieści pięć lat temu. Wysiedliśmy z samochodu, ja pierwszy, on za mną, mierzyłem w niego, idąc jakieś trzy metry z tyłu, i po piętnastu, dwudziestu minutach byliśmy na miejscu. Staliśmy na skraju, droga się skończyła. Co się stało? - zapytał. Może mógłbyś mi powiedzieć, jak zginęła Maria, zanim mnie zabijesz. Zapytałem, czy Anna nie opowiedziała mu, jak to było, podczas jednej z ich licznych miłosnych schadzek przez te wszystkie lata... Wiedziałem oczywiście, że tego nie zrobiła, a on potrząsnął głową. Więc mu powiedziałem, że to Anna ją zabiła.
Rickard Berglund zrobił przerwę i uniósł rewolwer. Patrzył na niego, jakby usiłował uzyskać od niego jakąś odpowiedź. Wysunął dolną wargę i pokiwał głową.
- No i? - zapytał Barbarotti.
Berglund wzruszył ramionami.
- No i co? Odniosłem wrażenie, że jakimś sposobem o tym wiedział, ale może to też sobie wmawiałem. Wydawało mi się, że pobladł i że... że uszło z niego powietrze i się jakby skurczył. Choć nagle, kiedy tak staliśmy tam na górze i wszystko już za moment miało się dokonać, nie wydawało się to takie ważne. Było tak, jakby wsączyła się we mnie cała pustka tego świata. Życie i śmierć nie były niczym więcej niż dwoma pyłkami wobec wieczności. Wydało mi się, że rów-

nież Bóg odwrócił się do nas plecami, choć nie przypuszczałem, że tak zrobi. Zapytałem Germunda, czy sam skoczy, czy też woli, żebym go zastrzelił. Wie pan, co zrobił?
- Nie - odparł Barbarotti.
Berglunda przeszedł dreszcz.
- Spojrzał... spojrzał na mnie... spojrzał mi prosto w oczy
I nie mogłem nic odczytać z jego spojrzenia. Ani strachu. Ani żalu. Ani smutku... ani cholernej odrobiny. Trwało to tylko kilka sekund, potem odwrócił się, stał krótką chwilę na krawędzi, po czym zrobił krok przed siebie. Prosto w pustkę, słychać było tylko cichy, stłumiony dźwięk, kiedy uderzył o ziemię. Poczułem nagle, jak coś we mnie pęka, myślałem, że zwymiotuję, ale jakimś sposobem się ogarnąłem. Wróciłem do samochodu i pojechałem prosto do szpitala. Anna spała, musiałem poczekać godzinę, aż się obudzi,
I wszystko jej powiedziałem. To... to wszystko.
- Wszystko?
-Tak.
Barbarotti siedział przez chwilę w milczeniu i wyglądał przez okno. Zaczęło padać, a gałąź drzewa tłukła o szybę, wiatr wydawał się porywisty. Barbarotti przeniósł wzrok na dyktafon, w którym w dalszym ciągu przesuwała się taśma. Smutne zeznanie Rickarda Berglunda było tam zabezpieczone i udokumentowane po wsze czasy. Wydawało się to całkowicie nieistotne.
- Nie zepchnął go pan? - zapytał mimo to inspektor.
Berglund pokręcił głową. Barbarotti wskazał dyktafon.
- Nie - odpowiedział Berglund. - Nie zepchnąłem.
- Groził mu pan pistoletem?
- Nie, nie było potrzeby.
- A gdyby sam nie skoczył, co by pan zrobił?
Berglund wahał się najwyżej sekundę.
- Zastrzeliłbym go. Wolałem oczywiście tego nie robić, co też mi się udało, ale chcę rozwiać wszelkie wątpliwości.

Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za śmierć Germunda Grootha, jest to najbardziej moralny czyn, jakiego dokonałem w całym swoim życiu, proszę się nie starać mi tego odebrać. Rozumie pan?
- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Po prostu z myślą o tym, co nas czeka...
- Nic nas już nie czeka - powiedział Rickard Berglund. - Jeszcze jedno, zanim skończymy. Anna i ja nie mieliśmy dzieci.
- Wiem o tym - rzekł Barbarotti. - Chciałby pan...?
- Usunęła ciążę - przerwał Berglund. - Wiosną 1975. Choć dowiedziałem się o tym dopiero trzydzieści lat później. Po tej aborcji nie zaszła już w ciążę.
Ucichł i przyglądał się Barbarottiemu nad stołem. Miał rozbiegane oczy a jedna noga zaczęła mu drżeć. Nie kontroluje sytuacji, pomyślał. Ani on, ani ja.
- Czyli... - powiedział. - Czyli spodziewała się jego dziecka, dziecka Germunda Grootha. A on nie chciał...?
Urwał. Berglund uniósł broń, tym razem jedną ręką; nagle wyglądało to zupełnie naturalnie i Barbarotti poczuł, jak w jego głowie rozdzwonił się sygnał.
- Przeciwnie - powiedział Rickard Berglund bardzo zmęczonym głosem. - To było moje dziecko. Dlatego nie chciała go urodzić. Dzisiaj jest wtorek.
Niespodziewanie szybkim ruchem włożył lufę rewolweru do prawego ucha i nacisnął spust.

72

Niebo było szare i zachmurzone. Zimny wiatr z północnego zachodu ciągnął ponad otwartymi, zaoranymi polami, a niski kamienny mur otaczający cmentarz Rödåkra dawał słabą ochronę. W powietrzu kryła się zapowiedź śniegu. Barbarotti marzł i cieszył się, że Marianne nie zdecydowała się przyjść. Nie było powodu, żeby stała na wietrznym

cmentarzu i towarzyszyła byłemu pastorowi w drodze na wieczny spoczynek.
Najmniejszego. Wystarczyła Backman i on. Oraz oczywiście parę innych osób: jeszcze żyjący pastor Linderholm, dwie starsze panie, które pracowały z Berglundem przez ponad dwadzieścia lat, oraz mały zgarbiony człowieczek koło sześćdziesiątki, którego Barbarotti w ogóle nie kojarzył. Podali sobie ręce w kościele, ale nie dało się zrozumieć jego cicho wymruczanego nazwiska.
Ceremonia była miłosiernie krótka. Kulejący pastor, który nazywał się Silvergren, stwierdził, że tych dwoje, którzy przeżyli razem całe życie, znów jest razem. Śmierć nie była w stanie ich rozdzielić na dłużej niż kilka tygodni. Reszta została już powiedziana w kościele. Na wieki wieków, amen.
I tyle. Barbarotti wiedział, że pastor wie, że Rickard Berglund strzelił sobie w głowę, a na temat byłego pastora samobójcy nie było sensu dłużej się rozwodzić. Może kapituła wydała polecenie, żeby mówić krótko.
Linderholm i Silvergren skinęli głową pozostałym i się oddalili. Panie z domu parafialnego poszły za nimi. Barbarotti, Backman i garbus zostali. Ten ostatni trzymał się trochę z boku i wyglądał na niezdecydowanego.
- Tu spoczywa dwoje morderców - powiedziała Eva Backman i zadrżała.
- Tak - odparł Barbarotti. - Nawet jeśli jego udział jest dyskusyjny. Nawet nie dotknął ofiary.
- Gadanie - rzekła Backman. - Chyba spadnie śnieg.
- Niewykluczone. O czym myślisz?
Backman znowu zadrżała.
- O wszystkim - stwierdziła. - O tych wszystkich, którzy nie żyją. Choć najwięcej o Germundzie Groocie.
- A konkretniej? - zapytał Barbarotti.
- A konkretniej o zapiskach, które Ribbing znalazł u niego w domu. Tych o rodzicach.

- Również nie mogę przestać o tym myśleć - powiedział Barbarotti. - Ze to się zaczęło już wtedy.
- Twierdzi, że ich zabił - powiedziała Backman. - Wierzysz w to?
Barbarotti zastanawiał się przez chwilę.
- Nie wiem. Jak by się to w takim razie miało odbyć? On niczego nie wyjaśnia.
- Może po prostu kłamie?
- Dlaczego miałby kłamać?
- Nie mam pojęcia. Zgadza się to z tym, co mówiła Marianne. Może to być prawda. Ale nie pytaj mnie, jak to zrobił. W końcu utonęli w rzece. Zamknięci w samochodzie.
- Tak czy inaczej, ciężko być samotnym - rzekł Barbarotti. - Dziesięć lat. Oprócz tego maczał w tym palce, więc to oczywiście jeszcze gorsze. Może nic dziwnego, że taki się stał.
- Nic dziwnego - potwierdziła Backman.
Wsunęła ręce do kieszeni płaszcza i z zimna wtuliła głowę w ramiona.
- Niewiele już zostało z uppsalskiej szóstki.
- Tylko państwo Wincklerowie - stwierdził Barbarotti. - Nie przyszli na pogrzeb. Ani na jego, ani na jej. Choć może należało się tego spodziewać?
- Idziemy - zaproponowała Eva Backman. - Musimy zostawić to za sobą.
- Pewnie - powiedział Barbarotti, zanim jednak zdążyli ruszyć, podszedł do nich garbus. Odchrząknął nerwowo
I uchylił czarnego kapelusza.
- Przepraszam, czy możemy zamienić parę słów?
Barbarotti spojrzał na Backman i kiwnął głową.
- Nazywam się Helge Markström. Kiedyś znałem Rickarda. Byliśmy kolegami z wojska. Annę też poznałem...
- To smutna historia - rzekł Barbarotti. - Oboje nie żyją.
- Słyszałem, że on się zastrzelił - powiedział Helge Mar-

kstróm. - Czy to dlatego, że...?
Barbarotti obrzucił kolejnym spojrzeniem Evę Backman
I zdecydował się nie odpowiadać.
- Tak dawno już żadnego z nich nie widziałem. Nie był w stanie bez niej żyć, prawda?
- Nie wiem, czy... - zaczął Barbarotti.
- Właśnie - powiedziała Backman. - Tak to było.
Helge Markström skinął głową.
- Wiem, że bardzo mocno się kochali. Rickard i ja pisaliśmy do siebie czasem, nie za często, ale jednak. Byłem nawet przy tym, jak się poznali.
Uśmiech przemknął mu po twarzy jak jaskółka i zniknął.
- Brała udział w demonstracji. Był rok 1970. Skręciła nogę i wypadła z pochodu... prosto w ramiona Rickarda.
Staliśmy na chodniku, a on ją złapał. Tak zostali parą. Zawsze myślałem, że to piękne. Jak los może zaingerować. Ja sam nigdy się nie ożeniłem.
Zamilkł. Barbarotti poczuł nagle, jak coś się w nim ściska. Miał nadzieję, że Backman powie coś sensownego, milczała jednak.
- No dobrze, chyba już pójdę - zakończył Helge Markström.
- Dziękuję za chwilę rozmowy, dobrze wiedzieć, że Rickard miał przyjaciół.
Znów podał rękę, skinął głową na pożegnanie i ruszył w stronę parkingu. Backman i Barbarotti stali i patrzyli za nim, dopóki nie wsiadł do samochodu, białego saaba, liczącego co najmniej dwadzieścia lat.
- Nic nie mów - odezwała się Eva Backman. - Ja już mam chyba dosyć.
Barbarotti zadrżał i pomyślał, że to samo może powiedzieć o sobie.
I że musi jak najszybciej porozmawiać z Bogiem.
Marianne spała. Leżeli na łyżeczkę i pomyślał, że w jego ramionach jest lekka jak piórko.

I ciężka jak życie. Ciężka jak piórko. Lekka jak życie. Było długo po północy, a za oknem sypialni wirowały pierwsze w tym roku płatki śniegu. Nie kochali się, ale niewiele brakowało. Na to było jeszcze za wcześnie.
Teraz był czas na ufność. Sprawy śmierci w wąwozie Gåsa zostały odłożone do akt. Przypadek Germunda Grootha zakończony.
Słowo to sprawiało, że miał mieszane uczucia. Zakończony Przyjemnie jest postawić kropkę. Jeśli dotarło się na przykład do końca książki. Albo do końca życia. Jak Rickard Berglund.
To przyjemne, ale nie zawsze słuszne. Cokolwiek to słowo znaczy.
Moja ukochana leży w moich ramionach jak nagie piórko, pomyślał. Żyje. Przeżyła i wszystkie nasze dzieci też żyją.
Wszyscy leżymy pod jednym dachem, gdy na zewnątrz szaleje pierwsza tegoroczna śnieżyca. Wszyscy, Sara też. Nikt nie może czuć się bezpieczniej.
Ale Berglundowie będą mi się śnili. Anna i Rickard. Zakończone lub nie.
I Germund Grooth, i Maria Winckler. Zwłaszcza ona, kim była ta, która poświęciła się pewnego wieczoru w rumuńskim mieście i umarła tak młodo?
Zakończone?
Tak, właśnie to i nie tylko to będzie towarzyszyło mu w nocy. Również te słowa Philipa Larkina. ***Większość rzeczy nie zdarza się: lecz ta się zdarzy.***
Ale taka już jest, pomyślał, przytulając mocniej Marianne. Ta kręta droga do krainy ufności.

Epilog, wrzesień 1958

Siedział przy stole w kuchni. Pudełko tabletek spoczywało w prawej kieszeni kardigana. Decyzja spoczywała w jego głowie, wciąż jak gorąca kula. Przy stole był sam.
Ale za jakąś minutę dołączą do niego pozostali. Tata, mama

i Vivianne. Mama nakrywała do stołu. Nakrycie taty było już przygotowane, a dwie tabletki leżały jak zwykle koło filiżanki. Nie było czasu do stracenia. Jeżeli to ma się stać, musi się stać teraz.
Z podniecenia czuł mrowienie w skroniach. Rękach i palcach. Teraz, pomyślał, muszę zrobić to teraz.
Słońce posłało kilka ostrych porannych promieni między dwie listwy żaluzji w oknie od ulicy. Raziły go w oczy. Było to jak wezwanie - pośpiesz się! Włożył rękę do kieszeni, palcem wskazującym obejmując pudełko. Upewnił się, że mama stoi odwrócona plecami, i już! W ciągu jednej sekundy zrobił to. Zamienił tabletki. Dwie tabletki taty znalazły się w pudełku, a te z pudełka na talerzyku. I nikt na świecie nie zauważyłby różnicy.
Zrobione. Najprostsza rzecz pod słońcem. Zemsta jest moja, pomyślał. Tak się nazywała jedna z książek o Indianach, które pożyczył od Benkego. ***Zemsta jest moja.***
Wyjadą przed południem. Kiedy wróci ze szkoły, ciocia Hjördis weźmie go do siebie. Tata, mama i Vivianne będą już wtedy w Rödtjärn. Zostaną tam cztery dni. Tata będzie jak zwykle nad czymś pracował, a Vivianne zajmie się psami, popływa łódką, pogra z kuzynami przy ognisku.
On będzie w domu z ciotką Hjördis. Vivianne mogła pojechać, ponieważ była taka mała. Nie musiała chodzić do szkoły. Była jeszcze dzieckiem i dlatego mogła pojechać do Rödtjärn.
Mama wytłumaczyła mu to wczoraj wieczorem, siedząc na brzegu jego łóżka. Miał dziesięć i pół roku, musiał myśleć o szkole. Wiadomo, że nie można wziąć trzech dni wolnego w środku półrocza. Wkrótce będzie już kawalerem. A oni będą z powrotem już w niedzielę, może nawet w sobotę wieczorem. W zależności od pogody.
Nienawidził ciotki Hjördis. Nienawidził ojca i matki za to, że go z nią zostawiali. Nienawidził Vivianne za to, że jako

smarkula mogła pojechać do Rödtjärn i nie musiała się martwić o szkołę.
Ale zemsta była jego. Gdyby tata zauważył, że zamienił tabletki, dostałby lanie. Nie ma wątpliwości. Ale nie sądził, by ktoś zauważył różnicę. Myślał o tym już od dawna. Przynajmniej od pół roku. Tabletki, które tata każdego ranka popijał łykiem agrestowego soku, wyglądały identycznie jak pastylki Ziggy. Oczywiście, gdyby tata je rozgryzł, zauważyłby różnicę, ale nigdy nie rozgryzał swoich tabletek. Wrzucał je tylko prosto do buzi i popijał pokaźnym łykiem soku, każdego ranka było tak samo, potrzebował ich na jakąś chorobę. Coś z zawrotami głowy.
Niech się rozchoruje w Rödtjärn, dobrze im tak. Albo niech wcale nie dojadą. Nigdy się nie przyzna, że zamienił tabletki. Nie powie absolutnie nikomu, nawet Benkemu,i wyrzuci całe pudełko z dwiema tabletkami w środku. Zakopie pod jakimś kamieniem w lesie, gdyby była jakaś chryja. Gdyby tata naprawdę się rozchorował, albo coś. W każdym razie nikt się nie połapie. Na samą myśl zachichotał w duchu, ale chichot minął, bo właśnie weszli do kuchni. Tata i Vivianne. Nagle siedzieli przy stole we czworo. Tata żartował z czegoś, co powiedział lub zrobił świrnięty Holger, mama się śmiała, Vivianne jak zwykle wlała za dużo mleka do płatków, a tata wrzucił tabletki do buzi i popił łykiem soku agrestowego.
Skrzywił się trochę, ale zwykle tak robił. Gotowe. Po krzyżu przebiegł mu dreszcz, a kiedy tata zapytał, czy mu smutno, że nie może jechać do Rödtjärn, odpowiedział, że musi myśleć o szkole. Ze nie można jej opuścić na trzy dni w środku semestru.
A tata odpowiedział, że właśnie tak mówi prawdziwy mężczyzna, i wszystko miało się jak najlepiej w słonecznej kuchni świętej rodziny.

Wszystko zaczyna się w 1969 roku. Sześcioro młodych ludzi przyjeżdża do Uppsali. Tu krzyżują się ich drogi i w ciągu kilku lat zawiązuje się między nimi swego rodzaju przyjaźń. Razem kupują autobus i wybierają się w podróż po Europie Wschodniej. Te wakacje zmieniają wszystko w ich życiu. W niedługim czasie jedna z tych osób ginie tragicznie w wąwozie Gåsa niedaleko Kymlinge. Dokładnie trzydzieści pięć lat później policja odnajduje w tym samym miejscu zwłoki kolejnej osoby. Czy to zwykły przypadek? Zemsta po latach? Co łączy obie te sprawy? Rozwiązanie tej zagadki to kolejne wyzwanie dla Gunnara Barbarottiego i Evy Backman.

Samotni to czwarta i ostatnia część cyklu Håkana Nessera o inspektorze Gunnarze Barbarottim, wyrafinowanym sceptyku szukającym czasami wskazówek w Piśmie Świętym. Inspektorowi Barbarottiemu przyjdzie się zmierzyć z nowego rodzaju niebezpieczeństwem i koniecznością przewartościowania wielu spraw. A zwłaszcza swojej starej umowy z Bogiem.

Håkan Nesser (ur. 1950) jeden z najpopularniejszych szwedzkich pisarzy. Największą popularność przyniósł mu składający się z dziesięciu części cykl powieści kryminalnych o komisarzu Van Veeterenie. Większość książek z tej serii stała się podstawą scenariuszy filmowych. Nesser trzykrotnie otrzymał nagrodę za najlepszy szwedzki kryminał, a jego książki przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków.

Wydawnictwo
CZARNA OWCA
www.czarnaowca.pl

Cena: 34,90 zł
ISBN 978-83-7554-197-7

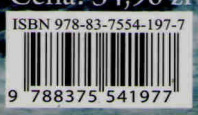

Ali Baka